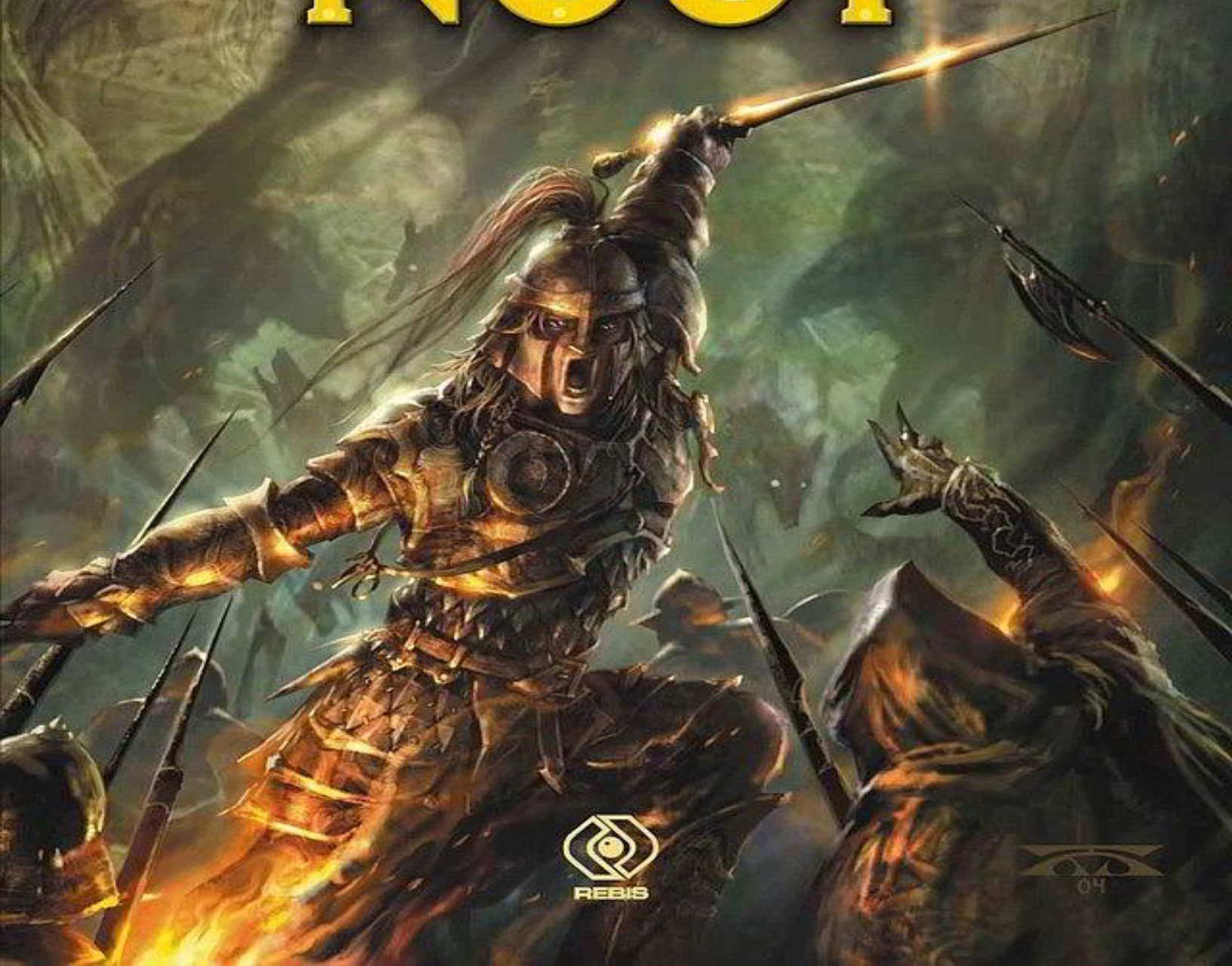


PIERWSZY TOM NOWEGO CYKLU FANTASY
TWÓRCY KULTOWYCH KRONIK CZARNEJ KOMPANII

GLEN COOK

TYRANIA
NOCY



TYRANIA NOCY

Na cykl
„DELEGATURY NOCY”
składają się:

TYRANIA NOCY
PAN MILCZĄCEGO KRÓLESTWA
W OKOWACH MROKU

Glen Cook

TYRANIA NOCY



Scorpius Magna

Tytuł oryginału
The Tyranny of the Night
(The Instrumentalities of The Night, Book 1)

Copyright © 2005 by Glen Cook
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2007

Redaktor Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce
Raymond Swanland



Wydanie I

ISBN 978-83-7301-782-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49,
60-171 Poznań
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

To jest wiek, który chwieje się na skraju ciemnej przepaści i jak zaczarowany zerka strachliwie w puste oczy chaosu – ogłupiały szczur próbujący wygrać pojedynek na spojrzenia z głodną kobrą. Bogowie są niespokojni, rzucają się i poruszają we śnie, aż w końcu na poły przebudzeni mogą już knuć swe bezceństwa. Setki milionów ich bękarciego pomiotu – duchy kamieni, strumieni i drzew, miejsc, czasów i uczuć – wiedzą już, że dawne ograniczenia murszeją. Furtki Losu stoją otwarte na oścież. Świat ma przed sobą wiek strachu i wojny, wielkich czarów i wielkiej przemiany, niezmiernie rozpaczliwych śmiertelnych. Wysokie czoła lodowców pełzną naprzód.

Na ziemi żyją wielcy królowie. Nie ponoszą winy za to, że ich cele kolidują ze sobą. Wielkie idee wędrują w tę i w tę po całym obszarze zamieszkanego świata, który się kurczy. To nie ich wina, że wzbudzają nienawiść oraz strach wśród wyznawców dogmatów i doktryn znajdujących się pod coraz mocniejszym ostrzałem.

Jak zawsze to ci, którym przyszło wykonywać dzieła świata, najpewniej zapłacą cenę jego bólu.

Chaos gryzmoli, nie dbając o linearną myśl ani porządek narracji. Wydarzenia w Andoray u zarania epoki sturlangerów, kiedy ściany lodu były wciąż jeszcze tylko egzotyczną ciekawostką, o dwa stulecia poprzedzają to, co nastąpiło w Firaldii, Calzirze, Dreangerze, Ziemi Świętej, wreszcie Skraju Connec.

Z początku zawsze trudno się dopatrzeć związków między wydarzeniami przy Studniach Ihrian a jakimkolwiek innym faktem. Ostatecznie tereny te pogrążone są w nieustającym wrzeniu. W każdym sporze istnieje tyle stron, ile miast-państw jest w stanie aktualnie wystawić zbrojne milicje.

Źródłem sprawiedliwej sprawy jest zawsze religia. Oczywiście są też motywacje prywatne, a więc: chciwość, żądza władzy, miraż łupów czy pragnienie odwetu za zeszłoroczną świętą misję żywione przez starego wroga. Ale skłócenie książęta i prałaci zasadniczo są głęboko wierzący.

Waśń między Imperatorem Graala i Patriarchą nie jest żadną nowością. Dążenie Patriarchy do świętej wojny również. Bratobójcze zakusy Santerinu i Arnhandu gorzej na nowo. Tamtejsze wielkie rody związane są feudalnymi zobowiązaniami z obiema monarchiami. Pomieszanie więzi lennych rodzi niekiedy absurdalne sytuacje. Ojciec z synem mogą się spotkać po przeciwnych stronach pola krwi.

Boskie spiski nie mają wielkiej mocy, gdy maszyna kręci się gładko po natłuszczonych gęsim łożem osiach. Ale gdy na kosmicznym rynku wiruje pijana tarantela, tancerze często zapominają, co robią, i tylko zataczają się otumanieni, obijając o przedmioty – zanim przypomną sobie o swych celach.

A ci, którzy czynią dzieła świata, niczym mrówki zajęte krzątaniem na trawniku pośrodku miejskiego rynku, aż nazbyt często mają okazję się przekonać, czym jest nagłe, potężne i nieprzewidziane uderzenie pijanego kopyta.

Skogafiord, Andoray

Bębny mamrotały niczym gromada starych plotkarek. Ich główną rolą w obrzędzie było powstrzymanie dzieci od plątania się pod nogami, podczas gdy dorośli zajmowali się pogrzebem. Zbliżała się noc. Rozbłysły pochodnie. Stary Thrygg rozgrzebywał ogniska poczerniałą głownią, począwszy od lewego krańca szeregu. Płomienie skoczyły ku górze, rzucając wyzwanie nocy. Z wysokości po obu brzegach Skogafiordu odezwały się rogi. Odpowiedziały im rogi z czatowni w głębi łądu.

Wielki człowiek miał po raz ostatni wyruszyć w morze.

Bard Briga stał na brzegu zimnej wody i śpiewał morzu pieśń, napominającą przyptyw, że czas się już wycofać.

Morze doskonale znało swą rolę. Każda kolejna fala lizała ziemię odrobinę dalej od bosych stóp Brigi.

Pulla Kapłan pomachał do młodych mężczyzn, stojących po kolana w lodowatej wodzie.

Bębny zmieniły rytm. Członkowie załogi Eriefa Erealssona, ostatniego z wielkich sturlangerów, zepchnęli długą łódź w ciemny przyptyw.

Prosty żagiel w czerwono-białe pasy złapał wiatr. Uczestników ceremonii ogarnęła zapierająca dech w piersiach cisza. Nie mogło być chyba lepszego znaku niż ten podmuch wiatru, który poniesie łódź na piersi przyptywu przez cały fiord.

Rogi podjęły swą żałobną pieśń. Bębny wznowiły dialog z nocą. Załoganci Eriefa wypuścili płonące strzały w kierunku łodzi. Ale ta już powoli rozpływała się we mgle, po której jeszcze przed momentem nie było śladu.

Na powierzchnię wody wychynęła kelpie, zielone włosy zalśniły w blasku ognisk.

Płonące strzały wystrzelili chyba najgorsi łucznicy w dziejach świata. Tylko garstka doleciała do łodzi z galionem w kształcie ryczącego niedźwiedzia. Ogień nie zapłonął, mimo iż wcześniej na statku rozlano całe baryłki oliwy. Mimo iż ciało Eriefa otaczały szczapy suchego drewna.

Niedobrze.

Gromada ludu morza otoczyła statek. Może to ich czary tłumią ogień? Z pewnością czary były powodem, że strzały nie trafiały w kelpie.

– Przestańcie – zaryczał Pulla. – Czy chcecie zbudzić Klątwe Morskich Królów?

Łucznicy odstąpili.

Statek dryfował. Będzie brakowało Eriefa Erealssona. To jego militarny i dyplomatyczny geniusz połączył pod wspólnym sztandarem rozbite rodziny, klany i szczepy fiordów oraz wysp andorayskich – po raz pierwszy od czasów, gdy Terytoria Neche przeszły do historii.

– Wszyscy śpiewają – krzyknął Briga. – Priga Keda! Z uczuciem! – W jego głosie słychać było przestach.

Ludzie podjęli pieśń. Nie znali innego błagania do Delegatur Nocy, żeby, jeśli już się wtrącają w życie człowieka, omijały Skogafiord. Dawni Bogowie, bogowie puszczy, nieba i północy, za nic mieli modlitwy człowieka. Istnieli. Panowali. Byli obojętni na cierpienia i męki śmiertelników. Ale wiedzieli, co dzieje się w świecie. Dostrzegali tych, którzy żyli przyzwoicie. I tych, którzy żyli źle. Od czasu do czasu zsyłali szczęście lub zły los, gdy wydawało im się, że tak właśnie należy postąpić.

Czasy się jednak zmieniają. Nawet dla Dawnych.

Pierwszy wśród Nich, Ojciec Wszechrzeczy, Ten, Który Nadstawia Ucha, nazywany niekiedy Wędrowcem lub Szarym Wędrowcem, wiedział o morderstwie Eriefa Erealssona.

Morski lud krzyknął jednym głosem i zanurkował w głębiny.

Potem wśród ludzi z Snaefells i Skogafiordu znowu zaległo milczenie. Tym razem pełne wyczekiwania i świętej grozy. Pośród nocy zaczęła się ujawniać przytłaczająca obecność. Nadciągało coś potężnego, coś strasznego.

Na długi okręt spadły dwie rozwrzeszczane wstęgi ciemności. Wirowały dookoła jak łopocące poły czarnego płaszcza, wyraźnie widoczne w blasku

ognisk.

– Selekjonerki Poległych! Selekjonerki Poległych! – dał się słyszeć pomruk lęku i grozy.

Wszyscy wiedzieli o tych obłąkanych półboginiach, ale na własne oczy widział je tylko stary Trygg, naonczas czternastoletni chłopiec, podczas bitwy tysiąca okrętów o Terytoria Neche.

– Są tylko dwie – zaszemrał ktoś. – Gdzie trzecia?

– Może ta historia o Arlensul jest prawdziwa. – Jedna z obłąkanych cór Wędrowca została wygnana za miłość do śmiertelnika.

Powietrze stało się zimne jak kraina lodu dalej na północ. Płachty ciemności kłóciły się ze sobą niczym wróble na pokładzie długiego okrętu. Po chwili poszybowały w górę i odfrunęły.

Ogień szerzył się gwałtownie i nabierał takiego entuzjazmu, że aż huczał.

Ludzie patrzyli, aż ogień zaczął przygasać. Długi statek dotarł już daleko w głąb fiordu i znowu znalazł się w obstawie morskiego ludu.

Pulla zawezwał starszą Skogafiordu.

– Teraz rozprawimy się z mordercami Eriefa.

Kilka było teorii w kwestii tego, kto zadał Eriefowi zdradziecki cios.

Prawo stanowiło, iż poległy musi dotrzeć na tamten świat, zanim rozpocznie się proces, wzięta zostanie pomsta lub zapadnie wyrok sądu. Nicco czasu potrzeba, by nastroje ostygły.

– Selekjonerki Poległych – powiedział Briga. Nie potrafił nad tym przejść do porządku dziennego. – Selekjonerki Poległych. Przybyły. Tutaj.

Trygg skinął głową. Harl i Kel uczynili podobnie.

– Nie miało się na bitwę. Został zamordowany – dokończył myśl Briga.

– Frieslendra – odezwał się Pulla.

Wszyscy wiedzieli, że gdyby Erief miał jeszcze rok życia na dokończenie zjednoczenia całego Andoray, doszłoby do wojny z Frieslendrą. Królowie Frieslandii rościli pretensje do Andoray, mimo iż wchodziło w skład Terytoriów Neche.

Starcy spoglądali na Pullę. Patrzyły na niego również staruchy Borbjorg i Vidgis. Nikt się nie zgadzał ze słowami boskiego rzecznika.

Pulla pokręcił głową.

– Może się mylę. Ale tak uważam.

– Erief był wielki – zauważył Trygg. – Może tak wielki, że sam Wędrowiec zapragnął go dla siebie. Któż inny mógłby nasłać Selekjonerki

Poległych? Czy ktoś widział jego kruki? Nie?

– Rzucę kości i zasięgnę porady runów. Może jest coś, o czym Noc chciałaby, byśmy wiedzieli. Ale najpierw musimy postanowić, co zrobić z barbarzyńcami.

Dochowano litery prawa. Ale nastroje nie ostygły ani odrobinę od chwili, gdy odkryto zbrodnię.

Pulla czuł, że źle się dzieje, zanim światło pochodni ukazało wnętrze więziennego lochu.

– Stójcie! Płatało tu się jakieś *huldrin* - warknął.

Huldrin w dosłownym tłumaczeniu znaczy „ukryte”. W tym wypadku *huldrin* oznaczało stworzenie z krainy elfów, pomiot Delegatur Nocy i Ukrytych Królestw. Lud *Huldre*, Ukryty Lud, mimo że rzadko można go było zobaczyć, stanowił część codziennego życia. Lekceważenie go oznaczało wielkie ryzyko.

Kapłan zatrzymał się. Potrząsnął nad głową workiem kości. Ich grzechot miał onieśmielić nocne stwory.

Pulla zaczął posuwać się naprzód, cały czas grzechocąc kośćmi. Potknął się o stopień schodów. Poprosił Brigę, by obniżył pochodnię.

Pośliznął się na kiju grubym jak jego nadgarstek. Gdyby upadł, runąłby w głąb pustego lochu.

– Uciekli. – Briga był mistrzem, gdy przychodziło do stwierdzenia oczywistości.

Barbarzyńcy przybyli do *Snaefells* i *Skogafiordu* przed trzema tygodniami, kupcząc jakąś absurdalną religią z dalekiego południa, gdzie słońce prażyło tak mocno, iż ludziom gotowały się od tego mózgi. Z początku wydawali się raczej niegroźni. Opowieści ich były tak bezsensowne, że aż zabawne. Żaden dorosły człowiek, posiadający dość rozumu, by samemu iskać własne wszy, nie kupiłby tego nonsensu. Fizycznie tamci byli jak kiepski żart. Na wpół wyrosnięta dziewczynka potrafiłaby sprawić im cięgi. Tylko że tamci nie zblizali się nawet na krok do żadnej z kobiet.

Ale minionej nocy ktoś wbił sztylet w serce Eriefa, gdy ten spał. Sztylet uwiązł między żebrami bohatera. Morderca zostawił go w ranie.

Ostrze było cudzoziemskie, nie przypominało żadnego z tych, które znano na północy. Nawet Trygg jeszcze takiego nie widział. A przecież w młodości zwiedził wiele odległych krain.

Kilka chwil po tym, jak popełniono zbrodnię, obcy trafili do lochu, przez cały czas uroczyście zapewniając o swej niewinności.

Trygg sądził, że naprawdę są niewinni. Większość jednak nie podzielała jego poglądu. Misjonarze nadarzyli się w porę.

Pulla zgromadził wokół siebie starców.

– Ci cudzoziemcy muszą być potężnymi czarownikami. Zniszczyli szałas nad lochem, a później odlecieli.

– Ktoś pomógł im się wydostać. Ktoś, kto naprawdę zamordował Eriefa. Jakieś *huldrin* - drwiąco sapnął Trygg.

Wywołało to zażarty spór o to, czy cudzoziemcy zostali pobici dostatecznie mocno, zanim zrzucono ich do lochu. Nie powinni byli się wydostać, nawet z pomocą.

Herva, tak stara, że przy niej Trygg wydawał się młody, warknęła:

– Niepotrzebnie zdzieracie sobie gardła. Nic z tych rzeczy. Uciekli. Trzeba ich ściągnąć z powrotem. Muszą zostać osądzeni. Odszukajcie Shagota Bękarta i jego brata.

Usłyszał ją lud Snaefells. Spodobały im się jej słowa. Shagot i jego brat byli porucznikami Eriefa. Poza tym byli z nich zatwardziali, okrutni ludzie, których trochę się obawiał ich własny lud. Zwłaszcza teraz, gdy nie było już Eriefa, który trzymałby ich na wodzy. Dlaczego więc nie pozbyć się ich z wioski, znajdując zarazem zatrudnienie dla ich umiejętności?

Od strony gór coś krzyknęło. Bliżej w mroku rozległ się śmiech.

Ukryty lud nigdy nie odchodził daleko.

Las Estery, w Ziemi Świętej

Else obudził się w jednej chwili. Ktoś ukradkiem zbliżał się do namiotu. Chwycił za rękojeść sztyletu. W wejściu pojawiła się sylwetka. Jej kontury kreśliły płonące z tyłu ogniska.

– Else! Kapitanie! Jesteś nam potrzebny. – Jakaś dłoń rozsunęła poły namiotu tuż obok stóp Else’a. Blask ognia wtargnął do środka.

– Szkielet?

– Tak. Mamy tu problem, panie.

Sam to zdążył wywnioskować z liczby płonących jaskrawo ognisk.

– Jaki problem? – Była noc. Ogniska płonęły jaśniej, niż powinny. Nic innego nie chciał usłyszeć.

– Nadprzyrodzony.

Oczywiście. Tutaj, w dziczy Ziemi Świętej, pośród Studni Ihrian, w najmocniej zarażonym przez nadprzyrodzone zakątku ziemi, zagrożenia ze strony ludzi nadzwyczaj rzadko można było napotkać pośród Królestwa Nocy.

Else ubrał się pospiesznie, wyśliznął z namiotu jak wielki kot, wysoki na sześć stóp, gibki i twardy, w pełnym rozkwicie sił fizycznych; poza tym miał uderzająco jasne włosy i błękitne oczy.

– Gdzie? – Rzucił okiem na konie i stwierdził, że wciąż są spokojne.

– Tam.

Else ruszył truchtem. Szkielet nie potrafił dotrzymać mu kroku. Był zbyt stary, by w ogóle ruszać w pole. Powinien zostać w domu, by uczyć dorastającą młodzież. Ale znał Ziemię Świętą lepiej niż jakikolwiek inny z sha-lugów. Dawno temu przez dwa dziesięciolecia walczył tu z Rhunami.

Else dotarł do miejsca, gdzie znajdował się al-Azer er-Selim, Pan Duchów ich oddziału. Az wbijał oczy w mrok.

– Co tu mamy? Nic nie widzę.

– Tam. Ta ciemność przesłaniająca drzewa.

Nareszcie dojrzał.

– Co to jest? – W miarę jak oczy przyzwyczajały się do ciemności, widział coraz lepiej. Poza granicą światła czaiły się niewyraźne sylwetki czarnych wilków.

– To bogon. Duch władający okolicą. Na gęsciej zaludnionym obszarze byłby lokalnym bożkiem, najpewniej zaklętym w figurze idola w miejskiej świątyni. By ograniczyć zło, jakie mógłby spowodować. Tutaj, gdzie nikt nie mieszka, pozostaje rozproszony. Zazwyczaj.

– Zazwyczaj. – Ciemność przybrała teraz niewyraźne ludzkie kształty, tyle że dwakroć szersze i wysokie na czternaście stóp. – Manifestuje się? Dlaczego?

– Ktoś go zmusił. Ktoś wywołał go, dał rozkaz i oto jest. Gdy się zmaterializuje do końca, zaatakuje nas. I będzie rzeź. Nasze uroki są na nic wobec tak brutalnej siły.

Wilcze kształty trwały przyczajone w oczekiwaniu na upadek mistycznych zapór ochraniających obóz.

– Jakoś tak mi się wydawało, że zbyt gładko nam idzie. Co robimy?

– Teraz możemy się tylko przygotować. Nie wyrządzimy mu żadnej krzywdy, póki wciąż zbiera się w sobie. Dopiero gdy się zmaterializuje, będziemy mieli kilka sekund, zanim jego intelekt opanuje ciało. Wtedy musicie zadziałać. Więc się przygotujcie.

– Ja będę musiał zadziałać, co?

– Ty dowodzisz.

– Ile czasu mi zostało?

– Około pięciu minut.

Else się odwrócił. Wszyscy już się obudzili. Niektórzy wyglądali na przerażonych, inni na zrezygnowanych. W obcej krainie, w Królestwie Wojny, ich wiara we własnego boga pozostawiała wiele do życzenia. Po tej ziemi kroczyli inni bogowie. To była ziemia, która rodziła bogów. Tak samo zresztą jak diabły.

Patrzyli na te niespokojne wilcze stwory, a one nabierały coraz wyraźniejszych kształtów i stawały coraz śmielsze.

– Mohkam, Akir, dawać falkonet.

– Co chcesz zrobić, kapitanie?

– Zamierzam uratować wasze żalosne tyłki. A może wolicie stać tak sobie i zadawać mi pytania? Heged, Agban, przynieście szkatułkę z pieniędzmi. Szkielet, potrzebne mi wiadro żwiru. Norts, przynieś beczułkę prochu strzelniczego. Az... Dobra, płonąca żagiew. Biegiem, wszyscy! Bo jeśli nie, za pięć minut jesteście martwi. – Else nie zwracał uwagi na przyspieszone tętno. Starał się też nie przyglądać wilkom. Teraz wydawały się już całkiem realne, niecierpliwe, warczały na siebie wzajem. Ale były o połowę mniejsze od prawdziwych wilków, które wytępiono na tym obszarze całe wieki temu. Nie bały się ludzi. Należały do najczęściej spotykanych okropieństw, jakie płodziły Delegatury Nocy, znanych wszędzie tam, gdzie mężczyźni siadali wokół obozowych ognisk i spoglądali nocy w oczy. Były o wiele bardziej niebezpieczne w gromadzie niż pojedynczo. Każdy na poły kompetentny specjalista od magicznych osłon potrafił przepędzić na dobre pojedynczą sztukę, a całemu stadu uniemożliwić wtargnięcie w krąg światła. Nawet zwykły człowiek pozbawiony nadnaturalnych talentów był w stanie uporać się z jednym wilkiem, pod warunkiem że był nie w ciemności. Plująca ogniem wilcza zmora odpędzi pomiot Nocy.

Mohkam i Akir już biegli, pchając lawetę falkonetu. Niewielkie mosiężne działo było co najmniej w takim samym stopniu groźne dla artylerzystów jak dla celu. Ostatni raz strzelano z niego podczas strzałów próbnych w odlewni, w której zostało wykonane. Falkonety były nową, tajną bronią przeznaczoną do wykorzystania tylko w beznadziejnych okolicznościach.

– Proch! – zagrzmiął głos Else'a. – Ruszać się! Szkielet! Ty leniwy stary pryku, ruszaj się! Heged! Agban! Gdzie jesteście? Wycelować! Dalej. Dalej. Podsypcie prochu. Półtora ładunku.

Spojrzeli na niego podejrzliwie, ale zrobili, jak kazał. Szkielet przyniósł żwir.

– Kiedy próbujesz zasnąć na ziemi, to świństwo jest wszędzie. Ale spróbuj znaleźć kubełek, gdy go naprawdę potrzeba.

– Otwórzcie szkatułkę. Tylko srebro. Szybko. Zmieszać ze żwirem.

– Kapitanie! Nie możesz...

– Skarżyć się będziecie później. Akir, uzbrajaj działo. Agban, załaduj pocisk. Ruszać się, ruszać!

Bogon nie poczeka.

Po paru sekundach Agban odskoczył.

– Gotowe.

– Wyciągnijcie stempel.

– Ach. Tak.

– Dobrze zrobione. Mamy jeszcze moment. Az, rusz tyłek i chodź tutaj. Z pochodnią.

Czarnoksiężnik aż się zachnął. Nie był prostym żołnierzem. Był Panem Duchów.

– Ty jeden wiesz, kiedy odpalić. Więc dawaj tu i zrób to.

Wilcze kształty nie bały się już światła, napierały na osłony obozowiska. Bogon urósł, miał już osiemnaście stóp na osiem, garbił się jak małpa. Powoli wykształcały się oczy.

– Az!

Czarnoksiężnik drżał, gdy stanął obok falkonetu.

– Cała reszta, wynocha! Ukryjcie się za czymś. Albo idźcie uspokajając konie i osły. – Dobrze, że bogon postanowił się zmaterializować po przeciwnej od zwierząt stronie obozowiska. Ale z drugiej strony zastanawiał się, czy naprawdę jest się z czego cieszyć.

Bogon pojawił się w jednej chwili.

Al-Azer er-Selim przytknął pochodnię do zapalki.

Falkonet chlusnął płomieniem, grzmotem i ogromną chmurą siarkowego dymu. Else od razu pojął, iż decyzja o powiększeniu ładunku była właściwa. Proch strzelniczy zwilgotniał. Palił się powoli. Dymu było tyle, że przez pół minuty nie można było dostrzec rezultatów strzału.

A jednak! Udało się znakomicie. Bogon leżał cały podziurawiony, a ciemność uchodziła z niego niczym smużki czarnej pary. Rozszarpane kawałki ciała wilka leżały rozrzucone wokół potwora. Zarośla za nim zniknęły, a drzewa straciły korę. Pełgały nieliczne, przygasające już zresztą płomienie. A później zapanowała cisza tak wielka, jaką musiała emanować Nicość, nim Bóg stworzył niebo i ziemię.

Z ust stojących najbliżej jeźdźców popłynęły pełne zgrozy przekleństwa.

– Szkielet. Mohkam. Akir. Sprawdziliście, czy w lufie falkonetu nie ma pęknięć? Oczyszciliście ją? Jesteśmy gotowi, na wypadek gdy się podniosą?

Pan Duchów powiedział:

– Bogon już nam nie zagrozi, kapitanie. Nikomu.

– Więc bogona mamy z głowy, Az. Pozostaje człowiek, który go wywołał. To nie jego dopiero co zabiliśmy.

– Warto zapamiętać. Dowie się, że mu się nie udało. Wiedza o zniszczeniu bogona rozniesie się szybko. Choć nikt nie będzie miał pojęcia, ani jak, ani dlaczego tak się stało. Z pewnością warto zadbać o zachowanie tej tajemnicy. Wielu uzna, że jest to osiągnięcie jakichś straszliwych czarów. Ale, powinniśmy się stąd jak najszybciej wynosić. Zanim ktoś przyjdzie zobaczyć, co się stało. W ogóle nie powinno nas tu być.

– Teraz z tym ładunkiem nie możemy wyruszyć. Poza tym muszę pozbierać tyle srebra, ile się da.

– To nie nasza ziemia, kapitanie, cokolwiek twierdzą Gordimer i kaif. Rhunowie, książęta Arnhandu i kaifowie z Kasr al-Zed również roszczą sobie do niej prawo. A ich obecność jest tu znacznie bardziej konkretna. W odległości pół dnia drogi stąd jest kilka wraźych twierdz. Nawet ci obłąkani niewierni z zachodu mają swoich Panów Duchów. Każdy, kto ma konia, już tu jedzie. Zabicie bogona to wydarzenie doniosłe. Nikt nie ośmielił się go zlekceważyć.

– Masz rację, Az. Wszystko to prawda. Poza tym nie ma już chyba nikogo w Ziemi Świętej, kto by nie wiedział, że kręci się tu zgraja cudzoziemców. – Można umknąć przed ludzkim wzrokiem, ale tylko najpotężniejsi czarownicy potrafią uniknąć zainteresowania Delegatur Nocy. Else nie miał takich środków maskujących. Jego bronią była szybkość i podstęp.

Jak dotąd jego oddział nie ściągnął na siebie uwagi. Zdobyli to, co chcieli. Już od jakiegoś czasu byli w drodze do domu.

Az jednak trwał przy swoim:

– Niewykluczone, że kręcą się tu jakieś dzikie plemiona.

– Niewykluczone. Ale musieliby być naprawdę głupi, gdyby sobie wyobrażali, że jesteśmy łatwą zdobyczą.

Temu nie można było zaprzeczyć. Zwłaszcza gdyby Else postanowił wznieść sztandar sha-lugów. Niewolni żołnierze wzbudzali wśród dzikich plemion ogromny respekt. Gordimer Lew, niewolnik-wojownik tak wielki, że został władcą potężnego, starożytnego królestwa Dreanger, tak by właśnie postąpił. Krwawych nauczek zebrałoby się już kilka.

Ale Else nie chciał ujawniać przynależności swego oddziału. To wywołałoby zbyt wiele pytań. A gdy już zaczęto by je zadawać, po krótkim

czasie ktoś niezyczliwy poskładałby w jedną całość odpowiedzi. Kto wie, jakie zło mogłoby się z tego narodzić?

– Mamy jakieś powody do dalszych zmartwień? Pojawi się kolejny potwór? – zapytał Else.

– Myślę, że nie.

– Zatem zostajemy w obozie. Odpocznijcie trochę. Szkielet, chcę, żebyśmy z pierwszym brzaskiem byli gotowi do wymarszu. Choć niekoniecznie zaraz ruszymy w drogę. Az, sprawdziłeś nasz ładunek?

– Nie. Ale właśnie sprawdzają. Falaq!

Oczywiście zadanie wykonano. Towarzyszami Else'a byli najlepsi z shalugów. Nie musiał im matkować.

O pierwszym brzasku, gdy tylko było dość światła, by onieśmielić Noc, Else wysłał zwiadowców, rozstawił warty na skraju lasu i rozkazał mężczyznom, by zaczęli zbierać monety, które zabiły bogona. Nie oczekiwał, że wiele odzyska. Za mało czasu. Az miał rację. Żołnierze z arnhanderskich miast-państw oraz wszyscy zainteresowani Studniami Ihrian podążą do Lasu Estery w chwili, gdy Panowie Duchów uznają że nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

– Ta ziemia posmakuje krwi, zanim Tyrania Nocy z powrotem ją odzyska – zauważył Else.

Ktoś zaproponował:

– A może porozmawiamy z Bogiem? Moglibyśmy Go poprosić, aby to nie była nasza krew.

Else wpatrywał się w miejsce, gdzie padł bogon. W promieniu siedmiu i pół stopy było spalone do gołej ziemi, a gleba wyżarzona na pył. Powstało okrągłe, płytkie wgłębienie. Leżało w nim coś, co wyglądało jak jajo z obsydianu, wzdłuż dłuższej osi mierzące sześć cali. Cały czas promieniowało ciepłem. Odrywały się od niego zbłąkane pasemka mgły. Można było zajrzeć do środka jaja, które, jak skonstatował Else, mimo wszystko kształtem zbliżone było bardziej do nerki. Tkwiły tam uwięzione srebrne monety. Ta, która znajdowała się najbliżej powierzchni, stopiła się po brzegach. Inskrypcja przestała być czytelna.

– Bogon nie potrafi się tu z powrotem zmaterializować, prawda, Az? – zapytał Else. – Nie jest w stanie wykluć się z tego jaja? To nie jest jakiś feniks?

– Nie. Bogon jest naprawdę potężny. To król duchów. Ale jest tak samo prosty jak potężny. Najwyraźniej łatwy do zabicia w materialnej postaci. Jeżeli ma się falkonet, chwilę czasu i srebrny ładunek. Nie wspominając już o pomocy Pana Duchów, który nie traci zimnej krwi. Nie tracący zimniej krwi Pan Duchów podniósł jajo za pomocą grubych kijów. Owinął je w szmaty, uważając, by go nie dotknąć.

– Rozumiem. Dobrze wiedzieć. – Ale wyjaśnienie nie rozproszyło obaw Else'a. Czarownicy, czary i Tyrania Nocy przekraczały granice jego prostego rozumienia świata. Nie mógł uwierzyć, by potrafiły postępować prostoliniwnie i słusznie, bez względu na to, czy były po jego stronie czy przeciw. Nigdy też nie natrafił na nic, co przekonałoby go, że podchodzi do tej kwestii nazbyt pesymistycznie.

– Kapitanie! – Jeden ze zbieraczy monet przywoływał go skinieniem ręki.

– Co masz?

Oczy mężczyzny były rozszerzone ze zdumienia.

– Martwy człowiek. W dodatku zginął niedawno.

Zwłoki były zwęglone. To, co pozostało z odzieży i biżuterii, wskazywało na cudzoziemca. Podobnie broń, choć jego miecz był bronią kawaleryjską. Wokół niego rozrzucone były instrumenty, przywodzące na myśl cudzoziemskie przybory czarnoksiężskie.

– Gdzieś w pobliżu powinny być konie. Jak je znajdziemy, dowiemy się więcej – rzekł al-Azer.

– To ten, którego szukamy, Az?

– Przypuszczalnie. Daleko od domu.

– Znajdź te konie. Myślisz, że nas szpiegował i dostał część ładunku z falkonetu?

– Na to wygląda. Nie miał pojęcia, co to jest falkonet.

– Ciekawe. On wywołał bogona?

– Nie. Za młody. Ale niewykluczone, że pracował dla człowieka, który to zrobił. Jako naoczny świadek. Z drugiej strony możliwe, że podążał za nami, ponieważ wiedział o mumiach.

– Za dużo domysłów, Az. Chciałbym wiedzieć, jak ktoś z jego ludu mógł się znaleźć tutaj, na południe od Lucidii. Szkielet! Gotowi do drogi?

– Wydaj tylko rozkaz, kapitanie.

– Dowiemy się więcej, gdy przyjrzymy się jego koniom – powiedział al-Azer.

– Jesteś pewien, że będzie ich więcej niż jeden?

– Jeżeli jest rzeczywiście tym, na kogo wygląda, będzie miał przynajmniej trzy.

Łagodny dźwięk baraniego rogu zabrzmiał na alarm. Głos takich rogów zazwyczaj nie niósł daleko. Else i al-Azer pospieszyli do jego źródła.

Młodzieniec imieniem Hagid – którego nie należało mylić z kanonierem Hegedem – przycupnął na północno-wschodnim skraju Lasu Estery. U Hagida ciekawe było to, że był sha-lugiem w drugim pokoleniu. Jego ojciec należał do najbliższego otoczenia Gordimera Lwa. Hagida dołączono do oddziału Else'a, żeby go trochę utemperować. Dworzanin, rzecz jasna, oczekiwał, że chłopiec powróci zdrów i cały. Lecz Else znał Lwa. Wiedział, że misja znaczy więcej niż przeżycie najbardziej nawet uprzywilejowanego chłopca.

Hagid wskazał ręką na obłok kurzu lśniący pomarańczowo brązowo w świetle wschodzącego słońca. Ludzie, którzy wzbijali pył, nie poruszali się równą kolumną. Tworzyli luźną formację. Dzięki temu później, w ciągu dnia, kiedy słońce stanie wyżej, tuman będzie mniej widoczny.

– Tam – powiedział Az. – Jest ich więcej.

Druga chmura, wznosząca się na wschodzie i wyłaniająca z pustyni, miała bardziej żółty odcień i była mniej wyraźna.

– Szkielet! Gdzie jest Szkielet? – sarknął Else. – Az. Kto może iść na nas ze wschodu?

W tym kierunku była tylko pustynia. Niewielkie księstwa Ziemi Świętej leżały blisko siebie na wybrzeżu, stąd patrząc – na północ i na zachód.

– Pora ruszać, kapitanie. Nasz szpieg należał do jednego z tych oddziałów. Podejrzewam, że w drugim znajdują się ludzie, którzy wywołali bogona. Najprawdopodobniej mają powiązania z kaifem Kasr al-Zed – zauważył Az.

W końcu pojawił się Szkielet.

– Znaleźliśmy konie zabitego. Wszystkie trzy. Przynieśliśmy to, co miały na sobie.

Else przyjrzał się cuglom, kocom, siodłom, skórzanym torbom przy siodłach, zawierającym przede wszystkim suszony prowiant oraz przedmioty, które – jak powiedział Az – czarodziej zabrały ze sobą w drogę. W zamkniętym futerale znajdowały się strzały. W drugim – świetny łuk rekursyjny z laminowanego rogu. Else powiedział:

– Przedmioty te nie należały do żadnego z Lucidian. Az, zbadaj dokładnie ten dobytek swoim trzecim okiem.

– Kapitanie...

– Wiem. Nie wdawaj się w szczegóły techniczne. Zrób, co potrzeba. Tylko bądź ostrożny. On poszedł szpiegować, podczas gdy twój król potworów polował. Hagrid, powiedz Agbanowi, że zaraz ruszamy. Na zachód, w stronę przybrzeżnej drogi. – Morze oddalone było o niecałe trzydzieści mil.

W lesie zginie kurz wzniecany przez oddział. A tamci łowcy niech się zajmą sami sobą.

Niemożliwe, żeby to był przyjaciel.

Else obejrzał łuk.

– To robota koczowniczych plemion. Pewnie wysyłają zwiadowców, by zobaczyć, co leży po drugiej stronie Lucidii.

– Nikt ich nigdy nie pokonał – powiedział Szkielet. – Przynajmniej w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

– Nie trafili na sha-lugów. To mógłby być interesujący bój. Konni barbarzyńcy ze stepów byli okrutni, nieustraszeni i zdyscyplinowani. Ich liczebność miała być rzekomo nieprzebrana, lecz to przecież nie mogło być prawdą. Pewnie wysyłali w pole swych najlepszych wojowników. Ale w pierwszym rzędzie i przede wszystkim byli to nomadzcy pasterze.

Sha-lugowie nie znali innego życia niż wojna albo przygotowania do wojny. Skupowali dzieci płci męskiej na wszystkich targach niewolników, choć głównie w Kasr al-Zed. Chłopcy ci dorastali z bronią w ręku. Najlepsi i najsilniejsi zostawali sha-lugami, niewolnikami, którzy panowali nad rozrastającym się, bogatym królestwem Dreanger, sercem kaifatu al-Minphet.

Kaifem al-Minphet był Karim Kaseem al-Bakr, marionetka w rękach Gordimera Lwa, Naczelnego Marszałka wszystkich sha-lugów, przed którym Wrogowie Boga Moczyli Się z Przerżenia i tak dalej, i tak dalej.

W przeciwieństwie do większości sha-lugów Else jakoś nie był pod wrażeniem postaci Gordimera. Podejrzewał, że Lew jest mniej szlachetny, niż udaje. A Gordimer bezustannie powierzał mu te mordercze zadania, zahaczające o granice niemożliwości. Jakby miał nadzieję, że kiedyś Else nie wróci.

W ciągu paru minut kompania była w drodze ku wybrzeżu, gdzie z pewnością będą na nich czekać przyjazne okręty.

Else, al-Azer i Szkielet trzymali się nieco z tyłu.

– Wiecie, że oto jest Równina Sądu? – zagadnął Szkielet.

Else odmruknął coś wymijająco. Wiedział, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tego faktu. Wszystko w Ziemi Świętej miało znaczenie historyczne bądź religijne. Każda turnia, każdy wyschły namuł, las, a nade wszystko każda mistyczna studnia były wątkiem przędzy w ogromnym, starożytnym arrasie. Szkielet lub Az i tak mu wszystko opowiedzą. Czy to będzie Else'a interesowało, czy nie.

Szkielet kontynuował:

– Bitwy toczono tu, zanim człowiek zaczął spisywać swe dzieje. Między Studnią Nieszczęścia na południu a Studnią Pokuty na północy stoczono jedenaście dużych bitew. Na przestrzeni dziewięciu mil. Nie wspominając o dziesiątkach potyczek.

– Zaiste – odezwał się al-Azer. – Samo Pismo powiada, że tutaj Bóg i Przeciwnik zetną się w ostatecznej walce. Niektórzy mędrzy, zarówno starożytni, jak i współcześni, twierdzą, że tutaj historia się zaczęła i tu nastąpi jej koniec.

Religijność Else'a ograniczała się do tego, co niezbędne. Nie skojarzył tego miejsca z Równiną Sądu z Pisma.

Rozproszona formacja jeźdźców z północy była już na tyle blisko, że można było rozróżnić poszczególnych ludzi. Nie udało im się dostrzec chmury na wschodzie. Można było wyczuć tupot końskich kopyt, bardziej na granicy dotyku niż słuchu.

– Pora zmykać – oznajmił Pan Duchów. – To kumple tego gościa, który zginął zeszłej nocy.

Else zazwyczaj słuchał swego Pana Duchów. Wydawało mu się to najbezpieczniejszym sposobem postępowania z Tyranią Nocy. Dzięki temu nie dane mu było być świadkiem starcia pomiędzy konnicą stepów a kawalerią północnego kaifatu. Lucidianami dowodził słynny Indala al-Sul al-Halaladyn.

Nic wielkiego się nie wydarzyło. Żadnej z dwóch sił nie udało się sprawić, by strona przeciwna uczyniła coś głupiego. Po południu przybyli Arnhandowie z Vantrad. Walczące siły roztopiły się w zapadającym zmierzchu.

Po zmroku do dzieła przystąpiły siły nadprzyrodzone.

Sha-lugowie rozbili obóz przy nadmorskiej drodze, od strony morza. Wozy poważnie ucierpiały podczas wędrówki po wertepach. Else wątpił, by oddział przeżył podróż na południe, do Dreanger.

Szkielet się zamartwiał.

– Co zrobimy, jeżeli statek nie przypłynie? – Gordimer zaklinał się, że okręty wojenne będą patrolować wybrzeże daleko na północ, aż do dróg Vantradu, dopóki Else ze swoim oddziałem nie dopłyne bezpiecznie do domu.

– Jeżeli nie zawita tu żaden okręt, przywiążę ci mumię rzemieniem do pleców. I jak jakaś stara wiedźmowata baba będziesz pracować i dźwigać dziecko na grzbiecie.

Szkielet nie był bardziej religijny niż Else. To charakteryzowało sha-lugów. Widzieli zbyt dużo, by żywić ślepe przekonanie o Bożym miłosierdziu. Ale teraz stary uczynił urocznym okiem znak chroniący. Po nim wykonał gest, którego celem było zjednanie przychylności Boga – jeżeli taka będzie Jego wola.

Szkielet po prostu nie lubił umarłych. Był szczególnie uprzedzony do tych umarłych, którzy od dawna trudnili się swoim rzemiosłem. Na opinię Szkieleta na temat starożytnych umarłych z Andesqueluz, Królestwa Demonów, których czarnoksiężskich królów przekłete szczątki kompania Else'a zrabowała z ich grobowców, składała się irracjonalna nienawiść głęboko nasączona żywiołowym strachem. W tych dniach Królestwo Demonów zagubiło się w zapomnianej historii, bliżej znanej wyłącznie uczonym, ale echa strasznej prawdy o nim żyły w micie i w baśni.

Niemniej jednak Szkielet był dobrym żołnierzem.

Słowo „sha-lug” było synonimem Dobrego Żołnierza.

Tej nocy nie doszło do żadnych incydentów. Pomimo to Else spał źle. Nie potrafił się opędzić od przeczuć ewentualnych dalszych diabelstw nocy.

Al-Azer utrzymywał, że nadprzyrodzone echa zniszczenia bogona jeszcze nie wygasły. W tak niepewnej sytuacji czarownicy pragnący szpiegować sąsiadów mogą poważać się na wszystko.

Else nie został obdarzony wystarczającą wyobraźnią by pojąć doniosłość pojedynczego wystrzału ze swego działa. W oddziale nikt prócz al-Azera el-Selima nie zdawał sobie sprawy, że wystrzał na zawsze zmieni świat.

Al-Azer nigdy nic nie piśnie na ten temat. Ani nie przeleje słów na papier. Tylko nieliczni śmiertelnicy poznają prawdę, nawet spośród trudniących się nadprzyrodzonym rzemiosłem. Ale to ten jeden natchniony wystrzał obwieścił nadciągający koniec długotrwałego poddaństwa rodzaju ludzkiego Tyranii Nocy. Rodzaj ludzki, gdyby tylko zdał sobie z tego sprawę, miał teraz do swojej dyspozycji środki pozwalające współzawodniczyć z samymi bogami, gdyż nawet najwybitniejsi pośród nich byli tylko bogonami na większą skalę i tylko niektórzy dysponowali bodaj kroplą intelektu.

Ze Studni Ihrian tryskały stężone siły magiczne, nawóz, na którym rozkwitały nocne stwory. W Ziemi Świętej aż się roiło od nadprzyrodzonych bytów. Region ten był w równym stopniu istotny dla Delegatur Nocy jak dla religii, które uznawały Studnie Ihrian za Ziemię Świętą.

Na całym świecie były dziesiątki innych studni magii, żadna z nich wszakże nie miała równej mocy jak studnie na obszarze Ziemi Świętej. Nigdzie też magia nie była tak stężona. W dodatku wszystkie studnie, na całym świecie, przechodziły właśnie przez fazę osłabienia. Było to równoznaczne z uciążliwszą egzystencją Delegatur Nocy, bardziej żmudną pracą czarowników i narastającym zimnem wzdłuż granic zamieszkanego świata.

Najważniejszą, a równocześnie najmniej uświadamianą zasługą studni było to, że ich magia powstrzymuje postępy lodu.

Żadna część wiedzy na temat studni nigdy nie stała się częścią świadomości powszechnej. Zmiany zachodzące w poziomie ich luster nigdy nie były wyraźne. Tak samo jak przyrost lub kurczenie lodu wzdłuż granic świata.

Zarówno w Piśmie, jak i świeckich dokumentach historycznych można było natrafić na wzmianki o lwach, małpach człekokształtnych i wilkach w krainach przylegających do basenu Morza Ojczystego. Pochodzące z czasów starożytnych lwy wyginęły na skutek polowań przed okresem klasycznym. Małpy człekokształtne przetrwały tylko na najdalszym zachodzie, w niewielkiej liczbie. Wilki napotkać można było jedynie w puszczech północy i w górach za kaifatem Kasr al-Zed. Nawet puszcze wokół Morza Ojczystego w naszych czasach zasadniczo już nie istniały.

A teraz pojawił się sposób, jak określić Delegatury Nocy.

Człowiek taki jak Else, pozbawiony śladu talentów mistycznych, bez cienia delikatnych umiejętności, które czarownik szlifował przez dziesiątki lat, aby manipulować kilkoma drugorzędnymi duchami, mógł zatłuc księcia nocy z równą łatwością, jak potrafił przeprowadzić eksterminację własnego rodzaju.

Gdy Az to pojął, zdjął go okrutny lęk. Wystrzał z falkonetu mógł przyciągnąć spojrzenia samych bogów.

Nie słyszano, by bogowie – przyparty do muru Az przyznałby pewnie, że istnieje więcej bogów niż Jedyne Bóg, Prawdziwy Bóg, Oprócz Którego Nie Masz Innego – pobłażali zachowaniom śmiertelników, które były na tyle obraźliwe, że rzucały się w oczy. A szczególnie dotknięci się czuli nastawieniem na ich władzę.

Else nie miał pojęcia, co zrobił. Niebezpieczeństwo pojawiło się samoistnie. Zrobił to, czego odeń oczekiwano. Wykonał rozkaz, opierając się na zasłyszanej wiedzy i narzędziach, jakie były pod ręką.

Al-Azer spał jeszcze gorzej niż jego dowódca.

Wczesnym rankiem przyplłynął mały okręt wojenny, na którym powiewała flaga al-Minfet. Przywiózł on list od Gordimera, przeznaczony dla Else'a, na wypadek gdyby okręt go odnalazł.

Else zebrał swoich ludzi.

– Lew rozkazał mi bezzwłocznie stawić się przed nim, przynieść mumie i wszystko, co im przynależne. Ma dla mnie inne zadanie. Do wykonania na wczoraj. Szkielet, na tobie spoczywa obowiązek odprowadzenia oddziału do domu. Galera pomieści może jeszcze dziesięciu żołnierzy, nie więcej. Jednym z nich będzie Hagid. Szkielet zajmie się resztą. Płyną tu następne okręty patrolowe. Przyślę je, żeby was wzięły.

Szkielet natychmiast wypowiedział dziewięć imion. Każde należało do żołnierza rannego lub chorego.

Else skinął głową. I tak byłoby raczej kulą u nogi niż asem w rękawie.

– Do twierdzy morskiej Shidaun powinno być niecałe sto mil. Zostawcie wozy. Pójdzie szybciej.

Else miał nadzieję, że nie rzuca słów na wiatr. Ufortyfikowany port w Shidaun znajdował się w odległości przynajmniej stu dwudziestu mil. Pewnie nawet więcej. I choć być może wrogowie kaifa nie dogonią sha-lugów, ich czarnoksiężnicy znali sposoby pozyskiwania sprzymierzeńców na całej drodze stąd aż po Shidaun. Wystarczy tylko, by zapadła noc.

Al-Azer spozierał ponuro. On będzie ostatnim, który otrzyma zezwolenie, by wejść na pokład i zmykać w bezpieczne miejsce. Pan Duchów był najważniejszym obrońcą kompanii.

Else kazał kapitanowi zawieźć się do Shidaun. Tam wykorzystał swe plenipotencje, by zmusić dowódcę garnizonu do wysłania piechoty morskiej na północ, na spotkanie ze Szkieletem.

Nic więcej nie mógł zrobić dla swoich ludzi.

3

Święty Jeules ande Neuis, w Skraju Connec

Brat Świeca dotarł do Świętego Jeules'a ande Neuis wkrótce po południowych modlitwach, trzeciego dnia Mantans, trzeciego roku panowania Patriarchy Wzniosłego V w Brothe. O tej porze roku każdy mężczyzna czy chłopiec, dorosły czy dziecko, każdy wieśniak powinien gotować się na ponure, długie godziny wiosennych siewów.

Oczywiście, przygotowywali się. Ale bez większego zapału. Nadeszły wieści, że zmierza do nich Doskonały Mistrz. Chłopi łaknęli ujrzeć słynnego świętego, mimo iż niewielu było wśród nich wierzących. Po prostu chcieli usłyszeć przesłanie, które przyniesie Doskonały Mistrz, żeby potem mieć o czym rozmawiać.

Nawet ubodzy rolnicy z Connec uczestniczyli w przyjemnościach aktywnego życia intelektualnego. Dla wielu wciąż niejasne pozostawały zasady maysalskiego odchylenia od episkopalnego credo – niemniej większość Connecian po prostu lubiła się spierać.

Herezja maysalska szerzyła się od dziesięcioleci, ale dopiero w ostatnich latach zaczęła zapuszczać korzenie, choć stały za tym w równym stopniu filozoficzne przekonania jak nacjonalistyczny zapał. Rozwój herezji stanowił odpowiedź na ustawiczne zniewagi doznawane od nielegalnych Patriarchów w Brothe.

Upłynęło sto pięćdziesiąt sześć lat od wyboru Connecianina Ornisa z Cedelete na patriarszy tron. Nie minęło kilka godzin od elekcji, a zupełnie wyzbyty heroizmu Ornis pierzchł ze Świętego Miasta, ścigany przez

motłoch, który podburzali agenci Pięciu Rodzin Brothe uważających zachodni religijny Patriarchat za część swego przyrodzonego dziedzictwa.

Prawowity Patriarcha Ornis, przybierając imię Godnego VI, ulokował się w Pałacu Królów w Viscesment. Choć prawowity w świetle prawa kanonicznego, Patriarchat Godnego na wygnaniu był bezsilny. Jego własni krajanie w Skraju Connec nie podchodzili doń z powagą. Następcy zmienili się w paradę nieskutecznych, tchórzliwych i częstokroć szybko mordowanych Patriarchów. A tymczasem nieprawowita gałąź Patriarchów Uzurpatorów w Brothe doczekała się uznania większości biskupów, arcybiskupów i prowincjałów. Pięć Rodzin w Brothe stać było na znacznie większe łąpówki. Jedynie oziębłe wsparcie udzielone przez Imperatorów Graala pozwalało wciąż dychać Antypatriarsze w Viscesment.

Żywego w pamięci podówczas zaledwie jako Patriarcha Pretendent.

Obecny Patriarcha Pretendent, Guy ande Sears, mieniący się Niepokalanym II, paraskał i kręcił nosem na episkopalny świat z rodzinnej rezydencji pod Viscesment. Cały jego Patriarchat wzdłuż i wszerz składał się z zaledwie stu osób, wśród których przeważała nadzwyczaj dobra w swoim fachu Gwardia Braunsknechtów z Elektoratu Kretieńskiego samego Imperatora Graala, Johanna. Ich obecność zapewniła Niepokalanemu pewien – umiarkowany – poziom poważania.

Od ostatnich pięćdziesięciu lat wszyscy uzurpatorzy w Brothe byli twardymi politykami. Księstwo po księstwie, dzięki perswazji bądź łąpówce, zaskarbiali sobie lojalność książąt Kościoła i książąt tego świata, tak lekceważonych przez Kolegium.

Herezja maysalska wyrzekła się wszystkich rzeczy świata, wszelkiej władzy i własności, w szczególności zaś uciech ciała.

Dawno temu brat Świeca nazywał się Charde ande Clairs i był bogatym kupcem w Khaurene. Gdy dzieci dorosły, pożeniły się i zaczęły wieść własne życie, kupiec wyrzekł się świata handlu. W charakterze prostego braciszka zakonu żebraczego wyruszył na poszukiwanie Doskonałego Oświecenia. Żona jego, Margete, wstąpiła do maysalskiego klasztoru kobiecego na Fleaumont, gdzie sama osiągnęła stan Doskonałej. W okolicach Fleaumont siostra Prawość zyskała większy rozgłos niż jej były mąż.

Lud ze Świętego Jeules'a ande Neuis serdecznie powitał misjonarza. Jego przybycie gwarantowało przerwę w nudach. Nawet pobożni bracia

episkopalni przyjęli Doskonałego z otwartymi ramionami. Zebraczy bracia byli tragarzami nowin z krainy z tyłu, w czasach gdy świat przyspieszał z powodu strachu i niepokojów. W świetle późniejszej pogłoski wydawało się, iż każda odległa kraina drży od napięć.

Gdzieś prawie poza krawędzią wyobraźalnego świata fanatyk o imieniu Indala al-Sul al-Halaladyn zdobył większość Ziemi Świętej – teren zwany Studnią Ihrian. Indala służył kaifowi Kasr al-Zed, komuś w rodzaju zachodniego Patriarchy. Tyle że z większym nadaniem ziemskiej władzy. Głosił al-Zun al-Prama: Drogę Wiary. Al-Prama nie znała rozdziału władzy religijnej i świeckiej. Każdy przywódca ponosił odpowiedzialność zarówno za świecki, jak i duchowy dobrobyt swego narodu.

Mało który pramański władca podchodził do tego obowiązku poważnie.

Kaif Kasr al-Zed był zdecydowany wypędzić wszystkich ludzi zachodu z Ziemi Świętej. Jego sukcesy sprzed dziesięciu lat tak dalece zaniepokoiły nieżyjącego już Patriarchę Uzurpatora Łaskawcę III, że fałszywy patriarcha wezwał do nowej krucjaty, aby odbić święte miejsca i wzmocnić małe królestwa oraz miasta-państwa, założone przez rycerzy z krucjat wieków minionych.

Wszystko to, a nawet więcej brat Świeca wyjaśnił mieszkańcom Świętego Jeules'a podczas pierwszego wieczoru swojego pobytu. Większość z tego już słyszeli, co prawda przeinaczone. Nowiny powoli i zygzakiem torowały sobie drogę w wiejskim świecie, nie – mniej jakoś się rozchodziły. Episkopalni, podobnie jak Viscesment, na własnej skórze poznali nikczemność Patriarchy Uzurpatora Łaskawcy III oraz jego następcy, Wzniosłego V. Biskup Serifs z pobliskiego Antieux przysłany przez Łaskawcę III, by wyperswadować ludziom ze wschodniego Conneć uległość wobec Niepokalanego II, a obecnie nieugięcie wspierany w swych staraniach przez Wzniosłego V, był wręcz niewyobraźalnie nienawidzony przez maysalczyków, wszystkie podgatunki episkopalnych, devedian, dainschauów oraz garstki tych connekiańskich praman, wszelkich odłamów i frakcji. Ponieważ biskup wydawał się przekonany, że najważniejszą jego misją jest pozbawienie każdego, kto mu się sprzeciwiał, ostatniej drobinę złota. Bogactwo – tak się jakoś działo – zawsze znajdowało sposoby, by trafić do jego kufrów.

Brat Świeca był jednym z licznych Doskonałych, którzy wędrowali po bocznych drogach Skraju Conneć, łagodnie dając świadectwo swej wierze i

unikając złych słów pod adresem Patriarchy, jak też episkopatu w ogóle.

Jakoś zapomniał na wstępie wspomnieć, że po nim do Świętego Jeules'a nadciągnie większość Doskonałych.

Brat Świeca przeszedł do opowieści o ostrych walkach religijnych poza pasmem gór Verses, w Direcii, za którymi stał Piotr z Navai, mąż Isabeth, młodszej siostry księcia Tormonda IV z Khaurene, pana Skraju Connec.

Brat Świeca snuł także przewidywania na temat odrodzenia się wrogości pomiędzy Santerinem a Arnhandem, po części ze względu na waśnie dynastyczne skomplikowane z powodu pogmatwanych więzi feudalnych, ale bardziej bezpośrednio wywołane tym, że Santerinu nie satysfakcjonowała klęska, jaką ich wojska zadały Arnhandom pod Themes w Tramaine minionego lata.

Connecian mało obchodziły kłótnie pomiędzy Santerinem a Arnhandem, pozytywnym aspektem całej sprawy było tylko to, iż odciągały one uwagę Arnhandów od Connec. Connecian bardziej interesował wschód. Tam właśnie szli za zdobyczą wielcy drapieżcy.

– Opowiedz nam, co robi Hansel – nalegał Pere Alain. Miał on na myśli Imperatora Graala Johannesesa III Czarne Buty, Hansela Okrutnego, głównego pana wojny Nowego Imperium Brotheńskiego, Konsekrowanej Pięści Boga. Najbardziej zawziętego wroga oraz wieczną zmore Uzurpatora Patriarchy Wzniosłego. Mały Hans był gorącym krytykiem eklezjalnej korupcji, która niemal całkowicie przeżarła kościół episkopalny. Johannes zrzucał całą winę na Patriarchę, który bronił kapłaństwa, jakkolwiek ohydne i skandaliczne były jego zbrodnie. Nienawidził Wzniosłego V i miał obecnego Patriarchę w głębokiej pogardzie.

Imperator nieustannie był na stopie wojennej z Patriarchą, lecz starcia miały charakter lokalny i chaotyczny, ponieważ Imperatora Graala nie stać było na bardziej energiczną kampanię.

Wzniosły V był Patriarchą od zaledwie dwóch lat. W owym czasie wydał liczne bulle, w których grzmiąco ekskomunikował Johannesesa Czarne Buty oraz jego dowódców, często ku przerażeniu tych spośród szlachty, którzy martwili się, że Bóg może jednak stoi za Wzniosłym V, a nie za Niepokalanym II.

Hansel niestrudzenie młócił argument nieprawomocności Wzniosłego, która sprawiała rzekomo, iż jego dekrety nie były ani trochę ważniejsze niż

dekrety innych złodziei i krzywoprzysięzców. Tylko Patriarcha w Viscesment mógł wydawać bulle, anatemy i ekskomuniki.

Na nieszczęście nawet patriotyczni Connekianie przyznawali, że Niepokalany II to kiepski żart, który bez stojącego za nim Johanna upadnie szybciej, niż spływa poranna mgła.

– Mistrzu, długo u nas zabawisz? – zapytał Pere Alain.

– Mów do mnie: bracie. Maysalczycy uważają wszystkich ludzi za równych. Wszyscy ludzie są braćmi. Nie dla nas udręki hierarchii.

Hierarchia ściągnęła na episkopat więcej kłopotów niż którakolwiek teza dogmatu. Kościół i duchowni byli skrajnie zhierarchizowani. I zazdrośni o wszystkie najdrobniejsze uboczne dochody. Co napawało odrazą wielu świeckich, kultywujących odwieczne wartości.

– Zostaniesz i będziesz nauczać?

– Oczywiście. To moja praca. Nauczam, daję świadectwo, spełniam uczynki miłosierdzia. I już trochę zmęczyły mnie podróże. Brat Świeca wyszczerzył zęby w ujmującym szerokim uśmiechu, ale wciąż nie nadmienił, że do wioski zmierzają inni Doskonali.

Ulokowali go w kaplicy. Święty Jeules nie miał własnego księdza. Był to okres dobrej koniunktury gospodarczej. Nieliczni episkopalni składali śluby. Mniejsze parafie pozostawały puste.

Ludzie ze Świętego Jeules'a wędrowali cztery mile do Świętego Aldraina na cotygodniową mszę. Raz w miesiącu stary ojciec Epoine podejmował trudną wspinaczkę do Świętego Jeules'a, by uporać się z chrztami, bierzmowaniami, ślubami i pogrzebami. Gdy zachodziła potrzeba ostatniego namaszczenia, posyłano na dół chłopaka i jeden z osłów ze Świętego Aldraina przywoził ojca Epoine'a tak szybko, jak tylko było możliwe.

Pod warunkiem że chodziło o dobrych episkopalnych.

Jedna czwarta ludności Świętego Jeules'a zaliczała się do kategorii wiernych Viscesment. Trzecią część stanowili maysalczycy. Reszta była zasadniczo religijnie obojętna, choć wśród nich można było znaleźć garstkę tych, którzy – w większości powiązani z rodziną Ashar – wciąż trzymali się dawnych obyczajów, bijąc pokłony Woli Nocy.

W świetle dnia brat Świeca nauczał podstaw rachowania oraz najbardziej rudymmentarnych zasad czytania – to był kolejny maysalski zwyczaj, który gorszył kościół. Po kolacji zasiadał z tymi, którzy byli zainteresowani, i

pomagał im odkrywać nowe sposoby myślenia o Stwórcy, jego dziele oraz pozycji, jaką zwierzę myślące zajmowało w światowym piekle.

Pewien młody mężczyzna, który kiedyś wyprawił się aż do Antieux i przez to uznawany był za awanturnika, rzekł:

– Powiadają, że studnie mocy słabną. Że śnieg gromadzi się coraz grubszy w krainach, gdzie panuje wieczna zima.

– Nie wiem. Możliwe. Maysalczycy bardziej troszczą się o chłód w sercu.

Ich wizja świata stanowiła lustrzane odbicie tradycyjnych poglądów. Dla maysalskiego Doskonałego świat nie był tworem miłego i kochającego Stwórcy. Był artefaktem wyrwanym przemocą z łona pustki przez Przeciwnika, zdecydowanego uczynić zeń broń w Jego wielkiej wojnie z niebem. Dusze uwikłane w śmiertelne istnienie były oddalone od Światła, poddane Tyranii Nocy. Niektóre na wieki zostaną przykute do Koła Życia, nie osiągnąwszy nigdy Doskonałości, nigdy nie połączywszy się na powrót z Jedynym.

Skraj Connec był ujarzmiony już od tysiąca pięciuset lat. A mimo to pełno w nim było ostatnich duchów lasów, pól i strumieni, które przyczajone, pobudzone do złego przez Asharów i im podobnych płatały figle, gdzie tylko miały czelność.

Maysalczycy uważali wszystkie Delegatury Nocy, wielkie i małe, za konkretny dowód pierwszego dogmatu ich wyznania wiary.

Herezja była religią łagodną. Tradycjoniści uważali jej postulaty społeczne za groźniejsze od jej religijnych absurdów. W czasach, gdy dostojnicy duchowni żyli bardziej wystawnie niż książęta, maysalczycy nakazywali – i stosowali praktycznie – życie w ubóstwie i w oddaniu. Ich koncepcja własności opierała się na pojęciu wspólnoty, jak u Założycieli Kościoła. Ich stosunek do sakramentów był swobodny, zwłaszcza w odniesieniu do sakramentu małżeństwa. Choć Doskonali powstrzymywali się od uciech ciała. Ten, który ulegał pokusie, tracił miano Doskonałego.

Niewielu było młodych Doskonałych.

Stary Jule Sachs, stolarz, rzekł do brata Świecy:

– Twe słowa brzmią jak deklaracja powolnej klątwy rzuconej na świat, Mistrzu.

Nieco skonfundowany Doskonały polecił:

– Wyjaśnij, proszę.

– To sprawa matematyczna. Jeżeli tylko najlepsi stają się Doskonałymi i tylko oni opuszczają świat, za każdym razem, gdy to się dzieje, świat staje się odrobinę bardziej mroczny.

Jhean, syn stolarza, powiedział:

– Może właśnie dlatego wieczny śnieg jest coraz grubszy, a zimy dłuższe i zimniejsze. Być może nie ma to nic wspólnego ze Studniami Mocy.

Brat Świeca był niezłym misjonarzem. Gdy tłumaczył herezję maysalską, jego wykład brzmiał jasno i nie budził zastrzeżeń. Zdobył serca niezliczonych neofitów. To jest niemiły świat, nawet w dobrych czasach. Dzięki temu łatwiej dać wiarę, że życie jest w znacznie większym stopniu igraszką ciemności niżli aktem światła.

– Wykonując dzieła dobra, inspirujemy wolę tworzenia dzieł dobra. Dusza noworodka nie niesie na sobie ciężaru grzechów skumulowanych w poprzednim życiu. Na początku stajemy równi wobec Światła, niczym nie zapisane księgi.

Jakkolwiek patrzeć, nie była to odpowiedź na zadane pytanie. A teraz znalazł się na grząskim gruncie doktrynalnym. Wiele było zapatrywań na nie zapisaną tabliczkę.

– Życie zaczyna się jako nie zapisana tabliczka – powiedział. – Osobowość tworzy się z tego, co zapisywane jest na niej każdego dnia. Stąd wynika, że zawsze będą się pojawiać nowi dobrzy ludzie.

Trudno było pojąć tę ideę. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że niektóre dusze są tak czarne, że nie staną się lepsze, choćby po milionowym okrążeniu Koła. Nawet wierni episkopalni lubili tu podawać w charakterze przykładu Wzniosłego oraz Biskupa z Antieux. Biskup doprowadził korupcję eklezjalną do nieznanych wcześniej rozmiarów.

– Drogą nadchodzi następny Doskonały – oznajmił któryś z młodych mężczyzn.

Staruszkowie w małym kościółku Świętego Jeules'a popatrzyli na braciszka Świecę. Czas, by powiedział im, dlaczego przybył do ich wioski.

– Zmierzają tu wszyscy Doskonali, którzy nie mają innych spraw. Przybędą najbardziej bocznymi i ukrytymi drogami.

Obwieszczenie nie wznieciło żadnego dreszczu podniecenia.

– Nie będziemy nadużywać waszej ofiarności. Zapłacimy za jedzenie i picie. I pomożemy w polu.

– Ilu jest Doskonałych Mistrzów? – ktoś zapytał.

– Czterdziestu pięciu – odparł brat Świeca, choć tak naprawdę nie miał pojęcia. – Ale nie wszyscy przyjdą. Większość jest za daleko.

Herezja maysalska najlepiej radziła sobie tam, gdzie Kościół był najbardziej skorumpowany i opresywny. Najpaskudniejsze oskarżenia kolportowane przez kapłaństwo episkopalne nie przekonały nikogo, że Doskonali to zło ani że zbierają żniwo dusz dla Przeciwnika. Nie mógł też Kościół zataić faktu, iż większość Doskonałych była ludźmi sukcesu, zanim przywdziali białe szaty.

Tak więc biskupi i księża rytu Brothe kramarzyli opowieściami o swobodzie seksualnej oraz rytuałach satanistycznych, jakie odbywają się w bardziej skrytych, oddalonych miejscach. Łatwowierny lud w miastach i innych miejscach wierzył w każdą złośliwość względem każdego, kto był odeń inny. Poza tym żadne oskarżenie nie było jawnym kłamstwem. Maysalczycy nie czcili Przeciwnika, ale twierdzili, że to nie Zły został wygnany z Niebios. Nie wierzyli też w prawo własności wobec osoby ludzkiej, nawet w małżeństwie.

– Pojawi się nie więcej niż dwudziestu Doskonałych – powiedział brat Świeca.

Staruszkowie pragnęli usłyszeć, jaka jest przyczyna zgromadzenia Doskonałych. Od ponad pięćdziesięciu lat nie odbył się żaden synod maysalczyków.

– Uzurpator, Wzniosły, zamierza wysłać wybranych księży do Connec, aby zniszczyć naszą wiarę. Niektórzy należą do Bractwa Wojny. Inni uzbrojeni będą w bulle, dające im potężną władzę. Biskup Serifs zostanie wyznaczony na duchowego władcę Connec, z licencją na stosowanie wszelkich środków, jakich trzeba w celu wykorzenia naszej wiary.

Staruszkowie splunęli. Młodzieńcy przeklęli Serifsa. Staruszki zaczęły wznosić modły o to, by biskup popadł w niełaskę i został zniszczony.

– Wykręci się ze wszystkiego, póki będzie w stanie udowodnić, że zrobił to tylko po to, aby zwalczać Poszukiwaczy Światła.

Główny dogmat herezji maysalskiej streszczał się w przekonaniu, że to jej wyznawcy są prawdziwymi chaldaranami. Naciągnięty był jak tylko można, z drugiej strony jednak nowożytna doktryna episkopalna czysto nominalnie przypominała łagodne, egalitarne nauki Świętych Założycieli.

Kościół episkopalny przetrwał dzięki wielkości, inercji oraz trwałej władzy ukrytych interesów. W dziejach borykał się z wyzwaniem gorszymi

niż herezja maysalska. Borgianie stulecia minionego byli bardziej krytyczni wobec jego widzialnej postaci oraz bardziej wojowniczo sprzeciwiali się wszelkim władzom doczesnym. Borgianie chcieli się pozbyć wszystkich księży, z wyjątkiem wiejskich duchownych zatrudnionych na pół etatu, jak też całej szlachty, kropka.

Dogmat Borgian był naiwny. Wymagał istnienia z góry już obojętnego Boga, który uniemożliwi powstanie nowych hierarchii. Nakładał na leniwe bóstwo ciężar zagwarantowania, że okrutni najeźdźcy nie spadną na pasterskie królestwo Borgian i żaden bandyta nie zwęszy okazji.

Fatalny błąd borgiańskiego sofizmu polegał na tym, że zakładał on, iż serce każdego człowieka jest dobre i pełne współczucia, jak też obdarzone wrodzoną skłonnością, by nie krzywdzić nikogo, kto nie może oddać.

Nie było już żadnych Borgian.

Maysalscy Doskonali byli pacyfistami, ale nie byli ślepi. Wystarczyło, by człowiek rozejrzał się dookoła, by napotkać spojrzeniem łotrów gotowych pożreć go żywcem, a potem sprzedać jego kości.

Maysalczycy byli dostatecznie zorientowani w sprawach świata, by odróżniać ideały od rzeczywistości.

Drugim Doskonałym w wiosce okazał się Grolsacher imieniem Spokojny. Mowa jego miała ciężki akcent i silne naleciałości gwarowe. Przed zachodem słońca przybyli jeszcze dwaj Doskonali. Brat Dzwon miał dom w Arcgent, zanim odsunął się od świata. Brat Towar mieszkał kiedyś w Kain, w Argonii. Connec stanowiło dla niego etap w pielgrzymce, której celem było poszukiwanie siebie. Jego dialekt był niezgłębiony.

Tej nocy w Świętym Jeules'u kładziono się spać z przeświadczeniem, że w nieśmiałej, małej wiosce zapadnie doniosła decyzja.

Synod Doskonałych formalnie rozpoczął się w połowie drugiego tygodnia Mantans. Zgromadziło się dwudziestu czterech Doskonałych. Ich obecność krępowała wioskę. Ludzie szemrali o bałaganie, chowając zarazem do kieszeni oszałamiające sumy pieniędzy i korzystając z darmowej pracy.

Doskonali urągali odłamowi episkopalnemu, traktując kobiety Doskonałe jako równe mężczyznom.

Równość była częścią życia wczesnych chaldaran, lecz padła ofiarą rewizjonizmu, jeszcze zanim prorocy założyciele opuścili świat.

Niemaysalczycy ze Świętego Jeules'a byli rozczarowani brakiem orgii. Doskonali nie odprawiali też nocnych mszy, podczas których uroczyście

wyrażaliby swą miłość do Nocy.

Wielkim kłopotem dla kościoła brotheńskiego w Skraju Connec było to, że każdy wierny miał przyjaciół albo sąsiadów lub też kuzynów heretyków. Każdy miał choćby przelotną okazję, by zobaczyć prawdę. Maysalczycy byli prawdziwymi Poszukiwaczami Światła. Ich łagodne świadectwo zaś odciągało sakiewki od oficjalnego Kościoła.

Wzniosły i biskup Serifs mieli rację. Kościół tracił Connec.

Jeżeli Connec odejdzie od wiary, herezja zacznie się szerzyć w przyspieszonym tempie. Może się zdarzyć, że Imperator Graala zacznie ją wyznawać po prostu po to, by mieć broń przeciwko Brothe.

Herezja maysalska była niebezpieczna też z takich względów, które rozumieli tylko nieliczni Doskonali. Co było jednym z powodów zgromadzenia w Świętym Jeules'u.

Poszukiwacze mieli dobrych przyjaciół w Antieux, nawet w otoczeniu biskupa Serifsa. Mieli przyjaciół w samym Brothe. Wzniosły zaś posiadał rzesze wrogów, skłonnych okazywać przyjaźń Poszukiwaczom dopóty, dopóki będzie żył.

Na synodzie Doskonałych zapadnie też decyzja, jak maysalczycy powinni się zachować w obliczu nadchodzących represji.

4

Andoray, wśród starców w Skogafiordzie

Stare pryki, które nie wyprawiwały się ze sturlangerami od czasu, gdy Ojciec był dzieckiem, nie miały dość pary, by komuś coś narzucić. Zresztą Shagot Bękart i jego braciszek, Svavar, nie ścierpieliby czegoś takiego nawet od własnej matki. Niepochlebnych przydomków również nie tolerowali.

Naprawdę nosili imiona Grimur i Asgrimmur. Przez całe życie dręczyli słabszych od siebie. Nie pasowali nigdzie prócz wojowniczego kultu Eriefa. Kiedy Erief umarł, razem z nim odeszła ich społeczna nisza. Starcy postanowili więc wysłać ich za uciekinierami. Powiedzieli im, że przez tych dwóch nie będzie więcej łupienia, gwałtów i dalszych wojen zjednoczeniowych klanów pod andorayskim królem. A bracia nie mogą liczyć na żadne zaszczyty za udział w stworzeniu nowego i wspaniałego królestwa.

Grimur i Asgrimmur byli zbyt tępi, żeby zrozumieć, iż sąsiedzi po prostu chcą się ich pozbyć.

Pulla, Briga, Trygg, Herva i Vidris bowiem doszli ostatecznie do wniosku, że misjonarze nie są winni zbrodni. Ci głupcy naprawdę wierzyli w głoszone przez siebie nonsensy. A to znaczyło, że nie potrafią podnieść ręki na istotę ludzką – nawet taką której się to jak najbardziej należy.

Shagot, Svavar i ich przyjaciele czuli podniecenie. Bracia poprosili dawnych załogantów: Hallgrima, Finnbogę oraz bliźniaki, Sigurdura i Sigurjona Thorkalssonów, by razem z nimi pogonili i pozabijali pedałów z południa.

Vidris była cioteczną babcią bliźniaków Thorkalsson. Zanim opuścili wioskę, porozmawiała z nimi na osobności.

Dobrze przed świtem sturlangerscy mściciele rozpoczęli długą wspinaczkę wokół góry Hekla. Pokonali wciąż rosnący lodowiec Langjokull, a potem zeszli na drogę w głąb lądu, po której uciekinierzy z pewnością będą wracali na swe rodzime ziemie.

Starcy patrzyli, jak chuligani odchodzą. Przez jakiś czas będzie spokój.

Większości starców nie obchodziło, kto zabił Eriefa Erealssona. Przynajmniej na razie, póki nie znali odpowiedzi na znacznie bardziej intrygujące pytanie, mianowicie o powody pojawienia się Selekcjonerek Poległych.

Na ten temat rozgorzały zażarte dyskusje. Podziały w sporze mniej więcej pokrywały się z tym, jakie kto zajmował stanowisko w kwestii zjednoczenia Andoray. Wielu chciało, żeby każda wyspa i każdy fiord pozostały niezależnymi księstwami. Wkrótce kwestia religijna zeszła na plan dalszy.

Wolność czy zjednoczenie. To było zasadnicze pytanie w Andoray. Każdy, kto był na tyle dorosły, by móc chodzić, miał na ten temat własne zdanie, zazwyczaj zrodzone z ignorancji. Przeciwnicy nazywali Eriefa narzędziem Gludnira z Frieslandii, który również lubił się stylizować na króla Andoray. Argument całkowicie pozbawiony sensu. Gludnir i Erief zawsze byli zawziętymi wrogami. A zjednoczone Andoray z pewnością nie byłoby w smak Frieslendrom. Niemniej jednak na sens i rozum rzadko kiedy jest miejsce w politycznych sporach. Zwłaszcza gdy trzeba brać pod uwagę lody nadciągające z północy. Zwolennicy Eriefa upierali się, że tylko zjednoczone Andoray może przetrwać pochód lodu.

Przeciwnicy Eriefa utrzymywali, że cała ta sprawa z lodem to kompletna bzdura.

Starcy zdążyli już sporo wypić, kiedy kobiety wreszcie poszeptały między sobą i ogłosiły, że mordercą Eriefa musiała być Kjarval Firstar, Eyjolfsdotir, z którą Erief współżył wbrew jej woli od czasu powrotu z wyprawy grabieżczej na południowe wybrzeża Santerin, Seat i Wole. Podczas tej właśnie wyprawy ojciec Kjarval, Eyolf, otrzymał śmiertelny postrzał w oko. I zmarł, błagając swego kapitana, by wziął jego jedyną córkę na konkubinę.

Zdecydowanie brakowało świadków, którzy mogliby potwierdzić życzenie umierającego Eyjolfa. Nawet zaprzysięgli sprzymierzeńcy Eriefa nie wierzyli w tę historię.

Trygg zasugerował, że zabójca Eriefa mógł służyć pewnemu obcemu królowi, którego imienia nie należy wymieniać, ale który panuje w Mognhagn we Frieslandii.

W miarę jak lało się piwo, dyskusja nabierała ognia. W końcu jednak piwo się skończyło, paru rozmówców zasnęło, a pozostałych temat przestał interesować.

Nikt nie rozwiązał zagadki ostentacyjnej manifestacji Selekcjonerek Poległych. Strach musiał mieć trochę czasu, by dojrzeć. W końcu była to kwestia mityczna. A mieszkańcy Skogafiordu przywykli do tego, że realność mityczna pozostaje bezpiecznie uwięziona wewnątrz mitów.

Pieśniarz Briga miał stracić przytomność ostatni. Wpatrywał się w dogasający ogień. Myślał o tym, że przypadła mu rola jednej z postaci przelotnie tylko wymienianych w sagach, zupełnie sprzeczna z charakterem prawdziwego Brigi.

Widywał już, jak to się dzieje. Był dość stary, żeby znać wielu ludzi, którzy występowali w bardziej znanych sagach. Przyłożył rękę do utrwalenia ich nadnaturalnej sławy. Tu trochę przesadzić, tam coś przeoczyć. Tak czy siak nie istnieje żadna absolutna Prawda ani absolutna Rzeczywistość. Prawda jest tym, na co zgadza się większość zainteresowanych, i tyle. Autentyczna Prawda jest egalitarna i demokratyczna i bynajmniej nie musi się zgadzać ze światem w żaden praktyczny sposób. Prawda nie musi żadną miarą respektować Sprawiedliwości, Tego co Najlepsze albo Tego co Najbardziej Potrzebne. Autentyczna Prawda jest niebezpiecznym stworem, którego w najspokojniejszych czasach najlepiej trzymać w klatce.

Wystarczy zapytać któregośkolwiek księcia czy kapłana.

Prawda jest Pierwszym Zdrajcą.

Na pół kroku przed odkryciem Ostatecznej Prawdy Briga zapadł w odmęt pijackiego snu.

5

Antieux, w Skraju Connec

Sekretarz Serifsa zbyt szybko się pospieszył, prowadząc Bronte Doneta na osobistą audiencję u biskupa Antieux. Legat Patriarchy zobaczył długowłosego blondynka, zapewne jeszcze dziecko, który pośpiesznie wyplątał się z szat biskupa i uciekł z pomieszczenia. Doneto zauważył też wydęcie na wysokości bioder biskupa. Pod tym względem Pan najwyraźniej pobłogosławił Serifsa.

Po biskupie nie znać było zaambarasowania; jeśli już, to sprawiał wrażenie rozgniewanego. Najchętniej zgromiłby Doneta wzrokiem, ale nie znał legata i jego pozycji w Brothe. Niemniej jednak Doneto był z Brothe, a wysłał go sam Wzniosły. To ustalało porządek dziobania.

Obaj udawali, jakby nic się nie stało. Doneto nie okazał Serifsowi szacunku należnego jego pozycji. To mogło oznaczać, że jest członkiem Kolegium, a więc zwierzchnikiem Serifsa.

Ale biskup zdecydował dostrzec w tym zachowanie rozmyślne, znak, że Wzniosły nie jest zadowolony z postępów wykorzenia herezji maysalskiej.

Legat zresztą od razu potwierdził jego podejrzenia.

– Obaj służymy dość bezpośrednio prałatowi, biskupie. Kazał mi przejść od razu do rzeczy. – Legat nie mówił dialektem Connec. Używał eklezjalnego brotheńskiego. – A tobie kazał natychmiast zdławić tę herezję. Zamiast podnoszących na duchu raportów, spływają do nas nieustanne skargi z Antieux, Khaurene, Castreresone i tak dalej, a wszystkie oskarżają cię o nadużywanie urzędu dla prywatnych korzyści.

Biskup nie był zadowolony. Ci uparci Connekianie... A Wzniosły V zbyt zawiera własnemu bezpieczeństwu i potędze.

Serifs odpowiedział ostrożnie w mowie eklezjalnej:

– Niech sobie Jego Świątobliwość sam radzi z tymi ludźmi. Drwią sobie z moich wysiłków, począwszy od hrabiego Raymone’a, a skończywszy na zwykłym sklepikarzu. Udają, że problem nie istnieje. Ignorują proklamacje wywieszane w kościołach. Kapłani udzielają sakramentów każdemu heretykowi, który o to poprosi. Grzebią ich w poświęconej ziemi. Proboszczowie, zwłaszcza na prowincji, nie potępiają heretyków. Większość tłumaczy swoim parafianom, że nie należy zwracać uwagi na żadne wypowiedzi Brothe, ponieważ prawdziwym patriarchą jest Niepokalany II w Viscesment. Jeśli mam tu do czegoś dojść, to w pierw nim trzeba się zająć. I nie mówię tu tylko o prztyczku w nos, jakim są bulle, anatemy i ekskomuniki.

– Jego Świątobliwość uprawnił cię do konfiskaty dóbr heretyków. Oczekuje od ciebie, że zagwarantujesz skuteczność starań Kościoła na tych terenach. A ty wysyłasz nieustanne prośby o dalsze fundusze.

– Książę Tormond anulował moje uprawnienia. Twierdzi, że Kościół nie ma prawa nikomu niczego konfiskować. Jego przedstawiciel na tym obszarze, hrabia Raymone... którego zresztą podejrzewam o heretyckie sympatie... wychłostał moich ludzi, gdy próbowali wypełniać swe obowiązki.

Biskup Serifs próbował odwieść Doneta od nasuwającego się pytania o losy wcześniej skonfiskowanych dóbr.

Legat nie poruszył tej sprawy.

– Wyjaśniłeś księciu, że sprzeciwiając się Patriarsze, ryzykuje swoją nieśmiertelną duszę?

– Oczywiście. Ale odrzekł, że nie sprzeciwia się Patriarsze, lecz broni Connec przed zakusami firaldiańskich złodziei. Niewykluczone, że on również należy do tych, którzy kwestionują prawo Jego Świątobliwości do wypowiedzania się w imieniu Boga.

– Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem i pod tym dachem nie mamy z czymś takim do czynienia. – W słowach legata pobrzmiwało oskarżenie. Pogardliwy wyraz twarzy mówił jednoznacznie, że nie aprobuje sposobu życia Serifsa. Najwyraźniej nie obchodziły go też przeszkody, jakie życie i zatwardziała kraina postawiły na drodze biskupa.

Wyniki. Wzniesłego interesowały tylko wyniki.

– Mam pomysł – powiedział Serifs, gratulując sobie w duchu własnej przebiegłości. – Sam udaj się do Antieux i zobacz na własne oczy, jak się rzeczy mają. Przebierz się za kupca. Odwiedź naprawdę podłe miejsca. Posłuchaj, co mówią kiedy sądzą że Brothe nie słyszy. A potem razem ułożymy strategię postępowania, opartą na lepszym zrozumieniu Connec z twojej strony.

Biskup stłumił wypełzający na usta uśmiech. Legat był wyprowadzony z równowagi. Ale znowuż Brothe obchodziły wyłącznie wyniki.

Ku zaskoczeniu Serifsa Doneto się zgodził.

– Być może masz rację. Wrócę jutro. A potem nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

– Oczywiście.

Serifs przyglądał się, jak legat wychodzi. Drzwi za tamtym nie zdążyły się jeszcze dobrze zamknąć, gdy pstryknął palcami w kierunku podcieni po lewej.

Armand, śliczny Armand pojawił się od razu, oblizując usta. Nie potrzeba im było żadnych słów. Serifs rozparł się wygodnie na swym siedzisku. Armand wślizgnął się pod jego szatę. Po chwili biskup poczuł pieczętę miękkich ust i delikatny dotyk palców. Zamknął oczy i próbował zrozumieć, dlaczego Wzniosłemu tak bardzo zależy, by Skraj Connec znalazł się pod kontrolą Brothe.

Na pewno chodzi o dochody. Nie ma innej odpowiedzi. Wzniosły potrzebował pieniędzy, by powstrzymać zakusy Imperatora Graala, a równocześnie by wysłać krzyżowców, którzy odzyskają Studnie Ihrian i wyzwolą Calzir. Nie mogło chodzić o nic innego, tylko o wpływy do skarbcza.

Connec było najbogatszą z ziem, do których Kościół rościł sobie prawa. Od dwustu lat nie tknęła go wojna; po raz ostatni miało to miejsce, gdy antenat księcia Tormonda, Volsard, odbił Terliagę z rąk Meridian, pramańskiego królestwa Dircii i niegdysiejszej siedziby zachodniego kaifatu. Ten triumf okazał się oczywistym asumptem do rekonkwisty. Obecnie trzecia część Dircii znajdowała się z powrotem pod panowaniem chaldaran rytu episkopalnego. Mając na względzie ambicje królów, takich jak Piotr z Navai, zapewne wkrótce odbity zostanie cały region. A następnym celem rekonkwisty staną się południowe brzegi Morza Ojczystego.

Taki właśnie był, myślał w rozmarzeniu Serifs, cel Wzniosłego.

Biskup wsunął dłoń pod szatę i pogłaskał Armanda po głowie, skłaniając do zdwojenia wysiłków.

6

Al-Karn, w Dreanger kaifatu al-Minfet

Od północy al-Karn wyglądał, jakby leżał pośrodku nieprzebytej pustyni. Jego dziwne mury obronne w kolorze brudnej sepii wyrosły ze spieczonej ziemi wskutek paranoi Gordimera. Nagi, całkowicie obnażony teren miał barwę murów. Stanowił wylęgarnię much. Każdego ranka kończyły tu śmieci i nocne ekskrementy. W obrębie mili od murów nie wolno było budować domostw, nawet nomadom nie pozwalano tu stawiać namiotów.

Wiele lat temu pewien astrolog przepowiedział Gordimerowi, że jego zgubą okaże się wróg z północy. Lew dopowiedział sobie, że musi to oznaczać armię.

Astrolog nie mógł się mylić. Armia nie mogła przybyć znikąd indziej. Na przestrzeni sześciuset mil na zachód ciągnęły się nabrzeżne miasta uznające zwierzchność kaifa al-Minfet i zadowolone z tego stanu. Nomadyczne plemiona pustyni i gór czasami się burzyły, ale stanowiły zagrożenie tylko dla siebie wzajem, nie zaś dla Gordimera czy kaifatu.

Liczne drobne królestwa na południe od Dreanger też uznawały władzę kaifa – mimo iż większość obstawała przy wierze chaldarskiej, w rycie, który nie uznawał Patriarchy z Brothe za głowę Kościoła. W ich oczach był nadętym nuworyszem. Na szczęście znajdował się dość daleko.

Else kroczył w kierunku Bramy Północnej, samotny jak żebrak w poszukiwaniu odmiany losu. Andesqueluzańskie mumie posłał przodem, kiedy sam układał się z kapitanem barki, która przywiozła go z wyspy Raine. Własnym okrętom bojowym Lwa nie wolno było płynąć w górę rzeki poza Raine.

Powyżej i poniżej al-Karn rzeka Shirne przegrodzona była zaporami z drewnianych bali. Towary przeznaczone dla osad w górnym biegu rzeki przeładowywano kilkakrotnie.

Na ziemi jałowej tańczyły piaskowe diabły. Else się zaniepokoił. Złe duchy mogą się zmaterializować za dnia. Gdyby się okazało, że Lew boi się go wystarczająco mocno, mógłby kazać er-Rashalowi al-Dhulquarnenowi nasadzić nań jakieś diabelstwo.

Else wiedział, że Gordimer się go boi, ale nie wiedział dlaczego. Może jakiś inny wieszcz nabił mu głowę kolejnymi szaleństwami.

Gordimer był uzależniony od swoich augurów.

Else był przekonany, że jego życiu i służbie nic nie można zarzucić, począwszy od pierwszych dni spędzonych w szkole Żywiotowego Narybku. Spełniał wszelkie nadzieje, jakie w nim pokładano.

Nie był doskonały. Nikt nie jest. Doskonałość stanowi cechę wyłącznie Boga Który Jest Jedynym Prawdziwym Bogiem.

Else czasami podejrzewał, iż bogowie niewiernych również istnieją naprawdę, tyle tylko że są mniejsi od Boga bogów.

Północny Mur al-Karn przecinał Ugór Gordimera linią prostą niczym cięcie brzytwy. W równych odstępach wznosiły się na nim wiatraki, co z pewnością czyniło go konstrukcją unikatową wśród murów obronnych świata.

Wiatraki pompowały wodę.

Wzdłuż szczytu muru biegł akwedukt. Płynęła nim woda z Shirne do zbiorników położonych w najwyższych częściach miasta. Które zgodnie z wyraźnym poleceniem Gordimera nieustannie czyszczono z osadzającego się mułu i uzupełniano.

Widok Ugoru Gordimera kusił Else'a podejrzaniem, czy przypadkiem przez upór jednego człowieka całe Dreanger nie skończy jako jałowa ziemia.

W tej chwili sto siedemdziesiąt mil na południe od al-Karn ostatni las Dreanger padał pod ciosami toporów, aby dostarczyć drewna na budowę nowej wielkiej floty wojennej. Gordimer proklamował strategię ekspansji, ponieważ obawiał się ambicji Patriarchy Brothe, cesarza Rhun i marynarek republik kupieckich: Dateon, Aparion oraz Sonsy. Armia najeźdźców będzie potrzebowała okrętów, żeby dotrzeć do Dreanger.

Else wszedł do miasta. Zamurze różniło się od Ugoru Gordimera tak samo, jak dzień różni się od nocy. Każdy cal kwadratowy al-Karn wibrował interesami, tętnił życiem. Niektórzy twierdzili, że miasto liczy milion dusz. Oczywiście była to przesada, ale Else lubił tę myśl.

Al-Karn to był dom. Dla Else'a i wszystkich sha-lugów. Nadrzędnym celem istnienia miasta było płodzenie sha-lugów, którzy bronili kaifatu, a we własnych oczach byli też głównymi stróżami Królestwa Pokoju oraz al-Pramy – Wiary.

Else wspiął się po długich i szerokich schodach, które doprowadziły go do Pałacu Królów; nazwa zresztą nie była już adekwatna, ponieważ od wieków w Dreanger nie było żadnych królów. A dodatkowo wydawała się nie na miejscu, ponieważ Bóg nie tolerował współzawodnictwa o uczucia jego wiernych, z jakim wiązało się istnienie królów. W Królestwie Pokoju nie było żadnych królów. Tylko twardzi politycy roszcący sobie pretensje do królewskiej potęgi.

Szkoła Żywiołowego Narybku była jedną z siedmiu, w których młodych niewolników przekuwano na doskonałych sha-lugów. Przed Gordimerem było ich więcej. Pozostałe szkoły zaś Gordimer zmusił do oglądania się na siebie wzajem we współzawodnictwie, które było wypaczeniem pierwotnej rywalizacji mającej na względzie tylko świetność dokonań.

Zanim Else zdążył wejść do pałacu, wybrzmiało południowe wezwanie do modlitwy. Osunął się na ziemię, mechanicznie zastosował do wymogów rytuału. W al-Karn wszyscy tak postępowali. Nawet odwiedzający je niewierni. Szpiedzy byli wszędzie. Najdrobniejsze Wykroczenia karano szybko i brutalnie.

Gordimer Lew nie żywił nawet odrobiny respektu dla swego kaifa – było nie było kapitana religijnej nawy – i praktycznie rzecz biorąc, uczynił zeń zakładnika, z drugiej jednak strony był fanatycznym wyznawcą Pisma. Mimo pochodzenia.

Przetrwała umowa dotycząca handlu jego osobą. Wedle handlarzy niewolników, Gordimer był Cledianinem z wybrzeża prompteańskiego. Jednak imię, karnacja i budowa przywodziły na myśl arnhandzkich przodków. Sam Lew utrzymywał, iż wywodzi się ze Świętej Rodziny. Co Else rozumiał jako test lojalności. Jeżeli jest się w stanie przełknąć tak oczywisty fałsz i nigdy go nie zakwestionować, wówczas jest się zdolnym do przeżycia w świecie Gordimera.

A nigdy nie było wiadomo, kto może donieść. Na przykład ktoś, kto miał do człowieka żal.

Członkowie bezpośredniego otoczenia Gordimera szpiegowali dla niego. Zadając pytania, Lew oczekiwał odpowiedzi. Bali się go wszyscy. Ale wielu też szanowało go, ponieważ w tej kulturze wciąż otaczano ludzi silnych. Tylko silni byli w stanie kontrolować psy wojny i niepokoje wśród ludu.

Dreanger było bogate. Od tysiącleci eksportowało ziarno i bawełnę, importując złoto, srebro i towary luksusowe. Jego sąsiedzi nie byli tak bogaci, ale dla większości pokój, jaki gwarantował suwerenat kaifa, sam w sobie stanowił skarb. Na wojnie zarabiali tylko nieliczni.

Else podniósł się z kamieni wygładzonych przez setki milionów sandałów. Poszukał ochłody w cieniu ogromnej budowli opartej na kwadratowych słupach zewnętrznej kolumnady. Przelotnie zauważył, że kamieniarze wciąż usuwają inskrypcje odziedziczone po legendarnych wiekach, które poprzedzały dojście Gordimera do władzy.

Potomność znać będzie najdrobniejsze szczegóły życia Gordimera – te przynajmniej, które nie zostały utajnione – póki kolejny zwariowany na własnym punkcie satrapa nie zdecyduje się przepisać historii na nowo. W takim wypadku Gordimer Lew zostanie upamiętniony tylko w kronikach swoich wrogów.

– Kapitan Tage?

Else się zatrzymał. Wzrok jeszcze nie przywykł do cienia wnętrza, do którego wszedł z blasku południowego słońca.

– Tak.

– Proszę ze mną.

Ten, który go zaczepił, miał na sobie prosty ubiór kojarzący się z pogańskimi kapłanami starożytności: biała bawełniana kurtka i spódnice sięgające kolan. Taki był teraz uniform nadwornych czarodziejów i augurów Gordimera. Młodzieniec z pewnością był nowicjuszem, zapewne nie dopuszczono go jeszcze do oficjalnego postulatu. Poza tym z pewnością autochton czystej krwi, potomek kasty kapłańskiej z czasów pogańskich. Jeśli wierzyć plotkom, niektórzy spośród nich wciąż w tajemnicy wyznawali dawną wiarę.

Choć Else miał się zgłosić do Gordimera zaraz po przybyciu na miejsce, nie mógł zignorować tego człowieka. Er-Rashał al-Dhulquarnen, zwany

przez niektórych Rashalem Szakalem, był równie niebezpieczny jak Gordimer Lew. Być może bardziej. Kontakty er-Rashala z Delegaturami Nocy czyniły zeń mocarza w zupełnie indywidualnym wymiarze.

Er-Rashal był jedynym człowiekiem na świecie, którego Gordimer bodaj w najmniej określonym sensie tego słowa mógł nazwać przyjacielem.

Nadworny czarownik przyjął Else'a w pomieszczeniu znajdującym się niedaleko prywatnej komnaty audiencyjnej Gordimera. Gdyby kapitan miał wybrać czarodzieja ze stuosobowego tłumu obcych, nigdy by się nie pomylił, ponieważ er-Rashal idealnie pasował do wszystkich opisów złych czarowników, jakie snuły legendy i baśnie opowiadane w tej części świata. Wysoki, smagły, z ciężkimi ustami, haczykowatym nosem i ogoloną czaszką. Oczy miał ciemne i zimne. Był potężnie zbudowany, tchnął siłą. Wyglądał na dwadzieścia lat młodszego, a miał pięćdziesiąt.

Er-Rashal zdecydował się na taki wygląd, ponieważ wszyscy, wysoko i nisko urodzeni, wychowali się na tych właśnie baśniach. Chciał, żeby się go bano.

– Lordzie Rashal – powiedział Else. – Lew się domagał, abym stawił się przed nim, gdy tylko dotrę na miejsce.

– Wie już o twoim przybyciu. – Głos czarodzieja poniósł się grzmotem. – Znasz go. Minie co najmniej godzina, zanim znajdzie dla ciebie czas. Poinformowałem strażników, że jeśli nie będzie cię przed drzwiami komnaty audiencyjnej, mają cię szukać u mnie.

Else'owi nie bardzo się to spodobało. Cała rzecz na milę pachniała jakąś intrygą. A tej strony życia w al-Karn nie lubił najbardziej.

Za każdym powrotem z pola robił się nerwowy. Al-Karn było polityczną dżunglą. A charakter Else'a nie był skrojony na intrygi miasta. Był żołnierzem. Nie dbał kto, co i komu robi w stolicy. Dbać musiał o żołnierzy oddanych pod jego komendę.

Dlatego też jako dowódca połowy cieszył się zaufaniem żołnierzy. Kochani przez żołnierzy oficerowie nie są dobrym materiałem na dyktatorów. Sam Gordimer był niegdyś lubianym dowódcą, który zdobył władzę, eliminując starszego, nieskutecznie działającego już poprzednika.

Else skinąwszy głową ze zrozumieniem, czekał, by czarodziej przeszedł do rzeczy.

Er-Rashal kontynuował:

– Dobrze sobie poradziłeś z mumiami. Nie sądziłem, że ci się uda. Natomiast Gordimer w ciebie wierzył. Jestem mu winien dwadzieścia srebrnych drachm. Nie powinieneś wyciągać stąd wniosku, że się nie modliłem, aby ci się udało.

Else ponownie skinął głową.

– Dobrze słyszeć, że aż tak ci nie zależało na pieniądzach. Jedno cudowne ocalenie podczas misji to prawdopodobnie wszystko, na co mnie stać.

– O to właśnie chciałem cię wypytać. Słyszałem rzeczy dość niepokojące. Else wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę nie ma zbyt wiele do opowiadania. Zostaliśmy napadnięci przez coś, co Az nazwał bogonem. Zareagowałem w jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy. Wszystko skończyło się dobrze.

– Niemniej... Twój Pan Duchów mógł czegoś nie zauważyć.

Else ze szczegółami opowiedział całą historię. Już wcześniej przygotował się na to, że będą go wielokrotnie indagować. Niemożliwe, by Gordimer się nie zainteresował złowrogimi nadprzyrodzonymi działaniami przeciwko wojskowej misji sha-lugów. Zwłaszcza gdy działo się to na północ od al-Karn.

– Dlaczego naładowałeś falkonet monetami? – zapytał er-Rashal.

– Sam nie wiem. Pewnie gdzieś słyszałem, że stworzenia nocy nie cierpią srebra. Pamiętam jednak, jak myślałem też, że tak naprawdę na nic się to nie zda.

– Mimo to nie okazałeś zwątpienia w obecności swych żołnierzy.

A więc er-Rashal rozmawiał z Hagidem.

– Dobry dowódca nie okazuje wątpliwości i nie pozwala zbić się z tropu czy wytrącić z równowagi. Musi wydać rozkaz, nawet gdyby miał być błędny. Kiedy ładowaliśmy falkonet monetami i żwirem, pewien byłem, że to na nic. Ale dzięki temu ludzie mieli zajęcie i zachowali spokój. Wtedy o to właśnie chodziło przede wszystkim.

– Miałeś szczęście. Stwory nocy nie znoszą srebra, ale tylko niektóre. Skuteczniejsze jest zwykłe żelazo. Wybierając się na misję grożącą tego typu kłopotami, powinieneś wziąć worek żelaznych kul.

– Właśnie sobie pomyślałem, że chyba naładowaliśmy armatę również żelaznym żwirem.

– Jak się sprawił falkonet?

– Lepiej, niż oczekiwałem. Chyba w końcu udało ci się znaleźć właściwy stop, właściwy proces chłodzenia czy co tam. Już po wszystkim nie mogliśmy znaleźć żadnej skazy w lufie, choć wystrzeliliśmy ładunek znacznie przekraczający normę.

Czarownik pozwolił sobie na lekkie okazanie dumy. Stworzył mobilną armatę, która sprawdziła się w warunkach bojowych. Nikt przed nim tego nie dokonał.

– To dobre wieści. Teraz zrobię ich więcej. Żałuję, że nie ma praktycznego sposobu na odlanie żelaznej lufy.

– Logicznie rzecz biorąc, żelazo powinno być lepsze niż mosiądz – zauważył Else.

– Oczywiście. Żelazo jest właściwie niewrażliwe na działania Tyranii Nocy. Pracujemy nad sposobem rozwiązania tych trudności. Wszystko jednak sprowadza się do metody prób i błędów.

– Proch strzelniczy też powinien zostać ulepszony. Strasznie wchłania wilgoć. A im bardziej się zawilgaca, tym mniejszą ma siłę i tym paskudniej dymi. – Else ucieszył się w duchu. Udało mu się zmylić najinteligentniejszego, najbardziej niebezpiecznego człowieka w kaifacie. – Jeśli w ogóle chce się palić.

Wystarczyło naprowadzić er-Rashala na jedną z jego obsesji, a potem przytakiwać w odpowiedniej chwili... i już po nim.

Else deliberował na temat broni miotających i prochu strzelniczego, póki nie nadeszło wezwanie od Gordimera.

Else nie bał się człowieka w Gordimerze. Zupełnie inną sprawą był natomiast Gordimer, wielki marszałek sha-lugów. Sam Lew zresztą doskonale zdawał sobie z tego sprawę. I nie był z tego zadowolony. Wolałby, żeby wszyscy się go bali. Jako człowieka.

Else nie bał się człowieka, ponieważ tamten dobiegał pięćdziesiątki. Natomiast sam kapitan był stwardniałym w boju weteranem w kwiecie wieku.

Kiedy Else pojawił się przed wodzem w towarzystwie er-Rashala, okazał mu należyty szacunek. Nie miał jednak zamiaru postępować inaczej. Jako marszałkowi respekt mu się należał.

Gordimer Lew był wysokim, potężnym wojownikiem, który wyniesiony został tak wysoko, że nie musiał już dbać o wspaniałe atrybuty, które pomogły mu w młodości zdobyć sławę. Else dostrzegł ślady otyłości i

sennie opadające powieki, świadczące o nadmiernie rozwiązłym trybie życia. Wchodząc do komnaty, widział mgnienie kobiecej sylwetki w tiulach, o dwa kroki spóźnionej. Z pewnością było to zaplanowane – widoczny symbol władzy Gordimera.

– Oszczędź mi tych niepotrzebnych bzdur – usłyszał Else słowa Gordimera, podczas gdy się giął w wyszukanych ceremonialnych powitaniach. – Ty mu się kazałeś tak zachowywać, Rashal? Kapitanie Tage, nikt nie patrzy, a ja nie jestem kaifem. Porozmawiajmy jak żołnierz z żołnierzem.

Gordimer wciąż mógł się poszczycić bujną grzywą blond włosów, której zawdzięczał przydomek. Naturę też miał wojowniczą niezależnie od tego, czy chodziło o własnych wrogów czy o wrogów Boga.

Else prostymi słowami opowiedział swoją historię.

– Wszystko szło zbyt gładko. Coś takiego jak ten bogon po prostu musiało się nam przytrafić.

– Rashal. Sam się tu wprosiłeś. Teraz mi wyjaśnij.

– Bogon jest stworzeniem cienia dysponującym wielką mocą obecnie już się ich prawie nie spotyka. W ziemskim świecie byłby odpowiednikiem hrabiego, barona czy nawet kaifa. Ale trudniej go zabić. – Er-Rashal uśmiechnął się nieznacznie i zjadliwie. Kaif al-Minfet poprzez swego plenipotentę, Gordimera, od lat próbował wyeliminować rywali z Kasr al-Zed i al-Halambry, którzy byli dla niego źródłem irytacji, jak też skazami w czystości doktryny. Jego starania zaowocowały zasadniczo tylko listem od Indali al-Sul al-Halaladyna, z którego wynikało, że ów nie będzie zadowolony, gdy coś się przytrafi jego kaifowi.

Gordimer wziął sobie słowa listu do serca. Marszałek szanował Indalę przez wzgląd na jego wyjątkowe sukcesy na Ziemi Świętej.

I choć nigdy się nie spotkali, obaj byli sprzymierzeńcami w wojnach przeciwko obcym. W wojnach, które nie przynosiły żadnego poważniejszego rozstrzygnięcia, ponieważ gdy tylko kaifat angażował się w Ziemi Świętej, natychmiast stawał w obliczu niepokojów na pozostałych granicach. Nieuchronnie Rhun atakowało północne prowincje Lucidii, chcąc odzyskać utracone na jej rzecz terytoria. Na wschodzie Cesarstwo Ghargaliceańskie szarpało tamtejsze granice. Ghargaliceanie byli nadzwyczaj agresywni pod władzą obecnego cesarza. Choć sami właśnie mieli kłopoty z Hu'n-tai At.

Hu'n-tai At naciskali też na Lucidię z północnego wschodu. Byli niczym Gniew Jedynego Boga spuszczone na wszystkie ludy świata.

Niektórzy lucidiańscy kapłani wierzyli, że stawianie oporu Hu'n-tai At oznacza sprzeciwianie się Woli Boga. Kapłani ci przekonywali, że Tsistimed Złoty, pan wojny Hu'n-tai At, był Biczem Bożym przepowiedzianym w Piśmie, pogańską furią zesłaną dla ukarania Królestwa Pokoju za wszelkie zaniedbania, grzechy i niedostatki wiernych.

Z drugiej strony trzeba pamiętać o fundamentalistycznych mułach, którzy wierzyli, że życie w murowanych budynkach, w ogóle w mieście, życie w warunkach innych niż tylko najbardziej surowe – wszystko to razem oznacza poddanie się pokusom Przeciwnika.

Gordimer i kaif nie porzucili nadziei na to, że będą świadkami końca kaifa Kasr al-Zed. Że czempion kaifa wkrótce będzie na tyle zajęty, że nie zdoła zorganizować żadnej rewanżystowskiej wyprawy.

Fundamentalistyczni kapłani znacznie bardziej dawali się we znaki kaifatowi lucidiańskiemu niż dreangerskiemu. Lew już dbał o to, by nadmiernie krytykanckie nastroje się nie szerzyły.

Gordimer przysłuchiwał się z uwagą, podczas gdy er-Rashal analizował wyprawę Else'a przez Idiam do Andesqueluz, wreszcie jego powrót z sześcioma mumiami.

Er-Rashal wychwalał szybkość reakcji i nieugiętą determinację Else'a. Pochwała z ust czarownika była prawdziwą rzadkością.

W pewnym momencie marszałek mu przerwał:

– W porządku. Oto nasz ideał. Nikt inny nie potrafiłby wykonać tej misji. Ale właśnie dlatego go wysłałem. Nie możemy go jednak zmuszać, by stał i wysłuchiwał, jak banda szerokodupych biurokratów mówi mu, jaki jest cudowny. Należy mu się wyjaśnienie, dlaczego go wybrałem. By mógł się zabrać do układania dalszych planów.

– Miałem nadzieję spędzić trochę czasu z rodziną – powiedział Else.

Gordimer zmarszczył czoło. Sam nie miał rodziny. Rodzina była w jego oczach tylko ciężarem. Szukanie towarzystwa poza kręgiem sha-lugów było słabością. Należało tego dowieść. Else poczuł się zbity z tropu. Niemniej jednak członkowie rodziny nadawali się na zakładników.

– Ale niedobrze byłoby kazać mu od razu skakać w ogień, po tym, gdy tak długo tańczył wśród płomieni – zauważył er-Rashal.

Gordimer lekceważąco machnął dłonią.

– Tak czy siak misja zapowiada się na długą. Odrobina zwłoki nie ma znaczenia.

Lew polegał na radzie er-Rashala, ale nie zawsze była mu ona w smak. Else doszedł do wniosku, że mądrze będzie wysłać rodzinę z miasta, zanim znowu opuści al-Karn.

Przerażające rzeczy, jakie przychodziły mu na myśl, już się w przeszłości zdarzały – innym.

Gordimer Lew był geniuszem na polu bitwy, ale władcą – małostkowym i mściwym. Oraz skrajnie egoistycznym. I niezdolnym do zachowania w pamięci głównych powodów tego, że udało mu się usunąć swego poprzednika.

Nie można ciągle rozsierdzać ludzi. W końcu postanowią coś z tym zrobić.

– Moja ciekawość narasta. – Else dał do zrozumienia, że nie powiedziano mu jeszcze o powodach wezwania.

Gordimer odrzekł:

– Wysłałam cię do Firaldii, do Księstw Brotheńskich, żebyś odkrył, co zamierza Wzniosły. Przekazy naszych szpiegów przestały mieć jakikolwiek sens.

– Powiadają że Wzniosły wzywa do nowej krucjaty – dodał er-Rashal – Aby przeciwdziałać sukcesom Indali al-Sula. Aby odeprzeć Wiernych od Studni Ihrian i wyprzeć ich z Ziemi Świętej. Żeby zdobyć Calzir. Te same głupstwa, o których zawsze prawią Patriarchowie, problem polega wszak na tym, że ten akurat być może mówi, co myśli. Choć krucjata nie ma najmniejszego sensu. Wzniosły znalazł się na krawędzi wojny z Imperatorem Graala. A przecież jeszcze się nie pozbył kłopotów z pretendentami z Viscement. Na dodatek pod bokiem uległo mu się coś, co nosi nazwę herezji maysalskiej, która szerzy się w prowincji Arnhandu zwanej Connec. Nasi szpiegowie sugerują, że Patriarcha stracił kontakt z rzeczywistością. My z kolei nie wierzymy, że ktoś z jego pozycją może do tego stopnia stracić rozum.

Marszałek podjął tok rozważań:

– Jedyne lud, który jest w stanie przeprowadzić nową krucjatę, to ten, który wcześniej stanowił trzon krucjaty chaldaran. Mianowicie Arnhandowie. Tymczasem oni toczą właśnie wojnę z Santerinem. Poza tym

będą musieli wystawić siły potrzebne do stłumienia herezji i antybrotheńskich niepokojów w Connec.

– Ale ten Patriarcha wydaje się przekonany, że wystarczy coś ogłosić Wolą Bożą, a to się stanie – uzupełnił er-Rashal.

– Wychodzi na to, że stan umysłowy Patriarchy mimo wszystko powinien budzić wątpliwości.

Er-Rashal się zgodził.

– Ale ci ludzie wierzą, że kiedy został wybrany na Patriarchę, Honario Benedocto stał się czymś w rodzaju istoty transcendentnej. Mówimy tu o elekcji, która zasłynęła przekupstwem, szantażem i przynajmniej jednym mordem.

– Wzniosły wyznaje fałszywego boga – warknął Gordimer. – Czci bożyszczce. Oczywiście, jest szalony. Ale jak głęboko sięga jego szaleństwo? Czy za wariackimi słowami pójdą wariackie czyny? Musimy wiedzieć.

To miało sens. Gordimer musiał chronić swoją część Królestwa Pokoju. Ale to z pewnością nie wszystko.

– Chcę się dowiedzieć czegoś więcej na temat Kolegium. Poza tym, jakie są ich polityczne cele – oznajmił er-Rashal.

– Jeżeli Wzniosły jest tak szalony, na jakiego wygląda, wówczas w Kolegium powinny istnieć frakcje działające w celu jego usunięcia – dodał Gordimer.

– Nie orientuję się... – Else urwał. Lepiej nawet nie sprawiać wrażenia, że się sprzeciwia. – Jestem w stanie wtopić się w społeczeństwo Brothe?

Odpowiedział mu er-Rashal:

– W Brothe, w Księstwach brotheńskich i w Firaldii, owszem. Brothe jest równie kosmopolityczne jak Hypraksjum. Byłem tam kiedyś, wiele lat temu, nie znając języka. I jakoś się wtopiłem w otoczenie. Ty nie będziesz miał kłopotów, jeśli nie będziesz twierdził, że jesteś kimś innym, niż jesteś, to znaczy zawodowym żołnierzem. Przedstawiaj się jako bezrobotny najemnik z jakiejś odległej części świata. Jeżeli nie będziesz rozповідаł na lewo i prawo, skąd przybyłeś, nie grozi ci, że spotkasz kogoś, kto będzie chciał porozmawiać o starych dobrych czasach w ojczyźnie. Mów wszystkim, że nie chcesz wspominać przeszłości, ponieważ za twoją głowę wyznaczona jest nagroda. Niech w tej historii będzie cześć kobiety, której

męża uczyniłeś kaleką kiedy przyłapał cię ze swoją żoną. Ten rodzaj zbrodni budzi życzliwość ludzi zachodu.

– Rashal jest podniecony jak dziecko, tak bardzo chce się dowiedzieć, co knuje Kolegium w katakumbach pod pałacem Chiaro – zauważył Gordimer.

– Mnie osobiście interesuje tylko, czy można kogoś nakłonić do wystąpienia przeciwko Wzniosłemu. I chcę znać jego plany. Chcę wiedzieć, kim są jego prawdopodobni następcy i jakie jest ich stanowisko w kwestii Dreanger, Ziemi Świętej, państw arnhandzkich i Królestwa Pokoju. Poza tym ma do mnie dotrzeć wszystko, co tylko da się znaleźć na człowieka o imieniu Ferris Renfrow.

Ta ostatnia uwaga zupełnie zaskoczyła Else'a.

– Ferris Renfrow? Kim jest Ferris Renfrow?

– No właśnie.

Er-Rashal postanowił okazać zmiłowanie.

– Ferris Renfrow to bardzo szczególny ptaszek. Dwukrotnie odwiedził al-Karn. Przedstawiał się jako agent Imperatora Graala Johannesesa. Jest bardziej śliski niż słodkowodny węgorz. Chciał zdobyć informacje, nie zdradzając niczego w zamian.

– Nie dało się go przyszpilić, ale z tego, co mówił, wynikało chyba, że chce zawiązać tajemne przymierze przeciw Patriarsze – wtrącił Gordimer.

Er-Rashal mówił dalej:

– Imperatorzy Graala i Patriarchowie od wieków spierali się o pierwszeństwo hierarchii religijnej przed świecką. Poza tym pozostaje kwestia ewentualnych praw Patriarchy i biskupów do Księstw Episkopalnych. Zgodnie z kodeksem świeckim żaden wasal bez zgody swego pana nie może przekazać lenna Kościołowi ani zresztą nikomu innemu prócz swych synów. W większości wypadków najwyższym suwerenem jest Imperator Graala. Co więcej, zgodnie z prawem feudalnym wszystkie Księstwa Episkopalne mają zobowiązania wobec Imperatora, ale też królów Favorate, Stiluri, Alameddine czy nawet... pozał się Boże... Calziru.

– My to robimy znacznie bardziej sensownie – zauważył Else.

Czarownik nie zauważył sarkazmu.

– W teorii. Dopóki elektorzy imperialni nie wybrali Johannesesa Czarne Buty, spór rzadko się zaogniał. Teraz panami są Johannes i Wzniosły. A

Wzniosły ma zamiar wykorzystać pełnię swej władzy, by poprawić los swej rodziny, miasta i Kościoła. Niewykluczone, że wybuchnie wojna.

– Byłoby to zgodne z naszymi interesami – podsumował Gordimer. – Chętnie byśmy do niej doprowadzili, byle tylko nie musiec w niej uczestniczyć. Niech lepiej Niewierni mordują się wzajem, zamiast napadać nas w Ziemi Świętej.

– Rozumiem – odparł Else, dbając, by zachować całkowicie obojętny ton głosu.

– A więc, mogę na ciebie liczyć? – zapytał Gordimer.

– Pozwolisz mi zabrać kilku moich ludzi?

– Nie tym razem. Będziesz zdany na własne siły. Statek handlowy zawiezie cię do Runch na wyspie Staklirhod. Stamtąd możesz wykupić przejazd do Sonsy. Otrzymasz dokumenty, czyniące z ciebie pomniejszego arnhandzkiego rycerza. Zostałeś wezwany do domu, żeby załatwić sprawy rodzinne w LaTriobe, w Tramaine. Przyczyną kłopotów jest zamieszanie, jakie zapanowało w następstwie rozbicia przez Santerin armii księcia Harmonachy pod Themes zeszłego lata.

– Wychodzi na to, że zaplanowaliście wszystko ze szczegółami.

– Tak naprawdę to improwizujemy w marszu – przyznał er-Rashal.

A Gordimer wyjaśnił:

– W zeszłym tygodniu wpadł w nasze ręce sir Aelford daSkees. Jego sytuacja tak właśnie wygląda. Będziesz go udawał, póki nie dotrzesz do Sonsy. Mało prawdopodobne, by ktoś był w stanie go rozpoznać. Rozpowiadaj wszem i wobec, że masz zamiar się przesiąść na statek przybrzeżny do Minochan, a potem podróżować dalej do Sheavenalle w Skraju Connec. Jednak kiedy dotrzesz do Sonsy, zrezygnujesz z legendy daSkeesa i podążysz do Brothe w charakterze bezrobotnego najemnika.

– Po opuszczeniu Sonsy będziesz zdany na siebie – podsumował er-Rashal.

– Zanim wyruszysz, będzie miał dość czasu, by poćwiczyć swoją historię. Teraz odpoczywaj. Zobacz się ze swoimi – zakończył Gordimer.

Else'owi zdało się, że usłyszał w tych słowach złowieszcze tony. Ale może sobie tylko wyobrażał, że Lew zechce zatrzymać jego rodzinę w charakterze zakładników. Nie potrzebował już dalszych sugestii. Skłonił się.

Ale okazało się, że Gordimer mimo wszystko nie skończył.

– Jeszcze jedno. Chciałbym ci podziękować za sprowadzenie tych mumii z Andesqueluz. I za to, że nie straciłeś przy okazji ani jednego człowieka. Rashal?

– Wyciągnij dłonie, kapitanie. – Czarownik włożył w prawą rękę Else'a skórzany mieszek. Zaiste szczodra nagroda, pod warunkiem oczywiście że monety w środku nie były z miedzi czy brązu. Potem Rashal zawiązał na jego lewym nadgarstku pasek wysłużonej brązowej skóry. Splatając końce, mrucał coś pod nosem, wreszcie przesunął palcem po węźle. Else odwrócił dłoń. Na skórze zobaczył kilkanaście dziwnych kamieni i osobliwie ukształtowanych skrawków metalu.

– Wkrótce staną się niewidzialne. A amulet ochroni cię przed różnymi czarami i większością nocnych istot. Choć, po prawdzie, nie powinieneś się spodziewać żadnych kłopotów. Brothe jest prawie tak stare jak świątynne miasta Dolnego Królestwa. Chyba nawet bardziej jeszcze poddane jest władzy człowieka.

– Idź. Zabaw się trochę – zachęcił go Gordimer.

W zamierzchłej starożytności Dreanger zostało w trybie administracyjnym podzielone na Dolne, Średnie i Górne Królestwo. W skład Dolnego Królestwa wchodził kraj delty i wybrzeże morskie. Kwitło tam rolnictwo i handel. Znajdowały się tam też najstarsze miasta świata, z których każde wyrosło wokół macierzystej świątyni jednego ze Starożytnych Bogów Dreangeru. Na siedemset lat przed Gordimerem Lwem, kiedy Kościół stał się oficjalną religią Starego Imperium Brothe – Dreanger wówczas był prowincją Imperium – świątynie zostały zdobyte i zniszczone przez wyznawców fanatycznego Josefusa Alegienta. Kapłanów wyrżnięto.

Josefus był szalonym czcicielem Aarona z Chaldaru. Aaron zaś był jednym ze Świątych Założycieli Kościoła, urodzonym w Chaldarze w Ziemi Świętej. Od Chaldaru wziął nazwę cały ruch religijny. Chaldar zresztą istniał do dzisiaj – pokryta pyłem wioska obok Studni Pokoju.

Aaron był pierwszym ze Świątych Założycieli, którzy głosili chaldarską wiarę. Jej podstawą były powszechny pokój, miłość i równość, okraszone zdecydowaną niechęcią do przemocy w jakiegokolwiek postaci.

Dwieście pięćdziesiąt lat przed Gordimerem przetoczyła się przez Dolne Królestwo kolejna fala morderczych apostołów miłości i pokoju. Zatopiła władających nim chaldaran, niszcząc zarówno ich dorobek, jak wszystko z

pogańskiego dziedzictwa, co przetrwało ferwor Josefusa Alegienta. Czyli głównie tysiące ksiąg. Płomienie strawiły sekrety, wiedzę i historię tysiącleci.

Wojownicy Peqaad, których dziełem była konkwista, wywodzili się od ciemnych, przesądnych, niemytych plemion pustyni, zazwyczaj mających za sobą tylko kilka tygodni od epifanicznego momentu konwersji. Przybyli do Dreanger zdjęci grozą, jaką napawały ich książki i umiejętność pisania. Ludzie piśmienni byli w ich oczach wysłannikami zła, ponieważ zawsze chętnie wykorzystywali przewagę wykształcenia.

Od najdawniejszych czasów Średnie Królestwo było siedzibą rządu Dreanger. Nawet kiedy władali kapłani, królowie byli bogami, a Dreanger korzyło się przed Tyranią Nocy, niezależnie czy słońce, czy księżyc panowały na niebie, w al-Karn, które przed konkwistą nosiło też inne nazwy, znalazła schronienie administracja. I jakoś funkcjonowała, nim jeszcze ludzie nauczyli się odróżniać swych władców od swych bogów.

W owym czasie Górne Królestwo było dziką krainą, pograniczem wciśniętym w góry Slang, osłaniające Dreanger z południa. Chaldarscy kultuści, anachoreci i pogańscy nomadzi wciąż nawiedzali Górne Królestwo, a wraz z nimi duchy siedmiu tysięcy lat umierania na dreangerskiej ziemi.

Dziś Górne Królestwo zazwyczaj nazywano Królestwem Umarłych. Nagie wzgórza wznoszące się na obu brzegach Shirne i sięgające na trzydzieści mil w głąb lądu, zostały poryte siecią tuneli prowadzących do grobów pół tysiąca pokoleń. Delegatury Nocy nauczyły rabusiów grobowców i hieny cmentarne, że należało wybrać bardziej obiecującą karierę.

Pierwotny sens, jaki miał pochówek na Wzgórzach Umarłych, został zapomniany wiele stuleci przed Josefusem Alegientem, lecz nawet dzisiaj tych, w których, wedle ich mniemania, płynęła czysta dreangerska krew, imperatyw społeczny zmuszał do szukania miejsca pochówku dla własnych zwłok pod Wzgórzami Umarłych.

W tej części Górnego Królestwa zgromadziły się ogromne rezerwuary czarnej magii. Tylko Ziemia Święta mogła się poszczycić wyższym nadprzyrodzonym statusem i bardziej skoncentrowaną magiczną mocą.

Studnie Ihrian były Jądrem Duszy Świata.

– Co sądzisz na temat kapitana Tage, Rashal? – zapytał Gordimer.

– Wydaje mi się, że znowu ulegasz swoim strachom, mój przyjacielu. Ten człowiek może się okazać twoim najwierniejszym i naj lepszym sprzymierzeńcem. Jest naprawdę i bez reszty sha-lugiem. – Nikt prócz er-Rashała al-Dhulquarnena nie ośmielał się tak bezpośrednio przemawiać do Gordimera Lwa.

Marszałek nie był usatysfakcjonowany. Nic wszakże nie mógł zrobić. Czy mu się to podobało czy nie, był na łasce er-Rashała.

Gordimer miał wielkie kłopoty ze zrozumieniem tego, że nie każdy myśli tak jak on, nie każdy mężczyzna jest niewolnikiem krwawych ambicji.

Kapitan Tage był kompetentnym człowiekiem. Jak mógł nie chcieć...?

– W najbliższych latach nastąpią wiekopomne wydarzenia, których częścią i my będziemy. Jeżeli wciąż będziesz podążał wcześniejszą ścieżką, zostaniesz pochłonięty, a wraz z tobą ja, Dreanger oraz kaifat al-Minfet. Wszystko dlatego, że powodowany bezpodstawnym strachem wyeliminowałeś każdego, kto miał dość nerwów, siły i zdolności, by unieść miecz.

Gordimer powstał. Przeszedł się po komnacie. Zaklął. Pogroził. Ukorzył przed Bogiem. Wreszcie odezwał się do jedyne go przyjaciela:

– Pomogłeś mi, Rashal. Nie panuję nad swoimi myślami. One panują nade mną.

– Zrobię, co będę mógł. Dla Dreangeru, ale też dla ciebie. Ale wszelkie moje wysiłki na nic się nie zdadzą, jeśli ty nie podejmiesz żadnych działań. Za każdym razem, gdy będzie ci się zdawało, że zwęszyłeś spisek, przypomnij sobie, że może być on dziełem twojej wyobraźni. Zanim zaczniesz zabijać, przyjdź i porozmawiaj ze mną. Usiądziemy i w spokoju zbadamy dowody. Pozwól mi przesłuchać podejrzanych, zanim odbierzesz im życie. Przecież nie chcemy tracić dobrych ludzi. Zbyt wielu już ich Abad zmarnował. Między innymi z tego właśnie powodu zdobyłeś poparcie, by go usunąć.

Er-Rashal nie wspominał, że był nadwornym czarodziejem u poprzednika Gordimera. Nie należy mu dawać zbyt wielu powodów do spekulacji.

– Próbuję, Rashal. Naprawdę się staram. Ale to jest jak jakaś choroba.

– Po prostu pozwól mi przesłuchać podejrzanych. Nie rób nic na własną rękę. Nie kuś licha.

Gordimer wymruczał zgodę. Ale w głębi ducha pozostał przy własnych zastrzeżeniach.

Andorayscy podróżnicy

Shagot oparł dłonie na kolanach. Dyszał ciężko. Przystanął dosłownie na parę sekund wcześniej, nim zwymiotował ze zmęczenia. Ostatnio zbyt wiele pił i się byczył. Choć nigdy by tego nie powiedział na głos, zwłaszcza w obecności Sigurdura i Sigurjona, których rodzice musieli chyba być bardziej tępi niż głazy, skoro nadali swym synom imiona równie mało fantastyczne. Choć jemu i bratu wiele lepiej się nie powiodło.

– Cholera – dyszał Shagot. Z trudem łapał dech. – Jak to, do diabła... możliwe, że wciąż... jesteśmy tak daleko... z tyłu... za tymi dupkami?

Shagot wraz z towarzyszami znajdował się na przełęczy pasma gór Jottendyngjan, łapiąc powietrze i obserwując drogę na południe. Płuca go paliły, ale znacznie bardziej doskwierało niedowierzanie, że ci cipowaci misjonarze wciąż byli daleko z przodu. Z tej odległości wyglądali niczym mrówki wspinające się na następny górski grzbiet.

– Nie podoba mi się to. Powinniśmy wziąć łódź i zaczekać na nich przy brodzie Ormo – powiedział Svavar.

Shagot mruknął coś nieartykułowanego. Nie zamierzał marnować oddechu i przypominać Svavarowi, że cieśnina Ormo nie jest przyjaznym terytorium. Każdy andorayski statek spotykał się tam z takim przyjęciem, jakby stanowił zapowiedź straszliwej katastrofy.

Południowych łotrów trzeba było dopaść od tyłu. Na suchym lądzie.

– Co zrobimy, gdy zapadnie zmrok, Grim? – zapytał Sigurdur.

Trolli i krasnoludów tu wszędzie od cholery.

– No. Nie wspominając o duchach i widmach z bożych czasów – dodał Sigurjon. Pod pojęciem bożych czasów rozumiał prehistorię. Bogowie wciąż incydentalnie ingerowali w świat... dowodem mogły być choćby

Selekcjonerki, które porwały Eriefa... ale niewiele o nich słyszano od chwili, gdy pierwotni Andorayanie przepędzili dzikich, mistycyzujących i prymitywnych Seattsów na północ, za klify lodu, do krainy wiecznego śniegu.

– Starcy dali mi wszystkie amulety i uroki, których potrzebujemy, by przetrwać noce, jakie upłyną nim dopadniemy te dziewczynki.

– Ale kto ci je dał? – chciał wiedzieć Svavar. – Mam nadzieję, że nie Vidgis. Bo jeżeli to była Vidgis, to już jesteśmy martwi, tylko zbyt uparci, by się położyć i przestać wierzgać.

Pewnego razu, w pijackiej godzinie, Vidgis doprowadziła do tego, że Svavar legł na niej. Później upierał się, że rzecz by się nie stała, gdyby nie miał do czynienia ze straszną wiedźmą która rzuciła nań urok.

Shagot zachichotał i zgodził się z nim.

– O, tak. To wiedźma. – Na tyle, na ile wszystkie kobiety to wiedźmy. Vidgis miała po prostu parę lat więcej niż pozostałe. – Dostałem je od Pulli, Trygga i koleżków. To są plemienne uroki. Nie daliby ich, gdyby wcześniej Snaefells i Skogafiord nie były świadkiem takich cudów.

– Hę? – Nie był okazem bystrości ten Sigurdur. – Jakich cudów?

– Sigurdur, wydaje ci się, że zabójstwa królów zdarzają się co dnia? – Shagot nie miał wątpliwości, że Erief zostałby królem, gdyby dane mu było żyć. – Myślisz, że Selekcjonerki Poległych po prostu wpadły z wizytą?

– Och, nie. Już rozumiem. Ale sądzę, że wybrały naszą szóstkę głównie po to, żeby pozbyć się nas z miasta.

A więc Sigurdur był ślepy na jedno oko, natomiast potrafił patrzeć drugim. Shagot nie zdawał sobie sprawy, że starcy mogli wybrać ich grupę, by on i pozostali nie włóczyli się po okolicy i nie sprawiali kłopotów.

Te dupki, Trygg i Pulla, też poszliby na to gówno. Starzy ludzie nie lubią chaosu, zamieszania, tumultu czy w ogóle podniecenia. Chcą, aby życie było spokojne, ciche i przewidywalne.

Shagot doszedł do wniosku, że sam się pewnie starzeje, ponieważ nie miał kłopotu ze zrozumieniem, dlaczego tamci chcieli się go pozbyć.

– Złapiemy tych gości, a potem zabieramy dupy do domu. – Shagot zniecka odkrył, że miejsce zwane Snaefells ma dla niego szczególny charakter. Że potrafi uznać wioskę za dom.

Był bez reszty zdumiony.

Shagot Bękart nie był w stanie dogonić tych misjonarzy. Tych dzikich południowców, którzy wierzyli, że nie wolno podnieść ręki na bliźniego swego. Dzień po dniu, godzina po godzinie on i jego towarzysze byli coraz bliżej, ale ostatecznie ich nie dogonili.

Banda Shagota była ledwie trzydzieści jardów za nimi, gdy tamci dotarli na brzeg cieśniny Ormo, w wiosce zwanej Ara. Hallgrim i Finnboga zmarnowali strzały. Oczywiście nie trafiły w cel. Shagot warknął:

– Przestańcie! We mgle możecie trafić przewoźnika.

Łódź wynajęta przez zbiegów była maleńka, załogę stanowił pojedynczy wioślarz, który naprawdę musiał być chłopem na schwał, ponieważ cieśnina miała w tym miejscu czternaście mil. Niewielu wybierało Arę jako początek przeprawy. Właściwym miejscem było Grynd, położone w odległości trzydziestu mil wzdłuż wybrzeża na południowy wschód. Tam regularnie pływały promy, pokonując czteromilową trasę po zdradzieckich wodach do Skoli, stanowiącej najdalej wysunięty punkt Frieslandii.

Grynd i Skola były zbyt cywilizowane. Shagot nie miał tam czego szukać. Zbyt wielu można tam było spotkać wrogów Eriefa i przyjaciół króla Gludnira.

Małomówny Finnboga zdjął cięciwę z łuku i zauważył:

– Jeżeli potrzeba nam było jeszcze jakichś dowodów, że ci dwaj to złoczyńcy, oto one.

– Ponieważ wybrali przemytniczą przeprawę?

Wioślarz wysadzi swych pasażerów na Orflandii, bagnistej, słabo zaludnionej i zupełnie jałowej wyspie przy zachodnim brzegu Frieslandii. Uciekinierzy będą musieli ją przebyć pieszo, a potem przeprowić się na stały ląd z jej przeciwległego krańca – na dodatek nie przyciągając po drodze uwagi nikogo spośród tych, którzy liczyli się w Frieslandii.

– Nieswojo się czuję, opuszczając Andoray pieszo – powiedział Sigurdur.

Było to tak durne, że Shagot tylko skinął głową.

– Chłopaki, idźcie wykurzyć skądś drugiego wioślarza.

Okazało się, że nie sposób znaleźć wioślarza. W wiosce nie było żywego ducha. Ale znaleźli ślady wskazujące, że jeszcze przed paroma godzinami wrzała w niej gorączkowa aktywność.

– Nie podoba mi się to, Grim. Dzieje się tu coś dziwnego – mruknęła Sigurjon.

– Chyba masz rację. Zaczekajmy tutaj. Kiedy łódź wróci, przeprawimy się na niej. Nałóżcie cięciwy na łuki. Na wszelki wypadek. – Upewnił się, że miecz wychodzi swobodnie z pochwy. Klinga była świetna i zabytkowa, pochodziła z klasztoru w Santerin, gdzie prawdopodobnie zostawił ją jakiś szlachcic chcący przekupić lokalnego boga.

– Jak wam się widzi ta mgła? O tej porze zazwyczaj się rozwiewa – zauważył Hallgrim.

– Znajdujemy się u ujścia cieśniny Ormo. Tu są niespotykane prądy i przyływy, nic dziwnego, że mgła zalega przez cały czas.

Hallgrim nie mówił wiele. Shagot wolałby jednak, żeby nie mówił wcale. Gdy się odzywał, zazwyczaj nikomu to nie było w smak. Często przywoływał rzeczy oczywiste, o których jednak wszyscy najchętniej by zapomnieli.

Tym razem nie potrafił się zamknąć:

– Zmieścimy się wszyscy do tej łodzi? Wydaje się okropnie mała.

Shagot tylko mruknął coś pod nosem. Svavar zapytał:

– Chcesz, żebym mu przyłożył?

– Zapewne nic by nie poczuł. Poza tym to dobre pytanie. Sądzę, że się zmieścimy. Zastanawiam się natomiast, jak długo będziemy musieli czekać. Nie dostrzegłem masztu ani żagla. Jeżeli pora dnia nie będzie odpowiednia, prądy mogą być paskudne.

Cieśnina Ormo łączyła śródlądowe Morze Płytkie z Morzem Andorayskim na zachodzie. Morze Płytkie zawdzięczało swą nazwę temu, że najniższy poziom przyływu odsłaniał jakąś dziesiątą część jego dna. Pływające po nim statki były szerokie i miały niewielkie zanurzenie. I potrzebowały naprawdę doświadczonych pilotów. Na Morzu Płytkim były tylko dwa niewielkie obszary, których głębokość przy wysokim poziomie przyływu przekraczała sto stóp.

Nawigacja po cieśninie Ormo była szczególnie stresująca. Wraz ze zmianą kierunku przyływu ogromne masy wody przewalały się w tę i w tę.

Przemytnicy i rybacy z Ary znali te wody lepiej niż żony. Zaczynali się ich uczyć, zanim nauczyli się chodzić.

Svavar westchnął.

– Tak. Możemy mówić o szczęściu, jeżeli dzisiaj się stąd wydostaniemy.

– Księżyc już prawie w pełni. Może uda nam się popłynąć nocą – powiedział Sigurdur.

– Po dotarciu na ląd powinniśmy odzyskać kilka koni. Wówczas szybko ich dogonimy – stwierdził Finnboga.

Tyle że, myślał Shagot, wówczas nigdy już nie będą się mogli pokazać na północy – przy założeniu, że na kradzionych koniach w ogóle uda im się umknąć pogoni.

– Wygląda na to, że mgła się przerzedza – zauważył Svavar.

Ale widoczność wciąż nie była lepsza niż na strzał z łuku.

Shagot powiedział:

– Wy, chłopcy, weszliście w wiosce i wtykaliście nos w różne kąty. Znaleźliście może coś, co by wyjaśniało, dlaczego nikogo nie ma w domu? Albo dokąd wszyscy poszli? – Nieobecność mieszkańców Ary nie dawała mu spokoju. Można było w niej domniemywać dzieła Delegatur Nocy.

Noce w drodze ze Skogafiordu przysparzały jedynie błahych kłopotów. Uwzględnwszy nawet posiadane uroki, magiczna aura i tak była nienaturalnie łaskawa.

Shagot zadrżał. Nie przepadał zbyt za myśleniem. Ale przecież był dowódcą bandy. A odrobina paranoi na tle ciemności jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Lud Huldre szedł za nimi. Ukryte istoty interesowały się nimi szczególnie. Może były odpowiedzialne za te wszystkie drobne przeszkody, z których powodu nie udało im się dogonić obcych, nim opuścili Andoray? Dlaczego? Gdyby bóg obcych dysponował tu jakimiś wpływami, po prostu przegnałby Ukrytych.

– Hej! – wrzasnął Finnboga. – Tam jest łódź. Płynie tutaj.

Shagot też ją zobaczył. To nie była ta sama łódź, która uwiozła misjonarzy. Przeciwnie – porządna łódź rybacka, która każdą godzinę sprzyjającej pogody spędza w morzu na połowie. Była krótsza i szersza niż bojowe okręty znane Shagotowi i jego towarzyszą. Z drugiej strony wydawała się zbyt schludna jak na rybacką własność.

Shagot zwołał swoją bandę.

– Jeśli chodzi o tych ludzi, to nie jesteśmy w stanie odróżnić prawej burty od lewej. Jesteśmy szczury lądowe. Rozumiecie? I ja będę gadał. – Rybak wyglądał, jakby potrzebował co najmniej trzyosobowej załogi, choć na pokładzie był tylko jeden człowiek. Ale pokład był. Więc łódź musiała mieć

ładownię. Co miało sens w przypadku rybaka – ale też szmuglera – jeśli nie chciał, żeby mu wzburzone morze cieśniny zmyło wszystko za burzę.

Im bliżej się rybak znajdował, tym bardziej doskonały się wydawał. Idealny, żeby wleźć na pokład i przepłynąć całą drogę wzdłuż zachodniego wybrzeża Orlandii, gdzie będzie można zastawić zasadzkę na misjonarzy wyczerpanych męczącą podróżą przez bagna wyspy. Shagotowi przyszło nawet do głowy, by zrezygnować z wyrznięcia załogi łodzi. Pod warunkiem że rybacy okażą się skłonni do współpracy.

– Moje imię Czerwony Młot – powiedział kapitan. – A wy, ludzie, wyglądacie, jakbyście chcieli gdzieś szybko dotrzeć, nie przyciągając niczyjej uwagi. – Zanim Shagot zdążył odpowiedzieć, dodał: – A to mój kuzyn, Smith.

– Smith?

Czerwony wzruszył ramionami.

– Woli, żeby się do niego zwracać, używając przydomka.

Shagot mruknął coś, zupełnie skołowany. Nie potrafił zebrać myśli.

– A ten stary?

– To Wędrowiec. Mój ojciec. Robi się już wiekowy i dość ślamazarny. Nie na wiele się przydaje. Ale wciąż nie chce zrezygnować z gry. Dlatego bierzemy go ze sobą na te wyprawy.

Shagot w końcu zdołał powiedzieć:

– Musimy przepawić się przez cieśninę. A potem chcielibyśmy popłynąć dalej, wzdłuż zachodniego brzegu Orlandii, do Tyrvo czy nawet do przylądka Grodnir na frieslandzkim brzegu.

Czerwony Młot pokiwał głową.

– Da się zrobić. Najpierw powinniśmy ustalić cenę. I wyładować nasz połów.

– Pomożemy wam w rozładunku – obiecał Shagot. – Więc porozmawiajmy o cenie.

Czerwony Młot zapytał, czy to, czego chcą, warte jest dla nich trzydzieści złotych koron.

Shagot roześmiał się w głos.

– Nie. Czy naprawdę bierzesz nas za tak głupich? Tak czy siak, nie mamy takich pieniędzy. Wyglądamy może na królów? Wszyscy razem nie mamy pewnie nawet jednej złotej monety. Straciłeś rozum. Powinieneś być zadowolony, jak dostaniesz od nas pięć santerińskich srebrnych groszy.

Targi nie trwały długo. Shagotowi się spieszyło. Rybacy chcieli wyładować swoje ryby.

Przypływ wracał.

Svavar narzekał w głos, uginając się pod ciężkim workiem ryb, z których kilka jeszcze się trzepotało:

– To zbyt dobry dla nas interes, Grim. Spróbują nas okraść.

– Nas jest sześciu. Oni są wielcy i głupi, ale nie aż tak. Chcesz się założyć? Na pewno mają jakiś lewy towar i spodziewają się, że pomożemy im go ochronić, byle tylko dotrzeć na miejsce.

Do Shagota taki sposób myślenia przemawiał. Sam robił takie rzeczy, gdy nie pływał z Eriefem.

– W oczach świecą im się diabelskie ogniki, Grim.

– I trudno ich za to winić. Tak szczęśliwy dzień rzadko przydarza się biednym ludziom.

W następnej kolejności Svavar zafrasował się z powodu wiarołomstwa i zdrady. Czerwony Młot może ich sprzedać Gludnirowi.

Kiedy tylko Shagot napotykał spojrzenia Czerwonego lub Smitha, widział w nich rozbawienie. Jakby wiedzieli, czym się martwi, i śmiali się z tego.

Shagot był pewien, że niczego nie zaniedbał. Ci ludzie byli po prostu rybakami i szmuglerami, którzy nie mieli żadnych powodów do wiarołomstwa.

Ostatnie dni przysporzyły Shagotowi nie lada przejść. Zmęczenie ciążyło mu niczym poszarpany płaszcz. Zwrócił się do Thorkalssonów:

– Nie budźcie mnie, póki łódź nie zacznie tonąć, a woda nie podejdzie mi pod jaja.

Znalazł sobie ustronne miejsce na pokładzie. Ładownia odpadła. W miejscu, które wybrał, smród ryb był już odstręczający.

Znów gromadziła się mgła.

Wydawało mu się, że śni.

Spał głęboko, ale widział swe otoczenie, jakby był całkowicie przytomny. Mgła się rozrzedziła. Morze uspokoiło. Pojawił się morski lud, by igrać wokół łodzi. Piękne panny głębi, nieodróżnialne od ludzkich dziewczyn, a jeśli, to chyba tylko urodą, śpiewały rybakom. Wędrowiec najwyraźniej je błogosławił. W miarę jak łódź wypływała dalej w morze, wydawał się coraz młodszy.

Samo morze się odmieniło. Woda pociemniała. W dziób łodzi uderzały zbite, stłoczone fale. Morski ludek gdzieś zniknął.

Wkrótce rybak wbił się w paszczę nadciągającego sztormu. Załozde najwyraźniej nie przeszkadzało, nawet gdy fale zaczęły się przelewać przez dziób, obsypując wszystko białą pianą, po której na pokład waliła się zielona woda, bijąc w fordek pięściami giganta.

Całkowicie nieporuszona załoga żeglowała dalej.

Gadatliwość i przyjazne charaktery całej trójki gdzieś się zapodziały. Oporządzali łódź – kiedy w ogóle cokolwiek robili – niewiele przy tym mówiąc. Shagot nie potrafił zrozumieć, jak sobie dają radę.

W łonie sztormu rozgorzał pojedynek błyskawic. Kilka piorunów uderzyło w morze tuż obok łodzi rybackiej. Jeden trafił Czerwonego Młota.

Shagot zdał sobie sprawę, że szaleni rybacy pożeglowali wraz z nimi prosto w ramiona śmierci.

Odzyskał wzrok, wcześniej porażony blaskiem. Zobaczył rudego szaleńca, stojącego z uniesionymi ramionami – jego śmiech tłumił łomot grzmotu. Stał tak, jakby domagał się dalszych pieszczot sztormu.

I wtedy Shagot zrozumiał, że wcale nie znalazł się na łasce szalonych rybaków. I przeraził się bardziej, niżli kiedykolwiek bał się w życiu, nawet w głębinie nocy, z dala od przyjaznego brzegu.

Wędrowiec wyczuł ontologiczną przemianę duszy, w chwili gdy Shagota zdjęła groza. Odwrócił spojrzenie do sztormu i spojrzał mu prosto w oczy.

Shagotomalże nie błagał zmiłowania.

Wędrowiec wciąż był stary, ale w najmniejszej mierze już nie tak jak wcześniej. Stał się kimś silnym i prawdziwym. Lecz groza Shagota związana była z tym, że tamten miał tylko jedno oko.

Ledwie miał czas jęknąć, zanim runęła na niego ciemność.

Łódź, która teraz była już złotą barką, wypłynęła z burzy na morze tak szmaragdowe, jakiego nigdy w życiu nie widzieli kupcy i zbóje z Andoray. Poruszana niewidzialnym napędem, sunęła wzdłuż nabrzeża z wypolerowanego różowego granitu. Nadgorliwe, rozgadane krasnoludy z wielkimi brodami przycumowały barkę, potem wbiegły na pokład. Porwały ciała śpiących wojowników i zabrały na brzeg, a potem poniosły długą drogą, prowadzącą do ogromnego zamku, ledwie widocznego na szczycie wysokiej, spowitej w mgłę góry.

Barka, morze, krasnoludy, góra i zamek wyglądały tak, jak opiewały je pieśni i legendy.

Gdzieś po drodze w górę będzie most spleciony z tęczy.

Mieszkańcy Ary oszołomieni kręcili głowami i chwiejnym krokiem wracali do swej wioski. Jakimś sposobem utracili cały dzień, który niezauważenie prześliznął się do wieczności.

Ktoś – czy coś – nawiedził Arę podczas ich nieobecności. Nic nie zginęło ani nic nie zostało zniszczone. Ale ktoś przetrząsnął wioskę, wściubiając nos we wszystkie kąty.

Z lodowni dobiegł krzyk. Mieszkańcy podążyli tam hurmem. I odkryli, że Ara została pobłogosławiona największym połowem ryb, jaki ktokolwiek kiedykolwiek widział.

Mieszkańcy rozbiegli się po noże do patroszenia i skrobania. Zaczęła się praca. Tradycyjni malkontenci narzekali, ponieważ to niespodziane bogactwo zmuszało ich do patroszenia, skrobania, filetowania i dobywania ikry, jak to się im jeszcze nigdy nie zdarzyło.

W oczach niektórych świetlane perspektywy zawsze spowija mgła.

8

Antieux, w skraju Connec

Patriarchalny legat przy biskupie Antieux, Bronte Doneto, był biskupem bez teki. Tytuł ten pośrednio świadczył, że w istocie był on członkiem Kolegium. Jednym z tych cichych, przerażających członków, o których postronni niewiele wiedzą. Biskup Serifs, choć sam był tworem Patriarchy, nie znał tego człowieka. Gdyby było inaczej, z mniejszym optymizmem oczekiwałby spotkania z emisariuszem.

Bronte Doneto zaliczał się do grona bliskich sprzymierzeńców Wzniosłego V z tych prostych powodów, że byli spokrewnieni. Doneto się spodziewał, że razem daleko zajdą. Byli młodzi. Silni. Dzielili wielkie marzenia. Ale na drodze realizacji tych marzeń stały przeszkody w rodzaju biskupa Serifsa, ludzie wystarczająco skorumpowani, by nadawali się do wykorzystania, ale równocześnie na tyle pozbawieni ambicji, że niezdolni nic zrobić na własną rękę. Kontentowali się odosobnieniem w swych wspaniałych pałacach, zabawami z konkubinami i chłopcami, zawłaszczając środki, dzięki którym mogli wieść wystawne życie.

Doneto był cynikiem. Po każdym oczekiwał tylko najgorszego i chwalił się, że rzadko spotyka go rozczarowanie. Z drugiej strony był prawdziwie wierzący – a treścią tej wiary było przekonanie, że Kościół powinien być wszechobecny i dominować w całym świecie chaldarskim. Tylko dogmaty Kościoła jakoś go nie poruszały.

Doneto zdecydował się przyjąć wyzwanie biskupa Serifsa. Przyjrzy się z bliska nastrojom ludu. Z tego, co mu motłoch powie, wyciągnie odpowiednie wnioski względem tego, jak wykorzenić herezję z Connec.

Bronte Doneto nie umiał łatwo zmieniać ról. Nie był księciem, który potrafi się przebrać za żebraka i wszystkich oszukać. Stwórca oszczędził

mu bodaj śladu aktorskich talentów. Podróż do Connec była najdłuższą terenową wyprawą, jaką kiedykolwiek w życiu przedsięwziął. Wcześniej tylko raz opuścił parasol ochronny Państw Episkopalnych, w nieskutecznej próbie przekonania rodzin Aparionu, że powinny ofiarować statki dla transportu armii, która wedle zamiarów poprzednika Wzniosłego miała dokonać inwazji na firaldiańsko-pramańskie królestwo Calziru.

Doneto uważał, że Calzir jest znacznie bardziej łakomym kąskiem dla krucjaty. Nie miał przyjaciół. Miał tylko te potężne naturalne umocnienia, czyli góry Vaillarentiglia. Wystarczy zniszczyć Calzir i ostatnie ślady praman znikną z Firaldii, a tym samym z serca Starego Imperium Brotheńskiego. To powinno dodać ducha chaldaranom na całym świecie.

Ale kuzyn Bronte chciał być Patriarchą, którego imię zapisane zostanie w dziejach. Chciał być pamiętany jako Patriarcha, który zwyciężył praman i pozostałych wrogów Kościoła, jednocząc chaldaran pod sztandarem Patriarchatu i odzyskując Ziemię Świętą.

Doneto nie sądził, że życia im na to starczy. Zadanie było zbyt wielkie.

Teraz doszedł do wniosku, że najłatwiej pójdzie mu z klasami niższymi. Trzeba tylko mówić wulgarnie i źle pachnieć. Mniejsza o to, że ubranie ma zagraniczne i zbyt szykowne. Mniejsza o to, że straż przyboczna idzie za nim krok w krok. Mniejsza o to, że pogarda tryska ze wszystkich otworów ciała, nawet gdy się trzyma usta zamknięte na kłódkę.

Niemniej jednak lud Antieux nie rozpoznał w nim patriarszego legata. Dzięki temu nasłuchał się dość o nastawieniu Connekan do Wzniosłego oraz jego złodziejskiego sługusa, gównojada biskupa Serifsa.

Vries Yunker był dowódcą ochrony legata. Doneto nie potrafiłby o nim niczego powiedzieć prócz tego, że jak dotąd żadne ostrze nie dosięgło jeszcze episkopalnego gardła. Dla niego Yunker równie dobrze mógłby być masyfem.

– Powinniśmy wrócić na kwaterę, panie. Kusimy los – zasugerował Yunker. Słowa te padły, gdy Doneto przeszedł się przez targ tak bezpiecznie, jak tylko dało się to zorganizować.

Yunker znał ludzi bywających w miejscach, które Doneto zapragnął odwiedzić. Sam był tego rodzaju człowiekiem. Tacy ludzie w lot się orientowali, że coś się dzieje.

Doneto nie słuchał. Zbyt go cieszyła odczuwana właśnie świadomość własnej wyższości.

Pesymizm Yunkera nie był pozbawiony podstaw. Po prawdzie, kiedy przyszły kłopoty, okazały się znacznie gorsze, niż wcześniej podejrzewał. Tuż przed nim, w obecności setki świadków, na pogrążonej w półmroku ulicy nagle się zakotłowało. W boku eksplodował ból.

Wszyscy strażnicy zginęli. Bronte Doneto odniósł liczne rany kłute, nim wreszcie zdołał dobyć z kieszeni kulę ziemi. Rozbił ją o ścianę najbliższego budynku.

Świat zniknął w powodzi światła. Ktoś wrzasnął:

– Czary!

Bronte Doneto zapadł w niepamięć.

Stojący przy jego łóżku zakonnik nie wydawał się szczególnie uradowany, gdy Doneto otworzył oczy. Jednak grymas zniknął w jednej chwili.

Legat jęknął.

– Czy potrzebuję ostatniego namaszczenia?

– Panie? Ach, nie, panie. Jestem uzdrowicielem. Nie próbuj wstawać. Pootwierają ci się rany.

Doneto przypominał sobie gwałtowny, przeszywający ból ostrzy wbijających się w ciało. Teraz czuł już tylko ucisk licznych bandaży. Napięcie szwów w różnych miejscach ciała.

– Kiepsko ze mną?

– Tylko Łasce Bożej zawdzięczasz ocalenie, panie. Albo niewiarygodnemu szczęściu. Otrzymałeś sześć pchnięć. Dwie rany były tak głębokie, że musiały pochodzić od miecza. Straciłeś mnóstwo krwi.

Bronte nie dopytywał się dalej, ale brat uzdrowiciel sam udzielił odpowiedzi na niezadane pytanie:

– Twoi towarzysze nie mieli tyle szczęścia. Wszyscy zginęli.

Na co w pełni sobie zasłużyli własną niekompetencją. Ale Doneto nie zdradził swoich myśli.

– Kto jest za to odpowiedzialny? I dlaczego?

Kapłan wzruszył ramionami.

– Rabusie, jak mniemam.

To nie byli rabusie. To byli zabójcy. Ludzie, którzy poważnie podchodzą do swej roboty. Żadni nowicjusze. Bronte Doneto miał zginąć.

– Mniemasz? Co powiedzieli?

Brat uzdrowiciel wydawał się zbity z tropu tymi pytaniami.

– Zostali schwytani, nieprawdaż?

– Nie.

Oczywiście, że nie, pomyślał Doneto. Zarządził, by pozostali członkowie jego straży przybocznej przeprowadzili dochodzenie. Najwyraźniej miejscowe władze były całkowicie niekompetentne.

Jego ludzie niemal od razu się zorientowali, że nikt nie ma im nic do powiedzenia. Mica Troendel poinformował Doneta:

– Nikt tego wyraźnie nie powiedział, wasza miłość, ale odniosłem wrażenie, że ludowi nie spodobało się, że uszedłeś z życiem.

Doneto wyciągnął z tego wniosek, że zabójcy byli tutejsi i potrafili zastraszyć mieszkańców. Znacznie później przyszło mu na myśl, że ludność mogła życzyć zabójcom jak najlepiej, nie wiedząc, kim są.

Leżąc w łóżku, niezdolny się poruszyć, Doneto miał mnóstwo czasu, żeby się zastanowić nad sytuacją w Connec z punktu widzenia zwykłego człowieka. I nie spodobało mu się to, do czego doszedł. Wcale. Lecz prawda też może być czasami użytecznym narzędziem.

– To heretycy maysalscy próbowali mnie zabić – poinformował Serifsa, gdy biskup zdołał się na moment oderwać od swych rozwiązłych zajęć.

Serifs nie zgodził się z nim.

– Nie. To są pacyfiści. Nikogo by nie zabili.

– Nawet patriarszego legata, który jest ich zaprzysięgłym wrogiem?

– Zwłaszcza legata. Nie chcą mieć kłopotów z Brothe. Chcą żeby Brothe zostawiło ich w spokoju. Tego zresztą chce cała ludność Connec. Żeby Brothe zostawiło ją w spokoju.

– Tak czy inaczej upublicznimy oskarżenia.

– Nikt nie uwierzy. A najprawdopodobniej skończy się na tym, że uznają, iż zaaranżowałeś zamach, żeby mieć podstawę do sformułowania oskarżeń.

– W głosie samego Serifsa pobrzmiwały oskarżycielskie tony. Najwyraźniej rzucone właśnie podejrzenie wydało mu się całkiem uzasadnione.

Doneto zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Czas spędzony wśród brudasów pokazał mu, w jak niewielkim stopniu szanują Brothe i Kościół, jak bardzo podejrzliwie się do obu odnoszą. Co gorsza, stało się oczywiste, że connekiańscy episkopalni są znacznie krytyczniej usposobieni niż ich heretyccy maysalscy kuzyni.

Straszną nauczką, jaką wyciągnął z nocy długich noży, było przekonanie, że Connekianie nie mają najmniejszych wątpliwości w kwestii zła i moralnej deprawacji, emanujących z Brothe i Krois, tamtejszego patriarszego pałacu.

– Wobec tego obciąż winą tego syfilityka z Viscesment.

– Jak sobie życzysz. Ale ludzie w to też nie uwierzą.

– A więc w co gotowi byliby uwierzyć? – Doneto zmusił się, by siedzieć swobodnie. Czuł, jak szwy rozrywają skórę wokół ran.

– Uwierzą w każdą negatywną wypowiedź na temat Patriarchy i Kolegium, jakkolwiek byłaby absurdalna.

– A więc kto mnie próbował zamordować? Tak naprawdę.

Biskup Serifs wzruszył ramionami.

– To mogli być rabusie. – Widząc, że Doneto jest bliski wybuchu, dodał:

– Najprawdopodobniej poplecznicy Niepokalanego, którzy działali bez aprobaty Viscesment. Albo ktoś, komu skonfiskowaliśmy jego dobra.

– Skąd ktokolwiek, z jakiegokolwiek frakcji, mógłby wiedzieć o mojej tam obecności? To miała być tajna misja. Nawet ty niewiele o mnie wiesz.

Serifs znowu wzruszył ramionami.

– Nikomu nic nie powiedziałem. A więc, znowuż, może to byli rabusie. A może ktoś w Brothe doszedł do wniosku, że wygodnie będzie ciebie usunąć w miejscu, w którym nie wywoła to większych podejrzeń.

Rabusie? Bzdury. Rabusie nie atakowali zbrojnych oddziałów.

Natomiast morderstwo jako instrument polityczny nie było szczególnie popularne. Przynajmniej nie dokonywano go w taki sposób. Kiedy się już do niego uciekano, najczęściej była to trucizna lub celny cios sztyletu i zazwyczaj w następstwie próby zamachu tudzież ujawnienia wielu skrajnych dwulicowości. Nigdy nie działo się to na oczach setki świadków. Chyba że... chyba że ktoś chciał wysłać jednoznaczną wiadomość. Na przykład, sam Wzniosły.

Nagle Doneto przestał ufać komukolwiek. Może sam Serifs był niegodziwcem. Albo ksiązę Tormond. Miał przecież pod swoją komendą żołnierzy. Napastnicy mogli być żołnierzami. Ale skąd ksiązę by wiedział?

– Chciałbym się zobaczyć z moim człowiekiem, Troendelem. – Mica Troendel był teraz dowódcą niedobitków straży przybocznej. Doneto chciał być gotów do podróży najszybciej jak się da. A zanim to nastąpi, chciał poczuć się bezpiecznie.

Problemem Connec się zajmie, kiedy już bezpiecznie znajdzie się daleko stąd. Zajmie się serio.

Misja okazała się katastrofą. Podejrzewał, że w najbliższym czasie nic się nie zmieni na lepsze.

Doneto miał ochotę jak najszybciej uciec z Antieux, ale bracia uzdrowiciele utrzymywali, że potrzebna mu dalsza kuracja. W końcu pozwolili mu odbyć podróż do wiejskiej rezydencji Serifsa, położonej pośród winnic na wzgórzach nad miastem. Tam pozostałym strażnikom będzie łatwiej go chronić.

Podróż pociągnęła za sobą takie właśnie skutki, przed jakimi go bracia ostrzegali. Rany się otworzyły. Doneto rozpoczął walkę z infekcją, która miała trwać miesiące.

Podróże po Morzu Ojczystym

Statek kupiecki był zbyt mały. Skakał na falach jak korek. Trzeszczał, grożąc natychmiastowym rozpadem, nawet kiedy morze było spokojne. Śmierdział. Pasażerowi nie pozostawało nic innego, jak rozpaczliwie trzymać się do chwili, aż nadejdzie cios. Else dostrzegał właściwie jeden tylko pozytywny wymiar całej podróży – nie zamoczy butów, czego by nie uniknął, wędrując pieszo do Staklirhod.

Sha-lug leżał na czymś, co prawdopodobnie zawierało przemycaną bawełnę. Sprzedaż chaldaranom wełny była sprzeczna z dreangerskim prawem. Kupcy jednak jak zawsze ignorowali religijne dogmaty i polityczne credo. Statkowi towarzyszyły mewy w nadziei na odpadki, ale ich jedynym łupem była rybia drobnica ciśnięta kilwaterem na powierzchnię wody. Niebo było prawie bezchmurne i tak niebieskie, że sprawiało wrażenie, jakby zaraz miało spaść na głowę.

Ze swego miejsca Else widział zarysy licznych wysp i żagle kilku statków.

Marynarz z Antast, chaldaranin o imieniu Mallin, leżał obok, równie zadowolony z chwili spokoju. Pochodził z gór Neret, które wyrastały z brzegów Lucidii oraz najdalej na południe położonych prowincji Cesarstwa Wschodu. Tereny te nieustannie przechodziły spod władzy Rhun we władanie kaifatu i z powrotem.

Antastowie stosowali się do nauk Założycieli. Utrzymywali, że ich wizja świata niczym się nie różni od sformułowanej przez Aarona, Eisa, Kelama i pozostałych.

– Nie boisz się piratów? – zapytał Else. – Wszystkie te wyspy wyglądają jak prawdziwy raj dla piratów.

– Może tak było w starożytności. Przed Dawnym Imperium. Jak też w kilku epokach późniejszych. Ale nie dziś. Bractwo Wojny nie toleruje piractwa. Tam, gdzie piractwo, wielu ginie. Większość w nieprzyjemny sposób. Żony, dzieci, każdy na tyle głupi, żeby żyć w tym samym mieście. A gdy Bractwo ich nie dopadnie, zajmują się tym firaldiańskie republiki. Jeśli sprawy nie załatwi szybciej flota Cesarstwa Wschodu. Nie. Powinniśmy się obawiać raczej problemów z lokalnymi urzędnikami. Widzisz tę wyspę, która wygląda jak siodło? Kiedy ją minimy, zobaczysz przed dziobem przylądek Jen. Najdalej na południe wysunięty kraniec Staklirhod. Wraz z porannym przypływem powinniśmy zawinąć do portu.

– Sądziłem, że potrwa to o dzień dłużej.

– Szybko płynęliśmy. Nahlik mówi, że przyniosłeś nam szczęście. Nie musieliśmy dawać łapówki przy opuszczaniu Shartelle, a kiedy do niej przypłynęliśmy, cargo już czekało na załadunek. Poza tym pogoda dopisywała.

– Pogoda dopisywała? Chyba oszalałeś.

– Szczur lądowy. Zaznałeś tylko lekkiej bryzy i spokojnego morza.

– A więc to prawda. Trzeba mieć w sobie żyłkę szaleństwa, żeby zostać żeglarzem. Grubą żyłkę.

– Nie przeczę. Dlaczego wsiadłeś na pokład?

– Po prostu lubię pływać po wodach pełnych istot, które chcą mnie zjeść.

Mallin sondował go. Podobnie jak cała załoga. Byli lojalni wobec Dreanger, ale też ciekawi. Podejrzewali go o to, że jest sha-lugiem, a nie żadnym arnhandzkim rycerzem wziętym do niewoli dla okupu.

Mallin mruknął coś pod nosem.

– Kłopoty rodzinne – powiedział Else, trzymając się oficjal – nej legendy, choć cała załoga doskonale rozumiała, że gdyby był arnhandzkim rycerzem w drodze do domu, nie znalazłby się na ich statku.

Na dziobie rozległ się gwizd.

– Okręt wojenny od furty dziobowej.

Else i Mallin usiedli. Marynarz zapytał:

– Jakie barwy?

– Wciąż za daleko, żeby mieć pewność. Wielki skurwiel.

Mallin poinformował Else'a:

– Na tych wodach to pewnie będzie Bractwo Wojny. A może Sonsanie. Oni przede wszystkim obsługują handel między wyspami.

Bractwo Wojny było zakonem chaldarskich rycerzy i żołnierzy, którzy poświęcili się walce z wrogami Boga. Ich misją było wydarcie Studni Ihrian spod kontroli praman. Byli znakomitymi wojownikami, często zwycięskimi i zawsze nieustraszonymi, nawet w obliczu liczebnej przewagi. Sha-lugowie nauczyli się unikać zwady z nimi, gdy mieli taką możliwość, a przynajmniej wybierać grunt, na którym do niej dochodziło.

Marynarz z dziobu oznajmił:

– Nie płyną w naszą stronę. Szybki skurwiel. Trzy pokłady.

Sylwetka galery rosła w oczach. Była długa, wąska, ciemna, cicha i zaskakująco szybka. Nieznacznie zmieniła kurs, kierując się nieco w stronę kupca, ale nie bezpośrednio na niego. A potem minęła go w odległości jakichś stu stóp w zupełnej ciszy, mąconej tylko sykiem wody o kadłub oraz przytłumionym skrzypieniem i pluskiem wiosł.

– Cóż, przerażające jak jasna cholera – powiedział Mallin, gdy galera pomknęła swoją drogą. – To jakiś pieprzony statek widmo czy co. Skurwiel prosto ze stoczni. Nigdy go nie widziałem.

Else też go nie widział, ale wiedział, do kogo okręt należy. Do Gordimera Lwa. Wśród gapiów przy relingu na śródokręciu statku, przypatrujących się żeglarzom, stał niejaki er-Rashał al-Dhulquarnen z dreangerskiego dworu.

Dwie godziny później pojawiła się druga galera, mniejsza, starsza, w gorszym stanie i znacznie bardziej hałaśliwa. Należała do Bractwa Wojny. Szukała dziwnego okrętu wojennego, buszującego po archipelagu.

Else spokojnie przyjął fakt, że Nahlik zdradził kierunek, w którym popłynął tamten okręt. Er-Rashał potrafił o siebie zadbać.

– To mogłaby być interesująca bitwa – powiedział Mallin. – Te dwa statki naprzeciw siebie.

– Z pewnością.

Słońce ledwie wzeszło, kiedy statek zacumował w Runch. Else wynajął chłopca dokowego, żeby pomógł mu przenieść rycerski rynsztunek. Potem ruszył za nim do wielkiego kamiennego budynku, w którym znajdowały się lokalne faktorie Trzech Rodzin Republiki Sonsańskiej. Przedstawił się jako Aelford daSkees i wyłuszczył swoje potrzeby urzędnikowi podobnemu do gнома z jakiegoś kosmogonicznego mitu.

Gnom odrzekł:

– Nie mamy żadnego statku, który odpływałby dziś czy jutro. Trzeba było przypłynąć wczoraj. Wysłaliśmy pełne cargo. Czasy są niesprzyjające.

Dreangerczycy zawzięli się na przemytników bawełny, a Lucidia zmniejszyła eksport *kuf*. - Słowem *kuf* w języku lucidiańskim nazywano narkotyczne liście konopi. – Wojny i plotki o wojnach. Wojna nigdy nie sprzyja interesom.

Else był zaskoczony, słysząc takie słowa w ustach Sonsanina. Sądził, że kupcy zawsze prosperują podczas walk.

– Rodzinom też się daje we znaki.

– Nie inaczej. – Gnom nie wyraził współczucia zmarłym rodziny daSkees. Nie słuchał nikogo prócz samego siebie. – Tak. Jest. *Vivia Infanti* ma przypłynąć z pełnym ładunkiem pojutrze. Chcesz mieć prywatną kabinę, wspólne kwatery czy prześpisz się na pokładzie?

– Na pokładzie. Nie wzbogaciłem się w Ziemi Świętej.

– Nikt się tam nie wzbogaci. Przynajmniej nie wojownicy. Weźmiesz własny prowiant? Czy będziesz jadł w mesie z żeglarzami?

– A jak będzie taniej? Od Sonsy wciąż czeka mnie długa droga.

– Z pozoru własny prowiant może się wydawać tańszy. Ale będziesz musiał sam sobie gotować. Albo zapłacisz kukowi, żeby gotował dla ciebie.

– Będę jadł z załogą.

– Bierzesz chłopaka?

– Podróżuję sam. Wynająłem go, żeby pomógł mi nosić rynsztunek.

Gnom zerknął na stos.

– Nie wydaje się wart tego, by go ze sobą wlec, nieprawdaż? Opłata wynosi więc czternaście srebrnych sonsańskich scutti. Albo ich równowartość w monecie innej mennicy.

Else podejrzewał, że cena jest zbyt wysoka. Zgromił wzrokiem starca. Po tamtym spłynęło to jak woda po gęsi.

– Możesz też podróżować pieszo – ciągnął gnom. – Chociaż lepiej było o tym pomyśleć, póki znajdowałeś się na stałym lądzie.

Else wyciągnął sakiewkę różnorodnych monet, wybitych w kilkunastu różnych mennicach i w tyluż krajach. Na ile się orientował, gnom nie próbował go oszukać. Chyba że skłamał, twierdząc, iż ostatnio Gordimer zaczął dewaluować pieniądź Dreanger.

Deprecjacja waluty idealnie pasowała do charakteru Lwa.

– Chcesz tutaj zaczekać na *Infanti*? - zapytał gnom. – Czy wynajmiesz gdzieś pokój? Pierwsza lepsza noclegownia żeglarzy będzie z pewnością

tańsza, ale nie dostaniesz nic do jedzenia i zapewne okradną cię podczas snu.

– Jaki uszczerbek poniosą moje fundusze, gdy zostanę tutaj?

Gnom wymienił kwotę, która Else'owi wydała się rozsądna.

– Licencja, którą wystawiło nam Bractwo Wojny, obliguje nas do przenocowania i nakarmienia krzyżowców po cenie kosztów – dodał.

– Och. Oczywiście, że tu zostanę. – Else miał już okazję nocować w noclegowniach żeglarzy. Powtórzy to, jeśli będzie musiał. Ale postanowił sobie oszczędzić tej przyjemności.

Gnom zniknął wśród cieni zalegających w pomieszczeniu. Jego pracodawcy najwyraźniej nie inwestowali w oświetlenie wewnątrz. Wrócił po chwili w towarzystwie potężnego draba.

– Goydar pokaże ci twoją pryczę.

Else zapłacił chłopcu, a potem poszedł za wielkoludem, który niósł wszystko. Tamten nie odezwał się ani słowem. Na jego ciele było trochę zbędnego tłuszczu, jak u eunucha. Może uciekinier z jakiegoś wschodniego dworu bez języka i jąder?

Else miał pokój wyłącznie dla siebie, choć szeroki tylko na cztery stopy i tak niski, że nie sposób było się wyprostować. Wsunął rynsztunek pod wąską pryczę.

W życiu rzadko miał okazję cieszyć się takim prywatnym luksusem. Jako chłopiec, a potem nieżonaty mężczyzna sypiał z innymi w baraku czy namiocie. W małżeństwie dzielił z żoną i dwiema córkami klitkę. Takie było życie sha-luga. Nigdy nie było się samemu.

Tak naprawdę, kiedy zostawał sam, czuł się niezręcznie.

A odtąd sporą część życia miał spędzić w samotności.

Sprawdził, czy nie ma w ścianach otworów podsłuchowych, potem postanowił zrezygnować z odprawienia religijnych obrządków. Któż to wie, jakie czary mogą działać w tym obcym miejscu? W każdym cieniu mógł się kryć jakiś złośliwy duch nocy.

Ze zgromadzonych wspomnień próbował odtworzyć religijne obrzędy chaldaran.

Z pewnością nie uniknie pomyłek. Miał nadzieję, że w trakcie dalszej podróży na zachód wymówka o latach spędzonych za morzem w kompanii brutalnych, bezbożnych ludzi okaże się przekonująca. Wedle jego

mniemania ludzie zachodu-znacznie swobodniej podchodzili do religii niż pramanie.

Pierwszą próbę musiał przejść przy kolacji, do której zasiadł we wspólnej sali, przywodzącej na myśl żołnierską kantinę – jedyną różnicą były zastawione stoły. Posiłków nie podawano w zgodzie z ustalonym porządkiem. Sonsańscy robotnicy przychodzili i wychodzili wedle woli, podobnie jak goście. Spora grupka ludzi czekała na transport na wschód czy zachód. Przy stole Else'a zasiadł weteran z Direcii, Enio Scolora, który wracał do domu po dwudziestu latach walki z niewiernymi. Koniecznie chciał przedyskutować wszystko w najdrobniejszych szczegółach z towarzyszem broni, daSkeesem. Scolora też miał zamiar podróżować na pokładzie *Vivia Infanti*. Else drżał na myśl, że rozmowa zahaczy o kogoś, kogo obaj powinni znać. Szybko się jednak okazało, że jeśli będzie trzymał buzię na kłódkę i od czasu do czasu wydawał potakujące mruknięcia, Scolora sam będzie paplał w nieskończoność.

Prawdziwym niebezpieczeństwem okazał się sam posiłek. Na główne danie postawiono przed nimi wielką pieczeń. Wszyscy się zgodzili, że to wielki przysmak. Na co dzień jadali baraninę z baraniną, przyprawioną baraniną. Dla Else'a byłoby to jak najbardziej do przyjęcia.

Enio Scolora odciął sobie porcję tak wielką że tygrys by się nią zadławił.

– Ha! Zmora naszych wrogów. Jak możemy się bać kogoś, kto od czasu do czasu nie może się uraczyć dobrą pieczoną świnia?

Inny żołnierz dodał:

– Po tym właśnie odróżniamy joskerów od devów, no nie? – Zaśmiał się z otwartymi ustami, smarkając na stół. Zebrał wydzielinę i wytarł o udo.

Else wiedział, o co chodzi z devami. Devedianie wyznawali starą mniejszościową religię, która zrodziła się w Ziemi Świętej na długo przed współczesnymi religiami. Dietetyczne prawa devedian przypominały zasadniczo reguły zawarte w al-Pramie. Prorocy devedian oderwali się od starożytnego wyznania dainschauów podczas schizmy na trzy wieki przed tym, nim Założyciele chaldaran – którzy uważali się za nabożnych devów – odkryli własny głos. Devowie byli znacznie mniej liczni niż chaldaranie i al-pramanie, ale wciąż zachowywali pewne wpływy duchowe.

– Nie wspominając już o dainschauach, którzy to wszystko zaczęli – powiedział Else. – Joskersowie? Musiałem chyba żyć w jakiejś dziurze na pustyni, jak anachoreta. Nie znam ich.

– Tak określaliśmy ludzi kaifa. Brzmi to trochę jak określenie z peqaadyjskiego na „czubków z Kasr”.

Arnhandowie zazwyczaj pomijali „al-Zed”, kiedy mówili o wschodnim kaifacie. Zazwyczaj określali go mianem starożytnego królestwa, od którego wziął początek, czyli Lucidii.

Else nałożył sobie kawałek wieprzowiny. Nie miał innego wyjścia. Poza tym dyspensy osobiście udzielił mu awansem kaif al-Minfet, ponieważ oczywiste było, że chcąc uchodzić za wroga, będzie musiał złamać wiele religijnych praw.

– Nieźle. – Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. – Po owsiance i zsiadłym mleku, jakie podają w Triamolin. – Prawdziwy Aelford daSkees służył właśnie w tym małym mieście-państwie, nim został wezwany do domu.

– Stare dobre robaczywe suchary z beczki i mięso tak paskudne, że padlinożercy by go nie tknęli – odezwał się Solora. – Tak widzę cały urok żołnierskiego życia.

Przesadne opowieści o życiu żołnierza w polu były najwyraźniej uniwersalne. Else powiedział:

– Inwentarz trzeba pędzić żywy, póki nie okaże się potrzebny.

– Wy nigdy tego nie robiliście. Nigdy nie widziałem tak żalösnej bandy komicznych żołnierzy jak wy, kiedy się pojawiliście przed bitwą o Studnię Dni.

Else udał, że się rozgląda, czy nikt nie podsłuchuje.

– Ja tego nie powiedziałem. Książę Aderble jest idiotą. Zupełnie dosłownie. Nie interesuje go nic prócz własnych ułomności. Kapłani wykorzystują go jako figuranta, podczas gdy sami napychają sobie kabzy. Tak naprawdę, powinieneś się dziwić, że w ogóle dotarliśmy na miejsce przed bitwą.

Nie mówił o niczym, co nie było tajemnicą poliszynela. Oddział Triamolin został starty przez Indalę al-Sul al-Halaladyna. Pozostałym siłom krzyżowców nie powiodło się wiele lepiej.

– Jak ocalałeś pod Studnią Dni? – To pytanie musiało paść

– Miałem na tyle rozumu, by leżeć w łóżku, dochodząc do siebie po zatrutej strzale, którą dostałem podczas potyczki z bandytami z Dreangeru.

– Else miał bliźnę, którą mógł dowieść prawdziwości swych słów.

– Zaiste, jest Bóg.

– Nie sądziłbyś o Nim tak dobrze, gdybyś sam oberwał jedną z tych strzał. Boli strasznie.

– Skąd przybywasz? – zapytał Solora. – To znaczy, gdzie się urodziłeś?

– La Triobe. W Tramaine. Wiem. Nigdy nie słyszałeś. Przebywałem w Ziemi Świętej, od kiedy skończyłem piętnaście lat. Czemu?

– Masz śmieszny akcent.

– Przez większość czasu rozmawiałem po peqaadyjsku lub melhaicku.

Nagle stary żołnierz wykonał ostrzegawczy gest dłonią. Cały stół zamilkł. Byli ostatni w kantynie.

Do mesy weszli dwaj Bracia Wojny. Jeden był posiwiątym, pokrytym bliznami weteranem po pięćdziesiątce. Drugi nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Obaj byli szczupli, twardzi, bardzo czyści, wręcz wymuskani. Tak podobni do siebie, że mogli być rodziną gdyby nie to, że wstępując do zakonu, Bracia składają śluby czystości.

– Nie chcemy przeszkadzać w rozmowie – powiedział starszy, zajmując miejsce przy stole Else’a.

Młodszy postąpił podobnie.

Odziani byli w czerń Bractwa z czerwoną klepsydrą i skrzyżowanymi białymi mieczami wyhaftowanymi na piersi kaftanów. Ten sam emblemat, tylko większy, mieli na plecach.

– Podróżni? – zapytał Else. Z pozostałych nikt nie miał ochoty się odezwać, a co dopiero przedstawić.

Większość krzyżowców nie przepadała za Braćmi. Byli fanatykami, kompletnie pozbawionymi poczucia humoru, ponurakami, którym się spieszyło do Nieba. Dobrze jednak było mieć ich po swojej stronie, kiedy ugrzęzło się w szambie i potrzebowało kogoś, kto z niego wyciągnie.

Przybyłym przyniesiono talerze. Starszy wyjaśnił:

– Zmierzamy do Dateon. Wyruszamy nocą. – Jego spojrzenie było przeszywające. Else pomyślał o Gordimerze i jego wybuchach. – Opowiadałeś o swoich przygodach w Ziemi Świętej.

– Nie ma wiele do opowiadania. Ojciec wysłał mnie i mojego wuja do Triamolin, ponieważ jego wuj powiedział mu, że młodzi mężczyźni mogą zdobyć tam sławę i fortunę. Nie zdawał sobie sprawy, jak jest naprawdę.

Młodszy Brat mruknął coś nieartykułowanego i przełknął jeszcze dobrze nieprzeżuty kęs wieprzowiny.

– Carpetowie są zupełnie do niczego jako wojownicy i szlachta.

– Wyjąwszy Anselma, który założył państwo Triamolin – sprostował starszy.

– Szkoda więc, że ówczesny Patriarcha nie przyjrzał się potomkom Anselma, zanim włożył koronę na skronie starego.

Starszy brat puścił uwagę mimo uszu. Znów zwrócił się do Else'a:

– A więc w końcu miałeś dość, tak? U nas mógłbyś dokonać zbożnych czynów. Bractwo Wojny zawsze z otwartymi ramionami wita ludzi, którzy chcą czynić dzieła Pana.

Else nie wytknął mu, że wedle jego rozeznania chaldarski Bóg jest pacyfistą.

– To nie tak. Zostałem wezwany do domu. Jestem ostatnim z daSkees. Pozostali polegli, gdy księżę Harmonachy najechał Tramaine. Podczas ucieczki z Themes jego grolsacherscy najemnicy wyrznęli wszystkich, którzy stanęli im na drodze.

– Wspomniałeś chyba, że wuj udał się z tobą na wschód?

– Reafer. Tak. Umarł na dyzenterię.

– To jest okrutny świat. Więcej ludzi ginie od chorób niż z ręki wroga.

Odnosiło się to także do drugiej strony, mimo iż dysponowała znacznie bardziej zaawansowaną sztuką medyczną i chirurgiczną, jak też znacznie praktyczniejszym podejściem do profilaktyki i zwalczania zarazy. Else tylko mruknął twierdząco. Mechanicznie łykał wieprzowinę, kęs za kęsem.

– Nie boisz się nas – zauważył młodszy brat. – Inaczej niż pozostali.

– Nie. A powinienem? Czy jesteście demonami w ciałach ludzi?

– Oni wszyscy sądzą, że jesteśmy czarownikami.

To było coś nowego. Else znał Bractwo Wojny tylko jako zgromadzenie zawziętych wojowników.

– I? Czyżbyście zwrócili się przeciwko własnemu rodzajowi?

Cichy szept, jaki poniósł się po stole, zdradzał, że pozostali żywili takie właśnie podejrzenia.

– W ogrodzie Pana rosną też chwasty. Stajemy w obliczu epoki nowych krucjat. Stal musi się hartować. Mamy przeciwko sobie groźnych wrogów w osobach Indali al-Sul al-Halaladyna i Gordimera Lwa. W zastępach Pana nie będzie miejsca dla wątpiących lub zajęczego serca.

Else zdał sobie sprawę, że faktycznie pod pewnymi względami obie strony niczym się od siebie nie różnią.

– A co z tymi, którzy są zbyt wyczerpani i zmęczeni, którzy nic już nie mogą ofiarować królom i wodzom, którzy dbają bardziej o własną chwałę i pomyślność niż o odzyskanie Studni Ihrian?

– Jeśli tak zechcą Bóg i Patriarcha, podczas następnej krucjaty nie będzie to problemem.

– Dość – uciął starszy brat. – On jeszcze na oczy nie widział Ziemi Świętej – poinformował Else’a.

Najwyraźniej młodszy powiedział coś, czego mówić nie powinien. Czy faktycznie przedsięwzięto nadzwyczajne środki, żeby uzbroić nową krucjatę w kompetentnych, umotywowanych i głęboko wierzących przywódców? To nie byłoby dobrze. Arnhandowie byli wojownikami godnymi szacunku. Tylko małostkowość i niekompetencja ich dowódców uniemożliwiały im osiągnięcie militarnych sukcesów.

Else leżał w ciemnościach i wpatrywał się w sufit. Wieprzowina zalegała mu w żołądku. Niedaleko ktoś energicznie korzystał z kobiety, przy jej entuzjastycznym udziale. Nie zwracał na to uwagi.

Już zdobył ważne materiały wywiadowcze. Następna krucjata będzie znacznie lepiej zorganizowana i dowodzona. A nowy Patriarcha Brothe sam dobierze jej dowódców.

Myśli Else’a podryfowały ku oddziałowi, który poprowadził do Andesqueluz. Powinni już być w domu. Miał nadzieję, że czekała tam na nich nagroda.

Potem pomyślał o zagadkowej śmierci bogona.

Kto wyczarował stwora? Z pewnością nie żaden przyjaciel. Ktoś, kto nie chciał, żeby mumie dotarły do er-Rashała? Prawdopodobnie. Zakładając, że te kruche stare szczątki miały jakiegokolwiek magiczne zastosowanie.

Teoretycznie rzecz biorąc, tajemniczym wrogiem mógł być każdy czarownik zorientowany w planach er-Rashała. Ale kwestie te z pewnością nie należały do palących. W przeciwnym razie nie żeglowałby po Morzu Ojczystym, żeby sprawdzić postępy jakiegoś tam szpiega.

Nad tym jednak również należało się zastanowić.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Nie zareagował. Zapewne jakaś lokalna panienka oferująca swoje usługi. A może chłopiec, ponieważ już wcześniej odmówił dwóm kobietom.

Nahlik siedział naprzeciwko Else’a i pił wino. Ten ograniczył się do kawy. Złamanie tego akurat dietetycznego tabu musiało zabrać trochę

czasu.

Nahlikowi udało się to już dawno temu.

Przy ich stole w marynarskiej mordowni pod nazwą Zardzewiała Latarnia siedziało jeszcze dwóch ludzi. Mallin przyszedł z Nahlikiem. Tamten drugi był obcy. Kiedy Else dotarł na miejsce, siedział za stołem z twarzą zanurzoną w kałuży wymiocin. Klienci siadali gdzie mogli, choć przez to często trafiali w towarzystwo obcych.

– Lepiej porozmawiajmy, zanim wyrzucą tego tutaj, żeby zrobić miejsce dla klienta, który płaci – odezwał się Mallin.

– Nahlik, miałeś rację, kiedy nie pozwoliłeś mi zabrać na brzeg

Potężny mężczyzna zgrzytnął zębami.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Mówił mechanicznie. – Kazano mi znaleźć Carpia. On miał cię wskazać. Potem zabiłbym cię w bójce, a Carpio przysięgłby, że to ty ją zacząłeś.

– Ale Carpio wyszedł zaraz po rozmowie. Jak myślisz, dokąd poszedł? Kto ci kazał zabić człowieka, którego wskaże?

– Starkden. Rozkaz pochodzi od Starkden.

– To jest imię mężczyzny?

– Starkden jest kobietą. Tak powiadają.

Z własnej woli udzielił informacji. Dobry znak. Przełom w ich wzajemnych stosunkach.

– Niech tak będzie. A więc Starkden cię przysłała. Dlaczego?

– Ponieważ chciała, żebyś umarł, jak sadzę.

– Dlaczego?

Wzruszenie ramion.

– Opowiedz mi o tej kobiecie. Chcę się też dowiedzieć, gdzie mam jej szukać.

Tamten nic nie wiedział. Nigdy w życiu nie widział Starkden na oczy. Słyszał tylko, że jest starszą kobietą, po czterdziestce, może po pięćdziesiątce. Jeżeli robiło się, co kazała, płaciła dobrze. Rzekomo nie miała żadnych interesów politycznych czy religijnych. Rozmówcy Else'a też takie bzdury nie interesowały.

Else przepytował go jeszcze przez jakieś dziesięć minut, ale niczego więcej się nie dowiedział.

– W porządku, Ben. – Wielkolud nazywał się Benatar Piola. – Chcę, żebyś posiedział tu jeszcze przez chwilę, nim przestanie cię boleć kolano.

Jeżeli od razu spróbujesz je nadwerężyć, załamie się pod tobą, zniszczysz sobie staw i prawdopodobnie będą ci musieli uciąć nogę. – Głupiego nie nauczysz, ale można go wykorzystać.

Else zamówił wino dla Bena, zapłacił i wyszedł.

Dotarłszy do budynku factorii, opowiadał o swojej przygodzie każdemu, kto chciał słuchać. Uznał, że tak właśnie zachowałyby się prawdziwy podróżny. Miał też nadzieję, że może ktoś wpadnie na

– Zmykaj – powiedział i sam zajął stołek.

Else wbił wzrok w swoją kawę i czekał, aż przyniosą nowy kubek. Czuł, że tamten mu się przygląda.

Z pozoru był zupełnie sam. A jego zachowanie nie przyciągnęło niczyjej uwagi, mimo że było demonstracyjnie nieuprzejme i prowokacyjne.

– To było niewybaczalnie niegrzeczne – stwierdził Else.

Jasne było, że wielkoludowi chodzi o zwadę. Else postanowił go sprowokować.

Tamten chciał już coś powiedzieć, ale tylko westchnął zaskoczony.

– Nie szukaj zwady z człowiekiem, który chowa rękę pod stołem. Jeżeli choć odetchniesz w sposób, który mi się nie spodoba, stracisz kolano. Jeżeli się bodaj poruszysz, wykroję ci rzepekę. Kiwnij głową, że zrozumiałeś.

Tamten kiwnął. Na jego twarzy nie było widać strachu, tylko ból i konsternację. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do sytuacji, w której znalazł się po gorszej stronie równania ból-strach.

Przybyła świeża kawa dla Else'a. Zapłacił, odliczając monety jedną dłonią. Potem poinformował nowego przyjaciela:

– Teraz mi wyjaśnij, o co ci chodzi. I dlaczego to robisz. Wyjaśnij mi, ponieważ nie chcesz przejść przez resztę swego życia na jednej tylko nodze.

Tamten siedział całkowicie bez ruchu.

– Mów do mnie – rozkazał Else. Wcisnął ostry jak brzytwa czubek długiego sztyletu ćwierć cala głębiej pod rzepekę na prawym kolanie tamtego. Nic. – Nikt ci nie pomoże. Długowłosego przyjaciel cię opuścił. – Dalej nic. – Jeżeli masz w głowie bodaj tyle rozumu, ile Bóg dał ropusze...

– O dowódcy krzyżowców, który dał się powtórnie złapać na tę samą sztuczkę, sha-lugowie mawiali: „Głupiego nie nauczysz”. A ten tu wyglądał jak wzorcowy okaz głupca. – Naprzykrzasz mi się z jakiegoś powodu. Chcę go znać. – Sztylet wszedł w ciało odrobinę głębiej.

Else wyraźnie zobaczył na twarzy tamtego olśnienie.

Potężny mężczyzna zgrzytnął zębami.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Mówił mechanicznie. – Kazano mi znaleźć Carpia. On miał cię wskazać. Potem zabiłbym cię w bójce, a Carpio przysięgłby, że to tyją zacząłeś.

– Ale Carpio wyszedł zaraz po rozmowie. Jak myślisz, dokąd poszedł? Kto ci kazał zabić człowieka, którego wskaże?

– Starkden. Rozkaz pochodzi od Starkden.

– To jest imię mężczyzny?

– Starkden jest kobietą. Tak powiadają.

Z własnej woli udzielił informacji. Dobry znak. Przełom w ich wzajemnych stosunkach.

– Niech tak będzie. A więc Starkden cię przysłała. Dlaczego?

– Ponieważ chciała, żebyś umarł, jak sadzę.

– Dlaczego?

Wzruszenie ramion.

– Opowiedz mi o tej kobiecie. Chcę się też dowiedzieć, gdzie mam jej szukać.

Tamten nic nie wiedział. Nigdy w życiu nie widział Starkden na oczy. Słyszał tylko, że jest starszą kobietą, po czterdziestce, może po pięćdziesiątce. Jeżeli robiło się, co kazała, płaciła dobrze. Rzekomo nie miała żadnych interesów politycznych czy religijnych. Rozmówcy Else'a też takie bzdury nie interesowały.

Else przepytował go jeszcze przez jakieś dziesięć minut, ale niczego więcej się nie dowiedział.

– W porządku, Ben. – Wielkolud nazywał się Benatar Piola. – Chcę, żebyś posiedział tu jeszcze przez chwilę, nim przestanie cię boleć kolano. Jeżeli od razu spróbujesz je nadwerężyć, załamie się pod tobą, zniszczysz sobie staw i prawdopodobnie będą ci musieli uciąć nogę. – Głupiego nie nauczysz, ale można go wykorzystać.

Else zamówił wino dla Bena, zapłacił i wyszedł.

Dotarłszy do budynku factorii, opowiadał o swojej przygodzie każdemu, kto chciał słuchać. Uznał, że tak właśnie zachowałyby się Prawdziwy podróżny. Miał też nadzieję, że może ktoś wpadnie na pomysł, o co właściwie chodzi. Nie uzyskał nic prócz odrobiny nieszczerego współczucia. Powinien być na tyle mądry, by nie chodzić po mordowniach

na nabrzeżu. Nikt najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, kim jest Starkden.

Rankiem tego dnia, gdy miał się zaokrętować na *Vivia Infanti* płynącą do Sonsy, przez posłańca faktorii przyszło wezwanie. Zdenerwowany powędrował za człowiekiem. Coś musiało pójść źle. Ostatnich wątpliwości się pozbył, kiedy znalazł się w pomieszczeniu sam na sam z czterema Braćmi Wojny.

– Ty jesteś sir Aelford daSkees, wracający do domu ze służby w Ziemi Świętej? – zapytał jeden z nich.

– Jam jest.

– Ja jestem Parthen Lorica. Specjalne Oficjum. Interesuje nas twoje spotkanie w żeglarskiej tawernie.

– Dlaczego?

– Przepraszam?

– Skarżyłem się tutaj na lewo i prawo, a jedyną rzeczą która kogokolwiek obchodziła, było, czy nie jestem komuś winien pieniędzy. Ktoś wydał zlecenie na zabójstwo daSkeesa? Lepiej nie dawać mu nic na kredyt.

– Właściwe podejście do interesów.

Else skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Ktoś jednak doniósł nam o wszystkim. I oto jesteśmy. Zainteresowani.

Tym razem Else odpowiedział niechętnie:

– W porządku.

– Opowiedz nam, co się wydarzyło. Postaraj się niczego nie opuścić. Każdy szczegół może się okazać pomocny. Niewykluczone, że w ten sposób działamy coś, na co od dawna liczymy.

– Mianowicie?

– Znajdziemy coś na czarownicę i szpiega imieniem Starkden.

Else skłonny był sądzić, że każdy wróg Bractwa Wojny jest jego przyjacielem. Ale ten konkretny wróg Bractwa zapłacił za jego śmierć.

Opowiedział więc wszystko niemal tak, jak się wydarzyło, nie licząc drobnych twórczych poprawek dotyczących roli, jaką odegrali Nahlik i Mallin.

– Ci żeglarze, z którymi siedziałeś... Nie znasz ich?

– Nie. Dwaj bardziej trzeźwi znali się nawzajem, ale nie znał ich pijany w sztok, jestem pewien, mimo że zabrali go ze sobą. Był już na miejscu, kiedy siadłem przy stole. Ci dwaj pokazali się parę chwil później.

– A imiona brzmią Ren i Doy?

– Tak się przedstawili. Nie interesowałem się. Byłem tam, ponieważ Latarnia podaje pęcaadzką kawę, w której zasmakowałem... Chciałem się odprężyć przed podjęciem dalszej podróży. Nienawidzę morza. Męczy mnie choroba morska. Potwornie.

– Pozostali dwaj to byli Carpio i Benatar Piola?

– Tak.

– Carpia znamy. – Po raz pierwszy zabrał głos najstarszy Brat.

Lorica dodał:

– Tylko kretyn byłby mu skłonny powierzyć jakieś sekrety. Ale ktoś musiał go wynająć. A więc jest nitką, za którą możemy pociągnąć. Pioli też nie powinno być trudno odnaleźć.

– Możecie mi coś powiedzieć o tej kobiecie, która chciała mnie zabić?

– Nie. Ale tylko dlatego, że sami niewiele wiemy. Mamy nadzieję zmienić ten stan rzeczy. Dlaczego mogła chcieć cię zabić?

– Proszę, nie zaczynajcie znowu. Nabawiłem się odcisków na mózgu, próbując coś wymyślić. Właściwie jedyną sensowną odpowiedzią może być hipoteza, że ktoś wybrał niewłaściwy cel. Ten Carpio. Jeżeli mnie śledził, może szedł za mną od miejsca, w którym się znajdujemy. Może miał śledzić innego gościa.

– To możliwe. Albo Starkden uznała, że jesteś kimś innym w przebraniu. Z kim mogła cię pomylić?

Else wzruszył ramionami.

– Całe dorosłe życie upłynęło mi na walce o Triamolin. Nie posiadam nic, co warto byłoby ukraść, ani w Ziemi Świętej, ani w domu w Tramaine. Cały mój dobytek noszę ze sobą. Dla kogo szpieguje ta kobieta?

– Plotki przypisują jej kontakty z Patriarchą, Cesarzem Wschodu i Hanselem Czarne Buty. Czy któryś z nich mógłby mieć ochotę cię zabić?

– Wątpię.

Lorica dodał:

– Starkden kojarzy się też z niewiernymi. Zwłaszcza z Lucidią.

– Nigdy nie miałem z nimi wiele wspólnego. Głównie walczyliśmy z plemionami, które Dreanger przepłacało, by się nam naprzykrzały. Wyjątkiem jest bitwa pod Studnią Dni. W której nie wziąłem udziału, ponieważ dochodziłem do siebie po ranie zadanej zatrutą strzałą.

– Byliśmy z tobą szczerzy – zapewnił go Parthen Lorica. – Mamy nadzieję, że ty też powiedziałaś nam wszystko. Odpływasz na pokładzie *Infanti*? Jeśli czegoś się dowiemy, zanim opuści port, dam ci znać.

– Doceniam i dziękuję. – To był szczodry gest. Ci ludzie szanowali w nim tego, kogo w nim widzieli. Ale miał nadzieję, że nie pójdzie im szczególnie dobrze. Ich sukces mógłby być równoznaczny z odkryciem, że Starkden tak naprawdę wyznaczyła nagrodę za zabicie wodza sha-lugów udającego Aelforda daSkeesa.

Zajął się ćwiczeniami umysłowymi, mającymi pokonać stres. Nieszczęśliwie mu szło. Wyobraził sobie śliczną blond dziewczynkę, dziecko roześmiane, próbujące iść w jego stronę. Zmagał się z tym obrazem, póki nie zrozumiał, że chodzi o jego siostrę. A wtedy mróz przejął go do szpiku kości.

W normalnych okolicznościach nie potrafił sobie ni w ząb przypomnieć swej rodziny. Było to dość zaskakujące. Chłopcy z Żywiołowego Narybku, póki byli jeszcze dość młodzi, pamiętali swe rodziny. Zwłaszcza matki. I spędzali długie godziny cichych łez w ciemnościach sypialni, gdzie nie mogli ich zobaczyć instruktorzy.

Na pokład *Vivia Infanti* Else wszedł krótko po południu, wcześniej przez cały ranek odmawiając sobie pożywienia. Statek wciąż jeszcze przyjmował ładunek. Na nabrzeżu wypatrzył Mallina i Nahlika.

Sonsański żeglarz sprawdził jego imię na liście. Drugi z fajką zwisającą z szyi na łańcuszku odciągnął go na bok.

– Sir Aelford, rzeczy, które przysłałeś, znajdują się w twojej osobistej skrytce, na dziobie. Zaprowadzę cię.

Vivia Infanti w niczym nie przypominała długich, smukłych bojowych rekinów, które Else podziwiał po drodze do Staklirhod. Była wielkim drewnianym korytem z dwoma groteskowymi kasztelami, liczącym od dziobu do rufy sto trzydzieści stóp, a szerokości pięćdziesiąt pięć. To było prawdziwe monstrum wśród statków kupieckich, prawdopodobnie przerobione z transportowca, który pływał na wschód szlakiem krucjat.

Na dziobie pod poręczami relingu znajdowały się skrytki z ładunkiem, najwyraźniej dodane przez kogoś po namyśle. Marynarz otworzył luk do schowka, który okazał się sześcianem o boku niewiele ponad dwóch stóp.

– Dzięki temu twoje rzeczy nie będą się walać po pokładzie. I nie zmyje ich fala podczas złej pogody. Ale to nie chroni przed złodziejami. Ani przed

przemoczeniem. Wiesz, czego się możesz spodziewać.

– Dzięki. – Else spojrział na małe zawiniątko z impregnowanego oliwą płótna. Były tam instrukcje od Gordimera. Nie wolno mu było go otworzyć, póki nie znajdzie się w drodze do Sonsy.

Upchnął do środka rynsztunek, zamknął skrytkę i przyłączył się do Enia Scolory przy relingu od strony ładu. Weteran zagał:

– Słyszałem, że dopadli cię Łowcy Czarownic?

– Kto? Ci Bracia, z którymi rozmawiałem rano? Chcieli wiedzieć, co się zdarzyło pod Zardzewiałą Latarnią. Co zresztą poza nimi nikogo nie obeszło.

– Słyszałem, że to byli Parthen Lorica i Bugo Armiena.

– Jeden przedstawił się jako Lorica.

– To oni. Są ze Specjalnego Oficjum. Ścigają duchy, demony, czarowników i co tam jeszcze. Lepiej nie zwracać ich uwagi.

– Co? Opowiedz mi o tym Specjalnym Oficjum.

– Jak rozumiem nie macie Bractwa w Triamolin?

– W Triamolin diabeł mówi dobranoc. Wciąż się trzymamy, ponieważ nikomu nie opłaca się nas stamtąd wykurzyć.

Scolora opowiedział długą historię o fanatykach skrytych w łonie już i tak fanatycznego Bractwa. O mężczyznach obdarzonych wielkimi talentami czarnoksięskimi, którzy wręcz pragnęli eksterminacji Tyranii Nocy.

Else nie pojmował. Stwory nocy nie były bardziej złe niż lwy czy hieny. Zachowywały się zgodnie z naturą którą dał im Bóg, podobnie jak psom, muchom i tęczom. Mogły być niebezpieczne, bywały krwiożercze, ale odnosiło się to do wszystkich przedstawicieli ładu natury. Tyrania Nocy była częścią świata i życia.

Scolora wzruszył ramionami.

– Po części już to osiągnęli. Mogą sobie pozwolić na fanatyzm. Żyją tam, gdzie noc nie jest częścią ich życia, każdej chwili każdego dnia.

Czyli wśród Studni Ihrian, które najbardziej ze wszystkich części świata pasowały do opisu.

– Jak sobie radzą, gdy muszą odwiedzać Ziemię Świętą?

– Wciąż narzekają. I obciążają winą praman. Krąży jednak plotka, że ostatnio wydarzyło się tam coś, co ich bardzo poruszyło.

– Hmm?

– Słyszałem, że ktoś skrzył kark jakiemuś wielkiemu demonowi. Zwyczajny facet, żaden czarodziej. Chęć wiedzieć, jak mu się to udało.

Żeglarze poprosili Else'a i Scolorę, żeby odsunęli się od relingu. Zaczęli wybierać cumy. Gromadziły się łodzie, które miały odholować statek od nabrzeża i wprowadzić na wody kanału. Napędem *Vivia Infanti* były wyłącznie żagle. Wyeliminowanie wioślarzy oznaczało znaczną oszczędność ludzkiej pracy.

Delikatna bryza wiała prostopadle do kadłuba statku, przyciska – jęc go do nabrzeża. Wioślarze w łodziach z pewnością zapracują na swą zapłatę.

Załoga na pokładzie wciągnęła cumy dopiero wówczas, gdy *Infanti* znajdował się trzydzieści stóp od nabrzeża, a jego dziób skręcał w kierunku kanału.

Wciągnięto pierwsze, niewielkie żagle. *Infanti* wkrótce już płynął o własnych siłach, właściwie pełznął naprzód, nie mając jeszcze odpowiedniej zdolności manewrowej. Załopotwały kolejne żagle.

– Kapitan tej krypy jest niezły – zauważył Else.

– Inaczej nie byłby kapitanem. Sonsanie są praktyczni i pragmatyczni aż do przesady. Dobrze się czujesz?

– Nigdy nie czuję się dobrze, mając pod stopami wodę zamiast ziemi. Tam, w głębinach, żyją wielkie stworzenia z mnóstwem zębów. I wszystkie chęć mnie zjeść.

Scolora zachichotał.

– Masz chorobę morską tak?

Frachtowiec ruszał się coraz żwawiej. Skręcił w kanał omijający łukiem latarnię morską oznaczającą wejście do portu. Kiedy minie tę dwustustopową ceglana budowlę, znajdzie się na otwartym morzu, a Else z każdą chwilą będzie się czuł coraz bardziej tak, jakby spadał poza krawędź świata.

– Tak.

Kapitan *Infanti* ustawił go wzduż znaczników odległości. Sygnaliści wymienili wiadomości z kapitanem portu i obserwatorami ruchu z latarni morskiej. Ruch w Runch był naprawdę spory.

Na kasztelu zrobiło się jakieś zamieszanie. Jeden z sygnalistów wezwał kapitana.

– Coś się stało – mruknął Else.

– Nic nie umknie twojej uwagi, co?

Kapitan okrętu, pierwszy oficer i paru innych członków załogi zgromadzili się wokół sygnalistów. Po dwóch minutach wymiany sygnałów kodowych starszy bosman krzyknął rozkaz, by zrefować żagle. Sternik położył statek na sterburtę i wyprowadził go z kanału. *infanti* stracił pęd. Wkrótce zaszczekał i zajęczał łańcuch kotwicy.

– Założę się, że to powód zwłoki. – Scolora wskazał długą łódź, odbijającą od małego nabrzeża u stóp Mount Calen, na której szczycie wznosiła się Castella Anjela dolla Picolina, kwatery główna Bractwa Wojny. – Ktoś chce z nami popłynąć.

Else miał nadzieję, że tylko o to chodzi.

Kapitan warknął rozkaz. Załoga zaczęła zaganiać pasażerów pod pokład. Na ich pytania, co się dzieje, odpowiedzią było milczenie.

Załoga hotelowa podążyła w ślad za pasażerami, nie bardziej niż oni zadowolona z sytuacji. Marynarze i oficerowie również zeszli, na pokładzie pozostał tylko kapitan.

Else usłyszał, jak jakaś łódź podpływa bliżej i skrobie o kadłub statku. Ktoś wszedł na pokład. Przez chwilę dobiegały zeń odległe, stłumione odgłosy rozmowy. Potem ucichły.

Kiedy nadeszło pozwolenie wyjścia na pokład, załoga i pasażerowie dosłownie wybiegli.

Ale nic już nie było do oglądania, prócz długiej łodzi płynącej z powrotem do nabrzeża u stóp twierdzy. Kapitan powrócił do wydawania poprzednich rozkazów. Załoga przygotowywała się do drogi.

Godzinę później nikt nie wiedział więcej, niż od początku było jasne.

– To był ktoś ze Specjalnego Oficjum – stwierdził z przekonaniem Scolora. – Jakiś tytaniczny czarownik. Coś się dzieje, Alf. Właśnie staje się historia. A my tkwimy w środku tego wszystkiego. – Ta myśl go wyraźnie podniecała.

Else nie czuł ani odrobiny entuzjazmu. Obawiał się, że to on stanowi przyczynę niespodziewanego postoju *Vivia Infanti*.

Nikt nie zobaczył nawet śladu po ewentualnym pasażerze z Bractwa. Jeżeli takowy istniał, musiał sam sobie gotować. Kuk nie przygotowywał nic ponad normalne posiłki dla załogi. Nikogo nie usunięto z kajuty.

Zachodnie wybrzeże Firaldii, rozciągające się na południe od Sonsy, było najgęściej zaludnioną krainą rolniczą, jaką Else w życiu widział. Na

każdym przyłładku wznosiła się jakaś forteczka czy bodaj wieża czat. Brzeg stromo opadał ku Morzu Ojczystemu.

Natężenie ruchu morskiego było duże. Z każdej łodzi, która znalazła się w zasięgu głosu, próbowano im coś sprzedać.

– Wszyscy są w morzu, ponieważ pogoda dopisuje – wyjaśnił Solora. – Trzeba korzystać z takich okazji.

– Brzmi jak niezła życiowa maksyma. – Else coraz lepiej czuł się w towarzystwie Scolory. Enio wciąż gadał, ale pytań zadawał niewiele i nie przeszkadzał mu typowy, milczący weteran. Wielu żołnierzy tak się zachowywało.

Kilku jeszcze pasażerów wracało do domów z Ziemi Świątej. Zazwyczaj trzymali się razem. Pozostali byli pielgrzymami, którzy wybrali się do Studni Ihrian. Else, Solora i dwaj inni z dalekiego zachodu ugodzili się, że od Sonsy będą podróżować razem. Else zastanawiał się, w jaki sposób uwolni się od Scolory bodaj na krótką chwilę, by zniknąć.

Jak dotąd nie udało mu się nawet tyle znaleźć czasu na osobności, żeby przeczytać zapieczętowane rozkazy. W pakiecie Gordimera znajdowało się dwanaście listów, każdy miał być otwarty dopiero po osiągnięciu wyznaczonego etapu misji. Trzy listy miał przeczytać jeszcze przed dotarciem do Sonsy. Wciąż pozostawały nieotwarte. Martwił się. Być może zawarty jest w nich jakiś decydujący szczegół, z którym będzie musiał sobie poradzić... choć z drugiej strony wątpił w to. Gordimer strzepił sobie język bardziej niż gromada starych bab.

– Cieszysz się na powrót do domu? – zapytał Solora.

– Nie bardzo. Wiem, że na miejscu nic już nie będzie się kojarzyć z ziemią, którą opuściłem. Wszyscy, których znałem, będą starzy lub martwi.

Solora się skrzywił.

– Potrafisz, cholera, zepsuć każdemu nastrój, Alf. Przez ciebie wydaje mi się teraz, że wracam do obcego kraju.

– W Triamolin był stary dev, który tak mawiał.

– Hę? Co?

– Że przeszłość to obcy kraj. Wciąż wydaje mi się, że śnię i za chwilę ocknę się na mojej pryczy z powrotem w Triamolin.

– Tak? Śnij sobie, śnij. Oto pierwszy latarniowiec. – Enio był już kiedyś w Sonsie.

Właściwa Sonsa była nadrzecznym miastem, położonym osiem mil w głąb ładu. *Vivia Infanti* miał płynąć od jednego latarniowca do drugiego, póki nie zobaczą regularnych boi rzecznych. Resztą podróży będzie kierować pilot zabrany na pokład z pierwszego latarniowca.

Godziny mijały. Statek płynął wolno.

– Na pokonaniu tych paru ostatnich mil zejdzie nam cały dzień – westchnął Else.

– Założę się, że pozwolą ci wysiąść i iść pieszo.

– Niewykluczone – przyznał. – Stanę się nowym człowiekiem, gdy tylko poczuję odrobinę ziemi pod stopami. – Doskonale zdawał sobie sprawę, że towarzyszy męczą jego ciągle narzekania.

– O niczym innym nie marzymy, chłopie.

Prawie cały dzień zabrała im podróż w górę rzeki Sawn, do wielkiego nabrzeża Sonsy. Else podziwiał dziwne, tętniące życiem budowle, wszystkie wysokie, zdobne, tak jaskrawo pomalowane. Al-Karn było ponurym miastem o niskich, kwadratowych budynkach z glinianej cegły, gdzie kolorowe były jedynie markizy kupców, oznaczające specyficzne dla nich dziedziny działalności. Kaif nie lubił barw.

Vivia Infanti mijał kolejne puste miejsca postojowe. Else zapytał któregoś z żeglarzy, dlaczego tak się dzieje.

– Nie należą do nas. Są Czerwone lub Niebieskie. *Infanti* jest statkiem Durandanti. A barwą Durandanti jest Zieleń.

Barwa była tym wymiarem kultury chaldaran, z którym Else jakoś nie mógł dojść do ładu. W Imperium Wschodu, w królestwach i republikach Firaldii, w księstwach na wybrzeżu prompteańskim, wszędzie, gdzie Stare Imperium Brothe oddziaływało w bardziej trwały sposób, populacja dzieliła się na dwie lub więcej Barw. Współcześnie oznaczało to zazwyczaj podziały polityczne. Natomiast w starożytności, gdy się Barwy zrodziły, pierwotnie oznaczały strony sądu Bożego lub grupy fanów kibicujące wydarzeniom w cyrku czy na hipodromie.

Sonsa uważała się za najważniejszą potęgę kupiecką na Morzu Ojczystym. Aparion i Dateon nie zgadzały się z nią. Platadura, w pramańskiej Direcii, obstawała przy własnym zdaniu odrębnym. Wobec świata zewnętrznego Sonsa ukazywała zjednoczone, zdeterminowane oblicze, ale wewnętrzne spory frakcyjne były zagorzalsze niż wśród

rozpuszczonych dzieci. I nie miały żadnej racjonalnej podstawy w oczach obcych.

Nie było tu żadnych konfliktów doktrynalnych czy ideologicznych. Tylko ciągły, uporczywy spór o władzę nad krajem. I jak zawsze, gdy chodziło o lokalną politykę firaldiańską, wszystko sprowadzało się do waśni rodzinnych.

Durandanti dysponowali największą flotą kupiecką. Byli głęboko przekonani, że czyni to z nich najważniejszą rodzinę Sonsy.

Scoviletti i Fermi nie zgadzali się z nimi.

Scoviletti posiadali najmniejszą flotę, ale pozostająca pod ich komendą armia najemników, walczących głównie w chaldarskiej Direcii, dawała im znaczną przewagę, gdy szło o siłę nagiego miecza.

A Fermi zawsze mieli kuzynkę, która wychodziła za brata Patriarchy, córkę, która poślubiła syna jakiejś wielkiej rodziny Dateon czy Aparion, albo po prostu pożyczali pieniądze księżętom miast-państw na północnej równinie czy też w inny jeszcze sposób tworzyli sojusze, chroniące ich przed zazdrością Durandantich i Scovilettich.

– Gdzieś w Sonsie mam znaleźć adwokata, reprezentującego większość rodzin Tramaine. Otrzymałem w Triamolin list, w którym radzono mi się do niego zwrócić. On będzie znał najnowsze wieści.

– To ma sens – zgodził się Solora. – A więc musisz go znaleźć. Ale czy cię przyjmie?

Tak, zapewne. W Sonsie byli agenci Dreanger. Oczekiwano, że nawiąże z nimi kontakt.

– Znajdę go. Jeśli kiedykolwiek moja noga postanie na suchym lądzie. Oto mój plan. Ty, Tonto i Adrano weźmiecie nasze rzeczy do budynku faktorii, a potem rozejrzycie się za transportem do Sheavenalle. Ja znajdę mojego człowieka, a potem do was dołączę.

– Dobry plan. Oprócz jednej kwestii.

– Mianowicie?

– Chcę się dowiedzieć, kto się chował w kabinie kapitana, od kiedy opuściliśmy Staklirhod. Możemy zacząć się w doku i zobaczyć, kto wyśliźnie się na brzeg. – Ton głosu Scolory nie pozostawiał wątpliwości, że mówi całkowicie poważnie.

– Chcesz ryzykować?

– A ty nie?

– To strata czasu. – Ale chciał przecież wiedzieć, czy jakiś czarownik Bractwa Wojny nie podąża za nim przez Morze Ojczyste. – No... dobrze. Tylko zachowajmy ostrożność.

– Pewnie jakieś święto – zauważył Solora. – Nikt tu chyba nie pracuje. – Zaciągnął wszystkich za stos grubych bali bawełny, mniej więcej sto jardów od statku.

Else był zdumiony. Tyle bawełny przemycano z Dreangeru? Przez jedną tylko firaldiańską rodzinę, w jednym tylko firaldiańskim porcie?

Solora dobrze wybrał miejsce. Rozciągał się z niego znakomity widok na *Vivia Infanti*, a równocześnie obserwatorzy nie byli wystawieni na spojrzenia nielicznych dokerów.

– Rozumiesz, co oni mówią? – zapytał Solora. Dialekt sonsański był prawie niepojmowalny.

Else pokręcił głową. Miał kłopoty nawet ze zrozumieniem Enia.

Nagle Tonto szepnął:

– Coś się dzieje. Cholera. Ty bydlaku, Enio. Nie wierzyłem ci. Nikt ci nie wierzył. Ale miałeś rację.

Każdy znalazł sobie otwór w barykadzie z bali i teraz przez niego wyglądał.

Faktycznie, na pokładzie *Vivia Infanti* trwało poruszenie. A jeszcze parę chwil wcześniej statek wydawał się martwy, załoga bowiem zeszła na brzeg zaraz po pasażerach.

– To nie jest żaden brat – powiedział Else.

Z pokładu schodziło dwóch ludzi. Postawa pierwszego tchnęła arogancją, rozglądał się wokół, jakby rzucał światu wyzwanie. Drugi starszy, przygarbiony, zmagął się z absurdalną ilością bagaży. Wyższy nie miał zamiaru mu pomóc. Żadnego z nich nie widzieli podczas podróży.

– Myślisz, że powinni biegać w swoich czerniach i czerwieniach, krzycząc: „Hej! Tu jestem”? Wiemy już, że miało to być utrzymane w tajemnicy.

Do trapu podjechał zamknięty powóz ciągniony przez dwukonny zaprzęg.

– To się nazywa zgranie w czasie.

Starszy z trudem ładował bagaże do powozu. Woźnica pomagał. Wysoki mężczyzna badawczo przyglądał się otoczeniu.

– Nie podoba mi się to – oznajmił zniecierpliwiony Tonto. – Coś tu nie gra. Wynoszę się stąd. – Rozpłynął się wśród cieni, szybki i cichy.

– Cholera! – zachnął się Solora. – O co mu poszło?

Adrano znał Tonta jeszcze z Ziemi Świętej.

– Nie wiem. Ale on i ja jeszcze żyjemy tylko dlatego, że nigdy nie zawiódł go instynkt przy Studniach Ihrian – powiedział.

– A więc i my lepiej ich posłuchajmy – uznał Else. Przyzwyczyił się do ufania często zupełnie nieokreślonym wątpliwościom Szkieleta i al-Azera er-Selima.

– Powóz rusza – zauważył Solora. – Jedzie w naszą stronę.

– Cholera! Wobec tego na ziemię! Stańmy się niewidzialni.

– Wokół są jeszcze inni ludzie – protestował Solora.

Powóz jechał szybko i wkrótce znalazł się tuż przy ich kryjówce. Przez szczelinę w bawełnianych balach Else zobaczył burtę z lakierowanego jesionu. Potem świat stał się jedną jasnością.

Pięść boga uderzyła go w pierś i cisnęła o ścianę magazynu. Lecąc, słyszał stłumione wrzaski towarzyszy. Bawełna eksplodowała, po części ogniem.

Pogrążył się w nieświadomości.

Nie trwało to długo. Kilku tępo wyglądających portowych zabijaków właśnie gramoliło się między bale, paplając tak szybko, że Else nic nie rozumiał. Jednak udało mu się wyłowić słowo oznaczające czary.

Wtedy poczuł ból w lewym nadgarstku.

– Bóg jest miłosierny – mruknął. Nadgarstek był oparzony. Na skórze już tworzyły się bąble. Ochronił go amulet.

Chwiejnie się podniósł, cały pokryty bawełną, zaskakując Sonsan.

– Co się stało? Gdzie moi przyjaciele?

Podczas wymiany zdań, którą zdecydowanie utrudniały problemy językowe, Else wyjaśnił, że on i jego przyjaciele postanowili zaoszczędzić nieco pieniędzy i przespać się na balach bawełny. A potem była eksplozja.

Sonsanie nic więcej nie wiedzieli. Tylko: Bum! i całe nabrzeże pokryte było tonami tłącej się bawełny. Podejrzewali, że może mieć to coś wspólnego z waśniami wśród wielkich rodzin.

Solorę znaleźli od razu. Dircianin nie żył. Całkowicie i nieodwołalnie. Został rozerwany na cztery kawałki, luźno połączone ze sobą strzępami ciała i skóry. Ciało Adrana zostało rozrzucone dookoła na obszarze prawie tak wielkim jak bawełna.

W tym momencie do dokowych zabijaków rzeczywiście dotarło. Już wcześniej któryś wypowiedział słowo: czary. Teraz zobaczyli dowód. Natychmiast zniknęli.

W jednej chwili nabrzeże zamieniło się w wymarłe miasto. Gdzie się podziali dokerzy? Załogi statków? Gdzie gapie, przyciągnięci odgłosem eksplozji? Czy złe wieści rozchodziły się tu tak szybko?

Else przyjrzał się ciałom Scolory i Adrana. Dla nich nic już nie mógł zrobić. Ukłuło go poczucie winy, zalał gniew.

Zebrał swój rynsztunek i zarzucił na plecy. Potem wyszedł na nabrzeże. Wokół nikogo. Martwy spokój. Zapadał zmrok. Powinien zniknąć w mieście.

Ale teraz nie mógł się już pokazać w budynku factorii.

Zza ołowianych latarni rufowych frachtowca sączyło się światło. Okna kajuty kapitana.

Else cicho wśliznął się na kasztel. W dokach wciąż panował martwy spokój. Ale długo to już nie potrwa.

W kajucie kapitana ktoś cicho grał na lutni żałobną melodię, której Else nie rozpoznał. Smutne słowa pieśni opowiadały o nieodwzajemnionej miłości. Jak większość jej podobnych wywodziła się ze Skraju Connec, gdzie wymyślono ten gatunek muzyczny.

Else powoli zwolnił sprężynę rygła, a potem bez jednego szmeru otworzył drzwi do wnętrza.

Kapitan statku siedział w obitym pluszem krześle za stołem nawigacyjnym, patrząc mimo rufowych latarni na gwiazdy, który ożywały, w miarę jak ciemny błękit nieba ustępował czerni nocy. Był odwrócony do Else'a plecami.

Palce na strunach lutni zamarły.

– Nie sądziłem, że dotrzymasz słowa, czarowniku. – Żeglarz ostatnie słowo wypowiedział jak przekleństwo i nadał mu ton nieskończonej pogardy.

Odwrócił się. Na twarzy rozbłysło zaskoczenie.

– Kim, do diabła, jesteś?

– Nieszczęśliwym człowiekiem. Twój sekretny pasażer właśnie zabił moich dwu przyjaciół. Opowiesz mi o nim.

– Żartujesz, co?

– On jest zły. Ale ja jestem tutaj. Pożałujesz, że nie niesiesz lampy, którą mógłbyś oświetlać drogę do piekła dla moich przyjaciół.

Kapitan walczył, ale nie był już u szczytu formy i nigdy nie był bojowy. Else był u szczytu formy, był wojownikiem, a ponadto wiedział, jak zmusić jeńców do mówienia.

Kiedy wynik walki stał się oczywisty, kapitan powiedział:

– Ten człowiek był głupią, arogancką, fanatyczną świnią. Naprawdę życzę ci szczęścia, jeśli masz zamiar go dopaść.

Nie taki był plan Else'a. Nie na tym polegała jego misja. Chciał się tylko dowiedzieć, o co chodzi, na wypadek gdyby trzeba było zmienić plany.

Kapitan zaczął mówić. Else rozglądał się po kajucie. Przyglądał pamiątkom, które jasno świadczyły, że całe życie tego człowieka ogranicza się do pokładu statku. Że nie ma innego miejsca, w którym wolałby być. Zbierał egzotyczne pamiątki w nadzwyczaj interesujących miejscach – miecze o osobliwie ukształtowanych klingach; łuk kompozytowy z rodzaju tych, których używali konni nomadowie na stepie; ghargaliceański łuk piechoty długi na sześć stóp, który wyszedł z użycia całe wieki temu; lucidiańska kusza produkowana masowo na użytek lokalnych milicji, których zadaniem była obrona murów miast. Ta ostatnia nie miała szczególnej mocy naciągu, ale każdy mógł jej użyć na krótki dystans. Kusza została pomalowana, a potem ozdobiona sutrami Pisma i wyposażona w dobrą cięciwę. Żaden z tych zabiegów na nic się nie zdał pierwotnemu właścicielowi, inaczej kusza nie trafiłaby do kolekcji broni chaldarskiego wilka morskiego.

– Uważaj z tym – błagał Sonsanin. – Ma spiłowany spust. Oczywiście mechanizm miał też blokadę.

– To nie najlepszy pomysł, żeby nie zdejmować cięciwy z łuku. Traci naciąg. – Od pytań o czarownika Bractwa Else przeszedł do kwestii bardziej ogólnych. Jakie jest stanowisko Sonsan wobec Kościoła? Wobec Wzniosłego Piątego? Wobec ewidentnych zamiarów Patriarchy, żeby ogłosić nową krucjatę?

– Krucjaty są dla Sonsy korzystne – odparł kapitan. – Patriarcha to bełkoczący szaleniec, ale nie dbamy o to, póki jego złoto płynie do naszych kufrów.

Sonsamin leżał przywiązany do stołu nawigacyjnego, a Else rozsiadł się w kapitańskim krześle, w końcu znalazłszy okazję, żeby otworzyć listy od

Gordimera.

Nie znalazł w nich nic, czego nie domyśliłby się sam. Nie rzucaj się w oczy. Miej oczy i uszy otwarte. Słuchaj wszystkiego, co mówią, nawet gdyby z pozoru wydawało się nieważne. Spróbuj odkryć sposób myślenia Arnhandów. Siej ziarna niezgody wśród potencjalnych wrogów Dreanger, aby nie mieli czasu na rozmyślania o zamorskich przygodach. Postaraj się dotrzeć w pobliże Wzniosłego i Kolegium, jeśli się uda. I tak dalej, i tak dalej, bez jednego choć słowa, co robić, kiedy zostanie się zaatakowanym przez morderczego szpiega. Albo czarowników z Bractwa Wojny.

Dowiedział się natomiast, jak nawiązać kontakt z dwoma dreangerskimi agentami w Sonsie, z których żaden nie wiedział o istnieniu drugiego. I tak miało zostać.

– Krzyżowiec idiota – warknął kapitan, na tyle głośno, by zwrócić uwagę Else'a. – Obudź się. Ktoś właśnie wszedł na pokład.

Else nie pytał, skąd tamten wie. To był jego statek. Zabrał swoje listy i lucidiańską kuszę, po czym schował się w ocienionym kącie.

Skobel na drzwiach kabiny uniósł się. Drzwi uchyliły do wnętrza. Odziana w czerń postać weszła do środka, zobaczyła przywiązane do stołu ciało kapitana i warknęła:

– Co, u diabła?

Else zwolnił spust kuszy.

– Przekaż moje pozdrowienia Eniowi i Adranowi.

Intruz poruszał się jak kot, ale nie starczyło mu szybkości. Jęknął z bólu, gdy strzała przeszła prawe ramię.

Else odrzucił kuszę i ruszył naprzód, zdecydowany zadać cios, zanim tamten będzie mógł użyć swych czarów.

Ale brat stawił mu czoło krótkim mieczem. Nie znać było po nim nawet śladu niepokoju, mimo że odniósł ranę i musiał walczyć lewą ręką. Póki nie zdał sobie sprawy, że ma przeciwko sobie wprawnego przeciwnika.

Zrobił wypad, zmusił Else'a do cofnięcia się o krok, a potem uciekł przez drzwi kabiny. Else nie miał zamiaru szarżować za tamtym w niewiadome czekające za drzwiami. Była już noc. Po której krążył nielichy czarownik.

Znalazł zapasowy bełt do lucidiańskiej broni, upewnił się, że listy bezpiecznie tkwią za pazuchą, potem zgasił jedyną palącą się lampę i otworzył rufowy bulaj z ołowianego szkła.

Wygramolił się na zewnątrz, złapał cumę i jak pajak zszedł po niej na nabrzeże. Klęczał właśnie za wielkim drewnianym pachołkiem, łapiąc oddech, gdy zobaczył rannego brata. Tamten ciężko schodził po trapie, oglądając się przez ramię.

Dlaczego nie użył swoich czarów?

Else wypuścił drugi bełt.

Usłyszał plaśnięcie trafienia, ale to nie przeszkodziło tamtemu w ucieczce. Może miał coś pod tym uniformem Bractwa.

Dreangerski agent, który o bezbożnej godzinie wpuścił Else'a do swojego warsztatu, okazał się karłem, pokrzywionym małym devedianinem wysokim na cztery stopy. Szczególnie uszczęśliwiony nie był.

– Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Próbowałem udawać, że tak się nie stanie. Wmawiałem sobie, że to tylko kilka srebrnych monet od czasu do czasu w zamian za okazjonalny list. Ale przez cały czas chodziło o to, prawda?

Else rozejrzał się po otoczeniu oświetlonym mdłym światłem lampki, którą karzeł trzymał w ręku. Warsztat okazał się maleńką pracownią jubilerską. Klienci karła z pewnością byli zasadniczo devedianami. Prawie wszystko, co Else dostrzegał wokół siebie, to były devediańskie paramenty. Zresztą nic dziwnego, warsztat usytuowany był w samym sercu sonsańskiej dzielnicy zamieszkaney przez devedian.

– Tak. Masz rację. Na to właśnie czekałeś. Za to ci płacono. Muszę zniknąć. I przycząić się na jakiś czas. Mam dla ciebie list z al-Karn.

Karzeł nazywał się Gledius Stewpo.

– W ten sposób tutaj to wymawiają i wystarczy, żeby sobie jakoś radzić. – Stewpo był może zaskoczony rozwojem sytuacji, ale przygotowany na wszystko. Pod domem znajdowało się ukryte pomieszczenie. Na wypadek gdyby ktoś je odkrył, umeblowane było jak ukryty warsztat. A równocześnie można się w nim było stosunkowo wygodnie ukryć. – Nie znajdą cię tutaj, jeżeli nie użyją jakichś ciężkich czarów.

Stewpo miał kilka tików, które wyprowadzały Else'a z równowagi. Po pierwsze, nieustannie poruszał głową, kiwając nią lub kręcąc. Każde zdanie podkreślał zduszonym śmiechem, jakby właśnie opowiedział dowcip dla siebie tylko zrozumiwały.

A nic z tego, co karzeł powiedział, nie wydawało się choćby odrobinę zabawne.

Co gorsza, kiedy usiadł, nie mógł się przestać kołysać. W przód i w tył, w przód i w tył, szybko i bez ustanku. I z tego też najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy.

Stewpo przeczytał list z al-Karn.

– W porządku. Niech tak będzie. Gotów jestem pomóc, jak tylko będę mógł.

Else opowiedział mu wszystko. Inne podejście wydało mu się bezzasadne.

– Przebrałem szczątki Adrana tak, że może wyglądać, iż to ja zostałem rozerwany na części, a potem przeszukałem ich rzeczy, żeby znaleźć coś, co mogłoby się przydać.

– To dobrze. Co z tym zabójcą Bractwa, który uciekł?

– Nie mam pojęcia, kim tak naprawdę jest. Wiem, że braci nie można uważać za osoby postępujące racjonalnie. Ale muszą zdawać sobie sprawę, że zabijanie ludzi, którzy im pomagają, jak ten kapitan statku, jest nieskuteczne. Ludzie nic dla nikogo nie zrobią jeżeli za ich trud spotka ich śmierć.

– Zastanawiałem się raczej, co się z nim stało.

– Uciekł.

– I nie użył przeciw tobie żadnych czarów?

– Właśnie.

– Wyrolowali cię. Czarownikiem był ten, którego uznałeś za służącego. Ten drugi był ochroniarzem lub czeladnikiem.

– Może masz rację. Jesteśmy tu bezpieczni przed nocą?

– Raczej tak. Ten kraj został ucywilizowany jeszcze przed powstaniem Starego Imperium Brothe. Duchy po tysiackroć przepędzano. Tylko dobre duchy są jeszcze w pobliżu. Złośliwe zostały Przegnane albo zaklęte w kamienie, drzewa i strumienie. To, co zostało dla czarownika, nie przyniesie mu raczej pożytku. Sonsanie tak wolą. Chcą, by świat kształtowały prawa ekonomii, a nie bólu i chaosu.

– Prawa chaosu?

– Nawet nieład okazuje się uporządkowany, jeśli mu się bliżej przyjrzeć.

– Załóżmy, że ten czarownik przywiózł ze sobą własne duchy.

Karzeł miał dziką siwą czuprynę, nieszczęśliwie zaznajomioną z grzebieniem. W chwilach wolnych od tików nieustannie przeczesywał ją palcami.

– Taka możliwość istnieje. Ale sam powiedziałeś, że on jest ze Specjalnego Oficjum Bractwa Wojny. Ci ludzie pragną kresu Tyranii Nocy. Nie wloką jej za sobą po świecie.

– Czy byliby gotowi zaprząć instrumenty zła do walki ze złem? – Typowa ludzka słabość, nawet w Królestwie Pokoju.

– Chyba nie. Nieważne, i tak cię nie znajdą. Póki pozostaniesz w tym pomieszczeniu. Odpocznij. Rano posłucham, co mówi ulica.

– Nie zmieniaj zwykłego porządku zajęć. I naprawdę chętnie bym coś przekąsił. Nic nie jadłem od rana.

– Mógłbym być twoim dziadkiem, sha-lugu. Nie ucz mnie rzemiosła.

– Nie uczę... Rozumiem.

Następnego wieczora Gledius Stewpo przyniósł kolację.

– Sha-lugu, nie chciałbyś być teraz na zewnątrz. Zakładam, że mnie nie okłamałeś. Jednak twoja historia w niczym nie przypomina tej, którą rozgłasza Bractwo. Twierdzą, że ścigają obcego, który chce szpiegować Kościół.

– Naprawdę? Brzmi to trochę głupkowato. Mówią o kogo chodzi? Albo daczego?

– Nie. Zresztą w okolicy i tak nikt nie wierzy w ani jedno słowo Bractwa. Chyba że jest się Niebieskim związanym z Fermimi.

– A więc jest wrzawa. I polityka Barw próbuje z niej skorzystać?

– Krążą też inne teorie. Wszystko sprowadza się do tego, że nikt nie powinien cię widzieć. Blond włosy są gwarancją, że trafisz na przesłuchanie.

Else pokiwał głową. Zwykłe szczęście. W Sonsie miał tylko zejść na ląd i udać się w swoją stronę.

– Gdyby ci się nie zachciało przesłuchiwać kapitana frachtowca, wyjechałbyś z miasta i nikt by niczego nie podejrzewał. Ale ty próbowałeś zabić członka Bractwa.

– Nie myślałem strategicznie – mruknął Else. – Taktycznie uznałem, że muszę się najpierw przekonać, o co chodzi.

– Miałeś szczęście. Nie wiedzą, kogo szukają. Ale węższą wszędzie. Plotka z drugiej strony barykady głosi, że czarodziej jest podminowany, ponieważ nikt nie powinien przeżyć tej eksplozji.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że Sonsa jest spacyfikowana pod względem nadprzyrodzonym?

– Najwyraźniej nie wiedziałem, co mówię.

– Co myślą Sonsanie?

Karzeł zachichotał.

– Nie znam wielu ludzi, których obeszlaby śmierć kilku braci z lokalnych koszar. Nie mają tu wielkiej władzy, a wpływy też nieduże, ograniczające się właściwie wyłącznie do rodziny Fermich, ale cały czas dokuczają devedianom i dainschaunom.

– Mają dość władzy, żeby zgarniać ludzi z ulicy? I nie doprowadzić po drodze do zamieszek w całej Sonsie?

– Ani Durandanti, ani Scoviletti nie chcą sobie ich zrazić. Ponieważ Bractwo zawsze może się związać z drugą rodziną.

– A Bractwo wyciska z tej sytuacji wszystko co się da, racja?

– Oczywiście. Nie są głupi. Nie rozumieją jednak, jak bardzo są nielubiani.

– To znaczy?

– Są zbyt mocni. Ale tylko dlatego, że taka sama sytuacja panuje właściwie we wszystkich miastach Firdalii. Nigdzie nie ma szlachty, która potrafiłaby zjednoczyć naród. Jest tylko Kościół. Imperium nieustannie ingerujące w wewnętrzne sprawy. W Brothe jest pięć rodzin kołyszących się w tańcu władzy, którego nagrodą jest sam Patriarchat. Bez poparcia Bractwa Wojny, a zwłaszcza Specjalnego Oficjum, Wzniosły nigdy nie zostałyby wybrany. Ma wobec nich zobowiązania. Jego agresywna polityka to w istocie ich polityka. Wciąż o tym piszę do al-Karn. Ale al-Karn nie chce słuchać.

– Gordimer jest wielkim wojownikiem. Jako władca i strateg ma jednak braki. Niestety tak się składa, że gdybyśmy los Dreangeru pozostawili w rękach kaifa Karima Kaseema al-Bakra, modlilibyśmy się tylko, a krzyżowcy kosiliby nas niczym siano. Znasz Sonse. Jak długo potrwa, nim sensacja się znudzi?

– Większość zapomni do jutra wieczorem. Pozostali zrezygnują przed końcem tygodnia. Chyba że Bractwo wyznaczy wielką nagrodę. To przyciągnie rekiny.

– Dobrze więc, przeczekał ich. Macie tu jakieś owce? Albo krowy? Wszystko, byle tylko nie wieprzowinę. Przez całą drogę z Runch żywiłem się peklowaną wieprzowiną. Mimo dyspensy kaifa czuję się naprawdę nieczysty.

– Myślisz, że jestem idiotą sha-lugu? Chcesz sprawdzić moją lojalność, przyglądając się dziecie? Jesteś tu od przeszło dwudziestu godzin. I wciąż nie trafiłeś do saka Bractwa. Poza tym musisz wiedzieć, że zostałeś poważnie wprowadzony w błąd. Rodzina Założycieli al-Pramy to byli samooszukujący się szaleńcy uzależnieni od narkotyków. Ale nie chodzi o religię. Przynajmniej mnie. Mi chodzi o to, co krzyżowcy zrobili w Suriet.

Suriet było melhaicką nazwą regionu, który wszyscy inni nazywali Ziemią Świętą.

Armie pierwszych krucjat plądrowały świątynie i miasta wszystkich, którzy nie byli chaldaranami. A także tych chaldaran, którzy negowali władzę zwierzchnią Patriarchatu Brotheńskiego. W owych czasach Bractwo dorobiło się sławy i bogactw.

Przed Konkwista Pramańską Studnie Ihrian należały do Cesarstwa Wschodu, w którym dominowała mniej fanatyczna wersja chaldarskiej wiary. Stosunkowo tolerancyjna. Wyznawców innych religii nikt nie prześladował, póki wywiązywali się z prawnych zobowiązań wobec Cesarza. Po Podboju zasadniczo się to nie zmieniło, choć kilka chaldarskich odłamów roztopiło się w kotle mniejszości religijnych.

Kiedy przybyli ludzie zachodu, żeby wyzwolić święte studnie, nawet swych religijnych kuzynów uważali za podludzkie zasoby, służące wyłącznie jako źródło bogactwa.

– Zaufanie jest pierwszą ofiarą w naszym fachu – powiedział Else. – Przyjmij moje przeprosiny. Choć wciąż nie zależy mi na niczym tak bardzo jak na tym, aby znaleźć się w bezpośrednim towarzystwie jagnięcego udźca.

– Rozumiem. Ja również nie do końca czuję się swobodnie w twoim towarzystwie. Zaspokój moją ciekawość. Jak przeżyłeś magiczny atak, który rozniósł na strzępy twoich towarzyszy?

Else zachichotał.

– No i kto kogo teraz sprawdza?

Stewpo i Else razem zjedli baranią pieczeń. Po posiłku karzeł napił się ciemnego wina z nabrzeżnych winnic.

– Minął kolejny interesujący dzień. – Tego wieczora jego tiki mniej dawały się we znaki.

– Opowiedz mi. O czymkolwiek. Moi nauczyciele cierpliwości nie sprawdzili się szczególnie.

– Znalazłem źródło ambonypsgańskiej kawy.

– Wspaniale. Zakładam, że dociera do Sonsy tą samą trasą i przechodzi przez te same ręce co bawełna.

Ambonypsga była czarnym królestwem graniczącym od południa i zachodu z Dreangerem, od którego oddzielała ją niezamieszкана kamienista pustynia. Panowała tam protoariańska odmiana religii chaldarskiej z naleciałościami pogańskimi oraz kultów plemion devediańskich. Ambonypsga eksportowała najlepsze ziarna kawy na świecie.

Else uniósł lewą dłoń.

– Odpowiem na pytanie, które zadałeś mi wczoraj wieczorem. Ocalałem, ponieważ noszę amulet chroniący mnie przed czarami i stworami nocy. Nie zobaczysz go. Ale możesz dostrzec ślady po oparzeniach. Są skutkiem neutralizacji tego zabójczego zaklęcia.

– Widzę. Chciałbym, żebyś spróbował tego wina. Znakomity rocznik.

Else pokręcił głową.

Cicho zadźwięczał dzwonek. Karzeł drgnął.

– O tej porze? – mruknął. – Nocą? Nie pojawi się przypadkiem jakiś twój kolega?

– Nie, przynajmniej o nikim takim nie wiem.

Dzwonek uparcie domagał się reakcji.

– Idź. – Else zakładał, że nie ma niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy go szukali, nie użyliby dzwoneka, tylko wyłamali drzwi.

Stewpo wrócił zmartwiony. Znowu cały był nerwowymi tikami.

– Co jest? – zapytał Else.

– Sytuacja się zmieniła. Znaleźli twojego przyjaciela, któremu udało się umknąć przed atakiem. Teraz już wydaje im się, że wiedzą, kogo szukają. Mianowicie sir Aelforda daSkees. Ponieważ jest on jedynym pasażerem *Vivia Infanti*, którego się nie doliczono. Ponieważ wymieniałeś imiona, zanim oszczędziłeś tego brata na statku.

– Dzieciak nic nie mógł na to poradzić. Już się urodził głupi.

– To nie wszystko. Są ciekawsze rzeczy.

– Słucham.

– Kapitan *Vivia Infanti* poskarżył się publicznie na złe zachowanie i mordercze zamiary czarodzieja Specjalnego Oficjum, którego został zmuszony wziąć na pokład w Runch. A oto interesujący szczegół. Twój kapitan jest bratem don Aleana Durandantiego.

- A ten z kolei jest grubą rybą w tej rodzinie, racja?
- Najgrubszą. Poza tym po przybyciu tego czarownika Bractwo zaczęło się zachowywać tak, że to wkurzyło wszystkich. – Karzeł kołysał się dwa razy szybciej. – Nawet Fermiowie się skarżą.
- Co się stało? – Else już się prawie przyzwyczyił do tików Stewpa.
- Durandanti wnieśli zastrzeżenia hipoteczne wobec koszarów Bractwa. Okazało się, że jakiś czas temu Bractwo wzięło sporą pożyczkę pod zastaw nieruchomości. I nie płacili rat.
- Nie martwi cię to zbytnio.
- Bractwo Wojny jest najgorszym szakalem w Suriet. Ich zakon stoi ukradzionym bogactwem i handlem niewolnikami.
- Większość devów żyjących obecnie poza obszarem Ziemi Świętej, była potomkami ludzi, których sprzedano na wszystkie wybrzeża Morza Ojczystego.
- Rozumiem – powiedział Else.
- Czy możesz pewne informacje zatrzymać w sekrecie przed tymi, którzy cię wysłali, sha-lugu?
- Nie powinienem. W moich raportach miało się znaleźć wszystko, co może się okazać interesujące dla al-Karn.
- Są rzeczy, o których wolałbym, żeby się nie dowiedziało. A przynajmniej Gordimer. I ten drugi. Czarodziej.
- Er-Rashał? Dlaczego?
- Jest czarownikiem. I dotarły do nas plotki na jego temat. Jako devedianin wolałbym, żeby się o pewnych sprawach nie dowiedział. Jeżeli czujesz się zobowiązany donieść o wszystkim, co zobaczysz, wówczas nie zawsze będę ci skłonny pomóc.
- Mogę udać, że nie zauważam drobiazgów, które nie stanowią zagrożenia dla mojej rodziny, mojego ludu, kraju i Boga. – Karzeł nie mógł być niebezpieczny dla Dreangeru.
- Dobrze. Bardzo dobrze. A więc podejmę ogromne ryzyko i przyjmę, że słowo sha-luga jest równie cenne, jak sha-lugowie chcą, żeby wierzone.
- Else mruknął ciche przekleństwo. Do diabła. Karzeł dworował sobie z niego. A prawdą było, że al-Prama nie widziała nic niestosownego w okłamywaniu niewiernych.
- Powinieneś pamiętać, że Gledius Stewpo nie jest sha-lugiem. Jestem devediańskim patriotą, który pomaga swemu ludowi, pomagając wrogom

jego wrogów.

– To jestem w stanie pojąć.

Devowie z diaspory głosili te poglądy po cichu, ale ich niedobitki w Ziemi Świętej rozgłaszały je wszem i wobec.

Ich dogmat pomijał milczeniem to, że w swoim czasie oni też byli najeźdźcami.

– Jedno musi być jasne, zanim ci coś pokażę.

Historia Ziemi Świętej była jednym pasmem wojen i najazdów, kiedy lud za ludem próbował zdobyć władzę nad Studniami Ihrian.

Dlaczego nigdy nie powstało nawet jedno imperium z siedzibą w Ziemi Świętej?

– Nasze wzajemne stanowiska są jasne dla obu stron – stwierdził Else. – Jeżeli uważasz, że coś ma pozostać tylko między nami, uszanuję to.

– Dobrze. Obawiam się, że sonsańskim devedianom wkrótce będzie potrzebna pomoc prawdziwego wojownika.

Else mruknął pytająco.

– Bractwo nigdy nie potrafiło zaakceptować nieuchronnego. Nie rezygnują. Wierzą, że Bóg jest po ich stronie. Nie wyprowadzą się z koszar. Będą woleli walkę. Jeden ze służących Durandantich już został zabity.

– Ajak to się wszystko ma do sekretów wobec al-Karn?

– Następnym działaniem... które zostanie przedsięwzięte, podczas gdy Bractwo będzie czekać na pomoc z zewnątrz... będzie zrzućcie winy za kryzys na obcych i niewiernych. Podczas zamieszek zawsze atakowane są dzielnice devedian. Rządzące w republice rodziny zniechęcają do bigoterii, ponieważ to nie wpływa korzystnie na interesy. Podstawą ich władzy politycznej są rzemieślnicy i urzędnicy. Ale motłoch wciąż karmi się nietolerancją.

Devedianie stanowili ważną warstwę społeczną również w wielu pramańskich miastach. W Direcii spośród devedian wywodziła się kasta urzędników, która entuzjastycznie wspierała pramańskich władców.

Stewpo dodał:

– Jednak ten nowy Patriarcha... On nie ma pojęcia, co znaczy słowo „tolerancja”. Wzywa do wojny ze wszystkimi. Nawet z własnym ludem, gdy ten nie zgadza się z Nieomylnym Głosem Boga.

– Myślisz, że coś się stanie?

– Myślę, że sonsański motłoch spróbuje wykurzyć Bractwo. Trzy Rodziny będą przyglądać się z boku. Poleje się krew. Bractwo będzie twierdzić, że to nasza wina. A wtedy tłuścza zwróci się przeciwko łatwym ofiarom. W tym czasie Bractwo dogada się z Trzema Rodzinami i ostatecznie wszystko wróci do normy.

– A czego oczekujesz ode mnie?

– Profesjonalnej konsultacji. Jak mamy się bronić. Najlepiej tak, żeby ofiar było jak najmniej, a motłoch nie wpadł w szal, że się bronimy.

– No, to życzę szczęścia. – Else nie miał pojęcia, jak walczyć z ludźmi, żeby ich przy tym jeszcze bardziej nie rozżłościć. Jedyńy sposób, jaki znał, polegał na tym, by wyrządzić przeciwnikowi dostateczną krzywdę, aby ból przepędził gniew.

– A dlaczego chciałeś, żebym nie przekazywał tej informacji do al-Karn?

– Jak dotąd nie usłyszał nic szczególnie niezwykłego.

– Och. Myślałem, że rozumiesz. Będziemy walczyć, gdy nas zaatakują.

– A co to ma wspólnego z al-Karn?

– Metody naszej walki mogłyby zainteresować czarowników.

– Podjęcie walki może się okazać niezbyt szczęśliwym pomysłem.

Karzeł wzruszył ramionami.

– Trudno. Chodź ze mną.

W kwaterze głównej devedian było cicho i ciemno. Else zauważył w cieniach dwójkę uzbrojonych mężczyzn. Od strony Sawn dobiegały odgłosy jakiejś wrzawy. Przynajmniej jeden pożar barwił łuną podbrzusza gęstych, niskich chmur.

– Zapowiada się na deszcz – poinformował Stewpa Else.

– Byłoby dobrze. Deszcz chłodzi nastroje.

Przeszli nie więcej niż ćwierć mili, co stanowiło sporą część szerokości dzielnicy devediańskiej. Dzielnica była gęsto zaludniona. Zajmowała małe fragmenty miasta. Devowie musieli grzebać swych zmarłych poza murami, na niepoświęconej ziemi specjalnie wyznaczonej do tego celu przez Kościół.

– Szpiedzy są wszędzie – mruknął karzeł.

Zastąpili im drogę dwaj młodzieńcy o zdecydowanym wyglądzie. Hasło. Karzeł odpowiedział. Jeden z tamtych pobiegł naprzód i otworzył drzwi budynku wyglądającego na dom bogacza. Na poziomie ulicy nie było w nim żadnego sklepu ani warsztatu.

Weszli do wąskiego korytarza oświetlonego pojedynczą świecą. Dębowa podłoga była starta. Z głównego korytarza w głąb domu prowadziło czworo drzwi. Wszystkie były zawarte na głucho.

Z końca korytarza wychodziło się na strome schody do piwnicy. Karzeł nie potrzebował przewodnika.

Stewpo zatrzymał się u dołu schodów i milczał, póki strażnik nie wrócił, skąd przyszedł. Potem otworzył drzwi czegoś, co wyglądało jak zniszczona szafa pełna niepotrzebnych rzeczy, sięgnął za ubrania, pchnął. Tylne drzwi szafy wpiętej uchyliła się lekko, a potem otwarła na oścież, ukazując ciemność.

– Nic się nie czai w tych ciemnościach – zauważył Stewpo.

– Pójdę tuż za tobą – odrzekł Else. Po chwili zapytał: – Byłeś kiedykolwiek w Suriet?

– Nie. A ty?

– Tak. Nigdzie indziej na świecie noc nie jest taka ciemna.

Karzeł zanurzył się w ciemnościach. Okazały się kotarą z czarnego filcu.

Po drugiej stronie jednak nie paliło się żadne światło. Póki Stewpo nie wypowiedział słów, które musiały być kolejnym hasłem.

Małeńki płomień świecy wyłowił z mroku starego deva w tradycyjnym ubiorze i z wielką brodą. Nie powiedział nawet słowa, gdy Else i Stewpo go mijali, przeciskając się do wielkiego podziemnego pomieszczenia przez następne kotary.

Else podejrzewał, że całe sąsiedztwo pełne było tuneli, podziemnych pomieszczeń, dróg ucieczki i kryjówek. Zastanawiał się mimochodem, jak devedianie pozbyli się wykopanej ziemi.

Ci devedianie od dawna już przygotowywali się na kłopoty.

W podziemnym pomieszczeniu znajdował się arsenał i siedmiu posiwiących, zgarbionych starców.

– To są devediańscy Starsi z Sonsy – przedstawił ich Stewpo.

Else dostrzegł siwe, bujne włosy okalające twarze. Niewykluczone, że ci starcy od pokolenia nie widzieli świata. Jeden z nich wyglądał, jakby był przy tym – krytykując i narzekając – gdy Stwórca składał swe wielkie i wadliwe dzieło zegarmistrzowskiego rzemiosła.

Else przyjrzał się im, zaszufłdkował, a potem zajął oglądaniem zawartości arsenału. Był pod wrażeniem tego, co zobaczył.

– Dzielnica devediańska musi być zaiste bogata. – Widział tam broń miotającą ogień z Cesarstwa Wschodu i lucidiańskie kusze w rodzaju tych, których może używać każdy niewyszkolony głupiec. Była też broń przeznaczona dla specjalnych oddziałów, na przykład grenadierów. Oraz amfory opisane znakami ostrzegającymi przed trucizną na groty strzał, włócznie, bełty kusz, ostrza mieczy i noży.

Widok ten kojarzył się jednoznacznie z absolutnym zdecydowaniem.

Devedianie z Sonsy nacierpieli się tyle, że już nie mogli tego znieść.

– Jestem – powiedział. – I widzę, że poważnie podchodzicie do rzeczy. Czego ode mnie oczekujecie?

– Niczego, jeśli nie zostaniemy zaatakowani – odrzekł Stewpo. – Wszystkiego, jeżeli stanie się inaczej. Będziesz naszym wodzem. Będziesz naszą nadzieją. Ale nikt, poza obecnymi w tym pomieszczeniu, nigdy się nie dowie, że we wszystkim wziął udział cudzoziemski żołnierz.

Else wyczuł, jak biorą go pod włos – metaforycznie rzecz ujmując.

– Zobaczymy, z czym nam przyjdzie pracować. – Był zdany na ich łaskę i niełaskę.

Pięć minut później Else poinformował starszych:

– Stanie się to, że was zmasakrują. Gdy rzuca przeciwko wam czarodzieja. – Czary, nawet w rękach mistrza, rzadko działały na masową skalę. Podczas wielkiej bitwy pojedynczy czarownik był niemalże bez znaczenia, ponieważ w konkretnej chwili mógł wpłynąć tylko na niewielki jej ułamek. Jednak jeśli chodzi o bezpośrednią walkę o każdy dom, zdolności czarownika do systematycznego wykorzenia oporu mogły się okazać przerażające.

– Dlaczego chaldaranie chcą atakować devedian? – zapytał Else.

Jeden stary grzyb z oczami odpowiedział:

– Mówią, że jesteśmy częścią ogólnoświatowej konspiracji na rzecz przywrócenia permanentnej ciemności.

– Sądzę, że tłumaczyłoby to, dlaczego devedianie są wszędzie. Mniejsza o to, że przybyliście jako niewolnicy. Po prostu nie chcieliście mieszać w głowie prawdziwie wierzącym za pomocą zwykłych faktów. – Poza tym oprócz najnowszej diaspory, będącej wynikiem krucjat, wcześniejsza historia znała jeszcze dwie. W epoce Starego Imperium.

– Do czego zmierzasz? – dopytywał się Stewpo.

– Motłoch wpada do devediańskiej dzielnicy. Widzi typowo żołnierską broń w rękach zdeterminowanych wojowników. Co się wtedy dzieje?

– Wielu ludzi ginie.

– Co potwierdzi powszechnie żywione podejrzenia, że devowie nie są nic warci i należy ich eksterminować, zanim obalą Kościół i znieprawią każdą chaldarską dziewicę.

Żadne rozumowanie do nich nie przemówi. Ci ludzie chcieli walczyć. Nie zamierzali dopuścić, by zdrowy rozsądek stanął im na drodze.

– Co to jest? – zapytał, odkrywając zniecka narzędzie zniszczenia, które nie miało prawa istnieć poza Dreangerem.

Była to broń miotająca na proch strzelniczy o mniejszym kalibrze, ale za to dłuższej lufie niż falkonet, z którym pojechał do Andesqueluz. Rzemieślnik przed chwilą jeszcze ją oporządzał. Powietrze wypełniał zapach rozgrzanego żelaza.

Lufę wykonano w ten sposób, że stalowy rdzeń owinięto żelaznym drutem, podgrzano metal i wyklepano.

– Zajmował się tym płatnerz? – Trochę dziwne skojarzenie, lecz podobnej techniki używano do kucia najlepszych mieczy. A najlepsi płatnerze w pramańskiej Dircii byli devedianami.

Może o tym powinien donieść? O istnieniu tej broni? Czy może o tym, że zapewne w najbardziej tajnych warsztatach er-Rashała załagł się szpieg? Broń na proch strzelniczy rzadko oglądała pole bitwy. Przed incydentem z bogonem nikt się nią nie interesował, co zawdzięczała niesplamieniu się jakimkolwiek sukcesem.

Stewpo postanowił wyznać wszystko.

– To broń eksperymentalna. Nie będę udawał, że się na niej znam. Powiedziano mi, że dzięki niej można sobie poradzić z czarownikiem wroga.

A więc tak. Starcy bynajmniej nie byli ślepi na rzeczywistość. Ich szanse zwiększyłyby odporność na czary. Albo gdyby choć w ćwierci byli tak niegodziwi, jak oskarżał ich Kościół.

– Jeżeli naprawdę chcecie walczyć i wygrać, lepiej jak najszybciej skończcie tę zabawkę – doradził Else.

W jaki sposób ta koncepcja mogła tak szybko dotrzeć do Sonsy?

Strzały o srebrnych grotach i zatrute żelazne noże należały do legend. Pierwszy lepszy czarownik potrafił się otoczyć zaklęciami, które były w

stanie osłabić lub zniszczyć drewno, pióra, kości, bawełnę, wosk, jak też połączenia ze zwierzęcego kleju, które wchodziły w skład każdego pocisku. Wtedy nie zostawało z niego już nic prócz koziołkującego srebrnego grotu, który tylko przypadkiem mógł komuś wyrządzić krzywdę.

Człowiek ze sztyletem też miał niewielkie szanse, jeśli czarownik akurat nie spał.

Else zdał sobie sprawę, że devowie zastawili na niego zgrabną pułapkę. Najatrakcyjniejszą przynętą była jego potrzeba odkrycia, co robią, i poznania prawdziwego rozmiaru ich zasobów. Sami zdradzali niewiele, czuł się więc zmuszony odkryć coraz więcej.

Odkrycie broni miotającej na proch strzelniczy nie było przypadkiem.

Tym bardziej uzasadnione wydało mu się podejrzenie, że w pobliżu er-Rashała al-Dhulquarnena, a może i w otoczeniu Gordimera Lwa znajdują się devediańscy szpiecy.

Konflikt rozpoczął się zgodnie z przewidywaniami, a potem podążał nużącą drogą spodziewanej eskalacji. Grupka podrostków wdarła się do dzielnicy devediańskiej, obrzuciła kamieniami devediańską młodzież, próbowała się włamać do sklepu i podjęła próbę napastowania devediańskiej dziewczyny – a potem otoczyli ją ponurzy mężczyźni, którym nie w smak były subtelne etniczne kpiny. Zbili napastników do nieprzytomności i wrzucili w biegnący środkiem ulicy rynsztok.

Ojcowie, bracia i kuzyni pobitych chłopaków poczuli się dotknięci. To doprowadziło do konfrontacji, która wkrótce nabrała zbrojnego charakteru. Kilkunastu chaldaran oddało życie. Z kolei zbyt rozochocony tłum pijanych wszczął bitwę, podczas której nazbyt entuzjastyczni devediańscy kusznicy zmasakrowali szeregi jeźdźców.

Przez osiem dni następowała eskalacja konfliktu. Else odgrywał rolę rozważnego dowódcy w sytuacji, w której żaden dowódca nie był potrzebny, a o rozważę było trudno. Ósmego dnia wieczorem rządzące rodziny poczuły się zmuszone zareagować na sytuację, ponieważ zrewoltowany tłum zwrócił się ku polityce Barw i po chaldarskiej stronie muru dzielnicy devedian rozgorzały pożary. Rodziny skierowały zbrojnych w barwach swych domów do przywrócenia porządku. Ale wcześniej siły te oblegały koszary squattersów z Bractwa Wojny.

Całkowicie zdając sobie sprawę, że sukces może przypieczętować los sonsańskich devedian, Else mimo to zorganizował zasadzkę, która wytrąciła

z równowagi siły Rodzin.

Wściekłość sonsańskich chaldaran nie znała, rzecz jasna, granic.

Else poinformował starszych:

– Teraz rozpoczyna z wami wojnę na poważnie. Nie spodoba wam się jej obrót. Na każdego z was przypada po stu z nich.

– Zawsze tak było – powiedział Gledius Stewpo. Devowie byli pijani sukcesem. Do tej chwili nie stracili nikogo ze swoich.

– Broń jest gotowa – oznajmił jeden z brodaczy.

Drugi dodał:

– W interesie Sony jest robienie interesów. A te interesy bez nas iść nie mogą. Trzy Rodziny będą musiały się pogodzić z biegiem spraw.

W Sonsie zapanował względny spokój. Ład powrócił na ulice miasta, znajdujące się poza dzielnicą devediańską. Rządzące rodziny faktycznie pozwoliły emocjom opaść. Ale zbyt wielu ludziom zależało na tym, by sprawy przybrały inny obrót. Zwłaszcza zaś Bractwu Wojny, którym kierował anonimowy czarownik z *Vivia Infanti*.

Plotka głosiła, że za powstaniem stali cudzoziemscy najemnicy. Jeden adekwatny rysopis Ferrisa Renfrowa mógł doprowadzić do linczu Else'a.

Okoliczności się zmieniały. Else zaczynał się zastanawiać nad zaryzykowaniem ucieczki z Sonsy.

Na nic się nie przyda królestwu Dreanger, jeśli polegnie w lokalnym powstaniu.

Wieści o rebelii dotarły do Brothe. Patriarcha już zdążył wydać bullę nakazującą całkowite unicestwienie niewiernych. Trzem Rodzinom rozkazał oddać wszystkich zbrojnych do dyspozycji Bractwa Wojny.

Ponieważ wspólnota devediańska miała wielu przyjaciół i szpiegów, a Bractwo – wrogów chcących za wszelką cenę postawić je w kłopotliwej sytuacji, knujący przeciwko devom nie zdołali zachować tego w tajemnicy.

Bracia nie byli głupi. Nie wierzyli, że są w stanie zaskoczyć devów. A ponieważ było ich niecałe cztery dziesiątki, nie spieszyli się z atakiem.

– Czyż nie zawsze tak jest? Ci, którym najbardziej zależy, chowają się za plecami tych, którym aż tak bardzo nie zależy, i cisną – zauważył Else.

Złe wyczucie czasu. Obecnie starcy stali murem za młodymi, ale nie naciskali ich. Młodzi rwali się do bitki. Sytuacja jeszcze nie była Magiczna.

– Co macie zamiar zrobić, kiedy przyjdzie Bractwo? – zapytał Else.

Nie uciekną przed kilkoma pociskami. Przyprawdzą swoich czarowników. I zabiją wszystkich, którzy nie będą z nimi. Już to kiedyś widziałem.

Puste, chłodne spojrzenia. Starsi nie chcieli słuchać. A Else dostał się w objęcia ich koszmaru.

Ani razu od swej nocnej wizyty w zbrojowni nie był sam. Ale pewny był, że gdy zechce, potrafi się pozbyć swych devediańskich cieni.

Zgodnie z oczekiwaniami atak Bractwa nastąpił nocą. Czarownicy preferowali nocną robotę. Nadworne siły rodzin, znacznie bardziej bojąc się braci na tyłach niż devów z przodu, przełamały barykadę broniącą wstępu do dzielnicy devediańskiej. Pozostali wspięli się przez mur, który był dość cienki i wysoki na niespełna dziesięć stóp. Nie miał on chronić, ale ograniczać mobilność tych, co w środku.

Nie napotkali żadnego oporu. Nerwowo posuwali się naprzód, ostrożni aż do przesady, wypatrując jakiejś śmiertelnej pułapki.

Panowała jednak ciemność. A devowie byli agentami Woli Nocy. Każdy o tym wiedział.

Najeźdźcy przekonali się, że wszystkie domy devów są zawarte. Kiedy włamywali się do środka, zastawali puste wnętrza. Nie tylko mieszkańców brakowało, ale również ich dobytku.

Trzy Rodziny nakazały swym żołnierzom, by ofiar było jak najmniej. Devowie byli czynnikiem decydującym o dobrobycie Sonsy.

Bractwo Wojny weszło do działań, gdy tylko dowiedziało się, że nie ma żadnego oporu, zdecydowane splądrować dzielnicę.

Żołnierze rodzin byli coraz bardziej niespokojni.

W każdej chwili czarownicy devów mogą spuścić na nich wszystkie psy mroku.

Else przyglądał się inwazji przez szczelinę w nieoszkłonym oknie piwnicy. Zgodnie z jego przewidywaniami napastników zjadła wcześniej trema przed desperacką walką. Wielu było pijanych. Nie napotkawszy oporu, nie bardzo wiedzieli, co z sobą robić. Stali w grupkach, popatrując po sobie nawzajem, nawet nie chciało im się rozglądać za tym, co można by ukraść. Else wyszeptał do Stewpa:

– Widzisz? Dyscyplina się rozluźnia. Są tak pijani, że mogą zapomnieć, po co tu przyszli. W każdej chwili może im przyjść do głowy pomysł, by poszukać ukrytego skarbu devów. I wtedy ich mamy.

Rodziny wraz z ich najcenniejszym dobytkiem zostały rozlokowane w tunelach i piwnicach rozciągających się pod całą dzielnicą. Na wypadek ostatecznej katastrofy był tunel ewakuacyjny, biegnący pod południowym murem obronnym Sowsy. Choć Else nie miał o nim wiedzieć, podobnie jak o kilku innych tunelach prowadzących poza obręb dzielnicy. Młodzi devowie często zapominali, że w jego obecności mają mówić wyłącznie po melhaicku.

Else zrobił co mógł dla ruchu oporu, ponieważ uznał, że nawet drobny sukces może zainspirować devedian w innych częściach świata. Jeżeli Wzniosły będzie musiał walczyć z niepokojami wśród mniejszości u siebie, być może nie starczy mu czasu, żeby patrzeć na wschód.

– Oto człowiek, na którego czekaliśmy.

Pojawił się wysoki mężczyzna całkowicie odziany w czerń. Był wyższym z dwóch, których wzięła na pokład *Vivia Infanti*. Tym, który walczył z Else'em. Zdawał się być w zaskakująco dobrym zdrowiu.

– Odsuńcie się – ostrzegł Else. – Dzięki swojej mocy będzie w stanie zobaczyć, co się stało z mieszkańcami dzielnicy.

W plotkach, że starzy devowie byli czarownikami, kryło się ziarno prawdy. Oczywiście nie wszyscy, ale kilku. Posiadaczom bodaj iskry talentu zlecono misję zamaskowania kryjówek kobiet i dzieci.

Natomiast parę oczywistych schowków wybrano dla osiągnięcia przeciwnego efektu.

Wysoki brat ruszył nagle w kierunku kryjówki Else'a, szybko, jakby coś wyczuł.

– Zapałka! Szybko! – rzucił Else.

Broń miotająca była ustawiona na cel. Czarownik ruszył biegiem.

Zapałka wykonał swe zadanie.

Rozległ się łomot grzmotu i uniosła wielka chmura siarkowego dymu. Kiedy dym się rozwiął, brat leżał rozciągnięty na kamieniach bruku, dziesięć stóp od miejsca, w którym się znajdował, kiedy broń wypaliła, z sercem przebitym srebrną kulą; martwy, nim jeszcze dosięgnął ziemi.

Wystrzał był znakiem, na który czekali devediańscy bojownicy.

Z dachów posypał się niespodziewany deszcz śmierci, skierowany głównie na oddziały Bractwa Wojny.

Ktoś wykrzyczał rozkaz, żeby zgasić pochodnie.

Ktoś krzyknął, żeby nie słuchać tego rozkazu.

Devediańscy bojownicy wysypali się z wąskich zaułków, uderzyli, rozplynęli w mroku. Snajperzy siali zniszczenie w szeregach napastników.

Else krzyczał i przeklinał mężczyzn zmagających się z bronią miotającą. Chciał, żeby była gotowa do strzału na wypadek, gdyby pojawił się starszy z wiedźminów Bractwa. Ale nawet trzyosobowej obsłudze pięć minut zabierało przeczyszczenie lufy i załadowanie jej prochem, pakułami, zapłonnikami, żelaznymi pociskami i srebrnymi struzynami, których skąpy Stewpo nie chciał dostarczyć więcej na drugą salwę.

Na zewnątrz zrobiło się cicho. Bojownicy devów zniknęli, zabierając swoich rannych. Pozostała nadzieja, że być może uda się wszystko przeprowadzić, nie antagonizując Trzech Rodzin.

– Cudzoziemcze! – warknął jeden z działonu Else’a. – Idzie ten drugi.

Else przepchnął się do szczeliny w oknie.

Tajemniczy pasażer *Vivia Infanti* pojawił się przy akompaniamencie wrzasków. Niczym zbite psy oddziały Rodzin zawróciły i rozpełzły się w ciasnych alejkach oraz uliczkach devediańskiej dzielnicy.

Czarownik Bractwa dostrzegł leżącego giernka. Idąc w kierunku poległego, uważnie rozglądał się w otaczającej ciemności. Ale wyraźnie widok tak go zbił z tropu, że nie okazał się dostatecznie czujny.

Bełt wystrzelony z kuszy przemknął ze świstem i oderwał kawałek ciała.

Czarownik wydał z siebie ryk, spowodowany nie tyle ukłuciem rany, ile bólem emocjonalnym, po czym rzucił zawczasu przygotowane zaklęcie.

Z pewnością miało być to coś, co oślepi lub rozbroi snajperów. W przeciwnym razie narażałby się na nieskończony deszcz pocisków. Oczywiście zaklęcie wpłynie też na jego ludzi. Nimi się jednak nie przejmował.

– Niedobrze – powiedział Else, gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje. – Naprawdę niedobrze. Mamy pod ręką trochę zimnej wody? Jakies szmaty, żeby je nasączyć?

Jego pomocnik chciał wiedzieć, do czego mu będą potrzebne.

– Ponieważ mamy przed sobą ferromaga. Zaraz lufa robi się zbyt gorąca, żeby jej dotknąć. Może nawet na tyle gorąca, żeby wybuchły prochy. Jeśli to nastąpi, broń będzie niezdatna do użytku. A my martwi.

Czarownik jednak najwyraźniej postanowił wyrządzić im grzeczność.

Kiedy wzbierała w nim magia, kiedy jego ocaleli podwładni z Bractwa wyciągali broń zrobioną z drewna i szkła, on chyba wyczuł źródło, jeśli nie

przyczynę, nieszczęścia, które spotkało jego ucznia.

Z jego płuc wyrwał się kolejny ogłuszający krzyk, on sam zaś ruszył ku drużynie Else'a.

Else desperacko wycelował – lufa nie była jeszcze na tyle gorąca, by nie mógł jej utrzymać na ramieniu.

– Zapałka! Zapałka!

Usłyszał, jak proch syczy na spłonce panewki. Czarownik Bractwa chyba również usłyszał, ponieważ podjął nagły, rozpaczliwy wysiłek, by się zatrzymać.

Proch wybuchł. Srebrne strużyny i żelazny piach pomknęły w noc. Siła uderzenia poderwała czarownika Bractwa w powietrze i cisnęła o ziemię.

Coś uderzyło Else'a z tyłu, mocno.

Świadomość stracił tylko na moment. Doszedł do siebie, otworzył oczy i zobaczył piwnicę pełną dymu. Wszędzie wokół śmierdziało spalonym prochem i tłącym się drewnem.

Naładowana prochem lufa eksplodowała. Żył wciąż tylko dlatego, że człowiek z lontem wziął na siebie większość impetu eksplozji. Cały był pokryty krwią tego deva.

Else spróbował znowu zerknąć na zewnątrz. Widok był niezbyt dobry. Cel padł, ale najwyraźniej nie odniósł śmiertelnej rany. Ocaleli żołnierze Bractwa właśnie odciągali go na tyły.

Nasilił się zapach płonącego drewna.

Czas znaleźć się w jakimś innym miejscu. Gdzieś w mrokach piwnicy tkwiła beczka prochu, razem z ciałami dzielnych, martwych devów.

Ponieważ nikt już nie śledził każdego jego oddechu, Else postanowił skorzystać z okazji, by przysłużyć się swemu Bogu, Dreangerowi i shalugom na całym świecie. Opuścił dzielnicę devów przez głęboki, wilgotny tunel, który nie prowadził wprawdzie poza zewnętrzne mury miasta – tamten z pewnością był zatłoczony i dobrze strzeżony – ale do krypty mauzoleum na cmentarzu katedralnym, sto jardów na północny wschód od granic dzielnicy devediańskiej.

Istnienie tunelu było jedną z tych tajemnic, które Else poznał od młodych bojowników, gdy ci nie dbali o to, co mówią.

Mimo zamieszania w dzielnicy devediańskiej reszta Sonsy zażywała spokoju letniej nocy. Żaden księżyc nie mącił widoku morza gwiazd. Kilka spóźnionych świetlików wciąż się iskrzyło pośród grobowców i pomników.

Ani umarłych, ani żywych, ani Delegatur Nocy najwyraźniej nie interesował samotny i brudny uciekinier, uzbrojony w długi nóż oraz krótką żelazną sztabę, którą zdobył w trakcie bitwy.

Nad dzielnicą devediańską gorzał blask i unosiła się chmura dymu. Beczka prochu eksplodowała, gdy Else był w tunelu. Oddziały Rodzin i bojownicy devediańscy z pewnością teraz ramię przy ramieniu gasili pożar.

Else postanowił więc skorzystać ze sposobności, jaką nastęczał obojętny Los. Udał się na poszukiwanie swego drugiego sonsańskiego kontaktu, żałując, że nie zdecydował się na to w pierwszym rzędzie. Uniknąłby całej tej devediańskiej przeprawy. Obecnie mógłby już być w Brothe, służąc w armii Patriarchy. Ale nie zdawałby sobie sprawy, że devediańscy szpiedzy przeniknęli do Pałacu Królów.

Plotka głosiła, że Patriarcha gromadził armię na podbój Calziru. A może chodziło o Imperatora. Najwyraźniej jednak niewielu było chętnych. Kampania, jeśli w ogóle kiedykolwiek dojdzie do skutku, kojarzyła się zawodowym żołnierzom z perspektywą skrajnej mordęgi i niewielkimi łupami. Calzir był krainą biedną, rolniczą niegościnną. Od dwóch tysięcy lat niewiele się w nim zmieniało poza imionami władców.

Stary dowcip powiadał, że chaldaranie i pramanie toczyli wojnę, w której stawką był Calzir, i pramanie przegrali.

Z drugiej strony Calzir miał poważne znaczenie strategiczne. Zajmował róg Firaldii i wielką wyspę Shippen, zerkając na szczupły przesmyk Morza Ojczystego. I dawał pramanom przyczółek na Półwyspie Firaldiańskim.

Else czterokrotnie przemierzył w tę i z powrotem ulicę pod Wskazanim adresem, nim wreszcie dostrzegł odlaną z brązu głowę pantery, oznaczającą dom, którego szukał. Pantera nie była większa od domowego kota. Nie rzucała się w oczy. Spodziewał się czegoś znacznie bardziej dramatycznego.

Podkradł się do drzwi i wystukał przewidziane hasło niepewny, czy o tej godzinie ktokolwiek mu jeszcze otworzy. Powtórzył serię stuknięć, potem trzeci raz i schował się w cieniach, żeby nie rzucać się w oczy. Spojrzał za siebie, żeby zobaczyć, jak postępuje pożar w dzielnicy devediańskiej.

Chyba już go opanowali.

Za czwartym razem jego wysiłki nagrodzone zostały odpowiednim odzewem – ktoś odpukał mu od wewnątrz. Jeszcze raz zapukał na odzew.

W wąskich drzwiach pokazała się szczelina. Else nie zobaczył nikogo, usłyszał tylko rzucone szeptem pytanie. Udzielił właściwej odpowiedzi.

Drzwi uchyliły się na kolejny cal. W środku było ciemno jak w sercu Patriarchy. Else nawet nie drgnął. Nie miał zamiaru, póki nie zostanie zaproszony lub poproszony o odejście. Właściciel domu z pewnością ma jakąś ochronę.

– Wchodź.

Ruszył ostrożnie, trzymając ręce na widoku i nie robiąc nic, co mogłoby być potraktowane z podejrzliwością. Agent z pewnością będzie nerwowy w obliczu całego zamieszania, jakie robiło Bractwo wokół obcych agitatorów podburzających devów.

– Skręć na prawo.

W ciemnościach nie widział mówiącego. Szept dobiegał z niewielkiej wysokości.

Chyba nie następny karzeł?

Nie, jak się okazało. Kobieta. Przekonał się o tym, gdy tylko wszedł do małego pomieszczenia oświetlonego blaskiem pojedynczej świecy.

– Myślałem...

– Spodziewałeś się mojego męża. Umarł zeszłej zimy.

– Nie wydaje mi się, aby w kraju o tym wiedzieli. – Nie wspomniał al-Karn, ponieważ, jak sobie właśnie przypomniał, agentka uważała, że pracuje dla Cesarza Wschodu.

– Ponieważ nie zostali powiadomieni. Potrzebuję pieniędzy. Pledga, umierając, nie zostawił mi żadnych dochodów.

Else nie pytał jak ani dlaczego. Nie obchodziło go. Tego rodzaju wiedza niczego by nie zmieniła. Przyjrzał się kobiecie. Była niska i drobna, mniej więcej koło czterdziestki, siwiejąca, najwyraźniej dumna, wciąż interesująca i zdradzająca ślady piękności, którą była nie tak dawno temu.

– Rozumiem. Teraz jesteś więc sama?

Kobieta przyglądała mu się równie uważnie. Każde myślało o tym, że składa swe życie w ręce drugiego.

– Tak. Póki przychodzą fundusze, mogę sobie na to pozwolić.

– Twój mąż powiedział ci, czym się zajmuje?

– Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Opowiedział mi historię, w którą sam wierzył. Ale on był dość naiwny. Czego potrzebujesz?

– Miejsca, w którym mógłbym się ukryć.

– Jesteś tym cudzoziemskim szpiegiem, przed którym wszystkich ostrzegają. – W jej wielkich ciemnych oczach rozblęły iskierki rozbawienia.

– Jestem szpiegiem, temu nie przeczę. Ten, o którym mówią, został przez nich wymyślony w celu przestraszenia ludzi. Strach na wróble, który ma zmusić mieszkańców, by się zachowywali, jak chcą rządzący.

– Opisali cię dość dokładnie. Musimy coś zrobić z twoimi włosami.

Else wzruszył ramionami.

– Może i tak.

– Ale przede wszystkim trzeba cię umyć.

Else przez trzy tygodnie pozostawał niewidzialny dla świata. Kiedy Anna Mozilla miała towarzystwo, chował się w pomieszczeniu na strychu. Zdarzało się to dość często. Wdowa była kobietą towarzyską, do której często na plotki wpadali liczni przyjaciele i krewni. Nie miała dzieci. Energiczna, optymistycznie nastawiona do świata, zapewne to ona była siłą napędową małżeństwa. Regularnie docierały do niej wieści z miasta.

Trzy Rodziny pokłóciły się z Bractwem Wojny, ponieważ ciężko ranny czarownik Bractwa – po tym, jak uszedł z życiem z terenu walk – próbował zarządzić eksterminację devediańskiej populacji miasta. Zostało to odczytane jako arogancja o epickich iście wymiarach, na którą Trzy Rodziny żadną miarą nie mogły przystać.

Straty po stronie Bractwa owej nocy wynosiły dwunastu zabitych i dziewiętnastu poważnie rannych. Ocaleli nie byli w stanie się przeciwstawić, gdy Durandanti wyeksmitowali ich z koszar.

– Wynajęli statek, żeby zabrał ich do Brothe – doniosła Anna Mozilla. – Ale wrócą.

Wielka posiadłość Bractwa, Castella dollas Pontellas, Forteca Mostków, stała nie dalej niż kilkaset jardów od Pałacu Chiaro, jeszcze bliżej było stamtąd do Krois, wyspiarskiej warowni Patriarchy. A obecny Patriarcha chował dla Bractwa Wojny czułe miejsce w sercu.

– Donowie nie są zadowoleni – ciągnęła Anna dalej. – Czarownik zagroził im bullą ekskomuniki. Biskup Indigo odpowiedział groźbą, zakazując Bractwu na zawsze wstępu na Morze Sonsańskie. Nigdy za nimi nie przepadał. Dawno temu, kiedy byłam dziewczynką, wygłaszał kazania przeciwko wpuszczaniu ich do miasta.

– Czarownik przeżył?

– Tak. Ale podobno odniósł tak ciężkie obrażenia, że odtąd będzie kaleką. I nigdy już nie da rady wykonywać większych czarów.

– Hm?

– Słyszałam, że stracił część lewej ręki, a druga jest bezużyteczna. I część twarzy ma całkowicie pokancerowaną. W ciele ma tyle srebra, że sam zrujnuje wszelkie zaklęcia, jakich spróbuje. – W jej głosie brzmiało zadowolenie.

– Naprawdę żałuję, że przeżył – powiedział Else. – Ale zadowolę się tym, co jest. Powiedziałaś, że opuścił Sonsę?

– Dziś będą już prawie dwa tygodnie. Obraził tak strasznie dona Bonaventurę Scovilettiego, że Scoviletti ogłosili, iż nie będą wspierać Patriarchy w żadnej sprawie, która związana będzie z Bractwem. Tak na marginesie, biskup Indigo jest wujem dona Bonaventury.

– Ciekawe. Muszą mieć nerwy. Dobrze. Mieliśmy tu paskudne – go, wielkiego łotra o czarnym sercu i nie mamy zielonego pojęcia, kim był.

– Jeden z głównych czarowników z Castella Anjela dolla Picolina. Powiadają, że przybył tutaj, ponieważ augurowie przepowiedzieli, że w Sonsie pojawi się poważne zagrożenie dla Kościoła.

– Byłoby ironią, gdyby wysiłki neutralizacji tego zagrożenia w istocie je spowodowały.

– Wielu tak mówi.

– Teraz już kłopoty z devami powinny zejść na plan dalszy. Na jakiś czas. Nie będzie Bractwa, które podsycaloby nastroje tłumu.

– Tak też mówią. Ale rzeczy nigdy nie wrócą do normy.

– Powinienem się więc wynosić z Sonsy.

– Jeszcze nie. – W głosie Anny Mozilli brzmiała wyraźna niechęć wobec pomysłu Else'a, ale powiedziała tylko: – Donowie wciąż szukają kogoś, kto wyraża się w taki sposób, jak człowiek, którego pewnej nocy zastałam pod swoimi drzwiami. Starsi devedian upierają się, że zostali oszukani przez prowokatora z Dreanger, który zginął w eksplozji, jaka zapoczątkowała pożar dzielnicy. Nie wyglądasz mi na Dreangerczyka.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co słyszysz.

Anna Mozilla zmierzyła go wzrokiem. Sam siebie chyba oszukiwał.

Czternaście dni później w wiosce Alicea, dwadzieścia dwie mile na wschód od Sonsy, wpadł na dwunastkę mężczyzn z Grolsach, Rence, Reste oraz kilku innych jednostek politycznych, które składają się na gmatwaninę

Ormienden i Dromedan. Przeważnie byli młodzi i bardzo zmęczeni. Else sam czuł się zdrożony. Ale przynajmniej był już w drodze do Brothe.

Tego dnia zabił z procy zająca. Mięsem kupił sobie miejsce przy ognisku. Dwunastka również zmierzała do Brothe kierowana ambicją znalezienia pracy w żołnierskim fachu. Zasadniczo nie znali się wcześniej, połączyła ich droga.

Grolsacherscy bracia, Pico i Justi Mussa oraz ich przyjaciel Gofit Aspel zdezerterowali od ludzi, którzy zatrzymali ich czeladnicze inwestytury. Rafi Corona i stary Bo Biogna z rozbieganymi oczyma przyłączyli się do nich w Ormienden podczas bezcelowej wędrówki po Dromedan. Pozostali dołączali po drodze. Wyjąwszy Biognę oraz potężnego, ale niezbyt rozbudowanego człowieka, który kazał się nazywać Po Prostu Zwyczajnie Joe – i którego towarzyszem podróży był muł o imieniu Żelazny Wieprz – nikt z nich nie miał żadnego doświadczenia wojskowego. A dla wszystkich była to pierwsza awanturnicza wyprawa. Nawet Bo Biogna i Po Prostu Zwyczajnie Joe zdobyli wojskowe ostrogi w kraju ojczystym. Kiedy dowiedzieli się, że Else jest bywałym w świecie weteranem, nalegali, by opowiedział im o wojennej chwale.

Powiedział im prawdę. Nie byli uszczęśliwieni. Nie to chcieli usłyszeć. Ale widzieli już dość świata, by zrodziło się w nich podejrzenie, że rzeczywistość nie ma zwyczaju ustępować przed marzeniami.

Khaurene, w Skraju Connec

Słowo się niosło jak Skraj Connec długi i szeroki. Synod Doskonałych osądził, że prawdziwi maysalczycy muszą aktywnie sprzeciwić się złu, kiedy stanie się ono nie do zniesienia. A więc póki biskup Antieux pozostaje w swojej katedrze albo ogranicza się do wypadów na wieś, jego oskarżenia o herezję można zwyczajnie ignorować. Kiedy jednak wyśle ludzi, którzy zechcą skrzywdzić maysalczyków, nie powinien oczekiwać, że ci nadstawią drugi policzek.

Mimo to brat Świeca oczekiwał, że większość tak właśnie się zachowa. Poszukiwacze Światła byli łagodnym ludem, który pragnął świata wolnego od chciwości i nienawiści, jak też od wszelkiego zła, które Człowiek wyrządza bliźnim.

Brat Świeca sprzeciwiał się wszelkiej uległości wobec trucizny ciała. Ale nie miał zamiaru występować wbrew woli synodu. Bóg i tak osądzi wszystkich, jako ostateczny sędzia. W każdym razie celem mąciwodów z Brothe byli zazwyczaj connekiańscy episkopalni, nie zaś maysalczycy.

Od czasu ataku na patriarszego legata biskup Serifs trzymał głowę nisko, mimo iż Patriarcha domagał się bardziej agresywnej kampanii przeciw herezji.

Legat nadzwyczaj powoli lizał się z ran.

W Antieux panował spokój. Młody i popędliwy hrabia Raymone Garete pozostawał w Khaurene, siedzibie księcia Iormonda; w istocie był tam trzymany przez Tormonda, żeby nie prowokował Kościoła.

Brat Świeca przepychał się przez zatłoczone o poranku ulice Khaurene po raz pierwszy od dwudziestu lat. Nie towarzyszył mu żaden orszak, ale

przechodnie okazywali znacznie więcej uwagi i szacunku, niż kiedy był Charde ande Clairs.

Zarówno episkopalni, jak i maysalczyki kłaniali się mu, a nawet pozdrawiali ceremonialnie na starą imperialną modłę. Status Doskonałego uznawany był za wielkie osiągnięcie przez Connekian wszystkich wyznań. Nawet devowie i dainschauowie, których można było znaleźć w każdym większym miasteczku i mieście Conneć, potrafili okazać szacunek świętemu duchem, kiedy mieli go przed sobą.

Stara forteca nazywana Metrelieux wznosiła się na wzgórzu spoglądającym na szerokie, leniwe i brunatne wody rzeki Vierses. Od niepamiętnych czasów Metrelieux było siedzibą connekiańskich książąt. W obecnym kształcie forteca miała mury z dekoracyjnego wapienia, dobytego z lokalnych kamieniołomów cztery wieki temu, a pobudowana została na fundamentach fortecy Starego Brothe, która w imperialnych czasach pełniła zresztą identyczną funkcję. Pierwotną budowlę rozebrano na materiały budowlane podczas dwu wieków, jakie nastąpiły po upadku Starego Imperium Brothe.

Kamień współczesnej fortecy był miękki. Brudny. Znać było na nim wyraźne ślady erozji. Brat Świeca wątpił, by przetrwał następny wiek.

Metrelieux stanowiło odbicie natury człowieka, który w nim zamieszkiwał. Tak powiadali mieszkańcy Khaurene, którzy nazywali go Wielkim Niezdecydowanym.

Tormond IV po prostu jakoś nigdy nie potrafił się zdecydować, żeby zrobić coś naprawdę wielkiego.

Tormond był uwielbiany przez ludność Conneć w takiej samej mierze dla tego, co robił, jak i dla tego, czego nie robił.

Tormound nie wtrącał się w ludzkie życie. Tę cechę władcy poddani kochali.

Pierwsze precedensy ustanowili tu ojciec i dziad Tormonda. Mimo iż dziad (też Tormond, trzeci książę o tym imieniu) w młodości wziął udział w krucjacie. Jego z kolei dziad był jednym z założycieli państw krzyżowców Kagure i Groves, których terytoria, choć w postaci znacznie umniejszonej przez Indalę al-Sul al-Halaladyna, przetrwały po dziś dzień. Rządzone przez książąt z nadania Bractwa Wojny i uznawane przez wszystkich najnowszych Patriarchów.

Brat Świeca dotarł pod bramę barbakanu Metrelieux. Całość sił stojących między fortem a inwazją składała się z dwóch zaspanych, otyłych i posuniętych w latach wartowników. Obserwowali leniwy ruch pieszych spod kraty, której wedle wszelkich znaków w ogóle nie dałoby się w nagłym wypadku opuścić.

Nikt spośród mieszkańców forticy nie pamiętał, kiedy ostatni raz zamknięto jej bramy.

Dziś jednak na ulicach wyczuwało się atmosferę strachu. Lud Khaurene odgadywał, że stulecia pokoju i pomyślności stanęły pod znakiem zapytania. Krążyły niespokojne plotki o nieudanym zamachu na życie Niepokalanego II, antypatriarchy.

Uliczna plotka głosiła, że dzięki nadzwyczajnemu szczęściu i łasce Boga asasyni zamierzający zamordować prałata ulegli Gwardii Braunsnechtów Niepokalanego. Mówiło się o cudach i boskiej interwencji. Wedle wszelkich wskazań mordercom powinno się powieść.

Głównym kandydatem na łotra kryjącego się za spiskiem był, rzecz jasna, Wzniosły V. Choć naturalnie wypierał się on jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Gwardziści przy bramie zapytali o powód wizyty.

— Jestem brat Świeca. Książę...

— No. Poznoście, panisko. Jegomość może i pomyślał, co nie Przyjdziecie. — Grubszy z dwu strażników mówił dialektem używanym dalej na zachodzie, niewykluczone, że nawet za rzeką Payme w Tramaine. — Chodźcie no, panisko.

Brat świeca zapytał:

— Co cię sprowadziło do Khaurene?

— W Khaurene byłem, jakem sobie cosik pomyślał, że juzem za stary na przygody. — Przygody były powszechnie stosowanym eufemizmem na fach najemnego żołnierza. — A trza było mi ze dwaścia lot wcześniej tak pomyśleć. Jegomość książę dobry, to i robie tu do dziś.

— Wszędzie tak mówią. — Nim brat Świeca odszedł, pobłogosławił żołnierza, zresztą na jego wyraźne życzenie.

Patriarcha miał rację. Byli wszędzie.

Brat Świeca przeszedł przez zakurzone korytarze, których z pozoru nikt nawet nie próbował ani razu posprzątać od początku obecnego panowania.

Wychodziło na to, że Tormond ma dość niezwykle priorytety.

Tormond z Khaurene był łysejącym, siwiejącym i ogólnie dość wynędzniałym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. W młodości przystojny i próżny, przestał dbać o wygląd, kiedy owdowiał za sprawą Artesii, swojej księżnej, zmarłej w położu w wieku czterdziestu czterech lat, cztery wiosny temu. Dziecko urodziło się zdeformowane i martwe. Każdy Connekianin, który lubił sufłować Bogu, miał na ten temat coś do powiedzenia.

Tormond gardził tego rodzaju plotkami.

Książę bardzo się postarzał. W szarych oczach czało się szaleństwo.

— Charde ande Clairs — powiedział Tormond, opuszczając grupkę szlachty, żeby się przywitać z Doskonałym.

— Obecnie tylko brat Świeca, wasza lordowska mość.

— Prawdę musi być to, co ludzie powiadają że pijecie krew dziewic. Nie postarzałeś się nawet o rok.

— Pochlebiasz mi, wasza lordowska mość. W kościach czuję ósmy krzyżyk. Stawy skrzypią i jęczą za każdym razem, gdy się schylam. Niestety, najlepsze lata mam już za sobą.

Książę Tormond nie dał się zbić z pantałyku:

— Ja, dla odmiany, postarzałem się za nas obu. Jestem taki zmęczony, Charde. Od kiedy straciłem Atrezję, każdego dnia budzę się rano umęczony światem i jego niedolami.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego niż Tormond, brat Świeca zaraz zaświadczyłby o pokoju, jaki można znaleźć wśród Poszukiwaczy Światła. Ale to był Tormond IV, władca kochany przez swój lud, którego jedyny syn urodził się martwy. Którego najbardziej prawdopodobnym następcą był hrabia Raymone Garete z Antieux, wprowadzie przyjaciel Poszukiwaczy, ale mężczyzna ledwie dorósł i na dodatek zapalczywy narwaniec. Hrabia Raymone nie potrafił się wyzbyć nieszczęsnych miraży niepodległego Connec sprzymierzonego i chronionego protektoratem króla Piotra z Navai, z pobliskiej Direcii.

Brat Świeca powiedział więc:

— Wyślij posłańca do Fleaumont. Od zakonnic dostaniesz ziołowy lek, po którym za trzy miesiące będzie stąpał po ziemi niczym młody ogier.

— Ach. Tam obecnie przebywa twoja żona, nieprawdaż?

— Tam przyjęła swoje śluby.

— Zrobię, jak radzisz. Zresztą wybrałeś znakomity moment na wizytę. Rozumiem, że między innymi dlatego zwą cię Doskonałym Mistrzem. —

Poczucie humoru Tormonda nie ze szczętem jeszcze zniknęło. Kiedy brat Świeca nie sprostował, podjął: — Moja siostra jest tutaj. — Wskazał grupkę, od której wcześniej się oddalił. Wśród gości znajdowała się przystojna kobieta w średnim wieku.

— Wybacz mi moją niewczesną uwagę, wasza lordowska mość, ale wyrosła na kobietę wywierającą ogromne wrażenie.

Isabeth była dwadzieścia jeden lat młodsza od Tormonda. Bardziej jak córka, której się we wszystkim pobiła, niż młodsza siostra.

— Nie miałem pojęcia, że bawi z wizytą.

— Oficjalnie jej tu nie ma. Oficjalnie jest w Oranii, zajmując się sprawami państwa, podczas gdy Piotr oblega Camargharę. Proszę, nie mów nikomu, że ją tu spotkałeś.

— Oczywiście. Jeśli tak sobie życzysz.

— Życzę sobie. Chodź i usiądź z nami.

Brat Świeca poszedł za księciem do stołu, za którym właśnie zasiadła królowa Navai w towarzystwie sześciu starszych mężczyzn. Jeden był dainshauem. Dwaj byli devedianami. Z tych ostatnich ubiór jednego sugerował pochodzenie direciańskie — prawdopodobnie członek świąty Isabeth. Drugi, o imieniu Michael Carhart, okazał się devediańskim uczonym o dużej reputacji, a równocześnie przywódcą devediańskiej wspólnoty w Khaurene.

Z pozostałych dwaj byli episkopalnymi kapłanami, a ostatni wyglądał na zawodowego żołnierza. Brat Świeca nie znał żadnego z nich.

Kiedy obaj z księciem usiedli, okazało się, że wszystkie krzesła są zajęte. Brat Świeca powiedział:

— Przyjmuję, że tylko na mnie czekaliście. Jaki jest powód tak szacownego zgromadzenia?

Odpowiedział Tormond:

— Informacje, jakie otrzymaliśmy od Patriarchy. Wzniosłego, a nie Niepokalanego.

Brat Świeca rozejrzał się po zgromadzonych. W jaki sposób Isabeth udało się dotrzeć tu tak szybko?

— Isabeth była już na miejscu, kiedy nadeszło pismo. Przybyła, ponieważ król Piotr wcześniej usłyszał słowo od Patriarchy, w kwestii poniekąd z tym związanej.

— Rozumiem.

— Wzniosły nakazuje mi, jako księciu Skraju Connec, abym oczyścił prowincję ze wszystkich heretyków i niewierzących. Czynił już tak wcześniej, ale nigdy nie wspierał swego nakazu groźbą użycia siły. Jak zawsze natomiast, nie określił, kim są rzekomi obrazurcy.

— Ten człowiek jest idiotą — mruknął jeden z episkopalnych kapłanów.

Drugi tylko patrzył płonącymi oczyma.

Pierwszy dodał:

— Czy jemu się wydaje, że Johannes puści mu to płazem?

Mężczyzna o wyglądzie żołnierza rzekł:

— Wiadomość została chyba wysłana w takim terminie, by dotarła tu po zabójstwie Niepokalanego. Próba zamachu się nie udała. A więc groźba pozbawiona jest treści.

— Wzniosły zbyt wiele sobie wyobraża. Wierzy we własną propagandę. Można podejrzewać, iż utracił kontakt z rzeczywistością — oznajmiła królowa Isabeth.

Brat Świeca zwrócił się do księcia Tormonda o dalsze wyjaśnienia.

Tormond odparł:

— Ten głupiec rozkazał Piotrowi, żeby zgromadził siły do inwazji na Connec.

— Piotrowi z Navai?

To faktycznie mogło wskazywać na poważny przypadek utraty kontaktu z rzeczywistością. Na jakiej podstawie Wzniosły mógł mniemać, że Piotr porzuci rekonkwistę, aby napaść na swego szwagra? Nie wspominając już o tym, że pobożny chaldaranin był nadzwyczaj tolerancyjny. Nie prześladował mniejszości religijnych we własnym królestwie. Nawet praman, pod warunkiem że uznawali w nim suwerena. Do diabła, plotki głosiły, że królowa Piotra sama jest maysalską heretyczką. A w Navai było więcej maysalczyków niż gdziekolwiek na świecie poza Connec i być może zacofaną pramańską republiką kupiecką Platadurą — portem na wybrzeżu direciańskim Morza Ojczystego, tuż za wschodnim nabrzeżnym krańcem gór Verses.

— Czyżby król Piotr żałował, że jego ojciec zerwał sojusz z Viscesment i sprzymierzył się z Brothe? — zastanawiał się brat Świeca.

— Zrobił tak tylko dlatego, że nalegali poważni wasale. I wciąż się przy tym upierają — wyznała królowa Isabeth.

— Czy wypowiedzą wojnę braciom w wierze chaldarskiej? — zapytał żołnierz.

— Nie, sir Eardale. Nasi lordowie są pod względem militarnym Jednomyślni. Interesuje ich tylko rekonkwista. Nie zareagują na wezwanie Wzniosłego. Wszystkich ich łączą więzy rodzinne z Connec. Ale ktoś inny z pewnością nadstawi ucha.

— Kto? — zapytał Tormond.

— Arnhand, bracie. Tam jest pełno złodziei.

— Arnhand ma pełne ręce roboty z Santerinem.

— Nikt inny nie ma dość sił i elastyczności moralnej. Weźmy pod rozwagę ewentualne działania, które mogłyby się przyczynić do tego, że konflikt z Santerinem nie wygaśnie.

— Po co się tu zebraliśmy? — zapytał brat Świeca.

— Ponieważ, jeśli Wzniosły przeprowadzi swoją sprawę, twoim ludziom stanie się krzywda. Obecny tu ojciec Clayto potępił Brothe, choć jest zwolennikiem Patriarchatu Brotheńskiego. Ale biskup LeCroes się waha.

Absurd. Brat Świeca nie znał tego człowieka, ale nieobce mu było imię. LeCroes był biskupem Niepokalanego w Khaurene, gdzie społeczność episkopalna faworyzowała antypatriarchę.

Ojciec Clayto był krytycznie nastawiony względem Brothe i tego, co imperium chciało osiągnąć w Connec. Spotykały go za to ostre reprimendy. Wzniosły zdegradował go do pozycji wikarego u pastora jednej z najuboższych parafii Khaurene.

Sprawiedliwi nigdy nie unikną kary.

— Chciałbym się dowiedzieć, jakie będzie stanowisko każdego z was, jeżeli Wzniosły spróbuje wywołać wojnę? — zapytał Tormond.

Michael Carhart odpowiedział:

— Tego człowieka nie interesują ani herezje, ani dysydenci. Jego jedyną motywacją jest chciwość. Chce splądrować Connec, żeby sfinansować wojnę przeciwko Calzirowi i następną krucjatę w Surieta. We wszystkich Państwach Episkopalnych próbuje od nas wymuszać pożyczki. W Sonsie Bractwo Wojny podjęło próbę zabicia i ograbienia całej wspólnoty devediańskiej.

Po prawdzie, to tam, gdzie Kościół brotheński zdobywał władzę, wkrótce w życie wchodziły ustawy ograniczające wszelką niechaldarską

działalność. Działo to zawsze na niekorzyść szerzej pojmowanej wspólnoty mieszkańców.

Lepiej wykształceni ludzie większości wspólnot nie byli chalda — ranami, ponieważ większość chaldaran z punktu nienawidziła czytania i pisania. Jeżeli szlachta episkopalna chciała mieć coś napisane lub odczytane — jak w wypadku ksiąg handlowych — wynajmowała śliskiego, chciwego deva o rozbieganych oczkach.

Brat Świeca zapytał:

— Słyszeliście plotki o Synodzie Doskonałych, który się odbył tej wiosny?

Kilkoro skinęło głowami. Żołnierz zaprzeczył.

— Osiągnięto konsensus — ciągnął brat Świeca. — W myśl którego wyznawcy Drogi powinni się aktywnie sprzeciwiać złu, nawet siłą. Jeżeli Patriarcha... lub ktokolwiek inny... dopuści się aktu bezpośredniej przemocy wobec jakiegoś Poszukiwacza Światła, a powodem nie będzie nic innego niż to, że ów wędruje Drogą, wówczas Poszukiwacz ten automatycznie uzyskuje rozgrzeszenie ze wszelkiej zmyzy grzechu, jaką może na siebie ściągnąć, opierając się złu.

— Wypowiedzieliście wojnę Kościołowi? — zapytał ojciec Clayto.

— Przestań się ze mnie naigrawać, ojcze. Powiedziałem tylko, że Synod wierzy, iż w razie ataku jesteśmy moralnie zobligowani do odpowiedzi siłą. Dyspensa nie obejmuje nikogo, kto chciałby się udać do Brothe, aby usunąć Wzniosłego albo go powiesić.

— To całkowicie rozsądna postawa. Wspólnota devediańska zajmie identyczne stanowisko — powiedział Michael Carhart.

— Podejrzewam, że devowie z Sonsy sformułowali podobne oświadczenie, zanim dopuścili się tych wszystkich okrucieństw.

Michael Carhart zapytał cicho:

— Ile tych okrucieństw zdarzyło się poza devediańską dzielnicą Sonsy, ojcze? Ile? Powiedz mi, ile spłonęło chaldarskich domostw? Wyjaśnij mi, jak to jest, że wasi ludzie zawsze potrafią tak wykręcić kota ogonem, iż nasz sprzeciw wobec gwałtu, rabunku i morderstwa traktowany jest jak zbrodnia przeciwko waszemu bogu.

Książę Tormond postanowił wkroczyć.

— Dość. Chciałem się dowiedzieć, jaka będzie reakcja waszych ludzi, jeżeli Wzniosły spróbuje działać. — Zanim ktokolwiek zdążył

odpowiedzieć, ciągnął dalej: — Wysłałem poselstwo do Brothe. Ko — lejne poselstwo. Choć skutkiem pierwszego nie były żadne zmiany w paskudnych obyczajach biskupa Serifsa, a drugie nie działało nic, tylko przywiozło z powrotem absurdalne żądania. Sir Eardale wchodził w skład tej misji. Przyjrzał się z bliska, jak się sprawy mają w Firaldii, Państwach Episkopalnych oraz Brothe. — Imię żołnierza wymawiał jako „Ee-aar-dalej”. — Samo Brothe jest, jak wiadomo, zdemilitaryzowane.

Brat Świeca słyszał już to imię. Sir Eardale Dunn pochodził z Santerinu i był pomniejszym szlachcicem, wygnanym z ziemi rodzinnej dla powodów znanych tylko jemu, jego królowi oraz, niewykluczone, księciu Tormondowi. Od dwudziestu lat był czempionem Tormonda, ale nigdy nie musiał toczyć żadnej wojny. Poza Metrelieux właściwie o nim nie słyszano.

Teraz sir Eardale rzekł:

— Zdolność Wzniosłego do przedsięwzięcia jakichkolwiek poważniejszych działań militarnych jest rzeczą wyłącznie jego imaginacji. Bóg jest po jego stronie, ponieważ jest Patriarchą. Wzniosły nie ma wojsk, przy których pomocy mógłby zrealizować zagraniczną operację. Wszyscy jego żołnierze czekają tylko na ewentualny atak Johanna Okrutnego. Większość nie ściąga na noc butów, żeby nie tracić czasu na ich wkładanie, kiedy wreszcie ten atak nastąpi. Równocześnie uważam — ciągnął — że nie wywiązałem się ze swoich obowiązków, gdybym was nie poinformował, że Imperator jest zainteresowany Calzirem. Vondera Koterba, jego marionetka w Alameddine, prowadzi zaciąg wśród najemników, prawdopodobnie mając na oku aneksję Calziru.

Brat Świeca przez chwilę grzebał w pamięci, próbując przypomnieć sobie, co wie o Firaldii. Alameddine było pewnie tym chaldarskim królestwem, które po północnej stronie gór Vaillarentiglia graniczyło z pramańskim Calzirem.

Sir Eardale skończył. Zajął się wielką filizanką kawy, którą Tormond polecił przygotować w trakcie przemowy marszałka. Książę wszystkim zaproponował kawę. Nikt nie odmówił. Nawet brat Świeca, który od dziesięcioleci nie próbował kawy.

— Och, jakie to dobre — wyznał. — Już zapomniałem. Znacznie łatwiej niż przyjemnościami ciała. Przeciwnik mógłby kawą kusić śmiertelnych.

— Czy przypadkiem nasze przygotowania nie są abstrakcyjnym ćwiczeniem? — zapytał książę. — Może Patriarcha tylko się przechwala?

— W znacznej mierze właśnie tak jest — potwierdził sir Eardale. Istota problemu, jak i stwarzanego przezeń zagrożenia polega jednak na tym, iż on sam o tym nie wie. Naprawdę wydaje mu się, że wszyscy pobożni chaldaranie aż palą się do wojny przeciwko wszystkiemu co nie chaldarskie. Ale się myli. Nawet najbardziej pobożni chaldaranie przede wszystkim chcą po prostu żyć swoim życiem. W pokoju.

— A co z nami? — zapytał Tormond. — Czy naprawdę może przekuć w czyn swe groźby wobec Connec? Czy jest w stanie?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Tylko sir Eardale widział na własne oczy, co się dzieje w Brothe. Ale on ograniczył się do stwierdzenia:

— Nikt nie potrafi przewidzieć, co zrobi szaleniec.

— Czy to ważne, czy Wzniosły potrafi urzeczywistnić swe groźby? — odezwał się ojciec Clayto. — Lepszym pytaniem jest, czy spróbuje? A obawiam się, że niestety, odpowiedź może brzmieć: tak.

— Wydaje ci się to zabawne, Charde? — zapytał księżę.

— Tak. I godne pogardy. Aczkolwiek przez to wcale nie jest mniej przerażające. — Wyjaśnił, w jaki sposób do tej sytuacji pasuje maysalska koncepcja Boga jako okrutnego żartownisia. Na koniec zapytał: — Jak zareaguje Imperator, jeśli Wzniosły poprowadzi krucjatę przeciwko Connec?

— Celne pytanie — skomentował sir Eardale. — Spodziewamy się omówić tę kwestię z samym Imperatorem. Z pewnością zainteresuje go ona po tym, jak jego żołnierze musieli udaremnić zamach na życie Niepokalanego.

Brat Świeca zaintrygowany był incydentem w Viscement. Strażacy Niepokalanego musieli zostać ostrzeżeni.

Dainshauowie byli ludem notorycznie milczącym i zdecydowanie wycofanym ze spraw codziennego życia. W ramach swych wymierających wspólnot uważali się za starszą rasę, pierwszych mistrzów przejścia od Epoki Bogów do Epoki Człowieka. Siedzący przy stole dainschau uniósł dłonie.

— Tember Remak chciałby zabrać głos — przedstawił go księżę.

Dainschau powiedział:

— Tember Remak ma pytanie. Jakie jest stanowisko Kolegium w tej sprawie? Czy Patriarcha ma jego poparcie?

— Wybrali go — odparł ojciec Clayto.

— To mogło być efektem przekupstwa i nacisków politycznych. I może nic nie znaczyć w czasie Święta Głodnych Duchów. Nie dostrzegliśmy dotąd żadnych świadectw przemawiających za tym, że Wzniosły jest marionetką Tyranii Nocy. Jest wielkim gadułą żyjącym w Wiosce Złego Psa, a nie słodkim panem Wielkiej Fortuny od Jednego Wejrzenia.

Choć ujęte w nieznanym terminach dainshauskiej przypowieści, pytania naprawdę były istotne. Jeżeli czarownicy Kościoła nie popierali Wzniosłego, będzie musiał ograniczyć swe ambicje. W szczególności zaś ucierpi na tym praca jego wywiadu. Szpiegostwo było jedną z tych sfer działalności, w których współpraca z Delegaturami Nocy okazywała się nadzwyczaj korzystna.

— Jak moglibyśmy się o tym przekonać? — zapytał Tormond. Spojrzał w kierunku brata Świecy.

Ten odrzekł:

— Nasze związki z nocą są znacznie przesadzone, wasza lordowska moc. Owszem, Poszukiwacze Światła odrzucają noc, kiedy składają śluby podążania Drogą. Dlatego też nazywani są Poszukiwaczami Światła. Jednak kilku spośród zgromadzonych tu moich kolegów... Prawdopodobnie nie wzdraga się przed pieczeniem na rożnie chaldarskich dzieci i uganianiem się nago w świetle księżycy w towarzystwie demonów z Otchłani. — Nie udało mu się utrzymać kamiennej twarzy. Ojciec Clayto o te właśnie rzeczy oskarżał Poszukiwaczy Światła.

Jeden po drugim przywódcy religijni negowali jakiegokolwiek związki z Delegaturami Nocy. Większość z odpowiednią dozą humoru.

— A więc jesteśmy ślepi — podsumował Tormond. — Nie mamy innego wyboru, jak siedzieć i czekać, co przyniesie Los.

To ściągnęło na niego ponure spojrzenia. Nie było żadnego „losu”, była tylko Wola Boska.

Brat Świeca powiedział:

— Czyż nie w ten sposób załatwialiśmy sprawy w Connec? Czas i fortuna okazały się łaskawe. Nigdy nie musieliśmy uginać kolan przed Tyranią Nocy.

Tym razem on ściągnął na siebie ponure spojrzenia. Nie było również żadnej „fortuny”, była tylko Wola Boska.

To było doprawdy dziwne zgromadzenie. Nikt nie domagał się wojny. Wszyscy właściwie byli za pokojem — choć z wypowiedzi jasno wynikało,

że nie będzie żadnej uległości, jeśli Wzniosły będzie dążył do rozlewu krwi.

Zebranie skończyło się, zanim brat Świeca zdążył w pełni pojąć, co zostało ustalone. Podejrzewał, że Tormond i Isabeth tak wszystko zaaranżowali. Przywódcy religijni zdecydowani byli walczyć z agentami ciemności i siłami zniewolenia. A Tormond nie musiał składać żadnych wiążących deklaracji.

Najbardziej charakterystycznymi cechami Tormonda były niezdecydowanie i kunktatorstwo. W płynącym leniwym tempem życiu Connec zaniechanie działania często okazywało się najlepszym sposobem rozwiązywania problemów.

Brat Świeca pewien był, że tym razem problemy nie rozwiążą się same. Chyba że Bóg zdecyduje, by przedwcześnie dopuścić Wzniosłego do niebiańskich łask.

Wielka Forteca Niebiańska, Królestwo Bogów

W Komnacie Bohaterów nie istniał czas. Była tylko groza bez końca i początku.

Shagot budził się i zasypiał, budził i zasypiał, dziesięć tysięcy razy albo mniej, albo więcej. Za każdym razem, gdy otwierał oczy, widział to samo miejsce i ten sam czarno-biały świat, wypełniony tymi samymi, krzyczącymi w milczeniu umarłymi.

Nie tak opiewano w legendach Komnatę Bohaterów. Nie było tu żadnego życia, żadnych wojowniczych przechwałek. Córki Ojca Wszechrzeczy, kiedy dawały się dostrzec, przywodziły na myśl raczej Pożeraczki Trupów niż Selekcjonerki Poległych. Przechadzały się wprawdzie wśród bohaterów, ale bardziej wyglądały na wiedźmy, które zagłodziły się na śmierć, niż na zmysłowe panny z mitu.

Shagot nigdy zbyt wiele nie oczekiwał po Selekcjonerkach Poległych. Po prawdzie to nawet tego, że je kiedykolwiek zobaczy, nieważne już, piękne czy odrażające. Mimo to Komnata Bohaterów rozczarowała go.

Martwi bohaterowie leżeli tu porzrzućani w nieładzie, jakby ktoś ich po prostu upuścił. I nawet nie poskładał na stosy. W stanic takim, w jakim umarli: twarze wykrzywione agonią, bez kończyn, rozbebeszeni, z otwartymi ranami.

Ale w tym miejscu nie istniał rozkład. Nie było padlinożernych ptaków i owadów. Ani robactwa. I smrodu śmierci.

Shagot nie widział wokół siebie żadnych świadectw potwierdzających, że umarł i trafił do nieba.

Jawa była tu towarem deficytowym, ale po kilku dziesięcioleciach uskładanych z drobnych okruczeń świadomości doszedł do wniosku, że jego udziałem jest inne przeznaczenie. Być może równie ponure i przerażające jak płonąca otchłań, którą głosili ci ciotowaci południowi misjonarze dla niegodziwych i niewierzących w ich dziwnego boga.

Widok wokół nie zmienił się ani razu. Ani śladu po towarzyszach drogi albo fałszywych rybakach, którzy ich tu przywieźli, a potem porzucili. Od czasu do czasu pojawiały się Selekjonerki Poległych, ewidentnie znosząc nowych klientów.

Tylko sen sprawiał, że nie wariował. Dużo snu i to, że nie był człowiekiem o szczególnie żywej wyobraźni.

I nagle, po dziesięcioletnim czy dwudziesto-, a może trzydziestoletnim dniu uwięzienia w Raju Shagot ocknął się i stwierdził, że coś się zmieniło.

Niosły go Selekjonerki Poległych. Dostrzegł mgnienia ich pomarszczonych twarzy i skurczonych głów; trzymały go pod pachy. Jego stopy wlokły się po ziemi. Próbował pomóc, ale nogi i ręce nie chciały słuchać. Ślizgały się i kołysały bezwładnie.

Czucie w kończynach powracało bardzo wolno. W pewnym momencie poczuł, że serce próbuje bić, czego nie pamiętał od czasu spędzonego na tamtej łodzi. Kościste, twarde palce Selekjonerek wbijały się w jego ciało. Czuł odrętwienie i ból od dawna nieużywanych mięśni.

Spróbował się odezwać.

Z ust wydobyło się charczenie. Ale przynajmniej znów oddychał.

Dokądkolwiek ciągnęły go te potworne kobiety, podróż trwała długo.

Powoli wracał mu wzrok, dostrzegał coraz więcej szczegółów. Przekonał się, że wloką go do tej części Wielkiej Fortecy Niebiańskiej, która mimo dojmującej pustki i ogromu wydawała się jakoś bardziej po ludzku przytulna. Nie w tym sensie, by skojarzyła mu się z czymkolwiek, gdzie dotąd był lub co widział, ale ponieważ przywodziła na myśl opowieści zasłyszane od starych, którzy poszli bursztynowym szlakiem, żeby służyć jako straż przyboczna Cesarza, opowieści o pałacu Cesarza Wschodu w Hypraxium. To było coś, o czym starsi awanturnicy zawsze wspominali. Niezamieszkaną przestrzeń domu Cesarza.

Słuch też powoli powracał, czego zresztą zaraz Shagot pożałował. Selekjonerki Poległych kłóciły się zażarcie w języku, który brzmiał jak

andorayski. Shagot rozumiał mniej więcej jedną trzecią.

Ach! Używały dawnej formy andorayskiego.

Bogowie dawno temu ofiarowali ludziom język. Shagotowi rozsądne się zdało, że język ten musiał być ich własnym językiem, a ludzie z czasem nadali mu postać bardziej pospolitą.

Selekcjonerki Poległych okazały się boginkami o strasznie negatywnym nastawieniu do świata. Nic im się nie podobało. Nienawidziły Shagota i jego bandy, której pozostałych członków też musiały wskrzeszać. Nie podobał im się plan Ojca. Nie lubiły Komnaty Bohaterów. Nie cierpiały umarłych. Ich własny żywot wydawał im się odrażający. A przede wszystkim z równowagi wyprowadzała je własna siostra, Arlensul. Jej egoistyczne zachowanie sprowadziło na nią banicję, a jej praca spadła na barki nieszczęsnego rodzeństwa.

Selekcjonerkom po prostu nic się nie podobało.

Wreszcie dotarły do celu. Upuściły Shagota i odeszły. Shagot przekonał się, że spoczywa na ogromnej przestrzeni całkowicie pustej z pozoru posadzki. Nigdzie nie widział ani ścian, ani innych ograniczeń, tylko na odległość strzału z łuku mglistą kurtynę szarzejącej ciemności. Żadnych kolumn podtrzymujących sufit. Jeśli był tu jakiś sufit. Gdyby nawet, to zbyt wysoko, by go zobaczyć.

Nagle poruszenie w oddali przyciągnęło jego wzrok.

Odrażająca para ciągnęła w jego stronę Svavara.

Shagot usłyszał coś za plecami. Zebrał siły, żeby się przetoczyć.

Jakąś stopę od swojej twarzy zobaczył płaszczyznę wypolerowanego czarnego granitu. Czarnego granitu, którego tu przed chwilą nie było.

Kamienne kondygnacje ciągnęły się w górę jak okiem sięgnął.

Skądś doleciał ledwie słyszalny śpiew, chorał pogrzebowy, od którego Shagotowi przebiegły po plecach zimne dreszcze. Co było nie w porządku z tymi ludźmi?

Shagot podniósł się na czworaki. Dzięki temu lepiej widział otoczenie. Granit wznosił się schodami o wysokości jednego jarda, ale tylko na przestrzeni jakichś dwudziestu kondygnacji. Na szczycie znajdowały się trony... chyba.

Obok jęknął Svavar.

Potem nastąpił czas bez czasu, ponieważ chwile mijały z pozoru bez żadnych wydarzeń, niemniej jedną od drugiej dzieliły dramatyczne zmiany

w otoczeniu Shagota.

Znienacka pojawili się obok niego Finnboga, Hallgrim i Thorlakssonowie. Wciąż zupełnie zdezorientowani. Obok nich leżał Erief Erealsson. Erief wyglądał właśnie na martwego człowieka, wskrzeszonego przez siłę nadprzyrodzoną. Za nimi ustawiały się w szyku setki martwych postaci równie pozbawionych kolorów, szereg za szeregiem, jak okiem sięgnąć.

Shagot nie powitał swego byłego kapitana. Tamtego otaczała atmosfera tej samej martwej makabry, jaką Shagot wyczuwał, kiedy tylko znalazł się w pobliżu któregoś z kurhanów, jakich pełno było w Andoray. Nawiedzane kopce. Kopce, o których powiadano, że pełne są krwiożerczych martwiaków gotowych w każdej chwili zerwać więzy i złapać któregoś z żyjących, aby w ten sposób zdobyć nowe życie. Na krótko.

Shagot był w tej kwestii sceptykiem. Nie znał nikogo, kto spotkałby się z mroczem. Teraz też próbował zachować sceptycyzm. Ale Selekcjonerki Poległych wydawały się równie nierealne. A martwi mieli w oczach głodne spojrzenia. Ci, którzy mieli oczy.

Jeden po drugim towarzysze odzyskiwali siły. Powstawali. Żaden nie mówił ani słowa. Nie byli zbyt rozgarnięci, ale zdawali sobie sprawę, że w tym miejscu każde wypowiedziane słowo może okazać się niewłaściwe.

Pojawiły się przed nimi Selekcjonerki Poległych. Teraz wyglądały jak postaci rodem z koszmaru. Jak harpie z południowego mitu, a nie piękne córki wielkiego boga północy.

W komnacie zatrzeszczało. Włosy Shagota stanęły dęba. Zaślniła błyskawica. Załomotał grzmot. Shagot wrzasnął. Kiedy się opanował, stał na pierwszym granitowym stopniu, próbując zachować wyprostowaną pozycję. Na moment stracił poczucie równowagi.

Selekcjonerki Poległych stały na szczycie gigantycznych schodów w towarzystwie kilkunastu innych wzniosłych bytów. Już nie były odrażające. A bogowie wyglądali, jakby wyszli ze starych opowieści. Każdy był piękny. Każdy roztaczał wokół siebie złotą poświatę młodości.

Oprócz jednego w ciemnych szarościach, z przepaską na oku, laską i długimi białymi włosami. Tego, na którego ramieniu siedział paskudny, skrzydlaty stwór nocy, który nie przypominał żadnego kruka, jakie latały po niebie za czasów młodości Shagota. I bóg ten bynajmniej nie był w radosnym, rozigranym, młodzieńczym nastroju.

Szary przemówił do jednego ze swych towarzyszy, małego, zgarbionego boga, który wyglądał po części na karła. Mały bóg pokiwał głową, spłynął w dół ku bohaterom. Shagot nie przyglądał mu się otwarcie i tylko kątem oka zobaczył w oczach boga lisie wyrachowanie. Shagota znacznie bardziej interesowały boginie.

Zgarbiony bóg stanął na najniższym stopniu, przed Shagotem.

– Cześć, Bohaterze. Gotów wziąć się do pracy? Do diabła tam. Kto dałby choć sznurze gówno za to, czy jesteś, czy nie? Mój brat, pół-idiota, chce się z tobą spotkać. Aby mógł ci przepowiedzieć przyszłość.

Shagot wiedział już, z kim ma do czynienia. Jego imię we współczesnym andorayskim można było tłumaczyć na kilka sposobów. Trickster. Kłamca. Krętacz. Albo też, w swobodniejszym tłumaczeniu: Zdrajca. Analityczna część umysłu Shagota zastanawiała się, czemu inni bogowie go nie zabili. Na przykład, topiąc w sznurzym gównie.

Zgarbiony bóg wykonał kilka gestów dłonią. Shagot stracił grunt pod stopami. Rozpaczliwie chwycił dłońmi powietrze. Oszust śmiał się, niemniej zadbał, by Shagot bezpiecznie doleciał przed oblicze pierwszego Wśród Nich, Którego Imienia Się Nie Wymawia. Tego Który Nadstawia Ucha.

Shagot znał to imię jak każdy Andorayanin i w ogóle każdy, kto wyznawał północny panteon, ale nie miał pojęcia, skąd je zna, skoro nie wolno było go wymieniać.

Udręka, jaką napawała go boska chwała, zmusiła go do osunięcia się na kolana. Shagot się bał, co było dlań stosunkowo nowym doświadczeniem. Patrzył w granit u swych kolan i czekał na objawienie woli boga.

Bogowie byli starzy. Bogowie byli zmęczeni. Bogowie mieli coraz mniej wyznawców. Chaldarskie szaleństwo było potwornością o tysiącach macek, które wciskały się wszędzie. Królów, książąt i wodzów nawracano za pomocą perswazji i przekupstwa. Potem oni pod groźbą miecza nawracali swych ludzi. Bogom nie zostało już wiele wieków, nim zdeprecjonowani zostaną do rangi pomniejszych duchów.

Momentami bogowie na mgnienie oka jakby zapominali, że ich postacie powinny odbijać oczekiwania śmiertelnych. Wówczas Ojciec Wszechrzeczy i jego połowica, jego synowie i córki, przyrodni bracia oraz potomstwo jego braci i sióstr zmieniali się w coś równie nieapetycznego jak

Selekcjonerki Poległych. Na widok wielu w człowieku mogłyby wezbrać mdłości.

Niemniej jednak było tak tylko dlatego, że ludzki umysł upierał się, aby nadawać zrozumiałą formę temu, co w istocie bezforemne.

Ojciec Wszechrzeczy zwrócił się do Grimura Grimmssona, znanego w oczach świata jako Shagot Bękart.

„Bohaterze, oto stajemy u Furki Losu, w obliczu końca czasów. W obliczu wydarzenia, które stanie się Zmierzchem Bożyszcz. Zostałeś wybrany, aby dokonać wielkich czynów”.

W mózgu Shagota jego głos niósł się rykiem. Po prostu był zdecydowanie zbyt głośny. Sturlanger uderzył czołem o posadzkę, aby odwrócić uwagę od wewnętrznego bólu.

Ojciec Wszechrzeczy zrozumiał, że ciało śmiertelnika ma swoje ograniczenia. Poziom głosu obniżył się. Bóg zaś przestał być tak sentencjonalny. I zdecydował się przemówić na głos, jak zwykły śmiertelnik.

– Grimurze Grimmssonie, wybraliśmy cię na naszego czempiona w świecie ludzi. Nadchodzi epokowy kryzys. Samo istnienie bogów jest zagrożone. Nie tylko twoich, ale wszystkich bogów. Bohaterowie opuszczą Komnatę, by walczyć jeszcze raz. A Grimur Grimmsson wskaże im drogę.

– Wedle twej woli. – Shagot nie potrafił opanować drżenia. Ani skoncentrować się na tyle, by uważnie słuchać. Mimo to pojął, co mu zlecają bogowie.

Choć niezbyt bystry, Shagot nie mógł się nie zastanawiać, dlaczego bogowie potrzebują ludzi dla załatwienia swoich spraw w świecie śmiertelnych. Byli bogami, czyż nie?

Shagot i jego towarzysze mieli wyruszyć na południe, gdzie panowali inni bogowie. Kiedy już znajdą to, co bogowie polecili im odnaleźć, odprawią rytuały, które wezwą Bohaterów Komnaty. Wszystkich. Bohaterowie pełnią wolę bogów, ale jej zakresu ci na razie nie uznali za stosowne zdradzać Shagotowi Bękartowi.

Firaldia, Ormienden i Antieux w Skraju Connec

Po południu, drugiego dnia od spotkania Else'a z młodziakami, ci zdecydowali się powierzyć mu dowództwo. Nie miał na to najmniejszej ochoty, tak się jednak ułożyło.

Wieczorem grupa dotarła do Raili, którego mieszkańcy parali się głównie wydzieraniem białego marmuru ze zbocza pobliskiej góry. Marmury Raili słynne były z braku wad oraz przejrzystości. Kamieniołom istniał tu od dwóch tysięcy lat. Wokół całego Morza Ojczystego stały pałace i pomniki z marmuru Raili.

Mieszkańcy miasta podejrzliwie przyglądali się podróżnym, co było zrozumiałe. Mogli się okazać rozbójnikami albo zbiegłymi więźniami. Żołnierze często mieli taką przeszłość.

Podszedł do nich człowiek, który mógł być konstabłem, i poinformował ich:

– Jeżeli szukacie roboty w kamieniołomie, musicie z samego rana udać się na miejsce. Jeżeli szukacie człowieka wynajmującego żołnierzy, to znajdziecie go na nieużytkach na południe od miasta.

Konstabl najwyraźniej chciał, żeby się wynieśli.

Else westchnął. Jego obszarpana gromadka w nikim nie mogła wzbudzić zaufania.

– Werbownicy dają gorący posiłek każdemu, kto weźmie udział w ich spotkaniu.

Else zapytał:

– Który z was, chłopcy, jest zainteresowany fachem kamieniarza? Jeśli chcecie znać moją opinię, to powiem wam, że w porównaniu z żołnierką ma wyłącznie same zalety.

Nikt się nie zgłosił. Młodzieńcy byli smutni, stęsknieni za domem i trwali przy podjętym postanowieniu głównie dlatego, że nie chcieli zdradzić przed towarzyszami swego człowieczeństwa.

Na nieurodzajnej ziemi, o której wspomniał konstabl, stało ponad dwadzieścia namiotów. Wygląd obozu wzbudził w Elsie niedobre przeczucia. Był zbyt uporządkowany. Zbyt profesjonalny.

– Wychodzi na to, że zdążyliśmy na kolację – zauważył. – W półmroku kolejka mężczyzn stała po posiłek wydawany przez dwu przysadzistych, grubych kucharzy, którzy mogli być braćmi. – Ktoś widział może jakieś sztandary lub godła? – Miło byłoby wiedzieć, komu się wynajmują.

– A ma to znaczenie? – zapytał jakiś głos. Zza krzaka wychynął uzbrojony wartownik. Else był zaskoczony. Faktycznie profesjonalści.

– Oczywiście, że ma. – Else oszacował żołnierza najlepiej jak mógł w zapadającym zmroku. Tamten zrobił to samo. Każdy zobaczył zawodowego żołnierza. Else rzekł: – Są ludzie, za którymi nie pójdę. Może po trosze przez to, kim są. Ale głównie dlatego, że idzie za nimi reputacja tych, którzy nie płacą.

Światła było dość, żeby Else zobaczył wyraz pogardy na obliczu wartownika. Tamten nie był najemnikiem i o najemnikach myślał źle.

Else sam myślał o nich źle, ale postanowił trzymać się roli.

Wartownik krzyknął:

– Posterunek numer trzy! Mam trzynastu ludzi i muła, wpuścić.

– Spodziewacie się ataku czy co? Tutaj? – zapytał Else.

– Jeżeli przestaniesz się strzec, kiedy ci się wydaje, że jesteś bezpieczny, ani się obejrzysz, jak jesteś zimnym trupem.

Else mruknął twierdząco. To potwierdzało jego podejrzenia. Faktycznie, profesjonalści. Znowu trafił na Bractwo Wojny. Niedobrze.

Z drugiej strony, może nie aż tak źle, jeśli zbierają oddziały, by wspomóc w jakimś bezeczeństwie Patriarchę.

Ale wiedza o tym, kim są, napawała Else'a niepokojem. Ostatnio zbyt często trafiał na swej drodze na Bractwo.

Ktoś podbiegł. Wyraźnie nie należał do walecznych braci. Był zbyt niski i zbyt młody, ale poza tym najwyraźniej już na tyle oswojony z wojskiem, by

nabrać odpowiedniej patyny.

– Proszę, chodźcie ze mną.

– Mam wrażenie, że jak dla mnie, coś tu za dużo polerowanego końskiego gówna, Pipe – mruknął Bo Biogna.

Else posługiwał się nazwiskiem Piper Hecht.

– Uczciwa praca czeka w kamieniołomach, Bo.

– Więc dlaczego nie zatargasz tam swojej dupy i nie podpiszesz kontraktu?

– To nie dla mnie. Nie potrafię długo wysiedzieć w jednym miejscu.

– A więc dlaczego ze mną miałoby być inaczej?

Było. Bo Biogna nie był szczególnie dobry w tym, co zamierzał robić. Else podejrzewał, że Biogna w niczym nie jest dobry, ale zasadniczo był uczciwy i się starał, przynajmniej dopóki ktoś patrzył.

– To twoje życie, Bo. Po prostu przypominam ci, że masz wybór.

Przewodnik zaprowadził ich od razu na koniec kolejki po żarcie i od razu poruszył kwestię muła należącego do Po Prostu Zwyczajnie Jo.

– Hej, nie będziesz mógł zatrzymać tego stwora.

– Niby czemu? – chcieli wiedzieć przyjaciele Po Prostu Zwyczajnie Joego. Żelazny Wieprz był najbardziej lubianym członkiem kompanii. Nie przypominał żadnego muła, jaki kiedykolwiek chodził po świecie. Był przyjazny i skory do współpracy. A Po Prostu Zwyczajnie Joe upierał się, że Żelazny Wieprz chciałby wstąpić do kawalerii. – Ten tutaj to urodzony rumak bojowy.

Przewodnik nie przejawiał nawet śladu poczucia humoru. Co, być może, stanowiło przyczynę wyboru takiego a nie innego zawodu. Odprowadził na bok przyszlą dumę kawalerii.

Else był pod wrażeniem. Obóz był naprawdę świetnie zorganizowany. A sam system werbunku też został przez kogoś nieźle obmyślony. Gorące jedzenie do syta gwarantowało, że ewentualni rekruci będą w dobrym nastroju. Wśród biedoty głód był plagą.

Else zwrócił się do najbliższego nieznajomego:

– Czyj to obóz? Do jakiej kampanii się przygotowują?

Przewodnik pojawił się akurat na czas, by usłyszeć pytanie; nie miał ze sobą Żelaznego Wieprza.

– Dowódcą obozu jest kapitan Veld Anwolker. Nie powiedział nam, co będziemy robić, tylko tyle, że mamy błogosławieństwo Patriarchy i

perspektywę wielkich łupów. Mówi się, że mamy mieć coś wspólnego z tym, co się dzieje w Sonsie.

– Gdzie jest Żelazny Wieprz? Zazwyczaj nie lubi się zbytnio oddalać od Joego.

– Spętałem go przy waszym namiocie. Dostał siano i rację owsa.

– Okazał się tak tanim zdrajcą? – obruszył się Joe.

– Perspektywa wielkich łupów? – dociekał Else. – Powiem wam, że to nie brzmi obiecująco. Przynajmniej w Firaldii. – Chyba że Bractwo zbierało siły, aby ukarać Sonsę za swoją banicję, i zamierzało zdobyć miasto oraz zniszczyć Trzy Rodziny. Perspektywa powrotu do Sonsy w szeregach Bractwa wydała mu się cokolwiek ironiczna.

– To znaczy, że chciałbyś robić coś nowego i wspaniałego, tak?

Else zmagął się z odruchami wpojonymi przez całe życie szkolenia szalugów. Rozumiał zachodnie podejście do wojny, ale nie potrafił na nie przystać.

Kiedy ludzie zachodu decydowali się na wojnę, zbierali szumowiny i odpadki swoich społeczeństw, wydawali im starą broń kiepskiej jakości, dorzucali kilku dziedzicznych wojowników w charakterze dowódców, a potem spuszczaali motłoch ze smyczy. Takie armie były niebezpieczne zarówno dla przyjaciół, jak i wrogów. Należało się liczyć z tym, że albo pofolgują sobie przerażającą rzezią, albo załamią się w pierwszych chwilach walki. Niemniej w czasie pokoju byli tani. Nie trzeba było ich karmić, ucierać, kwaterować i szkolić. I nigdy nie stwarzali zagrożenia, jakim mogła się okazać stała armia.

Jedną z przyczyn rozpadu Starego Imperium Brotheńskiego była zmienna lojalność armii frontowych.

Mógł się założyć o najczystsze złoto. I wygrałby. Mięsem, które jak szcudrze zaserwowano członkom jego kompanii i ewentualnym rekrutom, była, oczywiście, wieprzowina. Powoli Else zasmakowywał w nieczystym pożywieniu.

– Wy, chłopcy, z pewnością dobrze sobie wyliczyliście czas – poinformował go jednoręki szef kuchni.

Ten drugi, jego podwładny, który z bliska jeszcze bardziej przypominał brata bliźniaka tamtego, wciąż miał dwie ręce.

– Co?

– Dotarliście tu tak późno, że rano dostaniecie też darmowe śniadanie, no nie? – Jednak nieszczególnie się starał.

Wszyscy przyjaciele Else'a byli oszołomieni.

Jednoręki kucharz kontynuował:

– Czarodziej zrobi prawdziwe przedstawienie, żeby pokazać wam, czemu powinniście wielbić Boga i zaciągnąć się na służbę do Bractwa. Po większej części to gówno w dzbanku, ale dostajecie posiłek tylko za to, że wytrwacie do końca. Dwa posiłki, jeżeli jesteście na tyle bystrzy, żeby przybyć na miejsce, kiedy mu się już nie chce odprawiać wieczornych rytuałów. Jak na czarodzieja to dość szybko uderza w kimono. – W domyśle: każdy czarodziej powinien być w intymnych i zażyłych stosunkach z Delegaturami Nocy.

– Czarodziej? – Else'a tknęło kolejne złe przecucie.

– Przecież się nie jąkam. Przechodzić. Czas na zmianę wart. A te dupki nie lubią, jak się im każe stać w kolejce po żarcie.

– I któż mógłby ich winić?

Młodzieniec przydzielony za przewodnika pokazał im, gdzie będą jadać, a potem miejsce, w którym mają umyć drewniane talerze, kubki i sztućce, które wydano im na przedzie kolejki. Taki Porządek nie mógł potrwać długo, tego Else był pewien.

Zaprowadzono ich do wielkiego namiotu, gdzie mieli spać wraz z sześcioma innymi potencjalnymi rekrutami. Żelazny Wieprz, spętany, pożywiał się na zewnątrz. Mułowi chyba wydawało się, że trafił do mulego nieba. Else większość swego życia spędził w warunkach znacznie gorszych niż ten namiot.

– Z pewnością próbują nas tu kusić – powiedział do Bo Biogny.

– Widziałeś, mają tu prawdziwy, zupełnie prawdziwy kibel – mruknął Biogna.

Else też to dostrzegł. Z pewnością było to usprawnienie w porównaniu z tradycyjnymi pramańskimi latrynami polowymi. To, zdaniem Else'a, oznaczało, że Bractwo Wojny faktycznie sprawuje dowództwo w obozie. Orz że mnisi wojownicy nie byli tak zaślepieni, żeby nie móc się uczyć od swych wrogów.

Tradycyjnie rzecz biorąc, więcej krzyżowców marło od dyzenterii, cholery i tyfusu niż w wyniku najbardziej zaciekłych starań Indali al-Sul al-Halaladyna oraz innych obrońców Ziemi Świętej. A głównym powodem

tak wielkiej podatności na zarazę było to, że nie zdawali sobie sprawy z możliwego związku między chorobą a własnymi ekskrementami.

Jednak nawet tutaj był problem z produktami ubocznymi populacji zwierzęcej, głównie koni i psów.

– Jak dotąd wszystko wydaje się fajne – zauważył Gofit Aspel, kiedy grupa jadła śniadanie.

Else się zgodził.

– Robią co mogą żeby nas skłonić do zaciągnięcia się. Kiedy złożymy przysięgę, okaże się, że wszystko nie jest już takie fajne.

– Miejmy nadzieję, że nie oznacza to, iż kiedy dotrzemy tam, gdzie zmierzają trafimy w jedno wielkie gówno.

– Skłamałeś. Już kiedyś wojowałeś.

– Nie. Po prostu rozsądek podpowiada, że może tak być.

– Najlepiej zawsze spodziewać się najgorszego. Wtedy nie jest się zaskoczonym.

Zmaterializował się ich przewodnik.

– Musicie się pospieszyć. Chcą ruszać wcześniej. Udzie indziej zdarzyło się coś ważnego.

Wieści o tym rozniosły się po obozie w kwadrans, treść tajemnicy przebierała się w dziesiątki różnych szat, z których żadna nie była nawet w ćwierci prawdziwa.

– Ktoś próbował zamordować antypatriarchę!

– Zabójcy zostali starci na proch przez jego straż przyboczną!

– Słyszałem, że zabójcy wpadli w pułapkę!

Zanim szum ucichł, Else zdążył wysłuchać wersji, w której sam Bóg zesłał archanioła z ostrzeżeniem, podczas gdy w Viscesment armia elitarnych oddziałów Patriarchy została wybita do ostatniego żołnierza przez niezwykłych widmowych rycerzy, magicznie przeniesionych ze stolicy Hansela w Nowym Imperium Brotheńskim. Było to plotką tak rozkoszną, że wszyscy ją powtarzali, mimo iż tajemnicą poliszynela było miejsce obecnego pobytu Johanna Czarne Buty i jego córek, na które wybrali pałac Dimmel w Plemenzy, co miało wskazywać na brak aktywnych interesów w Firaldii; Imperator zresztą sam ogłosił, że robi sobie wakacje od polityki.

Plotki i spekulacje krążyły przez cały ranek. Reakcję dowództwa obozu na wieści Else uznał za nadzwyczaj interesującą.

– Podejrzewam, że Bractwo werbuje do szturm nie na Sonzę, ale na Connec – oznajmił towarzyszom.

– Zaczynają zwijać obóz – zauważył po prostu zwyczajnie Joe.

Miał rację. Żołnierze zwijali namioty, rozkładali na części instalacje kuchni polowej, ładowali wszystko na wozy. Zaprzęgano konie. Psy biegały dookoła, wyraźnie zupełnie zbite z tropu. Brakowało tylko kolumny kobiet i dzieci.

Pojawił się posiwiiały stary brat o imieniu Redfearn, by zająć się potencjalnymi rekrutami. Oprócz grupy Else'a od ostatniej mowy werbunkowej pojawiło się jeszcze czterech kandydatów na żołnierzy – Redfearn nie miał jednak wiele do powiedzenia.

– Wyruszamy. – Mówił z silnym akcentem, pochodził widać z odległych obszarów Nowego Imperium Brotheńskiego. – Do czasu aż wojsko ruszy, musicie zdecydować, czy jesteście z nami. Żołd jest regularny, wypłacany na czas. Na jedzenie możecie zawsze liczyć. Najlepsze, jakie zdobędą nasi kwatermistrze. Wasz zaciąg obejmuje okres nie dłuższy niż rok. Dostaniecie broń. W razie gdy zgubicie lub utracicie broń czy ekwipunek, będziecie musieli za nie zapłacić. W zamian za te świetne warunki będziecie musieli ciężko ćwiczyć, przez cały czas zachowywać się przyzwoicie, wypełniać wszystkie obrzędy religijne i podporządkować się dyscyplinie Bractwa. Kary są surowe. Ale sprawiedliwe. Aha. Oczekujemy, że będziecie walczyć jak diabli w imię Boga, jeśli dojdzie do bitwy.

Else uważnie przyglądał się weteranowi. Miał prawie wszystkie cechy, jakie można było przypisać sha-lugom. Pewnie był w Bractwie odpowiednikiem Szkieleta.

– Co masz zamiar zrobić, Pipe? – zapytał Po Prostu Zwyczajnie Joe. Bo, Gofit i reszta również byli ciekawi.

– Hej, kiedy opuszczaliście dom, wydawało wam się, że jesteście dość dorośli. – Złagodził nieco lekceważącą wymowę słów, pytając starego żołnierza: – Do kogo się zaciągamy? Słyszeliśmy coś o jakimś czarowniku.

Brat zmarszczył czoło, najwyraźniej nie potrafił dojść do ładu z sytuacją, w której najemnicy mieli intelektualne problemy ze służbą. Podszedł bliżej, żeby móc mówić szeptem, choć przecież wszelkie jego słowa ginęły wśród narastającego szczęku i zamieszania wojskowego obozu, przygotowującego się do wymarszu.

– Pytasz poważnie?

– Oczywiście, że tak. Zakładam, że jesteś człowiekiem religijnym. To oznacza, że są rzeczy, których nie zrobisz po prostu dlatego, że nie są dobre.

– To jest Bractwo Wojny! Miecz Niebios! – Żołnierzowi nie mieściło się w głowie, że ktoś kwestionuje moralną prawość Bractwa.

– Ale mówią o czarowniku.

– Nie jesteś chyba jednym z tych fundamentalistów, którzy wierzą że każdy czarownik musi być z definicji sługą zła?

– Nie. Ale nie lubię znajdować się w pobliżu kogoś, kto związany jest z Delegaturami Nocy.

– Och. Nie ma chyba nikogo bardziej prostolinijnego niż Grade Drocker. Przybył z kwater Specjalnego Oficjum w Runch.

– Łowca wiedźm! – wybuchnął jeden z chłopców zdjęty przerażeniem.

Bo Biogna wyraził głośno to, co Else'a martwiło w duchu:

– Jak to możliwe, że jeśli chcą walczyć z czarami i całym tym gównem, pozbyć się niewidzialnego ludu i całego tego gówna, jak to możliwe, że sami są wielkimi czarownikami i nekromantami i całym tym gównem?

Pytanie w najmniejszej mierze nie zbiło tamtego z tropu.

– Nie wysłała się pacyfistycznego kapłana, żeby walczył z czempionem wroga. Przynajmniej jeśli chce się wygrać.

Kątem oka Else złowił sylwetkę człowieka, opuszczającego jedyny stojący jeszcze namiot. Odziany był w znoszony mundur polowy Bractwa, ale Else nie miał najmniejszych wątpliwości, że to czarownik z Sonsy.

– Łowca czarownic ma na imię Grade Drocker?

– To nie jest jego prawdziwe imię. Słuchajcie, zaraz wyruszamy. Musicie podjąć decyzję.

– Ile wynosi żołd? – zapytał Else.

– Surowy rekrut: trzy i pół scutti miesięcznie, podwyżka do pięciu po zakończeniu szkolenia. Też w dobrych sonsańskich scutti. Ponadto jedzenie, broń i mundur. Nie mamy na razie kolczug ani innej ochrony. Doświadczeni żołnierze zaczynają od pięciu scutti, ale oczekuje się od nich, że będą dowodzić i szkolić żółtodziobów, po zakończeniu szkolenia podwyżka do sześciu scutti.

– A co z ludźmi, którzy byli oficerami i całym tym gównem? – zapytał Po Prostu Zwyczajnie Joe. Im dalej znajdował się od Żelaznego Wieprza, tym się wydawał bystrzejszy.

– Masz na myśli siebie?

– Gówno tam. Nie. Pipera. Zobacz. Pipe za cholere nic nie mówi, co robił, zanim się z nami zadał, ale nawet taki kretyn jak ja widzi, że musiał być kiedyś jakimś oficerem lub co najmniej sierżantem. Zawsze wie, co robić, i wie, jak to zrobić.

Stary żołnierz zwrócił się do Else'a:

– Masz coś do powiedzenia?

– Joe za bardzo popuszcza wodze wyobraźni.

Brat zaczął dokładniej wypytywać Else'a. Kapitan wymigiwał się jak mógł, częstując go niejasnymi uwagami w rodzaju: „walki na wschód od Shurstuli”, „pogańscy barbarzyńcy”, „Wielkie Bagna” i co tam jeszcze. Im bardziej szczegółowo przedstawiał swoją legendę, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś przyłapie go na jakimś szczególe.

Przed wnikliwym przesłuchaniem uratował go w końcu wymarsz żołnierzy Bractwa. Rekruci poszli za nimi.

– Dupa, tam. Idę – oświadczył Pico Mussa. Nigdzie nie zaproponują nam lepszych warunków.

On, jego brat i ich przyjaciel Gofi zaczęli się przygotowywać do wymarszu. Bo Biogna przyłączył się do nich. Potem jeszcze kilku.

Else sam nie wiedział, dlaczego poszedł za ich przykładem. Czy czuł się za chłopaków odpowiedzialny? Czy dlatego, że człowiek, który kazał się nazywać Grade Drocker, wyrządził tyle zła podczas swego krótkiego pobytu w Sonsie? Pewien był, że Drocker i tamten potwór to jedna i ta sama osoba.

– W porządku. Wolałbym raczej znaleźć sobie jakąś przyjemną synekurę w Brothe. Ale tu perspektywy też nie zapowiadają się tragicznie.

Stary żołnierz rzekł:

– Więc dobra. Jeżeli idziecie, w drogę.

Else próbował nie dostrzegać wyrazu ulgi na twarzach towarzyszy, gdy usłyszeli jego decyzję. Nie chciał brać za nich odpowiedzialności.

Cała historia wyglądała tak: Wzniosły wysłał do Connec członka swojej rodziny, aby na miejscu zadbał o to, żeby prawdziwy Kościół nie cierpiał już dłużej zniewag z rąk tak licznych w tej prowincji heretyków. Ci zareagowali rzezią ochrony legata, on sam ledwie uniknął śmierci.

Niedługo potem oddział asasynów przypuścił atak na pałac w Viscement, by zamordować antypatriarchę, Niepokalanego II. Łasce Boga

i wyszkoleniu kompanii Braunsknechtów strzegącej Niepokalanego należało zawdzięczać, że asasyni zginęli, zanim antypatriarcha się dowiedział, że jest w niebezpieczeństwie.

Naturalnie podejrzewano o ten zamach Wzniosłego. I równie naturalnie wszyscy oczekiwali, że potępi go, gdy tylko wieści dotrą z powrotem do Brothe. Wzniosły był tak ostentacyjnym hipokrytą w służbie swego Boga, jak wyobrażali sobie jego najgorsi wrogowie.

Else powoli nabierał coraz większego szacunku dla swego odwiecznego wroga. Wojownicy, z którymi potykał się w Ziemi Świętej, wyrastali z ludzi takich jak ci młodzicy, odważnych i wytrzymiałych.

W obozie Bractwa panowała raczej wygoda. Ocaleli z wpadki w Sonsie najwyraźniej mieli wszystko, czego mogli potrzebować.

Po wygnaniu z Sonsy czarownik pozełgował do Brothe, gdzie natychmiast uzyskał audiencję u Patriarchy. Następnego dnia ruszył na północ z posiłkami z Castella dollas Pontellas. Od razu przystąpił do zaciągu rekruta. Pieniądze nie były problemem.

Po tygodniach spędzonych na przemarszu przez polityczny galimatias księstw tworzących Ormienden, siły Bractwa rozbiły obóz na ziemiach klasztornych w krainie wina Dromedan – niewielkim Państewku Episkopalnym, wciśniętym w kąt, w którym zbiegały się granice Connec, Grolsach, Seline – protektoratu Firaldii i Prowincji Sorvine. Zresztą granice te nie były jasno wytyczone. Skraj Connec nie był jedynym krajem znajdującym się coraz bliżej faktycznej niepodległości. Ormienden również było właściwie samodzielne, choć rozbite na liczne mniejsze dzielnice, które miały zobowiązania feudalne wobec rozmaitych podmiotów, między innymi Hansela Czarne Buty.

– Na północy, w Imperium, jest jeszcze gorzej – zapewniał Else’a doświadczony najemnik nazywający się Pinkus Ghort. Był on kolegą z zaciągu, który też przyznał się do militarnej praktyki, tyle że ze stosunkowo mniejszymi oporami. Przez większość czasu szkolenia on i Else dowodzili kompaniami zielonego rekruta. Członków Bractwa było zbyt mało, żeby zarządzać wszystkim w rozrastającym się obozie. – Nawet pojedyncze miasteczko wśród maleńkiego kraiku może być wasalem kogoś, kto w istocie powinien być jego pradawnym wrogiem. Ale tam problem bierze się raczej z kwestii posagów niż pomieszanego dziedzictwa.

– Imperator Graala wszystko uporządkuje.

- Jasne.
- Jakoś nie słyszę entuzjazmu w twoich słowach.
- Hansel nie potrafi wiele zrobić. Prawie każde jego działanie musi zyskać aprobatę elektorów.
- Hmm. – Else próbował sprawiać wrażenie, że wie, o czym mówi Ghort. Zachód był w znacznie mniejszym stopniu monolityczny i znacznie bardziej skomplikowany, niż się to wydawało z perspektyw al-Karn.
- Masz jakieś pojęcie, o co chodzi tym szaleńcom? – Pinkus Ghort chętnie brał srebro Bractwa, ale nie bardzo poważał jego świętej ideologii.
- Myślę, że jesteśmy tylko na pokaz. Patriarcha chce zastraszyć Connec, bo ono wciąż go ignoruje. A więc podwyższa stawkę, wysyłając swojego nadwornego fanatyka Grade’a Drockera, żeby stworzył wiarygodną armię i tą chmurą gradową nastraszył Connec.
- Tam, skąd pochodzę, baboki są prawdziwe.
- Nikt nie może poważnie oczekiwać, że ten motłoch naprawdę jest w stanie wygrać bitwę.
- Gdzieś ty się chował? Widziałem już gorsze. I to nie tak dawno temu. Ci chłopcy mocno się starają, ponieważ płaci im się i karmi dobrze, a Bracia wciąż dyscyplinują ich tymi mobilizującymi pogadankami. – W głosie Ghorta znów zadźwięczały sarkastyczne tony. – Powinieneś widzieć tych, którymi musieliśmy się zająć w Themes.
- Byłeś tam?
- I to po stronie księcia Harmonechy.
- Więc miałeś szczęście.
- Szybko uciekałem. Poza tym wiedziałem, co się szykuje, więc się zawczasu przygotowałem. Ale żołnierze księcia to były najgorsze szumowiny, jakie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Książę nie zrobił nic, żeby ich wyszkolić, i niewiele, aby ich uzbroić. Albo bodaj zapanować nad nimi. To był naprawdę chlew. Santerin wyświadczył przysługę światu, że zechciał eksterminować siedemnaście tysięcy ludzkich zwierząt.
- A dowódcy? Szlachta?
- Nie wiesz, że mieli konie? Tylko garstce nie udało się uciec. A za nich ktoś zapłacił okup.
- Czarownik trzymał się na uboczu. Ale Else nieustannie czuł jego obecność. Jakby stał cały czas za nim, sprawiając, iż wciąż swędział go nadgarstek. Gdyby potrafił się dostatecznie szybko odwrócić...

– Pracowałeś już kiedyś dla Bractwa?

– Nie. I nie znam nikogo takiego. To jest wielki odwieczny pierwszy raz. I nigdy by nie nastąpił, gdyby naszym Patriarchą nie był Wzniosły.

– Wiesz, kiedy otrzymamy transport broni? Mi już jej brakuje, nie mam nawet dość na potrzeby szkolenia.

– Nie mówią mi nic, czego nie mówią tobie. Ale bardziej niepokoi mnie prowiant. – Lato powoli dobiegało końca. – Nie możemy tu siedzieć i bez końca drenować nadwyżek żywności z okolicy. – Już od ponad miesiąca armia stacjonowała u podnóża klasztoru Dencite, wystarczająco długo, by kurwy, oszuści i markietanie zaczęli budować własną wioskę tuż za granicami religijnych posiadłości - - Bechter idzie.

Redfearn Bechter był bratem sierżantem odpowiedzialnym za najemników. Obowiązki zaiste niełatwe. On sam zdecydowany był dzielić je z Else'em, Pinkusem Ghortem i kilkoma innymi. Else'owi przywodził na myśl starego Szkieleta. Widział już wszystko. Tylko coś naprawdę niezwykłego mogłoby go poruszyć.

Ale teraz wydawał się wstrząśnięty do głębi. Mówił z ciężkim akcentem.

– Panowie, ten wielki pierdolec może się wkrótce okazać całkiem poważny. Czarodziej właśnie otrzymał informację, że heretycy i ich gończe psy zaszczuli biskupa z Antieux w jego posiadłości pod Antieux. Patriarcha osobiście kazał nam coś z tym zrobić.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem Else. – To czyste szaleństwo.

Ghort dodał:

– Lokalny biskup ma wiejską posiadłość? W krainie winorośli? – Ghort lubił wino. Dużo o nim mówił. I dużo też z nim eksperymentował, ponieważ region Ormienden słynął ze swych znakomitych roczników. – Od kiedy kapłani...?

– Nieważne – odparł Bechter. – Myślenie nie należy do waszych obowiązków. Ani moich. Tak czy siak, nie mówię, że wyruszamy. Mówię, że pewnie wyruszamy. To jeszcze nie jest oficjalny rozkaz. Nazwijmy go rozkazem przejścia w stan gotowości. Abyście mogli wyglądać, jakbyście wiedzieli, co robicie, gdy nadejdą prawdziwe rozkazy wymarszu.

– Ogromnie przepraszam. Dałem się ponieść podnieceniu. – Pinkus Ghort miał w zanadrzu spore zapasy sarkazmu i ironii.

Else zapytał:

– A co mówią te rozkazy na temat broni? Moi ludzie wciąż ćwiczą kijami.

Wielka armia patriarchalna liczyła obecnie ośmiuset żołnierzy. Każdego dnia przybywało dziesięciu, dwudziestu. Else był zaskoczony, że jest ich aż tylu. Ghort patrzył na tę sprawę odwrotnie, dziwił się, że jest ich tak mało, zwłaszcza biorąc pod uwagę hojność Bractwa. Być może plotki o bitwie pod Themes odstraszały bardziej myślących ochotników.

Bechter wzruszył ramionami.

– W drodze. Tak mi mówią.

– Lepiej powiedzmy naszym biednym dzieciom, że mają teraz prawdziwe powody do szybszego poznawania tajemnic swego fachu.

Kolejne wieści wciąż były zdecydowanie nieprzyjemne. Biskup Serifs krzyczał o pomoc.

– Jeżeli zaczniesz jeszcze głośniej krzyczeć, nie będzie już potrzebował posłańców – zauważył Else.

– Gdyby jego sytuacja była tak zła, jak utrzymuje, byłby martwy, zanim w ogóle zdążyłby poprosić o pomoc – zgodził się Bo Biogna.

Wysłani na rekonesans dwaj bracia nie wrócili. Z namiotu czarownika wydano rozkaz: przygotować się do wymarszu. Niemalże natychmiast go odwołano po tym, jak Else, Ghort i paru innych przypomniało Redfearnowi Bechterowi, że trzecia część armii nie ma broni, a reszta, łagodnie rzecz ujmując, jest uzbrojona bardzo kiepsko. Potem nadeszła informacja, że ma do nich dołączyć najemnik Adolf Black, Grolsacher. Przybędzie w tym tygodniu z pięcioma setkami weteranów.

Perspektywa realnej walki wywarła wpływ na morale. Ci, którzy zaciągnęli się wyłącznie z myślą o darmowych posiłkach, stali się niewidzialni. Ci, którzy zostali, wkładali znacznie więcej wysiłku w ćwiczenia, dzięki którym ostatecznie mogą pozostać przy życiu.

Przyszedł transport broni. Adolf Black się nie pokazał. Grolsacher się zorientował, że sytuacja uległa zmianie. Żądał więcej pieniędzy.

Mała armia wkroczyła do Connec. Bracia zadbali, żeby nie było żadnego plądrowania ani niczego, co mogłoby się nie spodobać lokalnym mieszkańcom. Nie napotkali oporu, ale nie czekało ich też życzliwe przyjęcie. Nawet nieliczni kapłani episkopalni, którzy skłaniali się ku Brothe, przyglądali się im z nieustającą podejrzliwością.

Connec jako całość było głęboko ksenofobiczne.

Z chwilą zaciągnięcia rozpoczęła się twarda i zdecydowana dyscyplina. Bractwo znalazło się na ludziach. Wśród najpodlejszego, surowego rekruta z pewnością musiało się znaleźć parę kanalii. Bractwo nie tolerowało zachowań stanowiących normę w innych obozach. Za gnojenie innych karą było dziesięć batów za pierwszym razem; w wypadku recydywy – poważna chłosta i wydalenie bez prawa do zaległego żołdu. Człowiek przyłapany na próbie gwałtu jednego z młodych trafił przed oblicze czarownika, zanim zdążył na dobre zapiąć spodnie. Spotkanie to okazało się śmiertelne w skutkach dla miłośnika sodomii. Aczkolwiek ostatnie tchnienie wydał dopiero po dziesięciu dniach od ogłoszenia wyroku.

Za drobną kradzież karano surową chłostą.

Żołnierze zrozumieli przekaz, przynajmniej tymczasowo.

Kolumna dotarła do rzeki Dechear, płynącej u stóp góry Milaue. Cały dzień zabrała przeprawa promowa. Zachodnim brzegiem Dechear wiodło zachodnie odgałęzienie głównego Traktu Śródlądowego z północy. Na północnym wschodzie ten sam wojskowy trakt Starego Brothe wyznaczał granice między Nowym Imperium Brotheńskim a państwami, w których mówiono dialektem będącym odmianą arnhandzkiego. Jeszcze dalej na północ droga omijała od północnego wschodu Salpeno, siedzibę królów Arnhandu.

Na terytorium Connec jeden odcinek starożytnej drogi biegł na zachód, mijając większość głównych miast prowincji. Ostatecznie można było nim dotrzeć do rzeki Vierses w miejscowości Parliers. Vierses, która właśnie od tego miejsca była żeglowna, płynęła na północ, uchodząc ostatecznie do oceanu.

Dwa dni po przeprawie siły patriarchalne opuściły trakt i skręciły na południe, wkraczając do krainy łagodnych wzgórz pokrytych winnicami. Nie minęło dużo czasu, nim dotarli do posiadłości biskupa Serifsa, z której rozciągał się widok na Antieux.

Rozległa posiadłość biskupa przypominała latyfundia z dawnych czasów, tyle że większość terenów zajmowały winnice. Z dworu rozciągał się piękny widok na wysokie mury obronne Antieux. Miasto wciskało się w rdzawe zbocze wzgórza, wewnątrz zakola rzeki Hiob. Na pierwszy rzut oka było widać, że fortyfikacje są mocne i utrzymywane w dobrym stanie, co z pewnością usprawiedliwiało pewność siebie obrońców, o których wieści zaczęły docierać do armii interwencyjnej jakieś dwa dni temu.

Hrabia Raymone Garete i nielojalni, (co było zaprawione pogardą) wobec swego biskupa mieszkańcy Antieux otwarcie poinformowali zwiadowców interwentów, że mają dość zapasów, aby wytrzymać oblężenie przez całą zimę. Twierdzili, że wciąż będą dobrze jadać, gdy wrogowie rozumu oraz zdrowego rozsądku będą pod murami miasta gotowali swoje buty i jedli błoto, ponieważ zdążą już pożreć wszystkie psy, koty i szczury.

Biskup Serifs wyszedł z dworu, kiedy armia rozbijała obóz. Do furii doprowadziło go niszczenie przy tym jego winnicy.

Else znajdował się niedaleko, gdy doszło do spotkania biskupa z Grade'em Drockerem. Ale nie był dość blisko, by usłyszeć, co mówią. Niemniej obecność czarownika od razu dała o sobie znać. Biskup zakrztusił się, zbladł, rozkaszał rozpaczliwie. Drocker odwrócił się i odszedł. Serifs stopniowo odzyskał oddech i poróżowił. Pędem wbiegł do dworu.

Za Grade'em Drockerem musiała stać jakaś realna siła. Biskup miał być rzekomo jednym z faworytów Patriarchy.

Else rozlokował swoją grupkę w miejscu, z którego mógł widzieć namiot czarownika i zabudowania dworu, i z którego rozciągał się też dobry widok na Antieux. Przyglądając się miastu, doszedł do wniosku, że obrońcy mają powody do okazywania pewności siebie. Mury przez wieczność mogły się opierać zakusom tej zbieraniny. Nawet gdyby Grade Drocker zdecydował się skierować przeciwko nim wszelkie zapasy czarów, jakie mu zostały.

Siły patriarchalne stacjonowały na miejscu już od czterech dni. Błyskawicznie poradzono sobie z oblegającymi dwór biskupa. Jedyne starcia pod Antieux polegały na regularnej wymianie obelg. Żołnierze patriarchalni byli młodzi i zapalczywi, co z pewnością sprowadziłoby na nich kłopoty, gdyby komuś za murami miasta przyszło do głowy wykorzystać to, iż oblegający byli tak niewyszkoleni, że wciąż nie potrafili maszerować noga w nogę.

Oczywiście mieszkańcy Antieux nie musieli nic robić. Mogli biernie czekać, aż zima przepędzi oblegających. W istocie hrabia Raymone Garete wydał nawet proklamację stwierdzającą wyraźnie ten stan rzeczy, pewien, że jedynym efektem oblężenia mogą być zdeptane winnice biskupa i urażona duma Bractwa.

Grade Drocker zwołał naradę swych oficerów. Nim podejmie decyzję, chciał zasięgnąć ich opinii. Na tym poziomie hierarchii, na którym znajdował się Else, nikt nie potrafił dostrzec sensu takiego postępowania.

Przecież i tak zrobi, co zechce. Po co marnować czas na gadaninę, której i tak nie wysłucha?

Else był obecnie oficerem patentowym, a pozycję swą zawdzięczał głównie temu, że nie chciał jej żaden z żołnierzy Bractwa. Nie okazał się godny krzesła w pomieszczeniu, które udostępnił biskup Serifs, by spotkanie nie musiało się odbywać w siąpiącej mżawce. Wcześniej z pomieszczenia wyniesiono wszystko, co żołnierze mogliby ukraść lub zniszczyć. Else stał obok Pinkusa Ghorta oparty o zimną, wilgotną ścianę na tyłach pomieszczenia. Sytuacja była dość ironiczna. Jakoś zbyt naturalnie wylądował w tej samej roli, jaką odgrywał w ojczyźnie. Bóg uczynił zeń dowódcę kompanii.

– Braciszek Drocker wydaje się ździebko rozczarowany, nie sądzisz? – mruknął Ghort.

– Sądzę. – I niemal całkowicie bezradny.

Plotki mówiły prawdę. Postrzał srebrnego ładunku okaleczył Drockera poważnie i na trwałe. Spod lewej skroni prześwitywały fragmenty białej czaszki.

– Człowieku, on jest całkowicie załatwiony – zauważył Ghort. – Wygląda, jakby spędził co najmniej cztery godziny po niewłaściwej stronie bezzębego tygrysa.

Else słyszał, że przez większość czasu Drocker nosi maskę.

Zastanawiał się, dlaczego dzisiaj czarownik jej nie włożył.

Drocker potrzebował pomocy, żeby zasiąść za wysokim stołem. Był wściekły. Ale jego głos nie brzmiał słabo, gdy słowa dobywały się z ust w urywanych, chrapliwych parkosyzmach po trzy:

– Bechter. Znajdź biskupa... Serifsa. I prowincjała... Doneto. Kazałem im... tu przybyć.

– Mam nadzieję – Ghortowi gęba się nie zamykała – że Drocker każdemu zafunduje po nowej dupie. Przez tych gości tkwimy po cycki w gównie, a teraz myślą, że są za dobrzy dla nas, kiedy mamy po nich sprzątać?

Twarz Else'a była pozbawiona wyrazu. Ghort widocznie sobie pozwolił na wino do śniadania. Zbyt głośno wyrażał swoje opinie.

Ghort nie był jednak tak pijany, żeby nie zdać sobie sprawy z popełnionej gafy. Nic nie mówił. Przez chwilę.

Przybył biskup. Else zobaczył człowieka potężnej postury, po którym wszakże widać było oznaki długotrwałej i pilnej pracy nad własnym

rozkładem moralnym. Twarz miał nabrzmiałą nabiegłą krwią świadcząca o zadawnionym zamiłowaniu do alkoholu i stosunkowo świeżo nabytej apopleksji. Jednoznacznie dawał do zrozumienia, że wolałby być gdzie indziej.

Od progu zaczął zdecydowanie protestować. Ale ucichł pod siłą spojrzenia pojedynczego, ponurego oka Grade'a Drockera.

Naprawdę niełatwo było jęczeć w obliczu czarownika, który trwał na posterunku mimo odniesionych obrażeń.

Drocker rzekł:

– Na końcu stołu jest dla ciebie krzesło, biskupie. Gdzie jest prowincjał Doneto?

Legat przybył wkrótce, niesiony w lektyce przez swoich strażników oraz służbę wypożyczoną od biskupa. Pozostali strażnicy Doneta porzucili go. Nie wróżyło to dobrze legatowi na wypadek, gdyby znowu znalazł się w niebezpieczeństwie.

Else obawiał się komentarza Ghorta na temat osoby prowincjała. Ale natychmiast stało się jasne, iż legat nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach. Obrażenia odniesione w konsekwencji zasadzki okazały się znacznie poważniejsze, niż oficjalnie podano do wiadomości.

Biskup znowu zaczął dawać wyraz swemu niezadowoleniu, sugerując przy okazji, że wszystko dotrze do uszu Wzniosłego.

– Zwróciłeś na siebie uwagę Specjalnego Oficjum – uciął Drocker. – Nie zmuszaj urzędu, aby nadał oficjalny charakter temu zainteresowaniu. My nie podlegamy niczyjemu nadzorowi. Nawet Jego Świątobliwości. Rozumiemy się?

Biskup zapadł w ponure milczenie. Życie, los i cały wszechświat były absolutnie niesprawiedliwe.

– Świetnie. A teraz zobaczmy, co da się zrobić w sprawie herezji w Connec. Biskupie, domagam się jasnych odpowiedzi na pytania. Żadnych lamentów. Żadnych interesów własnych. Żadnych wymówek. Będziesz odpowiadał prostymi zdaniem twierdzącymi. Jeżeli nie zastosujesz się do tych wymogów, przekonasz się, na czym polega niezadowolenie Specjalnego Oficjum. Jasne?

Najwyraźniej nie. Serifs wybełkotał coś wściekle, a potem krzyknął.

– Pewnie nie słuchał – zauważył Pinkus Ghort, niezdolny do zachowania milczenia. Zachichotał. Opierając się wyłącznie na plotkach, zdążył już

mocno zniechęcić biskupa.

Według conneckiańskich świadków, tylko dwóch ludzi widziało jakiś pożytek z osoby biskupa: Patriarcha i śliczny blondynek, męska dziwka Serifsa. Niemniej Serifs miał sprzymierzeńców w Kościele i wśród szlachty, zwłaszcza tam, gdzie żywa była kwestia herezji maysalskiej.

Else wytężał słuch, żeby złowić pytania czarownika. Drocker jednak zupełnie już opadł z sił. Odpowiedzi biskupa stawały się coraz głośniejsze. Pytania można było wydedukować z odpowiedzi.

Szczegółowo przesłuchiwany i mądrze nakłaniany biskup w końcu przyznał wyraźnie, że głównym powodem duchowych kłopotów Conneck jest to, iż jego episkopalny brotheński pasterz duchowy nie jest człowiekiem przyzwoitym.

Nikogo wśród przysłuchujących się wniosek ten nie zaskoczył. Istotą problemu było uporczywe trwanie Kościoła na stanowisku, że żaden z jego przedstawicieli nie może zbłądzić. Drocker przekazał prowadzenie przesłuchania jednemu z braci. Sam był u kresu wytrzymałości.

Else przyglądał się Drockerowi. Czarownika – okaleczonego i naszpikowanego srebrem – z pewnością nie było stać na żadne większe czary.

– Z tym Donetem jest coś niedobrze – szepnął Pinkus Ghort. – Bierze opium czy co.

Faktycznie sprawiał takie wrażenie.

– Może się uzależnił. Nie wygląda mi na człowieka, który potrafi sobie radzić z bólem.

Z każdą chwilą spotkanie stawało się coraz bardziej interesujące. Biskup Serifs wyliczał działania, jakie już podjęto dla zwalczenia herezji maysalskiej. Jednak jego propozycje względem tego, co należałoby dalej zrobić, ograniczały się do: „Pozabijać ich wszystkich i skonfiskować dobra”. Pogląd ten zresztą cieszył się znacznym poparciem zgromadzonych. Ewentualni egzekutorzy tego pomysłu stali po stronie zysku.

Drocker znów zabrał głos w dyskusji:

– Podejście takie faktycznie przyniesie zyski Kościołowi, Bractwu i nam wszystkim, ale tylko na krótko. Tymczasem otrzymuję z Brothe wieści, że Arnhand wysyła nam na pomoc armię. Zwracam uwagę, że informacja ta nie może opuścić ścian tego pomieszczenia.

Musisz czymś zagrozić, pomyślał Else. Wieści przenikną do Connec. Ponieważ ktoś z tutaj zgromadzonych czuje się zmuszony powiedzieć o nich swojemu najbliższemu przyjacielowi. Który z kolei... I tak dalej.

Drocker nie mógł być tak głupi. Chciał, żeby się rozniosło.

Pinkus Ghort uszczypnął Else'a w łokieć.

– Koniec przedstawienia. Pobudka.

Else jęknął zakłopotany. On i Ghort znajdowali się najbliżej drzwi, więc powinni wyjść jako pierwsi. Nie przeszli jeszcze dziesięciu kroków korytarzem, kiedy Ghort wpadł na Else'a, który zatrzymał się jak wryty.

– Co? – warknął Ghort.

– Nic. Coś mi przyszło do głowy.

– Brzmi groźnie. A może nawet śmiertelnie groźnie, jeśli ma to coś wspólnego z Kościołem.

– Nie. – Nie. To w ogóle nie była myśl. Jeśli już to widok. Obraz. Śliczny blondynek obserwujący wychodzących spoza gobelinu maskującego drzwi. Bez wątpienia męska dziwka biskupa Serifsa. I bliźniak kogoś, kogo Else znał w innym miejscu i innym czasie. A może wcale nie bliźniak, skoro na widok Else'a zareagował najczystszy przerażeniem na twarzy.

Else pokręcił głową. To niemożliwe. Chłopak, którego pamiętał, miałby teraz dwadzieścia lat.

Else był na zboczu wzgórza, wśród winorośli. Spoglądał w dół, na Antieux, niewidzącym wzrokiem. Myślał o chłopaku, który wszystko komplikował.

Przy furtowej bramie miasta wychodzącej na rzekę trwał mrówczy ruch w tę i z powrotem. Ludzie schodzili nad wodę, potem wracali do bramy. Zdawało się, że czynili tak już od pokoleń. Wydeptali ścieżkę.

Dzieciaki z miasta kąpały się w rzece, drwiąc z oblegających. Else nie zwracał na nie uwagi, choć coś mu mówiło, że powinien.

Jakie ten blondynek miał imię? Ktoś je wymienił w jego obecności. Stosunki, jakie łączyły Serifsa z chłopcem, stanowiły kolejny powód nienawiści Connecian do ich biskupa.

Z głównej bramy Antieux wyszedł kilkunastoosobowy oddział z białą flagą.

Else wrócił do swoich żołnierzy.

Godzinę zabrało poselstwu dotarcie do budynku dworu. W tym czasie armia już trzęsła się od plotek i spekulacji. Bystrzejsi żołnierze zwrócili

uwagę na wysokość i grubość murów Antieux. Mieli nadzieję, że tamci przybyli, by się ugiąć przed Kościołem. Wtedy nie trzeba by walczyć.

Dobra wokół Antieux należały do hrabiego Raymone'a Garete. Hrabia był obcy we własnym kraju. Zdecydowanie wolał przebywać na dworze księcia w Khaurene. Było to siedlisko intryg, które mogły dostarczyć rozrywki młodemu przystojnemu szlachcicowi. Niemniej jakoś się tak złożyło, że hrabia Raymone akurat był w domu przed rozpoczęciem oblężenia i teraz przewodził poselstwu. Nie miał żadnej broni. Ani nakrycia głowy.

W kontekście walk, jakie Else toczył na wschodzie, powinno to zapowiadać pragnienie kapitulacji. Później wyszło na jaw, że ojcowie miasta mieli zamiar zaakceptować większość żądań Patriarchy. Chcieli potwierdzić swe posłuszeństwo woli brotheńskich patriarchów. Mieli zamiar zakazać herezji maysalskiej i wygnać wszystkich Poszukiwaczy Światła, którzy nie wyrzekliby się fałszywej wiary. Chcieli wygnać tych episkopalnych kapłanów, którzy zdecydowani byli nie zrywać ślubów posłuszeństwa wobec Niepokalanego II.

Biskup Serifs, roztaczając zapach brandy, przerwał księciu, nim ten powiedział bodaj parę słów.

– Zamknij się, chłopcze. Ja ci powiem, co macie zrobić. – Rozwinął pergamin. – Wymienione tu osoby mają zostać niezwłocznie aresztowane i dostarczone pod sąd składający się z trybunału Świętej Matki Kościoła.

Hrabia Raymone odparł chłodno:

– Kościół nie ma prerogatyw do sądenia osób świeckich. Jest to logiczna i oczywista konsekwencja kościelnej doktryny, w myśl której sądy świeckie nie mają prawa sądzić osób duchownych.

Uwaga ta wytrąciła Serifsa z równowagi, porzucił wszelkie pozory grzeczności. Zaczął wrzeszczeć i dochodzić krzywd tak małostkowych, że świadkowie jego wybuchu byli zdumieni.

W końcu hrabia Raymone wtrącił:

– Co to wszystko ma wspólnego ze sprawami Kościoła? Albo z prawem?

Czterech spośród ludzi wchodzących w skład poselstwa towarzyszącego hrabiemu było episkopalnymi kapłanami. Spośród nich trzech wspierało Wzniosłego V. Dotąd nieugięte bronili Serifsa, już choćby tylko dlatego, że nakazał im to Wzniosły.

Jeden z kapłanów powiedział:

– Nie jest rzeczą ludu zbierać, coś posłał, biskupie.

Drugi zasugerował:

– Być może, gdybyś odesłał chłopca do odpowiedniego sierocińca, nie oglądałbyś napisów na murach katedry.

Mieszkańcy Antieux szczylic się swą farą. Była wielka, wspaniała i choć trudno było ją nazwać prawdziwą katedrą całkowicie aprobowali ten wyraz pychy Serifsa. Mimo iż większość spośród mieszkańców Antieux należała do Poszukiwaczy Światła lub episkopalnych, którzy widzieli w Niepokalanym II prawdziwego Patriarchę.

W samym środku perory biskupa pojawił się Grade Drocker. Był zły, ale nie interweniował. Skonsultował się ze swymi adiutantami z Bractwa, którzy słyszeli wszystko. Westchnął, zerknął wściekle, pokręcił głową, ale się nie wtrącił.

Zadowolony był, mogąc dopuścić, aby nadworny idiota Wzniosłego zrobił z siebie kompletnego osła. A Serifs tylko mnożył powody, dla których powinien natychmiast zostać zdegradowany do braciszka żebraczego zakonu i wysłany na misję nawracania pogan z Wielkich Bagien, co zazwyczaj spotykało naprawdę kiepskiego kapłana.

Hrabia Raymone rzekł:

– Przybyliśmy tutaj, by się poddać w imię pokoju, mimo doświadczeń, jakie mieliśmy dotąd z Kościołem brotheńskim i jego przedstawicielami. Nasze intencje zostały odrzucone i znieważone. Słuchajcie mnie, wszyscy, którzy służycie Przeciwnikowi, a zwłaszcza ty, uzurpatorze Honario Benedocto: Antieux ostatecznie i całkowicie odrzuca wasze roszczenia. Niech Pan Bóg Nasz spojrzy na tego zwyrodnialca, który mieni się biskupem, i zrozumie, dlaczego tak uczyniliśmy. Niech wejrzy w nasze serca. A potem osądzi, przy kim jest sprawiedliwość.

W pośredni sposób hrabia Raymone właśnie wypowiedział wojnę. A jej wynik złożył w rękach Boga.

Kiedy Raymone wraz z towarzyszami wracał do Antieux, setka mózgów już trudziła się nad problemem, jak poprowadzić rękę Boga ku sprzyjającemu wynikowi. Nawet samemu biskupowi Serifsowi nie umknęło, że trzech probrotheńscy kapłani wrócili do miasta.

Else Tage zastanawiał się, jak bardzo zdumiony musi być Bóg słowami, jakie ludzie wkładają w Jego usta.

– Przedkładając propozycję pokojową, nie mówili szczerze – wyjaśnił Else swoim żołnierzom. – Udawali w nadziei, że odstępimy. Rodzina Raymone’a Garete to prawie sami heretycy. – Przeżuwał w ten sposób oficjalne stanowisko sformułowane przez Grade’a Drockera i wypluwał w możliwej do przyjęcia postaci. Miał zamiar papugować czarownika tak długo, póki pozostanie uwięziony w aktualnej roli.

Potrzebował czasu, by zrozumieć, o co przed chwilą chodziło ludziom z Antieux.

W wymiarze religijnym w podobnej sytuacji żaden sha-lug nie ustąpiłby nawet na krok. Ale nie oczekiwał tego samego po niewiernych, choćby dlatego, że błędzili.

Bo Biogna dał wyraz podobnym przekonaniom.

– Jeśli mnie pytasz, to też myślę, że to mądry sposób postępowania.

– Tak?

– W tej zbieraninie nie znajdziesz dwudziestu chłopców, których obchodzi, czy tamci na dole czczą kamienie czy węże, kapitanie. Poza tym większość z nich to pewnie takie same złodzieje jak ten rozwrzeszczany biskup.

Else pokiwał głową. To, co mówił Bo, było po większej części prawdziwe.

Kątem oka dostrzegł ślicznego blondynka, który z okna na Pierwszym piętrze przyglądał się odjazdowi oddziału Garete’a. Else obserwował go, póki tamten się nie zorientował.

– Zabaweczka tego idioty biskupa – powiedział Pinkus Ghort, idąc za spojrzeniem Else’a.

– No.

– Masz coś przeciwko manewrom w szyku? Twoi chłopcy przeciwko moim?

– Trzymaj tego szczura Bergera z dala od moich Pica i Justiego.

– Boisz się, że coś im zrobi?

– Nie. Boję się, co może zrobić Po Prostu Zwyczajnie Joe, kiedy się zorientuje, że Berger próbuje ich gnoić.

– Słuszna uwaga. Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś tak silnego jak ten Joe. A co tam się, do cholery, dzieje?

Znad rzeki przyniosło odgłosy wielkiego hałasu i zamieszania.

– Wiedziałem, że to się kroi – zdenerwował się Else. – Dlatego kazałem moim chłopcom nabierać wody z tej strony wzgórza.

Wodę dla obozu czerpano z rzeki. Cysterny dworu były zbyt małe dla armii. Nawet dla tak nielicznej i żalosnej zbieraniny jak ta.

Nosiwodowie z obozu wdali się w sprzeczkę z kąpiącą się młodzieżą z miasta. Tych drugich było więcej. Sytuacja powoli zmieniała się w koszmar.

Młodszy żołnierze, którzy stacjonowali w niższych partiach zbocza, krzyknęli radośnie i pobiegli pomóc nosiwodom.

– No to mamy problem – zauważył Ghort.

– Bo, idź powiedzieć, że nasi chłopcy mają się zaraz tutaj stawić – polecił Else.

– Nie chcesz się w to wtrącać, co? – zauważył Ghort.

– Nie. Wezmę ich na marsz ćwiczebny, żeby nie musieli brać w tym udziału.

– Najlepiej, jak też wyprowadzę swoich. Albo połowa z nich zginie przez naszą głupotę.

Sytuacja rozwijała się zbyt szybko i z obłąkańczą nieuchronnością. Kolejni najemnicy zbiegali po zboczu. Więcej młodzieńców wyszło zza murów miasta. Sprzeczka zmieniła się w wielką uliczną bójkę pod murami. Hrabia Raymone Garete wciąż był po przeciwnej stronie Antieux, nie mógł więc opanować przejawu głupoty swojej młodzieży. W winnicy, z której widok rozciągał się na miasto, autoryzowani przez Patriarchę oficerowie niczego nie zauważyli. Wciąż pozostawali we dworze ze względu na pogodę.

Else w końcu zrozumiał, czego nie dostrzegł, przyglądając się wcześniej rzece. Podczas gdy chłopcy z miasta zabawiali się w rzece i wymieniali wyzwiska z oblegającymi, setki ludzi nosiły wodę do miasta.

Cysterny Antieux nie były gotowe do oblężenia.

Początkowo żadna ze stron nie użyła broni w potyczce. Ale nie minęło wiele czasu, nim przewaga znalazła się po stronie najemników. Wystarczyło paru poległych, by mieszkańcy Antieux spanikowali.

Najemnicy naciskali. Bezładny tłum walczył pod bramą furtową, próbując się wedrzeć do środka. Obrońcy nie zatrzasnęli bramy. I nie stawili żadnego oporu, gdy najemnicy zaczęli się falą wlewać do środka.

Łucznicy na murach wypuścili kilka strzał, ale najwyraźniej niecelnych. Zresztą i tak nie mieli szans zatamować powodzi.

Else nie potrafił powstrzymać swojego oddziału, kiedy zaczęło się płądrowanie. Tylko Bo Biogna, Po Prostu Zwyczajnie Joe i, rzecz jasna, Żelazny Wieprz opanowali się i zostali na miejscu.

Z kompanii Ghorta tylko sam Ghort zdołał się oprzeć zewowi zapachu krwi, niesionego przez wiatr.

Redfearn Bechter wypadł wreszcie z dworu, wrzeszcząc:

– Co się, u diabła, dzieje? Gdzie są wszyscy? – W obozie zostało nie więcej jak trzydziestu ludzi.

– Nasi chłopcy wdarli się do Antieux – poinformował go Else. – Jak sądzę, mordują właśnie każdego, kto im wpadnie w ręce.

– Kto im wydał rozkaz?

– Patriarcha i biskup Serifs jasno stwierdzili, że nie będzie żadnej litości... i te rzeczy.

– Od jak dawna to trwa? Czemu nikt nam nie powiedział?

– My, hołota, nie jesteśmy wpuszczani na pokoje – zauważył Ghort. – Chyba że ktoś nas specjalnie zaprosi. Przypuszczam, że to dlatego, byśmy nie roznosili po parkietach błota i świńskiego gówna.

Miasto znajdowało się dostatecznie blisko, by docierały do nich odgłosy wrzasków.

– Nie mądruj się tak, Ghort.

Bechter pospieszył z powrotem do dworu. Wkrótce wszyscy bracia pojawili się na zewnątrz. A po nich zmaterializował się biskup. I wpadł we wściekłość, którą z każdą chwilą pogłębiało to, iż nikt nie słuchał jego rozkazów. W końcu powalił uderzeniem jednego z żołnierzy Bractwa. Zanim zdołał zrobić coś gorszego, nadszedł Grade Drocker.

Ciężki wzrok czarownika uspokoił biskupa. W jednej chwili Serifs oznajmił, że potrzebuje konia, aby jak najszybciej dostać się do miasta. W samym Antieux też miał nieruchomości. Ktoś musi ich bronić.

Drocker dostrzegł Else'a i Ghorta.

– Ty, żartowniś. Co się stało?

Ghort zrobił, jak mu kazano. Wyjaśnił, co się stało.

– Dlaczego wciąż tu stoicie? – zapytał Drocker.

– Mam rozkaz zabijać wrogów Kościoła, a nie mordować kobiety i dzieci. Czy jestem tutaj czy tam, nie czyni żadnej różnicy. Na pewno

widziałeś już, jak kończą się takie rzeczy. Muszą się wypalić, jak pożar. Jeżeli zostanę na miejscu... a nie otrzymałem rozkazów, żeby dokądkolwiek stąd odejść... nie zbrukam duszy większymi grzechami, niż mam już na sumieniu.

– A ty? Hecht?

– Zgadzam się z Pinkusem.

Drocker jęknął.

– Z tego, co widzę, wy, którzy zostaliście, widzieliście już wcześniej tego potwora. Ja też. Ale nawet w takiej sytuacji muszę się tam pokazać. – Na jego obliczu zastygł nieodgadniony wyraz. Najwyraźniej nie miał ochoty na dalsze komentarze.

Else konsekwentnie starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Drocker zarządził:

– Wy, ludzie, zostajecie tutaj. Bronicie prowincjała. I dóbr biskupa. Jeżeli macie na to ochotę. Ja postaram się zdobyć Antieux. Ale obawiam się, że Bóg się od nas odwrócił.

Gdy Drocker znalazł się już poza zasięgiem głosu, Ghort zapytał:

– Dokąd się udasz, kiedy się to skończy, Pipe?

– Hę? Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Dlaczego?

– Wydaje mi się, że są spore szanse, iż już jutro rano będziemy bezrobotni. A może nawet będziemy ratować głowy.

– Co?

– Teraz trwa tam w dole wielka rzeź. Ponieważ ci ludzie zrobili coś bardzo głupiego, a potem spanikowali. Ale ich jest znacznie więcej niż naszych chłopców, którzy są tylko przerośniętymi dzieciakami, nie wiedzą tak naprawdę, co sami robią.

– Myślisz, że dadzą się pozabijać?

– Myślę, że mają na to duże szanse. Myślę też, że nieważne, jak się wszystko skończy, ta sprawa zdecyduje o dalszych stosunkach między Patriarchą a Connec. Tymczasem chodźmy chronić Doneta.

– Kiedy został awansowany? Pierwszy raz, jak o nim usłyszałem, był zwykłym biskupem, na progu wyboru do Kolegium. Ale czarownik wciąż nazywa go prowincjałem. – To był główny tytuł w Kościele, zaraz po patriarsze. Pochodził ze starobrotheńskiego, w którym oznaczał księcia.

– Drocker jest z Brothe. Podejrzewam, że Wzniosły przyznał mu ten tytuł, ponieważ uznał, że nic go to nie będzie kosztować, skoro Doneto za

parę dni kopnie w kalendarz.

– Jesteś cynicznym draniem.

– Absolutnie.

Drocker z początku próbował się dostać do Antieux przez główną bramę. Jego oddziału nie wpuszczono. Obrońcy miasta wykazywali w okolicy bramy sporą aktywność. Natrętni łucznicy zmusili żołnierzy Bractwa do poszukania drogi ku otwartej furcie. W konsekwencji udali się w ślad biskupa Serifsa, którego wcześniej zmuszono do obrania tej właśnie drogi.

W mieście panowała groza. Napastnicy ponosili straty, gdy tylko natknęli się na poważniejszy opór. Ale obrońcy byli równie niedoświadczeni, rozproszeni, przerażeni i nie mieli pojęcia, gdzie tak naprawdę leje się krew. Ulice zasłane były ciałami setek poległych i umierających. Rzeź warta była historycznego eposu. Jednego z tych, w których się opisuje ryszotki kipiące strumieniami krwi.

Najgorsze rzeczy działy się w katedrze biskupa Serifsa, w której ponad tysiąc mieszkańców Antieux – zarówno episkopalnych, jak i maysalczyków – próbowało szukać azylu. Napastnicy wyłamali wrota katedry i przynieśli rzeź do domu Boga, którego dzieło mieli rzekomo spełniać.

Wszędzie indziej też narastało czyste szaleństwo, zamiast słabnąć. Napastnicy podzielili się na małe oddziały i przemierzali ulice w poszukiwaniu łatwych ofiar oraz łupu.

Biskup Serifs dotarł do katedry, gdy rzeź wciąż trwała. Przeszedł do legendy ludu Connec wszelkiej wiary i niewiary, kiedy z pianą na ustach zaczął pomstować na szkody czynione „jego” własności.

Kiedy Grade Drocker przybył na miejsce, w katedrze nie zostało już wielu żywych. Biskup Serifs był wśród nich, choć jego tłuście ciało nosiło wyraźne ślady czyjegoś nieuprzejmego traktowania. Ocalał cudem. Może faktycznie jego Bóg go kochał.

Walki wciąż trwały, ale powoli traciły rozmach. Napastnicy zajęli się swoimi rannymi, plądrowaniem lub po prostu opadli z sił.

Grade Drocker zdecydował się skorzystać z uprawnień dowódcy. Wysłał w miasto żołnierzy Bractwa, żeby przypomnieli najemnikom, iż podział łupów spoczywa wyłącznie w gestii dowództwa armii.

Nie było to szczególnie błyskotliwe posunięcie. Otaczało go miasto bezprawia. Jego jedyną ochroną była garść żołnierzy, którzy nie mieli w szczególnej estymie Specjalnego Oficjum.

Kilku posłańców zarzezano. Ale naprawdę paskudną reakcją najemników było niszczenie, co zdarzyło się w kilku miejscach, wszystkiego, czego nie mogli mieć dla siebie. Zaczęli podkładać ogień.

Legat nie wydawał się zaskoczony na widok Else'a, Ghorta i ich towarzyszy, którzy przedarli się przez pozostałych mu jeszcze dwóch strażników osobistej ochrony. Mamrotał coś pod nosem.

– Drocker kazał nam cię strzec – oznajmił Ghort. – Z tego, jak się rozwija sytuacja, wynika, że będzie ci potrzebna ochrona.

Doneto wybełkotał pytanie. Był wyraźnie naćpany. Mimo to jego umysł pracował. Chciał wiedzieć, co się dzieje.

Else powiedział:

– Ty wyjaśnij, Pinkus. Ja się trochę rozejrzę, zobaczę, czy to miejsce nadaje się do obrony.

Z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź na jego wątpliwości. Trzydziestu mężczyzn, muł, dwu nerwowych ochroniarzy i garstka przerażonej służby, zresztą topniejąca z minuty na minutę, nie utrzyma się długo. Dworu nie zbudowano z myślą o działaniach militarnych.

Chciał więc znaleźć chłopca. Męska dziwka mogła się okazać prawdziwym skarbem informacji.

Budynek był wielki. Bogato wyposażony. I rozpadał się w oczach. I był całkowicie pusty.

Pusty. Wreszcie go olśniło. Miejsce tak ogromne potrzebowało dziesiątek służby. Ale na pierwszym piętrze Else nie spotkał nikogo. Serifs był zbyt skąpy, żeby zatrudnić odpowiednio liczną służbę.

Else znalazł prywatne pokoje biskupa. Zdumiało go nagromadzenie wygod i bogactw. Świece płonęły, choć mrok jeszcze nie zapadł. Były z wosku, najdroższe. W kątach znamiennie coś drżało, zdradzając nieprzyjemną prawdę. Biskup Serifs komunikował się z Delegaturami Nocy. Rozmiar tej działalności nie był dostatecznie wielki ani intensywny, żeby mógł stanowić zagrożenie, niemniej nie Pozostawiał wątpliwości. Delegatury Nocy tu były. Zawsze tu były. Mądry człowiek nawet na chwilę o tym nie zapominał.

Else bezszelestnie przemierzał apartamenty, póki nie znalazł Pomieszczenia, w którym na tle okna dostrzegł sylwetkę drobnej, szczupłej postaci, przyglądającej się pożarowi Antieux.

– Osa.

Chłopak podskoczył jak oparzony. Odwrócił się, szukając drogi ucieczki.

– Nie ma drogi ucieczki.

Chłopak przyjrzał mu się uważnie.

– Kapitan Tage.

– Na imię mam Piper Hecht.

– Co robisz w Connec?

– Lew posłał mnie, żebym szpiegował chaldaran. Jaka jest twoja historia? Ostatni raz, kiedy cię widziałem, miałeś jedenaście lat i byłeś najlepszym uczniem w szkole Żywiołowego Narybku. To było osiem lat temu. Wciąż masz jedenaście lat.

– Mnie też wysłał Lew. Po tym, jak spędziłem pół roku w rękach er-Rashala. Moje ciało nigdy już nie będzie wyglądać na starsze.

Else pokiwał głową. Osa Stile, którego pamiętał, był nieprawdopodobnie bystry i całkowicie pozbawiony strachu, choć nigdy z chłopakiem nie był w bliższej przyjaźni i nie zastanawiał się, co się z nim stało, gdy ten zniknął z koszarów Żywiołowego Narybku. Tak bywa.

– I co masz tu niby robić?

– Siał chaos i niezgodę, aby chaldaranie nie zdołali zorganizować następnej krucjaty. Szło mi całkiem nieźle.

– Trułeś Doneta, prawda?

Chłopak skinął głową.

– Nasłałem też na niego asasynów, ale się nie udało. Teraz żywy i chory jest bardziej użyteczny niż martwy. Przez niego Patriarcha wciąż patrzy w tę stronę.

– Jak zdołałeś zaaranżować zamach? Nikogo więcej tu nie mamy

– Jestem też agentem Imperatora Graala. On mnie tu przysłał. Wiedział, że biskup Serifs jest pederastą.

– Ty odpowiadasz za to, że zabójcy Patriarchy nie dosięgli Niepokalanego. Ostrzegłeś go.

Osa uśmiechnął się paskudnie.

– Utrudniam życie wrogom al-Pramy. Oraz Imperium, jak się uda.

– Niewykluczone, że straciłeś swojego biskupa.

– Wiem. Zastanawiałem się właśnie, co zrobić, jeżeli nie przeżyje.

– Jest w mieście. Czarownik też. Doneto jest na mojej łasce piętro niżej. Jeżeli wszyscy trzej umrą...

– Nie wolno do tego dopuścić. W razie całkowitej katastrofy Wzniosły może zapomnieć o Connec i skupić się na wschodniej krucjacie.

Prawda. Jednak z drugiej strony nie wolno dopuścić, by Wzniosły odniósł tu bodaj minimalny sukces. Podbój Skraju Connec przyniosłby mu bogactwa, za pomocą których sfinansowałby inne przygody. Jeżeli Connec przestanie przykuwać uwagę Wzniosłego, tylko Calzir i Imperator Graala będą hamować jego ambicje na wschodzie.

– Wyjaśnij, na czym polegają twoje związki z Imperatorem Graala.

– Gordimer dał mnie Johannesowi. Jako prezent. Jako broń, którą może się posłużyć, gdy uzna za stosowne. Na żądanie Imperatora. Do al-Karn przyjechał człowiek. Rozmawiał z Lwem, ale tak naprawdę mówił do er-Rashała. Chciał nabyć szczególnego niewolnika.

– Aha. A więc cię wyszkolili i nałożyli na ciebie zaklęcia, a potem sprzedali. Uczestniczył w tym może niejaki Ferris Renfrow?

– On był pośrednikiem, który wszystko zaaranżował.

– Spotkałeś się z nim?

– Tak. Wciąż go od czasu do czasu widuję. Kiedy szykuje się zmiana w systemie kontaktów i haseł. Dlaczego pytasz?

– Gordimer i er-Rashał kazali mi się dowiedzieć wszystkiego o Ferrisie Renfrowie. Niepokoi ich jego osoba.

– Jest przebiegły i inteligentny, ale pozostaje oddany Imperatorowi. Nie muszą się nim przejmować. Imperatora nie interesuje nic prócz osłabiania patriarchów i poszerzania strefy wpływów Nowego imperium Brotheńskiego. Nie obchodziłoby go, gdyby reszta świata zniknęła pod lodem.

Else postanowił nie drążyć tego dalej. Osa najwyraźniej zainwestował jakieś prywatne emocje w postać Johanna Czarne Buty.

– Czy imię Starkden mówi ci coś? – Nie zapomniał incydentu w Runch.

– Starkden? Słyszałem. Zajmuje się przemysłem czy coś. To ważne?

– Dla mnie ważne. Starkden próbowała mnie zabić. W Runch. Specjalne Oficjum bardzo się tą sprawą interesowało. – Else wciąż się zastanawiał, czy istniał jakiś związek między sprawą zamachu na niego a nagłą podróżą Grade'a Drockera do Sonsy.

– Mogę zapytać Ferrisa Renfrowa. On zna wszystkich w podziemnym świecie.

– Zapytaj. Nie wspominając o mnie.

Else miał przeczucie, że Renfrow wkrótce nawiąże kontakt.

Osa zapytał:

– Ile czasu minie, zanim zaczną cię szukać?

– Masz rację. Nie spotkaliśmy się. Nie znasz mnie. Jak się uda, jeszcze z tobą porozmawiam. Jeżeli biskup Serifs da się zabić, może powinieneś spróbować z Donetem.

– Może. Ale to już nie będzie tak samo. Ten człowiek jest zupełnie aseksualny.

– Gdzie byłeś? – zapytał Pinkus Ghorta. – Już miałem wysłać oddział poszukiwaczy.

– Trochę się zagubiłem. Ten burdel na drugim piętrze jest prawdziwym labiryntem. I zupełnie nie nadaje się do obrony. Jeżeli ci z Antieux na nas ruszą, jesteśmy trupami. Najlepiej napełnić kieszenie i zwiewać.

– Kilku słabych duchem wróciło. Dobrze oceniłem sytuację. Antieux zetrze z powierzchni ziemi tych idiotów, którzy tam pognali. Ale już się nami zająłem.

– Hmm?

– Mamy robotę. Jesteśmy nową ochroną osobistą prowincjała Doneta. A nasz nowy szef chce, byśmy go zabrali do domu w Brothe. Zaraz.

Else był oszołomiony.

– Jesteś geniuszem, Pinkus. Geniuszem zła.

Ghort skromnie wzruszył ramionami.

– To było oczywiste. Ty wolałbyś być w Brothe. Ja mam ochotę jechać do Brothe. Prowincjał nie chce tu zostać. Twierdzi, że woli umrzeć na drodze, niż tu być. Zrodziła się w nim nadzwyczaj silna antypatia do Skraju Connec. Może się to dla Connec skończy naprawdę źle, jeśli da radę wrócić do domu i zacznie szeptać w uszko kuzyna.

– Dobrze. Świetnie. I nie widzę sposobu, żeby Bractwo mogło nas pociągnąć do odpowiedzialności.

– Tam na dole jest teraz naprawdę jeden wielki pierdolony burdel, Pipe. A nam rozkazano chronić Doneta.

– Wchodzę w to. Dobra. Co z resztą tych chłopców?

– Kilku chce zostać i popatrzeć, co się stanie. Czują łupy nosem. Ale bystrzejsi wiedzą, że czas ruszać w drogę. Nawet gdyby nasi chłopcy mieli być górami. Ponieważ wszystko się zmieniło. Teraz ci ludzie, ci pokojowo nastawieni głupcy, ci Connekianie będą wiedzieć, że w oczach Kościoła

brotheńskiego są niczym więcej jak źródłem dochodów, które można wykorzystywać wedle uznania. Poważnie wzrośnie tu antypatia wobec wszystkiego co brotheńskie. A więc lepiej, jak znajdziemy się w tym czasie zupełnie gdzie indziej.

– Prawdopodobnie masz rację. Kiedy chcesz ruszać? I czy Doneto przeżyje podróż?

– Pomyślałem, że wyruszymy, póki będzie dość światła. Chyba że tamten syf zacznie się przemieszczać w naszą stronę. Jeśli chodzi o Doneta, przez jakiś czas możemy go piastować niczym niemowlę. Ale przypuszczam, że nie ma znaczenia, czy przeżyje, dopóki nie pokażemy się w Brothe z jego ciałem, wyglądając, jakbyśmy się naprawdę mocno starali.

Po Prostu Zwyczajnie Joe, Żelazny Wieprz i Else obserwowali Płonące miasto. Else powiedział:

– Żałuję, że nie da się jakoś wyciągnąć stamtąd tych głupich dzieciaków – westchnął Else. – Jeżeli już nie dali się pozabijać.

– Nie dręcz się, bo nic nie jesteś w stanie poradzić na to, że byli głupi, Pipe.

– Łatwo mówić, Joe. Widziałeś Bo?

– On i Ghort sprawdzają, czy gdzieś nie znajdą szkatuły wojskowej Bractwa.

– Oczywiście. Pójdę ich poszukać. Przygotuj się, na wypadek gdybyśmy musieli wyjeżdżać w pośpiechu.

W pobliżu Rhecale, nad południową granicą Arnhandu

Finnboga obudził się pierwszy. Był przerażony. Jego umysł wciąż pozostawał w objęciach koszmaru. Czas jakiś zabrało mu zrozumienie, że on i jego towarzysze leżą bezwładnie wśród drzew jakiegoś gaju, w krainie niepodobnej do żadnych, jakie w życiu widzieli. Słońce było zbyt jasne. Wzgórza pokryte dywanem zbrązowiełej trawy. Drzewa wydawały się strasznie stare, poskręcane i bynajmniej nie wiecznie zielone. Wokół nie było śladu obecności człowieka. Tylko środkiem doliny poniżej biegła brukowana droga. Sklepiony łukiem akwedukt spinał dwa zbocza doliny, jego trzy kondygnacje widniały w oddali.

Finnboga nie miał pojęcia, że jest to akwedukt, ponieważ nigdy w życiu nie widział czegoś takiego ani o tym nie słyszał.

Następni doszli do siebie bliźniacy. Finnboga przyglądał się, jak przerażenie znika z ich twarzy. Sigurdur zapytał:

– Gdzie jesteśmy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Finnboga. – W królestwie żywych. Może Grim wie. On z nimi rozmawiał. – Groza Komnaty Bohaterów zniknęła już z jego pamięci, zostawiając tylko dreszcze i niejasne wspomnienie, że niebo wcale nie jest takie, jak być powinno.

Svavar i Hallgrim również obudzili się wcześniej niż Shagot. Cała piątka próbowała się zorientować, dokąd trafili, dlaczego, a przede wszystkim, co się z nimi wcześniej działo.

– Poddajmy się Woli Nocy – mruknął Finnboga.

– Co? – zapytał Sigurjon.

Finnboga zmarszczył brwi, skonfundowany własną uwagą.

– Nie wiem.

Ostatecznie doszli do przekonania, że przez całe miesiące byli w zaświatach. Może nawet lata.

Odzyskanie świadomości zajęło Shagotowi znacznie więcej czasu. Słońce osiągnęło zenit, a potem pokonało jeszcze połowę drogi w dół, ku grzbietowi górskiego łańcucha za ich plecami, nim wreszcie Shagot siedział prosto i mógł odpowiadać na pytania.

Finnboga był pierwszy:

– Co jest, Grim? Masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy? W jakim czasie? Albo dlaczego?

Shagot miał kłopoty z widzeniem. Czuł się, jakby był kompletnie pijany. Ale był dowódcą. Tym, którego bogowie obdarzyli misją. Był tym, który zachowa w pamięci całą grozę ich pobytu w Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

Dłuższy czas zabrało mu pozbieranie się.

– Powinniśmy się znajdować w kraju Arnhandrów, w pobliżu miasta Rhecale, na jakichś wzgórzach rzekomo ociekających starą magią jeszcze z czasów, gdy plemiona czczące naszych bogów wciągnęły tu w zasadzkę wielką armię brotheńską. W tej dolinie w dole. W tamtych czasach cały ten kraj porastały lasy. Tutaj był ołtarz. I dlatego bogowie nas tu przenieśli. Stąd jest najbliższej do celu naszej wędrówki.

– Który leży gdzie? – chciał wiedzieć Svavar.

– Musimy się dopiero dowiedzieć. Szukamy pewnego człowieka. Będziemy wiedzieli, kiedy go znajdziemy. – Shagot nie czuł się w porządku. Kłamał. Ale do tego zmusili go Starzy Bogowie. – Na razie musimy tu poczekać. Nadciąga armia. Zaciągniemy się i zostaniemy z nimi, póki nie znajdziemy naszego człowieka. On tymczasem służy w innej armii, z którą nasza się połączy.

Hallgrim zapytał:

– Jak to możliwe, że ten facet jest tak wysoko na czarnej liście bogów, że aż musieli nas porywać i kazać nam go zabić za nich?

Nie do końca na tym polegała ich misja.

– Być może znalazł sposób, żeby z nimi walczyć. Chcą się go pozbyć, zanim się zorientuje. – Shagot zmarszczył brwi. Musiało chodzić o coś więcej. – Tymczasem, póki tu siedzimy, musimy wykopać parę starożytnych relikwii. Będą nam potrzebne później.

Broń, narzędzia, zbroje, prowiant, słowem wszystko, co bogowie uznali za potencjalnie użyteczne dla nich, leżało porozrzucane na zboczu. Shagot rzekł:

– Pozbierajcie całe to gówno. I zróbcie z tego obóz. – Zerknął na północ. W powietrzu wisiał chłód. Lekkie wilgotne tchnienie zwiastowało deszcz. – W tym burdelu powinien też być jakiś namiot. Rozbijcie go. Chyba że wolicie spać na deszczu.

Ogień już mieli, więc choć tym nie musiał się przejmować.

Shagot przechadzał się po zboczu, mrużąc do siebie pod nosem. Jego peregrynacje nie miały dla pozostałych większego sensu. Dla niego samego zresztą też, wyjąwszy to, że dokładnie znał trasę, po której powinien się poruszać. Mrużąc, recytował sobie jej przebieg. Za każdym razem, gdy przystawał, jawiły mu się przed oczyma wizje z czasów minionych. Widział dziwnych, owłosionych ludzi w wilczych i niedźwiedzych skórach, którzy składali swym bogom w ofierze brotheńskich jeńców. Z początku ich mowa była dla Shagota zupełnie niezrozumiała, choć pobrzmiwały w niej znajome rytmy i głoski. To byli pełni złości, zawzięci ludzie, równie skorzy do wewnętrznych sporów i krwawych waśni jak do masakry wroga, na którego tu czekali.

Starożytny język w końcu zaczął odsłaniać przed nim swój sens. I Shagot powoli pojmował, dlaczego ci ludzie, nieżywi od półtora tysiąca lat, zgromadzili się tutaj na bitwę z legionami Brothe.

Tam, gdzie szli Brotheńscy, szła za nimi brotheńska kultura, ideały i prosperity. Brotheńscy zapraszali do swego panteonu bóstw wszystkich bogów. Byli na pokojowej stopie z Delegaturami Nocy. Gdzie docierali Brotheńscy, stare obyczaje i Starzy Bogowie słabli, tracili znaczenie, a nazbyt często ulegali metamorfozie albo, w najlepszym wypadku, popadali w skrajne zapomnienie, pamiętani tylko jako demony lub nocne majaki.

Shagot nie zdawał sobie sprawy, że bitwa ta miała miejsce całe wieki przed narodzinami pierwszych apostołów wiary chaldarskiej. Nie wiedział, że jego bogowie wierzyli, iż tylko wtrącając się w sprawy świata śmiertelników, mogą zachować realność.

Wszystko, co Shagot wiedział o starożytnej bitwie, ograniczało się do strzępów, jakie rzucili mu bogowie. Wielu rzeczy nie dostrzegął. Na przykład tego, że plemienni kapłani widzieli go równie wyraźnie jak on ich. Nigdy się nie miał dowiedzieć, iż znaczną rolę w zwycięstwie

barbarzyńców odegrała ich pewność, że jeden z bogów cały czas im towarzyszył.

Z rozmarzenia wyrwał go Svavar.

– Daj już spokój, Grim. Zjedźmy coś.

Żując suszone mięso, Shagot wymamrotał:

– Problem polegał na tym, że za jedną brotheńską armią zawsze szła następna.

– Martwisz mnie, Grim. Tyle myślenia to nie w twoim stylu – powiedział Svavar.

A Hallgrim koniecznie chciał wiedzieć:

– O co chodzi z tym twoim łażeniem w kółko, mrużeniem pod nosem i spoglądaniem w przestrzeń, Grim?

– Próbowałem ustalić, gdzie będziemy kopać. Jutro się tym zajmiemy. Dorzucicie do ognia. Przemarzałem do kości.

Pozostali popatrzyli na niego dziwnym wzrokiem, ale Finnboga dorzucił kilka gałęzi do ogniska.

Po posiłku Shagot wpełzł do namiotu i niemal natychmiast zaczął chrapać. Pozostali jeszcze się przez jakiś czas zamartwiali, ale w końcu gęstniejący mrok ich też zapędził do namiotów. Wokół czuli potęgę nocy. W tym miejscu była szczególnie silna. Było to bowiem miejsce, w którym spacerują duchy i mogą nawet porozmawiać z człowiekiem na tyle głupim, by ryzykować nadstawianie ucha.

Shagot spał jak – w literalnym sensie słowa – zabity. Rankiem nie miał tego pamiętać, ale w nocy jego duch powrócił do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Jego towarzysze natomiast spali źle. Wokół namiotu tańczyły dziwne światła. Fantazyjne cienie igrały na jego ścianach. Nikomu nie starczyło nerwów, by wyjść i zobaczyć, co się dzieje.

Lepiej nie kusić Delegatur Nocy.

Shagot wiedział wszystko, co trzeba. Pół dnia zabrało im wydobywanie potrzebnych skarbów z grobów starożytnych kapłanów. Mimo iż Shagot zaspał. Mimo lodowatej mżawki siąpiącej przez cały dzień.

– Powieście to na zewnątrz, żeby deszcz splukał błoto. Dobrze. Musimy znaleźć jeszcze tylko jeden grób. Najważniejszy.

Shagot wiedział, gdzie kopać. Praca postępowała szybko... do czasu, aż inni zobaczyli, co spoczywa pod ziemią.

Czas skurczył i pomarszczył tę istotę, ale jej nie zniszczył.

– Co to jest? – zapytał Finnboga.

– To nie jest człowiek – oznajmił Svavar.

– Wygląda jak krasnolud olbrzym bez brody – skomentował Sigurjon.

Istota była wysoka jak człowiek, miała ludzką postać, ale poza tym była znacznie bardziej barczysta i umięśniona.

Shagot zarządził:

– Wyciągnijcie wszystko. Muszę przeszukać przedmioty rytualne. – Kiedy pozostali zrobili, jak im kazał, Shagot wskoczył do grobu i ujął głowę trupa.

Svavar zapytał:

– Grim, co to, u diabła, za stwór?

– Nie mam pojęcia, kim był. Coś jak człowiek, ale nie człowiek. Potężny mag. Ostatni w swym rodzaju. – Shagot umocował głowę na grocie włóczni wydobytej z grobu, aby mżawka mogła ją obmyć. – Będzie nam potrzebna w naszej misji.

– Jakiej misji, Grim? Starzy kazali nam tylko złapać tych pedałowatych kapłanów, którzy zamordowali Eriefa.

– Ci kapłani nie zamordowali Erieta.

– Co?

– Wiem o tym od samych bogów.

– A więc kto?

Shagot przekonał się, że nie jest w stanie powiedzieć. Ale z drugiej strony, to wcale nie było takie istotne. Nie miało nic wspólnego z ich misją.

Znowu wcześniej wpełzł do namiotu i spał nienormalnie długo.

Shagot wskazał zakręt, w miejscu, gdzie droga skręcała na kamienny most ponad bezimiennym strumieniem.

– Tutaj zaczekamy.

Banda przeszła na wskazane miejsce, trochę już przygięta pod ciężarem własnego ekwipunku i reliktyw grzebalnych. Shagot niósł głowę w worku. Godzinę później pojawił się starzec na ośle, nadjeżdżał ze wschodu. Wypatrzył ich dopiero, gdy znalazł się na moście, co nie świadczyło zbyt dobrze o jego oczach. Zatrzymał się. Zagapił. Szczeka mu opadła. Pogapił się jeszcze chwilę. Wreszcie zawrócił, skąd przybył, poganiając osła.

– Pewnie uznał nas za rabusiów – powiedział Hallgrim.

– Niewykluczone, że sami powinniśmy zwracać na nich uwagę – dodał Svavar. – Przez ostatnie dwa dni nikogo nie było na tej drodze.

Chociaż bowiem na współczesnych mapach obszar ten nosił miano Białych Wzgórz, mieszkający w ich cieniu nazywali je Nawiedzanymi Wzgórzami. Wśród Nawiedzanych Wzgórz srożyła się bez przeszkód Tyrania Nocy. A ostatnio podróżni donosili, że aktywność ta poważnie się nasiliła.

Krążyły też pogłoski o wojnie, docierające z Arnhandu, skąd zresztą wiodła ta droga.

Minęła kolejna godzina. Pojawiło się dwu jeźdźców, przybywali z północy. Okazało się, że w odległości stu jardów za nimi podążają następne dwójki, każdy jechał swoją stroną drogi. Pierwsi jeźdźcy zatrzymali się. Zagapili.

Andorayanie odpowiedzieli spojrzeciami. Takich żołnierzy jeszcze w życiu nie widzieli.

Pierwsza dwójka podjechała do nich ostrożnie.

Andorayanie zajmowali pozycję obok drogi, nie na niej. Shagot uznał, że w ten sposób wyraźnie dadzą do zrozumienia, iż czekają, a nie blokują drogi. Nawet Arnhandowie powinni to zrozumieć.

Shagot zaczął się zastanawiać, jak się porozumie z tymi ludźmi. Kiedy w przeszłości miał do czynienia z ludźmi nie mówiącymi po andoraysku, zazwyczaj mógł krzyczeć, grozić i zmuszać innych, by go zrozumieli, ponieważ inaczej poniosą szkodę na ciele. Tutaj tego rodzaju podejście nie wróżyłoby dobrze.

Kawalerzyści się naradzali. Jeden ruszył z powrotem drogą, po której przyjechali. Reszta została, wyraźnie nie czując się najlepiej.

– Boją się nas? – zapytał Finnboga.

– Nie wiem – odrzekł Shagot. Nie wydawało mu się, aby jego gromadka wyglądała szczególnie groźnie, choćby dlatego, że widać było, iż są nadmiernie obciążeni. Czemu bogowie nie zesłali paru niewolników lub jucznych zwierząt?

Minęła godzina. Andorayanie posilili się kiepskim serem i suszonym mięsem. Arnhandowie patrzyli. Ale zsiadli z koni, poluzowali popręgi i pozwolili zwierzętom na popas.

– Hej, Grim. Ktoś jedzie.

Shagot tymczasem zasnął. Właściwie zasypiał w każdej wolnej chwili.

Drogą pędziło jakichś dwudziestu pięciu, trzydziestu jeźdźców. Shagot pomyślał na głos:

– Czy każdy w tym kraju ma własny sztandar?

Wszyscy jeźdźcy mieli długie włócznie z proporcami. Wyjątkiem była garstka odzianych na czarno, jadących pośrodku.

– To te cholerne wrony, które zabiły Eriefa! – zaklął Sigurjon.

Shagot miał lepszy wzrok.

– Nie. To są kapłani, ale nie ci. A nawet gdyby byli, nie jest to najlepszy moment na wyrównanie rachunków. Zresztą Erief sam się będzie mógł tym zająć.

Spojrzeni na niego równocześnie.

– Nie, nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

– Robisz się trochę straszny, Grim.

Jeden z tamtych, pewnie wyższy rangą, w otoczeniu strażników podjechał bliżej. I kapłani. Było ich czterech. Wśród nich też jeden chyba ważniejszy od pozostałych.

Shagot wsparł się na drzewcu włóczni, policzek w policzek z głową martwego ogra. Brat i pozostali przyglądali mu się podejrzliwie, gdyż najwyraźniej martwy potwór zupełnie mu nie przeszkadzał.

Z takimi wspomnieniami podejrzewał, że już nigdy nic nim nie wstrząśnie.

Główny kapłan i dowódca zatrzymali się w odległości osiemdziesięciu stóp. Shagot powoli robił się niecierpliwy. Łamał sobie głowę, dlaczego ci ludzie zachowują się tak dziwnie.

Kapłan podjechał bliżej, sam. Oni trzymali się dziesięć jardów za nim. Byli nienaturalnie bladzi. Dwaj trzęśli się tak mocno, że ledwie potrafili utrzymać wodze w dłoniach.

– Na pioruna! – powiedział Finnboga. – Ci goście srają w gacie na nasz widok.

– No – potwierdził Shagot. – A więc powinniśmy sobie zadać pytanie, co takiego widzą czego nie widzimy my? Dlaczego tak się nas boją? Hej! Dupki w fartuszkach niewolników. Macie jakiś problem, do cholery? Po prostu chcemy się zaciągnąć do waszej armii.

Kapłani naradzali się chwilę w nosowym, jęklwym narzeczu, nieprzypominającym niczego, co Shagot słyszał w życiu.

– Któryś, chłopcy, ich rozumie? – zwrócił się do swych towarzyszy.

Kapłani przeszli na inny język, potem spróbowali kolejnych. Prawdopodobnie na więcej ich nie stać, pomyślał Shagot. W jego gromadce

nie było lepiej. Poza własnym znali razem może jeszcze ze dwa języki, z których jednym byłby seattański, ponieważ rodzina Finnbogi handlowała z magicznym ludem na dalekiej północy, gdzie królowała wieczna zmarzlina.

– Ha! – Svavar czuwał. – Ten gruby, poblížniony dupek właśnie powiedział coś, co brzmiało jak santeriński.

– Hallgrim – zwrócił się do brata Shagot. – Ty byłeś przez jakiś czas więźniem w Santerinie. Porozmawiaj z nim. – Sam też trochę znał santeriński, ale bodaj tylko tyle, by zapytać, gdzie są ukryte kosztowności.

Hallgrim odparł:

– To faktycznie santeriński. Ale nie przypomina żadnej odmiany, jaką kiedykolwiek w życiu słyszałem. Łapię gdzieś jedną trzecią tego, co mówi. Wychodzi na to, że uważają nas za demony.

– Niech gada – powiedział Shagot. Powoli wszystko mu się zaczynało układać w głowie. Rozumiał, co mówi Hallgrim. Ale z tego, co rozumiał, wyłoniło się tylko jeszcze większe pomieszanie.

Dlaczego ci idioci uważali ich za demony? Ponieważ on i jego chłopcy nie rozumieli ich dziwacznej religii?

– Podkreśl, że jesteśmy przeciwieństwem demonów. Że bogowie zesłali nas, abyśmy się zaciągnęli do ich armii.

– Nie uwierzą. Nawet gdybyś im pokazał list polecający od Ojca Wszechrzeczy.

– Dobra, po prostu nie przestawaj mówić. Mów im, że chcemy się zaciągnąć do ich armii.

Andorayanom pozwolono towarzyszyć siłom arnhandzkim, którymi dowodził baron Martex Algres, kuzyn króla Arnhandu. Jego zastępcą był arcybiskup Bere ze Źródła, główny przedstawiciel hierarchii kościelnej w Arnhandzie oraz członek Kolegium *in absentia*. Armia liczyła mniej więcej półtora tysiąca żołnierzy, plus dekownicy. Znaleźli w niej miejsce przedstawiciele wielu rodzin szlacheckich Arnhandu. Morale panowało skrajnie optymistyczne. Armia miała za kilka dni dołączyć do grolsacherskich najemników Adolfa Blacka, na granicy Connec. A potem oczyścić prowincję, wyrывая herezję z korzeniami. Książę Khaurene z kolei dołączyć miał do nich gdzieś w pobliżu Castrersone. Najpierw jednak mieli w Antieux wyrównać rachunki za to, co zrobiło ono siłom patriarchalnym wysłanym, by stłumić bezbożną rebelię jego mieszkańców.

Shagot i andorayska banda wlekli się za wojskiem, nieustannie śledzeni przez kapłanów, nie mogąc zrozumieć motywacji tych ludzi. I zawsze jeden ze szpiegów okazywał się jednym z łowców czarownic.

Cały czas spędzony z Arnhandami Shagot był oszołomiony. Powody, dla których tamci toczyli wojny, wydawały mu się zupełnie pozbawione sensu. Ludzie mieli ginąć za różnice doktrynalne między episkopalnymi a maysalczykami? Dlaczego ktokolwiek na tyle dorosły i bystry, żeby umieć zawiązać sobie sznurowadła, miałby wierzyć w bzdury głoszone przez obie grupy?

Jednak znacznie bardziej niepokojącym wymiarem całej sytuacji było w oczach Shagota powszechne przekonanie Arnhandów, że Erief Erealsson zginął dwieście lat temu. Dziś Andoray, Frieslandia, Weldence oraz odległa Islandia były zjednoczone pod wspólną koroną. A ich oficjalną religią było religia chaldarska.

Czy bogowie postradali zmysły, żeby zesłać go na tak szalony świat?

Connec, Antieux i dalej

Gwałt na Antieux pochłonął prawie siedem tysięcy ofiar spośród mieszkańców miasta. Po większej części zarżnięto kobiety, dzieci i starców. Kiedy minął szok i rozpacz, ocaleli odnaleźli w sobie gniew, zgrozę i narastającą nienawiść.

Ludzie, którzy chcieli pomóc, nadciągali ze wszystkich krańców Connec i jeszcze dalej. Hrabia Raymone Garete spalił za sobą mosty, publicznie przysięgając Wzniosłemu V i Bractwu Wojny wendetę. Były to śmiałe śluby. Nawet Johannes Czarne Buty nie odważył się posunąć tak daleko. Przysięga hrabiego była tak niepohamowana, że książę Tormond zasypywał go listami, nalegając, aby ją odwołał.

Obecnie pod Antieux podchodziła nowa armia. Silniejsza od poprzedniej, lepiej wyposażona i składająca się z weteranów. Byli w niej członkowie wielu rodzin szlacheckich Arnhand. Dowodzili nią doświadczeni wojskowi, zdecydowani wepchnąć Raymone'owi Garete z powrotem do gardła wypowiedziane słowa i zmusić, by je Przeżuł, po jednym, bez popicia.

Hrabia Raymone nie przejmował się tym. Nie miał zamiaru powtórzyć poprzedniego błędu.

Pora roku dobiegała końca. W skład wojsk arnhandzkich wchodziły zaciągi wynikające ze zobowiązań feudalnych, które zresztą wkrótce wygasaly. Za kilka tygodni wrócą do domów.

Biskup Serits zapłacił za swoją perfidię. Lud Antieux wyładował złość na jego beneficjach i na dobrach kościelnych w ogóle.

Dla kapłanów popierających Wzniosłego nastały ciężkie czasy. W Gadge, pobożnym miasteczku episkopalnym, rozwścieczony tłum ekshumował ciało biskupa Maryla Ponte, poprzednika Serifsa, a potem osądził za

zbrodnie przeciwko Bogu i ludzkości, by ostatecznie pogrzebać ciało w nieoznakowanym grobie na niepoświęconej ziemi.

Posłańcy krążyli w tę i z powrotem, ponieważ wszyscy królowie, książęta oraz Imperator Graala chcieli, by świat znał ich stanowisko w sprawie.

Wzniosły V nie otrzymał żadnego listu z gratulacjami.

Arnhandowie i grolsacherscy najemnicy Adolfa Blacka zajęli stanowiska wokół Antieux. Ich poprzednicy z Bractwa nie byli dość liczni, żeby otoczyć miasto pełnym pierścieniem, nie marnowali więc sił na próżne starania.

Tym razem nie będzie przypadkowego szturmu spowodowanego głupotą podrostków. Głupie dzieciaki nie żyły. Wszystkie możliwe cysterny, beczki i pojemniki od razu zostały napełnione wodą. Antieux było przygotowane. W pełni rozumiało, jaka jest stawka. A wewnątrz murów panował spokój przed burzą.

Arcybiskup Bere osobiście zwrócił się do mieszkańców miasta, żądając otwarcia bram, przysięgi na wierność Patriarsze Brothe i wypędzenia heretyków. Przedstawił listę proskrypcyjną Kościoła, z imionami osób, które miały zostać aresztowane i osądzone.

Hrabia Raymone Garete odpowiedział, wypędzając za mury miasta garstkę episkopalnych kapłanów, którzy nie chcieli się zaprzeczyć Wzniosłego V. Zabrali ze sobą relikwie świętego Erudy Podróżnika.

Hrabia Raymone był twardym, bystrym młodzieńcem, który niczego się nie bał i uważał, że już nic nie ma do stracenia. Zdecydowany był stać się najstraszniejszym wrogiem Brothe, póki życia starczy.

Oblężenie Antieux trwało od trzydziestu jeden dni. Robiło się coraz zimniej. Żołnierze arnhandzcy stawali się coraz bardziej rozczarowani i ponurzy. Gdzie łatwe łupy, które im obiecano? Ich wrogowie obrastali tłuszczem, kryli się w ogrzanych ruinach spalonych domów, a tymczasem oni głodowali na polach ogołoconych z żywności i opału. A na dodatek niedawno nadeszły raporty o pogwałceniu granic pod Argony i Tramaine, a Santerin zajmował zamki i wioski, stanowiące od dawna przedmiot sporu z Arnhandem.

Wieści, jakie dotarły do obozu oblegających, znalazły też drogę do Antieux. Blokada nie obejmowała drugiego brzegu rzeki Hiob. Mieszkańcy pod osłoną ciemności swobodnie wchodzili i wychodzili z miasta tą właśnie trasą.

Hrabia Raymone skorzystał z błędu oblegających, którzy nie zamknęli drugiego brzegu rzeki. Wyśliznął się z miasta i dołączył do grupki zapaleńców, chcących podjąć bardziej agresywne działania przeciwko najeźdźcom.

Baron Algres i arcybiskup Bere wdali się w pełną złości wymianę zdań w kwaterze głównej barona, w ruinach dworu Serifsa. Arcybiskup nie chciał przyjąć do wiadomości, dlaczego żołnierze mieliby porzucić oblężenie, skoro dzieło Boże nie zostało ukończone.

Baron miał opinię człowieka całkowicie pozbawionego dyplomatycznych umiejętności.

– Idź i znajdź mi jednego szeregowca, który ci nie powie, że gównu go Bóg obchodzi. Idź, popatrz sobie na ludzi, którzy uważają że Bóg jest na tyle wielki, aby sam o siebie zadbał. I nie mogę stwierdzić, że się z nimi nie zgadzam.

– Ale...

– Znałeś sytuację, kiedy zmusiłeś mojego kuzyna, żeby wysłał wojska, które pomogą Kościołowi ograbić tych ludzi. Sześćdziesiąt dni to wszystko, czego możemy wymagać od żołnierzy. Takie jest cholerne prawo od czasu, kiedy nasi przodkowie byli dzikusami, chowającymi się w namiotach ze skór. Jeżeli Wzniosły chce, aby wojna z tymi connekiąńskimi głupcami trwała okrągły rok, niech sobie stworzy własną armię, a nam pozwoli się bronić przed Santerinem.

Jak zawsze, w każdym miejscu i czasie, i niezależnie od wielkości stawki, to wybitne osobowości wyznaczały kurs dziejów. Ci dwaj nienawidzili się wzajemnie od pół wieku. Arcybiskup był z nich dwu mniej wygadany. Ale postanowił, że spełni wolę Patriarchy i swego Boga.

Sypał śnieg. Na murach Antieux obrońcy miasta krzyczeli i drwili. Arnhandowie wracali do domów. Tym razem mieli zamiar skorzystać z zachodniego szlaku, ponieważ droga, którą przyszli na południe, nie odrodziła się jeszcze po zakusach ich furazerów. Baronowi Algres'owi i jego kapitanom sytuacja bynajmniej nie przypadła do gustu. Nie przywykli do tego, że o tak późnej porze roku są jeszcze w polu, na dodatek tak daleko od domu. Nawet arcybiskup Bere głośno powątpiewał w mądrość tych, którzy stali za całym tym szaleństwem.

Adolf Black i jego grolsacherscy weterani trzymali się armii Arnhandu. Ich zlecenie miało niedługo wygasnąć, ale tymczasem zaproponowano im

zatrudnienie na granicach z Tramaine. Wszelako znacznie bardziej wymowne niż oferta były wieści, że wściekli Connekianie zbierają się, aby urządzić na nich zasadzkę, gdyby chcieli się wycofać prosto do Grolsacher.

Armią wstrząsały plotki. Ostatnio szczególnym wzięciem cieszyły się historie, jak to Imperator Graala miał ogłosić swe roszczenia do Państw Episkopalnych północnej Firaldii i Ormienden. Oraz że zaczął rewidować imperialne prawa wobec kilku miast we wschodnich marchiach Arnhandu.

A na dodatek finansowane przez Arnhand miasta krzyżowców na wschodzie wołały o pomoc. Lucidianie mocno na nie naciskali.

Co jeszcze gorsze, król Arnhandu był bardzo chory. Jego jedyny żyjący syn miał jedenaście lat i był li tylko marionetką w rękach ambitnej matki, kobiety będącej u wszystkich w pogardzie. Tak samo jak jej umierający mąż wydawała się niezdolna pojąć, że jeśli się czegoś bardzo chce, nie znaczy to, że od razu pragnienia się spełnią – Przykład: żołnierzy cechowała godna pożałowania skłonność do domagania się żołdu, regularnie wypłacanego za ryzyko, jakie ponoszą. Pieniądze potrzebne na ich opłacanie i wyposażenie za nic nie chciały się zmaterializować.

Mnóstwo czasu i pieniędzy zmarnowano, by baron Algres i arcybiskup Bere mogli odwiedzić Antieux, zostać tam upokorzeni, a potem odejść, zostawiając dwustu poddanych Arnhandu w grobach pod winnicami biskupa Serifsa. Wszyscy jak jeden zginęli od chorób, nie zaś z ręki wroga.

Głód osłabiał odporność i żołnierze padali jak muchy.

Kiedy armia niepewnie ruszyła do odwrotu, dyzenteria stała się już plagą.

Po prawej stronie starego wojskowego traktu, dwieście stóp z tyłu, znajdował się gęsty gaj drzew o szarej korze z gatunku powszechnie spotykanego na skraju mokradeł położonych stosunkowo wysoko nad poziomem morza. Teren był tu miękki, ale nie podmokły. Po lewej stronie traktu rozciągało się dwieście jardów coraz bardziej grząskiej ziemi, dalej leniwie płynął wąski, płytki strumień. Za strumieniem wznosiła się cienka ściana drzew, potem były głazy, które spadły z ostrego urwiska sięgającego ku niebu na setki stóp. Promienie południowego słońca wspinały się po ciemnym licu urwiska. Kamień był ciemnoszary, ale w miejscach, gdzie został niedawno skaleczony lub odłamany, znaczył go różowy odcień.

Tak wyglądała najwyższa przełęcz przez Góry Czarne, wciąż Po wschodniej stronie. Wkrótce droga skręci w dół i najgorsze się skończy.

Delikatny wietrzyk poruszał kurtyną mgły. Światło przygasało, w miarę jak słońce wznosiło się ponad skraj formacji chmur, z których od czasu do czasu sywał się garściami śnieg.

Arnhandowie i ich zaciężni Grolsacherzy wlekli się starożytnym traktem zmarznięci, rozpaczliwe wygłodzeni i całkowicie zdemoralizowani. Poświęcili całe miesiące nieszczęścia w dzieło, które nie przyniosło żadnej zapłaty. A otwierające się przed nimi perspektywy były całkowicie ponure.

Gorzej niż ponure.

Rozległy się głosy connekiańskich trąbek.

Znacznie gorzej niż ponure.

Armia mścicieli hrabiego Raymone'a Garete znajdowała się w obliczu ogromnej przewagi liczebnej. Mimo szalejącego w Connecc gniewu, nie tak znowu wielu chciało wystąpić wbrew wyraźnym poleceniom księcia Tormonda. Pierwotny plan Raymone'a przewidywał zaskakujący atak na kolumnę najeźdźców, w miejscu i czasie, gdzie będą się tego najmniej spodziewać. Chciał ukarać Arnhandów, a potem oderwać się od nich, stawiając raczej na zwycięstwo moralne czy emocjonalne. Ale oszołomieni Arnhandowie nie podjęli właściwie żadnych prób obrony. Zamiast walczyć, uciekli ku bagnistym terenom u stóp urwiska.

Grolsacherzy Adolfa Blacka spisali się lepiej, ale ostateczny rezultat był taki sam.

Rzeź trwała do czasu, aż Connekianie nasycili żądzę krwi. Nie zwracali żadnej uwagi na rangę czy pozycję. Dowództwo arnhandzkiej armii poległo, ponieważ ciężkozbrojni connekiańscy nie byli w stanie wjechać na grząski grunt. Piechota, której nie łączyły żadne klasowe powinowactwa z mordowaną szlachtą nie brała jeńców.

Ormienden, Węzeł Ownvidiański i Plemenza

Prowincjał Bronte Doneto nie był w stanie podróżować szybko.

Bywały dni, podczas których spędzał w drodze nie więcej niż godzinę. Minęły dwa tygodnie. Oddział pokonał odległość nie większą, niż normalnym podróżnym zabrałaby cztery dni. Na szczęście nikt im nie przeszkadzał. A poza tym, co rzucało się w oczy, barwa oblicza i zdrowie prowincjała poprawiały się z każdą milą dzielącą go od Antieux.

Kiedy znaleźli się w Ormienden, w klasztorze Dencite, prowincjał zdecydował się na rekonwalescencję.

– Hej, Pipe. Chcesz usłyszeć wieści? – zapytał pewnego ranka Pinkus Ghort.

– Jeżeli są prawdziwe. Nie interesują mnie wciąż te same stare Plotki.

– Mimo wszystko chyba chcesz ich wysłuchać.

– Auć. Wal.

– Po Prostu Zwyczajnie Joe wylazł ze swego posterunku przy moście. Mówi, że jacyś ludzie idą w naszą stronę. Ośmiu, dziewięciu. Myśli, że jeden z nich to biskup Serifs.

– Cóż. Zastanawiające, jakie osobliwe poczucie humoru przejawia Bóg.

– Zastanawiające jest to, czy maysalczycy przypadkiem nie mają racji, twierdząc, że to Przeciwnik wygrał wojnę w niebie.

– Dobrze, że nasz szef cię nie słyszy. Spaliłby cię na stosie.

Prowincjał ostatnio tak się właśnie odgrażał. Kościół krwawił, a Bronte Doneto zdecydowany był wypalić jego rany.

Ghort cynicznie podchodził do całej sprawy.

– Doneto udaje. Nie wierzy w ani jedno słowo z tych andronów, które mówi. To tylko pieprzone wymówki potrzebne, żeby dopuścić się okrucieństw i twierdzić, że miał po temu powody.

– Strasznie krytykujesz człowieka, który ci płaci za to, żebyś go chronił – zauważył Else.

– Nie płaci mi za to, żebym kłamał na jego temat, ale za to, żebym utrzymał przy życiu jego dupę.

Else wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, abym miał na tyle giętkie sumienie, żeby chronić kogoś w rodzaju Serifsa. Gdyby ktoś chciał poderznąć mu gardło, prawdopodobnie dałbym mu nóż i pottrzymał kaftan na czas roboty.

Ghorta to rozbawiło.

Biskup Serifs od razu zamknął się klasztorze. Od wielu dni nikt go nie widział. Else zauważył jednak, że Osa Stile zniknął razem z biskupem.

Kilka dni później z Brothe nadeszły wieści. Między innymi o tym, że Grade Drocker z powodzeniem dotarł do Castella dollas Pontellas w stolicy.

Na co Pinkus Ghort zareagował słowami:

– Raduje się moje serce. Świat nie zginie. Stary Brzydał żyje.

– Coś podobnego chodziło mi po głowie.

Jednak znacznie bardziej interesujące wieści zepchnęły los czarownika na dalszy plan. W Connec interweniowały poważne siły Arnhandu. Doszło do oblężenia Antieux. Else skomentował to następująco:

– Nie przysłuży się to szczególnie sprawie Patriarchy. Tamci ludzi po raz drugi nie dadzą zrobić z siebie idiotów.

– Jak dla mnie, świetnie – skwitował Ghort. – Niech sobie tam siedzą, głodują i odmrażają tyłki. Arnhandowie sobie na to zasłużyli. Ale przede wszystkim ten dupek, Adolf Black.

– Z każdym dniem się dowiaduję, że jest jeszcze ktoś, kogo nie lubisz.

Ghort się zaśmiał.

– Rozszyfrowałeś mnie.

Właśnie pojawił się Bo Biogna.

– Coś straciłem? Co was tak śmieszy?

– Samo życie – odrzekł Else. – Usiądź sobie i zastanów się, gdzie wylądowałeś. A potem przypomnij sobie, gdzie chciałeś być w dniu dzisiejszym jakiegoś, powiedzmy, dwanaście lat temu.

Biogna pokręcił głową.

– Pipe, zdaję sobie sprawę, że jesteś facetem, którego dobrze mieć obok siebie, lądując w gównie, ale przez resztę czasu jesteś zbyt, cholera, poważny.

Ghort wyszczerzył zęby.

– Teraz Bo cię załatwił.

– Powiedzmy, że tak zostałem wychowany. – Było to prawdą, która równocześnie nic nie zdradzała.

Te dni spędzone na próżnowaniu w okolicach klasztoru i oczekiwaniu, aż prowincjał Doneto dojdzie do siebie, okazały się okresem prawie niezakłóconego szczęścia w życiu Else'a Tage. Nigdy wcześniej nie przytrafił mu się miesiąc, podczas którego miałby tak mało do roboty.

Powoli spływały okruchy informacji o arnhandzkiej katastrofie w Connec. Z początku Else był przekonany, że raporty są mocno przesadzone. Ale następnego dnia przybył kurier z Brothe. Przywiózł osobiste rozkazy Patriarchy. Miało się zebrać Kolegium i określić oficjalną reakcję Kościoła na masakrę. Nie tylko conneciańscy heretycy pluli w twarz wszystkim dobrym chaldaranom, ale na dodatek pozbawili życia wielu przedstawicieli najważniejszych rodzin Arnhandu.

Bronte Doneto zwołał swój oddział.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi do wymarszu. Ale musimy ruszać. Delegatury Nocy swobodnie wałęsają się po ziemi. Ojciec Święty wezwał mnie do siebie. Zdecydował, że to ja wyegzekwuję politykę Kościoła, gdy zostanie już ustalone, na czym będzie polegała.

Dziwny dobór słów, pomyślał Else. Posłaniec oznajmił, że Wzniosły chce mieć Doneta z powrotem w Brothe, ponieważ potrzebuje rady i głosu prowincjała w Kolegium. Zbyt często bowiem działało ono na przekór ambicjom Wzniosłego, jakby rzucało mu kłody pod nogi tylko po to, by przypomnieć, że nawet Głos Boga na Ziemi podlega zasadzie wzajemnej kontroli władz.

– Doneto musiał wyczuć coś, czego nie było w tekście wezwania – zwrócił się do Ghorta Else.

– Zobaczył to, co chciał zobaczyć.

– Co się stanie, jak już go odwieziemy do domu, Pipe? To znaczy, co się stanie z nami? – dopytywał się Bo.

– Nie mam pojęcia. I nie wiem, czy mnie to w ogóle obchodzi. Znajdę się w Brothe, a tam właśnie zmierzałem, gdy was, chłopcy, spotkałem.

Do wyznaczonego celu zmierzał drogą obfitującą w kilka niespodzianych zakrętów, ale ogólnie rzecz biorąc, nie był niezadowolony. Dużo już się dowiedział na temat zachodu. Stał się kleszczem w jego sierści. A teraz zmierzał ku centrum sieci.

– Podoba mi się to – powiedział Ghort. – Sam też zmierzałem do Brothe, kiedy pozwoliłem, by z drogi zepchnął mnie miraż bogactwa.

– Cóż, wzbogaćmy się więc w sercu Starego Imperium – podsumował Else.

Następnego dnia Doneto był już w drodze. Wcześniej do klasztoru dotarły kolejne plotki, malujące porażkę Arnhandu w ciemniejszych, bardziej krwawych barwach. Ocaleni naprawdę nieliczni, nawet spośród szlachty i kleru, którzy zazwyczaj byli w stanie się wykupić od konsekwencji militarnej katastrofy.

Świat się zatrząśnie. Cała ta sprawa nada nowy kształt przyszłości. Po czymś takim Wzniosły z pewnością porzuci zamorskie ambicje i bez reszty zajmie się Connec.

Bronte Doneto czuł się już znacznie lepiej, ale jego stan wciąż nie pozwalał na szybszą podróż. Tydzień po opuszczeniu klasztoru Dencite oddział wciąż jeszcze nie opuścił granic Ormienden.

Podróżnych powoli ogarniało rozdrażnienie. Mroczną porą aktywizowały się istoty nocy, choć cele tej aktywności pozostawały niejasne. Ich niepokój pozwalał wszakże domniemywać, że istoty dnia też się burzą.

Narzekając pod nosem, Else szedł obok Po Prostu Zwyczajnie Joego i Żelaznego Wieprza. Bo Biogna włókł się za nimi. Razem tworzyli ariergardę. A najbardziej użytecznym żołnierzem był pewnie muł.

Pinkus Ghort znajdował się na czele, zarazem awangarda i szpica, od czasu do czasu alarmując o duchach we mgle.

Było zimno. Else nie pamiętał takiego zimna ze swego pobytu w Dreanger. Wisząca w powietrzu wilgoć dodatkowo dawała się we znaki. We mgle kryły się całkowicie realne strachy.

Po Prostu Zwyczajnie Joe kpił z Else'a, że ten zmiękł na południu.

Zimy w kraju, z którego rzekomo pochodził Piper Hecht, słynęły ze srogości. Każdego kolejnego lata lód mniej się cofał.

Else nie reagował na zaczepki. Obserwował biskupa Serifsa i Osę, zastanawiając się nad głębokością własnego oddania Bogu i ojczyźnie. Nie wyobrażał sobie, by był w stanie wytrzymać tyle co Osa.

Else podejrzewał, że powodem paskudnego zachowania Serifsa są łożkowe manewry Osy.

Pogoda była okropna. Wszystko wokół spowijała zimna, natrętna mgła. Przy takiej pogodzie człowiek czuł się nieustannie zmęczony, nie potrafił się skoncentrować. Wzburzenie i pełgająca wrogość lokalnej ludności w niczym nie pomagały, podobnie jak stała obecność nocnych istot we mgle, nawet za dnia, tuż za krawędzią pola widzenia.

Zmaterializowana depresja psychotyczna, myślał Else. Kiedyś oczekiwał, że zachód przez cały czas będzie taki.

We mgle kłębiły się cienie i szept.

Ormienden nie było w takiej mierze opanowane przez człowieka, jak ufała większość jego populacji. Prawdopodobnie tak było wszędzie. Po prostu w niektórych miejscach istoty nocy lepiej skrywały swą obecność.

Na czele kolumny wszczął się jakiś zamęt.

Nie minęło kilka chwil, a Else'a już rozbrajali żołnierze w nieznanych uniformach.

Powodem niedawnej aktywności Delegatur Nocy było to, że jakiś czarodziej wykorzystał je dla osłony obecności żołnierzy.

Wszelki opór był na nic.

Tylko biskup Serifs okazał się na tyle tępy, by protestować i próbować wydawać rozkazy ludziom, których nie obchodziło, co mówi.

Żołnierze w końcu pobili Serifsa. A potem z ożywionym entuzjazmem dokładali mu za każdym razem, gdy otwierał usta. Kiedy wreszcie poczuł na sobie skutki ciosów, nikt się o niego nie zatroszczył. Podoficer poinformował go, że zostanie zabity, jeśli nie nadąży za resztą.

Else zadbał, by towarzysze nie zrobili niczego, co mogłoby sprowokować przeciwników. Najprostszym sposobem poradzenia sobie z jeńcami, to ich pozabijać.

Else odmówił w duchu modlitwę i polecił się Bogu.

– Ghort, masz jakieś pojęcie, kim są ci ludzie?

– To ludzie Imperatora. Jego gwardia. Braunsknechci. Może nawet z Viscement.

Na mapie politycznej Ormienden znajdowało się w granicach Nowego Imperium Brotheńskiego, mimo iż wchodzące w jego skład hrabstwa i księstwa czasami związane były lennem z zupełnie innym podmiotem. Viscement leżało na granicy Ormienden i Connec, na ormiendeńskim

brzegu rzeki Dom. Choć ludność Viscesment mówiła connekiańskim dialektem arnhandzkiego i wszyscy w okolicy uważali miasto za connekiańskie.

Viscesment leżało w odległości dziewięćdziesięciu mil na północny zachód od miejsca, gdzie wpadli w zasadzkę.

Braunsknechci nie byli w szczególnie krwiożerczych nastrojach. Dowódca miał rozkazy, by incydent nie wywołał poważniejszych zadrażnień z Brothe, tak jak porwanie prowincjała Kolegium.

– Ale przecież nie zmierzamy ku Viscesment – zauważył Else. – Miasto znajduje się za naszymi plecami.

– Zawsze zwracaj uwagę na pozytywną stronę wszystkiego, Pipe – odparł Ghort. – Gdybyśmy kierowali się w tamtą stronę, mogłoby nam grozić spotkanie z samym Imperatorem.

– Pipe, ten facet jest tak pełen sprzeczności, jakby się urodził nogami naprzód – narzekał Bo Biogna.

– O co ci chodzi? – zapytał Else. Wciąż próbował dojść do ładu z tym, co się stało. Dlaczego Bóg wciąż stawiał przeszkody na jego drodze do Brothe?

– Kiedy sprawy zaczynają się układać, Ghort nic nie robi, tylko narzeka. A kiedy się okazuje, że tkwimy po uszy w płynnym gównie, nuci i śpiewa, jakby właśnie kogoś przeleciał.

Ghort odrzekł:

– To dlatego, że wiem, iż ze światem jest wszystko w porządku, Bo. W normalnej, codziennej sytuacji najgorsze pomyje mogą lecieć na głowę Pinkusa Ghorta. Przywykłem. Dobrze mi z tym, poradzę sobie. Rzuć mi świński ryj, a będę podskakiwał i się śmiał.

Mglista mżawka dokuczała bez przerwy. Else robił się nerwowy, nie wiedząc dlaczego. Nerwowość była stanem umysłu, intuicją która nie miała nic wspólnego z jego obecną sytuacją. Ta z kolei, choć lepsza, niż bywało, nie rokowała szczególnych nadziei. Braunsknechci niechętnie tolerowali jeńców, wyjątkiem był Doneto. Wyraźnie chodziło tylko o niego.

Kiedy oddziela ich od Doneta, rzecz może się skończyć fatalnie.

Ale znacznie bardziej niepokoiła go mgła. Else wciąż czuł przenikające ją duchy, znacznie liczniejsze teraz niż przed zasadzką.

Ciekawe. Braunsknechci też się czuli nieswojo.

To był taki dzień, w którym stwory nocy wyłażą na świat i tylko psoty im w głowie.

Zachód był zbyt oswojony. Jego wielkie cienie zostały przywiązane do ziemi i spały głębokim snem.

W Ziemi Świętej Studnie Ihrian rodziły lub przyciągały wszelkie Delegatury Nocy. W Ziemi Świętej żyło się wśród nich.

– Hej, Pipe! Co się z tobą dzieje?

– Hę? Co? Aha, Bo. Po prostu zatopiłem się w myślach. To nie jest dobre miejsce.

Ghort popatrzył na niego z ukosa.

– Po prostu zachowaj spokój, nie rób im żadnego gówna i wszystko będzie dobrze. Pewnie poproszą nas, żebyśmy się zaciągnęli do Hansela. Gdzie ty pracowałeś, Pipe?

Else westchnął. Zapomniał, że ma myśleć na zachodni sposób. Nawet w Ziemi Świętej Arnhandowie zatrudniali renegatów, rekrutowanych spośród jeńców. A Rhunowie byli nawet gorsi. Ci rekrutowali całe plemiona, by strzegły ich granic.

– W północnych krainach nie są tak przychylni, Pinkus. Mogą cię złożyć w ofierze swoim bogom. Spalą cię, utopiają, powieszają czy co, w zależności, którego boga będą chcieli przekupić.

– Przekupić?

– Tak. Wszystko w ich modlitwach, obrzędach i ofiarach ma odwrócić uwagę bogów, żeby zostawili ludzi w spokoju.

– Brzmi dość prymitywnie.

– Bo tak jest. Ale na Wielkich Bagnach żyją znacznie bliżej z Delegaturami Nocy niż tu, na tych oswojonych starych ziemiach.

– To jak gwizdanie na cmentarzu, co?

Ghort rozróżniał kształty wśród otaczającej ich mgły.

Else wciąż nie potrafił dojść do ładu ze swymi myślami. Cała ta sprawa nie miała sensu. Na razie.

– Zrozumiesz. Za jakieś sto lat. To wszystko polityka – zapewniał go Ghort.

Else jeszcze w ojczyźnie miewał kłopoty ze zrozumieniem polityki, mimo iż gracze byli tam mniej liczni, a ich motywy bardziej przejrzyste.

Ludzie Imperatora byli typowymi zawodowymi żołnierzami. Swjej pracy oddawali się z chłodną, milczącą skutecznością i całkowitym brakiem

emocji. Zwykła, codzienna robota. Gdyby mieli kogoś zabić, zabiliby, beznamiętnie, bez żalu. Ghort miał rację. Jeżeli się na nich nie będzie naciskać, nie będzie ich prowokować, nie dostarczy im wymówki – nie będą się zachowywać źle.

Po południu deszcz przestał padać, rozbłysło słońce.

Imperialni porzucili główny trakt. Weszli na kręty szlak prowadzący ku surowym, stromym góróm z wapienia, których szczyty pokrywały lodowe czapy. Czegoś takiego Else jeszcze w życiu nie widział. Roślinność była tu karłowata, a droga często niczym więcej jak zwierzęcą ścieżką.

– Wiem, gdzie jesteśmy, Pipe – mruknął Ghort. To Węzeł Ownvidiański. Idą skrótem. Jeszcze dwadzieścia mil i znajdziemy się w księstwie Plemenzy.

Else pogrzebał w pamięci, szukając tego, co wie na temat północnej Firaldii. Ghort mógł mieć rację. Ale jego ocena odległości wydawała się nazbyt optymistyczna. Bardziej prawdopodobne było czterdzieści mil.

Biskup Serifs najwyraźniej nie lubił wysokości. Zawahał się na widok tego, co leżało przed nimi. Imperialni żołnierze ponaglali go, nie okazując śladu szacunku.

Dzień powoli miał się ku końcowi. Biskup zapytał:

– Kiedy się wreszcie zatrzymamy?

– Już byśmy byli na miejscu, gdybyś wciąż nie jęczał i nie ociągał się. Lepiej wyteżaj siły. Zostały nam jeszcze trzy mile – odrzekł Jeden z żołnierzy.

Tego było już za wiele dla biskupa. Zatrzymał się. Odmówił pójścia dalej. Dowódca oddziału rozkazał swoim ludziom:

– Idźcie dalej. Wciąż jest dość światła. Ja porozmawiam z księdzem, a potem was dogonię.

– Niedobrze – szepnął Ghort do Else'a. – Zwłaszcza dla biskupa-dupka.

Else mruknął twierdząco.

– Będzie lanie.

Else zauważył, że prowincjał Doneto wdał się w sprzeczkę z dowódcą, potem zamilkł, skarcony wzrokiem, a na koniec uśmiechnął się dość paskudnie. Jakby wreszcie otrzymał cudowną i nieoczekiwaną odpowiedź na dawne modły.

Męska dziwka biskupa nie chciała porzucić swego patrona.

Jakiś czas później, po przejściu mili czy dwu, Else usłyszał odległy krzyk, krótki i przesywający. Może był to wrzask orła. A może coś innego.

Kiedy dowódca dogonił swój oddział, biskupa z nim nie było. Armand biegł przodem, jego twarz zamarła w wyrazie ponurego przerażenia.

– Co wy na to? – zadumał się Pinkus Ghort. – Szczeniak się wymigał.

– Nietrudno sobie wyobrazić, że taki dzieciak zawsze będzie na wierzchu – zauważył Bo Biogna.

– Być może powinniśmy nastawić własny zegar – szepnął Ghort – i być gotowi na wszystko, Pipe. Nie sądziłem, że posuną się tak daleko. Kapitan musi być cholernie pewny, że Hansel go poprze.

Rankiem wszyscy usłyszeli, jak chłopak wyjaśniał, że biskup, który zdecydowanie odmówił pójścia dalej w góry, spróbował uciec w stronę, z której przyszli. Jego koń pośliznął się na łacie lodu. Biskup i wierzchowiec pokoziołkowali po zboczu góry i na dole raczej koń był na wierzchu.

Imperialni żołnierze zauważyli, że od pół wieku na całym Ownvidiańskim Węzle lód nieustannie narasta i nigdy nie znika latem.

– Ten facet jest chytry. – Ghort miał na myśli dowódcę Braunsknechtów, którego imienia jeszcze nie zdołali poznać. – Ktoś inny za niego opowiedział jego historię.

Else się zamyślił. Osa twierdził, że jest agentem Imperatora. Może doszedł do wniosku, że związek z biskupem Serilsem przestał być wygodny.

Śniadanie było liche. Imperialni skonsumowali większość swych racji, gdy czekali w zasadzce. Oddział prowincjała spodziewał się przed wieczorem dotrzeć do kolejnej warowni episkopalnej.

Else zapytał:

– Co się stanie, jeżeli wieczorem się nie pokażemy w Dominagui?

– Wyślą kogoś, żeby się za nami rozejrzał. Kiedy nas nie znajdą, wrócą i spanikują. O co chodzi? Trzęsiesz się.

– Zimno mi. Mam nadzieję, że to tylko zimno, że nie jestem na nic chory.

– Jak dotąd dopisywało mu szczęście. Jedyne spotkanie z chorobą w trakcie całej misji, to była morska dolegliwość na pokładzie *Vivia Infanti*.

Osa Stile opowiedział kilka razy swoją historię, a potem przyłączył się do reszty jeńców. Else zdecydował się na leniwą, ostrożną rozmowę.

– Co się tak naprawdę stało?

– Było mniej więcej tak, jak opowiedziałem. Choć może wierzchowcowi biskupa ktoś pomógł pośliznąć się na lodzie. Nie byliśmy tam sami, tylko we trzech. Były też niewidzialne istoty. Teraz też są wszędzie wokół nas. Noc się nami bardzo interesuje.

Ownewidiański Węzeł był dziki, niezamieszkanym i zapewne niezbyt często odwiedzany, od kiedy lód zaczął spływać z najwyższych szczytów. W takiej właśnie krainie chroniły się stworzenia nocy, gdy naciskała na nie cywilizacja. Co sto kroków przy drodze były znaki, co do jednego zaczarowane, ale zaklęcia były już dość stare, a ich ochronna moc osłabła.

Else wciąż nie mógł przestać się trząść. Poczł ulgę, gdy usłyszał, że postój wyznaczono na wcześniejszą porę. Pracował jak wszyscy Przy rozbijaniu obozu, ale potem zwinął się w kłębek blisko ogniska jeńców.

Kolacja znowu była skąpa.

Po Prostu Zwyczajnie Joe nie zareagował uprzejmie na sugestię, że Żelazny Wieprz się zaciągnął, by stać się głównym składnikiem mulego gulaszu.

– Przestańcie – powiedział Else, gdy emocje zaczęły się wymykać spod kontroli. – Bo, ty jesteś chłopcem z gór. – Biogna sam o sobie tak twierdził, oczywiście, gdy nie opowiadał którejś z innych historii o swej młodości. – Może poprosisz naszych gospodarzy, żeby przyłączyli się do ciebie w nocnym polowaniu na kozice? – Za dnia Else widział parę górskich kozic. – Dziś księżyc powinien wzejść wcześniej.

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Pipe – odparł Biogna. – Ale raczej zagłodzę dupę, nim wyjdę w noc. Zresztą zanim wzejdzie księżyc, będzie już padać śnieg.

– Rozumiem. A poza tym bez wątpienia te kozice byłyby zbyt łykowate, żeby je jeść.

– Cholera, nie. Pewnie byłyby smaczniejsze niż gównno. Ale będzie ciemno i zimno jak w sercu kurwy, a to nie jest kraj, w którym chciałbyś opuścić obóz po zapadnięciu zmroku.

– Pewnie masz rację. – Musnął palcami niewidzialny urok na nadgarstku i zastanowił się, czy przypadkiem to nie on go otumanił.

– Dobra, w takim razie zacznij wydawać odgłosy, jak jakaś niunia w rui, i poczekaj, może któryś koziołek sam do ciebie przybiegnie.

– To się nie uda, Pipe. – Czasami Bo brał wszystko zbyt dosłownie.

Else przyjrzał się tym, którzy ich schwytali. Byli nieco więksi, zdrowsi i zdecydowanie bardziej profesjonalni niż motłoch, któremu towarzyszył do Antieux. Mimo to żartowali, narzekali i utyskiwali wokół własnego ogniska, zasadniczo zgadzając się, że naturalny porządek rzeczy jest całkowicie do niczego, ponieważ wyraźnie im głębiej ma się własną głowę w dupie, tym wyżej się stoi w hierarchii dowodzenia.

Wtedy dopadł go kolejny atak dreszczy. Podpełzł bliżej ognia.

Else nieczęsto śnił. A przynajmniej snów swoich nie pamiętał. Tej nocy wszakże było inaczej. I zapamiętał wszystko.

Śnił, że nadchodzą kłopoty. Poważne kłopoty, których źródłem jest lód i które dojrzewają w jakże zimnej nocy. Delegatury Nocy skupiły całą uwagę na Ownvidiańskim Węźle. Obudziło się coś starego. I natychmiast zainteresowało obozem Braunsknechtów.

Else się obudził. Bolał go nadgarstek. Amulet zdawał się gorący. Sam czuł zimno przenikające do szpiku kości. Wszyscy inni – jego wartownik, wartownicy Braunsknechtów – smacznie spali. Ogniska dogasały. Ochronne magiczne tyczki, które rozstawiono wokół obozu, leżały na ziemi lub chyliły się niczym pijane.

Nawet Żelazny Wieprz chrapał jak muł.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Ignorując ból, Else popęzł po śniegu, żeby zbudzić prowincjała Doneta. Nie potrafił sobie wyobrazić, kto jeszcze mógłby coś zdziałać przeciwko temu, co nadchodziło. Ta noc przywodziła mu na myśl inną, w Lesie Estery, wśród Studni Ihrian. Ale teraz nie miał falkonetu, kufra ze skarbami i żadnych pomysłów.

Bronte Doneto nie chciał się obudzić. Else potrząsał nim i targał. Nadgarstek bolał coraz bardziej. Prowincjał jęknął, ale wciąż spał. A teraz Else wyczuwał już kolejną obecność, ostatecznie znacznie bardziej przerażającą niż noc na wyciągnięcie ręki.

Szaleńczo szczypał Doneta, wybierając najbardziej czułe miejsca – wciąż nic. W końcu wbił kciuk we wrażliwe połączenie środkowego i serdecznego palca lewej dłoni, co wreszcie poskutkowało.

Prowincjał skoczył na równe nogi, od razu przebudzony i wyczuwając zło.

– Idź stąd.

Else odszedł chwiejnie na bok, wybrał śnieżną zaspę. Zwalił się w nią, zaciskając dłoń na nadgarstku, skurczony, przeszyty świdrującym bólem, który powoli stawał się jedyną rzeczywistością. Wreszcie, stopniowo, ból zaczął znikać. Else odzyskiwał jasność myśli. Wciąż ściskając nadgarstek, podniósł się na kolana i rozejrzał dookoła. Niewiele się zmieniło. Śnieg padał gęstszy. Doneto stał chwiejnie na czworakach i wymiotował jak ktoś, kto próbował jednym haustem wypić dzban taniego wina.

Atmosfera zgromadzonej wokół straszliwej grozy powoli się przerzedzała. Opornie. Wyraźnie zła na to, że jej przeszkodzono. Ale też niejasno, jakby zadowolona.

I jak to często bywało podczas spotkań ze stworzeniami nocy, ani przez moment nic nie było widać.

Bezimienny dowódca Braunsknechtów obudził się pierwszy. Jednym rzutem oka ogarnął drzemiących wartowników i przewracane uroki ochronne, stan, w jakim byli Doneto oraz Else. Chwiejnie zaczął budzić kopniakami swych ludzi.

Poczucie obecności poza kręgiem światła ognisk rozwiewało się dalej.

Else jak przez mgłę usłyszał słowa kapitana:

– Co się stało z naszymi osłonami? Rzekomo nie istnieje nic, co mogło sobie z nimi poradzić. Przynajmniej w tej części świata.

Wszyscy żołnierze i jeńcy obudzili się z takich samych koszmarów jak wcześniej Else, na które składało się wszechogarniające poczucie nadchodzącego zła oraz pewność, że ucieczka jest niemożliwa.

– Ale ty się obudziłeś – powiedział Pinkus Ghort. Wydawał się zupełnie skołowany.

Bronte Doneto, za wszelką cenę próbując odzyskać godność, wsparł się na Po Prostu Zwyczajnie Joem i powiedział:

– Obudziłeś się, Hecht. Akurat na czas. Jak ci się udało?

– Nie wiem. To chyba skurcze żołądka. Ból... To był głównie instynkt. Obudziłem się na tyle, by wiedzieć, że dzieje się coś nadprzyrodzonego, i nie miałem pojęcia, co robić. Więc obudziłem ciebie. Jak udało ci się go przepłoszyć?

– Modliłem się. – Z tonu głosu Doneta wynikało, że nie należy brać jego słów poważnie. To, że był członkiem Kolegium, nie stanowiło tajemnicy. A wielu członków Kolegium było nadzwyczaj zręcznymi czarownikami.

Do rozmowy włączył się dowódca Braunsknechtów:

– Prowincjale. Możesz mi wyjaśnić, co się przed chwilą zdarzyło?

– Obudziło się coś z zarania czasów. Coś, co musiało zostać uśpione jeszcze przed nastaniem Starego Imperium. Ale dlaczego obudziło się właśnie dziś w nocy? Może ktoś celowo je zbudził? Z naszego powodu? A co takiego szczególnego w nas jest? Albo w was?

– To dopiero pytanie, nieprawdaż?

Else przycisnął obolały nadgarstek do brzucha i wyszczerzył zęby. Nie miał ochoty stać się przedmiotem żadnego śledztwa. Z pewnością przy bliższym zbadaniu amulet nie umknąłby czyjejś uwagi. Nie wspomniał więc, że wyczuł tę drugą nadprzyrodzoną obecność.

– Może to był biskup – zasugerował Ghort.

– Co? – powiedziało jednocześnie kilkanaście ust.

– Tak sobie po prostu pomyślałem, że może mieliśmy do czynienia z jednym z tych starych bogów, którzy żądają ludzkich ofiar. Było prawie ciemno, kiedy biskup spadł i się zabił. Może on go obudził.

– Hipoteza równie dobra jak każda inna – oznajmił Doneto. – A może po prostu niech każdy najpierw dojdzie do siebie? Porozmawiamy o wszystkim później. Hecht, z tobą wszystko dobrze?

– Pozbyłem się nieco gazów. Już tak nie boli.

– Chłopiec z Bagien pozbywa się gazów – parsknął Ghort. – Reszta z nas pierdzi lub puszcza bąki.

Mimo najlepszych zamiarów i powszechnego pragnienia, by jak najszybciej opuścić Węzeł, nie wyruszyli przed południem.

Wszyscy musieli dojechać do siebie. Else czuł się zupełnie pozbawiony sił i woli.

Ostatnia noc nie była tylko zwykłym przypadkowym spotkaniem ze złośliwym duszkiem czy nawet pomniejszym złowieszczym cieniem. Obecność stanowiła groźbę dorównującą tamtej z Lasu Ester. I nie została pokonana.

Zmrok zagroził im, zanim wyszli w Ownvidiańskiego Węzła po jego północnej stronie. Relacje między jeńcami a ich zwycięzcami nabrały innego charakteru, choć mimo wszystko celna okazała się uwaga Ghorta:

– Jakoś nie słyszę, żeby ktoś układał plany małżeńskie.

W wiosce nazywającej się Tampas znajdował się od strony Węzła mały garnizon Plemeny. Czekają tam na nich kilkunastu żołnierzy imperialnych, strzegąc zapasów.

Dowódca Braunsknechtów natychmiast gdzieś zniknął. Zawodowiec do szpiku kości, pewnie zabrał się do przygotowywania raportu dla zwierzchników. Własnymi potrzebami zajmie się później.

Po pełnym entuzjazmu posiłku Bronte Doneto krzyknął:

– Hecht! Ghort! Do mnie.

Else i Ghort spotkali się z Donetem z dala od innych.

– Ostatniej nocy zdarzyło się coś naprawdę niesamowitego – stwierdził prowincjał. – Napadł nas stwór zwany bogonem. Uszliśmy z życiem dzięki szczęściu i Bożej łasce. Nieważne. Ważne jest natomiast to, że Delegatury Nocy tak bardzo boją się episkopalnego prowincjała, że próbowały zmusić do zaatakowania go coś naprawdę starego. Nowożytność nie zna takiej sytuacji. Byłbym zdumiony, gdyby zapiski na ten temat znajdowały się gdzie indziej niż w Piśmie.

Else był zadowolony. Niech Doneto sobie myśli, że był centrum całego wydarzenia. Poza tym może naprawdę tak było.

– Jesteś pewien, że ciemność zrobiła to wyłącznie z własnej woli? – zapytał.

– O co ci chodzi, Hecht?

– Zastanawiałem się, czy za tym wszystkim nie stoi jakiś wrogi czarownik.

Doneto przez chwilę rozważał ten pomysł.

– To możliwe. Ale nie mam pojęcia, jak miałoby mu się udać. Nie znam nikogo na tyle potężnego, żeby mógł dokonać takiego dzieła.

Ghort zgłosił się na ochotnika:

– Może wkurzyłeś któregoś z bogów.

Twarz Doneta pociemniała. Był księciem Kościoła. Kościół dopuszczał istnienie tylko jednego Boga.

– Wybacz – zmitygował się Ghort. – Powiedzmy, jakiegoś diabła czy demona.

Else pokiwał głową.

– No, bomba, Pinkus. – Jego współwierzący podobnie traktowali całą sprawę. Był Jeden Bóg, Miłosierny, Prawdziwy Bóg, Poza Którym Nie Było Innego, a cała reszta należała do tego licznego zastępu pomniejszych nadprzyrodzonych istot, zaprzysięgłych sługusów Przeciwnika.

Bronte Doneto rozluźnił się.

– Możesz mieć rację, Ghort. Ponieważ już byliśmy świadkami niemożliwego, nie powinniśmy odrzucać żadnej możliwości.

– Otwarty umysł ma szansę dostrzec w ciemnościach jedyną drogę wiodącą ku jutrzejszemu bezpieczeństwu.

– Oczywiście. Każde dziecko to wie.

Else próbował nie wyglądać na zdumionego, ale nie bardzo mu się udało.

– To z Kelama. *List do Toskańczyków* - poinformował go Ghort.

– Jakoś chyba nie miałem okazji.

– Większość nie ma, poza tymi, którzy spędzą trochę czasu w seminarium.

Else nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi.

Doneto zachichotał.

– Przypuszczam, że brat Hecht miał naprawdę niewiele okazji do zdobycia porządnego religijnego wykształcenia, skoro dorastał na skraju Wielkich Bagien.

Else chwycił się brzytwy.

– Moja rodzina nigdy nie była szczególnie religijna. Więc nie oczekujcie ode mnie żadnych cytatów.

– To nie ma znaczenia – rzekł Doneto. Ważne jest tylko przetrwanie i dzieło Pana.

– Panie?

– Otrzymałem od Boga powołanie. Z początku nie rozumiałem. Do Connec udałem się pełen pychy. Próba zabójstwa mnie nie otrzeźwiła. Nasz Pan okazał cierpliwość. Przysłał ciebie. Wydobył mnie z Connec. Przeprowadził przez Ownvidiański Węzeł. Ale teraz jestem gotów Go usłyszeć. Jestem gotów czynić dzieła Pana. – W głosie Doneta brzmiała pasja, gdy ciągnął dalej: – W porządku. Nie oczekuję, że też doświadczycie epifanii. Ale chciałbym porozmawiać o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

– Sytuacja jest taka, że nie mamy pracy – powiedział Ghort. – Nie możemy cię już chronić. Kiedy zamkną cię w lochu, nie będziemy ci potrzebni. A nawet jak nie zamkną, nie będziesz nam w stanie zapłacić.

– Może. Nie sądzę jednak, by Johannes okazał się tak śmiały. Po prostu zamknie mnie w areszcie domowym, póki Wzniosły nie zapłaci okupu, idąc na jakieś ustępstwa. Wszystko zostanie załatwione po cichu. A potem znowu wyruszę w drogę do Brothe i będę potrzebował straży przybocznej.

Else przyjrzał się prowincjałowi. Przybył za późno, żeby mieć do czynienia z dawnym Donetem, ale usłyszał dość od ocalałych z pierwotnego składu jego straży przybocznej. Nie wierzył w radykalną zmianę natury człowieka. Ludzie po prostu udają dla taktycznych powodów.

– Próbuję was przekonać, abyście zostali ze mną mimo tych drobnych przeszkód.

Else mruknął twierdząco. Nie mogło być lepszej pozycji niż oficer straży przybocznej członka Kolegium.

– Ja zostaję.

Doneto pokiwał głową.

– Zobaczymy, jak męczącą zechce Imperator uczynić naszą niewolę. Być może zdążymy na dzień wypłaty.

Plemenza była jednym z bogatszych miast Firaldii. Nominalnie była republiką. Niepodległym miastem-państwem. Faktycznie zaś, jak w większości firaldiańskich miast, prawdziwą władzę sprawowała tu garstka rodzin. W Plemenzy jednak miały mniejsze wpływy niż gdzie indziej, ponieważ była tu też grubsza ryba.

Imperatora Graala łączyły przez przodków więzy rodzinne z do – mem Truncellów, rodziną szlachecką, której pierwородni synowie otrzymywali tytuł hrabiego Plemenzy, ale niewielkie miała znaczenie lokalne. Johannes sam był pomniejszym szlachetką kiedy elektorzy wybrali go Imperatorem, w charakterze kompromisowego kandydata, którym będzie można manipulować, a w krótkim czasie odsunie się go na bok. Ale Johannes Ege okazał się silną osobowością, był żarliwym obrońcą swych poglądów, wreszcie wykazał się sporymi zdolnościami perswazji. Demonstracyjna chciwość ostatnich Patriarchów uczyniła z Johanna osobę szczególnie atrakcyjną dla firaldiańskiej szlachty, chcącej uniknąć jarzma Kościoła.

Imperator Graala mieszkał z synem i dwiema córkami w pałacu Dimmel. Była to od wieków siedziba hrabiów Truncella. Jak dotąd nie ogłoszono daty końca pobytu Imperatora.

Obecność Johanna w tym miejscu stanowiła symbol jego stałych interesów w Firaldii. Wrogowie powiedzieliby: ekspansjonistycznych interesów. Choć sam Hansel utrzymywał, że do Plemenzy przywiodła go wyłącznie chęć nadania córkom odpowiedniego poloni, jakiego mogły

nabrać w mieście dostarczającym kulturalnych i edukacyjnych okazji, których próżno szukać na ponurych rolniczych nizinach Elektoratu Kretien.

Córkami interesowano się ze względu na ich wartość polityczną. Jak dotąd jednak żadnej nie zaaranżowano związku. Niechęć Johanna do przyjmowania zalotników zaczynała budzić niesnaski wśród elektorów – ponieważ kilku z nich skrycie marzyło o zostaniu spadkobiercą Hansela.

Johannes szukał takich zięciów – jeśli już miał w ogóle tolerować tego rodzaju stwory – którzy wniosą w posagu majątek i żołnierzy oraz, przede wszystkim, entuzjazm dla zmagania z Patriarchą. A wśród osób o odpowiedniej pozycji niewielu było konkurentów, którzy dzielili z nim absolutną pogardę dla Patriarchatu. Ci z kolei chcieli legatu w postaci samego Imperium. Johannes miał tylko jednego chorowitego syna, Lothara.

Siostry i pielęgniarki uwielbiały i rozpieszczały Lothara, głównie dlatego, że nie oczekiwano, iż przeżyje, by objąć sukcesję po ojcu.

Sam Hansel kochał Lothara uczuciem o niezrozumiałej głębi, ale nie potrafił się oszukiwać co do stojących przed chłopcem perspektyw.

Else dowiedział się o tym od Doneta w drodze do Plemenzy.

Teraz rozmawiał z jadącym obok Pinkusem Ghortem.

– Pipe, naprawdę chcesz trzymać z tym szakalem?

Else zachichotał.

– Ja też potrafię być szakalem. Mam zamiar wykorzystać go jako odskocznnię dla lepszego zajęcia.

Ghort zaśmiał się niepewnie, ale pokiwał głową.

– Kiedy podejmiesz decyzję, nie zapominaj, że podejmujesz ją nie tylko w swoim imieniu.

– Słucham?

– Gdziekolwiek teraz pójdziesz, z powodów, które nawet dla nich są niejasne, Bo, Joe i Żelazny Wieprz zapewne pójda za tobą. Po prostu jesteś takim rodzajem faceta. Ten Żelazny Wieprz jest dobrym żołnierzem. Ale pozostali...

Żelazny Wieprz był dobrym żołnierzem. Muł wykonywał znacznie więcej niż tylko swoją działkę roboty. W przeciwieństwie do Joego i Bo nigdy się nie skarżył. Żelazny Wieprz był zadowolony, mogąc iść tam gdzie Joe.

Else nie miał kłopotów z wyobrazeniem sobie, jak intryganci w rodzaju er-Rashala al-Dhulquarnena próbują wyhodować rasę wojowników równie spokojnych i uległych jak ulubiony muł Joego.

Ach. A czy sha-lugowie nie byli tacy? Idealni sha-lugowie. Nie ci, jak Else Tage, z pożałowania godną skłonnością do myślenia.

– Pinkus, mam dla ciebie oryginalną propozycję. Zamiast martwić się o te rzeczy, może byśmy skupili się na ujęciu z życiem z tej sytuacji?

– Cholera, nie musimy się o nic martwić, Pipe. Obecnie wszystko wygląda tak paskudnie, że gwarantuję ci, że skończy się dobrze. Tak właśnie się toczy życie Pinkusa Ghorta.

Andorayanie i Masakra pod Czarną Górą

Krew i śmierć wirowały wokół Andorayan. Atak Connec zupełnie ich zaskoczył. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że dotąd brnęli przez obce czasy, niezdolni właściwie do niczego prócz permanentnego zdziwienia.

Wreszcie Andorayanie nie mogli już dłużej nie dopuszczać do siebie myśli, że znaleźli się w świecie, w którym wnuki tych, których ścigali, dawno już pomarły ze starości. Prawdę tę wciąż mieli przed oczyma.

Tak naprawdę nigdy nie stali się częścią tej armii. Tolerowano ich obecność, ale dla Arnhandów byli jak barakudy dla rekinów. Nieprzyjemności z ich strony towarzyszyły Andorayanom od pierwszego dnia na moście w Nawiedzanych Wzgórzach.

Jeśli chodzi o morderstwo Eriefa Erealssona, Shagot z każdym dniem coraz bardziej podejrzewał bogów. Zbrodnia ta zbyt dobrze im się przysłużyła. Z nikim się jednak nie podzielił podejrzeniami. Słowa wypowiedziane na głos z pewnością zostaną podsłuchane przez Delegatury Nocy.

Shagot nie miał pojęcia, czego bogowie odeń teraz oczekują. Wiedział tylko, że się zorientuje, kiedy nadejdzie właściwy moment. Z powątpiewaniem odnosił się do wszelkich trwałych przekonań, jakie odkrył, badając krajobraz swej duszy. A może zdumiony był głębią własnego cynizmu.

Pozostali członkowie bandy pogrążeni byli w jeszcze głębszych ciemnościach. Wszystko, co mogli zrobić, to trzymać się Shagota, chronić

go i mieć nadzieję, że nadejdzie czas, gdy się wyjaśni, co mają zrobić. Ale zadanie to nie napełniało ich szczególnym entuzjazmem.

Kiedy arnhandzka armia weszła w przełęcz pod Czarną Górą stanowiącą część masywu Steigfeit, towarzysze Shagota przestali się już uskarżać, po prostu ich to znużyło. Ze swoim wodzem też już nie rozmawiali. Wlekli się za nim, z rezygnacją poddając woli bogów, obojętni na świat, który się nimi nie interesował.

Dlatego też, pogrążeni w introspekcji, nie zareagowali odpowiednio szybko na atak.

– Nie widzą nas – powiedział Shagot.

Zaiste. Napastnicy w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Póki nie pobiegli do tych drzew, zza których nastąpił atak. Wtedy rzuciło się na nich dwóch piechurów. Svavar i Finnboga poradzili sobie z nimi z dziecinną omal łatwością.

– Niech nikt się nie rusza – rozkazał Shagot. Kolejni napastnicy zmierzali w ich stronę.

Connekianie stracili zainteresowanie.

– Jak stary Trygg – zauważył Hallgrim. – Zawsze zapominał, co miał zamiar zrobić.

– Ruszajmy. Już nie patrzają – nakazał Shagot.

Pokonali może osiemdziesiąt stóp, zanim doczekali się szarży pojedynczego jeźdźca w pełnej zbroi. Sigurjon machnął toporem. Kiedy jeździec odbił cios, Shagot powalił wierzchowca, oburęcznym wymachem miecza podcinając mu przednie nogi. Pozostali zabili jeźdźca, zanim dotknął ziemi.

W wyniku prób i błędów przekonali się, że krótkotrwałe manewry, polegające na pokonywaniu kilkunastu jardów, po których następowała minuta bezruchu, pozwalały im unikać uwagi atakujących.

– To jakaś cholernie słaba magia, jeśli chcesz wiedzieć, Grim – powiedział Svavar.

– Dzięki niej możesz utrzymać przy życiu swoją śmierdzącą dupę, nie? Kiedy dotrzemy do tych tam skał, ukryjemy się, aż wszystko się skończy, a ocaleli odejdą.

Jasne było kto zostanie na placu boju. Było już właściwie po bitwie, pozostała tylko rzeź.

Nad polem bitwy zaległa cisza. Connekianie skończyli już z grabieniem poległych i dorzynaniem rannych. Teraz próbowali dojść do ładu z tym, czego dokonali. Było to dla nich znacznie trudniejsze niż dla ludzi z czasów i krain Shagota. Dotychczasowe doświadczenia wojenne Conneć wiązały się z kilkoma awanturniczymi synami tej ziemi, którzy udali się na krucjatę do Ziemi Świętej.

– Co teraz robimy, Grim? – zapytał Svavar. Shagot nie miał pojęcia. Ta katastrofa nie została uwzględniona w przepowiedniach bogów.

– Muszę się z tym przespać. Rano wam powiem.

Nie protestowali. Wszyscy byli już dość dziwni. Dotarli do niebios, a potem wrócili na ziemię. A może wrócili zupełnie gdzie indziej.

Niemniej w tym świecie wszystkie wierzenia były prawdziwe. Na ten świat bogowie przybyli pierwsi, a dopiero potem ludzie nadali im postać zgodną z wyobrażeniami, jakie mieli w duszy.

Po pewnym czasie zwycięzcy odeszli. Po tych Arnhandach i Grolsacherach, którym udało się ująć z życiem, już dawno nie było śladu. Shagot i jego towarzysze skorzystali z okazji, żeby uzupełnić braki we własnym ekwipunku.

Wiele przy martwych nie znaleźli.

– A więc dokąd idziemy, Grim?

– Z powrotem drogą, którą przyszlismy. Trzymamy się z dala od ludzi.

Po tym jak Shagot wyjaśnił im, czego się dowiedział we śnie, Hallgrim koniecznie chciał wiedzieć:

– Kim jest Bogobójca?

– Nie wiem.

– A więc jak mamy go rozpoznać, kiedy już go spotkamy?

– Nie wiem.

– Ta cała sprawa zmienia się w kupę gówna, Grim.

– Wiem.

– A wszystkie odpowiedzi są w miejscu zwanym Brothe?

– Chyba że Dawni Bogowie zmienili zdanie. A teraz zamknąć się. Czeka nas długa droga. I przez większość czasu musimy trzymać się z dala od oczu tubylców.

– Dlaczego?

– Dawni Bogowie nie chcą, żeby nas zobaczono. Nie powiedzieli dlaczego. Te same stare gówna. Mamy być zachwyceni, że używają nas jak

psiej sfory.

Z każdą godziną w sercach całej szóstki było coraz mniej ciepłych uczuć dla ich bogów.

Bogowie Andorayan też stanowili odbicie charakterów północnego ludu. Co oznaczało, że byli kłótniwi, pijani, niezbyt rozgarnięci, pijani, gwałtowni, pijani i krótkowzroczni. I często pijani.

Takie wartości kultura północy wydała z siebie przez wieki. Nie podpisałyby się pod nimi jakikolwiek naród z zamieszkujących ziemie w czasach, w których obecnie wylądowali Andorayanie.

– Znajdziemy tego człowieka.

Pozostali popatrzyli ponuro, ale przygotowali się do drogi. Z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż dotąd.

Poważne narzekania zaczęły się tydzień później, kiedy Shagot chciał, by niepostrzeżenie ominęli Antieux. Finnboga warknął:

– Co my, do cholery, robimy, Grim? Mieliśmy złapać tych dupków, którzy zabili Eriefa. Ale od miesiąca nie słyszałem, by ktoś wymienił jego imię.

Sigurdur mamrotał:

– Chcę wracać do domu.

– Domu już nie ma – przypomniał im Shagot.

– Cokolwiek jest na jego miejscu, będzie bardziej jak dom niż to tutaj.

Nawet Asgrimmur był niespokojny.

– Myślę sobie, że może już czas, aby bogowie sami się o siebie zatroszczyli.

Shagot wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Nie wiedział, jak walczyć z tym pełzającym defetyzmem. Dość miał kłopotów z pobudzeniem do działania samego siebie.

Teraz sypiał dłużej niż wówczas, gdy byli częścią arnhandzkiej armii. Nic nie był w stanie na to poradzić. Chciał żyć według normalnych rytmów snu i czuwania. Chciał, by jego oddział opuścił wreszcie kraj, gdzie mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności za złe zachowanie ich byłych arnhandzkich towarzyszy.

To było ze wszystkiego najgorsze. To przekradanie się chyłkiem. Czajenie się na uboczu, żeby nikt nie zauważył.

Hallgrim chciał wiedzieć:

– Dlaczego, do diabła, tak się zachowujemy, Grim? Ci ludzie nie wiedzą, kim jesteśmy. Powinniśmy zejść na normalną drogę. Będziemy po prostu garstką chłopaków zmierzających na wschód.

Argument Hallgrima miał sens. Ale boskie głosy w głowie Shagota nie udzieliły pozwolenia.

– To jakieś bzdury – upierał się Finnboga. – Powoli mam coraz większą ochotę na samotność.

– Kiedy dotrzemy do kraju, który oni nazywają Ormienden, pójdzie łatwiej.

Trwało jednak wieczność, zanim tam dotarli, głównie przez to, że Shagot ciągle spał. A potem, kiedy już znaleźli się w Ormienden, wciąż nie pozwalał na normalną podróż.

Svavar, Hallgrim i pozostali byli w coraz bardziej buntowniczym nastroju. Podczas gdy Shagot stawał się coraz mniej zdolny do bycia kimś innym niż „huldrą głoszącą słowa bandy szalonych bogów, którzy już nikogo nie obchodzą”, wedle słów jego brata Svavara.

Tydzień już spędzili w Ormienden. Shagot obudził się i przekonał, że oprócz brata wszyscy go opuścili. Patrząc na Svavara przykucniętego nad przygotowywanym jedzeniem, wywnioskował, że coś jest naprawdę źle.

Nie było koni.

– Odeszli, Grim. Nie byli już w stanie tego znieść. Ale zostawili wszystko.

Shagot nie potrafił dojść do ładu z tym, co się wydarzyło.

– Nie rozumiem.

– Nie chciałeś słuchać, nie? Mówili ci i mówili wciąż.

– Ty zostałeś.

– Jestem twoim bratem. Ale gdybym uznał, że potrafisz przez tydzień utrzymać się przy życiu, też bym odszedł.

Ani tego dnia, ani następnego Shagot nie ruszył w drogę pewny, że tamci się opamiętają i wrócą.

Svavar nie naciskał. Nie wierzył już w żadną boską misję. Ale Shagot był rodziną. Po wszystkim, co przeszedł w następstwie morderstwa Eriefa, Svavar doszedł do wniosku, że nie byłoby źle, gdyby kilku bogów też umarło.

W końcu Shagot doszedł do siebie na tyle, by podnieść się na tylne łapy i ruszyć w dalszą drogę.

– Dokąd zmierzamy, starszy bracie? – chciał wiedzieć Svavar.

– Na razie do Starego Miasta. Brothe. Nie wiem dlaczego. Ale chcieli, abyśmy się tam udali.

Shagot sam miał kłopoty ze zrozumieniem tego wszystkiego. Stracił resztki zapachu do misji. Gdyby nie mamroczące w głębi umysłu boskie głosy, też wróciłby do domu.

Asgrimmur z kolei zaczynał widzieć w bracie świętego szaleńca. W północnej tradycji postać taka pojawiała się dość rzadko, niemniej pojęcie szaleństwa jako skutku boskiej interwencji było stosunkowo mocno utrwalone. W wypadku Shagota nie mogło być wątpliwości.

Bogowie północy byli złośliwi, dziecinni i małostkowi. Wielu bogów na całej ziemi miało atrybuty kojarzące się z głodem, zarazą i wojną, a równocześnie brakowało im cech, które ich wyznawcy gotowi byli uznać za atrakcyjne.

Finnboga, Hallgrim, Sigurdur i Sigurjon ledwie dwa dni po opuszczeniu Shagota i Svavara poznali na własnej skórze, czym jest złośliwość Delegatur Nocy.

Rozłożyli się na noc pod starym kamiennym mostem, łączącym brzegi strumienia nie szerszego niż sześć jardów. Ze względu na porę roku poziom wody był niski. Tego popołudnia spadł śnieg. Teraz w załomach mostu zawodził mocny i przenikliwy wiatr. Podmuchy dławiły płomień małego ogniska, grożąc jego zgaszeniem.

Schronienie to od wieków służyło wędrowcom. Niezliczone ogniska płonęły na tym samym miejscu, otoczone tymi samymi poczerniałymi kamieniami. Na północnym brzegu strumienia płonęło tymczasem drugie ognisko, przy którym kuliło się sześciu podróżników zmierzających na południe.

– Starzeję się – mruknął Hallgrim. – Dziesięć lat temu ten wiatr byłby wiosenną bryzą. Teraz myślę o emigracji na Islandię.

Od strony towarzyszy doleciały nieartykułowane pomruki. Nikt z nich nie widział Islandii, ale słyszeli o gejzerach, ciepłych źródłach i magicznych szczelinach, którym nie dawały rady nawet najsurowsze zimy. Kiedy klify lodu przekroczą cieśninę Ormo, by pożreć Nowe Imperium Brotheńskie, Islandia wciąż będzie ciepłą krainą.

– Teraz dużo się tam mogło zmienić – zauważył Sigurjon. – Skoro wchodzi w skład wielkiego królestwa, a rządzą nią te czarne kapłańskie

wrony.

Finnboga chciał wiedzieć:

– Jak trudno będzie zabić kilku kapłanów?

– Jak trudno? – warknął Sigurdur. – Popatrz na nas.

– To musi być trudniejsze, niż się wydaje – stwierdził Sigurjon. – W przeciwnym razie, jak te panienki zdobyłyby władzę?

– Masz rację. Oni tu rządzą. I nie wygląda na to, by sytuacja miała się w najbliższym czasie zmienić. Cholera!

– Co?

– Znowu muszę się wysrać. – To już był szósty raz tego dnia. Sigurdur zaczynał się martwić. Człowiek, który nie panował nad swoimi jelitami, mógł się zasrać na śmierć.

– Dobra, idź od zawietrznej. Ostatnim razem było tak paskudnie, że muchy marły – poradził mu Sigurjon.

Trzymając się za obolały brzuch, Sigurdur chwiejnie odszedł na bok, w miejsce, które wypatrzył jeszcze za dnia, przewidując, co się stanie. Znalazł bliźniacze kamienie, nerwowo manipulował przy spodniach, chcąc je opuścić, zanim nastąpi najgorsze, a równocześnie lękając się zimnego ukąszenia wiatru w pośladki.

Udało mu się, wypuścić pierwszą salwę. Pogratulował sobie, zginając się znowu, zdjęty serią bolesnych skurczów żołądka. Kiedy kolejna porcja zawartości jelit wypłynęła z niego z towarzyszeniem okropnych hałasów, Sigurdur zrozumiał, że nie jest sam. I że towarzystwa bynajmniej nie dotrzymuje mu któryś z towarzyszy podróży. Widział przecież swego brata, Hallgrima i Finnbogę, jak skuleni przy ognisku żartowali sobie z niego.

Sięgnął po nóż.

Cień podpłynął bliżej. Światła rzucanego przez ognisko było dość, aby zobaczyć postać kobiety w długim płaszczu z naciągniętym kapturem. Skraj płaszcza włókł się po ziemi. Tylko twarz widoczna była w rozcięciu kaptura. Piękna twarz – tak pewnie musiała wyglądać za młodu jego matka.

Sigurdur pomyślał, że przez całe życie słyszy się o tego rodzaju rzeczach, ale kiedy stają się rzeczywistością, nikt nigdy nie jest gotów. Po prostu nie sposób uwierzyć, że człowiek naprawdę może ściągnąć na siebie uwagę Delegatur Nocy.

Kobieta rozchyliła poły płaszcza. Pod spodem nie miała nic. Jej ciało było idealne. Promieniowało ciepłem. Nie sposób było mu się oprzeć.

Nawet dla najostrożniejszego byłoby już za późno.

Sigurjon zaczął się martwić.

– Dlaczego to trwa tak długo? Zawsze był pełen gówna, ale... bogowie.

– Może próbuje wyrzucić z siebie wszystko jednym wielkim strzałem?

– Odmrozi dupę, jak się będzie zbyt długo wygłupiał. – Sigurjon wstał. Zawołał. Jego brat bliźniak nie odpowiedział. Usiadł więc pewny, że gdyby tamten miał jakieś prawdziwe kłopoty, wyczułby je poprzez więź łączącą bliźnięta.

Pół godziny później Finnboga i Hallgrim zaniepokoił się na tyle, że poszli poszukać Sigurdura, zostawiając Sigurjona samego przy ognisku. Po nocy niosły się ich krzyki.

Nie znaleźli.

– Poszukamy go znów, jak się rozwidni. Teraz nic nie widać. Wylosujmy kolejność wart. – To zadanie zazwyczaj brał na siebie Sigurdur.

Rankiem znaleźli miejsce, gdzie Sigurdur opróżnił jelita. Potem znaleźli ślady, jakie zostawił, zmierzając wzdłuż strumienia w górę jego biegu, nie do końca zdeptane przez nich w trakcie nocnych poszukiwań. Na samego Sigurdura natknęli się pół mili od obozu – obnażony od pasa w dół leżał do połowy w strumieniu. Spodni w ogóle nie znaleźli.

– Umarł szczęśliwy – powiedział Hallgrim.

Ale skóra Sigurdura była biała jak śnieg nie dlatego, że nie żył, lecz dlatego że z jego ciała wyszło całą krew.

W zamrzniętym błocie zostały odciski drobnych bosych kobiecych stóp.

Nietrudno było sobie wyobrazić, co się stało, trudniej było w to uwierzyć. Od dziecka wszyscy słyszeli takie opowieści, tak naprawdę nie sądzili jednak, że im się może coś podobnego przydarzyć.

Ale stwory nocy były równie rzeczywiste jak okrutna śmierć. I równie paskudne, jak twierdziły opowieści.

Ocaleli nie od razu domyślili się związku między nieszczęsnym losem Sigurdura a zaparciem się przez nich własnych bogów. Kiedy wrócili do obozu, odkryli, że został splądrowany przez sąsiadów. Łotry nie zostawiły im właściwie nic – mieli teraz tylko broń, którą zabrali ze sobą i ekwipunek osobisty. Broń prawie całkiem zniszczyli, kopiąc w zamrzniętej glebie grób dla Sigurdura.

Sigurjon był z nich najsprytniejszy. Boskiej złości zaczął się domyślać, kiedy tydzień później coś dopadło Hallgrima. Tym razem śmierć

wśród ciemności nie zostawiła po sobie ofiary z uśmiechem na twarzy.
Ofiara w ogóle nie miała twarzy.

Ani Sigurjon, ani Finnboga nic nie usłyszeli.

Connec, po rzezi

Minęło kilka dni, zanim ci, którzy schwytali brata Świecę, pozwolili mu się zobaczyć z hrabią Raymone'em Garete'em. Nikt go o nic nie oskarżył. Znano go i szanowano w całym Skraju Connec. Żeby uznano go za zdrajcę, oskarżenie musiałyby wyjść z jego ust.

– Co masz mi do powiedzenia? – zapytał hrabia.

– Byłem w drodze. Próbowałem was dogonić. Arnhandowie mnie złapali. W momencie waszego ataku arcybiskup właśnie proponował mi główną rolę w procesie o herezję.

– Rozumiem, czego mógłście chcieć. Dlaczego próbowałeś mnie dogonić?

– W nadziei, że wyperswaduję ci atak na Arnhandów. Ta wojna może ściągnąć same nieszczęścia na Skraj Connec.

Poplecznicy hrabiego wybuchnęli śmiechem, szydząc z brata Świecy i nawet cmokając ustami, co miało podkreślać jego tchórzliwe zniewieścienie. Niewielu było starszych od hrabiego. Jeden powiedział:

– Wygląda mi na to, że nieszczęście to spotkało drugą stronę, bracie. Podwójne nieszczęście.

Brat Świeca pokręcił głową.

– Jeśli tak się rzeczy mają, płonne są nadzieje na przywrócenie wam zdrowego rozsądku. Kości zostały rzucone. Wy aroganccy młodzicy. Posłuchajcie! Nie spoczywajcie na laurach. Latem albo następnego lata, albo jeszcze następnego powrócą armie Arnhandu i Brotheńskiego Patriarchy. I spadną na was jak Gniew Boży.

Nie to chcieli usłyszeć. Chcieli, żeby im powiedział, iż Santerin nigdy nie przestanie się wadzić z Arnhandem. Chcieli usłyszeć o kłopotach dynastycznych, które sparaliżują Arnhand. Chcieli się dowiedzieć, że

Patriarcha jest dętym bufonem, że Imperator Graala na jego flance gotów jest uderzyć, gdy Wzniosły nadmiernie rozciągnie siły.

Brat Świeca w swoim doczesnym, świeckim życiu zaznał dość sukcesów. Jego osiągnięcia w roli Doskonałego miały charakter znacznie bardziej skromny, ponieważ był teraz świętym mężem. Świętym mężem, któremu nie dostawało argumentu, jakim dysponował Wzniosły – armii, która zmusi tępaków do posłuchu.

Nie zabawił długo u hrabiego. Ruszył w drogę. Miał zamiar wrócić do księcia Tormonda i z Khaurene próbować wpłynąć na kształt przyszłości.

Nie było sposobu, żeby powstrzymać wybuch wojny. Będą się jej domagały wszystkie główne rodziny Arnhandu. Jemu pozostało działać na rzecz tego, by emocje całkowicie nie wymknęły się spod kontroli. W im większym stopniu będą rządzić umiarkowane nastroje, tym spokojniejsza będzie przyszłość.

Spróbuje przekonać możnych i wysoko postawionych – w szczególności Tormonda – że muszą się przygotować na najgorsze. Nie chciał wojny. Ale jeśli wojny uniknąć się nie da, wówczas Connec powinno być gotowe zareagować z energią i zajadłością, która grozą przejmie każdego, kto miał na względzie wyłącznie prywatę.

Brat Świeca zmierzał ku Khaurene starożytnym, zimnym szlakiem i dokuczała mu świadomość, że ostatnią rzeczą, którą zrobi na tym świecie, i na dodatek będzie musiał zrobić ją lepiej niż wszystko, czym parął się dotąd, było dzieło zasadniczo przezeń pogardzane. Musiał chronić i prowadzić Poszukiwaczy Światła w wieku grozy i przemocy, które sprawia że ich wiara przetrwa albo zniknie z powierzchni ziemi na zawsze.

Herezja maysalska nie podda się z pokorą wyrokowi losu, jakkolwiek łagodne byłyby jej oczekiwania wobec świata. ironią wszakże było, że główny ciężar walki i jej podstawowe koszty wezmą na siebie ci wierni chaldaranie, którzy bronić się będą przed ludźmi mieniącymi się obrońcami ich własnej wiary.

Plemonza: pałac Dimmel

Plemonza była jasnym i barwnym miastem, którego urokami wszak jeńcy nie bardzo mieli szansę się nacieszyć. Strzegący ich żołnierze zadbali, by uniemożliwić im kontakty z miejscową ludnością. A na ile Else był w stanie stwierdzić, mieszkańcy też się do nich nie palili.

Oddział przejechał przez bramy pałacu Dimmel. I zniknął za nimi na długo.

Nic złego się nie stało. W ogóle nic się nie stało. Jeńcy znaleźli się w części pałacu, w której wszystkie okna i drzwi, z wyjątkiem jednych, zostały zamurowane. Potem o nich zapomniano. I tylko posiłki przychodziły w miarę regularnie. Z początku Bronte Doneto szalał i domagał się spotkania z kimś, kimkolwiek, bodaj samym Imperatorem. Służący – ten sam za każdym razem, jedyny, jakiego mieli oglądać – całkowicie go ignorował.

Doneto był wściekły, ale nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo.

– To po prostu następny logiczny krok w eskalacji stosunków między Imperatorem a Wzniosłym. Póki Johannes trzyma mnie z dala od Kolegium, Wzniosły ma mnóstwo kłopotów z uzyskaniem poparcia dla swych decyzji.

Else przysłuchiwał się uważnie. Jeżeli usunięcie jednego człowieka może sparaliżować ośrodek władzy wroga... Drobną robótką ostrą stalą i...

Znacznie lepszym, inteligentniejszym posunięciem byłoby doprowadzenie do zniknięcia depozytariusza kluczowego głosu gdzieś z dala od Brothe. I spowicie zasłoną tajemnicy jego dalszego losu.

Kolegium nie mogło zastąpić Bronte'a Doneta, póki nie miało pewności, iż ten faktycznie znajduje się w położeniu definitywnie uniemożliwiającym

mu aktywny udział w autogloryfikacji Kościoła. A nawet wówczas potrzebne byłoby błogosławieństwo Patriarchy.

Doneto był jednak dobrej myśli. Budził się każdego ranka z przekonaniem, że oto nastał ostatni dzień ich niewoli. I każdej nocy zasypiał na cienkim materacu w wyłącznym towarzystwie swej kontuzji i rozpaczy.

Jakiś geniusz zła mocno się natrudził, przygotowując ich więzienie. Jeńcy nie mieli kontaktu z nikim z zewnętrznego świata, żadnego sposobu, by dowiedzieć się, jaka jest pora dnia czy bodaj roku – choć musiała już przyjść zima. Wnętrza pałacu były lodowate. Nie zapewniały żadnej prywatności. Prowincjał musiał dzielić przestrzeń życiową i wszystkie sprzęty ze swymi ludźmi. Oraz z Żelaznym Wieprzem, ponieważ Braunsknechci nie chcieli muła w swoich stajniach, gdzie mógłby prowokować niewygodne pytania. Poza tym z obecności muła też można było wyciągnąć wnioski co do charakteru ich położenia. Ktoś chciał, by Doneto wiedział, iż w oczach Imperatora Graala prowincjał episkopalnego Kolegium liczy się tak samo, jak rozgarnięty muł.

Oczywiście, nie była to prawda. Ale jawna pogarda Imperatora mocno doskwierała prowincjałowi. Niemniej za maską arogancji i samouwiełbienia krył się charakter z żelaza. Jak też odrobina człowieczeństwa. Przystosował się do narzuconego towarzystwa. Po trzydziestu przerwach na nocny wypoczynek nawet Bo Biogna czy Po Prostu Zwyczajnie Joe mogli usiąść z nim i pogadać.

Podczas kolejnych dni, w chwilach gdy jego optymizm najmocniej dawał znać o sobie, Doneto powracał do swoich początków w roli skromnego księdza. Tak przynajmniej twierdził. Choć wszyscy wiedzieli, czemu członkowie Kolegium zawdzięczali swoją pozycję. Niewielu z nich kiedykolwiek miało do czynienia z codzienną kapłańską posługą.

– Urodził się biskupem – powiedział Pinkus Ghort, trafiając w sedno. – Jeżeli jesteś Brotheńczykiem z właściwej rodziny, a na dodatek drugim synem, zaczynasz życie jako biskup. Tiarę prawdopodobnie otrzymał, gdy skończył czternaście lat.

Else śmiał się w duchu. Oto Ghort w swojej całej krasie. Pinkus spędzał w towarzystwie prowincjała najwięcej czasu ze wszystkich, podlizując się. Ale nie rezygnował ze swego przyrodzonego prawa do krytyki.

Ghort poradził mu:

– Musisz bardziej się przykładać do pracy nad Donetem, Pipe. Nigdy nie będziesz miał drugiej takiej szansy. Pamiętaj, już jutro możemy stąd wyjść. Nie ostrzegą nas zawczasu.

To faktycznie była jedyna w swoim rodzaju szansa na zdobycie pozycji. Doneto już zdążył mu zaproponować pracę w Brothe.

Plan Doneta przewidywał trzymanie Else'a na dystans, a potem umieszczenie go na stanowisku, z którego będzie mógł mieć oko na wrogów prowincjała.

Ghort już zgarnął swoją nagrodę, ponieważ został awansowany na dowódcę straży przybocznej Doneta.

Else przestrzegł go:

– Żeby ci to tylko nie uderzyło do głowy, Pinkus. Jesteś już trzeci w ramach jednego roku. Wielu ludzi nie przepada za tym facetem.

– Och, będę uważał. To jest robota, jakiej szukałem całe życie. To jest pełna rękojmia finansowa. Nie ma mowy, żebym nie wywiązał się z tego lepiej niż wszyscy inni. A poza tym, jeśli uda się cię umieścić na odpowiednim miejscu, ostrzeżesz mnie, kiedy będzie się miał zdarzyć jakiś syf.

– O tym właśnie myślałem.

– Nie podoba mi się twój ton, Pipe. Oznacza, że prawdopodobnie nie chcę słyszeć tego, co masz do powiedzenia.

– Nie byłbym zaskoczony. Myślałem o tym, że jeżeli faktycznie skończymy tak, jak nam wróży prowincjał, informacje będą musiały iść w obie strony.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeżeli ja mam być twoim człowiekiem po drugiej stronie, ty będziesz moim. Czasami też będę musiał komuś coś dać. Chyba że wydaje ci się, iż tylko ty masz na całej sprawie skorzystać.

– Boże uchowaj. Po prostu próbuję sobie ułożyć wygodne życie.

– Jeżeli zrobimy to dobrze, będziemy mogli sobie nawzajem wystawiać listy kaperskie.

Ghort zachichotał.

– Nie jesteś taki prostoduszny, za jakiego chcesz uchodzić, co, Pipe?

Zanim przystosowano ich kwatery, wcześniej musiały być w nich pałacowe pomieszczenia na opał. Wszędzie leżały sterty podartych starych książek i akt z ponad stu lat historii pałacu. Wiele dotyczyło historii rodziny

Truncellów, opisywały pokolenia dawno już minione. Nikogo szczególnie nie interesowały prócz Else'a, który uczył się na nich zachodniej kaligrafii.

W tym śmietniku można było znaleźć parę prawdziwych książek. Else dostrzegł w nich wartość edukacyjną. W zawodowym sensie tego słowa.

Dzieła napisane w nowożytnym języku miejscowym nie zainteresowały go szczególnie. Głównie żywoty chaldarskich świętych, których były całe zastępy. Te informacje mogły się przydać komuś, kto chciał się wtopić w lokalne tło, ale poza tym nie miały większej praktycznej wartości.

Ale gros prawdziwych książek stanowiły dzieła po starobrotheńsku, skrybowie mozolnie skopiowali je z tekstów ułożonych w epoce klasycznej. Interesujące były dlatego, że otwierały okno na nietkniętą przeszłość, wolną od przesądów i ambicji późniejszych wieków.

Else otrzymał pomoc od Bronte'a Doneta, który w uczeniu znalazł ujście dla nadmiaru energii, tymczasowo nie znajdującej innego celu. Prowincjał poinformował go:

– To są kopie tekstów zapisanych w epoce poprzedzającej Chaldarską Konfirmację. Językiem urzędowym jest górny brotheński owych czasów. To się dobrze składa. Ceremonialny język nie zmienia się tak szybko jak wulgata. Ale to są prace traktujące o dość technicznych tematach. Jak zarządzać winnicami i winiarniami. Jak kierować latyfundiami, wielkimi posiadłościami wiejskimi, obejmującymi gaje figowe, oliwne i cytrusowe, jak też pola zbóż i warzyw. W owych czasach nie jadano zbyt wiele mięsa, przestając na owocach morza. A to jest monografia na temat budowy rozmaitych machin, począwszy od tłoczni winogron i oliwek po maszyny oblężnicze i artyleryjskie. Ta dotyczy prowadzenia wojny. A te opisują żywoty imperatorów i głównych postaci tamtych epok.

Doneto nauczył Else'a podstaw klasycznego brotheńskiego. Kapitan spędzał większość czasu, przedzierając się przez stare księgi. W ten sposób ustanowił precedens. Stworzył modę. Niewola była tak ogłupiająca, że Bo Biogna i Po Prostu Zwyczajnie Joe gotowi byli zrobić wszystko, byle tylko przepędzić nudę. Nawet gdyby miało to oznaczać naukę, w zasadzie przebiegającą pod kierunkiem prowincjała.

– Żelazny Wieprz będzie następny – przepowiadał Else. – I będzie się uczył szybciej niż pozostali. – Opowiedział im starą dreangerską historię o uczeniu wielbłąda gwizdania, oczywiście zmieniając jej bohatera na muła.

Uzbrojony w zdobywaną właśnie wiedzę Else będzie w stanie śledzić korespondencję wrogów Dreanger.

Czas powoli mijał. Kapitan pozwolił się wciągnąć w plany prowincjała, ale na tyle tylko, na ile pozostawało to w zgodzie z jego celami.

Jeńcy stracili poczucie czasu. Wszyscy zgadzali się, że muszą to być przynajmniej trzy miesiące. Niektórzy podejrzewali, że może i pięć. Else był zaskoczony, że udało im się przetrwać tę niewolę bez żadnych wybuchów przemocy – zapewne dzięki temu, że mieli do dyspozycji dość przestrzeni. I ponieważ nie popadli w rozpacz. Bronte Doneto ani na moment nie przestał wierzyć, że ratunek lub okup są blisko.

Po Prostu Zwyczajnie Joe był zadowolony. Else usłyszał od niego wyznanie:

– Nigdy jeszcze nie żyło mi się tak dobrze. Zastanów się. Jest mi ciepło. Jedzenia pod dostatkiem. Mam przyjaciół. Mam Żelaznego Wieprza. I na dodatek uczę się, jak czytać i mówić poprawnie.

Marzenie Joego miało potrwać jeszcze jakiś czas. Ale w końcu nawet Bronte Doneto zaczął tracić wiarę. Else zastanawiał się, czy przypadkiem w Plemenzy nie doszło do ostatecznej zagłady tego człowieka.

Wydawało się niemożliwe, żeby wieści o położeniu Bronte'a Doneta nie dotarły do właściwych uszu.

– Może nasz szef za bardzo sobie wlewa? – zastanowił się Ghort. – Znajduje się sto osiemdziesiąt mil od domu. Dlaczego nikt go nie rozpoznał?

– Ja to kupuję – odparł Else. – Prawdę mówiąc, nie sądzę, by większość Braunsknechtów wiedziała, z kim ma do czynienia. Porwanie nas było dla nich po prostu zwykłą robotą.

Koncepcja ta nie wpłynęła na poprawę nastrojów.

– Pomyślałby kto, że Imperator będzie chciał, żeby parę osób się dowiedziało – prychnął Ghort. – Nic nie skorzysta na tym, że będzie trzymał uwięzienie Doneta w sekrecie.

Było jednak inaczej. Ale z perspektywy więzienia nikt z nich nie mógł o tym wiedzieć.

– Może chodzi o to, o czym rozmawialiśmy dawno temu – snuł rozważania Else. – Skoro Hansel ma prowincjała, Kolegium jest bezsilne. Skoro Kolegium jest bezsilne, Wzniosły nie może zrealizować żadnego z

tych szalonych pomysłów, o których tyle gada. Także naprzykrzać się Imperatorowi.

– Pewnie masz rację, Pipe. Ale to mi się nie podoba. Oznacza, że Hansel powiedział światu, że ma chłopaczka Wzniosłego. A Wzniosły doszedł do wniosku, że go przetrzyma. Albo po prostu nie obchodzi go los kuzyna.

Bo Biogna zorganizował loterię. Kto najtrafniej oszacuje czas ich zamknięcia, weźmie nagrodę. Nawet Bronte Doneto wszedł do puli.

Else często się zastanawiał, dlaczego Doneto, którego znał, był tak niepodobny do Doneta, którego wysłano do Skraju Connec, by pomógł biskupowi Serifsowi narzucić wolę Wzniosłego V.

– Czemu nie zapytasz? – zdziwił się Ghort, gdy Else podzielił się z nim swoimi myślami. – Mnie znacznie bardziej interesuje, co się stało ze ślicznym chłopaczkiem biskupa.

Tak. Osa Stile zniknął tego dnia, gdy dotarli do Plemenzy. Być może Imperator Graala znalazł mu inną robotę.

Else zebrał się na śmiałość i pewnego razu, podczas gry w karty, zapytał prowincjała Doneta, co spowodowało tak dramatyczną zmianę jego charakteru.

– Nie jesteś głupi, Hecht. Dostrzegasz wszystko.

– Jestem zawodowym żołnierzem, panie. Wiem, że lepiej rozumieć ludzi, dla których się pracuje. A ty w niczym mi nie przypominasz legata, o którym tyle słyszeliśmy od przyjazdu do Antieux.

– Nie mylisz się, Hecht. Ale pamiętaj, wykonywana praca i człowiek, który ją wykonuje, to dwie różne rzeczy. Wywiązywałem się z roli narzuconej mi przez Patriarchę. A potem z roli, w jakiej chciał mnie widzieć biskup Serifs, oby ten tłusty, zepsuty kretyń smażył się w piekle za szkody, których przysporzył Kościołowi.

Pewnego dnia pojawił się u nich ktoś inny, nie ten sam służący, którego zawsze widywali. Nowo przybyły obejrzał sobie dziewiętnastu więźniów. Siedemnastu spośród nich było na tyle zdrowych, żeby skupić się wokół niego. Wskazał Bo Biognę.

– Ty. Chodź ze mną.

Bo nie chciał pójść. Ale tamten nie był sam. Trzech zbrojnych otoczyło więźnia. Nie wyglądali na tych, co niechętnie posługują się narzędziami swego fachu.

– Idź, Bo – namawiał go Else. – Gdyby chcieli nam zrobić coś przykrego, już by to zrobili i oszczędzili sobie kosztów karmienia. Mam nadzieję, że się nie mylę – zwrócił się do Ghorta, kiedy już Bo zniknął.

– Mnie to przekonuje. Wiesz, że zaplanowali sobie, iż nas jakoś wykorzystają.

Bo Biogna wrócił po kwadransie. Ludzie, którzy go odprowadzili, zabrali ze sobą następnego.

– I co? – zapytał Ghort.

Wszyscy, którym starczyło sił, skupili się wokół nich. Nawet Bronte Doneto chciał usłyszeć słowa Biogny.

– Nie mam pojęcia. Zaprowadzili mnie korytarzem do pomieszczenia, w którym nie było nic prócz stołu i czterech facetów zadających pytania. Sprawiali wrażenie, że moje odpowiedzi za cholere nic ich nie obchodzą.

– O co pytali? – chciał wiedzieć Else.

– Kim byłem, czym się zajmowałem, jak skończyłem w armii Patriarchy.

– Dlaczego o to pytali zamiast o jakieś ważniejsze rzeczy?

– No, cóż, pytali o różne sprawy, o wszelkiego rodzaju gówna. Zwłaszcza o tego czarownika Bractwa. Grade’a Drockera. I o to, co się stało w Connec. Tyle że nie dokładnie o to, co się zdarzyło, ale raczej jak i dlaczego. I kto tak naprawdę namieszał. Myślę, że puścili mnie tak szybko, bo zrozumieli, że jestem nikim i nic o niczym nie wiem.

Opowieść drugiego była właściwie identyczna. Podobnie trzeciego, choć tym razem Else odniósł wrażenie, że pytania były dostosowane do tożsamości pytanego. Należało z tego wnosić, że przesłuchujący doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia, nim zabrali się do indagowania.

Pinkus Ghort poszedł na czwartego. Nie było go ponad godzinę. Wrócił nietknięty, ale wymęczony. Osunął się na siennik.

– To było brutalne. Ale fizycznie nic mi nie zrobili. Trudno się nie pomylić, kiedy pięćdziesiąt razy pytają o to samo, na pięćdziesiąt różnych sposobów.

Bronte Doneto był ciekaw. I martwił się. I jego kolej nadejdzie. Stał obok, przysłuchując się opowieści Ghorta, gdy Else zapytał:

– To znaczy?

– Było tak, jak powiedział Bo i tamci. Tylko że bardziej. Wbili sobie do głowy, że muszę znać wszystkie osobiste sekrety Patriarchy, skoro byłem przypadkowym kapitanem przypadkowej zbieraniny bandziorów, których

Wzniosły wysłał z misją. Nie obchodziło ich, że nigdy nie byłem bliżej starucha niż teraz.

– Grozili ci? Próbowali przekupić?

– Nie. I to też wydało mi się dziwne. Myślę, że tak naprawdę nie obchodziło ich, co mówię. Po prostu chcieli mi zadawać pytania.

Bronte Doneto wyraźnie się zmartwił. Else zapytał:

– Panie? Jest coś, o czym nie wiemy?

– Mogą się posługiwać zakłęciami wykrywającymi kłamstwa. Jeżeli mają wyspecjalizowanych adeptów, nasze odpowiedzi są pozbawione znaczenia. Jak wyglądali śledczy?

– Wedle mnie nie byli to żadni czarodzieje – odparł Ghort. – Zwyczajni żołnierze. Chłopcy nawykli brudzić sobie ręce. Jednego z nich chyba już gdzieś spotkałem. To ten facet na końcu, po prawej stronie, patrząc od nich. Ktoś, kogo powinienem pamiętać, ale nie wiem skąd.

Kolejnych ludzi brali na śledztwo, jednych trzymali dłużej, innych krócej. Po Prostu Zwyczajnie Joe był najwyżej osiem minut.

Kiedy wrócił, żołnierze skinęli na Pinkusa. Ghort zaprotestował:

– Ja już tam byłem.

– Więc znasz drogę. Idziemy.

Ghorta nie było długo.

Kiedy wrócił, żołnierze wskazali prowincjała Doneta. Atmosfera robiła się napięta.

– Spokojnie, szefie – powiedział Ghort. – To nie takie straszne.

– Dlaczego przesłuchiwali cię powtórnie? – zapytał Else, gdy drzwi zatrzasnęły się za prowincjałem.

– Może za pierwszym razem nie zrozumieli. Zadawali te same pytania. Doneto ma chyba rację. Oprócz tych pytań dzieje się coś jeszcze.

– Ponad godzinę zabrało im zdobycie tych samych odpowiedzi, których już wcześniej im udzieliłeś?

– Och, nie. To trwało może dwadzieścia minut. W połowie wszyscy nagle wstali i wyszli. Jakby sobie zrobili przerwę na obiad czy co. I nie musieli się mną przejmować.

– I tak sobie po prostu siedziałeś?

– Cóż, wstałem i przeszedłem się trochę. Daleko nie zaszedłem. Zamknęli drzwi.

Bronte'a Doneta nie było godzinę. Wrócił wyczerpany. Niewiele miał im do powiedzenia. Wysiorbał miskę zupy z soczewicy, skulił się pod kocem i zasnął.

To było ostatnie przesłuchanie tego dnia.

Następnego ranka śledczy wznowili swe czynności. Pierwszy z wezwanych był już wcześniej przesłuchiwany.

– Teraz to wyglądało inaczej – doniósł. – Głównie pytali o religię.

Else poszedł trzeci. Nie denerwował się. Poradzi sobie z podstawowymi kwestiami religijnymi. Odpowiednio się przykładał.

Pokój wyglądał tak, jak mu go opisano: pozbawiony wszelkich sprzętów i jaskrawo oświetlony. W powietrzu wisiał silny zapach łożu. Za stołem, plecami do ściany, siedziało czterech mężczyzn. Naprzeciwko stołu znajdowało się twarde krzesło z prostym oparciem. Mężczyźni nie wyglądali na zawodowych inkwizytorów. Siedzący z samego brzegu, licząc od prawej strony Else'a, mógł być kapłanem. Dwu kolejnych zakwalifikował jako żołnierzy. Jednak ten, który znajdował się między kapłanem a żołnierzami, był kimś ważnym.

Siedzący po jego prawej ręce zapytał:

– Piper Hecht?

– Tak.

– Religia?

– Tak.

– Proszę?

– Tak. Jestem religijny.

– Jaka religia?

– Dlaczego?

Człowiek, którego Else podejrzewał, że kieruje całością, powiedział:

– Przestańcie. Spokojnie, Hecht. Odpowiadaj na zadawane pytania.

– Dlaczego?

Lekka zmarszczka gniewu. Nikt inny dotąd nie sprawiał trudności.

Zaczął go swędzić lewy nadgarstek. Podrapał się. Koniuszki palców natrafiły na niewidzialny amulet, który powoli się rozgrzewał.

Czary. Oczywiście.

– Nie rozumiem, dlaczego spodziewacie się po mnie, że będę współpracował. Dlaczego miałbym pomagać wrogom pracodawcy?

Człowiek siedzący na skraju po lewej stronie Else'a rzekł:

– Opowiedz nam o swoim życiu, zanim zaciągnąłeś się do sił Patriarchy idących na pomoc biskupowi Antieux.

Else stłumił ochotę na sprzeczkę. Może nie powinien być w stanie się opierać. Może taki był cel czarów tu stosowanych.

Opowiedział więc ogólnie o dorastaniu w Duarnenii, pomniejszym księstwie krzyżowców na południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Płytkiego, w niewielkiej posiadłości w pobliżu Tusnet, w głębi lądu, na bagnach, gdzie toczyły się nieustające walki między chaldarskimi krzyżowcami z Zakonu Graala a niewiernymi Sheardami z Wielkich Bagien. Wspomniał, jak w wieku piętnastu lat uciekł z domu, a potem błąkał się od jednego nieważnego pracodawcy do innego, ciągle zmierzając na południe. Nie wdawał się w szczegóły. Najemnicy rzadko to robili.

Większą liczbą detali ubarwił opowieść o swej służbie po zaciągnięciu się do sił sponsorowanych przez Bractwo. O tym wszyscy czterej już zapewne wiedzieli niemało.

Przewodniczący zwrócił się do pozostałych:

– Proszę, wyjdźcie. Z nim chciałbym porozmawiać na osobności.

Pomieszczenie opróżniło się tak szybko, że Else podejrzewał, iż wszystko zostało z góry zaplanowane.

Wciąż udawał niezrozumienie. Po prostu następny głupi żołnierz, który nic nie wie. Ale wiedział, że długo to nie podziała. Jego żołnierze próbowali regularnie stosować wobec niego tę taktykę, z równie małym powodzeniem.

Mężczyzna, który został w pomieszczeniu, teraz bacznie mu się przyglądał, tak jak Else jemu. To musi być Ferris Renfrow. Nikt inny nie mógł się znaleźć akurat tu i teraz, nieprawdaż?

Miał koło pięćdziesiątki, wyglądał bardziej na Firaldianina niż człowieka północy. Wszystkie włosy na głowie. Czarne, lekko przyprószone siwizną. Cera jednak matowa, zmęczona. Z małych, brązowych, zmrużonych oczu wyglądała bezustanna podejrzliwość. Usta skrzepły w permanentny dziobek, który pozwalał wnosić, że podejrzewa, iż wszyscy go przez cały czas okłamują. Nos pozbawiony był jakichkolwiek cech szczególnych. Podbródek mocny. Twarz kwadratowa i pomarszczona. Świetne zęby, co było widokiem rzadko spotykanym na chaldarskich ziemiach.

– Opowiedz mi, co się stało w Węźle. Tej nocy, kiedy wasz oddział zaatakował bogon.

– Panie? Co?

– Atak. Nocnego potwora. Ta istota nazywa się bogon.

– Nie ma o czym opowiadać. Przeżyliśmy.

– Uratowałeś oddział.

Else wzruszył ramionami.

– Uratował nas prowincjał Doneto. Ja tylko miałem koszmary. Obudziłem się. Wydawało mi się, że dzieje się coś złego. Obudziłem prowincjała. To wszystko, co zrobiłem. On należy do Kolegium. Po wszystkim miałem napad strasznych skurczów żołądka. On zajął się potworem.

– Niemniej, to nie był twój pierwszy raz. Wszystko wyglądało tak samo w Lesie Estery? W Runch?

Else, choć wstrząśnięty, poradził sobie lepiej, niż oczekiwał. I nawet zdołał zdumieć się wzmianką o Runch. W końcu tam nie objawił się żaden bogon. Nie odezwał się słowem.

Renfrow rzekł:

– Jest tu jakieś powiązanie. Nie wiem jeszcze, na czym polega, ale ostatnie ataki muszą mieć jakiś związek z tym, że pierwszy się nie udał.

– Hę?

– Wiem, kim jesteś, kapitanie Tage. Czekałem na ciebie od miesiący. Zachowywałeś się tak, jak tego po tobie oczekiwano. Ta awantura w Sonsie to było arcydzieło.

– Panie, kompletnie się zgubiłem. Nie rozumiem słowa z tego, co mówisz. – Else podejrzewał jednak, że tamten bynajmniej nie strzela na ślepo. – Kim jesteś, panie?

Inkwizytor pokręcił głową.

Osa Stile. Ten mały bękart nie potrafił utrzymać języka za zębami.

Renfrow musiał być tym człowiekiem, którego Pinkus Ghort skądś pamiętał.

– Możliwe, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się dzieje. Gdybym to ja miał cię wysłać na teren wroga, na pewno bym ci wszystkiego nie powiedział. Najbardziej drażliwe rzeczy zostawiłbym do czasu, aż przeżyjesz i nawiądziesz wszystkie kolejne kontakty.

Z każdą minutą cała rzecz robiła się coraz bardziej niebezpieczna.

– Tak. Po prostu wrzucili cię na głęboką wodę, jak węża się wrzuca do ogniska. Albo wiedzieli z góry, że żar ci nie zaszkodzi, albo chcieli, żebyś się sparzył. O co chodziło? Co ci kazali zrobić?

Else milczał i patrzył na inkwizytora, jakby tamten mówił językami, co czynią derwisze z al-Kobean.

Else nie miał zamiaru demaskować tożsamości Pipera Hechta. Nie mogli dowieść, że nim nie jest.

– Jeżeli wydaje ci się, że dasz radę mnie przetrzymać swym blefem, przypomnę ci, że już się kiedyś spotkaliśmy.

– Nie, panie. Nawet gdybym był tym, za którego mnie bierzesz. Pamiętałbym cię, gdybyśmy się kiedykolwiek spotkali. – Else mówił z całkowitym przekonaniem. Taka była prawda.

– Odnoszę wrażenie, że naprawdę wierzysz w to, co mówisz.

– Nie chodzi o to, w co wierzę. To jest prawda. Kim jesteś? Gdzie niby mieliśmy się spotkać? Nie wydaje mi się, abyś był jednym z tych, którzy na ochotnika zgłaszają się do służby na Wielkich Bagnach.

– Ach, nie. Nie. Muszę się nad tym zastanowić. Brakuje tu jednej strony.

– Przez moment wsłuchiwał się w słowa, które tylko on słyszał.

Else skoncentrował się na ignorowaniu lewego nadgarstka. Swędziało potwornie.

Były tu jakieś czary w robocie... Tak wiele świec. Przez nie w pokoju było ciepło. Zaczął się pocić. I ten zapach płonących świec... Ale w pokoju był też inny zapach, ukryty pod wonią palącego się łożu. Coś jakby perfumy. Pewnie dlatego czuł lekkie zawroty głowy. Ci paskudni ludzie robili coś z nim, żeby był bardziej uległy.

Inkwizytor nie potrafił pojąć, dlaczego Else nie jest bardziej podatny na sugestię. Pewnie wkrótce zacznie się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił jakiegoś groteskowego błędu.

– Ach. Przypominam sobie okoliczności. Masz rację. Nie spotkaliśmy się. Wskazał mi ciebie dżentelmen imieniem er-Rashał al-Dhulquarnen w Pałacu Królów w al-Karn dwa lata temu. Czarodziej powiedział, że wyruszasz z misją która zmieni równowagę sił na wschodzie. Jeżeli ci się uda. Udało się?

Else próbował sobie przypomnieć wszystko, co wiedział na temat Ferrisa Renfrowa, próbując przetrwać to, że ludzie Imperatora Graala wiedzą o jego przybyciu. Czy to sprawka Osy? A może przyszło słówko z al-Karn?

Dlaczego ktoś miałby powiedzieć Osie?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale pozostaję na twojej łasce i niełasce. Nie będę się kłócił.

– Wobec tego nie ma między nami zgody, kapitanie. A jeżeli ty nie jesteś Else Tage z Dreanger, wobec tego Else Tage nie może otrzymać ode mnie pomocy przy swej misji. Ani też Else Tage nie pomoże mi wypełnić mojej misji.

– Co byłąś gotów dla mnie zrobić, gdybym był tym Tagiem? – Żle wymówił własne nazwisko. – Co miałbym zrobić? Zakładając, że gdybym się stąd wydostał, zostałbym ulubioną córką Patriarchy. Albo jakimkolwiek świętym, jaki ci przyjdzie do głowy.

Renfrow powoli zdradzał oznaki irytacji. Nic nie działało.

– Tu jest coś nie w porządku – stwierdził Renfrow. – Nawet jeśli nie jesteś tym człowiekiem, za którego cię uważam, nie powinieneś być w stanie klócić się i stawiać. – Machnął ręką. Dym zawirował wokół jego palców.

Else mruknął pytająco.

– Nie ruszaj się. – Renfrow opuścił pokój.

Dym i to, co oprócz niego wisiało w powietrzu, zepchnęły Else'a w nieświadomość.

Else obudził się z powrotem w dawnym zamknięciu. Miotły nim dreszcze, bolała głowa. Pikus Ghort i Po Prostu Zwyczajnie Joe byli w pobliżu, opiekowali się nim. Joe podał zimną wodę. Ghort położył mu na czole zimny, zmoczony gałgan i wycierał nim twarz Else'a, łagodząc objawy gorączki.

– Co się, u diabła, stało, Pipe? – zapytał.

– Próbowali zmusić mnie do przyznania, że jestem szpiegiem. Użyli jakiegoś narkotyku. Powietrze było nim przesycone jak perfumami.

– Jak mógłbyś być szpiegiem? – oburzył się Po Prostu Zwyczajnie Joe. – Nigdy wcześniej nie byłeś w tej części świata. A jedynym powodem, że się tu znalazłeś, jest to, że cię tu zawlekli.

Else wypił pintę zimnej wody.

– Joe, nie mam pojęcia. Może raczej ich zapytasz. Wiem tylko tyle, że chcieli ze mnie zrobić szpiega. I podali mi narkotyk, żeby sobie ułatwić sprawę. Zanim straciłem przytomność, pamiętam, jak myślałem, że właściwie nie ma znaczenia, czy jestem szpiegiem, póki zechcę im powiedzieć, że jestem. Myślę, że zgłosiłbym się, aby być szpiegiem, skoro mnie wypuścili. Która godzina?

Było południe następnego dnia od chwili, z której Else zachował ostatnie w miarę jasne wspomnienia. Inkwizytorzy przez cały ranek przesłuchiwali więźniów. Zmienił się nastrój przesłuchań. Inkwizytorzy chcieli, by więźniowie mówili o swych towarzyszach.

– Właśnie byłem na trzecim doprosie – oznajmił Ghort. – Wciąż mi się kręci w głowie. Miałeś rację z tym dymem. Pytali mnie o wszystkich prócz Żelaznego Wieprza. Zdecydowanie czegoś szukają.

Po Prostu Zwyczajnie Joe powiedział:

– Teraz zabrali prowincjała. Lepiej coś zjedz, póki możesz, Pipe. Na wypadek gdyby zobaczyli, że nie śpisz, i zabrali się za twoją dupę.

Ghort zgodził się z nim.

– Mądra rada. Wnioskując z tego, co z tobą wczoraj wyczyniali, zaraz się na ciebie rzuca. A tak na marginesie, o co im chodziło?

– Mówiłem ci. Chcieli, żebyśmy był szpiegiem.

– Jedz – powiedział Joe.

– I wypij więcej wody – dodał Ghort. – Dużo wody.

– Wam też dawali narkotyki? – zapytał Else.

Joe wzruszył ramionami, Ghort zaś odparł.

– Mówiłem ci. Coś było w powietrzu.

Else opisał mężczyznę, który przesłuchiwał go na osobności.

– Wiecie, o którym mówię? To ten, o którym myślałeś, że już go gdzieś wcześniej widziałeś?

– Ten sam. I przypomniałem sobie, gdzie to było. To było sześć lat temu. Byłem nowy w tej robocie. Pracowałem dla księcia Clearenzy. To na północy, u podnóża wzgórz. Nazywają to księstwem, ale tak naprawdę nie jest większe niż rzut kamieniem. Johannes właśnie zbierał się w sobie. Odwracał uwagę ludzi księcia, wysuwając imperialne roszczenia do Firaldii. Clearenza była związana lennem z Imperium Graala, ale tych zobowiązań nikt nie respektował. Książęta byli skoligaceni z patriarchami przed Wzniosłym. Sądziło, że to ich ochroni.

Else zachichotał.

– Najwyraźniej tak się nie stało. Ale jakie to ma dla nas znaczenie?

– Kiedy oddziały Hansela prężyły mięśnie, Łaskawy Trzeci nic nie zrobił. Miał mniej więcej sto lat i zbyt był zajęty umieraniem. Książę postanowił zamknąć bramy i nie wychylać nosa. Wtedy ten facet, który był z nami od jakichś dwu miesięcy, w samym środku nocy poszedł na wartownię. Zabił

strażnika na służbie i otworzył bramę. Mówili, że to nie wyglądało na świadome działanie. Że po prostu chciał podduśnić starego, by ten stracił przytomność. Ale zmiądzzył mu krtań. Okazało się, że zabójcą był człowiek Imperatora Graala. Kazał na siebie mówić Lester Temagat, ale naprawdę nazywał się Ferris Renfrow. Mówili, że zawsze robi takie numery.

– A ty umieściłeś go na swojej czarnej liście?

– Ten strażnik na wartowni to był mój stary. Mój ojciec.

Po Prostu Zwyczajnie Joe wsunął jedzenie w rękę Else'a.

– Musisz jeść, Pipe. Dawaj. Nie bądź dumny. Wkrótce znowu się za ciebie wezmą.

Else jadł. I zastanawiał się nad historią Ghorta. Była ciekawa. Ale czy cokolwiek było w niej prawdziwe?

Godzinę później przysłali po niego imperialni śledczy.

W pokoju przesłuchań znajdował się Osa Stile. Else rzucił mu spojrzenie. Zajął miejsce skazane przez Renfrowa, naprzeciwko stołu.

– Kapitanie, myślę, że znasz tego młodego człowieka.

– To jest męska dziwka biskupa Serifsa. Armand. Przypuszczam, że znalazł sobie nowe łóżko, do którego mógł wskoczyć. Zniknął, kiedy dotarliśmy do Plemienzy.

– Osa jest agentem Imperium Graala. Jednym z naszych najlepszych. Podarował nam go twój władca, Gordimer Lew. Ale o tym już wiesz.

Else nic nie powiedział. Wciąż uśmiechał się niezbyt mądrze i czekał, aż sytuacja sama ukaże mu drogę wyjścia.

– Uparty do końca, co?

– Nie. Już ci mówiłem. Mogę być każdym, kim każesz mi zostać. Bylebym tylko się stąd wydostał. Opowiedz mi o tym kapitanie Tage'u, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy. Jeśli nie umieścisz mnie w miejscu, gdzie będzie ktoś, kto naprawdę go zna.

W oczach śledczego rozgorzała złość. Z jakiegoś względu strasznie mu zależało, aby Else wyznał swoją prawdziwą tożsamość.

Osa Stile uśmiechnął się słabo. Renfrow tego nie widział.

Więc tak. Chłopak mógł należeć do Renfrowa, ale go nie kochał. Dobrze wiedzieć.

Renfrow się odwrócił.

– Powiedz, chłopcze. To jest człowiek, którego znałeś jako kapitana Tage’a z sha-lugów?

– Wygląda trochę jak Tage. Ale strasznie postarzały i zmęczony. Jeżeli to on, nie wiem, jak tego dowieść. Poza tym wydaje się trochę zbyt wysoki.

Zabawne. Osa nie szedł na rękę Renfrowowi. Śledczy patrzył na niego dobre pół minuty. Chłopak nawet nie mrugnął. W głębi duszy był sha-lugiem.

Renfrow wstał i przeszedł się wokół pokoju, jakby rozglądał się za drobnymi stworzonkami nocy, których wedle plotek czarownicy i im podobni używali w charakterze szpiegów. Zrobił dwa pełne okrążenia pokoju, po czym wrócił na miejsce.

– W porządku. Zrobimy to po twojemu. Jesteś dla mnie Else Tage, szpieg Dreanger, ponieważ dzięki temu możesz opuścić swoje więzienie.

Else wciąż siedział w milczeniu. Czekał.

– Ale od tego momentu będziesz również agentem Imperium Graala. Zapewne już niedługo Imperator uwolni prowincjała Doneto. Wychodzi na to, że Patriarcha pojął, że nas nie przeczeka. Sprawy nie układają się po jego myśli. Potrzebuje Doneta dla zapewnienia sobie poparcia Kolegium. Rozumiem, że prowincjał zamierza zatrzymać was wszystkich w charakterze straży przybocznej. Mając ciebie blisko niego, Imperator będzie miał kogoś tuż obok jednego z najbliższych ludzi Patriarchy.

Else nic nie powiedział.

– Więc?

– A jeżeli odmówię?

– Wówczas nigdy nie opuścisz pałacu Dimmel. Nigdy na nic się nie przydasz swoim dreangerskim panom.

Else jęknął, bynajmniej nie zaskoczony.

– Żebyś o nas nie zapomniał, gdy tylko się stąd wydostaniesz, każemy ci podpisać zobowiązanie. Jeżeli nas zawiedziesz, trafi w ręce prowincjała.

Else znowu mruknął coś nieartykułowanego. Potem rzekł:

– Jaka będzie zapłata? Nie zrobię tego tylko dlatego, że mnie zmuszasz.

– Chcesz się stąd wydostać?

– Powiedziałem ci, że będę twoim szpiegiem, byle tylko się stąd wydostać. Kiedy znajdę się na zewnątrz, będę musiał sam o siebie zadbać.

– Prowincjał będzie...

– Będzie mi płacił za służbę u niego. Musi być jakaś równowaga. Robotnikowi należy się co jego. – Czy nie był przypadkiem zbyt sprytny? Choć przysłowie to występowało w wielu religiach, wiadomo było, że w takim sformułowaniu jest ulubionym porzekadłem herezji maysalskiej.

– Nie bądź takim skąpcem, Renfrow – odezwał się Osa Stile. – To nie są twoje pieniądze.

Zaczęli się kłócić. Czy to było tylko przedstawienie? Czy Osa konsekwentnie odwoził Renfrowa od pomysłów związanych z Dreanger, Gordimerem i sha-lugami?

Else, gdyby mógł, poszedłby sobie stąd.

– Bycie więźniem ogranicza zakres wyborów – mruknął.

Ferris Renfrow odwrócił się do niego.

– Tage. Skończyłem z tobą. Na razie. Wiesz, na czym stoimy. Jeszcze się zobaczymy. Przygotuj się do zaciągnięcia na służbę Imperatora Graala. Dobrze płacimy. – Uderzył w gong.

Else upewnił się, że nikt nie podsłuchuje. Potem powiedział prowincjałowi Doneto:

– Próbujać mnie zmusić, żebym dla nich szpiegował ciebie i Kościół.

– Opowiedz wszystko.

Else nie opuścił właściwie nic prócz nalegań Renfrowa, by się przyznał, że jest Else'em Tagiem.

– Oto, co zrobimy. Pójdiesz do nich i się zgodzisz. Załatwię ci pracę poza moją bezpośrednią świątą. Będziesz współpracował. Zdobywał sobie ich zaufanie. A któregoś dnia to wykorzystamy.

– Oczywiście. – Taki był też jego plan. Lepiej jednak, że Doneto sam go ujął w słowa. Na tym po części polegało zdobywanie zaufania.

– Opowiadaj kłamstwa – kontynuował prowincjał. – Pewien jestem, że pozostali też otrzymali podobne oferty od tego diabła Renfrowa. A służba u Imperatora może dla pewnego rodzaju ludzi okazać się dość atrakcyjna.

– Renfrow? – zapytał Else.

– Ferris Renfrow to ten człowiek, który próbuje cię zwerbować. Jest jednym z ulubieńców Johannesesa. Nisko urodzony, ale mimo to obecnie jeden z najpotężniejszych ludzi w Imperium Graala.

Else dołączył do Pinkusa Ghorta, Bo Biogny i Po Prostu Zwyczajnie Joego. Zajmowali się serem i kiełbasą więc nie bardzo mogli mówić. W końcu Biogna zapytał:

– Lepiej się już czujesz, Pipe?

– Trochę. Wydaje mi się, że tym razem nie podali mi narkotyku. Jestem głodny. Dajcie mi trochę tego sera. – Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy salami z pewnością zrobiono z wieprzowiny. – I daj mi jedną z tych parówek, które tam chowasz, Pinkus. – To również będzie wieprzowina. Ale soczysta i smaczna, i będzie jedyną rzeczą, za którą zatęskni, gdy uwięzienie dobiegnie końca.

Ghort zmarszczył brwi i zapytał:

– O czym gadałeś z prowincjałem?

– Pocięzałem go. Imperialni chcą mnie zwerbować do udziału w kampanii, której celem jest egzekucja praw Imperatora w miastach rzekomo jemu przynależnych. Bo. Joe. Czy któryś z was powiedział o mnie coś dobrego? Najwyraźniej sądzą, że mogą mi powierzyć cały batalion.

– Cholera. – Ghort wydawał się niezadowolony. – A już myślałem, żeby ci dać jeszcze jedną parówkę.

– Co?

– Jestem zazdrosny. Mnie nie zaproponowali nic takiego. A jestem równie dobry w tej robocie jak ty.

– Lepszy. Z moich chłopców tylko trzech zostało w jednym kawałku. A wśród nich tylko muł jest wart dwu martwych much.

– Ale to jest naprawdę specjalny muł – dodał Bo Biogna.

– Hej! – warknął Joe. – Nie żartuj sobie.

– Uspokój się, Joe – mitygował go Ghort. – Wszyscy wiemy, że Żelazny Wieprz jest najlepszym żołnierzem.

– A więc czego od ciebie chcieli, Pinkus? – zapytał Else. Zastanawiał się, czy Ghort po raz drugi opowie tę samą historię.

– Głównie, żeby trzymał się prowincjała i donosił na Kościół. To samo, co pewnie każdemu proponowali.

– Mnie nie – oznajmił Joe. – Nigdy niczego mi nie proponowali, ani razu nawet o nic nie spytali.

– Mnie też nie – mruknął Biogna. – Historia mojego życia w pigułce. A ja bym to zrobił. Podwójna zapłata. Jeżeli nie jestem dobry dla żadnej ze stron, niech się chociaż wzbogacę, sprzedając jednych drugim.

– Prawdopodobnie zdali sobie z tego sprawę, Bo. Pewnie byłeś zbyt nachalny – zapewnił go Else.

– No. Czasami nie jestem zbyt lotny.

Za dnia każdy z więźniów spędzał po kilka minut z inkwizytorami. Sześciu spośród pierwszej dwunastki nie wróciło. Żołnierze Imperium przyszli po ich dobytek. Jak zawsze, nie mieli zamiaru nic mówić.

– Coś się dzieje – oznajmił Ghort, nie mogąc się oprzeć pokusie konstatowania rzeczy oczywistych.

– A jeszcze nie zabrali ciebie, mnie, Bo, Joego i prowincjała – mruknął Else.

– Nie zapominaj o Żelaznym Wieprzu.

– Nie zapomniałem. Ale oni zapomnieli. Zwróćcie uwagę, ani razu nie był przesłuchiwany.

– Powinniśmy się poskarżyć.

– Ty pierwszy.

Po Prostu Zwyczajnie Joe był następnym, po którego przyszli. Wrócił po dziesięciu minutach, szczerząc się od ucha do ucha.

– Zrobiłem to, Pipe. Zrobiłem im dziewięć piekieł na temat tego, że nie chcą uszanować Żelaznego Wieprza w taki sposób jak resztę nas, żołnierzy.

– To ci się udało, Joe – rzekł Ghort. – Mam zamiar też zrobić tak samo. Pipe, myślę, że niedługo stąd wyjdziemy. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu. Chłopcy, co nie wracają, zaciągnęli się do Johannaesa.

Tylko Bronte Doneto pozostał w celi, czekając na wezwanie, gdy przyszli ostatni raz po Else'a.

Else wiercił się i skręcał, było mu niewygodnie i swędziało go okropnie w źle dopasowanym galowym stroju. Musiał go wdziać, ponieważ był częścią świty towarzyszącej Bronte'owi Donetowi na audyencji u Imperatora Graala.

Pinkus Ghort wciąż mu powtarzał:

– A nie mówiłem.

Prowincjał Doneto nie był szczególnie uszczęśliwiony. Prócz Ghorta i Else'a nie miał nikogo innego. A we własnym mniemaniu zasługiwał na orszak. Był księciem Kościoła. Kuzynem Patriarchy. Wśród swych przodków miał patriarchów, mimo że Kościół nakazywał księżom celibat.

– Powinniśmy przyprowadzić Żelaznego Wieprza – powiedział Ghort. – Moglibyśmy go ubrać równie paskudnie i nie byłoby różnicy.

Else drapał się i wiercił.

– Żelaznemu Wieprzowi nie byłoby mniej wygodnie niż mnie. A z pewnością nie czułby się aż takim idiotą.

Doneto się uśmiechnął, ale błysk białych zębów trwał tylko chwilę. Natychmiast zwyciężył w nim książę Kościoła. Czoło prowincjała pokrył cień, górę wzięła niecierpliwość wobec niewyszukanego dowcipu.

Hrabiowie Plemienzy byli ongiś bogaci. Wszędzie widać było ślady po tym bogactwie, choć obecnie sami Truncellowie nie mieszkali już w pałacu Dimmel i ich status został do tego stopnia umniejszony, iż nie mogli sobie pozwolić na służbę liczniejszą niż czterdzieści osób.

Przedpokoje, w których czekała cała trójka, pyszniły się wyściełanymi jedwabiem meblami, olejnymi portretami wielkich antenatów rodziny Truncellich, popiersiami, które sprawiały wrażenie, jakby pochodziły z czasów starożytnych i gobelinami z ubiegłego wieku, przedstawiającymi bitwy między chaldarskimi krzyżowcami i pramańskimi wojownikami.

Zauważywszy zainteresowanie Else'a, prowincjał powiedział:

– To pewnie będzie bitwa przy Studni Pamięci. Mój przodek tam zginął.

– Ach! – Faktycznie, gdyby przyjrzał się bliżej sztandarom uwiecznionym na gobelinie, sam by się zorientował.

Sha-lugowie nazywali ją bitwą czterech armii i wspominali jako wydarzenie hańbiące, podczas którego pramanie walczyli z pramanami, a Arnhandowie wspomagali słabszą stronę. W owym czasie kaifat Kasr al-Zed i kaifat al-Minfet walczyły o kontrolę nad wschodnimi trasami wiodącymi do Studni Ihrian. Lucidianie wsparli państwa krzyżowców. Po stronie sha-lugów były się rozmaite pomocnicze oddziały, rekrutowane z plemion Ishoti z Peqaa.

Do bitwy wcale nie doszło pod Studnią Pamięci. Takim mianem określili ją ludzie zachodu, ponieważ każda ze stron bardzo chciała dotrzeć do Studni, zanim uczyni to druga. Niezaplanowany bój rozpętał się na wschodnich krańcach Równiny Sądu. Przez szaleńczo fanatycznych Ishotów sytuacja wkrótce się zmieniła w kompletny chaos. Obie strony rzucały w bój kolejnych żołnierzy. Rzeź o epickich iście rozmiarach trwała do czasu, aż kapryśni Ishoti znienacka stracili żądzę krwi i uciekli.

Bitwa ta była najbardziej krwawą odsłoną długich zmagania o kontrolę nad Ziemią Świętą. A nie przyniosła właściwie żadnych rozstrzygnięć.

Rok później sha-lugowie i krzyżowcy połączyli siły, żeby wygnać Lucidian z tych niewielkich przyczółków, jakie zajęli w następstwie bitwy czterech armii.

W Ziemi Świątej sojusze były ulotne jak twory imaginacji, a nadto zdradzieckie i krótkowzroczne.

– Lud Pipe’a był jeszcze pogański, kiedy zdarzył się ten pierdolec – powiedział Pinkus Ghort.

Pojawił się jakiś majordomus.

– Jego Cesarska Mość przyjmie panów. – Skłonił się nieznacznie przed prowincjałem.

– Przedstawienie czas zacząć. – Ghort zaczął poprawiać na sobie odzienie. On i Else ruszyli za prowincjałem, po obu stronach, dwa kroki z tyłu.

Komnata audiencyjna nie była szczególnie imponująca. Pomieszczenie piętnaście stóp na dwadzieścia parę. Jedynym meblem był ciężki drewniany fotel. Zajmował go smagły, brzydki człowieczek. Odziany tak, jakby zamierzał się udać na polowanie, gdy tylko dopełni niemiłego obowiązku. To był Hansel, Johannes Czarne Buty, Imperator Graala, Elektor z Kretien i bicz na zwolenników Wzniosłego V.

Imperator miał na nogach czarne buty. Oczywiście.

Else zakwalifikował go od razu jako człowieka zdecydowanego dorosnąć do reputacji przypisywanej mu przez opowieści innych. Lubił, gdy widziano w nim Małego Złego Hansa.

W pomieszczeniu tłoczyło się jakieś dwadzieścioro ludzi, głównie mężczyźni z tarczami i włóczniami. Stali pod ścianami. Garstka nieuzbrojonych otaczała Imperatora. Troje z nich wyglądało na dzieci Johanna. Dwie atrakcyjne młode kobiety oraz chudy, blady chłopiec. Pozostali, nachyleni nad Johannesem, z pewnością byli jego najbliższymi doradcami.

Należało im się bacznie przyjrzeć. Zwłaszcza temu obok Ferrisa Renfrowa. Ale Else nie potrafił się skoncentrować. Całą jego uwagę przykuła kobieta, która musiała być młodszą córką Imperatora, Hespeth.

Dziwne, ale wrażenie było chyba obopólne, na dodatek wręcz elektryzujące.

Else siłą oderwał od niej wzrok. W tym miejscu mogły się zdarzyć rzeczy zupełnie decydujące. Książę Kościoła spotykał się z najpotężniejszym panem zachodu. Niewykluczone, że właśnie przyszłość przyoblekała się w jakiś kształt. Ten paskudny mały człowieczek, Johannes Ege, spędzał ludziom sen z powiek tak samo jak nadmiernie pewny siebie Wzniosły V.

Następne lata życia Else miał wieść – jak wierzył – w bezpośredniej bliskości spraw Kościoła i tych ludzi.

Ale spojrzenie jak zaczarowane wracało ku Hespeth.

Dziewczyna była jeszcze na tyle młoda, że mogło jej ujść na sucho wgapianie się w niego.

Hespeth Ege była o dłoń wyższa od ojca. Szczupła, wręcz chuda według norm obowiązujących i w Firaldii, i w Dreanger. Idealna kobieta winna mieć więcej ciała, więcej krągłości. Hespeth była zbyt smukła nawet na upodobania jej własnego ludu. W Imperium Graala, szczególnie na północy, kobiety miały mieć biodra i mięśnie, aby mogły rodzić dzieci, nie odrywając się od pług.

Rysy twarzy Hespeth wskazywały na egzotycznych przodków. Oczy miała wielkie i ciemne. Włosy niemalże orientalnie czarne. Spływały do talii prostym, pojedynczym warkoczem. Szerokie usta i nazbyt wydatne wargi. Nos jednak mały i spiczasty. Do całości kompleksji pasowałyby pewnie piegi. Jednak światła nie było dość, aby to stwierdzić, nie widać było nawet, jakiego właściwie koloru ma oczy.

Wyjąwszy urodę, w każdym calu wyglądała na córkę swego ojca. To oznaczało, że jej starsza siostra Katrin musiała się wdać w matkę.

Obie siostry były smukłe i wysokie, ale na tym podobieństwa się kończyły. Włosy Katrin były koloru blond, prawie białe. Oczy małe, przymrużone, z pozoru barwy lodowatego błękitu. Można było stąd wnosić, że ma paskudny charakter. Usta zaciśnięte w surową kreskę, wargi wąskie i pozbawione właściwie koloru. Od pierwszego wejrzenia Else mógł stwierdzić, że Katrin Ege nieszczerze przepada za światem, i podejrzewał, że przy bliższym poznaniu świat odpłacał jej tym samym. Ubiór Katrin sugerował surową, mało elastyczną osobowość. Jakość stroju jak najbardziej odpowiadała jej społecznej pozycji, ale barwy były pozbawione wyrazu: biel i bardzo blade, rozmyte i mgliste niebieskozielone. Mogłaby uchodzić za poniekąd egzotyczną episkopalaną zakonnice.

Spojrzenie Katrin przesunęło się po postaci Else'a niczym reflektor zimy, po czym spoczęło zawieszony w przestrzeni. I tak trwało.

Inaczej było z Hespeth. Dziewczyna próbowała się skupić na siedzącym obok ojcu, ale jej wzrok co chwila to przyciągał Else.

W dalszej kolejności Tage zauważył, że młodszą córkę natura pobłogosławiła większymi piersiami. Przynajmniej z pozoru. Moda

imperialna nie schlebiała kobietom pod tym względem.

Else nie potrafił pojąć, dlaczego dziewczyna wywarła na nim tak wielkie wrażenie. Przecież w istocie była dopiero dziewczynką. A on był żonaty, miał rodzinne zobowiązania.

Poza tym Hespeth Ege była córką Imperatora.

Atmosfera panująca w tym kraju niewiernych musiała go porazić zapaleniem mózgu. Nie miał prawa nawet zauważyć jej istnienia w roli innej niż ozdoby dworu Imperatora Graala.

Rozmowa Bronte'a Doneta z Imperatorem Johannesem przebiegała zgodnie z oczekiwaniami. Wymieniono zdawkowe komunały. Nikt nie wypowiedział nawet jednego słowa prawdy.

Panowania nad sobą Donetoomalże nie stracił w momencie, gdy się dowiedział, że Patriarcha wciąż nie zdecydował się wpłacić za niego okupu.

– Wzniosły w zasadzie się zgadza – wyjaśnił Johannes. – Ale jeszcze nie uwolnił żadnych środków finansowych. Gdyby tak zrobił, jego starania na rzecz nagięcia Connec do swej woli wiele by straciły. To z mojego punktu widzenia wyjaśnia jego opieszałość.

W ten prosty sposób Hansel uczynił zadość dyplomatycznemu pustosłowiu. Potem podjął:

– Wyciągnąłem cię z nory, ponieważ moi agenci donoszą, że Wzniosły gotów jest stawić czoło rzeczywistości. Że zbiera pieniądze na okup. Sprawia mu to znacznie więcej trudności, niż można by przypuszczać. Większość devediańskich pożyczkodawców nie chce robić interesów z człowiekiem, który próbował ich eksterminować. Dziwne. Poza tym wielu w Brothe wcale nie chce twojego powrotu.

Else się skoncentrował. Osobowości i spory były naczelnym przedmiotem jego zainteresowania. Jeżeli członków Kolegium można, dajmy na to, przekupić, wówczas niewykluczone, że da się w ogóle uniknąć wojny.

Sha-lugowie opiewali w pieśniach chwałę wojny i dokładali wszelkich starań, by się do niej odpowiednio przygotować, ale ponieważ znali ją z autopsji, nie rezygnowali z innych sposobów załatwiania sporów.

Bronte Doneto odrzekł:

– Każdy człowiek, który w wyniku własnych starań zdobędzie sobie jakąś pozycję, ma wielu wrogów. Zazdrość to najczęściej spotykana ludzka przywara. Sam z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

– Zaiste, jestem tego świadom. Można rzec, że zazdrość o Kościół spoczywa u podstaw mojego konfliktu z Patriarchą.

Imperator Graala żartował. Trzymał Wzniosłego V krótko.

– A więc zaprosiłem cię na pokoje jako mego gościa, póki ci, którzy cię kochają, nie odkupią twojego głosu w Kolegium.

Doneto z trudem zmilczał.

Else przyglądał się Johannesowi i jego doradcom. Imperator nie tylko był mały i brzydki, miał też lekki garb. Nietrudno było dostrzec, dlaczego niektórzy nie traktowali go poważnie. Może inni elektorzy imperialni liczyli na to, że cielesne wady wyraźnie wskazują, iż wcześniej czy później usunięcie go będzie wyglądać naturalnie.

Rysy twarzy Hansela miały jeszcze silniej zaznaczony orientalny charakter niż u jego córki. Jedno z barbarzyńskich plemion, które zniszczyły Stare Imperium, musiało obozować pod drzewem genealogicznym rodziny Ege'ów.

Johannes jak dotąd uczynił z siebie najpotężniejszego Imperatora Graala. Gdyby w Brothe nie rezydował człowiek o równie silnej osobowości, Imperium zapewne połknęłoby już setkę państw Firaldii. A Patriarchat stałby się tylko przedłużeniem władzy Imperatora Graala.

Ciekawe czasy. Dwóch potężnych ludzi. A każdy z nich chciał być władcą świata, królem królów. Sytuacja znakomita dla synów al-Pramy... póki jeden z nich nie podporządkuje sobie drugiego. Póki walczyli ze sobą ludzie w rodzaju Indali al-Sul al-Halaladyna i Gordimera Lwa mogli oczyścić Ziemię Świętą z państw krzyżowców.

To z kolei podsyciłoby współzawodnictwo między kaifatami Kasr al-Zed i al-Minfet. I obudziło nieodgadnione ambicje cesarzy Rhun. Poza tym był jeszcze Tistimed Złoty i Hu'n-tai At, którzy obecnie czynili piekło na dalekich granicach Cesarstwa Ghargarliceańskiego.

Człowiek stojący obok Johannes'a i Ferrisa Renfrowa był zagadką. Else przyglądał się mu. Tamten wykazywał tak niewiele zainteresowania otoczeniem, że może był tylko ozdobą spotkania.

Helspeth znowu na niego patrzyła tak otwarcie, iż Else zaczął podejrzewać, że Ferris Renfrow nasadził ją tutaj jako sposób odwrócenia jego uwagi.

Nagły dotyk Pinkusa Ghorta zaskoczył Else'a.

– Obudź się! Wychodzimy.

Co? Do tego stopnia pozwolił na rozproszenie uwagi?

Najwyraźniej. A prowincjał nie był zadowolony.

Bronte Doneto przeprowadził się do apartamentów na trzecim piętrze pałacu Dimmel. Jednakże wciąż traktowany był jak więzień. Przydzielono mu trzech służących, z których każdy zapewne donosił Ferrisowi Renfrowowi. Pozwolono zatrzymać Pinkusa Ghorta i Else'a w charakterze ochrony osobistej, ale broni im nie oddano. Nie mieli prawa opuszczać apartamentów, wyjąwszy tylko udział w nabożeństwach w małej kapliczce, w której spotykali tylko tych samych ludzi, których widywali co dnia od czasu zasadzki.

Z tych, którzy przybyli do Plemenzy z Donetem, dziewięciu przyjęło propozycję służby u Imperatora Graala. Dwóch się rozchorowało. Tak więc, nie licząc Ghorta, Else'a, Bo i Joego, tylko trzech pozostało przy prowincjale. Dwaj byli ostatnimi ocalałymi z pierwotnego składu straży przybocznej Doneta. Trzeci, Gitto Boratto z Vangelinu, najwyraźniej był szpiegiem.

Patriarcha wciąż grał na zwłokę. Jego opory przed wysupłaniem pieniędzy zdawały się nie mieć granic. Fundamentalne cele Kościoła cierpiały przez wzgląd na pat decyzyjny w Kolegium.

– Obudź się, Pipe! – krzyknął pewnego ranka Ghort, na długo przed początkiem warty Else'a u boku prowincjała. – Ruszamy. Pieniądze na okup w końcu dotarły.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Tak twierdzi sam szef.

Rychło w czas. Na świecie była już wiosna. Else wymamrotał:

– Przynajmniej udało nam się przeżyć zimę, nie marznąć.

Ghort zachichotał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Else był już chory od widoku Bronte'a Doneta, a w jeszcze większym stopniu od widoku jego samego.

– Być może jednak nie będziesz mnie musiał udusić – przepowiedział.

Else podejrzewał, że mimo wszystkich swoich skarg na każdego, kogo w życiu spotkał, Pinkus Ghort miał w istocie żelazne nerwy, których nie mógł stargać nawet bezterminowy pobyt w tym samym towarzystwie.

– Może. Ale na twoim miejscu dalej bym uważał. Co się stało? Skąd ta nagła zmiana sytuacji?

– Piraci.

– Co? Chcesz oberwać w łeb? Co znaczą te tajemnicze odpowiedzi?

– Znaczą, co powiedziałem. Nagle wszędzie pełno piratów z Calziru. Najechali oba wybrzeża. Pewien jestem, że ktoś wie, dlaczego się tak stało. Ale ja wiem tylko, że od najazdów ucierpiał głównie Kościół i posiadłości rodziny Benedoctów.

Piractwo było od wieków ulubionym sportem calzirskich praman. Bywały czasy, kiedy bukanierka oferowała lepsze perspektywy życiowe niż jakikolwiek inny zawód. Przynajmniej zanim powstały firaldiańskie republiki handlowe. Ich obywatele, zagorzali kapitaliści, mniej byli skłonni do przebaczenia niż słabi hrabiowie, książęta i królowie. Eksterminacją pirackich wiosek zajmowali się z ich ramienia ludzie bezwzględni, okrutni i skrupulatni.

Tyle też Else powiedział.

– Przecież nie mogą być tak głupi. Czy nie?

– Mnie pytasz? Ja wiem tylko, że wreszcie stąd wyjeżdżamy. Jak chcesz się kłócić o sprawy ogólne, znajdź prowincjała. Albo Patriarchę, kiedy się z nim następny raz zobaczysz. Czy też tych szaleńców z Calziru.

– Dobra, dobra. Po prostu nie potrafię przejść do porządku nad bezgraniczną ludzką zdolnością do podejmowania głupich decyzji. – Jak to możliwe, że Calziranie do tego stopnia przestali się liczyć z rzeczywistością? Wzniosły szukał pretekstu, by ogłosić kru – cjatę. Czy wydawało im się, że Sonsa, Dateon i Aparion będą udawały, że nic się nie stało? Diabła tam. Może faktycznie będą. Devediańskie powstanie wywołane przez Bractwo Wojny i prowokatorów Patriarchy mogło skłonić republiki do wycofania parasola ochronnego nad terytoriami nie będącymi pod ich bezpośrednim protektoratem.

– Wiesz skąd byli najeźdźcy? Tylko patriarchalne państwa oberwały? – zapytał Else

Ghort wzruszył ramionami.

– Nie proszą mnie na żadne narady, Pipe. Powiedzieli mi, żebym zwlókł twoją dupę z łóżka i przygotował się na wycieczkę. Prawdziwą wycieczkę, ponieważ nie otrzymamy z powrotem naszych koni. A więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, do roboty. Ja uruchomię Żelaznego Wieprza i chłopaków.

Opuszczali Plemenę dość żalną gromadką. Wciąż anonimowy kapitan Braunsknechtów przyglądał im się od bramy, jakby chciał mieć pewność,

że naprawdę odeszli.

Było ich siedmiu. Prowincjał, Else i Ghort. Bo Biogna i Po Prostu Zwyczajnie Joe. Oraz Bergos Delmareal i Gadjeu Tifft. Szpieg, który chciał się przyłączyć do Doneta, Gitto Boratto, okazał się zbyt chory, żeby ruszać w drogę. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Boratto dostał biegunki po południu na dzień przed tym, nim nadszedł okup. Bo twierdził, że kłopoty Boratta były skutkiem bogatej diety, stanowiącej odpłatę za szpiegowskie przysługi.

A więc na Delmarealu i Tiffcie można było polegać. Delmareal był wygnańcem z jednego z pomniejszych królestw chaldarskich w Direcii, wchłoniętego przez Piotra z Navai wkrótce po wstąpieniu na tron. Delmareal nie miał najmniejszego zamiaru wracać do domu.

Gadjeu Tifft pochodził z Croizatu, maleńkiego państewka na wybrzeżu creveldiańskim, po drugiej stronie wąskiego morza Vieran, na wschód od Firaldii. Szczegóły opowiadanej przez niego historii życia zmieniały się za każdym razem. Ludzie niekiedy w impulsywnej młodości robili głupie rzeczy.

Tifft nie wydawał się na tyle bystry, by być agentem Rhun, niemniej Croizat i cała Creveldia należały do Cesarstwa Wschodu.

Nieważne. Na brzegach Morza Ojczystego roiło się od wygnańców, którzy sami nie rozumiejąc dlaczego, znaleźli się z dala od wszystkich i wszystkiego, co znali. Głównym ich zajęciem była służba u jednego z watażków.

Rozmaici Donetowie tylko na nich czekali.

Prowincjał był już w dobrym zdrowiu, spieszyło mu się do domu. Narzucił ostre tempo, ograniczane tylko truchtem Żelaznego Wieprza. A muł też chciał jak najszybciej zostawić Plemenę za sobą.

Pinkus Ghort zaczął narzekać, zanim minęła połowa pierwszego dnia marszu.

– Super, że zadbaliśmy, by utrzymać się w dobrej formie, co? Teraz nam się to opłaca. – Jednym z kilku więźniów, którzy pracowali nad kondycją fizyczną, był Else. Ghort do nich nie należał.

Nawet prowincjał musiał iść. Być może Hansel doszedł do wniosku, że w ten sposób utemperuje trochę jego przyrodzoną arogancję-

Para starych osłów pomagała Żelaznemu Wieprzowi transportować ekwipunek dla wszystkich.

Doneto już układał plany na przyszłość. Mówił do Else'a:

– Gdy tylko dotrzemy do Brothe, zanim ktoś cię ze mną zobaczy, umieszczę cię u Dracona Arnieny. Przyjmie cię, ponieważ choć publicznie sprzeciwia się Wzniosłemu, potajemnie jest naszym sprzymierzeńcem.

Doneto aż się palił z niecierpliwości, by się pogrążyć w politycznych sporach Brothe.

Andorayanie w Brothe

Shagot i Svavar żyli z kradzieży i gwałtu, zanim się nauczyli na tyle po firaldiańsku, by radzić sobie inaczej. Wtedy rozpoczęła się ich kariera w szeregach osiłków do wynajęcia. Zaczęli jako bramkarze w jednej z bardziej niespokojnych nabrzeżnych tawern Brothe, potem stali się wszechstronnymi rzeźnikami, pracującymi na rzecz kupców, którym znudziło się płacenie za ochronę gangom nie potrafiącym ich ochronić przed innymi gangami wymuszającymi haracz.

Wykazali się niezwykłymi umiejętnościami przetrwania. Ich zimna krew onieśmiewała bardziej zatwardziały kryminalistów Brothe. Nie dłużej niż kilka miesięcy zabrało im przekonanie przesądnego podziemia, że nie da się im nic zrobić, oni natomiast radośnie zmasakrują każdego, kto tylko pomyśli o wejściu im w drogę.

Shagot się nauczył, że głowa potwora w połączeniu z bronią odzyskaną ze starego pola bitwy w Białych Wzgórzach czynią jego i Svavara nietykalnymi. Nie pojmował tylko dlaczego. Ale nie obchodziło go to. Wystarczało mu, że wykonuje dzieło bogów.

Bracia nie mieli żadnych trudności z przedziergnięciem się w zimnokrwistych morderców, ponieważ znaleźli się tak daleko od własnych czasów, że współczesnych ludzi nie postrzegali jako w pełni ludzkich.

To było jak rzeź kurczaków. Kiedy Shagot nie zasypiał. A potrafił spać po szesnaście godzin dziennie.

Ich dokonania zwróciły uwagę ojca Sylvie Obiladego, który zajmował szczególną pozycję w poczcie rodziny Bruglionich. Bruglioniowie byli jedną z Pięciu Rodzin Brothe, a poza tym – zadawnionymi wrogami

Benedocta. Ojciec Obilade wyjaśnił braciom, że mogą liczyć na łatwiejsze i bardziej zyskowne życie, jeśli oddadzą swe talenty w służbę Bruglionim.

Shagot miał w sercu tylko pogardę dla ojca Obiladego.

– Ci chaldarscy kapłani to tylko śliska gładka – zapewniał Svavara. – Chciałbym zobaczyć, jak znajdą się na łasce Starych Bogów. Zwłaszcza ci głównogłowi kapłani z Brothe. Nie interesuje ich nic prócz utrzymania władzy. Ich wrzaski będą muzyką dla moich uszu.

Svavar nie odpowiedział. Ostatnio rzadko się odzywał. Robił, co mu Shagot kazał, obojętne jak było to krwawe, szalone i okrutne, a równocześnie trwał w przekonaniu, że został zwolniony ze zobowiązań wobec swych bogów.

Największą przeszkodą dla braci była narkolepsja Shagota. Pogarszała się niemal z każdym dniem.

Sylvie Obilade nie był z urodzenia członkiem rodziny Bruglionich. Był przyjacielem z dzieciństwa Sonerala Bruglioniego, który dziś byłby głową rodziny, gdyby podczas dyplomatycznych zabiegów poprzedzających wybór Honaria Benedocta, jakimś cudem nie udało mu się połknąć śmiertelnej dawki trucizny. Nieugiętą lojalnością kapłana cieszył się teraz brat Sonerala, Paludan.

Paludan Bruglioni kipiał złością i nienawiścią. Całe jego życie obracało się wokół tych dwóch uczuć. W Brothe wszyscy uważali, że ojciec Obilade nie robi nic, by hamować mroczne obsesje Paludana. W rzeczy samej, zapewne podsycił jeszcze jego pogardę w stosunku do zwolenników Patriarchy Benedocta.

Sylvie Obilade starał się być dobrym księdzem. Ale już od lat zmagał się z kryzysem wiary.

Shagot i Svavar weszli do małego, wilgotnego pokoiku ojca Obiladego. Zapach pleśni i grzyba był wręcz przytłaczający. W kątach poniewierały się fragmenty ubiorów, wilgotne i gnijące – nigdy nie przywdziane podarunki.

Kapłan nosił tylko wciąż ten sam brudny, obszarpany chałat. Spowijała go równie dojmująca woń niemytego ciała.

– Dziękuję, że zechcieliście przyjść. – Głos miał ochrypły; gardło na trwałe zniszczyły zarodniki pleśni w powietrzu.

Shagot wymienił spojrzenia z bratem. Ten obszarpany szkielet był jednym z najpotężniejszych ludzi w Brothe. I tylko dlatego Shagot zgodził się na propozycję kapłana.

Z wysokości zawsze rozciąga się lepszy widok. Shagot uważał, że znalazłszy się odpowiednio wysoko, będzie w stanie dostrzec człowieka, którego szukali.

Ojciec Obilade wchodził właśnie w pięćdziesiąty rok życia, ale żywot spędzony na samoumartwianiu nadawał mu wygląd siedemdziesięciolatka. Jadł tylko przaśny chleb i nie pił nic prócz wody. W święta fundował sobie ścisły post.

Shagot uznał go za wariata.

– Powiedziałeś, że twój szef dobrze zapłaci – zagrział. – Dlatego przyszedliśmy.

– Znalazłeś może coś na człowieka, którego szukamy? – zapytał Svavar.

Kapłan natychmiast się zmieszał.

– Och, tajemniczy człowiek orientu. Nie. Jeszcze nie. Ale Brothe jest wielkie, a poszukiwania dla nikogo oprócz was nic nie znaczą. Poza tym dopiero się zaczęły.

Shagot wydał z gardła nieartykułowany odgłos, dręczony obcą potrzebą rezydującą w jego duszy. Zdławił ją.

– Masz dla nas robotę czy nie?

Mały śmierzący starzec drgnął. Miał moralne opory przed tym, co mu kazano zaaranżować.

Grimssonowie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że zostali zatrudnieni, ponieważ rodzina Bruglionich mogła się ich wyprzeć. I ponieważ można było ich wykorzystać w rozwijającej się intrydze, w której możliwość wyparcia się sprawców odgrywała szczególnie ważną rolę.

Ojciec Obilade całe życie sam siebie oszukiwał. Ale nie był głupi – Wiedział, że Paludan Bruglioni nie chce wykorzystać tych cudzoziemców wyłącznie na chwałę Boga. Niewykluczone jednak wydawało mu się, że to, co wyjdzie na korzyść Bruglionim, przysłuży się również Bogu. A za rzecznika takiej właśnie misji na co dzień ojciec Obilade się uważał – wplatać wszystkie chwile w wielki dywan Boskiego planu.

Stąd tylko drobny krok intelektualny do przekonania, że cokolwiek się czyni, jest to częścią Boskiego planu. Usprawiedliwienie niegodziwości nie zna żadnych intelektualnych ograniczeń.

– Tu śmierdzi, starcze – zauważył Shagot. – Dlaczego nie wyrzucisz tego gówna? – Zanim ojciec Obilade zdołał odpowiedzieć, dodał: – Czego chcesz? Obudziłeś mnie. A więc do rzeczy.

– Patriarcha próbuje wzmocnić swoją pozycję w Kolegium, tworząc nowe stanowiska prowincjałów, pod pozorem przyznawania zaszczytów nieugiętym obrońcom wiary.

Shagot parsknął. Nie rozumiał polityki episkopalnej.

– Wzniosły zamierza nominować trzech ludzi o całkowicie z pozoru rozbieżnych poglądach: jednego wroga, jednego sprzymierzeńca i jednego niezainteresowanego cudzoziemca, który zapewne nie obejmie stanowiska. A stanowiska nie mają mieć trwałego charakteru. – Większość prowincjałów służyła wyłącznie we własnym imieniu. Ale Pięć Rodzin zgodziło się, aby zawsze było tak, iż każdy klan piastuje przez cały czas przynajmniej jedną funkcję. Żeby zostać wybranym Patriarchą trzeba było być prowincjałem. – Tytuł do niej wygaśnie w chwili, gdy piastujące ją osoby otrzymają nagrodę w niebie.

Shagot znowu parsknął.

– Czemu miałyby mnie interesować to gównno?

– Rodrigo Cologni w tajemnicy porozumiał się ze Wzniosłym. Po confirmacji zmieni strony i będzie popierał stronnictwo Wzniosłego w zamian za zamki i posiadłości, które będzie mógł przekazać dzieciom.

Skazani rzekomo na celibat księza bywali ojcami w całkiem dosłownym sensie. I jakoś nie potrafili się przyznać do tej hipokryzji.

– Kiedy nominacje zostaną zatwierdzone, a Bronte Doneto powróci, Wzniosły będzie dysponował w Kolegium przewagą trzech głosów. Ale plany Wzniosłego nie leżą w dobrze pojętym interesie Kościoła. Dlatego też...

Shagot podejrzewał, że Bóg chaldaran jest na tyle stary, by się samemu o siebie zatroszczyć.

– Chcesz, żebyśmy kogoś zabili.

– Brutalnie powiedziane, ale tak. Chociaż nie jest to takie proste. Jeśli Rodrigo Cologni zostanie zamordowany, rozpęta się wrzawa. Ślady nie mogą prowadzić do Bruglionich.

Shagot nie był szczególnie inteligentnym, ale chytrym łotrem. Natychmiast wszystko ułożyło mu się w głowie.

On i Svavar zabiją Rodriga Cologniego, a potem, zanim zostaną aresztowani i przesłuchani, dzielni zbrojni domu Bruglionich przybywający za późno na miejsce zbrodni zabiją ich, rzekomo próbując uratować Cologniego. Albo coś w tym rodzaju.

– Ile mamy czasu na przygotowania?
– To się musi stać w ciągu najbliższych dwudziestu dni. Przed powrotem Bronte’a Doneta.

– Prześlę się z tym. Zorientuję się w sytuacji. Masz kogoś w domu Colognich? – Shagot uznał za prawdopodobne, że wszystkie Pięć Rodzin ma szpiegów w domach konkurencji.

Ojciec Obilade był zirytowany. Ci cudzoziemcy byli zdecydowanie zbyt bystry. Ale trzeba pracować z takimi narzędziami, jakie są pod ręką.

– O co chodzi? – zapytał kapłan.

– Musimy znać obyczaje ofiary. Jego plany. Nie możemy tak po prostu iść po niego do posiadłości Colognich.

– Dostęp do ofiary nie powinien nastęrczać problemów. Rodrigo Cologni jest wielkim lubieżnikiem. Postanowił zaznać tylu kobiet, ile się da, zanim będzie za późno, by się gzić z następną. Przynajmniej trzy noce w tygodniu spędza na poszukiwaniu nowych kokot.

– Dobrze. Dobrze. To ułatwia sprawę. – Rodrigo nie zachowywał się szczególnie mądrze. Znacznie prościej kazać sprowadzać kobiety do siebie.
– Ilu ludzi bierze ze sobą?

– Od wielu pokoleń nie było wojny między Rodzinami. Pięć Rodzin nie chce powtarzać wybryków przeszłości. Więc Rodrigo musi się przejmować tylko rabusiami. Będzie miał czterech ochroniarzy. I pewnie kilku przyjaciół. Z tych ostatnich nikt nie może zginąć. Ale ochroniarze Rodriga mogą stanowić problem.

– Hmm. Jak powiedziałem, prześlę się z tym. Rozejrzę się. Zobaczę, co uda mi się znaleźć na Rodriga Cologniego. Bądź gotów powiedzieć „tak”, kiedy wymienię cenę.

Kiedy wyszli z nory szalonego kapłana, Svavar zauważył:

– Chcą nas wykorzystać.

– Chcą spróbować nas wykorzystać. Ale nie znają naszego szczęścia. Zabawmy się z nimi trochę. – Inteligentne zło było jedyną przyjemnością, jaka została Shagotowi w życiu.

Tej nocy po snach Shagota spacerował Wędrowiec we własnej osobie.

Ojciec Obilade chciał oczywiście zapłacić po wykonaniu roboty. Shagot zaśmiał się w głos. To było już po tym, jak Svavar spędził dziesiątki godzin na obserwacji Rodriga Cologniego i posiadłości jego rodziny, która,

podobnie jak domy wszystkich Pięciu Rodzin, była fortecą. W dosłownym sensie.

– Skłaniam się do tego, żeby się zgodzić, starcze – oznajmił Shagot. – Myślę sobie, dlaczego kapłan miałby mnie oszukać? Ale mój brat Asgrimmur mówi, że nie spadł przed chwilą z wozu z rzepą. Jest z natury podejrzliwy. Zwłaszcza wobec każdego, kto z własnej Woli mieszka na południu, gdzie honor i słowo mężczyzny traktowane są niedbale. Cóż, to mój brat. Muszę dbać, by był szczęśliwy. Oto więc, co zrobimy: każdy z nas otrzyma teraz trzecią część całej zapłaty, a resztę odbierzemy po wszystkim.

Ojciec Obilade nie doszedł jeszcze do siebie po usłyszeniu ceny wyznaczonej przez Shagota za życie Rodriga Cologniego: sześćset złotych dukatów patriarchalnych.

Nie podobało mu się także żądanie wypłaty z góry dwu trzecich żądanej sumy. Poza tym i tak nie mógł dobić targu. Paludan Bruglioni nie powierzył jego pieczy takiej ilości bilonu.

Paludan miał straszliwe opory przed rozstawaniem się z pieniędzmi, ponieważ obawiał się, że może ich nie odzyskać z powrotem. Mówiono o nim, że tak bardzo dusi dukaty, iż zobrazowany na nich Patriarcha w trakcie podpisywania rachunków piszczy niczym eunuch.

Ojciec Obilade wyznał:

– Nie mogę zawrzeć umowy. Nie mam takich upoważnień. Twoja cena jest... wygórowana, to odpowiednie słowo. Jednak najwięcej kosztuje zawsze najlepszy towar. Spotkajmy się pojutrze wieczorem, o tej samej porze. Ostrzegę Caniglię, że się zjawicie.

– Zjawimy się – obiecał wesoło Shagot. – Z góry się cieszę na widok twoich pieniędzy. – Tak było. Znalazł deva, który zainwestuje je na nadzwyczaj korzystny procent. Nie miał wprawdzie pojęcia, co zrobi ze świeżo nabytym bogactwem, ale nie dbał o to. Cieszył się życiem jak jeszcze nigdy dotąd.

Nie siedzieli beczynnie. Posłał Svavara na przeszpiegi za Rodrigiem.

Ojciec Obilade chciał, żeby atak się odbył na Madhur Plaża, w pobliżu fontanny Basbanesa. Na pytanie dlaczego, kapłan wzruszył ramionami i powiedział, że miejsce to ma szczególne osobiste znaczenie dla Paludana.

Shagot poszedł osobiście obejrzyć plac, a potem wielokrotnie wysyłał tam Svavara, za dnia i po nocy. Miejsce wydawało się idealnie dostosowane do

planów kapłana. W licznych a świetnych kryjówkach mogli się zacząć bohaterscy ratownicy, którzy przyjdą z odsieczą spóźnieni, o zgrozo, zaledwie parę chwil, by ocalić życie Rodriga Cologniego.

Sam Rodrigo zaś aż się prosił, by go ktoś zamordował. Był cał – powicie przewidywalny. Każdego dnia o tej samej porze opuszczał posiadłość Colognich. I ruszał tą samą trasą do tych samych burdeli.

Ojciec Obilade uległ finansowym żądaniom Shagota. Na dwa dni przed planowanym wniebowstąpieniem Rodriga odliczył czterysta dukatów z posiadanych sześciu setek. Shagot zapewnił go:

– Będziemy się stosować do twojego planu póki się da, ale jeśli coś się zdarzy, robimy własne gównno.

Stary kapłan spojrział ponuro.

– Po prostu to zróbcie.

Svavar i Shagot pojawili się na Madhur Plaża kilka godzin przed właściwą chwilą. Przynieśli wszystkie swe trofea i fetysze. Nawet Svavar był w optymistycznym nastroju.

– A to się dupki zdziwią, Grim. A to się dupki zdziwią.

Shagot zachichotał.

– No. Będzie kupa śmiechu z ojca Obiladego i pieprzonego Paludana Bruglioniego, jak też jego chłopca od dupy, Gervase. Dobra. Wtapiamy się w pierdolone tło i niech się przedstawienie zaczyna.

Niczym nie wyróżniali się z tłumu. Brothe ściągało rzesze pielgrzymów ze wszystkich krańców świata. Fontannę Basbanesa chciał obejrzeć każdy. Jej historia była nieomal tak długa jak Stare Imperium Brotheńskie.

Rodrigo Cologni szedł przez plac, kierując się ku miastu, w eskorcie złożonej wyłącznie ze swych ochroniarzy. Shagot i Svavar znów poczuli przypływ optymizmu.

Strażnik miejski napomniiał ich:

– Nie śpimy na placu, panowie.

– Proszę się nie martwić – odparł Shagot znośnym firdiańskim. – Mamy gdzie się zatrzymać na noc. Pracujemy dla Paludana Bruglioniego. – Wyszczrzył zęby i zachichotał. Strażnik z pewnością przypomni sobie później jego słowa.

Svavar też się cicho zaśmiał. Świetnie się bawił. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Wielkiej Fortecy Niebiańskiej cieszył się, że żyje, w części dlatego, że uważał, iż w ten sposób samym bogom również odpłaci.

– Hej – powiedział Shagot. – Musimy zniknąć z widoku. Gang Bruglionich wkrótce pewnie się pokaże.

Schowali się w głębokim cieniu między dwoma budynkami. Svavar zapytał:

– Myślisz, że Bruglionowie sami wykonają robotę, gdybyśmy siedzieli beczynnienie?

Zdrada rozwijała skrzydła. Sny Shagota stanowiły dostateczne potwierdzenie. Ale śniło mu się jeszcze wiele innych rzeczy. Niektórych do tej pory nie rozumiał. Jednak uwaga Svavara zdawała się pasować do sytuacji.

– Świetny pomysł, braciszku. Nie mam pojęcia, co zrobią. A może pozwolimy im samym zdecydować? Rodriga zawsze możemy później gdzieś dopaść.

Czas oczekiwania dłużył się i gnał na przemian. Bywają takie chwile. Svavar miał kłopoty ze stłumieniem chichotów. Wtedy czas przyspieszał. Zwalniał, kiedy trzeźwiali i zastanawiali się nad wszystkim, co może pójść źle.

– Cicho – szepnął Shagot. – Są chłopcy szefa.

Sześciu Firaldian przeszło obok, wyraźnie widocznych w świetle wschodzącego sierpa księżyca. Ukryli się najwyżej kilkanaście jardów od miejsca, gdzie zapadli Shagot i Svavar.

– Poznałeś któregoś? – zapytał Shagot szeptem, którego nie byłoby słychać w odległości pięciu stóp.

– To nie będzie szczęśliwa noc Bruglionich. Na pewno widziałem Gildea i Acata Bruglionich. Z pozostałych jeden wyglądał mi na Saldiego Serenę.

– Wśród nieszczęśników znaleźli się synowie i kuzyni Paludana Bruglioniego.

Pośrodku placu skomplikowana menażeria fontanny Basbanesa pluła, sikała i rzygała. Płynąca woda wydawała usypiające odgłosy, z którymi Shagotowi trudno było walczyć.

Księżyc przesunął się na niebie w miejsce, z którego jego światło nie mogło już zdradzić nikomu obecności Shagota i Svavara w ich kryjówce. Shagot mruknął:

– Zostań tu. Pójdę sprawdzić, czy czego nie usłyszę. – Niosąc głowę z Nawiedzanych Wzgórz, Shagot podkraść się ku miejscu, gdzie czekali jego

niedoszli zabójcy. W jednej chwili leżał płasko na brzuchu kilka cali od wylotu uliczki, w której przyczaili się Bruglionowie.

Tamci zapalczywie się kłócili. Ktoś chciał wiedzieć, dlaczego ci cudzoziemscy idioci jeszcze się nie pokazali. Ktoś inny kazał mu się zamknąć. Jeszcze nie czas. Za piętnaście minut dopiero powinni się zacząć martwić.

Jeden z mniej ważnych Bruglionich się upierał:

– Za czterysta dukatów mógłbym zejść daleko i w dobrym tempie.

– W ciągu tygodnia twoje dziwki zbierałyby twoje kości.

Shagot potrafił być cierpliwy jak głąz, kiedy rozumiał potrzebę. Leżał bez jednego ruchu, słuchając, a minuty mijały. Słuchał, jak gang Bruglionich z każdą chwilą robi się coraz bardziej niespokojny.

Ich bezwolne narzędzia miały już być na miejscu. Nie pokazali się. Czy Paludan po prostu wyrzucił czterysta dukatów w błoto?

Wkrótce minął już czas, w którym tamci spodziewali się, pojawienia Shagota i Svavara przy fontannie, udających parę pijanych cudzoziemców, sprawiających wrażenie, że tylko sami sobie mogą wyrządzić krzywdę. Większość obcych przybywających do miasta była zbyt głupia, żeby sobie zawiązać sznurowadła.

Shagot się odczołgał. Rodrigo powinien wkrótce tu być. Dziwne, ale Cologni rozczarowywał wszystkich. Spóźniał się.

W oddali rozległ się pijacki śpiew.

Rodrigo. I jego ochrona. Jak też kilku pijaków, których przygarnął w trakcie wieczora.

Czegoś takiego Svavar jeszcze w życiu nie widział. Nic mu się nie zgadzało.

– Zdecydowanie uważam, że nie powinniśmy tego dzisiaj robić, Grim. Nie podoba mi się ta sytuacja.

Kumple od kieliszka Rodriga najwyraźniej dobrze się czuli na Madhur Plaża. Zatrzymali się przy fontannie Basbanesa i kręcili wokół niej, póki ochroniarze Rodriga nie zaczęli go ponaglać.

Shagot mruknął:

– Myślę, że będę tak długo tłukł tego kapłana, póki mu jaja nie odpadną.

Svavar dotknął jego ramienia.

– Coś się zaczyna.

Załoga Bruglionich uległa nieodpartemu zewowi własnej głupoty. Rzucili się na towarzystwo na placu.

Tak jak Shagot sądził, pijani nowi przyjaciele wcale nie byli pijani. Ale tymczasem rozluźnili nieco czujność, ponieważ atak nie nadszedł w momencie, gdy go oczekiwali pod fontanną. Z drugiej strony, ochroniarze Rodriga byli podwójnie czujni, ze względu na zwłokę spowodowaną przez rzekomych pijaków.

Kiedy zbiry Bruglionich wybiegły z kryjówki, ochroniarze Cologniego wbili noże w plecy tych, którzy udawali pijanych. Bruglioniowie dobiegli. Błysnęły ostrza. Kilku mężczyzn padło, wśród nich jeden z ochroniarzy. A potem nastąpił zaskakujący drugi atak – z przeciwnego krańca placu nadbiegło kolejnych sześciu mężczyzn. Skutkiem był ogromny zamęt.

Gideo i Acato Bruglioniowie uważali się za wielkich pojedyńkowiczów. Ich reputacja w pełni podtrzymywała wiarę we własne siły.

Ale wiara ta była niewłaściwie ulokowana.

– Co goście, to pieprzeni zawodowcy – powiedział Shagot. Nowa gromadka była bardzo dobra, choć nie na tyle, by zupełnie uniknąć strat.

Szybkość i szaleństwo walki nie dały żadnych szans na ucieczkę zbirom Bruglionich i ochroniarzom Rodriga.

Shagot skinął głową do własnych myśli, kiedy zwycięzcy zabrali nagrodę – Rodriga Cologniego – i swoich rannych. Wśród nich znaleźli się pchnięci nożami w plecy rzekomi pijacy, którzy wciąż żyli, ale nie pożyją długo, jeżeli natychmiast nie otrzymają fachowej pomocy medycznej.

– Czterej porządnie oberwali. Dwaj odnieśli lekkie rany. Gdy tylko znikną z widoku, idziesz za nimi. Musisz się przekonać, kim są i dokąd zmierzają.

Svavar smutno pokiwał głową. Teraz nie był już w szczególnie krwiożerczym nastroju. Czego powodem był zapewne fakt, że Grim zlecał mu tę robotę, a sam decydował zostać i zaczekać.

Svavar wiedział, że Grim nie będzie miał kłopotów ze znalezieniem go. Grim zawsze wiedział, gdzie on jest.

Bruglioniowie właśnie próbowali jakoś się pozbierać, by dokuśtykać do rodzinnej fortecy, kiedy nadszedł Shagot. Jak dotąd nikt jeszcze nie stracił życia. Ale żaden z Bruglionich czy Colognich nie był zdolny do walki. Shagot podciął kilka gardeł, po prostu dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jedno z nich należało do Acata Bruglioniego, który wcześniej nie

oberwał szczególnie mocno. Teraz jednak pojedynkowe umiejętności były właściwie na nic.

Pozostałym Shagot powiedział:

– Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. – Zaczął zadawać precyzyjne pytania, a czubek ostrza miecza skłaniał do szybkich odpowiedzi. Zabił Saldiego Serenę, kiedy młodzieniec spróbował ucieczki.

Shagot dowiedział się, że wrobiono ich tak, jak przewidywał. On i Svavar mieli zostać obciążeni winą za zamordowanie człowieka, który chciał przejść w Kolegium na stronę Patriarchy.

– A kto wam przeszkodził?

– To właśnie nie ma żadnego sensu – wyznał Gildeo Bruglioni. – To były wilki Patriarchy. Bractwo Wojny. Nie mieli żadnego powodu porywać Rodriga Cologniego. Stoi po ich stronie. Ale takie otrzymali rozkazy.

– Naprawdę? – Shagot pozwolił swojej nieświadomości popracować nad tym, czego się dowiedział, jak też nad tym, że napast – nicy Bractwa dokładnie wiedzieli, co ma się wydarzyć. – Oto, co zrobicie. Zakładając, że chcecie przeżyć. Najpierw wykończcie tych Colognich. Potem w drogę. Jak najszybciej.

Gildeo Bruglioni niechętnie wziął się do rannych ochroniarzy Rodriga, którzy nie byli w stanie stawić mu oporu. Gdy skończył, odwrócił się i zobaczył, że tymczasem Shagot zarznął resztę załogi Bruglionich. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Shagot zabił Gildea pojedynczym cięciem, które zdjęło tamtemu głowę z karku. Potem pobiegł w ślad za bratem. Ile minie czasu, nim ludzie zaczną łupić poległych? Shagot zastanawiał się, czy przypadkiem sam nie powinien tego zrobić.

Jak wielki smród wywołają wydarzenia dzisiejszego wieczora? Z pewnością potężny, kiedy tylko wszystko wyjdzie na jaw.

Shagot wyszczerzył zęby. Świetna zabawa.

Pogromcy Rodriga Cologniego kierowali się ku rzece Teragi i Castella dollas Pontellas, co miało sens, jeżeli faktycznie byli z Bractwa Wojny.

Shagot nie próbował doścignąć brata. Zdecydował się zejść ściganych od flanki.

Tamci szli wolno, unikając rzucania się w oczy.

Shagot niewiele wiedział o Bractwie Wojny. Mieli to być jacyś wojujący kapłani, co brzmiało niczym kiepski żart, jeśli wziąć pod uwagę, co

wiedział o kapłanach.

Zasadził się na oddział z boku, pozwoliwszy najpierw szpicie minąć nienaturalnie głęboki cień, w którym przykucnął. Niczego osobliwego w tym cieniu nie dostrzegł, wydał mu się po prostu zrzędzeniem losu.

Wokół Shagota działo się wiele rzeczy, z których nie zdawał sobie sprawy.

Zaatakował, w jednej ręce mając starożytny miecz z brązu, a w drugiej głowę demona. Wydawało mu się, że ma do czynienia z kapłanami w rodzaju Sylvie Obiladego. Wydawało mu się, że nie ma kłopotów z widzeniem w ciemnościach, co było wielce użyteczne.

Czterech pierwszych, zaskoczonych i już rannych przeciwników powalił gładko. Potem zawrócił człowiek ze szpicie i Shagot poznał prawdę na temat wojowniczych kapłanów z Bractwa Wojny.

Jego przeciwnik nie przypominał nikogo, z kim Shagot się mierzył od czasu, gdy ćwiczył z Eriefem. Tylko to, że ciemność nie stanowiła dlań przeszkody, dawało Shagotowi jakąkolwiek przewagę. Bezustannie się cofał, korzystając z ulotnych szans na wyprowadzenie własnych ciosów. Po drodze przeciął ścięgno Achillesa Rodriga, ponieważ zauważył, że stary próbuje się wymknąć.

A potem Shagot przekonał się, że stoi przyparty plecami do ściany. Naprzeciw niego stał najlepszy z trzech napastników. Drugi, który nie odniósł żadnej rany, zaszedł go z prawej, podczas gdy ranny, ale wciąż zdolny do walki wojownik stanął z lewej, próbując ominąć ponurą głowę demona. Wszyscy trzej byli ostrożnymi, czujnymi profesjonalistami. Shagot gotów byłby wzywać Selekcjonerki Poległych, gdyby za plecami tamtych nie dostrzegł brata.

Nawet w tej sytuacji nie poszło łatwo. Shagot odniósł kilka ran, między innymi kontuzję, która okaleczyłaby go na całe życie, gdyby nie to, iż został dotknięty przez bogów.

Svavarowi poszło gorzej. Starzy Bogowie udzielili mu słabszego błogosławieństwa. Odniósł rany cięte na obu rękach i kłute w pierś oraz żołądek. Rany były poważne, ale nie musiały się okazać śmiertelne, jeśli pomoc zostanie szybko udzielona.

Shagot prowizorycznie opatrzył rany Svavara, zebrał ciała poległych na stos – najpierw zadbawszy, by wszyscy oprócz brata z całą pewnością podpadali pod tę kategorię – z dala od widoku ewentualnych przechodniów,

a potem usiadł ramię w ramię ze Svavarem, żeby błogosławieństwo Wielkiej Fortecy Niebiańskiej przeszło na tamtego.

Shagot Bękart mógł być zgniłą pleśnią na ludzkim łajnie, ale swego braciszka kochał naprawdę.

Wkrótce poczuł, jak sen przejmuje nad nim władzę. Nie mógł sobie na to pozwolić. Wciąż należało wykonać wiele rzeczy, które mogą zająć kilka godzin.

– Braciszku, możesz wstać i pokuśtykać do domu?

Svavar jęknął. Mógł. Zrobi to tylko dla Shagota. Dzięki Shagotowi. Ale na nic więcej już go nie stać, gdyby Shagot czegoś odeń chciał.

– Dobrze. Zrób to więc.

– Przenieśliśmy nasz ekwipunek do zapasowej kryjówki – mruknął Svavar.

– Racja! Nie umiem równocześnie myśleć i uważać na wszystko. Pójdiesz tam i zalegniesz. Ja zajmę się tym głównym.

– Grim...

– Dawaj. Możesz coś ponieść? Możesz wziąć ode mnie ten niby-totem?

– Co chcesz zrobić?

– Mam zamiar porozmawiać sobie od serca z naszym dupkiem kapłanem. I odebrać resztę naszych pieniędzy. Bierz to i idziemy. – Shagot uściskał brata.

Svavar powlókł się przygnieciony do ziemi trzydziesto funtowym obciążeniem i stoma funtami bólu, szukając nocą drogi w nieznanym mieście, by trafić do mieszkania, które widział tylko raz.

Spośród magicznych przedmiotów Shagot zachował tylko miecz z brązu. Po wszystkim, co broń przeszła, wciąż potrafiła ciąć martwe ciało niczym miękkie masło. Z pierwszym zadaniem uporał się w mig. Potem zabrał się do systematycznego ograbiania poległych ze wszystkich monet, które mieli przy sobie, gdy spotkało ich nieszczęście.

Bracia Wojny nie byli bogaczami, ale mieli przy sobie niesłychanie różnorodne monety. Większości Shagot nie rozpoznawał.

Nieważne. Kupcy będą wiedzieli. I potrafią je oszacować. Nie ufali nikomu. A tym wielkim imionom i ich reputacji najmniej.

Skończywszy z plądrowaniem, Shagot przewiesił worek z odciętymi głowami przez ramię i ruszył z powrotem na Madhur Plaża. Worek tak naprawdę był koszulą zdartą z najpotężniejszego z zabitych braci.

Rany wściekle bolały. Martwił się o Asgrimmura, miał nadzieję, że bogowie okażą dość rozsądku, by chronić brata. Bez jego pomocy misja Shagota skazana była na porażkę.

Dotarł do Madhur Plaża. Tam odkryto już ślady niedawnej masakry. Ciała zostały ograbione. W chwili obecnej sprawiedliwy ludek z pochodniami i latarniami narzekał i wspominał dawne, dobre czasy, kiedy w Brothe panował porządek, a takie rzeczy nie działy się w miejscu, gdzie muszą patrzeć na to przyzwoici ludzie.

Oto ludzka natura.

Shagot ruszył ku cytadeli Bruglionich. Może zdąży dotrzeć na miejsce przed złymi wieściami.

Przy umówionej bramie dla kupców nie było straży, odrzwia pozostawały otwarte. Shagot przemierzył tylny dziedziniec Bruglionich i dotarł do kwatery ojca Obiladego. Kapłan od razu otworzył drzwi. Za nimi czekali Sylvie Obilade i jeszcze jeden człowiek. Nieznany głos zapytał:

– Co, u diabła, zabrało ci tak...?

Mówiący zdał sobie sprawę, że Shagot jest sam. I że to właśnie Shagot. Wytrzeszczył oczy. Ojciec Obilade też wytrzeszczył oczy. Pierwszy z mężczyzn wsparł dłoń na rękojeści pojedynkowego miecza, ale nie wyciągnął broni. Shagot wpięrowo ostrzegł go, kręcąc głową.

– Jesteś mi winien trochę pieniędzy, starcze. – Shagot pokazał im głowę Rodriga Cologniego.

– Słodki Aaronie! Błogosławiony Kelamie! – Ojciec Obilade wykonywał gesty mające chronić od urocznego oka i Delegatur Nocy. – Musiałeś...?

– Przecież nie uwierzyłybyś mi na słowo, nieprawdaż? Jesteś z Brothe. Spokojnie, chłopie. – Drugi mężczyzna, blady teraz jak śmierć, powoli się wycofywał. – Stój, gdzie stoisz. Nie jestem w najlepszym nastroju.

Shagot wysypał zawartość worka na podłogę.

Obaj świadkowie zaklęli jak jeden mąż. Z przerażeniem popatrywali po sobie. Mężczyzna z mieczem jęknął:

– To jest Strauther Arnot! I Junger Trilling! Dwaj spośród najlepszych ludzi z zamku. Cóżeś uczynił? Zabiłeś wszystkich ośmiu? – Oprócz głowy Rodriga Cologniego było jeszcze osiem trofeów.

– Brat mi pomógł.

– Ośmiu. Weteranów Bractwa. Samowtór. Kogo ja spuściłem na świat?

Shagot doszedł do wniosku, że to może być Paludan Bruglioni.

– Musieliśmy ich zabić. Uciekali z naszym celem – powiedział.

– Cóżes ty uczynił? – zajęczał kapłan, kierując te słowa raczej pod swoim niż Shagota adresem.

Shagot wyszczerzył zęby.

– Zadawaliście sobie to pytanie od czasu, gdy się przekonaliście, że to ja stoję za tymi drzwiami. Odpowiedź może wam się nie spodobać. Usiądźmy wygodnie i poczekajmy. Ty, oddaj mi tę włócznię na dzika. Nie chcesz chyba zrobić czegoś głupiego i dać się zabić. Ty jesteś szef Bruglionich? Nie powiesz? Nieważne. Ty i ta śmierdząca stara baba, idźcie i znajdźcie sobie miejsce pod drzewem figowym. Tak, żeby was widział.

Shagot wyciągnął z pochwy starożytny miecz. Sprawiał wrażenie, jakby promieniował ciemnością. Trzymając go w dłoni, poczuł się jak nowo narodzony. Nie zaśnie, póki ostrze pozostanie obnażone. Nie będzie czuł bólu. Z tym ostrzem w ręku miał wrażenie, że może czas rozciąć na pół.

Człowiek, który mógł być Paludanem Bruglionim, z pogardą przyglądał się broni. Ale ojciec Obilade wytrzeszczył oczy. Jęknął, a potem zmówił pośpieszną modlitwę błagalną do swego boga, żeby ustrzegł go przed złem Delegatur Nocy.

Dotarcie zabrało wieściom z Madhur Plaża znacznie więcej czasu, niż Shagot oczekiwał. Już prawie świtało. Zły, kuszący sen ze wszystkich sił walczył ze starą magią miecza.

Sen jednak stracił dla Shagota wszelki urok, gdy w drzwiach ujrzał małego, chudego i nieco obszarpanego człowieczka, który wpadł do środka i wy dyszał:

– Tu jesteś, Paludan! Straszne wieści! Straszne wieści! Aca – ta, Gildeo, Faluda, Pygnus, pozostali... już ich nie ma! Zgubieni! Wszyscy na Madhur Plaża! Zamordowani! Razem z ochroniarzami Rodriga Cologniego.

Posłaniec był tak podniecony, że wyrzucał z siebie kolejne słowa, póki – urwawszy, by złapać oddech – nie zobaczył Shagota i odciętych głów.

– Cholera!

– Zaiste – powiedział Shagot. Czuł się niczym bóg. Ci południowcy byli jednak niepoważni. – Siadaj tam sobie z innymi.

Przybyły zmierzył wzrokiem głowy.

– Och, błogosławiony Kelamie i Ojcowie Kościoła! To Strauther Arnot! Sekretarz Specjalnego Oficjum. Co tu się dzieje, Paludan?

Shagot wyrozumował, że to musi być śmiertelnie bystry Gervase Saluda, dobry przyjaciel z młodości Paludana Bruglioniego, z czasów, gdy Paludan wyslizgiwał się po nocy, by dowodzić gangiem sierot i uciekinierów z domów. Legenda ta była najpewniej czystym wymysłem. Ale reputacja Gervase'a mogła być w pełni zasłużona.

Shagot zaproponował:

– Trzymaj łapy tak, żebym mógł je widzieć. Chyba że sądzisz, że w tej kolekcji głów jednej brakuje i że twoja znakomicie by ją uzupełniła.

– Jest opętany – wykrztusił ojciec Obilade. – Nie sprzeciwiaj mu się. Nie można go pokonać. Ten stary miecz... Został wykuty w dawnych czasach, kiedy na świecie niepodzielnie panowała Tyrania Nocy.

– Dzięki – powiedział uprzejmie Shagot. – Wszystko, co mówi ta stara wiedźma, to prawda. I to też jest prawda. Ludzie, których nasłaleś, by zamordowali mnie i mojego brata, nie żyją. Zamiast nas zabili ochroniarzy Rodriga Cologniego. Tych ośmiu pojawiło się, kiedy tym się zajmowali. Zabili wszystkich oprócz Cologniego. Zabrali go ze sobą. Mój brat i ja ścigaliśmy ich. Mieliśmy kontrakt od Bruglionich. Tamci nie chcieli współpracować. A więc zabraliśmy im głowy, myśląc, że może będzie za nie premia, ponieważ dopełniliśmy za was pomsty w imieniu Bruglionich. – Shagot kopnął jedną z głów w kierunku Paludana Bruglioniego. Nos sprawił, że nie potoczyła się równo i skrzyła w stronę Gervase'a Saludy.

– Cóżes ty uczynił? – Błaganie Paludana było słabe i właściwie retoryczne.

– Jaki demon opanował twoją duszę? – zapytał ojciec Obilade. – Jakąz starożytną grozę przywlokłeś w nowoczesną epokę, w samo serce episkopalnej wiary?

– Jesteście mi winni dwieście dukatów. Plus premię za pomszczenie waszych poległych – powiedział po prostu Shagot.

Paludan Bruglioni uległ woli nocy.

– Obilade. Przynieś pieniądze, których domaga się ten człowiek. I niech ci nic po drodze nie przyjdzie do głowy. Rozumiemy się?

Kapłan skłonił głowę.

– Tak, panie.

Shagot również zrozumiał.

– Świetnie. Pośpiesz się. Ponieważ jeśli pieniądze nie dotrą tu szybko albo wraz z nimi dotrze zdrada, zginą ludzie.

Kiedy ojciec Obilade wyszedł, Shagot kopnął kolejną głowę i powiedział:
– Ci ludzie z Bractwa wiedzieli dokładnie, co ma się stać na Madhur
Plaża. Jak to możliwe?

– Cóżes ty uczynił? – jęknął znowu Paludan.

Wstrząsnąłem fundamentami Brothe, pomyślał Shagot.

Nigdy w całym swoim życiu nie miał takiego wpływu na życie innych ludzi. Nawet w szczytowym okresie rajdów sturlangerów na wybrzeża Wyspy Ósemek nigdy tak wielu ludzi, którzy nie mieli pojęcia, kim jest, nie ucierpiało tak bardzo w wyniku jego poczynań.

– Po prostu próbuję sobie jakoś ułożyć życie – odparł Shagot. – I nie sądzę, aby wymagało to złożenia ze mnie ofiary na ołtarzu ambicji jakichś lokalnych półgłówków.

Ojciec Obilade wrócił. Przyniósł nieco ponad trzysta dukatów w złocie; na monetach znajdowała się podobizna nieżyjącego patriarchy. Shagot nadgryzł kilka, żeby się upewnić, iż są prawdziwe.

– Dobrze. Dobrze. Mam nadzieję, że panowie nie mają mi za złe lekcji fair play. – Pogroził palcem staremu księdzu. – Bliżej, ojcze. Bliżej.

Kiedy stary podszedł dostatecznie blisko, Shagot pochylił się i wyszeptał mu do ucha:

– Ci goście wiedzą, co się naprawdę wydarzyło, *padre*. Lepiej więc podkasaj sukienkę i zwiewaj. – A głośniej dodał: – Dziękuję wszystkim. Postarajcie się nie być więcej taką zgrają kundli, co?

Shagot poszedł sobie, zanim sens tych słów zdążył uderzyć w nich swoim młotem.

Sprzyjała mu łaska nocy, ponieważ znalazł brata, zanim zwałił się z nóg.

Kiedy jednak sen już nadszedł, za nic nie chciał odejść, aż Svavar znalazł się na krawędzi paniki. Czy brat przeżyje, czy się obudzi?

Khauрене, w Skraju Connec

Zima w Connec była porą niepokoju. Przynajmniej dla tych, którzy próbowali dojść do ładu z wydarzeniem nazwanym przez Arnhandów Masakrą pod Czarną Górą. Najeźdźcy bowiem utrzymywali, że katastrofa w najmniejszym stopniu nie była ich winą.

Otóż życzliwi pielgrzymi wkroczyli do Connec, by bronić episkopalnych współwyznawców przed zakusami heretyków, którzy piekli niemowlęta na rożnie i składali w ofierze dziewice. Albo na odwrót.

– Taka jest treść twojego stanowiska? – wydarł się hrabia Raymone Garete na paskudnie, obraźliwie wręcz zdeformowanego garbusa, który był ambasadorem Salpeno i występował pod mianem ojca Austena Rinpoche. – Większych bzdur już nie potrafiłeś wymyślić? Dlaczego nie oskarżyłeś nas o stosunki seksualne z kozami? Ty głupcze. Powodem, dla którego w naszym kraju szaleje uparta apostazja i herezja, jest właśnie to, że na każdym rogu Khaurene jest kościół episkopalny. Że, nie wiedzieć czemu, w Skraju Connec jest więcej katedr niż w całym twoim moczopijnym Pail w Arnhandzie. Oczywiście, zbudowaliśmy te katedry, abyśmy mieli gdzie się ścisnąć z naszymi kozami.

Książę Tormond próbował hamować młodego szlachcica. Ale hrabiego Raymone'a nic już nie mogło powstrzymać. W następstwie zwycięstwa nad baronem Algres'em głos Raymone'a brzmiał donośnie we wszystkich radach Connec.

– Zabrakło ci słów? Księżu? Mów do mnie, księżu. Wymień z imienia jednego bodaj episkopalnego w Skraju Connec, który ucierpiał z rąk Poszukiwaczy Światła.

Ojciec Rinpoche z satysfakcją odrzekł:

– Biskup Serifs z Antieux.

Cisza.

Przedłużająca się cisza.

Ktoś powiedział:

– Słodki Aaronie na osiołku, ten dureń mówi poważnie.

– Ten ksiądz nie jest durniem. – Hrabia Raymone wyszczerzył zęby. – To zupełnie inna liga. To kompletny idiota.

Nawet Wielki Niezdecydowany, książę Tormond, patrzył na ojca Rinpoche, jakby miał przed sobą półgłówka otwarcie przyznającego się do własnego debilizmu.

– Mówisz poważnie, ojcze? Ten człowiek był złodziejem. Podważał świętość swego urzędu. Lekceważył prawa innych. Był krzywoprzysięcą, pederastą i sodomitą. Katalog jego zbrodni nie ma końca. Gdyby nie patronat Wzniosłego, zostałyby powieszony już wiele lat temu. Do tej chwili potrafiłem znaleźć w swym sercu odrobinę sympatii dla twojej misji. Ale pierwszy lepszy szczur zasługuje na większe zaszczyty, niż przypadły w udziale biskupowi Serifsowi.

– Serifs był takim zerem – warknął hrabia Raymone – że nawet prowincjał Bronte Doneto... rodzony kuzyn Patriarchy... kazał go zrzucić ze skały w następstwie nieudanej próby wymordowania i ograbienia ludu Antieux.

Ojciec Rinpoche nieugięcie trwał przy swoim.

Książę Tormond wstał. Klasnął w dłonie, poczym zamarł z uniesionymi rękoma.

– Jestem dobrym episkopalnym, ojcze. Codziennie chodzę do kościoła. Nie unikam spowiedzi. Wysłałem list do Świętobliwego Ojca z pytaniem, czego jeszcze ode mnie oczekuje. Dotąd nie odpowiedział. Tymczasem siedzimy tutaj i znowuż padamy ofiarą nieuzasadnionych oraz nadmiernie rozdmuchanych oskarżeń wysuwanych przez ludzi, którzy dobro Kościoła stawiają na drugim miejscu po splądrowaniu Connec. Posłuchaj mnie, Rinpoche. W tej komnacie spotkali się z tobą właściwie wszyscy znaczący ludzie z Khaurene. Wyzywam cię, żebyś przeszedł się wśród nich i znalazł jednego niewiernego.

W opinii brata Świecy nie było to szczególnie mądre wyzwanie. W końcu on sam też tu był. I nie był osamotniony w niechęci wobec uznania dogmatu nieomylności Wzniosłego V.

Jednak arnhandzki ksiądz nie podjął wyzwania. Nie skomentował go ani słowem, udał, że nie słyszał.

Rinpoche nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić do Salpeno i donieść, że Connec pozostaje nieugięte, wręcz zatwardziałe w swym uporze oraz że najwyraźniej potajemnie przejęli w nim władzę agenci Przeciwnika, maysalczycy. Jediną reakcją na taki stan rzeczy mogło być tylko przyjęcie planu, który Patriarcha prywatnie forsował, mianowicie krucjata w celu wykorzenia herezji maysalskiej.

Możni Salpeno chętnie słuchali argumentów ojca Rinpoche. Większość z nich pałała żądzą zemsty i łupów, nie dbali o żadną prawdę, która mogłaby stanąć im na drodze. Na dodatek panował im słaby król, równie niezdolny do wypełniania królewskich obowiązków jak niekompetentny w dziele umierania. Choć jego śmierć nie zmieniłaby niczego. Nie było księcia krwi.

Taka sytuacja wyglądała nader atrakcyjnie w oczach wielu ambitnych książąt, baronów i ich krewnych, z prawego czy jakiegoś innego łoża.

Niemal co dzień wybuchały potyczki i prowokacje na całej długości granicy: od miejsca, gdzie Tramaine graniczyło z Connec, aż do najdalej na północ wysuniętych wiosek, na wybrzeżu na wschód od wschodniego Argony. Miejscowi rycerze nie robili nic, by utrudniać agresorom życie, garnizony też zachowywały bierność. Członkowie tych samych rodzin żyli po przeciwnych stronach wciąż zmiennej linii granicznej. Feudalne zobowiązania na bagnach zmieniały się z każdym małżeństwem, narodzinami, zgonem i wraz z niepewnymi losami wojny.

Ale zmiana władcy niewiele wносиła w życie prostych ludzi. Niektórzy chłopci nie rozumieli żadnego z języków swych kolejnych panów.

Każda znacząca rodzina arnhandzka miała krewnych za morzem, w państwach krzyżowców. Tam wysyłano młodych ludzi, by nabrali nieco pokory w bezwzględnym boju o panowanie nad Ziemią Świętą. Młodzi zabierali ze sobą służących, żołnierzy i bogactwa.

Zazwyczaj wracali tylko ci młodzi – ale już postarziali.

W obliczu tak napiętej sytuacji wewnętrznej byłoby istnym szaleństwem, gdyby Arnhandowie posłuchali szalonego wezwania Wzniosłego i faktycznie postanowili ukarać chaldaran z Connec za ich zatwardziały upór, a connekiańskich Poszukiwaczy Światła za brak szacunku dla Boga we Własnej Osobie.

Anne z Menandu, kochanka króla Arnhandu, powiła swemu mężczyźnie dwójkę dzieci. Starszy syn, Regard, miał dopiero czternaście lat, był jednak młodzieńcem silnym i bystrym, a nadto otoczonym władczą atmosferą. W normalnych okolicznościach nikt by go nie uważał za ewentualnego następcę ojca. Dla arnhandzkiej szlachty prawomocność sukcesji liczyła się nade wszystko. Ale okoliczności były wyjątkowe. Zapaleni intryganci mogli doprowadzić do napisania na nowo przeszłości w takiej formie, która legitymizować będzie dziedzictwo Regarda.

Anne dopuszczała do swych łask również starannie wyselekcjonowanych szczęśliwców spoza królewskiego łóżka, tworząc krąg spiskowców. Ojciec chłopca życzliwym okiem patrzył na uporczywe starania o mianowanie Regarda księciem krwi. Ale za rywalizującymi kandydatami też stały silne frakcje.

Anne z Menand była intrygantką manipulatorką i dziwką. Brała mężczyzn do łóżka nie tylko po to, by nimi później dyrygować, ale również dlatego że pałała wielkim entuzjazmem dla nocnych uciech. Z drugiej strony była gorliwą chaldaranką szczerze wierzącą w nie – omyłność Patriarchy. Skoro Wzniosły prosił o wojska, które ukarzą apostatyczne Connec, Arnhand powinien te wojska wysłać.

Miarą pozycji Anne było to, że udało jej się zaaranżować krucjatę, w której skład weszło osiemdziesięciu rycerzy, każdy ze swoją świtą. Jednak mała armia nigdy nie dotarła do Connec. Zawróciła, nim zaciężne wojska wywiązały się ze swych zobowiązań. Ani razu się nie starła – ba, nawet nie nawiązała kontaktu wzrokowego – z heretykami. W następstwie nieszczęśliwych wypadków i złej pogody natomiast straciła trzy tuziny dusz.

Brat Świeca podróżował jak Connec długie i szerokie, niosąc otuchę sercom Poszukiwaczy Światła, którzy wyczuwali nadchodzącą burzę. W każdym miasteczku spotykał się z prowincjonalną szlachtą. Musieli zrozumieć, że zobowiązani są bronić wszystkich przed cudzoziemskim wrogiem. Przypominał im czasy, które poeci nazywali epoką Pokojowego Królestwa Connec. Connecianie byli dumni ze swej umiejętności życia w harmonii.

Był to czas strojenia się w moralne piórka. Czas absurdałnego rozgrzeszenia, udzielanego z góry w przewidywaniu przyszłych grzechów.

Wzniosły V wydawał kolejne gromkie bulle, potępiające wszystko co maysalskie i większość rzeczy tradycyjnie connekiańskich. Jakby się zawziął, żeby zrazić do siebie swoje stadko.

Mieszkańcy Connec w coraz większym stopniu skłaniali się ku Niepokalanemu II, który odnalazł w sobie dość żaru, by wydać kilka własnych bulli. Probrotheńscy księża, już wcześniej nieszczególnie lubiani, teraz stali w obliczu otwartej wrogości.

Senne Connec zaczynało się budzić. I wstawało jak połamane.

Brat Świeca obawiał się, że krótkowzroczna chciwość Wzniosłego wznieci burzę. Coraz bardziej mu się nie podobał wojowniczy nacjonalizm, jaki dochodził do głosu na całym obszarze Connec i wciąż karmił się strachem przed większymi jeszcze i groźniejszymi armiami, które mu zagrażały.

Dokądkolwiek brat Świeca niósł swe posłanie, tam widział, jak podwyższano i wzmacniano mury obronne miast. Widział zamki gotujące się do oblężenia. Widział lokalne milicje, szkolące się w użyciu broni po okiem ludzi zniecka otoczonych szacunkiem tylko dlatego, że byli weteranami wojen o wyzwolenie Ziemi Świętej. I dokądkolwiek się udał, zawsze szedł w ślad za wysłannikami Tormonda, którzy zniechęcali ludzi, każąc im porzucić wojenne przygotowania. Ponieważ Brothe i Arnhand mogły w nich dostrzec prowokację.

Takie rozumowanie zdumiewało nawet pacyfistycznie nastrojonego brata Świecę.

Poza Khaurene nikt nie zwracał uwagi na słowa księcia Tormonda. Ludność Connec z całym zapalem rzuciła się w wyścig zbrojeń, jakby naprawdę wraz z pierwszymi pękami wiosny miały się zjawić tysięczne rzesze arnhandzkich kanibali.

Wiosna przeszła niepostrzeżenie we wczesne lato. Najeźdźców wciąż nie było widać. Księżę Tormond wpadł na pomysł, by wysłać poselstwo do Brothe, które wypracuje z Wzniosłym jakieś wspólne stanowisko. Brat Świeca nie był obecny podczas żywiołowej debaty, jaka potem nastąpiła. Odprawiał religijne obrządki w maysalskiej wspólnoty w Castrersone. Ale docierały do niego echa konkurencyjnych argumentów. Nawet connekiańscy sojusznicy Wzniosłego byli przeciw wysyłaniu kogokolwiek do Brothe. Mathe Richenau, niedawno powołany i niedawno przybyły, urodzony w Arnhand biskup Antieux, również zalecał dalece posuniętą

ostrożność w ewentualnych działaniach. Z dużym prawdopodobieństwem należało podejrzewać, że każdą tego rodzaju inicjatywę Wzniosły uzna za potwierdzenie swego prymatu.

Doradcy Tormonda ostatecznie zwyciężyli w tym sporze, ale nie udało im się przekonać księcia, by odstąpił od błędnej strategii polegającej na wyczekiwaniu i rozmowach z Wzniosłym. Patriarcha, jako nieomylny, wiedział, że negocjacje są zupełnie bezprzedmiotowe.

Tormond naprawdę nienawidził ślepego, pełnego zaangażowania w jakąkolwiek sprawę. I nie sposób było zaprzeczyć, że ten styl rządów, właściwy jemu i kilku pokoleniom jego przodków, sprawdzał się od ponad stulecia.

Armia najeźdźców nie pojawiła się wiosną ani latem. Przygotowania do wojny straciły nieco rozpęd, a na obszarach najbardziej oddalonych od północnej granicy Connec zupełnie ustały.

Latem książę Tormond uległ potrzebie działania. Wysłał poselstwo do Salpeno w celu nawiązania rozmów pokojowych z Arnhandem. Nic z tego nie wyszło. Później, wraz z pierwszymi oznakami nadchodzącej jesieni, Tormond znowu podjął nierozsądną inicjatywę. Wrócił do swej koncepcji nawiązania rozmów z Wzniosłym.

Tym razem nikt nie potrafił mu tego wyperswadować.

Brat Świeca wrócił do Khaurene na kilka dni przed tym, nim rzecz podano do publicznej wiadomości. Zatrzymał się u dobrej maysalskiej rodziny Archimbaultów, trudniącej się garbarstwem. Raulet Archimbault obawiał się, że decyzja księcia pchnie Connec na skraj przepaści.

Wieczorami, przed spożyciem ostatniego posiłku, Poszukiwacze Światła zazwyczaj zbierali się w grupach dyskusyjnych. W Connec ostatni posiłek jadano późno, grubo po zachodzie słońca. U Archimbaulta zgromadziła się tego wieczora liczna grupa, ponieważ wszyscy chcieli usłyszeć Doskonałego. Świetnie bowiem wiedząc o prześladowaniach, jakich mniejszości devedian i dainschauów doznawały od brotheńskich episkopalnych, obawiali się o własną przyszłość. Wzniosły najwyraźniej nie miał zamiaru poprzestać na samych słowach potępienia heretyków i niewiernych.

– Już o tym rozmawialiśmy, Raulet – powiedział brat Świeca – więc rozumiem, o co ci chodzi. Ale proszę, wyjaśnij przez wzgląd na naszych gości, którzy być może nie do końca znają twój sposób myślenia.

Raulet Archimbault niezbyt pewnie czuł się przed liczną widownią. Jąkając się, wyjaśnił:

– Samo wysłanie przez Tormonda poselstwa do Brothe osłabia pozycję Connec... – Urwał.

– Mów dalej – zachęcał go brat Świeca. – Wytłumacz nam, dlaczego tak jest.

– Cóż... stąd wynikałoby, że Tormond uznaje prawo Patriarchy do ingerowania w nasze sprawy. Samo przez się tworzy to niedobry precedens i umniejsza rolę Patriarchy w Viscesment. A przecież to on jest legalnym Patriarchą. Racja?

Brat Świeca powiedział:

– Umniejszenie roli tego człowieka nie jest doprawdy zbyt trudnym zadaniem. Jak wielu z was... podnieście dłonie... wie, kto jest antypatriarchą? Sami widzicie. Niepokalany Drugi, bracia i siostry. A większość z was, która wie, wie dlatego, że słyszała, iż zeszłej wiosny ktoś próbował go zabić.

– Żałosne – skomentował Raulet.

– Tak – zgodził się brat Świeca. – A on ma być rzekomo n a s z y m Patriarchą. Patriarchą reprezentującym wszystkich chaldaran. Arianistów, antastów, episkopalnych, chaldaran obrządku wschodniego, shakerów i maysalczyków. – Większość maysalczyków uznawała się za dobrych chaldaran, w obrządku antastycznym. – Jest Patriarchą, który miał nie dopuścić, by Pięć Rodzin z Brothe traktowało Kościół jako swój prywatny garniec ze złotem na końcu tęcz.

– Ja natomiast nie rozumiem – wtrąciła pani Archimbault – dlaczego książę postąpił wbrew radom swych doradców. To nie ma sensu. – Wśród Poszukiwaczy Światła kobiety cieszyły się pozycją równą mężczyznom, z pełnym prawem zabierania głosu i zadawania pytań. – Przecież musieli mu wszystko wyjaśnić.

Brat Świeca pokiwał głową.

– Oczywiście. Mówili mu setki razy. Sam nawet raz byłem przy tym, jak ktoś punkt po punkcie tłumaczył wszystko Tormondowi. Powiedział wówczas, że rozumie. Ale jak wiedzą wszyscy, którym Przyszło wychowywać dzieci, nie można zmusić kogoś do słuchania, jeśli słuchać nie chce.

– Możliwe byłoby, że oszalał? – zastanawiał się Scarre Piekarz.

Cienki głosik zaśpiewał:

– To na pewno Noc.

Ralet zaproponował własne wyjaśnienie:

– Albo skusił go bóg Wzniosłego. Może episkopalny brotheński bóg zgadza się z Wzniosłym co do naszej kwestii. – Ze strony Rauleta była to próba żartu, ale wszyscy wzięli jego słowa serio.

– Powinienem spotkać się z biskupem LeCroes i dowiedzieć się, co on myśli – powiedział brat Świeca.

– Niewiarygodne – mruknął ktoś.

Pani Archimbault chciała wiedzieć:

– Czy ludzie z otoczenia Tormonda będą się spokojnie przyglądać z boku? Bracie, sam mówiłeś, że Brothe nie ma przyjaciół na dworze Tormonda.

– Nie. A jeśli ma, to niewielu. Z drugiej strony ludzie Tormonda są lojalni i honorowi. Zrobią, co im każe, kiedy zrozumieją że nie zmieni zdania.

Ktoś zapytał:

– Co zrobi hrabia Raymone?

– To jest kwestia decydująca – odparł brat Świeca. – Ale na to pytanie może odpowiedzieć tylko sam Raymone Garete. A on nie krył swego obrzydzenia.

– Raymone jest młody – zauważyła pani Archimbault. – Młodzi wolą działanie dla samego działania.

Herezja maysalska znajdowała uznanie głównie w oczach tych, którzy zostawili za sobą niepokoje młodości.

Brat Świeca przyjął wino z rąk córki swego gospodarza, Kedle, której oczy błyszczały, ponieważ dopuszczono ją do zgromadzenia. Miała trzynaście lat, czyli według niektórych norm była już kobietą, ale nigdy nie zabierała głosu w obecności Doskonałego.

Poszukiwacze Światła we własnym mniemaniu byli prawdziwymi chaldaranami. Twierdzili, że ich doktryna w prostej linii wywodzi się od Aarona, Eisa, Lalithy i innych Ojców Założycieli, których nauki zostały następnie zniekształcone i wypaczone przez Josefusa Alegianta i jego klikę. Bogiem arianistów i episkopalnych, którzy przejęli zniekształconą doktrynę, był w istocie Wielki Przeciwnik potępiany przez Ojców.

Wielki Przeciwnik snuł tysięczne sieci kłamstw, ukrywając się wśród Delegatur Nocy. Nie było wyjścia z tego labiryntu oszustw. Ponieważ za

każdym zawsze kryło się następne.

Brat Świeca rozluźnił się nieco i przyglądał z boku, jak dyskusja zmierza ku reinkarnacji. Sam uważał tę ideę za nadzwyczaj pocieszającą. Reinkarnacja dawała drugą szansę na dobre życie. To było Wielkie Koło Życia.

Pani Scarre zapytała go, czy uważa, że Poszukiwacze Światła powinni się bronić, gdy zostaną zaatakowani.

– Oczywiście. Jest wiele sposobów na opieranie się złu. Jeżeli nie walczymy ze złem, stajemy się jego współnikami.

W domu Archimbaulta zapanowała martwa cisza, zakłócana tylko przyspieszonymi oddechami. Zbiorowy umysł maysalczyków miał się właśnie zogniskować wokół jednej myśli.

Brat Świeca rozczarował wszystkich.

– To wszystko. Taka jest prawda. Granice nigdy nie są jasno wykreślone. Nie ma absolutnego dobra. Istnieje absolutne zło, ale niełatwo je rozpoznać. Wkłada niezliczoną liczbę masek.

Scarre Piekarz zapytał:

– Co chcesz przez to powiedzieć, bracie?

Zaczął się modlić.

– Jesteśmy niewolnikami rozumu. Rozum unicestwia wszystkie argumenty, jakie padają z ust naszych wrogów. Sprawiedliwość przepływa przez ich palce jak woda. W rękach zostają im tylko namiętności. Naszą słabością jest to, że nie wiemy, kiedy rządzą nami nasze marzenia i namiętności. A więc jesteśmy tak samo ofiarami Delegatur Nocy jak ci, którymi gardzimy za to, że nie myślą.

Brat Świeca obawiał się, że nie udało mu się wyrazić tego, co chciał, w sposób dla wszystkich zrozumiały. Nawet on nie potrafił w pełni pojąć charakteru ludzkich związków z Delegaturami Nocy.

Mimo iż częścią każdej religii był kodeks moralny, obejmujący niezliczone nakazy czynienia dobra wkładane w usta bogów, brat Świeca w całym swoim życiu nie znalazł żadnych jednoznacznych wskazań dotyczących immanentnej moralności dowolnych przejawów Delegatur Nocy. Jak ziemia, wiatr, woda i ogień – po prostu istniały. A jak życie samo – po prostu pożywały.

Dobro i zło były kategoriami narzuconymi przez człowieka, przez ludzkie wizje świata i przekonania – a bezpośrednio siłą czarów.

Brat Świeca miał trudności z wywiązaniem się z roli duchowego doradcy i przewodnika w świecie, gdzie niewiele było absolutów, które mogłyby służyć jako latarnie morskie wytyczające jego własny kurs.

– Jeżeli my, Poszukiwacze Światła – powiedział – znikniemy z wielkiego pochodu dziejów, stanie się tak nie dlatego, że ulegliśmy logice i perswazji, tylko dlatego że użyto przeciwko nam przeważającej siły broni i terroru.

Brat Świeca bał się przyszłości, która zapałała korzenie w nawozie niepojętej decyzji księcia Tormonda, aby się układać z Wzniosłym V. Brotheński Patriarcha nie był bowiem człowiekiem takim jak książę, to znaczy zasadniczo prostolinijnym i motywowanym dobrą wolą wobec wszystkich ludzi.

Być może Honario Benedocto naprawdę był kosmicznym żartem, jaki spłatały ludziom Delegatury Nocy. Niektóre ze starych religii przypisywały swym bogom zdolności do znacznie gorszych uczynków, przedsięwziętych w imię czczej frajdy, jaką sprawia wsadzenie kija w mrowisko.

Brothe, u zarania wojny

W Brothe wrzało. Na powitanie prowincjała Doneta nie wyszli ani przedstawiciele Patriarchy, ani członkowie Kolegium. Niewielkie siły Wzniosłego desperacko starały się przywrócić porządek, spracowane niczym trójnogi kot w pokoju pełnym myszy.

Pięć Rodzin obrzucało się wzajemnie oskarżeniami i wytykało palcami. Młodzież szukała pretekstów do pojedynków. Każdy pojedykowiec, który zostawał na placu boju, tylko dolewał oliwy do ognia emocjonalnej zagłady. Prawo zabraniało rodzinom posiadania sił zbrojnych poważniejszych niż straż przyboczna. Wielokrotnie w przeszłości zbrojni udowodnili, że skorzy są każdy najmniejszy nawet problem załatwić za pomocą miecza. Teraz gwałtownie szukano sposobów obejścia tego prawa.

Bractwo Wojny miało pretensje do wszystkich.

Wieści o wewnętrznych kłopotach z mistyczną szybkością dotarły do piratów z Calziru. Niewielka flota próbowała wpłynąć w górę rzeki Teragi, ale została odparta przez czarodziejów Kolegium.

Trzeba też wspomnieć o brotheńskim motłochu, który od nazbyt już dawna zachowywał się spokojnie. Teraz każdego dnia wybuchały zamieszki, połączone z grabieniem sklepów. Na szczęście niepokoje wśród mieszkańców miasta miały charakter lokalny i krótkotrwały.

Mniejszości devedian i dainschauów razem opierały się szaleństwu. Choć gniew episkopalnego tłumu podsycaly rozbite gęby niedoszłych grabieżców.

Ich położenie jednak nigdy nie stało się tak tragiczne jak devów w Sonsie.

Kiedy oddział Doneta dotarł do miasta, najgorsze już minęło. Pod względem awanturnictwa dzisiejsi Brotheńscy do pięć nie dorastali swym przodkom.

Mimo to przejazdka po mieście nie należała do przyjemnych, choć dzień był jasny, chłodny i rześki, a niedawne deszcze zmyły przykry zapach zazwyczaj panujący na ulicach. Doneto jechał możliwie szybko. Chciał dotrzeć do domu, nim jego obecność stanie się tajemnicą poliszynela.

Oczywiście wszyscy, których to obchodziło, już od wielu dni wiedzieli o jego przybyciu.

Prowincjał dał swym ludziom czas tylko na to, by zjedli, umyli się i zmienili ubrania, plus parę minut na odpoczynek. Potem wezwał ich do głównej komnaty swego domu. Budynek był w istocie niewielką fortecą, zbudowaną z wapienia, teraz już brudnego i starego, położoną w odległości strzału z łuku od cytadeli Benedocta. Jego dom był prawdziwym zamkiem.

Każda z Pięciu Rodzin zamieszkiwała w mieście fortecę, choć nie miała prawa obsadzać jej zbrojnymi. Zamek Benedocta był największą z nich.

Kiedy Else przybył na wezwanie, przekonał się, że Doneto ani chwili nie poświęcił na zajęcie się sobą. Miał na sobie tę samą podróżną odzież. Był równie brudny, jak wtedy gdy wchodził do miasta. W ręku trzymał drewnianą miskę, w której były oliwki, marynowany czosnek i cebulki oraz wielkie kawałki kiełbas i sera. Jadł, spacerując po wnętrzu.

Else założył, że ludzie, których nie rozpoznawał – czyli wszyscy prócz Doneta i Pinkusa Ghorta – są ludźmi prowincjała, których ten zostawił w mieście, udając się na odzyskanie Connec.

Służba prowincjała wywiązała się znakomicie z zadania utrzymywania domu w czystości do jego powrotu.

– Albo ktoś ich ostrzegł, że ich pan wraca do domu – skomentował Ghort.
– Na przykład ten facet, który zapłacił okup. Tymczasem wygląda na to, że straciliśmy przyjaciela i zyskaliśmy szefa.

– Zawsze musisz być taki cyniczny?

Ten proces – powrotu Doneta do dawnej formy – zaczął się, zanim jeszcze na dobre opuścili Plemenę.

– Uwaga – ostrzegł Ghort.

Doneto szedł ku nim, mówiąc:

– Sprawy tutaj idą dla nas jak po sznurku. Panuje tak wielkie zamieszanie, że nikt tak naprawdę nie wie, co się dzieje i kto jest kim.

Pierwotnie chciałem umieścić cię u rodziny Arniena, żebyśmy mogli dbać, by nie zbczyli z kursu wyznaczonego przez Patriarchę, kiedy już zaczną za nami głosować w Kolegium. Ale skoro Rodrigo Cologni nie żyje i dzięki temu będzie jeden głos przeciwko Wzniosłemu mniej, nie trzeba zmuszać Arnienów do jego popierania. Dalej będą mogli udawać, że są przeciwko nam. W związku z tym ciebie będziemy mogli śmiało zatrudnić. Tak na marginesie, jesteś teraz w służbie Arniena, od miesiący u nich służysz, mnie nawet nie znasz.

Else zwrócił się do Ghorta:

– Kim jest ten przystojny obcy, Pinkus?

Doneto zareagował przelotną irytacją zaraz jednak zastąpiło ją równie przelotne rozbawienie.

– Ale przecież wiem, kim jesteś – powiedział Else. – Każdy, kto był w Connec, będzie sobie z tego zdawał sprawę. Wszyscy ci chłopcy z Bractwa, którzy uciekli do Brothe, też. Wszyscy również wiedzą o naszym pobycie w Plemienzy. Hansel może nas wystawić, kiedy tylko zechce. Pamiętaj, jestem teraz szpiegiem imperialnym.

Doneto popatrzył na niego ponuro.

– Pewnie masz rację. Dobra, może zrobimy to inaczej. Ze względu na katastrofę, jaka ich dotknęła, Bruglioniowie rozpaczliwie potrzebują pomocy. Może Inigo Arniena zaproponuje Paludanowi Bruglioniemu, że podeśle mu paru swoich najlepszych ludzi...

Else skinął głową i uśmiechnął się, przewracając oczyma.

– Powoli coraz trudniej mi się w tym zorientować. Będę pisywał raporty i wysyłał je do siebie, abym wiedział, co robię, i przez nie będę próbował wpływać na siebie tak, żebym działał najkorzystniej na rzecz celu, jakim jest szpiegowanie samego siebie.

Doneto uśmiechnął się słabo.

– Jest ludowa piosenka o człowieku, który był własnym wujkiem i szwagrem. Hecht, chcę skorzystać z okazji, zanim tamci będą mieli się czas zastanowić. Chodź ze mną. Chcę, żebyś się z kimś spotkał.

Else niechętnie poszedł.

– Ty jesteś szefem. – Wcześniej miał nadzieję, że uda mu się stopniowo i niepostrzeżenie wśliznąć za kulisy Brothe. Ale skoro pojawiła się szansa dostania do jednej z Pięciu Rodzin...

Bronte Doneto zaprowadził go w zacieniony kąt pomieszczenia. Skryty tam siedział starzec w fotelu na kółkach i uważnie obserwował gości prowincjała. Doneto przedstawił ich sobie:

– Piper Hecht, a to Salny Sayag. I jego syn, Rogoż. Występują tu jako przedstawiciele rodziny Arniena. Z Rogożem mogłeś się już zetknąć. Przez jakiś czas parał się twoim fachem, gdzieś na północy.

Else przyjrzał się młodszemu mężczyźnie, który stał za fotelem.

– Nie wydaje mi się. Przynajmniej sobie nie przypominam. – Wyciągnął dłoń. – Spotkaliśmy się już kiedyś, Rogoż?

– Nie.

Rogoż nie miał wątpliwości. Najwyraźniej był też małomówny. Uścisk jego dłoni był mocny i zdecydowany. Cerę i wygląd miał zdecydowanie egzotyczne. Karnacja ciemniejsza, wyraźnie brzydszy niż zazwyczaj Firdianie.

– Nie jesteś z Brothe, co? – zapytał Else.

– Mój ojciec pochodził z Obrizoku.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– To miasteczko w Creveldii. Creveldia słynie ze swych koni. Ojciec był wygnańcem. Ale to nie czas na opowiadanie sobie historii życia. Zabierz rzeczy.

Else westchnął. Dobrze, że przyzwyczał się obywać bez większego dobytku.

Niewola w Plemenzy była najdłuższym w jego karierze okresem życia osiadłego.

– Dokąd idziesz? – chciał wiedzieć Pinkus Ghort.

– Nowa robota. Prowincjał chce, żebym zaraz w to wszedł. – Wzruszył ramionami. – Spotkamy się w mieście.

– Nie bij mnie za mocno.

– Zajmij się Bo i Joe. Nie pozwalaj Bo za dużo włączyć się po burdelach. Śmierć go dopadnie.

– No.

Else obawiał się, że będzie tęsknił za Pinkusem Ghortem, jak tęsknił za Szkieletem i pozostałymi towarzyszami andelesqueluzańskiej wyprawy, która teraz wydawała mu się tak odległą, jakby była zasłyszana dawno temu opowieścią, a nie częścią jego życia.

Sayagowie opuścili posiadłość Bronte Doneta przez kupiecką furkę. Rogoż Sayag pchał fotel ojca. Dolną część ciała tamtego skrywał koc. Łatwo można było ukryć pod nim narzędzia lub broń. Za bramą dołączyli do nich dwaj zbrojni. Rogoż Sayag wyjaśnił:

– Brothe to niebezpieczne miasto. Na ulicach jest pełno głodnych ludzi.

Else niósł wszystko, co chciał ze sobą zabrać. Przywykł do tego, że cały swój dobytek i los nosi na grzbiecie. Jakby był jakimś nomadnym żółwiem pustynnym.

Else próbował nawiązać rozmowę, udając, że nie przygląda się towarzyszom i nie rozgląda po mieście. Ale nieartykułowane pomruki obu Sayagów i ich eskorty ledwie można było nazwać rozmową.

W końcu Else zaprotestował:

– Muszę się czegoś, czegokolwiek, dowiedzieć o tym mieście. Nigdy w życiu tu nie byłem.

– To zrozumiałe – odparł Rogoż. – Ale nie będziesz częścią naszego domu. O nas nic nie musisz wiedzieć.

Else zrozumiał. Rogoż nie chciał, żeby dowiedział się czegoś, co mógłby przekazać dalej, na przykład gdy już znajdzie się w cytadeli Bruglionich.

– Z drugiej strony, jeżeli nic nie będę wiedział o Arnienach, mimo iż rzekomo byłem u nich przez kilka miesięcy, Bruglionio wie z pewnością będą się zastanawiać.

Salny Sayag zgodził się z tym rozumowaniem.

– Porozmawiaj z nim, Rogoż. Wszyscy możecie z nim porozmawiać. Przestańcie milczeć. Podrzucie mu kilka drobiazgów. Niech coś weźmie ze sobą, jak już nas opuści. Ty, człowieku Doneta, jedyną rzeczą o której nikomu nie możesz powiedzieć, jest porozumienie, jakie mają Arnienowie z prowincją Doneto.

– Oczywiście.

Następnych dziewięć dni Else spędził z rodziną Arnienów, wsłuchując się we wszystko, co chcieli mu przekazać, jak też dowiadując się co nieco o Ojczystym Mieście. Dali mu jakąś robotę. Niezbyt czasochłonną. Tak więc kilka razy skorzystał ze sposobności i poszedł rozejrzeć się po mieście.

Istotę Brothe niełatwo było uchwycić. Odnosiło się wrażenie, jakby za murami i pod trotuarami skrywało więcej niż jedno miasto. Z pozoru omalże prowincjonalna dziura, której nie obchodzi nic prócz polityki Rodzin, małych waśni i Barw. Z drugiej strony Brothe było aż do

przesady kosmopolityczne. Na ulicach roiło się od cudzoziemców. Else słyszał dziesiątki obcych języków. Ludzie ze wszystkich krańców świata przybywali tu, by poczuć historyczną atmosferę miasta, które ongiś było sercem cywilizowanego świata.

Chwała wczorajszego dnia obróciła się w ruinę, po części splądrowaną na budulec, po części zarośniętą zielskiem i zamieszkiwaną przez biedotę czy uchodźców oraz, jak powiadali niektórzy, tysiące ciągle żywych reliktyw Delegatur Nocy. Wszyscy doskonale wiedzieli, że w Brothe mieszkają wielcy czarownicy. I nie chodziło tylko o grzecznych prowincjałów z Kolegium.

Cudzoziemcy przybywali tu szukać szczęścia. W swoich rodzinnych stronach wielu z nich zasłużyło sobie na jak najgorszą sławę. Poza tym Brothe mogło się poszczycić żywotną religią i kwitnącym przemysłem obsługi pielgrzymów. To rozbawiło Else'a. Tysiące przybywały każdego miesiąca do miasta tylko po to, by obejrzeć siedziby głównych instytucji Kościoła i w nadziei na przelotny widok Patriarchy.

Podczas pobytu u Arnienów Else uczestniczył razem z Rogożem Sayagiem i innymi domownikami rodziny w dwóch drobnych epizodach. Salny Sayag poinformował go, że rozkazy wyszły od samego don Iniga Arnieny. Don Inigo był głową rodu. Żadna z misji nie była jednak szczególnie poważna. Ukarać służącego, który okradł Arnienów. Pomścić zniewagę doznaną przez jedną z wnuczek Iniga ze strony bandy uliczników, którzy byli na tyle głupi, żeby otworzyć usta poza swą meliną.

Ale dzięki tej robocie Else mógł zostać dostrzeżony w towarzystwie innych zbirów na usługach Arnienów.

– To wszystko, czym się zajmujecie? – zapytał Rogoża Else.

– Don Inigo nie miesza się w duże awantury. W przeciwieństwie do wszystkich innych w Brothe.

– Hm?

– Wychodzi na to, że im większy zaczyna tu rządzić chaos, tym bardziej wszyscy się starają kryć swoje błędy. To tylko potęguje chaos. A don wolałby raczej robić wszystko w niecny, sekretny sposób.

Else stanął na wysokości zadania i udowodnił, że umie współdziałać z innymi. Niewiele musiał taić ze swej przeszłości. Rogoż Sayag też niechętnie mówił o sobie. Wychodziło na to, że być może wcale nie spędził tak wiele czasu w stronach, gdzie miał się uczyć swego rzemiosła. W

krajach, gdzie jego drogi mogłyby się skrzyżować z wolnym najemnikiem z Duarnenii, małego państewka na wschodnim brzegu Morza Płytkiego.

Najemnicy w ogóle niechętnie wspominali przeszłość. Zazwyczaj gdzieś tam byli ludzie, którzy żywili do nich urazę. Przede wszystkim chodziło o głupie decyzje z początków kariery, wkrótce po tym jak opuścili dom.

Podczas gdy porządek publiczny w Brothe rozpadał się w oczach, sytuacja Patriarchy za granicą też nie napawała optymizmem. Z każdym dniem piratów Calziru przybywało i byli coraz bardziej zuchwali. Wydawało się, jakby opanował ich rodzaj zbiorowego szaleństwa. Celem najpoważniejszych ataków zawsze były posiadłości Kościoła lub rodziny Benedocto i zawsze zdarzało się to na terytorium państw episkopalnych. Na wybrzeżach Alameddine ledwie słyszało się bodaj plotki o piratach. A królestwo to, poddane Imperium Graala, znajdowało się między Calzirem a Państwami Episkopalnymi. Poza tym najeźdźcy nie pojawiali się na żadnych innych terytoriach chronionych przez Imperatora Graala czy republiki kupieckie.

Nawet kretyni, których nie obchodziło nic poza czubkiem własnego nosa, zaczęli podejrzewać, że w grę wchodzi spisek. Za którym stoi Johannes Czarne Buty.

W Brothe każde wydarzenie natychmiast tłumaczono sobie jako ogniwo spisku. Nic nie mogło być tym, czym wydawało się z pozoru, ani tym, czym być miało. Cokolwiek szło źle, było skutkiem wrogiego spisku.

Else natomiast był przekonany, że wszelki spisek, którego częścią byłiby pramańscy piraci, powinien być raczej skutkiem manipulacji al-Karn niż Imperium Graala.

Dla Dreangeru korzystne było wszystko, co odwodziło Wzniosłego od pomysłu krucjaty na wschodzie. Każda zwłoka to kolejne tygodnie, miesiące lub lata bliżej błogosławionej chwili, gdy człowiek ten wstąpi do chaldarańskiego nieba. Wówczas znajdujące się pod ciągłym ostrzałem i udręczone Kolegium z pewnością wybierze kogoś znacznie mniej kontrowersyjnego, wojowniczego i ambitnego.

Dziwiącego dnia pobytu Else'a u Arnienów, kiedy akurat szkolił trzech synów z tej rodziny, próbując skorygować ich wojowniczą postawę na ewentualność prawdziwego pojedynku, pojawił się Rogoż Sayag.

– Zapamiętajcie. Kiedy spotka się dwóch wojowników o identycznych umiejętnościach, przeżyje ten, który dłużej zachowa siły. – Z rozmysłem

użył słowa „przeżyje” zamiast „zwycięży”.

– Dobrze ich uczysz, Hecht. – Sayag od razu się zorientował, o co chodzi.

– Póki są młodzi, wydaje im się, że tylko przeciwnik jest śmiertelny. Jednak ci chłopcy najwyraźniej słuchają. To dobrze.

– Widać, że już to kiedyś robiłeś. Naprawdę uważają – stwierdził z uznaniem Rogoż.

– To są dobre dzieciaki. Przede wszystkim próbuję wpoić im, że połowa tych, co się pojedynkują to przegrani.

– Z pewnością to trudna lekcja. Ojciec chce cię widzieć. Don zaaranżował spotkanie z Paludanem Bruglionim.

– Tak szybko? – mruknął Else.

– Już wieczorem, jak przypuszczam. Nie cieszysz się?

– Nie tylko jestem już dość stary, by wiedzieć, że połowa pojedynkujących się to przegrani, ale jestem też dość stary, by wiedzieć, że niezależnie jak się jest dobrym, znajdzie się ktoś lepszy. – Else kazał chłopcom zrobić sobie wolne na resztę dnia.

– Nie jestem pewien, czy cię rozumiem, ale wierzę na słowo.

Kiedy znaleźli się u Salny’ego Sayaga, ten zaproponował:

– Przysuń sobie krzesło, Hecht. – Else jakiś czas temu przestał się dziwić zachodniej serdeczności. Po chwili stary kontynuował: – Poleciłem cię Paludanowi Bruglioniemu. Udawał, że mu nie zależy, ale naprawdę potrzebuje kogoś takiego jak ty. Też możesz skorzystać. Musisz tylko się zachowywać, jakbyś był tym, kogo on chce.

Else mruknął coś pod nosem, po czym rzekł:

– Martwi mnie parę rzeczy. Dlaczego tak wielka rodzina jak Bruglionowie potrzebuje pomocy z zewnątrz? Stracili wprawdzie kilku ważnych synów, nie wydaje mi się jednak, żeby osłabiło ich to w stopniu...

– Niemniej tak się właśnie stało. Masz rację. Bruglionowie są liczni. Ale każdy Bruglioni ucieka z Brothe, gdy tylko nadarzy się okazja. Paludan jest trudnym człowiekiem. Zżera go nienawiść. Jednak zazwyczaj dobrze to maskuje. Jego brat i ich ojciec też byli pożałowania godni.

Brzmiało to jak niezły hak emocjonalny.

Sayag mówił dalej:

– W minionym stuleciu wśród bogaczy Brothe panowała moda, by uważać się za zbyt dobrych na brudzenie sobie rąk wojną czy handlem. Im więcej najemnych było w domostwie, tym wyższy status rodziny. Bruglioni

wzięli sobie to trochę za bardzo do serca. I nigdy tak naprawdę z tego nie wyrosli. Po szeregu mało twórczych głów rodziny zatracili właściwie wszelkie umiejętności zrobienia czegoś własnymi rękami.

– Rozumiem. – Nie rozumiał.

– Bruglioni, którzy zginęli na Madhur Plaża, byli kwiatem ich młodzieży. Teraz chroni ich tylko zła sława okrucieństwa i brutalności. Ale wilki czują krew. Zbierają się sępy. Wynajęte miecze opuściły Paludana. Podpadł Bractwu Wojny. Przekonani są, że to on pozabijał ich ludzi tej nocy, gdy stracił swoich synów. A służący Bruglionich mówią, że następnego dnia widzieli w cytadeli odcięte głowy. Plotka głosi, że Paludan osobiście zamęczył na śmierć ojca Obilade. Sylvie Obilade był domowym kapłanem i osobistym spowiednikiem Paludana, ale też szpiegiem. To on zorganizował zasadzkę na placu, nie przewidziawszy, że zakończy się to krwawą łaźnią.

– Rozumiem. Zakręty historii Brothe. Paludan Bruglioni nie jest dobrym pracodawcą.

– Właśnie. Don Inigo i ja ostrzeżyliśmy go, by w twoim wypadku panował nad sobą. Po pierwsze, dlatego że rozpaczliwie potrzebuje kogoś takiego. Po drugie, ponieważ uważamy cię raczej za pożyczkę niż podarunek, z którym mógłby robić, co mu się podoba.

– Naprawdę? – Co teraz? Iniga Arnię spotkał tylko przelotnie. Don był posiwiiałym kurduplem, na tyle próżnym, by farbować włosy na czarno. Jednak lubił żarty, nawet jeśli żartowano z niego. Zachowywał się mniej formalnie i pompatycznie niż Salny Sayag.

Else nie potrafił pojąć, dlaczego don Inigo miałby szczególną ochroną objąć wędrownego zbója, którego chciał nasłać na wroga w ramach szerszej intrygi.

– Don poprosił mnie, abym ci wytłumaczył, że w dosłownym sensie prawda wygląda inaczej.

– Musisz mówić jaśniej.

– Dawno temu, kiedy obaj jeszcze byli właściwie dziećmi, Freido Bruglioni, ojciec Paludana, znieważył Dracona Arnię; Paludan nie wiedział, że don Inigo wie. Don Inigo wie też, że w oczach Bruglioniego był to tylko jeden wielki żart. Sam nie znam wszystkich szczegółów. Wiem tylko, że don Draco przysiągł pomścić obrazę. A don Inigo obiecał ojcu na łożu śmierci, że sprawę doprowadzi do końca. Zeszłego lata, kiedy serce Inigaomalże go nie zdradziło, przyłączył się do intrygi, w której głos

Arnienów w Kolegium miał zablokować Bruglionim pewną decydującą inicjatywę. Równocześnie oficjalnie don Inigo wciąż pozostawał wiernym sojusznikiem Paludana.

– Chyba zacznam pojmować.

– Bez wątpienia Benedoctowie obsadzili cię w podobnej roli.

– To nie oni. Bronte Doneto.

– Który w opinii większości ludzi jest tylko przedłużeniem woli Patriarchy. Mniejsza. Don nie oczekuje od ciebie więcej, niż i tak byś zrobił.

– Więc tak. Dlatego prowincjał Doneto bez większego trudu mógł zaaranżować przeszmugłowanie mnie tylnymi drzwiami do Bruglionich.

– Tak.

– Czego chcecie?

– Wszystkich informacji, jakie uda ci się zdobyć, które dadzą donowi szansę zaszkodzenia Bruglioniemu jeszcze bardziej w oczach świata.

– Bardziej?

– Bardziej, niż mogłoby im zaszkodzić wbicie noża w plecy w Kolegium. Najlepiej byłoby znaleźć coś, co sprawi, że motłoch zapragnie rozszarpać ich na strzępy.

– Co za miasto. Oczywiście. Ponieważ prowincjał powiedział mi, że na razie nie zechcecie się ujawnić. Ponieważ póki nikt nie zastąpi Rodriga Cologniego, decydujący głos Arnienów nie będzie potrzebny.

– Patriarcha musi reagować szybko, choćby po to, by odeprzeć oskarżenia, że to on stoi za zamordowaniem Rodriga.

– Sądziłem, że mordercą jest wielki blondwłosa cudzoziemiec. Jeśli nie któryś z Bruglionich.

– Tak czy siak, ktoś wymordował cały oddział weteranów Bractwa, żeby dostać Rodriga Cologniego. A to nie jest dziecięca igraszka, Hecht. Sam Bóg nie byłby zainteresowany tak trudną robotą.

Else wzruszył ramionami.

– Wychodzi na to, że to nie żadna niezwykła sprawa.

– Po prostu coś większego i bardziej skomplikowanego niż to, co robiłeś dotąd. Kiedy tu przybyłem, z początku nic nie rozumiałem. Ale ludzie są tylko ludźmi, tutaj mają po prostu więcej entuzjazmu. Dobra, umowa stoi. Przygotuj się do drogi.

Else był rozbawiony. I oto znalazł się na miejscu, pod frontową bramą odrażająco brzydkiej wapiennej fortecy Bruglionich. Rogoż tu go zostawił.

– Chcesz, żebym zaczekał, Hecht?

– Marnowałbyś tylko czas, nie? Trafię.

– Dobra, w takim razie uważaj na siebie. Niektórzy Bruglionowie są naprawdę straszni. – Sayaga nie obchodziło, że wartownicy Bruglionich mogą wszystko słyszeć.

– Do strasznych ludzi też można przywyknąć.

Rogoż roześmiał się i odszedł.

Else wszedł za wartownikiem do wnętrza cytadeli. Tamten przekazał go nerwowemu, chudemu, małemu obszarpańcowi, który powiedział:

– Na imię mam Polo. Mam ci pomagać, póki będziesz z nami. Nigdy nie zapominaj, że pracuję dla Paludana Bruglioniego. Zaraz się z nim spotkasz.

Else rozejrzał się po otoczeniu. Słowo „ponure” opisywało je najlepiej i najbardziej celnie. Nikt najwyraźniej nie wkładał bodaj odrobiny wysiłku w utrzymanie czystości. Było tu trochę strasznie, jakby z tego akurat miejsca w Brothe nie wypędzono ze szczerem ostatnich, lękliwych macek nocy.

– Czy don jest czarownikiem?

Polo pisnął zaskoczony.

– Nie jest?

– Nie. Jeśli pytasz o Paludana. Ale nie o to chodzi. Nikt nie mówi o nim „don”. Mimo iż bardzo by mu się to podobało.

– Naprawdę? Dlaczego nie?

Polo rozejrzał się dookoła, jakby wypatrywał, czy coś nie czai się w ciemnościach.

– Nie jesteś z Brothe, co?

– Nawet nie z Firaldii. Czemu?

– Tytuł dona jest wyrazem szacunku. Cieszą się nim tylko ci, którzy na niego zasłużyli. Tytuł wyrasta stąd – uderzył się dłonią w pierś. – Dostają go ci, którzy potrafią przewodzić. Od tych, którzy za nimi idą. Rozumiesz?

– Tak. – Podobna tradycja istniała wśród plemion Peqaa i na innych odległych obszarach Królestwa Prawdy. Polo chciał powiedzieć, że domownicy Bruglionich nie uważają Paludana Bruglioniego za człowieka, który zasługuje na tytuł dona. – Rozumiem. Powinienem się jakoś specjalnie ubrać?

– Nikt by nie zauważył. Jesteś po prostu zwykłym rzemieślnikiem. Tylko używasz miecza zamiast młota.

Umęczony Polo najwyraźniej pielęgnował w sercu urazę wobec swoich pracodawców.

Wszystko, czego Else się dowiedział o Bruglionich podczas swej służby u Arnienów, wywarło na nim jak najgorsze wrażenie. Ale powstały w ten sposób wizerunek nie był aż tak ponury, jak wynikałoby z widoku tego miejsca i słów Pola.

Czy Polo mógł być kimś w rodzaju prowokatora?

To nie jest życie – każdą wolną chwilę poświęcać na paranoiczne rozmyślenia o motywach kierujących ludźmi dookoła. A jednak paranoja stanowiła kamień węgielny jego misji. Jak mógłby bez niej przeżyć?

Nieco później Else zapytał:

– Powiedz mi coś, Polo. Twierdziłeś, że Paludan Bruglioni nie jest czarownikiem. To może chodzi o kogoś innego? Czuję ciemność. Jakby gdzieś tu blisko znajdował się aspekt Delegatur.

– Inni mówią to samo, panie. Być może dlatego, że Bruglioni tak bardzo nie chcą mieć nic wspólnego z mrocznymi mocami. Wręcz próbują ignorować ich istnienie. Divino Bruglioni musiał opuścić dom, kiedy wstąpił na ścieżkę, która doprowadziła go do Kolegium. Powiadają, że Bruglionowie za wszelką cenę nie chcą podporządkować się Woli Nocy.

Świat istotnie okazywał się niezrozumiały, kiedy jedyną prawdą u nim miało być to, że wszyscy kłamią.

– Czas się spotkać z pewnym człowiekiem – oznajmił Polo.

Else się skoncentrował. Stał się Piperem Hechtem, wędrowcem z najdalszych bagien chaldarańskiego świata i doświadczonym żołnierzem, poszukującym służby w jednym z wielkich domów Brothe.

Else ze wszystkich sił się starał, by jego słowa brzmiały szczerze:

– To nie był mój pomysł. Don Inigo mnie przekonał. Powiedział, że jest ci coś winien, że ostatnio okrutny los nie był ci przychylny i że chce pomóc. Poza tym powiedział, że lepsze perspektywy kariery otwiera mi służba u Bruglionich niż u Arnienów. – Rogoż Sayag poradził mu, aby odwołał się do wrodzonej arogancji Bruglionich.

– To ma sens – mruknął Paludan Bruglioni.

Przystojny smagły mężczyzna z sumiastym czarnym wąsem powoli zaczynał tracić włosy. Był potężnie zbudowany, ale nie gruby. Oczy

wydawały się pozbawione życia, choć mogło to być wynikiem emocjonalnych przejść ostatnich dni. Głowa w kształcie jajka stojącego na cieńszym końcu. Przylegające do czaszki uszy. Z wyglądu sądząc, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce.

Paludan Bruglioni był dziesięć lat młodszy. W świetle lamp nie było widać nabrzmiałej cery, świadczącej o stałym nadużywaniu alkoholu, ani blizn po wrzodach, będących następstwem choroby złapanej w jednym z domów uciech Brothe. Miał reputację człowieka próżnego, twierdzono, że wychodząc z domu, zakłada maskę.

W świetle lampy był przystojnym bogatym dżentelmenem na lekkim rauszu. Z nie do końca jasnych powodów w cokolwiek kiepskim nastroju.

– Powiadasz, że chcesz zająć miejsce mojego bratanka Saldiego i że jest to przysługa dla Iniga Arnieny?

– Don okazał mi życzliwość. Przyjął mnie do siebie, kiedy moje rokowania nie wyglądały najlepiej, ale nie potrafił mi zapłacić tyle, ile jestem wart. Odsyłając mnie tutaj, sądzi, że wyświadcza przysługę i mnie, i wam.

Paludan spojrział ponuro. Czy to naprawdę możliwe, że ten człowiek jest tak płytki i tępy, na jakiego wygląda?

Bruglioni zerknął na dwu mężczyzn stojących obok niego, z których żaden nie wymienił dotąd swego imienia. Jeden z nich musiał być bez wątpienia wujem lub kuzynem. Wyglądał jak starszy Paludan. Drugi był blady, miał siwiejące ryże włosy i bezkrwistą twarz z wystającą dolną szczęką; jeszcze bardziej zniszczona niż twarz Paludana, przypominała trupa czaszkę.

Żaden nie odezwał się słowem.

Else przyjął, że trupa czaszka musi należeć do Gervasego Saludy, długoletniego przyjaciela Paludana, powszechnie uważanego za jego prawą rękę.

– Osobiście byłbym szczęśliwy, mogąc zostać tam, gdzie byłem dotąd – powiedział. – Don Inigo jest pracodawcą o jakim marzą przedstawiciele mojego zawodu. Ale kiedy opuściłem Tusnet, miałem większe ambicje. W Duarnenii przyszłość jest niezmienna i ustalona. Wcześniej czy później ginie się na Wielkich Bagnach. Powoli i nadzwyczaj boleśnie, jeżeli dopadnie cię Głajducha. Poganie za dnia oddają cześć Tyranii Nocy. Świątują swą uległość wobec Woli Nocy.

Paludan uśmiechnął się. Trupia Czaszka zerknął na to, co trzymał w dłoniach.

– Byłeś z Grade'em Drockerem i Bractwem w trakcie tej awantury w Connec zeszłego roku?

– Tak. Byłem w drodze do Brothe, kiedy pod Raili natknąłem się na oddział Bractwa rekrutujący najemników.

– W miejscu, gdzie wydobywają marmur.

– Tak. Dowodził kapitan Bractwa Veld Anwolker. W drodze przyłączyło się do mnie kilku towarzyszy, głównie młodzików i zbiegów. Wydawało im się, że chcą zostać żołnierzami. Marzyli o romantycznych przygodach. Bractwo oferowało dobre szkolenie, dobry żołd i niewykluczone, że szansę pokazania im, jaka jest prawda, za której odkrycie nie zapłacą życiem. A więc kiedy dzieciaki chciały się zaciągnąć, zaciągnąłem się z nimi.

– I wszystko układało się zbyt pięknie, żeby mogło to być prawdziwe.

– Tak. Ponieważ od razu los musiał się wtrącić.

– Tak to już jest. Zwłaszcza kiedy miłe początki.

– Wysłano nas do Connec. Przez idiotyczne rozkazy Patriarchy i bezmózgiego lokalnego biskupa wszyscy moi chłopcy zostali zabici. Tylko garstce udało się ująć z życiem. Rzecz jasna, głównie żołnierzom Bractwa. Nietrudno się domyślić, nieprawdaż? I głównie grubym szychom.

– Tak już się kręci świat.

– Tak. Ale to nie w porządku. Nieważne, znowu byłem na swoim. Minął cały miesiąc, zanim w ogóle usłyszałem o Gradzie Drockerze, który rzekomo miał tam dowodzić... rozumiecie, ani razu nawet nie ujrzałem tego dupka. On i jego kumple z Bractwa uciekli w dół rzeki, tam zdobyli statek i przeprawili się morzem. Zostawiając nas, żebyśmy się sami o siebie zatroszczyli.

Czaszka powiedział:

– Kilku weteranów awantury w Connec było zaangażowanych tamtej nocy, gdy straciliśmy Gildea, Acata, Saldiego i pozostałych. Wiedziałeś o tym?

– Nie. Niewiele wiem na ten temat. Tylko plotki. Nigdy się nie dowiedziałem nawet tego, którzy członkowie Bractwa ocaleli i wrócili. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi. Raz wystarczy.

– Dlaczego się nie zainteresowałeś tą sprawą? Przecież chciałeś z nami pracować.

– Nie chciałem. Nie wtedy. A Arnienowie nie mieli z nią nic wspólnego, póki don Inigo się nie zorientował, że Bruglionowie są w opałach, i zdecydował za sprawą mojej osoby okazać im szacunek.

– Przyznajesz, że jesteś najemnikiem? – zapytał Paludan. – Że przede wszystkim obchodzi cię własna kariera?

– Jasne. Dlaczego nie? Oznacza to, że jestem lojalny, oddany sprawie i że wykonuję swoją robotę najlepiej jak potrafię. Don Inigo cieszył się moją całkowitą lojalnością. Jeżeli mnie zatrudnicie, lojalność przejdzie na Bruglionich. Gdyby don Inigo zwolnił mnie ze służby, pewnie opuściłbym Brothe. Vondera Koterba prowadzi zaciąg w Alameddine. Proponuje wyjątkowo dobre warunki. Ale don Inigo prosił mnie, żebym tu przyszedł. Więc jestem. Będę służył u was, póki mnie nie zwolnicie lub nie poślecie gdzie indziej.

Wypowiedź Else'a streszczała domniemaną filozofię bractwa najemników w Firaldii. Ale to były puste słowa: i najemnicy, i pracodawcy trzymali się tych ideałów tylko wtedy, gdy było im to wygodne.

To nie była epoka, w której duże, stałe oddziały dowodzone przez słynnych profesjonalistów zaciągały się jako oddzielne jednostki. Ostatnia taka kompania zakończyła żywot wraz z rozbiciem regimentu Adolfa Blacka podczas Masakry pod Czarną Górą.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

– Nie musicie. Pod tym względem niczym się nie różnię od każdego innego ewentualnego pracownika. Powinniście zadać sobie pytanie, po co miałbym wam szkodzić? – Od Pinkusa Ghorta i innych, którzy wojowali w Firaldii, Else się dowiedział, że powinien tę rozmowę utrzymać w atmosferze lekkiej paranoi. Firaldianie, którzy wynajmowali ludzi, by ci za nich walczyli, często okazywali się naiwni. Wielu bojowników za pieniądze cechowało się tym samym. I nikt nikomu nie ufał.

We współczesnej Firaldii fortuny, lojalność i sojusze zmieniały się lotem błyskawicy. Zdrada była częścią normalnego życia. Dla niektórych – sposobem życia.

Na ile Else Tage zdążył się zorientować, Półwysep Firaldiański był miejscem, do którego wyemigrowało na emeryturę szaleństwo świata. Tu nic nie miało sensu inaczej, jak tylko na najbardziej powierzchownym poziomie.

– Gervase? – zapytał Paludan Bruglioni.

– Inigo Arniena i Salny Sayag wystawili mu tak znakomite rekomendacje, że omalże należy podejrzewać, że chcieli się go pozbyć.

– Przez te pirackie rajdy Arnienowie mieli ostatnio kłopoty z wywiązywaniem się z finansowych zobowiązań – zauważył trzeci mężczyzna.

– Wszystkim się dały we znaki – mruknął Paludan.

– Im bardziej niż komukolwiek, wyjąwszy Benedocta. Nie otrzymują rent czynszowych i opłat.

– To prawda, Hecht? Próbują ograniczyć wydatki?

– Nie wiem. Było trochę gadania, że sprawy nie idą najlepiej. Ale nic konkretnego. Ach. Słyszałem coś o sprzedaży jakiejś wyspy. Na morzu Vieran. Sonsanom. Wydaje mi się, że rodzinie Scoveletti, z którą są powiązani przez jakieś małżeństwo.

To spotkało się z żywszym oddźwiękiem.

– Sogyal? – zapytał Paludan. – Rozważają pozbycie się Sogyal? Ha, ha!

Rogoż twierdził, że wzmianka o sprzedaży wyspy może się okazać decydująca. Else nie miał pojęcia dlaczego.

– Nie wiem. W mojej obecności nikt na ten temat nie rozmawiał. Przypadkiem podsłuchałem. Myślę, że to wielki sekret, który ma pozostać w tajemnicy aż do sfinalizowania umowy. Martwiono się, że Dateon albo Aparion mogą się zbyt szybko dowiedzieć.

– Ha! Sogyal. Ci głupcy nigdy tak naprawdę nie rozumieli, jak cenna jest ta wyspa.

Paludan Bruglioni wdał się w długą, grzmiącą tyradę na temat zdrad, zaaranżowanych małżeństw, znowu zdrad, posagów, jeszcze większych zdrad, w których wyniku szczególnie świetnie usytuowana i zdatna do obrony wyspa w połowie zeszłego wieku trafiła w ręce Arnienów. Sogyal miała tak znakomite położenie strategiczne, że kupić ją próbowali Patriarcha, Imperator i Cesarz, wszystkie republiki kupieckie, jak też kilku pomniejszych królów i książąt. Arnienowie nie chcieli sprzedać. W trakcie konfliktu między Dateon i Aparion o panowanie nad morzem Vieran ich bezrozumny opór zaowocował kilkoma próbami zdobycia wyspy siłą.

Else tylko kiwał głową starając się wyglądać mądrze, aż w końcu powiedział:

– We wszystkich firaldiańskich opowieściach jest pełno zdrady.

– To są wspaniałe wieści – oznajmił Paludan. – Na tej wiedzy możemy wiele zyskać. Gervase, Hecht to ktoś, kogo nam trzeba. Dogadajcie szczegóły i wprowadź go. Można mu na stałe przydzielić Pola.

Cały dzień Else spędził na zwiedzaniu cytadeli Bruglionich. Pozwolono mu wszędzie zaglądać.

– Uwierz mi, nie ma po co tam iść – poinformował go Polo, kiedy Else myślał o zejściu do piwnic.

– Myślałem, że wolno mi chodzić, gdzie chcę.

– Wolno. Po prostu mam nadzieję, że tam nie pójdziemy.

– Dlaczego nie? Co tam jest?

– Brud, smród i pajęczyny. Może jedno czy dwa widma. Naprawdę nic, z czym chciałbyś się spotkać. A potem długa, długa wspinaczka na górę.

– Jesteś pewien, Polo?

– W grę wchodzi też dziecięce strachy. Tam na dole mieszka babok.

– Babok jest realny, Polo. Jeżeli znajdziesz się w złym miejscu i złym czasie i nie jesteś przygotowany na baboka, możesz trafić do świata kłopotów. Tam, skąd pochodzę, takie rzeczy zdarzają się na co dzień.

– To jest Brothe, panie. To miasto istnieje tylko dlatego, że istnieją Delegatury Nocy. Brotheńczyków nie trzeba przekonywać.

Else zszedł po długich schodach.

Piwnice Bruglionich wyglądały jakby wyjęte wprost z horroru. Pajęczyny, robactwo, błocko, kałuże ścieków i zdumiewający wachlarz wstrętnych woni. Oraz kilka pomniejszych, nieszczęśliwych duchów, ukrytych w zalegającej ciemności.

Else wkrótce zrozumiał opory Pola przed wędrówką powrotną.

– W dawnych czasach pod całym miastem były piwnice – mówił zadyszany Polo. – Po prawdzie to wciąż są, niektóre nawet głębsze niż ta. Co dziesięć, piętnaście lat następuje obwał, ponieważ część podziemi zapada się pod ciężarem tego, co na nich pobudowano.

– Założę się, że można wtedy znaleźć jakieś ciekawe antyki.

– Antyki zostały zrabowane już w starożytności. Teraz można znaleźć tylko ciała. Niektóre z dawnych czasów, ale sporo z nie tak dawnych.

– To znaczy?

– To znaczy, że cała kasta w brotheńskiej społeczności wykorzystuje stare katakumby. Żyje w nich. I ukrywa ciała, które nie mają trafić do Teragi albo

na jakąś uliczkę. Wszystkie cenne rzeczy, jakie znajdzie się tam, w dole, z pewnością zostały ukradzione nie dalej jak parę dni temu.

Pierwsze wrażenia z innej strony miasta, myślał Else. Strony, która zawsze jest w każdym mieście, zazwyczaj najbardziej rozrośnięta tam, gdzie państwo jest najsłabsze. Strony, która musi istnieć, żeby byli ludzie, których można skazywać na galery albo zsyłać do kopalń.

Cztery dni po przybyciu do cytadeli Paludan Bruglioni wezwał Else'a na wieczorną naradę. Jego kwatery były urządzone tak ascetycznie, że mogłyby należeć do jakiegoś mnicha.

Pojawiło się kilkoro spośród młodzieży Bruglionich. W towarzystwie ochroniarzy przyszli sobie obejrzyć nowego człowieka, którego niezbyt wyraźnie określone obowiązki miały między innymi obejmować szkolenie pozwalające im ewentualnie uniknąć losu krewnych z Madhur Plaża. Ochroniarze nie wyglądali na szczególnie uszczęśliwionych. Jeden rzut oka wystarczył, by wiedzieć, że nie są tymi, za kogo się podają.

Paludan i Gervase Saluda nie przedstawili go nikomu.

– Mądrze wykorzystałeś czas, Hecht? – spytał senior Bruglionich.

– To kwestia subiektywna, ale myślę, że tak. Zaznajamiałem się z miejscem i ludźmi, dzięki którym istnieje.

– Widywałem go – zadrwił jeden z młodych Bruglionich. – Zawsze ze służbą i kucharzami. Najlepszy wypoczynek wojownika.

– Gdybyście byli na lepszej stopie z domownikami, wcześniej dowiedzielibyście się o dziwnym zachowaniu ojca Obilade. A wówczas niewykluczone, że ci, co polegli na Madhur Plaża, byłiby dziś z nami. Człowiek, którego lekceważycie, nie dostrzegacie lub traktujecie jak przedmiot, okaże się zapewne waszą zgubą.

– Zamknijcie się – powiedział Paludan do swej młodzieży. – Jesteście tu, żeby się uczyć, i na tym koniec. – Tego wieczora gorzejący w nim gniew kipiał tuż pod powierzchnią.

Dzieciak, który niewczesnie się odezwał, nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Dugo Bruglioni był wnukiem Sonerala Bruglioniego i synem najstarszego z Bruglionich zamordowanych na Madhur Plaża. Dugo znęcał się nad służbą. Poza tym niewiele więcej robił.

Ochroniarze nie odważyli się odszczekiwać. Pracy było niewiele, a utracić ją strach.

Paludan ciągnął:

– Niech nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby coś powiedzieć. Hecht, jak dobrze znasz miasto?

– Niezbyt dobrze, panie. Arnienowie nie dali mi zbyt wielu okazji na przechadzki po mieście. Moją rolą w ich planach była obrona i szkolenia.

– Rozejrzyj się trochę. Nie zwracając na siebie uwagi.

– Tak, panie. – Właśnie mu zaproponowano, by za pieniądze realizował swoje sekretne marzenia.

– W Connec pracowałeś dla Bractwa. Spodobało ci się to, co robią i jak?

– Wcale. To są arogancy, pełni przekonania o własnej wyższości głupcy. Zasłużyli sobie na to, co ich spotkało. Choć należy przyznać, że wykonywali tylko rozkazy Patriarchy, które biskup Antieux zmieniał co pięć minut. Serifs był takim idiotą, że rozmiarów jego kretynizmu nie jest w stanie wyobrazić sobie nikt, kto go nie spotkał. Słyszałem, że prowincjał Doneto kazał go zrzucić ze skały, ponieważ był obrazą dla księżego stanu.

– Też słyszałem tę plotkę – powiedział Gervase. – Ale nie jest prawdziwa. Biskup Serifs faktycznie zginął w wyniku upadku, ale stało się to w trakcie ucieczki przed oficerem Braunsknechtów, już po tym jak złapali go ludzie Imperatora. Tak naprawdę jego śmierć była przypadkowa.

– Faktycznie? – zdumiał się Else. – To naprawdę interesujące.

– Plotka jest zawsze bardziej sensacyjna.

Paludan zapytał:

– A więc nie pałasz miłością do Bractwa Wojny?

– Ani trochę. Jako instytucji. Ale są w nim ludzie, których mógłbym polubić. Czemu?

– Bractwo zamordowało sześciu Bruglionich. Włączywszy w to moich jedyńskich synów, Acato i Gideo. Oraz paru kuzynów, z których jeden był nadzieją rodziny. Gdybym teraz padł martwy, Dugo przejmie po mnie schedę. I nie będzie zwracał uwagi na rady twoje oraz Gervasego. A po roku rodzina spłynie rynsztokiem. Chyba że któryś z naszych prowincjonalnych kuzynów będzie miał dość rozumu, aby w odpowiednim momencie poderżnąć Dugowi gardło.

– Być może nie będzie to pasować do stylu Bruglionich, ale mam propozycję – powiedział Else.

Twarz Paludana pojaśniała. Naprawdę przejmował się przyszłością Bruglionich.

– Powiedz.

– Zmieńcie zasady. Wezwijcie z powrotem najlepszych Bruglionich spośród tych, którzy opuścili miasto.

Paludan jęknął, obrzucając Else'a ponurym spojrzeniem.

– Przyjrzyjcie się, komu dobrze idzie. I sprowadźcie tu, gdzie ich zdolności mogą się najlepiej przydać – ciągnął Tage.

Paludan i Gervase patrzyli na Else'a, jakby ustami idioty przemawiał geniusz. Bowiem zgodnie z milczącym porozumieniem, opuszczający miasto Bruglionich na zawsze uwalniali się od brotheńskich zobowiązań.

– Pomyślmy nad tym, Hecht. Niewykluczone, że otwierają się tu jakieś możliwości – rzekł protekcjonalnie Paludan. – Powiedz nam, jak mamy się zemścić na Bractwie.

– Co? Zemsta? Przecież ci, którzy byli za wszystko odpowiedzialni, zginęli.

Paludan ponuro spojrział na Else'a, być może zastanawiał się, jak można być w jednej chwili tak dobrze poinformowanym i tak ignoranckim w następnej. Czego rzekomo miał nie wiedzieć? Może chodziło o głowy? Albo o to, przez co przeszedł ksiądz, zanim wpadł do Teragi pół mili w górę rzeki od Castella dollas Pontellas? Ale przecież o tym wiedzieli wszyscy w cytadeli Bruglionich. Co oznaczało, że i poza nią szczegóły były tajemnicą poliszynela.

– Na twoim miejscu bardziej interesowałbym się ochroną przed Bractwem – powiedział Else.

– Dobrze gada, Paludan – zauważył Gervase. – Nie chcemy rozpoczynać z nimi wojny.

– Wydajcie im morderców – zasugerował Else. – Powiedzcie, że przekroczyli wydane rozkazy.

– Tak właśnie zrobili. Mieli tylko porwać Rodriga Cologniego, aby moi chłopcy mogli go uratować z ich rąk. Ale wtrąciło się Bractwo. A frajerzy Obiladego też wykazali się zdolnością myślenia. Pomijając to, że byli jak jakieś nadprzyrodzone monstra. Zresztą i tak nie mógłbym ich wydać, nawet gdybym chciał. Tylko Obilade wiedział, jak nawiązać z nimi kontakt.

– W kwestii sprowadzenia rodziny z prowincji nie mamy wyboru, Paludan. Będziemy potrzebowali tu więcej ludzi, i to takich, którzy nie zdradzą rodzinnych tajemnic – oznajmił Gervase.

Paludan jęknął.

– Co się stało? Dziesięć minut temu snułem tak wielkie plany. Wzniosły miał dostać za swoje. A teraz stajemy w obliczu ewentualnego oblężenia. Otaczają mnie ludzie, którym nie mogę ufać.

Poprzednik Gordimera Lwa w podobnych słowach opisywał własną sytuację tuż przed upadkiem. Else powiedział więc:

– Nie zmieniaj celów. Po prostu zmodyfikuj plany tak, by pasowały do aktualnie posiadanych silnych i słabych stron.

– Więcej mamy słabych stron niż silnych – zauważył Gervase. – Nasze miecze stępiały w bezczynności.

– Aby ułożyć sensowne plany, musimy wiedzieć, co myślą nasi wrogowie. Kim w ogóle są nasi potencjalni wrogowie. Potrzebujemy uczciwej oceny naszej siły. I jednoznacznie sformułowanych celów.

– To znaczy?

– Musimy odkryć, do czego dążą Cologniowie, Bractwo, Patriarcha i Kolegium. Musimy wiedzieć, jak postrzegają Bruglionich. Mamy wuja w Kolegium. On ma tam przyjaciół. Bruglioni tradycyjnie już są poważnymi graczami na brotheńskiej scenie. Dysponujecie wielkimi zasobami. Każcie je zinwentaryzować. Wymyślcie, co można za ich pomocą osiągnąć.

Else wyczuwał, że Paludana w ogóle nie przygotowano do wypełniania obowiązków związanych z zajmowaną pozycją. Udawał tylko, że wie, co robić, i miał nadzieję, że jakoś się uda.

– Gervase, zrób to, co mówi Hecht. Musimy zmierzyć się z rzeczywistością. Dugo, chłopcy, idziecie ze mną – powiedział Paludan, wstając.

Dugo zaprotestował:

– Mieliśmy pójść do...

– Milcz. Nie słuchałeś? Ludzie, którzy żywią wobec nas urazy, prawdopodobnie myślą teraz, co z tym zrobić. Nie chcę, żebyś się włóczył tam, gdzie mogą cię dopaść. Idziemy.

Dugo się nadał. Wychodziło na to, że aby zaczął słuchać, potrzebna będzie ostra, brutalna reprimenda.

Gdy tamci wyszli, odezwał się Gervase Saluda:

– Szczeka mi opadła, ponieważ to był najdłuższy inteligentny i odpowiedzialny przewód myślowy, jaki widziałem kiedykolwiek u Paludana Bruglioniego.

– Tak? – mruknął Else.

– Póki nie zginęli Acato i Gildeo, wygadywał takie same głupoty jak Dugo. Dlatego Dugo nie bardzo się może teraz połapać.

– W jaki sposób rodzina w ogóle przetrwała?

– Siłą inercji. Poza tym on nią nie kierował. Przynajmniej nie za bardzo. Dorastając, nigdy nie musiał za nic brać odpowiedzialności. Tylko się bawił, a rzeczy biegły swoim torem. I zawsze mu się udawało, aż do katastrofy na Madhur Plaża.

– Trzeba było stawić czoło rzeczywistości?

– On sam się nie zmienił, ale zdał sobie sprawę, że są w życiu inne rzeczy, niż tylko dowieść, że zaciągnie więcej kobiet do łóżka niż jego ojciec. A i tak wcześniej prawie całą pracę zrzucił na nas. Nie wierzył w samego siebie.

– I?

– Postaraj się zrozumieć. Pomijając już niedostatki charakteru, Paludan nie jest szczególnie bystry. Brakuje mu subtelności. Jego ulubionym rozwiązaniem każdego problemu jest potraktować go młotem.

– Jak chciałby Dugo.

– Jak zrobiłby Dugo. Choć teraz wydaje się, że powoli zaczyna coś do niego docierać. Wie, że musi zacząć robić właściwe rzeczy. Dla rodziny. Tymczasem jego główny doradca, czyli ja, również wcale niekoniecznie jest dużo bystrzejszy czy bardziej subtelny.

– Naprawdę?

– W całą tę sytuację wpędził nas mój geniusz i moja naiwność. Sylvie Obilade manipulował mną. Ja sprzedałem Paludanowi pomysły księdza. Jako własne. Myślałem, że Obilade chce jak najlepiej dla Bruglionich.

– Może chciał.

– Jasne, że chciał. Był dobrym księdzem. Ale chciał być czymś więcej. Zależało mu na wielkiej potędze Kościoła, duchowej i ziemskiej.

– To nie brzmi szczególnie podniecająco. – W Dreangerze nie było aż tak strasznie, niemniej jednak w Królestwie Pokoju można było znaleźć mniejsze księstwa, w których religijni władcy zdusili wszelkie przejawy życia społecznego.

– Musimy zawrzeć pokój z Kościołem w kwestii ojca Obilade.

– Taki wiejski chłopak znad dalekiej granicy jak ja z pewnością nie do końca orientuje się we wszystkich lokalnych subtelnościach. Sześciu

domowników Bruglionich zostało zabitych. Winny był ksiądz. Mordercy sami zginęli.

– A więc myślisz, że sprawiedliwości stało się zadość?

– Tak, tak myślę.

– Kościół nie zgodziłby się z tobą. Kiedy pieprzą cię ludzie Kościoła, masz się uśmiechać, mówić, jak ci dobrze, i prosić o jeszcze.

– Chyba musi minąć trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaję. – Być może to była właśnie ta kwestia, którą da się wykorzystać, by wzbudzić zamieszanie i odwieść Patriarchę od pomysłów na nową krucjatę. – Muszę lepiej poznać Brothe, jak mówił Paludan. Nawet jeśli wziąć pod uwagę przyrodzoną arogancję ludzi, którzy twierdzą że Bóg przez nich przemawia, wciąż w tym mieście jest mnóstwo złego myślenia.

– Wyprawy na miasto mogą się okazać niebezpieczne.

– Czemu? Nawet jeśli rozeszło się słowo, że mnie wynajęliście, nikt prócz Arnienów nie wie, jak wyglądam. A oni są po naszej stronie.

– Nie jestem pewien.

– Hm?

– W tej chwili nie mam pojęcia, komu spoza rodziny mogę ufać. Nie wiem, jak to się stało, że Paludan i ja doszliśmy do wniosku, iż Rodrigo Cologni nas zdradzi. Prawdopodobnie sprzedał nas ojciec Obilade. Teraz wiemy, że się myliliśmy. Rodrigo Cologni okazał się wierny.

– Zdrada jest najbardziej popularną rozrywką w tym mieście. Spróbuję się dowiedzieć, co mówi ulica. Ty nakłonisz Paludana, żeby ustalił, co chce osiągnąć, a potem będziemy mogli układać plany. Trzeba będzie pewnie wynająć jakieś prawdziwe miecze. Ci ochroniarze to nieporozumienie.

– Nie sądzę, by się zgodził na dodatkowe wydatki. W chwili obecnej dokładnie wiemy, kogo obwiniać, jeśli coś pójdzie źle.

– Zrobię wszystko, żeby wam udowodnić, iż nie pomyliliście się, ufając mi.

Else pożegnał się z Saludą, wciąż nie do końca wiedząc, co o nim myśleć. Bystry czy tępak? Może manipulował Paludanem Bruglionim? A może był jego najlepszym przyjacielem?

Wśród wszystkich miast, jakie Else widział w życiu, Brothe nie miało sobie równego. Wiek było po nim widać znacznie bardziej niż w wypadku najstarszych miast Dreangeru. Ruiny znajdowały się wszędzie. W Dreangerze stare zawsze w końcu ustępowało nowemu. Tam ruiny nie

znajdowały się w miastach, ich siedliskiem były pustynie i góry, a – jak to było od pradawnych czasów – zamieszkiwali je jedynie umarli.

Kapłani, którzy się nimi opiekowali, zostali tysiąc lat temu zgładzeni przez Josefusa Alegianta. Jego spadkobierców z kolei wymordowali wojownicy Pramańskiego Podboju pięćset lat później.

Natomiast tutaj wszędzie znajdowały się relikty minionej chwały Starego Imperium, zazwyczaj zarośnięte przez chaszczę i pnącza. Ruiny łuków triumfalnych wciąż spinały przestrzenie ulic. Porastały je chwasty i krzaki. Else zastanawiał się, skąd biorą glebę.

Dzisiejsze Brothe znajdowało się dziesięć do dwudziestu stóp wyżej niż w starożytności. Miejscami starożytny teren leżał jeszcze niżej.

W Brothe przeszłość była równie wszechobecna i natrętna jak Delegatury Nocy na Ziemi Świętej. Jej znaczenie dla mieszkańców było nieporównywalne z tym, jakie miała w innych krajach. Dzień wczorajszy Brothe określał jego dzień dzisiejszy.

Wzniosły cieszył się powszechnym poparciem mieszkańców właśnie dlatego, że uważali, iż może wskrzesić dawną chwałę.

W Brothe nawet najbiedniejsi z lokalnej biedoty czcili minioną wielkość miasta. I wydawali się całkowicie obojętni na teraźniejszość. Obalone pomniki wczorajszego dnia górowały nad żywotami bezdomnych i włóczęgów. Panowała wszechobecna nędza. Ale Else nie zwracał na nią uwagi. Dokądkolwiek się udał, nędza i nieszczęście były naturalnym stanem ludzkości.

Else wędrował po mieście trasą, która w jego przekonaniu miała wyglądać na bezcelową łazęgę. Jak dotąd nie wypatrzył żadnego nieostrożnego ogona. Co znaczyło, że do jego śledzenia przydzielono jakiegoś solidnego fachowca. Albo kogoś, kto miał nadnaturalnych pomocników.

Nie dopuszczał możliwości, że nowy pracodawca zrezygnuje ze śledzenia go. On sam nigdy by nie pozwolił obcemu wśliznąć się tak głęboko i łatwo w swój świat, jak stało się to w wypadku Bruglionich.

Wszędzie ściagały go ponure spojrzenia. Nie rozumiał tego. Nie zauważył przecież, by pozostali cudzoziemcy cieszyli się równie nieprzychylną uwagą.

Od dawna musiał sobie radzić, wyłącznie opierając się na własnych siłach. Czy nie zapomniał decydującego szczegółu w nawiązywaniu

kontakty? A może jakieś przypadkowe nieszczęście dopadło tutejszego agenta Gordimera? Nie znał żadnych imion, tylko miejsce, do którego miał się udać. Do ambasady kaifatu al-Minfet mógł pójść tylko w ostateczności. Tawerna na nabrzeżu, wedle otrzymanych wskazówek położona tuż przy murach miasta, znajdowała się za daleko. Pozostawał tylko kontakt w dzielnicy devediańskiej.

Brothe rozpościerało się szeroko na prawym brzegu Teragi. Zdawało się ciągnąć bez końca.

– Hej, Pipe! Piper Hecht! Jak ci, cholera, leci, dupku?

Przez ulicę biegł Pinkus Ghort, mijając osły, wielbłądy, wozy zaprzężone w woły, psy i kozy. Na ulicach Brothe panował większy ruch niż w al-Karn. Panował także dwukrotnie większy smród. Nikt szczególnie się nie przykładał do sprzątanego po zwierzętach. Else widywał tu zdumiewające wprost kupy łajna.

– Ghort! Szedłeś za mną?

– Nie. Cholera. Człowieku. To czysty zbieg okoliczności. Szedłem właśnie do... Jak ci, cholera, leci?

– Pewnie nieźle, zważywszy na sytuację.

– Dopuścili cię już?

– Dopuścili?

– Do spraw Bruglionich.

Ciekawe.

– Nie mówią ci?

– Nie było mnie w mieście. Pojawił się problem na prowincji, który Doneto chciał załatwić. Wróciłem wczoraj w nocy. A więc dopuścili cię?

– Tak myślę. Ale martwi mnie, że za łatwo poszło. Nie mogę uwierzyć, że ktoś może być tak tępy, na jakich oni wyglądają.

– Uwierz. To jest miasto, do którego przeprowadzają się idioci. Dwóm trzecim z nich wciąż się wydaje, że rządzą światem.

– Wierzę ci na słowo.

– Musimy opracować jakiś sposób komunikacji.

– Wiem, gdzie mieszka prowincjał.

– A jak my mamy się z tobą kontaktować?

Else zastanawiał się przez chwilę.

– Nie potrafię sobie wyobrazić okoliczności, w których byłoby to konieczne. A ty?

– Hm... Może masz rację. Ale kiedyś będziesz musiał nawiązać kontakt. Choćby po to, byśmy mogli wymieniać wiadomości.

Ghort miał rację. Ghort miał być jego oczami i uszami w domu Doneta.

– To nie powinno być trudne. Nie trzymają mnie pod szczególnie ścisłą kuratelą. Jeszcze nie wiem, na czym będą polegać moje obowiązki. Paludan chce się dobrać do Bractwa, ponieważ sądzi, że zabili mu synów. Gervase boi się, że Bractwo może się dobruć do Bruglionich za to, co się stało z ich ludźmi.

Ghort zmierzył wzrokiem głowę Else'a.

– Masz zamiar zrobić coś z włosami?

– Co? Dlaczego? Niby co?

– Połowa elementu w Brothe rozgląda się za dwoma wielkimi cudzoziemcami o długich blond włosach. Ci dwaj uczestniczyli w katastrofie, o której właśnie wspominałeś. Kiedy podejdu bliżej i zdecydują się zastanowić, zapewne dojdą do wniosku, że to nie ciebie szukają. Załóżmy jednak, że trafisz na idiotów?

– No, tak. Teraz już wiem, czemu wszyscy patrzą na mnie złym okiem.

– Złym okiem patrzą pewnie dlatego, że wiedzą, kogo mają przed sobą.

– Bez wątpienia. Mam robotę do wykonania. To na razie.

Przez moment Ghort sprawiał wrażenie, jakby go te słowa zabolaly.

– No. Na razie.

– Powiedz „cześć” Bo i Joemu. Oraz Żelaznemu Wieprzowi.

– No.

Else odszedł, na wypadek gdyby Ghort chciał go jeszcze zatrzymać. Prowincjał Doneto nie będzie zadowolony. Else powiedział Ghortowi bardzo niewiele o Bruglionich i nic o Arnienach.

Niech się trochę pomartwi.

Else jakiś czas wędrował bez celu. Na wszelki wypadek. Nie chciał doprowadzić Ghorta do jednego ze swoich kontaktów. Przysłuchiwał się ludziom. Wiele nie usłyszał, prócz codziennych kłótni, zawodzenia, narzekania i obojętności na sprzeczki w kręgach władzy. Jedyna licząca się polityka na poziomie ulicy dotyczyła sposobów zdobycia następnego posiłku. I Barw.

Z wielkim napięciem wyczekiwano czegoś, co określano mianem Wielkich Rozgrywek Kwalifikacyjnych, podczas których w eliminacjach

miały walczyć obsady wyścigowych rydwanów z całej chaldarańskiej Firaldii. Wówczas Barwy z całą siłą dojdą do głosu.

Wędrówka Else'a zaprowadziła go na południowy brzeg rzeki Teragi, jakieś pół mili od miejsca, gdzie ojciec Obilade spotkał się ze Świętą Topielą. W przedchaldarańskich czasach rzekę uważano za autonomiczną boginię, piastującą cały zastęp duchów, z których parę było naprawdę paskudnych, a wszystkie lepiej było sobie zjednać. Teraz bogini odeszła, ale wraz z nią bynajmniej nie zniknęły wszystkie mroczne rusalki, nimfy i konie wodne, które wcześniej wchodziły w skład jej orszaku.

Starożytni Brotheńczycy dobrze sobie poradzili, negocjując kompromis z Delegaturami Nocy. Całe nabrzeże zbudowane zostało w taki sposób, że aż tchnęło wiekowym i niewzruszonym przekonaniem, iż rzeka nie wyrwie się spod kontroli. Wielkie bloki ociosanego kamienia sięgały dostatecznie wysoko ponad poziom wody – stan rzeki musiałyby się podnieść o następne dwadzieścia pięć stóp, nim pojawiłyby się powody do zmartwień.

Else ruszył po wysokim nabrzeżu z nurtem rzeki, pod drodze podziwiając kunszt starożytnych inżynierów. Pewien był, że dzisiejszego Brothe nie byłoby stać na podobne osiągnięcie, choćby ze względu na brak woli i energii. We współczesnej społeczności dawno już wyczuł powszechną inercję.

Mosty wywarły na nim wielkie wrażenie, tak ich liczba, jak i konstrukcja. Każdy był jak monument, mający trwać po wieki wieków. Przepraw przez rzekę nigdzie nie dzieliła odległość większa od trzeciej części mili. Jak się okazało, Else miał okazję znaleźć się na drugim brzegu, tuż powyżej Castella dollas Pontellas.

Całość mogłaby być niezwykle malownicza, gdyby nie tłumy ludzi, zwierząt i pojazdów psujące pejzaż.

Else usiadł na kamiennym bloku stojącym na nabrzeżu w miej – scu, z którego mógł widzieć Krois na oblicowanej kamieniem wyspie, Castella dollas Pontellas i jej sześć mostów ponad odnogą Teragi służącą w tym miejscu za fosę, jak też, dalej na lewo, dostojny masyw pałacu Chiaro, duchowego serca episkopalnego odłamu wyznania chaldarańskiego. Dobry punkt obserwacyjny cieszył się sporym wzięciem. Else usiadł wśród kilkunastu gapiów, których oblegali sprzedawcy, proponując święte rzekomo pamiątki, gorące kiełbaski i słodkie ciasteczka.

Siedząc tutaj i przyglądając się trzem wielkim budowłom z tak bliska, że bez trudu mógł dostrzec odchody gołębi na ich mrocznych pierzejach, Else po raz pierwszy poczuł wobec zachodu coś w rodzaju podziwu. Czym innym były te budynki, jak nie największymi duchami minionej świetności?

Forteca Krois wznosiła się pośrodku wielkiej wody już od dwunastu wieków. Jej budowę rozpoczęto przed narodzinami najstarszego z twórców religii chaldarańskiej. Zarządzenie wydał brotheński imperator, który nie chciał paść ofiarą motłochu, a po tym, jak to już się stało, kontynuowali ją jego kolejni następcy. Jeden z ostatnich imperatorów, już w epoce schyłku Starego Imperium, zapisał Krois Kościołowi.

Był to pierwszy legat z dalszych tysięcy, których skutkiem stało się szalone rozdrobnienie państw składających się na dzisiejszą Firaldię.

Else przyglądał się przepływającym obok łodziom i barkom, ciesząc subtelnymi zmianami krajobrazu, które powodowało pełznące na zachód słońce i jego światło nabierające złotej barwy.

– Piper Hecht?

Else drgnął, odwrócił się gwałtownie w stronę źródła niespodzianych słów, zauważając zniknięcie innych gapiów.

– Na świętego Eisa – warknął ktoś. – Dupek jest nerwowy.

Else miał przed sobą czterech zbrojnych mężczyzn, jednego z nich rozpoznał.

– Sierżant Bechter? Wystraszyłeś mnie jak cholera, podkradając się w ten sposób. Dobra. Miałeś szczęście. Uciekłeś z Drockerem?

– Udało mi się ocalić głowę. Najwyraźniej tobie również.

– Wydostałem się dzięki prowincjałowi Doneto. Z deszczu pod rynnę. W Ormienden zostaliśmy uprowadzeni przez ludzi Hansela na północ. Potem trzymali nas w Plemenzy, póki Wzniosły nie uiścił okupu za kuzyna. O co chodzi?

– Doniesiono nam o blond cudzoziemcu, obserwującym Castella. Wysłali nas, żebyśmy sprawdzili kto zacz.

– Po prostu oglądałem widoki. To znaczy, patrzyłem sobie. Co się dzieje? Skąd ta paranoja?

– Od jak dawna tu jesteś? To znaczy w Brothe, nie na tym kamieniu.

– Dziesięć, dwanaście dni. Trochę mi się to złało. Dzisiaj mam pierwszy wolny dzień i szansę pochodzić po mieście na własną rękę. Odpoczywałem, przyglądałem się płynącym barkom i tęskniłem za domem. O co chodzi?

– Słyszałeś o braciach zabitych jakiś czas temu?

Else z powrotem wlaźł na kamienny blok.

– Zapraszam do siebie. Chodź, pokłamiemy trochę na temat zabawy, jaką mieliśmy, tłukąc heretyków w Connec.

Bechter zrozumiał. Wspiął się i usiadł.

– Wiesz, co się dzieje, prawda?

– Tak do końca to nie. Tutejsza polityka jest zbyt pokręcona. Z tego, co widziałem, niewiele rzeczy ma sens.

– Oto moja rada w imię starych czasów, Hecht. Nie opowiadajmy sobie nawzajem bzdur.

– Oj! To nie brzmi dobrze.

– Cóż, dla ciebie znacznie lepiej, niż gdybyś okazał się tym gościem, którym myśleliśmy, że jesteś.

Else spojrział na Bechtera.

– Muszą się tu kręcić? Nie możemy porozmawiać w cztery oczy?

Po namyśle Bechter powiedział:

– Zaryzykuję, Hecht.

Kiedy Else wrócił do cytadeli Bruglionich, dał znać Paludanowi i Gervasemu, że chce się z nimi zobaczyć.

– Myślę, że udało mi się coś zdziałać. Mam nadzieję, że aż tak bardzo nie zależy wam na wojnie, że się na mnie wkurzycie.

– Mów – rozkazał Paludan. Był w kiepskim nastroju, który wedle wszystkich opinii stanowił jego normalny stan ducha.

– Wpadłem na kogoś, kogo poznałem podczas kampanii connekiańskiej. Należy do Bractwa Wojny. Porozmawialiśmy. Wytłumaczyłem mu, co zdaniem Bruglionich zdarzyło się tej nocy, gdy Rodrigo Cologni został porwany.

Paludan wydawał się skonfundowany, Gervase zdumiony.

– Mów dalej, cudotwórco. – Słowa sarkastyczne czy zupełnie poważne?

– Tak to wygląda. – Z nużącymi detalami Else opowiedział o wszystkim, co robił, pomijając wszak Pinkusa Ghorta. – Bechter to porządny człowiek, mimo że należy do Bractwa. Jest godny zaufania. Przedstawiłem mu prawdę widzianą waszymi oczami. On opowiedział mi, co oni sądzą. Okazuje się, że najważniejszym problemem dręczącym jego gromadkę jest to, jak dostać w swoje łapy pewnych tajemniczych blond cudzoziemców.

Podejrzewają, że Bruglioniowie ukrywają obcych. Naprostowałem Bechtera. Uwierzył mi, ponieważ znaleźliśmy się jeszcze z Connec.

Paludan i Gervase jak jeden mąż spojrzeli ponuro.

Else zaczął ich uspokajać:

– Przypomnijcie sobie, że mówiłem, iż powinniście się pozbyć wynajętych ludzi.

– Do rzeczy, Hecht – warknął Gervase.

– Bractwo po prostu chce tych dwóch. Jeżeli będziecie w stanie im powiedzieć o nich coś więcej, wówczas zapanuje pokój między Bractwem a Bruglioniemi.

– A Pan Bóg Nasz zstąpi z Niebiesiech i pocałuje każdego z nas w usta... zanim przewróci na brzuszek i zaaplikuje stare dobre grzmocenie w tyłek – odrzekł Gervase.

– Bez wątpienia. Ale nie dzisiaj. Zrozumcie. Jest wyjście.

– Wszystko to jakoś podejrzanie za dobrze się zgadza. Idziesz pierwszy raz do miasta i wpadasz na starego towarzysza broni.

– Jesteś wierzący, Gervase?

– Na tyle wierzący, na ile muszę, żeby sobie dawać radę.

– Tak też myślałem. Sam myślę podobnie. Ale przekonałem się na własnej skórze, że lepiej zakładać, iż życie jest skażone Wolą Nocy.

– Chcesz powiedzieć, że w grę wchodzi jakieś siły nadprzyrodzone?

– Zawsze tak jest. Ale w tym wypadku, tak, czuje się to szczególnie mocno. W przeciwnym razie, dlaczego Bractwo nie może znaleźć tych ludzi? Bechter powiedział, że przez cały czas otrzymują donosy o tym, iż ktoś ich widział, kiedy jednak docierają na miejsce, ani śladu. Tam, skąd pochodzę, uważamy, że jest to wystarczający dowód ochrony Delegatur Nocy. Być może nawet Kolegium nie byłoby w stanie wypłoszyć ich z ukrycia.

– Ale Kolegium sprawa nie obchodzi. Przynajmniej nie teraz. Uważasz, że powinniśmy spróbować dogadać się z Bractwem?

Else sądził, że dał to wystarczająco jasno do zrozumienia.

– Nie macie nic do stracenia.

Else czuł satysfakcję. To był dobrze spędzony dzień. Dowiódł swojej użyteczności, choć Paludan być może jeszcze tego nie dostrzegł.

W idealnym świecie wszyscy uznaliby, że dokonał wielkich rzeczy. Dzięki czemu zdobyłby pozycję. Jednak nagły pokój między frakcjami w

Brothe nie służył interesom Dreangeru.

Kwatery Else'a składały się z pojedynczej sporej komnaty, podzielonej kotarami na trzy części. Miejsce do spania było nie większe niż mnisia cela. Polo miał jeszcze mniej miejsca. Pomieszczenie o ogólnym przeznaczeniu zajmowało połowę całej przestrzeni. Kotary były stare, zetlałe i w niewielkim stopniu zapewniały prywatność. Choć równocześnie nie przenikało przez nie ciepło z małego piecyka na węgiel usytuowanego w centralnej przestrzeni.

Else wszedł do środka z korytarza.

– Polo? Jesteś tu?

Zza kotary Pola dobiegł jęk.

– Tak, panie. Która godzina? Potrzebujesz czegoś?

– Wychodziłeś, kiedy mnie nie było?

– Poszedłem zdobyć węgiel, świece, inkaust, pióra i takie rzeczy. Jak kazałeś. Papieru nie byłem w stanie znaleźć. U papiernika na ulicy Naftali towar się skończył. – Polo wysunął głowę przez szczelinę w kotarze.

– Nie musisz wstawać. Pytałem, ponieważ ktoś grzebał w moich rzeczach. Ale chyba nic nie zginęło.

Z gardła Pola wydobył się iście mysi pisk i chłopak zażartował:

– Tracili tylko czas, no nie?

– Tak. Pójdę się położyć.

Else leżał na plecach na twardym materacu, który był właściwie tylko płóciennym workiem wypełnionym plewami pszenicy i jęczmienia. Zastanawiał się nad tym, co powiedział Polo.

Reakcja służącego jakoś nie wydawała mu się właściwa, przynajmniej zakładając, że o niczym nie wiedział.

Paludan i Gervase Saluda nie wiedzieli, czego właściwie chcą od Else'a. Odczuwali jednak potrzebę zrobienia czegoś. Wynajęcie go spadło im jak z nieba. Ale z drugiej strony sam Else przecież nie mógł zastąpić wszystkich wynajętych mieczy, które zdezerterowały.

Else poprosił o określenie zakresu swoich obowiązków. Miał strzec domu. I tyle. Samiutki.

Włóczył się po cytadeli, udając, że coś robi. Budynek był brudny i zaniedbany. Służba leniwa i niechlujna.

Przez większość czasu Polo nie odstępował go na krok. Else kazał mu ukraść papier z biura handlowego Bruglionich. Razem wykonali diagram

obrazujący podział odpowiedzialności tudzież jej zakres. Else był energicznym administratorem, choć akurat tego aspektu żołnierki najbardziej nie lubił. Niemniej teraz postanowił przejść nad tym do porządku.

Cytadela Bruglionich była ogromna. I całkowicie źle zaprojektowana, jeśli naprawdę miała spełniać rolę obronną. Choć prawdziwym skandalem dopiero było otoczenie muru. Przynajmniej w miejscach, gdzie jeszcze nie odpadły gargulce. Przylegały do nich inne budynki. Stajnie, szopy na narzędzia i tak dalej. Na główną budowlę składało się sto dwadzieścia pomieszczeń na czterech poziomach. Nie licząc parteru, niewiele z nich mogło rościć sobie pretensje do okazałości. Teraz Bruglionowie nie dbali o ostentację. Rodziny po prostu nie było na nią stać.

Pod rządami Paludana rodzina funkcjonowała wyłącznie siłą bezwładności minionej potęgi. Paludan nie był głupi, tylko brakowało mu ambicji. Pozwalał, by życie toczyło się własnym torem, póki tłumiony gniew nie wyrwał się na wolność. Wtedy zdarzało mu się podejmować niemądre decyzje, jak zaaranżowanie porwania i fikcyjnej odsieczy.

Po dwóch dniach przeglądu, od którego odrywał się tylko, by szkolić młodszych Bruglionich w posługiwaniu się bronią Else zorganizował w kuchni spotkanie dla starszej służby. Dziewięcioro raczyło się stawić, wraz z nimi przyszło paru gapiów.

Jednym z dziewiątki był dowódca czteroosobowej drużyny wartowników, strzegących dwu bram do cytadeli. Else poinformował go:

– Panie Caniglia, ty i twoi ludzie macie od jutra nie wpuszczać do cytadeli panów Coprii, Grazii i Vergi. – Tylko garstka służby żyła na terenie posiadłości. Paludan nie miał ochoty karmić ich, dawać dachu nad głową i jeszcze płacić. – Już tu nie pracują. Pozostali niech się zastanowią nad zastępstwem dla nich. Powiecie mi jutro. Panie Natta? Pan również chce na ochotnika zapoznać się z tutejszym rynkiem pracy? Nie? Panie Montale. Jak rozumiem, najmuje pan nowych pracowników, gdy pojawia się taka potrzeba.

– Hm... Tak, panie. Służbę domową. Ale nie ludzi zajmujących się interesami. Ani też kiedy ma to cokolwiek wspólnego z bronią czy ochroną osobistą.

– Wkrótce będziemy potrzebowali nowej służby. Ponieważ pozbedziemy się próżniaków. Ilu spośród zatrudnionych to twoi krewni? Któryś z nich w

ogóle cokolwiek robi?

Montale zwijał się i skręcał, mówiąc wyłącznie ogródkami. Else wreszcie miał dość.

– Nie stracą pracy. Pod warunkiem że ją będą wykonywać. Czy któryś z was gotów byłby szczerze stwierdzić, że to miejsce to nie jest kompletny burdel? To się zmieni. Mamy dość ludzi. Zaczynamy od dziś. Każdy, kto dotąd bumelował i nie chce przestać, może spokojnie pójść drogą na której pionierami są panowie Copria, Grazia i Verga. O wilku mowa. Oto nasz pan Grazia.

Grazia był niski, gruby, miał wydatne usta i naturalną tonsurę. Resztki włosów na jego głowie miały barwę rudą, przyprószoną siwizną. Dowcipnisie zastanawiali się, czy prędzej posiwieje do końca, czy straci resztki włosów.

– Przepraszam za spóźnienie. Mieliśmy kryzys – wydyszał Grazia.

Jacyś kapusie zdążyli mu donieść.

– Lepiej późno niż wcale. – Cudzoziemiec i tak miał zamiar pozbawić Grazie pracy, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja. – Kiedy tu skończymy, przyjrzymy się twoim księgom. Budżet mógłby być lepiej zagospodarowany.

Twarz Grazii powlekła ziemista szarość.

– Panie Negrone. Panie Pagani. Ogólne porządki i podstawowe naprawy wchodzi w zakres waszych obowiązków. Podrzućcie mi kilka pomysłów, jak można to miejsce posprzątać, naprawić i wymalować przy pomocy bractwa przyzwyczajonego do płatnych drzemek i dziesięciogodzinnych rozgrywek karcianych. Pani Ristoti?

Miejsce pracy kucharki stanowiło jedyne jasny punkt fortecy, jaki Else zdołał znaleźć.

– Mów mi Carina. Mam kilka pomysłów.

– Świetnie, pani Ristoti. Mówię do pani i do wszystkich razem. Będziemy zwracać się do siebie z zachowaniem wszelkich form. Dzięki temu nasze stosunki nabiorą charakteru bardziej służbowego. Dobrze. Proszę pani, proszę się z nami podzielić swymi pomysłami.

W dziedzinie sekretów i zakulisowych działań pani Ristoti dysponowała umysłem marszałka polnego.

Else pozwolił jej mówić przez trzy minuty.

– Świetnie. Będzie pani wszystkim kierować. Poradzi sobie pani równocześnie z tym i zarządzaniem kuchnią? Panie Negrone? Chce pan coś powiedzieć?

Negrone otrzymał od Else'a tyleż samo czasu. Potem usłyszał:

– Jednym słowem, nie ma pan żadnych propozycji. A propozycjom pani Ristoti sprzeciwia się pan tylko dlatego, że ona jest kobietą.

– Nie ująłbym tego tak bezpośrednio...

– Skończyło się już pozorowanie pracy. Panie Grazia. Zakładam, że orientuje się pan, ile wynoszą pensje. Jakiej sumy nie przyniesie do domu pan Negrone, jeśli zostanie zwolniony?

Negrone zamruczał coś pod nosem, nim Grazia zdążył odpowiedzieć.

Else wtrącił:

– Koniec dyskusji – uciął Else. – Jeżeli sądzą, że znacie jakiś lepszy sposób, powiedzcie mi. Przekonajcie mnie. Jeżeli ludzie nie będą chcieli pracować, powiedzcie mi. Połamie im łapy i skopie tyłki. Albo zakazę panu Caniglii wpuszczać ich do środka. A więc dobrze. Zaczynamy. Idźcie i zastanówcie się, jak tę ruinę zmienić w miejsce nadające się do zamieszkania. Pan nie, panie Grazia. Pan zostaje ze mną.

Mężczyzna nie był szczególnie uszczęśliwiony.

Trochę później Else powiedział:

– Panie Grazia, pewien jestem, że pan słyszał o losie ojca Obilade – powiedział Else, gdy zostali sami.

– Tak.

– Zdaje pan sobie sprawę, że Paludana Bruglioniego czasem ponoszą nerwy, kiedy się wścieknie?

– Tak, panie.

– Znajdź jakiś sposób, żeby oddać te pieniądze. Tymczasem będziesz moim numerem jeden w okolicy. Ponieważ tkwisz po jaja w gównie.

– Tak, panie.

– Mam nadzieję, że inni okażą się tak samo rozsądni. Do roboty, panie Grazia.

Else ruszył do kuchni. Polo już tam był, słuchał pani Ristoti. Przeszkodził mu Caniglia z jeszcze jednym mężczyzną. Mieli miny tak ponure, że się wystraszył, iż coś głupiego wpadło im do głowy. Ale Caniglia powiedział tylko:

– Posłaniec zostawił dla ciebie wiadomość u Diana.

Drugi mężczyzna podał mu rulon listu.

– Wygląda na to, że pieczęć odpadła – zauważył Else.

Caniglia jęknął.

– Co tak ponuro? – zapytał Else.

– Paru spośród tych, których nie pozwoliłeś nam wpuszczać, wpadło w szal, kiedy to usłyszeli. Mówią, że skończy się jeszcze bardziej paskudnie, jeżeli jutro też nie będą mogli wejść.

– Zajmę się tym.

Ale to nie poprawiło nastroju Caniglia. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Od kogo jest list? – dopytywał się Polo.

Else siedział plecami do ściany we wspólnej izbie ich kwatery.

– Od kobiety, którą dawno temu znałem. Nazywa się Anna Mozilla. Jest wdową i parę miesięcy temu przeprowadziła się do Brothe. Usłyszała, że ja też tu jestem. Więc pisze do mnie, żeby mi donieść o swej obecności. Przypuszczam, że znaczy to, iż już się na mnie nie gniewa.

Polo zachichotał.

– To jakaś fajna historia?

– Nie bardzo. Ona jest wdową ale jest zbyt młoda, żeby zrezygnować z bardziej intymnych praktyk małżeńskich. A przynajmniej była. Pewnie dalej jest.

– Jej przyjazd tutaj oznacza kłopoty?

– Wątpię. W istocie mam nadzieję, że wręcz przeciwnie.

– Otwieraj – rozkazał Else. – Zobaczymy, kto się nie spóźnił do pracy.

Caniglia otworzył furtę dla służby, której od lat nie zawierano i nie zamykano na zamek. Nawet po zdradzie ojca Obilade. Paludan potrafił omalże rozmyślnie nie dostrzegać czegoś, o czym nie chciał, by było prawdą.

Caniglia i Diano urządzili przedstawienie, wpuszczając tamtych pojedynczo. Każdemu przyjrzeni się przelotnie, jakby sprawdzając, co niesie. Z czego Else wywnioskował, że w przeszłości zaniedbywali tego środka ostrożności. A zapewne jeszcze bardziej lekceważąco podchodzili doń, gdy służba wychodziła do domów.

Else żałował, że nie zna się lepiej na księgowości. Księgi pana Grazia z pewnością zawierały bardziej zdumiewające i inkryminujące dowody, niż udało mu się na własną rękę znaleźć.

Jak zareagowałby Paludan? Na pozór był jednym z tych, którzy gardzą umiejętnością pisania i liczenia. Choć z drugiej strony na zachodzie nastawienie takie było znacznie mniej rozpowszechnione, niż Else sądził po swych doświadczeniach walk z Arnhandami w Ziemi Świętej. Tam, jeśli chciało się mieć coś przeczytane, napisane lub policzone, brało się pierwszego lepszego deva.

Jak do wszystkiego pasował Gervase Saluda? Może też otrzymywał swoją działkę? Tak się działo w każdym pałacu i większym dworze w tej części świata, z której Else pochodził.

– Kto to jest? – zapytał. Przez bramę chwiejnym krokiem wchodził właśnie przystojny młody mężczyzna z zestawem narzędzi.

– Marco Demetrius. Cieśla – odpowiedział Caniglia. – Krewny kucharki. Zawsze jest wzywany, kiedy są jakieś ciesielskie roboty. Jest dobry. I dobrze pracuje.

– A więc pani Ristoti posłała po niego. – Główna kucharka rzadko opuszczała cytadelę, choć oficjalnie nie miała w niej stałego mieszkania.

Copria i Verga spróbowali wejść do środka, jeden za drugim. Else powiedział:

– Panie Verga, chyba zapomniałeś pan, że już tu nie pracujesz. Nie płaszczyc mi się tu. Pan i pan Copria powinniście przeprosić ludzi oczekujących za wami na wejście i odejść.

– Zejdz z drogi. Nie masz prawa – warknął Verga.

Else zaatakował tamtego serią mocnych ciosów na korpus. Verga osunął się na kolana, rozpaczliwie walcząc o oddech i zachowanie świadomości.

– Już tu nie pracujesz – poinformował go spokojnie Else.

Copria zachował się znacznie bardziej skromnie. Pomógł Verdze się podnieść i poszli.

Else miał nadzieję, że jednej lekcji wystarczy. Poinformował Caniglię:

– Chcę wiedzieć, kto się spóźnił. Od jutra będziemy zamykać bramę dziesięć minut po otwarciu. Spóźnialscy nie zostaną wpuszczeni i potraci się im z wypłaty.

Anna Mozilla mieszkała w małym domku podobnym do tego, który zajmowała w Sonsie. Else wszedł po schodach na ganek. Zastukał kołatką. Anna otworzyła prawie natychmiast. Wyglądała tak samo jak dawniej.

– Sledzą cię.

– Tak. Ale niezbyt umiejętnie.

– Pozwalasz, żeby za tobą chodzili?

– Tak.

– Dlaczego?

– Wy tłumaczyłem im, że jesteś moją byłą kochanką. Twój list został przeczytany, zanim do mnie dotarł.

Przytuliła się do niego tak, jakby to już robiła wiele razy, a potem wciągnęła do wnętrza.

– Dlatego właśnie w liście wyraziłam się nadzwyczaj ogólnie. Uznałam, że tak będzie najłatwiej wyjaśnić moją obecność w Brothe.

Choć drzwi były już zamknięte, a wokół żadnych świadków, Anna Mozilla się nie odsunęła. Else też nie miał ochoty jej odpychać. Dobrze było czuć bliskość kobiety. Nawet o dziesięć lat starszej. Nawet jeśli nie była jego żoną.

Anna Mozilla powiedziała:

– Przedtem nasze stosunki ograniczały się wyłącznie do interesów. Czysty profesjonalizm. Potem sama się za to besztalam. I wtedy kazali mi tu przyjechać. A ty nie pojawiałeś się tak długo. Dzięki temu miałam dużo czasu, żeby pewne sprawy przemyśleć.

Else nie odpowiedział. Wiedział, co powinien zrobić, ale nie potrafił jej od siebie odsunąć.

– To nie będzie grzech, Frain. – W Sonsie Else nazywał się Frain Dorao.
– Jestem niewierząca.

Więc tak. Tyle przynajmniej rozumiała.

Taka bowiem była interpretacja Prawa proklamowana w Piśmie. Jeżeli kobieta nie była pramanką, nie było zdrady.

Else się nie odsunął. Ale też nie przejął inicjatywy, choć sama mu to proponowała. Zostawił wszystko w jej rękach.

Ręce te okazały się całkiem zręczne, nawet jeśli z początku nieśmiałe.

Else kazał sobie podać kolację w kuchni, żeby móc porozmawiać z panią Ristoti.

– Dużo było protestów?

– Mniej, niż oczekiwałam. Nastraszyłeś ich. Ta sprawa przy tylnej bramie przekonała ich, że mówisz poważnie.

– A co ty sądzisz?

– Że jesteś śmiertelnie poważny.

– Jestem.

- Dlaczego?
- Ponieważ chcę pracować. Przybyłem do Brothe, żeby być blisko centrum spraw. Potrzebuję roboty, żeby móc tu zostać.
- Moja rodzina służy wielkim rodom jeszcze od czasów imperialnych. Zgodnie z rodzinną legendą. Jedna ze zgromadzonych w tym czasie pereł mądrości stwierdza, że historia każdego domu odbija wnętrze jego pana.
- To znaczy, że to miejsce się rozpada, a służba leniwi, ponieważ taki jest Paludan Bruglioni?
- Tak. Paludanowi nie podoba się stan domu. Ale musiałyby zadać sobie zbyt wiele trudu, gdyby chciał podjąć bój z nocą.
- Słucham?
- Och, nie myślałam o nocy w sensie nadprzyrodzonym, tylko duchowym. To znaczy, noc zawsze tu będzie, niezależnie od tego, jak bardzo by z nią walczyć. Więc czemu się przejmować? Dlaczego znosić tę frustrację?
- Rozumiem. Jest coś, co mogę pokazać Paludanowi i Gervasemu, kiedy w końcu zdecydują się zapytać o przyczyny tego całego zamieszania?
- Będzie.
- Skąd możesz wiedzieć, że Saludę to też przekona?
- O co pytasz?
- O to, czy Saluda nie ma osobistych interesów, by rzeczy toczyły się dalej tym samym trybem. Może bierze działkę? Nie znalazłem jeszcze żadnych dowodów, ale tak to wygląda.
- Ta myśl wyraźnie zaskoczyła kucharkę.
- Nie wydaje mi się. Nie chodzi o to, żeby miał opory. Ale najpierw musiałyby mu to przyjść do głowy.
- Ale może mieć prywatne interesy?
- Może. Tylko z drugiej strony jest znacznie bardziej Bruglionim niż rodzina, która wyjechała na prowincję i nie chce wracać.
- Else słyszał już o tym od Pola.
- A więc tak to wygląda. To znaczy, że można sobie poradzić. Dalej tak trzymaj. I znajdź mi paru mąciwodów, żebym mógł ich zwolnić. Pozostali mają wiedzieć, że nie są niezastąpieni.
- Pola zastał Else na rozmowie z panem Grazią. Polo doniósł:
- Wyraźnie mamy tu do czynienia z kreatywną księgowością. Paludan Bruglioni wydaje trzydzieści tysięcy dukatów rocznie, przepłacając przy

tym co najmniej dwukrotnie, głównie w wypłatach dla ludzi, którzy nie istnieją, za pracę, której nie wykonali, oraz handlarzom za towary, które nigdy nie dotarły na miejsce.

– Rozumiem. Panie Grazia! Myślał pan, że nikt się nigdy nie zorientuje?

Grazia wzruszył ramionami. Jak wielu przyłapanych, nie miał pojęcia, dlaczego nie zastanawiał się nad ewentualnymi konsekwencjami.

– Polo, zdobyłeś wreszcie dla mnie ten papier? – zapytał Else.

– Nie. Wciąż odwiedzam sklepy na placu Naftali. A oni wciąż nie mają nic na sprzedaż. Nie miałem jeszcze czasu pójść do dzielnicy devediańskiej.

– Wobec tego sam się tym zajmę. Wy dalej z panem Grazią sprawdzajcie książki. – Else poklepał Grazie po ramieniu. – Zakrojone na prawdziwie epicką skalę, mój panie. Gratuluję wyobraźni.

– Nie powiesz Paludanowi?

– Nie powiem, póki będziesz pomagał mi tu sprzątać. Zacznesz się leniwić albo znowu dostaniesz lepkich paluszków, najprawdopodobniej podzielisz los ojca Obilade.

Else spróbował się wyśliznąć przez bramę dla służby. Nic z tego. Ogon i tak się do niego przykleił.

Przez kilka minut się zastanawiał kto i dlaczego, a potem zdecydował, że to nie ma znaczenia. Było ich tylko dwóch i kiepsko sobie radzili. Zgubił ich niedaleko domu Anny Mozilli. Myślami na chwilę wybiegł ku niej. Doszedł jednak do wniosku, że to może poczekać. Ruszył do dzielnicy devediańskiej.

Devediańska starszyzna w Brothe przyznawała, że w mieście mieszka dwadzieścia tysięcy devów. Plotki głosiły, że jest tu ich kilkakrotnie więcej. Jeśli były prawdziwe, oznaczało to, że w stolicy wrogiej wiary episkopalnej żyje ich więcej niż w całej Ziemi Świętej. Ale Suriet było krainą nieprzychylną wielkim miastom, wyjątek stanowiły brzegi Morza Ojczystego. Wybrzeża, na których zachodni najeźdźcy ustanowili swoje księstwa i królestwa krzyżowców.

Wielokrotnie więcej devedian żyło w diasporze, niż mieszkało w szalonym kraju, który ich zrodził.

Else bezskutecznie próbował sobie wyobrazić, jak można żyć w tej krainie szaleństwa, wśród Studni Ihrian, gdzie magia nieustannie wpływała spod ziemi, zniekształcając wszystko wokół, płodząc coraz to

nowe złośliwe duchy, karmiąc Delegatury Nocy i od czasu do czasu wyzwalając jedyną moc zdolną powstrzymać lód.

Nawet dziś wielu synów devediańskiego ludu chętnie opuściłoby Surię, zostawiając je na pastwę chaldarańskim zdobywcom i paramańskim wyzwolicielom. Albo może na odwrót.

Niech biją się po łbach wśród powodzi z magicznych źródeł. Pewnego dnia Ten Którego Imię Brzmi Legion oczyści tę ziemię ze wszystkich prócz Swych Wybranych.

Aaron, Eis, Kelam i pozostali prorocy arianizmu, który z kolei przekształcił się w wiarę chaldarańską sami opuścili Ziemię Świętą, gdy tylko ich kazania i świadectwa zapewniły im dostateczne fundusze, aby móc podróżować, nie sypiając pod mostami. Rozproszyli się po całym Imperium Brothe, niosąc swoje przesłanie tym, którzy dotąd wiedli życie w rozpacz.

Kazania, świadectwa, cuda – większość z tego działa się z dala od Studni Ihrian, w prowincjach stanowiących obecnie część Lucidii lub Cesarstwa Wschodu.

Wędrując na południe, Else czuł narastające elektryzujące napięcie. Stało się właśnie coś niezwykłego. A coś jeszcze bardziej niezwykłego miało się wydarzyć wkrótce. Skala zagrożenia obejmowała wszystkich do głębi.

Else próbował pytać, o co chodzi, ale nie uzyskał odpowiedzi. Wszyscy wciąż pozostawali skrajnie nieufni wobec cudzoziemców o blond włosach.

Dowie się zapewne dopiero od swego devediańskiego kontaktu.

Nic nie wskazywało, by miało padać, ale devowie i dainschauowie przemykali pośpiesznie obok, jakby próbując załatwić wszystkie interesy, nim pogoda zmieni się na gorsze.

Else wszedł do maleńkiego sklepu papierniczego. Reklama na własnym produkcie rzemieślnika zachwalała sklep jako źródło najlepszego papieru w Brothe. Na dźwięk dzwonka, który rozległ się, gdy Else otworzył drzwi, z zaplecza wyszedł typowy mały, stary dev, zgarbiony, wsparty na lasce, z twarzą skrytą za gęstym siwym zarostem. Towarzyszyła mu chmura chemicznych zapachów.

– Czym mógłbym...? – zapytał mały staruszek, z trudem zadzierając głowę. Nie dokończył pytania.

– Przyszedłem tutaj kupić papier, a nie kolekcjonować głowy. Chcę gatunku niedrogiemu, ale dobrego. Dwadzieścia arkuszy. I jeszcze coś

lepszego, stosownego do prowadzenia stałych ksiąg i listów, które mają bez szwanku wyjść z dalekich podróży. Znowuż dwadzieścia standardowych arkuszy. Na koniec chcę jeszcze trochę tego pergaminu czy welinu, z którego można wymazywać i którego używają studenci.

Tamten odzyskał wreszcie mowę.

– To jest produkt pochodzenia zwierzęcego, a nie papier, choć w normalnych okolicznościach nim też handlujemy. Będzie ci do niego potrzebny specjalny atrament, aktywna gąbka, piasek i korektor do atramentu, wreszcie glinka Halmasa. Plus pędzelki do kaligrafii.

– Też handlujesz tymi rzeczami.

– Ale aktualnie nic z tego nie mamy.

– To żaden problem. Wygląda na to, że w Brothe brakuje papieru. Gotów jestem chodzić od sklepu do sklepu, póki nie znajdę wszystkiego, czego mi potrzeba.

– Stać cię, żeby za wszystko zapłacić?

– Oczywiście. To moja osoba jest problemem? Mnie nie chcesz nic sprzedać?

– Bynajmniej, panie. Interes wydaje się znakomity. Najlepszy, jaki zaproponowano mi w ciągu ostatnich tygodni. Chodzi o to, że rzadko widzimy w naszej dzielnicy takich jak ty. Dwadzieścia arkuszy papieru pakowego, dwadzieścia wyborowego?

– Pakowego?

Starzec wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie, dlaczego tak się nazywa. Już nie. To jest twój papier roboczy. Najtańszy z dostępnych.

– Rozumiem.

– A ile wielokrotnego użytku?

– Sześć zwiniętych do standardowego rozmiaru podwójnych arkuszy do ćwiczeń. Jeden dla mnie i po jednym dla każdego z moich uczniów.

– Uczniów? Hm... nieważne. Nie mój interes. Mam trzy w magazynie. Wiem, skąd wziąć resztę. I odpowiednie parafernalia.

– Dobrze.

– Wyślę wnuków, żeby je przynieśli. Oszczędzisz sobie biegania od sklepu do sklepu.

Else spojrzał spod zmarszczonych brwi.

– Och. Nie, panie. Nie dodam sobie żadnej marzy. – Zgarbiony staruszek pochylił się w stronę Else'a i wyznał: – Oni mi zapłacą prowizję. Ponieważ doskonale wiedzą, że mogłem posłać chłopaków do kogoś innego. Wszystko sprowadza się do dobrej woli we wzajemnych przysługach.

– Zajmij się tym więc – zgodził się Else. – Ja już się dziś dość nachodziłem. A przecież muszę jeszcze wrócić do domu.

Stary krzyknął coś w zniekształconej lokalnej odmianie melhaickiego dialektu diaspory, porządnie nasyconego firaldiańską gramatyką.

Else mówił trochę po melhaicku w wersji Suriet, jak też pokrewną mu wersją peqaadyjską, potrzebne mu to było w rozmowach z plemionami. Zrozumiał więc połowę. Stary wydał polecenia przyniesienia towaru dla Else'a, a potem kazał powiadomić kogoś o imieniu Pinan Talab, że Luca Farada informuje, iż blond cudzoziemiec pojawił się w jego sklepie papierniczym. Kiedy stary paplał, z zaplecza wychodzili kolejni chłopcy, przelotnie kłaniali się przed Elsem i znikali za drzwiami frontowymi. Każdemu towarzyszyła chmura chemicznych woni z wyraźnie dominującą nutą siarki, którą Else od dzieciństwa kojarzył z papiernikami. Zapach obudził w jego głowie wspomnienia z innej epoki jego życia, zanim kupili go sha-lugowie, choć jak zazwyczaj były niekonkretne i ograniczały się do swoistego nostalgicznego nastroju.

Starzec paplał bez przerwy, najwyraźniej odwracając uwagę Else. Kiedy nie mówił do swoich pomocników, zwracał się do niego po firaldiańsku, czasami zmieniał język w połowie zdania. Tknięty psotnym podszeptem Else zapytał:

– Dlaczego Pinana Talaba miałyby interesować, jaki papier kupuje chaldaranin?

Przez chwilę wydawało się, jakby wiekowy papiernik miał umrzeć z przerażenia. Przez dłuższy czas tylko patrzył na Else'a w milczeniu, zmieszany i skurczony ze strachu.

– Mój papier? Czy nie powinieneś zająć się jego pakowaniem, póki czekasz na wieści od Talaba?

– To są dziwne czasy, panie. Brothe na przykład trzęsie się teraz od plotek o cudzoziemcach z blond włosami. My się tym nie przejmujemy, niemniej uznajemy, że są powody do zaniepokojenia... oczywiście jeśli to ty jesteś człowiekiem, który spowodował całe zamieszanie.

Else przybrał głupawy, zdumiony wyraz twarzy.

– Pracuję dla Bruglionich. Hm. Gorączkujecie się z powodu tych facetów, którzy mieli dla nas pracować, ale tak naprawdę pracowali dla księdza, którego nasłało na nas Bractwo Wojny? Bardzo śmieszne, co? Ci goście, gdy ksiądz już ich spuścił ze smyczy, poszli i zabili jakichś ośmiu czy dziesięciu spośród tych, dla których on szpiegował.

Starego nie rozbawiła ta powieść. Jego wnukowie powoli wracali. Kładli na ladzie swoje towary, a potem znikali na zapleczu sklepu. Za każdym razem do wnętrza wnikała kolejna chmura chemicznych zapachów.

Else był przygotowany na zdradę, choć nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego ci ludzie mieliby sobie zaprzętać tym głowę. Ale nic się nie stało. Wnukowie wracali. Towar piętrzył się na ladzie. Wkrótce gotowe było wszystko, o co Else prosił.

– Świetnie. Polecę cię każdemu, kto będzie szukał papieru.

– To uprzejmie z twojej strony, panie. Ale wiedz, że najlepiej od razu złożyć zamówienie. Kiedy rozpoczną się walki, żołnierze zarekwirują wszystko, co produkujemy.

– Walki? Jakie walki?

– Nie słyszałeś?

– Najwyraźniej nie. Rzadko opuszczam cytadelę Bruglionich. A kiedy już wychodzę na miasto, ludzie nie chcą ze mną rozmawiać, ponieważ jestem blondynem. Co się stało?

– Piraci. Wczoraj nastąpił zmasowany atak. Na Starplire. Zarżnęli księży, zakonnice i uczonych, a potem złupili wszystko, co byli w stanie unieść. Wymordowali nawet większość mieszkańców miasteczka. Zmierzający do Alamaddine szwadron kawalerii imperialnej dopadł maruderów. Uratowali kilku ludzi, którzy schowali się przed piratami. – Twarz starca pociemniała, kiedy kreślił przed oczyma Else'a rozmiar katastrofy.

Starplire, pomyślał Else. Nieco oddalone od wybrzeża, na południe od ujścia rzeki Teragi. Pozbawione umocnień. Populacja nie przekraczająca dziesięciu tysięcy, przeważnie mnisi, zakonnice i święci uczeni. Główne zajęcia: monastycyzm i edukacja religijna. Starplire mogło się poszczycić najważniejszym uniwersytetem episkopalnego chaldaraństwa. I małą wspólnotą devediańską parającą się zawodami, które tak łatwo przychodziły tej rasie.

– Rozumiem.

– Powiadają, że Patriarcha zwoła Kolegium i ogłosi krucjatę przeciwko Calzirowi.

– Rychło w czas, jeśli chcesz znać moje zdanie. – Else przyjął resztę. Starzec zapakował jego zakupy do worka, który w poprzednim wcieleniu mógł służyć do przechowywania ryżu. – Miałeś tam rodzinę?

– My wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną

Wychodząc ze sklepu, Else zmagał się ze sprzecznymi emocjami. Episkopalna krucjata przeciwko Calzirowi mogła się lepiej przysłużyć Dreangerowi niż krucjata przeciwko heretykom w Connec. Zajmie Wzniosłego na czas znacznie dłuższy i nie przyniesie mu nawet dukata zysku. Niewykluczone, że Calzir utrzyma się dostatecznie długo, by wiek upomniał się o Wzniosłego. Skutkiem krucjaty może też być jego bankructwo.

Ale Calziranie byli pramanami. Nieszczególnie bystrymi. Cóż za szaleństwo popchnęło ich do czynu tak głupiego, jak wyrznięcie całej ludności Starplire?

Działy tu jakieś złe siły.

– Kapitanie.

Cichy głos dobiegł z cienia zalegającego w szerokiej na stopę przerwie między budynkami. Else by nie zareagował, gdyby głos nie był mu znajomy. W szczelinie kryła się włochata, mała postać.

– Gledius Stewpo? Co ty tu robisz?

– Nie będziemy tu rozmawiać. Idź za mną. – Stewpo opuścił kryjówkę i pospieszył ulicą, komiczny w swych wysiłkach, by nie sprawiać wrażenia, że porusza się ukradkiem. Cóż może bardziej rzucać się w oczy niż skradający się karzeł?

Else szedł za nim zatopiony w myślach i pytaniach. Najpierw wojna. A teraz Gledius Stewpo.

– Wy, ludzie, żywcie nienaturalną skłonność do dziur w ziemi – poinformował Stewpa Else.

– Dlatego właśnie mówi się o podziemiu devów.

– Ha...! Ha...!

– Kiedy traktują cię jak robactwo, przyswajasz sobie strategię przetrwania właściwe robactwu. – Stewpo sprowadził Else'a do labiryntu pod dzielnicą devediańską dając do zrozumienia, że istnieje on od czasów wczesnego Imperium. W owej epoce devowie wyzwalali braci zniewolonych w Ziemi

Świętej i chowali ich w labiryncie. – Ale nie powinieneś sobie wyobrazić, kapitanie, że to nasza specyfika. Wszyscy w Brothe mają sekretne piwnice i ukryte pod ziemią świąty. Pierwotni chaldaranie albo arianie mieli pod całym miastem sieć tuneli, sekretnych pomieszczeń i kaplic. Wiemy, że wciąż tu są, ponieważ grunt się bez przerwy zapada.

W tajnym pomieszczeniu przypominającym także z Sonsy czekali na nich czterej devedianie. Nawet zapach ziemi był tu podobny. Else rozpoznał dwóch. Podobnie jak Gledius Stewpo pochodzili z Sonsy. Kiedy przedstawiono mu pozostałych, okazało się, że ma przed sobą Pinana Talaba i swój główny kontakt z Brothe, niejakiego Shire’a Spereo.

– Diabło dużo czasu zajęło ci dotarcie tutaj – zauważył Shire.

– Takie są blaski i cienie mojej rzekomej profesji. Zamknięto mnie na pół roku.

– Twoi panowie musieli się nieźle wkurzyć – powiedział Stewpo.

– Poczują się lepiej, kiedy się dowiedzą o nadchodzącej wojnie.

– Która zajmie czymś Patriarchat.

– Oni za tym stoją? Co się tak naprawdę dzieje?

Devowie wymienili zakłopotane spojrzenia.

– O co ci chodzi? – zapytał Stewpo.

– Ktoś musi podpuszczać Calziran. Nie mogą być tak głupi, żeby sądzić, iż Patriarchat będzie tolerował zmasowane płądrowanie własności Kościoła i Państw Episkopalnych.

– Chyba naprawdę są tak głupi. Wiedzą, że republiki kupieckie są wkurzone na Patriarchę i nie pomogą mu. A pierwsi piraci powrócili do domów na statkach głęboko zanurzonych pod ciężarem skarbów niewiernych. Calzir znajduje się we władzy gorączki złota. Każdy, kto dysponuje łodzią dość wielką by unieść łupy, zwołuje przyjaciół i wyciąga starą broń, żeby się wzbogacić. Po Starplire mogą się zrobić na tyle odważni, że uderzą na prawdziwie wielki, zasobny cel.

Else zauważył:

– Po zbyt wielkich sukcesach mogą zapomnieć, że chodzi przede wszystkim o Wzniosłego i Benedocta. Jeżeli ugryzą Hansela lub jedną z republik kupieckich...

– Oberwą – dokończył Talab. – My to rozumiemy. Ale oni nie. Calzir siedzi dzisiaj w głupocie po pas. Nie chcę przez to powiedzieć wcale, że gdziekolwiek mądrość występuje powszechnie czy że kiedykolwiek

występowała w Calzirze. Głównym problemem tego kraju jest brak scentralizowanego ośrodka realnej władzy.

– Od podboju pramańskiego ta sytuacja powtarza się w okresach sześćdziesięcio-osiemdziesięcioletnich – rzekł Stewpo. – W końcu sprzymierzona flota chaldarańska spustoszy wybrzeże Calziru. Piactwo się skończy... do czasu aż umrze ostatni człowiek, który wiedział, jak się rzeczy miały.

Kolejny dev powiedział:

– Im się zawsze wydaje, że mają boga po swojej stronie. Utrzymują że Firaldianie są zbyt miękcy, żeby stanąć do walki.

– Może gdyby byli bardziej piśmienni...? – sformułował przyszczenie Stewpo.

– Stewpo, jeszcze się nie dowiedziałem, co robisz w Brothe.

– Oczywiście, że się dowiedziałem. Tyle, że nie ode mnie. W Sonsie zrobił się wielki syf. Bractwo wysłało kolejną bandę zbirów z Castella dollas Pontellas, żeby pomściła tego czarodzieja.

– Powiem ci coś, co się rozbawi. Ten czarodziej dowodził oddziałem, do którego dołączyłem. Z jego mocy prawie nic nie zostało.

– Dobrze – parsknął Stewpo. – Któregoś dnia... – Opanował się. – Społeczności dainshauska i devediańska zdecydowały się opuścić Sonę po tym, jak zginęła połowa devedian.

Else nawet nie mrugnął.

– Al-Karn nie jest z ciebie zadowolone – ciągnął Stewpo.

– Każdy, komu się wydaje, że poradzi sobie lepiej, może mnie natychmiast zastąpić.

– Nie mają pojęcia, co się tu naprawdę dzieje. Ale nie o to chodzi. Twoje zadanie po części polega na tym, żeby im to uświadomić, niedawno pytano mnie, dlaczego jeszcze nie dotarł raport od ciebie. Wiedzą że żyjesz, tylko z pośrednich źródeł.

– Miałem pisać raporty dopiero wtedy, gdy będę miał o czym donosić. Jak dotąd jeszcze nie było okazji. – Else jednak słowem się nie zająknął o edukacyjnym wymiarze swej misji, o którym wspomniał Stewpo.

– Ludzie u władzy chcą wiedzieć, co się dzieje. Muszą podjąć decyzje. Potrzebują informacji. Piszczą jak zarzynane świnie, kiedy ich nie mają. Jednak ja nie mam ochoty ułatwiać im życia.

– Rozumiem – zgodził się Else. – Wróg twojego wroga jest twoim sprzymierzeńcem.

– Ale nigdy przyjacielem. Zrozumiałeś?

– Całkowicie. Ale zanim zaczniemy się zastanawiać nad kształtem naszego zakątka świata, musimy pozbyć się zagrożenia ze strony zachodu.

– Niewykluczone, że jesteś zbyt bystry jak na tę robotę – skomentował Gledius Stewpo.

– Zapewne. A ty jesteś pies szczekający na rozkaz fałszywego boga. I mimo to się nie wstydzisz.

– Mam nadzieję, że to nie koniec czasu, kiedy każdy będzie musiał odkryć, czy nie jest przypadkiem ogłupionym czcicielem diabła.

– Żadna z tych kwestii nie ma znaczenia. – Else postanowił zakończyć spór. – Na razie. Jeżeli Wzniosły ogłosi krucjatę przeciwko Calzirowi...

– W odwecie za Starplire Kolegium zaaprobuje karną ekspedycję przeciwko portom piratów, ale to wszystko. I tak nieźle. Jeśli Wzniosły ugrzęźnie w Calzirze, będzie zbyt zajęty, aby coś kombinować w Ziemi Świętej.

– Skoro już tu jestem, czemu nie miałbym napisać raportu, który ty przekazesz? – Else nie wspomniał o tym, że już wcześniej wysłał raport. – Gdybym mógł go podyktować... To długa historia.

Gdy już skończyli sporządzać raport, Else powiedział:

– Potrzebuję jeszcze jednego, jako zausznik Bruglionich. Mianowicie księgowego. Czarodzieja liczb, który wyłapie wszystkie oszustwa w księgach. Służba Bruglionich okradała na potęgę swoich panów, wykorzystując sztuczki w księgowości. A ja próbuję wyrobić sobie u nich dobre imię.

Stewpo pokiwał głową.

– Zobaczą, co da się zrobić.

– Znalazłeś papier. To dobrze – powiedział Polo.

– W dzielnicy devów. Ale powiedzieli, że w obliczu nadciągającej wojny wkrótce zapasy się wyczerpią. Szykują się duże podwyżki cen.

– Wojna. No. Chcą się z tobą widzieć w tej sprawie. Natychmiast.

– Dlaczego? Przez cały czas nic nie robią, tylko się ukrywają. Nie mogę się z nimi skontaktować, nawet kiedy ich potrzebuję.

– I co, źle? Paludan jest bardzo z ciebie zadowolony.

– Naprawdę? Wszystko wymyślam w marszu, Polo. Nigdy mi nie powiedzieli, co mam robić, po prostu mnie wynajęli, żebym coś zrobił. A więc robię to, co najbardziej domaga się zrobienia. I cały czas się zastanawiam, dlaczego druga najbogatsza rodzina w Brothe mieszka na śmietniku. Jak to możliwe, że wciąż się jej boją i darzą ją respektem? Nie ma tu nikogo, kogo można by się bać lub szanować. To jakaś tajemnica? Powiedziałeś, że czekają na mnie?

– Nie do końca. Są w prywatnej komnacie audiencyjnej. Grają w szachy.

– O co im chodzi?

– Divino był z nimi przez jakiś czas. Może to mieć związek z problemem piratów.

– Divino? To ten wuj, który jest w Kolegium?

– Tak. Prowincjał Divino Bruglioni. Prawdopodobnie spotkałeś go, nie wiedząc, z kim masz do czynienia. Często tu się pojawia.

– Zabierz te rzeczy do naszej kwatery. A potem poproś panią Ristoti, żeby przysłała mi coś do zjedzenia. Do prywatnej komnaty audiencyjnej. Od rana nic jeszcze nie jadłem.

– Nie widziałeś się ze swoją przyjaciółką?

– Szukałem papieru. I próbowałem znaleźć drogę w tej części miasta.

– Nic tylko interesy, co?

– Zawsze, Polo. W ten sposób robi się karierę na tym świecie.

Kiedy Else wszedł do prywatnej komnaty audiencyjnej, stał tam plecami do drzwi Gervase Saluda. Pomieszczenie miało dwanaście stóp na szesnaście, czyli było duże jak na wiejską chatę, ale małe jak na używaną komnatę cytadeli Bruglionich. Umebłowanie było skąpe. Jeden stolik do szachów. Cztery krzesła, dwa już zajęte. Kominek, wygaszony. Paludan Bruglioni siedział naprzeciwko Gervasego i wbijał groźny wzrok w szachownicę.

– No, Hecht. Wreszcie tu dotarłeś. Włączyłeś się dzisiaj po mieście, racja?

– Poszedłem po papier do dzielnicy devediańskiej. Dla chłopców na lekcje. Skorzystałem z okazji, żeby się trochę rozejrzeć po tej części miasta.

– Słyszałeś, co się stało w Starplire?

– Tylko główne fakty. Jestem blondynem. Ludzie rozmawiają ze mną na tyle tylko, na ile to konieczne, aby pozbawić mnie moich pieniędzy. Ale nie słyszałem żadnego wielkiego gadania o wojnie.

– Pewnie nie słuchałeś zbyt uważnie. O niczym innym się nie mówi. Wuj Divino powiedział, że Patriarcha może się zdecydować na ogłoszenie krucjaty. A Kolegium go poprze.

To zaskoczyło Else'a.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Większość jego członków straciła w Starplire kogoś z rodziny. Ale jest jeszcze bardziej naglący problem.

– Tak?

– Według Divina, Kolegium po otrzymaniu wieści ze Starplire przyjrzało się piratom. Są liczniejsi, lepiej zorganizowani i bardziej podporządkowani centralnej władzy, niżli ktokolwiek przypuszczał. Rajd na Starplire był tylko przygrywką.

– Z każdą chwilą cała ta sprawa wydaje się coraz bardziej niepokojąca.

– Zaiste – zgodził się Gervase Saluda. – Przysuń sobie krzesło. Porozmawiamy.

Else zrobił, jak mu kazano.

– Mów.

– Piraci myślą, żeby w następnej kolejności zaatakować Brothe. Nie widzą powodu, by tu mieli napotkać większy opór. Jedyni żołnierze w mieście są z Bractwa. Ale w obecnej chwili nie ma ich tu więcej niż stu.

– Calziranje o tym wszystkim wiedzą?

– Tak.

– A wiedzą, że my wiemy? Nie. Cofam pytanie. Czy ich dowódcy pozostają w dobrych stosunkach z Delegaturami Nocy? Czy podejrzewają, że ktoś tutaj wie, co robią?

– Ich przywódcy... mogą podejrzewać. Istnienie Kolegium nie jest tajemnicą.

– Ale nie dlatego się spotkaliśmy – wtrącił się Paludan. – Musimy się zatroszczyć o ochronę rodziny i mienia.

– To znaczy?

– Mamy nieruchomości w całym mieście.

– Wszystkiego nie uda się ochronić. Być może niczego się nie uda ochronić, jeśli nie będziemy wiedzieli, co zostanie zaatakowane. Zgromadźmy wszystko w jednym miejscu. Wszystko, co nie ma zostać ukradzione, zniszczone, a jeśli chodzi o ludzi, tych, których nie chcecie poświęcić. A najlepiej wynieść się na wieś do czasu, aż napastnicy odejdą.

– W politycznym sensie nie byłaby to najlepsza opcja – oznajmił Gervase.

– Jesteśmy Bruglionimi. Mamy obowiązek bronić miasta – dodał Paludan.

– Jak? Cała wasza armia to ja. Plus czterech strażników przy bramach i kilka dzieciaków, które jeszcze nie wykombinowały, za który koniec miecza należy chwytać.

– Wszyscy mają ten sam problem. Najbliższy garnizon Patriarchy znajduje się w Bober, cztery dni drogi stąd. Najbliżej stacjonujący żołnierze mogą dotrzeć do miasta w dwa, ale będzie to imperialny garnizon z Gage, w którego skład wchodzi najlepsze wojska Imperium... rozmieszczone tam na wypadek, gdyby Hansel zechciał zaatakować Brothe.

– A więc boimy się, że imperialni mogą się okazać większym zagrożeniem niż calzircy piraci?

Gervase parsknął.

– Nie. Ale Wzniosły może to tak widzieć.

Paludan zgodził się z nim:

– Jeżeli piraci przybędą Wzniosły po prostu zaszyje się na swojej wyspie i ich przeczeka.

– Życia mi nie starczy na zrozumienie brotheńskiej polityki – westchnął Else. – W każdym razie sytuacja wygląda nadzwyczaj korzystnie dla wrogów Wzniosłego.

– Bo taka też jest. Jeśli coś się stanie, wuj Divino i jego kumple skorzystają z okazji.

– A więc obie strony mogą doprowadzić do najazdu? Z tchórzostwa i dla rozmaitych korzyści politycznych?

– Nie wiem. Chcę tylko usłyszeć profesjonalną opinię żołnierza na temat sytuacji.

– Zobaczę, co się da znaleźć. Aha. Pani Ristoti. Dziękuję. Ale sadzę, że tu już skończyliśmy, więc lepiej jak zjem w kuchni. – Spojrzył na Paludana Bruglioniego, czekając na pozwolenie oddalenia się. Tamten zmarszczył czoło, ale w końcu skinął głową.

Else wcześniej wyszedł na miasto. Nikt go nie śledził. W pierwszej kolejności udał się do posiadłości Arnienów, gdzie zdołał odbyć krótką konferencję z Rogozem Sayagiem i jego ojcem. Na moment dołączył do nich Inigo Arniena.

Potem Else poszedł do pałacu Bronte Doneta. Po Prostu Zwyczajnie Joe miał wartę przy bramie. Klepnął Else'a, gdy ten wchodził do środka.

– Tu mają naprawdę dobre żarcie, Pipe – doniósł Joe. – I nie szcędzą Najlepsza robota, jaką w życiu miałem. Szkoda tylko, że Ghort jest moim szefem. Czasami zachowuje się naprawdę jak palant.

– Tak to już jest z nami oficerami, Joe. Całymi dniami zmagamy się z takimi gośćmi jak Bo i po pewnym czasie naprawdę trudno wytrzymać.

Joe roześmiał się.

– Rozumiem.

– Jak się miewa Żelazny Wieprz?

– Żyje w świńskim niebie, Pipe. Karmią go dwa razy lepiej niż mnie. Nie inaczej. Uwaga! Oto kapitan Hecht.

Pinkus Ghort nie mijał się z prawdą twierdząc, że został człowiekiem numer jeden u Doneta. Właśnie prowadził naradę wojenną, w trakcie której sześciu profesjonalistów wymyślało sposoby obrony przed ewentualnym atakiem Calziru.

– Niesamowite! – skomentował Else. – Ja mam stuletniego starca o nazwisku Vigo Caniglia i jeszcze trzech, z których żaden nie przeszedł porządnego szkolenia, a tylko jeden jest na tyle młody, żeby się do czegoś przydać. Plus kilka dzieciaków, najstarszy ma szesnaście lat.

– Z tego, co słyszałem, Pipe, goście pracujący dla Pięciu Rodzin są tak tani, że być może znajdujesz się w lepszej sytuacji. Tutaj nawet najbiedniejsze rodziny mogą sobie pozwolić na wystawienie całych regimentów. Byliśmy głupcami, sądząc, że możemy tu zbić majątek. Choć niektórzy z nas mieli szczęście.

– Jakieś ciekawe wieści? – zapytał Else. – Dowiedziałem się, że piraci mogą zaatakować Brothe. I wyraźnie nikt nie ma pomysłów, co moglibyśmy z tym zrobić. Oczekują że ja im powiem.

– Wiem tyle co ty. Prowincjał nie jest już moim kumplem. Zajęty jest wyłącznie intrygami i spiskami, nie ma czasu, aby cokolwiek powiedzieć facetowi, który wykonuje za niego czarną robotę.

– Powiedział, co jego kuzyn ma zamiar zrobić?

– Nie. Ale gotów jestem się założyć, że ma zamiar się przyczaić, przeczekać burzę, a potem wykorzysta ją jako pretekst do wszczęcia krucjaty. Pragnie jej jak niczego w świecie. I chyba trochę mu Wszystko jedno przeciwko komu. Chodź, zerknij na tę mapę. Gdybyś był nieudolnym

bandytą, który przez większość życia utrzymywał się z łowienia ryb, gdzie byś wylądował? – Ghort miał przed sobą niezłą mapę miasta.

– W ogóle bym tu nie przyplłynął. W ten sposób narażam się na ogień z mostów i ufortyfikowanych wysp.

– Ale gdybyś wysadził ludzi na południe od miasta, ugrzązłbyś w zabudowie. Ulice tam są wąskie i kręte, poza tym nie ma co kraść.

– Co to jest, tutaj? Jeszcze nie byłem w dół rzeki od Castella.

– Pomniki. Plaża. Mauzolea. Zasadniczo mają ponad tysiąc lat. Mnóstwo dzikich lokatorów, których nikomu nie chce się przepędzać. Niezbyt dobre miejsce na walki.

– A północny brzeg? Może tam najpierw wylądują?

– A potem pokonają mosty? Gdybym był na ich miejscu i wiedział, jacy słabi jesteśmy, może bym spróbował. Lądowanie byłoby łatwiejsze. Ale z kolei mało łupów. Wszystkie większe kościoły i posiadłości rodzin znajdują się na południowym brzegu.

– Ci Calziranie to głównie rybacy i przybrzeżni handlarze, racja? A więc w zasadzie będziemy mieli do czynienia z motłochem, który łatwo wystraszyć.

– Ale z drugiej strony może ich być bardzo dużo. Masz jakiś pomysł?

– Jasne. Ale brakuje nam ludzi. Potrzebujemy doświadczonych żołnierzy. A takich tu nie ma, prócz Bractwa.

– Tyle sami wiemy, Pipe. Tyle też mogą zobaczyć szpiedzy wroga. Ale co na przykład z tymi bezdomnymi? Mnóstwo ludzi przybywa do Brothe, mając nadzieję na zaciągnięcie się do armii, której Patriarcha jakoś nie może utworzyć.

– Ha! Pinkus, nie jesteś nawet w połowie tak tępy, jak udajesz. Może pójdziemy na spacer? Znam kogoś w Castella.

– Też go znam?

– Jasne. To Redfearn Bechter. Udało mu się wydostać z Connec. Wpadłem na niego wtedy, jak się spotkaliśmy. Niewykluczone, że zwróci na ciebie uwagę i zrozumie, że masz coś do powiedzenia.

– Teraz dowodzi tam Grade Drocker. On jest blisko ze Wzniosłym. A Wzniosły być może wcale nie chce, żeby miasto było zdolne do obrony.

– Drocker, tak? Myślałem, że to Hawley Quirke jest numerem pierwszym.

– Wzniosły odwołał Quirke’a do Runch. Quirke nie całowałby go w dupę.

– Myślałem, że Bractwu przede wszystkim chodzi o niezależność.

– Ale o krucjaty też. Wzniosły im je obiecuje. W Specjalnym Oficjum aż wrze.

– Jest już pewien plan – poinformował Paludana i Divina Bruglionich oraz Gervasego Saludę Else. To właśnie Divina Bruglioniego spotkał wcześniej w towarzystwie Gervasego i Paludana. Divino zdecydowanie wydawał się zbyt młody jak na wujka. – Spędziłem cały dzień, biegając w tę i z powrotem, spotykając się z ludźmi, których znałem z Connec. Wymyśliliśmy, jak sobie poradzić z atakiem piratów. Bruglionowie muszą dać cztery tysiące dwieście dukatów i wszystkich wyszkolonych żołnierzy, umiejących działać razem z Bractwem. Czyli mnie. Madisettowie, Arnienowie i klan Bronte Doneta u Benedocta już wyrazili zgodę. Ja mam zwerbować Bruglionich.

Paludan miał wyraźne kłopoty z oddychaniem. Prowincjał siedział w milczeniu, obserwując Else’a. Gervase westchnął.

– Cztery tysiące dwieście dukatów?

– Cztery tysiące dwieście od każdej z Pięciu Rodzin. Plus wkład Kościoła, Bractwa i devów.

– Cztery tysiące dwieście dukatów – mruknął Paludan. – Zreferuj mi plan.

– W tym właśnie cały szkopuł. Drocker jest przekonany, że Calziranje mają tu wszędzie pełno szpiegów.

Wuj Divino potwierdził:

– Mają. Dzięki szpiegowaniu ich szpiegów dowiedzieliśmy się, że piratami kieruje czarownik o imieniu Masant al-Seyhan. Proszę mówić dalej, kapitanie Hecht.

– Przez wzgląd na szpiegów Drocker nie chce, żebyśmy mówili o jego planach. Wiem, że wam się to nie podoba, ale tak już musi być. Prowincjale, tobie Drocker wyjaśni wszystko na osobności. Ale tylko wówczas, jeżeli Paludan nie zaufa moim zapewnieniom, że konieczna jest ścisła tajemnica.

– Nam nie ufają? – zapytał Gervase.

– Nie. Grade Drocker to najbardziej cyniczny człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Jest przekonany, że gdyby wszystkie Pięć Rodzin miało pełny

dostęp do informacji, jedna z nich sprzedałaby pozostałe w zamian za to, by nie splądrowano jej majątków. Albo że jakiś żywiący urazę i źle opłacany służący coś podsłucha, a potem sprzeda. Jeśli spojrzymy na to, co działo się w przeszłości, Drocker może mieć rację.

– Już rozmowa z Kolegium może być bardzo ryzykowna – przyznał wuj Divina.

– Pewien jestem, że o to zadbał. Nie lubię go. Nawet odrobinę. Ale to jest człowiek, który może sobie poradzić z ewentualnym zagrożeniem.

Paludan wił się i jęczał całe dni, nim wreszcie sfinansował swój udział w Wielkiej Strategii – nie obyło się jednak bez nacisków ze strony wuja Divina.

Tylko Wzniosły odmówił partycypacji w funduszu obronnym. Nie spodobał mu się plan strategiczny, ponieważ nie uwzględniał wystarczająco chwalebnej roli dla niego i Patriarchatu.

Else poczuł przyływ chłopięcego zadowolenia, gdy Grade Drocker oznajmił:

– Jego Świątobliwość nie otrzyma żadnej ochrony, ponieważ odmówił wniesienia własnego wkładu w obronę powszechną. W imię błogosławionego Eisa, nawet pogańscy dewowie zapłacili.

Else zadrzał od skrywanej radości. Wszystko szło idealnie.

Calzircy piraci faktycznie zaatakowali na rzece Teragi, siłami znacznie większymi niż oczekiwano, a poza tym tydzień później. Ich żagle pokryły całe mile rzeki.

W trakcie tego tygodnia zwłoki napadli na Tereę, gdzie trafili na wojska imperialne, które właśnie maszerowały na południe, by wziąć udział w aferze, jaką Hansel i jego adiutanci rozpętali w Alameddine.

Kolegium ogłosiło, że rajd na Tereę jest manewrem mylącym, mającym na celu odciążenie obrońców od miasta. Tereanom i imperialnym pozwolono, żeby sami się o siebie zatroszczyli.

Plotka głosiła, że Masant al-Seyhan ma ukrytych sprzymierzeńców wśród Pięciu Rodzin. Albo wśród Barw. Tudzież w jednej z licznych mniejszości Brothe.

– Powinniście wiedzieć, że ktoś tym dupkom powiedział, iż nasze działania mają na celu wyłącznie zmylenie ich i przekonanie, by trzymali się z daleka – poinformował Else'a i Pinkusa Ghorta Redfearn Bechter.

Zdarzyło się to przy okazji kolejnej nie kończącej się narady taktycznej, podczas której niewiele ustalono.

– Nie wierzę, że Drocker liczył, iż uda się ich przestraszyć – odparł Ghort. – Założę się, że tak to rozegrał, ponieważ chciał odkryć, kto jest przyjacielem piratów.

– O jednym powinniśmy mówić wszem i wobec – zauważył Else. – Mianowicie że dowódcy wiedzą, co robią.

– Za to właśnie lubię Hechta – oznajmił Bechter. – Zawsze skłonny do pozytywnego myślenia.

– Świetny pomysł, Pipe, tylko trochę za późno – skomentował Ghort, wskazując dłonią. Daleko w dole rzeki ku porannemu niebu wznosił się słup szarego dymu sygnałowego. – Calziranje wpłynęli do ujścia rzeki. Będzie wojna.

Else nie widział w tym sensu. W jaki sposób zgraja rybaków, źle uzbrojonych chłopów i drobnych kupców morskich mogła wpaść na pomysł zaatakowania stolicy imperium w nadziei jej złupienia? Oczywiście, że coś więcej musiało tu wchodzić w grę.

Spośród bezdomnych zwerbowano dwa tysiące weteranów i utworzono z nich niewielkie kompanie pod dowództwem członków Bractwa. Lokalni ochotnicy i siły Pięciu Rodzin sprowadzone z prowincji liczyły razem też około dwóch tysięcy żołnierzy. Else był pewien, że cztery tysiące to za mało.

– Oni chyba oszaleli – podzielił się wątpliwościami z Ghortem.

Ghort mruknięciem potwierdził tę opinię.

– Wyobrażałeś sobie, że tak to będzie, kiedy się zdecydowałeś tu przyjechać?

– Nie. Opowieści nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

– Jasne. Gdybym wiedział, jak to naprawdę wygląda... Te calzirskie zbiry nie miałyby szans rozbić łba Pinkusowi Ghortowi. Nie przyszedłem do tego burdelu w poszukiwaniu nowych możliwości bijatyki.

Według Else'a niewielu żołnierzy lubiło walkę. Najemnicy źle kończyli, wykonując swoją robotę, ponieważ nic innego nie umieli. W tym sensie byli jak prostytutki.

Jeżeli już człowiek decydował się przeżyć, robił co konieczne. Moralność, etyka i miłosierdzie były zbytkami dla wystarczająco bogatych, by się nimi cieszyć.

– Co się z tobą dzieje, Pipe? – zapytał Ghort. – Wyjmij głowę z dupy i przyjrzyjmy się sytuacji.

– Wiesz, dlaczego musimy zatrzymać ich w Memorium? – zapytał Else.

– Wiem, cholera. Dlatego że jeżeli coś pójdzie źle, będzie to winą jakiegoś durnego najemnika. Jak ty i ja, chłopcze. Dźwigamy na naszych barkach grzechy Patriarchy i Pięciu Rodzin. I cokolwiek zrobimy, zawsze ugrzęźniemy w szambie.

Stojący obok Gervasego Saluda spojrzął na Else'a z ukosa.

– Dobrze cię rozumiem, Hecht? Twierdzisz, że Patriarcha tak manipuluje sytuacją, abyście ty i ten Ghort byli winni wszystkiemu, co pójdzie źle?

Odpowiedział mu Ghort:

– A ty nie próbowałbyś wykręcić takiego numeru, gdyby Pipe nie pracował dla ciebie? Cholera, Pipe, patrz. Te kutasy są już przy bonach.

Zapora bonowa z drewnianych kłód i łańcuchów znajdowała się na Teragi dwie mile w dół rzeki. Jej zadaniem było wystawienie floty piratów na ogień artylerii z obu brzegów. Nieszczęśliwie się jednak składało, że w wyniku demilitaryzacji Brothe miało tylko garstkę machin wojennych. Większość była lekkiego kalibru, a obsługiwali je ludzie nieskłonni do poświęcenia na rzecz wspólnego dobra. Ostatecznie udało się wystawić tylko sześć balist na kołach.

Nad zaporą bonową wykwitła tłusta kula dymu i ognia.

– Co pan myśli, sierzancie Bechter? – zapytał Else.

– Myślę, że właśnie byliśmy świadkami potężnych czarów. Myślę, że źli chłopcy rozwalili zaporę. Oznacza to, że mamy kłopoty.

Wieści, które wkrótce nadeszły, potwierdziły parapsychiczne moce Redfearna Bechtera. Nie licząc tego, że do eksplozji doszło na statku celowo naprowadzonym na zaporę.

W gonitwie w górę rzeki mogło uczestniczyć jakieś tysiąc statków.

Wkrótce kolejny posłaniec doniósł:

– Zaczęli desant na północnym brzegu, tuż pod mostem Blendine.

Był to pierwszy most, pod którym przepływały statki płynące po Teragi. Znajdował się niecałe dwieście jardów w dół rzeki od Castella dollas Pontellas. Jego przęsła wznosiły się dość wysoko, by statki mogły przepłynąć pod spodem, jeśli położyły maszty, a załoga siadła do wiosł. Odstępy między filarami mieściły okręty wojenne kierujące się ku Castella.

Teraz na tym moście stacjonowała milicja uzbrojona w oszczepy, tanie kusze, głązy i bloki kamienia.

Ale północny brzeg tuż pod mostem nie był broniony. Stamtąd piraci zaatakowali. Ku zaskoczeniu Else'a przebili się, mimo morderczego ostrzału z Castella. Zdziętkowani i poniekąd ogłupiali od grozy wylali się na rozległą przestrzeń pomników, fontann, łuków triumfalnych i niewielkich skwerów zwanych Memorium, gdzie spodziewano się najwcześniejszych i najgwałtowniejszych starć. Gdzie być może zdecydują się losy pirackiego wypadu.

Dowodzący obroną Brothe oczekiwali, iż piraci wylądują na południowym brzegu przy najdalej w dół rzeki wysuniętym krańcu Memorium, a potem zaatakują w kierunku wschodnim, aby odizolować Krois i Castella dallas Pontellas, zdobywając mosty na Teragi i uniemożliwiając odsiecz z północy. Wówczas mogliby się zająć systematycznym plądrowaniem.

Lądując na północnym brzegu i szturmując most Blendine, piraci uniknęli konieczności zdobywania czterech piątych terenu Memorium, gdzie czekała ich ciężka przeprawa przez zasadzki i krzyżowy ostrzał, zaprojektowane tak, aby wykorzystać ich brak doświadczenia oraz dyscypliny.

Pinkus Ghort zauważył:

– To nie jest żaden oszalały motłoch, Pipe. Dowódcy przeciwnika wiedzą, co robią. Dostaniemy po pysku jak gromadka nieletnich kurew.

– Fakt, panuje u nich dyscyplina i strategia. Być może piraci są tu tylko po łupy, ale ktoś inny ma większe ambicje.

Redfearn Bechter zazwyczaj polegał na samym sobie. Wolał cicho wykonywać dzieło Boże. Gdyby sierżanta zapytać, odpowiedziałby, że Bóg jest jak krawiec. Delikatny byt, który prowadzi sprawy świata przy możliwie najmniejszym zamieszaniu. Bechter zauważył:

– Jeżeli nie zgodzimy się od razu, że nie chodzi tu tylko o kilku pramańskich rybaków próbujących ukraść wszystko, co nie zostało przybite do podłogi, to mamy przechłapanie. Za tym kryje się jakiś geniusz zła.

Else westchnął.

– Co myślisz, Pinkus? Trzymać się twardo na południu i tutaj, ale pozwolić im robić, co chcą, gdzie indziej?

Saluda zaprotestował:

– W ten sposób zepchniemy ich w najbardziej zaludnioną część miasta.

– A tam właśnie chcą się dostać. Racja? A więc jeśli im pozwolimy, nie dając się wcześniej pozabijać, pozostaniemy zdolni do walki. A oni nie będą. Racja?

Ghort parsknął.

– Ich łodzie! Cholera! Eisie i Aaronie! Sam jesteś pieprzonym geniuszem zła, Pipe.

– Tylko jeśli są na tyle głupi, żeby zostawić statki przy północnym brzegu. Zostawią... i wtedy będziemy musieli tylko bronić mostów, gdy spróbują wrócić.

– He, he! – zaśmiał się Ghort. – Niech się tylko rozejdzie słowo. Wiesz, co się stanie, no nie, Pipe? Bractwo zbierze całą zasługę.

– I najprawdopodobniej tak będzie lepiej. Potrafią odeprzeć tłuszcę spanikowanych piratów. Gervase, jeśli chcesz się na coś przydać, to może pobiegiesz do Łuku Hanbrosa, znajdziesz Godela Joyce'a i powiesz mu, żeby nie bił się na poważnie, ponieważ chcemy zagnać złych chłopaków ku ruinom Senatu. Nic więcej mu nie mów. Pinkus, idź, zobacz się z Moglą. Powiedz mu, żeby im zagroził drogę w dół rzeki. Nic więcej nie musi robić. To nie powinno być trudne. Ja tymczasem prześliznę się do Castella. Bechter?

– Jestem z tobą, panie. Jak dużo czasu minie, nim piraci się zorientują?

– Mam nadzieję, że wystarczająco dużo, żeby było za późno. – Jednak w duchu Else nie czuł optymizmu. Tyle statków. Znacznie, znacznie więcej, niż ktokolwiek się po Calziranach spodziewał.

Paludan Bruglioni i tych paru odważnych służących, którzy zechcieli aktywnie pomóc Bruglionim, towarzyszyli mu do Castella dolas Pontellas.

Grade Drocker osobiście poprowadził oddział przez most Rustige znajdujący się powyżej Krois, a potem zaatakował zakotwiczone oraz wyciągnięte na brzeg calzirskie łodzie i okręty. Resztki swych zdegenerowanych mocy Drocker wykorzystał na wywołanie zamieszania i paniki wśród strażników floty – na którą zasadniczo składały się łodzie tak małe, że niezdolne pomieścić na pokładzie więcej niż pięciu ludzi. Strażnikami byli chorzy, ranni i starzy Calziranie.

W trakcie chwilowej przerwy w walkach Else patrzył na drugi brzeg Teragi. Nie dostrzegał żadnych oznak aktywności. Bliżej nie – go Bractwo zaczęło wznosić barykady na moście Blendine, gdzie powracający piraci trafiają pod ostrzał z blanków Castella.

Sierżant Bechter zauważył:

– Wkrótce tu będą.

– Nie mają innego wyjścia. Tak.

Drocker nie przyprowadził dość ludzi, żeby starczyło dla ufortyfikowania mostu i poradzenia sobie ze strażą statków. Przynajmniej na czas. Sama liczba łodzi i napastników przyhamowała atak. Kiedy opór okrzepł, Drocker nie potrafił już wiele zrobić. Udało mu się podpalić lub przedziurawić tylko jakąś setkę z najmniejszych łodzi. Podszedł do Else'a.

– Już mamy poważne kłopoty... z utrzymaniem mostu. Muszę iść po... pomoc. Przejmij dowodzenie. Skup się na... największych łodziach. To ich bardziej... wyprowadzi z równowagi. Będę robić... głupstwa. Aha. I uważaj na... kobietę.

– Panie? Kobieta?

– Gdzieś w tym bałaganie... jest kobieta zwana niekiedy... Starkden. Wiedźma. Jest tu... z flotą... wśród łodzi. W przeciwnym razie... starczyłoby mi mocy. Złap ją. Weź jążywcem. Musi odpowiedzieć... za wiele rzeczy... przed Bractwem Wojny.

– Panie, to jest sytuacja, z jaką jeszcze nie miałem do czynienia. Jak mam złapać czarownicę, jeśli ona nie zechce być złapana?

– Teraz powinna być... solidnie ogłuszona. Trafiłem ją porządnie. Ale to nie... potrwa. Nie trać czasu. I nie zapomnij jej... wziąć ze sobą, jeśli... nie uda się utrzymać mostu. – Ostatnio Drocker miał coraz mniejsze trudności z mówieniem. W zeszłym roku jego zdrowie znacznie się poprawiło.

– Tak, panie.

– Złap ją... a wtedy łatwo wygramy, Hecht. Kiedy się dowiedzą... że mamy *spiritus movens* ich... pomyślnego losu. I rozumieją... że Kolegium obudzi się... w każdej chwili.

– Tak, panie. – Else zastanawiał się, czemu jeszcze Kolegium nie weszło do akcji. Czy calzirskim czarownikom udało się je jakoś zneutralizować?

Drocker pospieszył ku mostowi Blendine. Else wreszcie się rozluźnił. Choć Drocker nie miał pojęcia, że właśnie on stoi za jego kalectwem, nigdy nie czuł się swobodnie w jego towarzystwie.

Bechter zauważył:

– To nie jest człowiek o szczególnie wielkim charakterze, ale siły woli ma aż nadto.

– Och, charakteru też ma dużo. Ale cały wziął od węża.

– Hej. To Specjalne Oficjum. Werbują ludzi gorszych od tych, których ścigają. A więc zostają im tylko węże.

– Znajdźmy tę wiedźmę. Ktoś wie, kogo szukamy?

– Zdumiewające, ale wszyscy w Bractwie wiedzą – rzekł Bechter. Opisał smagłą kobietę koło pięćdziesiątki, która mogłaby być siostrą lub matką Paludana Bruglioniego... albo jakąkolwiek wrózką z ulic Brothe.

Tyle też Else powiedział.

– To wyjaśnia, dlaczego może się pojawiać i znikać, gdy chce, na całym obszarze wokół Morza Ojczystego.

– Dla kogo ona pracuje? – Else był zdumiony. O Starkden usłyszał po raz pierwszy po incydencie w Runch. Ale po tej stronie wody najwyraźniej cieszyła się legendarną sławą.

– Ciekawe pytanie, kapitanie. Najwyraźniej jest niezależna. Czekaj, jesteśmy w ogniu walki. Jeśli chcesz porozmawiać, idź do tego przebierańca i jego pomagiera. – Bechter miał na myśli Paludana i Gervasego, który już wrócił ze swej misji. Najwyraźniej nie mieli oni zamiaru maczać palców w mokrej robocie. – Ja mam tutaj paru niewiernych do skarcenia.

– I wiedźmę do znalezienia. – Najwyraźniej pramańską wiedźmę.

Opór stawiany przez strażników łodzi słabł, w miarę jak silniejsi padali. Najbardziej tchórzliwi już odpłynęli lub uciekli. Calziranje po drugiej stronie rzeki krzyczeli na tych z północnego brzegu, żeby przepłynęli tymi cholernymi łodziami na drugą stronę.

Else poczuł ból w nadgarstku. Amulet pozostawał w stanie uśpienia tak długo, że zapomniał o jego istnieniu. Prawie.

Poradził sobie ze statkiem calzirskiego trio, które zdawało się składać z przedstawicieli trzech pokoleń tej samej rodziny – wszyscy odnieśli rany we wcześniejszych starciach. Zabił ich bez wzruszenia.

– I dobrze – skomentował Bechter. – Nareszcie się wzięłeś do roboty.

– Po prostu poprzecinajmy olinowanie. Nie wydaje mi się, abyśmy mogli wzniecić następne pożary.

Piraci podjęli energiczny wysiłek oczyszczenia mostu Blendine. Pomniejszych siłami zaatakowali też mosty ponad Krois i Castella.

– Tam się pali – powiedział Bechter. – Niedobry znak w mieście.

Else spojrzął w stronę dymu. Gdzieś tam znajdował się dom Anny Mozilli, choć może trochę dalej.

– Ten tłum na ścieżce holowniczej, obok tej dau z czerwonym proporcem – stwierdził. Udało im się już uszkodzić większość floty wyciągniętej na brzeg. – Czy to znaczy, że mają na pokładzie coś objętego szczególną ochroną?

– Założę się. Ach, ile bym teraz dał za kompanię aparioneskich kuszników. Wystrzelalibyśmy ten tłum z daleka.

Łódź pod czerwonym proporcem była jedną z setki większych, których nie wyciągnięto na brzeg. Powiązane razem kotwiczyły w dole nurtu, szczipione burtami, gdzieniegdzie po osiem pokładów. Bliższe brzegu łodzie przywiązane były do muru przeciwpowodziowego, który biegł wzdłuż rzeki, zmieniając brzeg w jedną długą ścianę nagiego kamienia. Miejscami tylko cofał się od wody – były tam wąskie ścieżki holownicze i miejsca wyładunku, dostępne niezależnie od poziomu wody. Południowy brzeg wyglądał podobnie, poczynając od stóp mostu Blendine i idąc w górę rzeki. Decyzja o takiej zabudowie musiała mieć coś wspólnego z krzywizną prądu.

Else zwrócił się do Bechtera:

– Nie przedrzemy się przez ten tłum. Jest ich zbyt wielu. Odwrócisz ich uwagę. Ja ich okrążę. Gervase, ty i Paludan będziecie się trzymać sierżanta. – Grupka z domu Bruglionich wprawdzie nie uciekła, ale wyraźnie dawali do zrozumienia, że trzymają się z boku.

– Okrążysz, Hecht? Jak?

Else skoczył między rybackie łodzie. Chroniły go przed niepożądanym wzrokiem. Zrzucił kolczugę i ubranie, zsunął się w śmierzącą, brudną wodę. Była znacznie zimniejsza, niż przypuszczał.

Niełatwo pływać, trzymając broń. Ale uczą tego w szkołach sha-lugów. Żołnierz powinien móc wszędzie zanieść bój.

Zanurzył się pod powierzchnię, popłynął z prądem, wychynął za ostatnią łodzią z pierwszego szeregu kotwiczących, a potem popłynął w kierunku swego celu – jednomasztowego przybrzeżnego frachtowca. Mimo iż ten był jedną z największych jednostek Calziru, wydawałby się mały w porównaniu z wojenną galerią, którą Else miał okazję widzieć podczas podróży z Dreangeru.

Krótką chwilę odpoczywał przy kadłubie dau; słuchał, ale do jego uszu dobiegały tylko odgłosy poskrzypywania drewna i skrzypienie napiętych lin.

Wejście na pokład okazało się niełatwe. Nawet na śródkręciu, gdzie wolna burta była najniżej, nie mógł sięgnąć do relingu. Żadnych uchwytów nie dostrzegł.

Else wsunął nóż w uszczelnienie i smołę między deskami kadłuba nad głową. Uderzając dłońmi w rękojeść, wbił go głębiej, potem się rozluźnił, skoncentrował, podciągnął. Gwałtownym szarpnięciem wybił się na tyle wysoko, że drugą ręką sięgnął krawędzi nadburcia. Przerzucił przez nią miecz, wzmocnił uchwyt i podciągnął się wyżej.

Przerzucił się przez reling, schwycił broń, rozejrzał za wrogiem. Nikogo. Redfearn Bechter skutecznie odwrócił uwagę wszystkich walczących na brzegu.

Else skoczył na rufę, przeciął liny kotwiczne, potem szybko przemknął na dziób. Rufa dau powoli odsuwała się z prądem.

Kiedy przeciął dziobowe liny kotwiczne, zrozumiał, że nie przemyślał wszystkiego do końca. Nie będzie w stanie sterować stat – kiem, kiedy ten obracać się będzie w kółko, spływając z nurtem Teragi.

Amulet znowu mu dokuczał. Po raz pierwszy, odkąd znalazł się w wodzie.

Piraci zaczęli krzyczeć. Niektórzy gramolili się już po pokładach wyciągniętych na brzeg łodzi.

Jeszcze jedna lina do przecięcia.

Calziranin, który musiał mieć więcej odwagi niż rozumu, skoczył w powiększającą się szczelinę między dau i jej najbliższym sąsiadem. Schwycił się luźnej liny, spadł, chrupnęła kość. Nie było wątpliwości – coś sobie złamał. Chwilę później zawył z bólu.

Trzech kolejnych bohaterów ruszyło w ślad za pierwszym. Jeden doskoczył, wylądował na pokładzie. Następny trafił w reling i w cudowny sposób balansował na nim, wymachując ramionami, do momentu gdy trzeci w zbyt krótkim skoku pociągnął go za nogę w dół, próbując uniknąć kąpieli w zimnej wodzie.

Sierżant Bechter rozproszył na brzegu skonfundowanych piratów. Potem razem ze swymi ludźmi też poszedł w rozsypkę.

Przez barykadę na moście Blendine przesączali się zdesperowani piraci.

Else przeciął ostatnią linę kotwiczną a potem usunął niechcianych towarzyszy podróży. Byli rybakami. Powinni umieć pływać.

Dau obróciła się dookoła własnej osi. Uderzyła mocno w burzę zakotwiczonego statku. Drewno zajęczało i pękło. Strzępy olinowania poleciały w dół. Else biegał po pokładzie, chciał się upewnić, że jego dau nie splącze się z innymi.

Cykl się powtórzył, tym razem nie tak gwałtownie. Else nie był żeglarzem. Jak miał sterować tym czymś? Statek musi mieć szybkość sterowną, żeby dało się nim sterować. To znaczy musi się poruszać względem wody, a nie po prostu dryfować.

Pojawił się jednak problem bardziej naglący. Czarownica. Starkden. Musiała wiedzieć, kim on jest, ponieważ próbowała zabić go w Runch. Nie miało to najmniejszego sensu, jeśli walczyła po stronie pramy.

Statek nie był na tyle duży, żeby mieć pokłady, kabiny i co tam jeszcze – wyjątkiem była tylko część rufowa, gdzie znajdował się podest dla sternika. Zresztą i tak nie było czego skrywać pod pokładem. Piraci mieli mnóstwo pustego miejsca, mając nadzieję na zapełnienie go łupami.

Pod podestem sternika było coś w rodzaju komórki. Tam Else znalazł kobietę, nieprzytomną. Wyciągnął ją na światło. Zupełnie obca twarz, coś w niej jednak uderzyło go znajomego.

Była niska, krępa, niepomarszczona, smągła, odziana zupełnie inaczej niż jej piraci. I łysa. Ubranie składało się zasadniczo z jaskrawo ubarwionej bawełny, którą tak lubiły uliczne wróżki.

Po co goliła głowę? To musiało coś oznaczać. Nie przypominał sobie, aby znał kogoś we wróżbiarskim interesie, kto goliłby głowę, a potem nakładał perukę, żeby to ukryć. Ponieważ perukę miała. Else znalazł ją, gdy szukał czegoś, co zastąpi knebel i więzy.

Pomysł związania czarownicy, póki jest zbyt otępieła, by protestować, wydał mu się znakomity.

Banda piratów ścigała statek brzegiem rzeki. A kilka łodzi, które wcześniej uciekły, teraz odkryło w sobie odwagę przyłączenia się do pościgu.

Niedobrze. Był sam, przemarznięty, miał na karku groźnego jeńca, ścigali go wrogowie. Przypuśćmy, że zwabi kilku na pokład, obezwładni, a potem... każe kierować statkiem?

Plan śmiały, prawda, ale nadmiernie optymistyczny.

Zakłuło go w nadgarstku. Amulet nie reagował na Starkden z równą siłą jak na Grade'a Drockera, kiedy czarownik próbował go zabić. Ból był do

zniesienia. Amulet reagował więc na obecność raczej niż na poziom zagrożenia. Teraz ledwie szczypał w obecności Drockera.

Pościg brzegiem rzeki się zakończył, gdy piraci wpadli na oddział milicji, uzbrojonej w kusze, które nie bardzo umieli naciągać. Niekompetencja zderzyła się z niekompetencją. Zdolni do przeniesienia swojej na dłuższy dystans, zdobyli oczywiście przewagę.

Pościg nurtem rzeki nawet nie zbliżył się do Else'a. Każdy z Calziran chciał, by to ktoś inny wykonał pierwszy ruch.

Statek przestał wirować, dryfował teraz burtą naprzód, dziób wskazywał południowy brzeg. Else przypomniał sobie małe łodzie towarowe i pasażerskie widywane na kanałach Sonsy, napędzane przez jednego człowieka, który machał długim wiosłem zamocowanym na rufie. Może wielkie, wstrętne wiosło sterujące dau da się tak samo wykorzystać. Po krótkim czasie eksperymentowania udało mu się ustawić dziób zgodnie z nurtem – oczko w tę, oczko w tamtą. Nurt pchał dau ku północnemu brzegowi.

Statek płynął ku zaporze, na której nagromadziło się drewno niesione przez rzekę ku licu ruin jakiejś nadrzecznej budowli pochodzącej jeszcze z czasów imperialnych.

Else pożyczył sobie kamień kotwiczny, dwadzieścia funtów skały z dziurą w środku, którą przechodziła lina. Przerzucił kamień na drewniany stos, napiął linę, odwiązał, a potem wziął na ramię swoją smagłą ofiarę.

Starkden była cięższa, niżby można z pozoru sądzić, nawet pozbawiona biżuterii i wszystkiego, czego mogłaby użyć jako magicznego instrumentu. Else giął się pod jej ciężarem, uważnie wybierając oparcie dla stóp na zdradliwym gruncie. Lepiej, żeby rzecz okazała się warta zachodu. Chciał się czegoś dowiedzieć, nim ją zabije.

W tym wypadku nie miał wyboru. Wiedziała za dużo.

Connec, misja księcia Tormonda

Zrozumiawszy, że księżę Tormond nie zmieni zdania, connekiańskie frakcje zajęły się gorączkowymi staraniami, by nadać określony tryb jego misji w Brothe.

Tak. Tormond IV, księżę Khaurene, pan Connec, Wielki Niezdecydowany postanowił osobiście zaapelować do Patriarchy. Aby nie mogło być żadnych dalszych nieporozumień. Aby żadne przypadkowe armie nie wkraczały więcej do Connec, by spotkać tam swą zgubę.

Zgodnie z rozpowszechnionym przekonaniem, Tormond sam siebie oszukiwał. Spotkanie oko w oko z Patriarchą nie wyjaśni niczego. Wzniosły chciał złupić najbogatszą prowincję chaldarańskiego świata, żeby sfinansować krucjatę na rzecz odzyskania Ziemi Świętej.

Brat Świeca przyłączył się do orszaku księcia. W jego skład wchodzili również Michael Carhart, biskup LeCroes, syn Tembera Remaka Tember Sihrt oraz wielu jeszcze, którzy z pewnością nie mogli liczyć na życzliwe powitanie na dworze Patriarchy Brothe. Większość podjęła decyzję o podróży incognito – próżny trud. Szpiedzy Patriarchatu wiedzieli, kto jest kim.

Delegatury Kościoła bywały równie podstępnie wszechobecne jak ich odpowiedniki po stronie Nocy. I znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że uprzykrzą komuś życie. Niegodziwość Nocy była okrutna, ale rzadko kiedy miała charakter osobisty.

Sir Eardale Dunn nie skorzystał z okazji, by odwiedzić Brothe, nie dlatego że przeciwny był misji – choć był – ale ponieważ w domu musiał zostać ktoś kompetentny i godny zaufania. Bezpośrednim zaś powodem był

hrabia Raymone Garete. Sir Eardale podejrzewał hrabiego Raymone'a o zamiar spłatania jakiegoś figła.

Tormondowi towarzyszyła siostra. Isabeth wyznaczona została na oficjalną przedstawicielkę swego męża. Król Piotr był zdecydowanym zwolennikiem niepodległości Connec. Zależało mu na posiadaniu bufora między Navayą a zachłannością Arnhandu. Poza tym Piotr dysponował środkami nacisku. Jego rekonkwista odgrywała ważną rolę w strategii Wzniosłego. Wzniosły mniemał, że jej chwała odbija się w jego zarządzaniu.

Dobrze wyszkoleni, zawodowi żołnierze Piotra przydawali się też dla zapewnienia bezpieczeństwa Wzniosłemu. Dwudziestu czterech ludzi, z jakich składała się Gwardia Patriarchy, byli to wyłącznie navayańscy weterani, którzy zdobyli swe stanowiska w nagrodę za służbę dla Wiary.

Poza tym w Kolegium zasiadali potężni prowincjałowie z Direcii. Wzniosły uzależniony był od ich poparcia. Jeśli obrazi Piotra, jego polityczny los w krótkim czasie będzie przesądzony.

Brat Świeca powoli zaczynał zachodzić w głowę, czy Delegatury Nocy nie mają zamiaru dopuścić księcia Tormonda do Brothe. Pogoda przez cały czas była nieodmiennie okropna. Każdego dnia całymi godzinami łał przeraźliwie zimny deszcz. Nawet stare wojskowe drogi Brothe nastęrczały podróżnym trudności.

Poza tym wszyscy chorowali.

Oczywiście nie były to choroby śmiertelne. Tylko okazjonalne ataki dyzenterii na przemian z grypą i poważnym zaziębieniem. „Krucjata kaszlących”, takim mianem określił misję Michael Carhart. Brat Świeca wydmuchał zatkany nos i zgodził się z nim.

Po miesiącu spędzonym w drodze ksiączę Tormond miał już dwa tygodnie opóznienia. Czas, w którym wedle ksiączęcych logistyków mieli już być w Firaldii i zbliżyć się do Brothe, zastał orszak jeszcze przed Ormienden.

W Viscesment ksiączę zdecydował się na przerwę w podróży. Spotka się z Niepokalanym, pozwalając równocześnie zniechęconym kompanom na nabranie sił.

Pogoda natychmiast się poprawiła.

Michael Carhart przekonał lokalnych devediańskich lekarzy, aby zajęli się chorymi. Udało się zwalczyć gwałtowną dyzenterię.

Do Viscesment dotarły wieści o kłopotach Wzniosłego z piratami. Raporty były niejasne i sprzeczne, ale ich motyw przewodni wyraźny: Kościół, rodzina Benedocto, a w szczególności Wzniosły znaleźli się pod konsekwentnym ostrzałem.

Brat Świeca przyłączył się do delegacji zorganizowanej przez biskupa LeCroes. Był on najwyższym kapłanem chaldarańskim w Khaurene, ale równocześnie krewnym Tormonda. Poinformował księcia:

– Tego ranka widziałem się z Niepokalanym, wasza lordowska mość. Mówi, że calzirskie kłopoty Wzniosłego są gorsze, niż się powszechnie sądzi. Być może stanowią wręcz zwiastun jego upadku.

Brat Świeca wyczuł myślenie życzeniowe. Choć w tym wypadku mogło okazać się prawdą. Z każdym dniem stawało się coraz bardziej jasne, że Wzniosły, mimo iż potężny i wiedziony wielkimi marzeniami, był nadzwyczaj nie lubiany.

Biskup LeCroes kontynuował:

– Na dworze Patriarchy panuje przekonanie... wtóruje mu zresztą ambasador Imperatora graf fon Wistritz... że najlepiej pozwolić, by Wzniosły ugotował się we własnym sosie. Póki po uszy tkwi w konflikcie z Calzirem, nie może się nam naprzykrzać.

Brat Świeca zastanowił się nad ewentualną rolą w tym wszystkim Johanna Czarne Buty. Może sprowokował Calziran?

Wszyscy przeciwnicy misji przekonywali, że należy zrezygnować z poselstwa. Wzniosły został zneutralizowany. Niech sprawy toczą się własnym trybem, powiadali. Zobaczmy, co się z tego wyłoni, nim się głębiej zaangażujemy.

Argumenty rozmyślnie tak skalkulowane, żeby trafiły do Wielkiego Niezdecydowanego. A sama sytuacja też przecież domagała się – z connekiańskiego punktu widzenia – zachowania dystansu.

Księżę nie miał zamiaru zmienić pierwotnej decyzji.

– Oszalał – upierał się Michael Carhart. – Stracił zmysły.

Brat Świeca zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to prawdą, w dosłownym sensie.

– Myślisz, że ktoś rzucił na niego czar?

– Zastanawiałem się nad tym. Dlaczego znienacka zrobił się taki zdecydowany i stanowczy? – odpowiedział pytaniem LeCroes.

Nigdy o tym nie wspomiano, ale starzy ludzie pamiętali, że ojciec Tormonda oszalał, gdy był znacznie młodszy niż książę. I aż do dnia śmierci staremu księciu przydarzały się okazjonalne i nieprzewidywalne nawroty psychicznego zdrowia. Przez większość czasu wszakże jego doradcy nie mieli pewności, w jakim znajduje się stanie.

– Zauważyłem coś po drodze – stwierdził Michael Carhart. – I nie chodzi o to, że w okolicy jest zimno i mokro. Stworzenia nocy nadzwyczajnie się interesują naszą małą gromadką.

Małą gromadką? Wraz ze wszystkimi pieczeniarczami i służbą „mała gromadka” liczyła prawie trzysta osób. Mała armia. Albo stado szarańczy.

Brat Świeca nie zauważył nocnych stworzeń. Ale nigdy nie był w tych kwestiach szczególnie wrażliwy. Delegatury Nocy musiały się zachowywać naprawdę wyjątkowo ostentacyjnie, żeby coś do niego dotarło. Większość ludzi taka była. Zwłaszcza w miastach. Po prostu nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje.

Natomiast Michael Carhart znajdował się na drugim krańcu skali, w zakresie wrażliwości dostępnym niektórym czarownikom. Zdawał sobie sprawę z każdego czerwia ciemności, który wił się w pobliżu.

Biskup LeCroes zapytał:

– Powodem jest nasza misja? Czy po prostu ty jesteś zbyt wrażliwy? – Chaldaranie nieodmiennie ambiwalentnie traktowali wszystko, co było związane ze Studniami Ihrian i Delegaturami Nocy.

Czy to Bóg stworzył Studnie Ihrian?

Czy Studnie zrodziły Boga?

Ten nierozwiązywalny dylemat – niektórzy powiedzieliby: immanentny defekt – nadwierał podstawy zarówno pramańskiej, jak i chaldarańskiej wiary w oczach tych, którzy badali wewnętrzne podstawy własnych religii.

Żadna wiara nie oprze się rygorystycznej, racjonalnej analizie. Z drugiej strony wszystkie nieźle sobie radzą na poziomie życia codziennego zwykłych ludzi. W tym sensie to, w co ludzie wierzyli, było prawdziwe – tu i teraz.

Wiara nadawała kształt Delegaturom Nocy. A równocześnie Delegatury Nocy kształtowały wiarę. W miarę jak Firaldia i centralne rejony Państw Episkopalnych stawały się coraz bardziej uległe, odległe kraje obsuwały się głębiej pod panowanie Nocy.

– Nie. Nie chodzi o misję – odparł Michael Carhart. – Ale sprawy świata wpływają na Noc. Delegatury chcą wiedzieć, co się dzieje.

– To znaczy? – zapytał brat Świeca.

– Wyczuwają kształtujące się archetypy, które określą przyszłość.

Brzmiało to jak nowomowa okultystów. Brat Świeca rzekł więc:

– Te sprawy same się o siebie zatroszczą. My nie powinniśmy się nimi przejmować.

– Ty powinieneś – sprzeciwił się biskup LeCroes. – Jeżeli Michael Carhart potrafi wyczuć zainteresowanie ze strony Delegatur Nocy, Kolegium ono również nie umknie. A to właśnie twój kult szczególnie drażni Wzniosłego.

– Każdego dnia znajduję kolejne powody, by nie wierzyć, że Człowiek jest istotą rozumną. Ustępuję przed twoją mądrością, biskupie.

LeCroes odpowiedział:

– Gdyby wśród naszej gromadki dało się znaleźć bodaj isierkę mądrości, wszyscy siedzielibyśmy w cieple przy grzanej brandy. Nie wlekielibyśmy się za Szalonym Księciem Connec, by ochronić go przed dalszą szkodą dla naszej sprawy. Wciąż bylibyśmy w Khaurene. Wiemy, że nic, co Tormond zdziała w Brothe, nie będzie miało znaczenia. On upiera się tylko dlatego, że nie lubi, jak mu się coś narzuca.

Postój w Viscesment się przedłużał. Parę dni przeszło w kilka tygodni. Księciu nikt o tym nie wspominał. Tormond najwyraźniej nie miał ochoty ruszać w dalszą drogę. Nieszczęśliwie się wszak składało, że sytuacja była nie w smak Niepokalanemu. Tormond był kosztownym gościem. Niepokalani i jego dwór żyli z posiłku na posiłek, wspierani z powodów politycznych wyłącznie przez Johanna Czarne Buty, nie zaś przez tych, których światopogląd mieli rzekomo dzielić.

Do księcia w końcu dotarło. Zwołał swoich towarzyszy podróży i oznajmił im, że wkrótce znów wyruszą w drogę. Pogoda była sprzyjająca, wszyscy wrócili do zdrowia. On zaś nie zmienił swego postanowienia, by się spotkać ze Wzniosłym przy stole obrad.

Przyszły wieści o masakrze Starplire.

– To niczego nie zmienia! – upierał się Tormond. – Niczego! W rzeczy samej, dostarcza nam znakomitej sposobności!

Brat Świeca, stojący obok Michaela Carharta i Tembera Sihrt, mruknął:

– Nie mogę się doczekać, co nasz geniusz znowu wymyśli.

– Wzniosły jest panem trzeciej części Firaldii, ćwiartki Ormienden i licznych wysp na Morzu Ojczystym – powiedział Tormond. – Ale nie dysponuje prawdziwymi siłami zbrojnymi. Kiedy próbował nas rzucić na kolana, musiał poprosić o pomoc Arnhand. Ta garstka żołnierzy, jaką ma, stacjonuje na terytoriach, do których Imperator rości sobie prawa. Jego gwardia przyboczna nie ma innych zadań prócz ochrony osobistej. Poza tym jest ich tylko garstka.

Brat Świeca szepnął:

– Mimo wszystko jest nieco zorientowany w sprawach świata. – I choć jego ogląd był cokolwiek zniekształcony, to trzeba mu oddać, że przynajmniej starał się postrzegać sytuację z geopolitycznego punktu widzenia.

– Chyba cię nie rozumiem, wasza lordowska mość – stwierdził biskup LeCroes.

– Jeszcze nie skończyłem, Bries. Postaraj się na chwilę opanować i powstrzymać sarkazm, a wszystkiego się dowiesz.

Cóż. Mimo wszystko być może Tormond wcale nie był półżywym flakiem. Niewykluczone, że wręcz przeciwnie – odezwał się w nim bystry aktor. Choć szanse na to były mimo wszystko stosunkowo niewielkie.

– Chodzi mi o to, Bries, że położenie Wzniosłego jest kiepskie. Calziranje uczynili ogólnonarodową ambicją splądrowanie Kościoła episkopalnego, Państw Patriarchalnych i wszystkiego, z czego żyje Wzniosły oraz jego rodzina. I Wzniosły nie może w tej sprawie nic zrobić. Więc leży bez ruchu, jak naga tłusta baba, i ma nadzieję, że za bardzo go nie zgwałcą.

Wyglądało, jakby na jeden niewiarygodny moment Tormond wyzwolił się spod wpływu narkotyków powodujących całkowite otępienie.

– Być może właśnie nadarzyła nam się okazja odwrócenia losu, jaki Wzniosły chce zgotować Connec.

Tormond w niczym już nie przypominał żywego trupa. Jego umysł obudził się do życia. Myślał, kalkulował i snuł intrygi niczym prawdziwy suweren.

Brata Świecę nawiedziło przerażające podejrzenie, że wszystko jeszcze może się udać, i to tylko dlatego, że Tormond uparcie obstaje przy błędnej z gruntu decyzji.

– Zamierzam zaproponować Wzniosłemu poparcie Connec w wojnie z Calzirem... pod warunkiem że zrezygnuje ze swych planów wobec nas.

To wzbudziło niejake podniecenie. Czy można ufać, że Wzniosły dotrzyma słowa? Co z Imperatorem Graala? Co z Niepokalanym? Jak przeprowadzić tę intrygę?

Michael Carhart zaproponował, by na czele ewentualnych sił wysłanych do Calziru postawić Raymone'a z Antieux. Koncepcja ta od razu zyskała poparcie.

Siostra Tormonda, Isabeth, nie odzywała się, pogrążona w namyśle. Tego rodzaju intryga nie może się udać bez udziału jej męża. Piotr miał weteranów, potrafiących szkolić i dowodzić. Piotr miał dostęp do floty Platadury, która stanowiła direciański ekwiwalent Sonsy i Aparionu.

Posypały się niezliczone pytania. Tormond nie chciał na żadne odpowiedzieć.

– Najpierw musimy dojechać do Brothe. Potem zobaczymy się ze Wzniosłym. Przekonamy go, żeby zrezygnował z okrucieństwa.

O Niepokalanym nikt nawet nie wspomniał. Mimo niedawnych sukcesów nie miał on już żadnego znaczenia. I Tormond świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

Los Niepokalanego nikogo nie obchodził. Przynajmniej wśród członków connekińskiej misji. Nawet biskup LeCroes nie protestował.

Koncepcja księcia zainspirowała jego towarzyszy. Przez najbliższy tydzień nikt nie podnosił obiekcji, nie zadawał pytań. A wtedy, dzięki sprzyjającej pogodzie, poselstwo znalazło się już w odległości paru dni drogi od Brothe. I nawet najsłabsze protesty zniknęły, gdyż Brothe zaatakowali calzircy piraci.

Tormond próbował wzniecić wśród swych towarzyszy bojowe nastroje. Ale na wodza zupełnie się nie nadawał. Ludzie żartowali, mówiąc, że nawet on nie poszedłby za samym sobą w dolinę cieni.

Brat Świeca pomyślał, że księżę znowu sprawia cokolwiek dziwne wrażenie.

– Myślę, że szaleństwo powróciło.

Niezależnie od stanu umysłu Tormond się nie ociągał. Zmierzał prosto do Brothe.

Brothe, Pięści Bogów

- **N**a jaja Bela, braciszku! Jak długo mnie nie było tym razem? – mruknął Shagot.

– Dwa i pół dnia. Podgrzewam posiłek. Pewnie dalej byś chrapał, gdybym się do tego nie zabrał. Masz. Pij.

– Co jest? – Shagot wyczuwał coś. Działy się dramatyczne rzeczy.

– Piraci atakują Brothe.

– Piraci? Sturlangerzy?

– To nie są nasi ludzie. To piraci, którzy wyznają religię nienawidzącą religii wyznawanej tutaj. Trudno to wyjaśnić. Nie mogę swobodnie wychodzić i rozmawiać z ludźmi, więc tak naprawdę nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Bywały chwile, że Shagot wąpił, czy Svavar byłby w stanie cokolwiek zrozumieć, nawet gdyby miał prywatnego nauczyciela.

Svavar ciągnął dalej:

– Grim, wkrótce i tak zostaniemy w to wmieszani, i to raczej szybko. Najeźdźcy są już kilka kwartałów stąd.

Shagot wypił kubek wody, a potem poprawił solidnym, długim łykiem piwa. Za znalezienie którego powinien naprawdę podziękować bratu, gdyż nie było to łatwe w tym cipiastym mieście tchórzy, miągów, ciot i stad skobieciałych snobów. Którzy nic tylko pili wino, ulubiony napitek chłopców, co sądzą że powinni być dziewczynkami.

Wreszcie Shagot powiedział:

– Nie mamy żadnych rzeczy, które mogliby uznać za warte kradzieży. – Zadał sobie trud, żeby każdy wolny miedziak, jaki zebrali ze Svavarem, trafił do pewnego devediańskiego specjalisty od inwestycji.

Asgrimmur jęknął:

– Grim, zrozum, co się dzieje. W chwili obecnej nikogo za cholere nie obchodzą inwestycje. Nie wspominając już o tym, że ci calzircy rybojebcy tak czy siak zabiorą nam nasze pieniądze, jeśli złupią całe to pieprzone miasto.

Shagot podniósł się do pozycji siedzącej.

– Masz rację, braciszku. Jeżeli działają tak jak my, zabiorą wszystko, co będą w stanie unieść, a resztę zniszczą.

– Nareszcie zacząłeś słuchać. A więc, co robimy? Idą w tę stronę. Kiedy my sobie tu rozmawiamy, oni są coraz bliżej.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jak się ruszymy z miejsca. – Shagot zadrżał, nieoczekiwanie zdenerwowany.

– Najpierw musisz coś zjeść. Ale bez opieprzania się.

Od czasu tamtej rzezi Shagot nie był ani razu w mieście. Zaleczywszy rany, Svavar wychodził okazjonalnie. Oczywiście w przebraniu. Wiedział, że pewnym możliwym ludziom bardzo zależy na dostaniu ich w swoje ręce.

Jadł, nie zwracając uwagi na to, co pochłania.

– Ile mamy czasu?

– Nie wiem. Nie kuśmy losu.

– Nie kuśmy. Co zrobimy? Przebierzesz mnie za swoją żonę?

– Naprawdę jesteś dupkiem. Może po prostu się ogolimy, zetniemy włosy i włożymy na siebie coś innego niż wciąż te same skóry reniferów? – Wcześniej Asgrimmur zaopatrzył się w odpowiednie narzędzia i ubrania. Rozumiał, że nie mogą bez końca siedzieć w tej norze. Człowiek, którego mieli zlikwidować, sam do nich nie przyjdzie.

Po ich celu nigdzie nie było śladu. Chyba że Grim zdołał zdobyć jakąś wskazówkę we śnie. Ale Grim nie mówił wiele na temat tego, co mu się śniło.

Wciąż narzekając, Shagot pozwolił się Svavarowi przebrać w miejscową odzież, potem było strzyżenie i golenie.

– Zająłeś się wszystkim, braciszku.

– Ktoś musiał coś zrobić. Ty przez cały czas śpisz.

– To ci się chwali. Zawsze wiedziałem, że stać cię na wiele. Pod warunkiem że będziesz musiał.

– No. – Grima nie obchodziły głupoty. – Masz jakieś pomysły, gdzie znaleźć nasz cel?

– Dawni Bogowie mają tu sporo trudności, braciszku. Ale wiedzą, że on jest w Brothe. Wiedzą, że on nie wie, że go szukamy. Wiedzą, że nie jesteśmy jego jedynymi wrogami. I wciąż twierdzą, że go poznamy, gdy tylko zobaczymy. Ponieważ wiedzą, że masz w tej sprawie wątpliwości.

– W związku z tym nie musimy się ukrywać. Musimy szukać. Na przykład zaraz po tym, jak skończysz przeżuwać tę cholerną kielbasę.

Z dworu dobiegły stare, znajome wrzaski paniki.

– Wciąż się spieszysz. Powinieneś wyluzować. Nie skończyłeś jeszcze z tymi włosami? Zabijanie coraz bliżej.

Svavar też to czuł. Piraci przemierzali się szybko. To znaczyło, że napotykają niewielki opór.

Nie zaskoczyło to Svavara. Te brotheńskie dziewczynki w swoich śmiesznych spodenkach nie miały jaj.

Parę piczek im dzisiaj odkorkują.

Wychodząc na ulicę, Shagot i Svavar wciąż jeszcze jedli; obaj obwiesili się fetyszami z tamtego starożytnego pola bitwy. Shagot uniósł dłoń na znak, że mają się zatrzymać. W palcach trzymał kurze udko.

Ludzie biegali wszędzie obok nich, nie wiedząc dokąd, niemniej pewni, że muszą tam dotrzeć jak najszybciej. Svavar widział już wcześniej taki obrazek, w Santerinie. Zaraz po tym, jak on, Shagot i Erief z wyciem wybiegli z za wzgórza.

Shagot nasłuchiwał odgłosów walki. W końcu rzekł:

– Tędy. – Ruszył w kierunku odwrotnym niż źródło zamieszania.

To nie była ich walka. Oni byli tu po to, żeby usunąć Bogobójcę.

Svavar postanowił, że w przyszłości będzie bardziej aktywnie prowadził poszukiwania na własną rękę. Gdyby mieli polegać tylko na chwilach przytomności Shagota, zabierze im to wieczność.

Bracia skręcili za róg i stanęli twarzą w twarz z bandą piratów, którzy nie robili hałasu, ponieważ nikt im nie stawiał oporu. Shagot i Svavar nieśli jakieś rzeczy. Najwyraźniej chcieli je wynieść w bezpieczne miejsce. Innych dowodów piratom nie było trzeba.

To byli smagli, głodni, mali ludzie, którzy nigdy nie odważyliby się stawić czoła Grimmssonom w uczciwej walce. Teraz wszakże znajdowali się w kupie.

– Cholera – delikatnie zaklął Shagot, nie wkładając w to słowo szczególnych uczuć. – Wędrowiec musi być spragniony. – Odrzucił resztkę

kurczaka, strząsnął z ramion plecak, dobył miecz i głowę demona. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że oto człowiek naznaczony przez bogów. Svavar czasami zastanawiał się nawet, czy jego brat jest wciąż żywy, w potocznym sensie słowa.

Shagot nie czekał, aż piraci zaatakują. Svavar z konieczności ruszył za nim, osłaniając go od tyłu.

Dziewiętnastu piratów padło, nim garstka wciąż jeszcze trzymających się na nogach zrezygnowała i uciekła. Całej dziewiętnastce Shagot zdążył jeszcze zdjąć głowy z karków.

Shagot znajdował się w stanie mistycznej jedności ze swymi bogami, Svavar to czuł. A także ich spojrzenia na siebie. Szary był blisko. Krwi i rzezi było dość, żeby zamknąć okultystyczną przepaść. Nieco krwi więcej i Dawni Bogowie będą mogli wkroczyć na ten obcy świat i w ten obcy czas.

Shagot był opętany.

– Teraz go wyczuwam. Chodź, bracie. Tędy.

Grim ruszył na północ, w kierunku rzeki. Ku piratom. Z ich grona brał krwawe ofiary, w liczbie co najmniej wystarczającej, aby zapewnić sobie nieustanną uwagę i pomoc Dawnych Bogów.

Dotarli do Teragi. Wcześniej musieli zarznąć chyba setkę Calziran. Svavar miał coraz większe kłopoty z dotrzymaniem kroku. Grim otrzymał kilka ran ciętych, które z pozoru w ogóle nie dawały mu się we znaki. Ale nie unikną kolejnego długiego okresu rekonwalescencji. Chyba że szczęście dopisze im bardziej, niż można oczekiwać, i załatwią swoją ofiarę.

Svavar wytrwale wyczekiwał objawienia któregoś – któregośkolwiek – mieszkańca Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Był przekonany, że w obliczu takiej rzezi Delegatury Nocy są już w stanie swobodnie spacerować po brotheńskich ulicach.

Lecz nawet jeśli któryś z Dawnych prześliznął się na świat, niczym nie manifestował swej obecności.

– Zabójca Bogów jest na drugim brzegu – oznajmił Shagot. – Tam. – Wskazał mniej więcej w stronę płonących statków.

– W górze rzeki jest most. Jakies pół mili – zauważył Svavar.

Shagot miał gdzieś mosty. Sto jardów przed nimi piraci gromadzili stosy łupu na łodzi wiosłowej. Shagot zabił ich i przywłaszczył sobie łódź oraz głowy zabitych, po czym zasiadł do wiosł.

Wiosłował jak nieziemskie stworzenie. Svavar nawet nie próbował go zmieniać. Za bardzo dokuczały mu rany. I nie chciał zakłócać unii brata z bogami. Obawiał się, że Grim tak bardzo zatopił się w ekstazie, iż gotów się zwrócić przeciwko komukolwiek. Stał się najbardziej pierwotnym archetypem szaleńca.

Kilku Calziran zaatakowało ich, gdy dotarli na północny brzeg. I tym sposobem ich krew trafiła do ofiarnej kałuży. Tym razem Shagot nie zabrał im głów. Ich kolekcję pozostawił w łodzi, biorąc ze sobą tylko łeb demona. W końcu i jemu rany dały się we znaki, zaczął się wolniej ruszać. Ale nie trwało to długo.

Rany Shagota goiły sięomalże w oczach. Po pokonaniu Calziran wystawił nos w kierunku północo-północno-wschodnim i kulejąc, ruszył w tamtą stronę. Svavar miał kłopoty z dotrzymaniem mu kroku. Czuł, że jego rany też się same goją choć nie w tak absurdalnie szybkim tempie jak obrażenia brata.

Po kilku minutach dotarli do okolicy nietkniętej przez ostatnie wypadki. Sąsiedztwo było biedne, ale nie zasługiwało na miano slumsów. Zabudowa była tu luźna. Svavarowi wydało się, że poznaje widniejący niedaleko przed nimi mur. Za nim miasto ustępowało typowemu firaldiańskiemu wiejskiemu krajobrazowi z gajami oliwnymi, winnicami, polami warzyw, w tle majaczyły się pola pszenicy. Każdy zakątek, który dało się uprawiać, był wykorzystywany – już od dwóch tysięcy lat.

Shagot zaczął zdradzać oznaki niezwyklej u niego niepewności.

– Jesteśmy naprawdę blisko – powiedział. – Prawie na miejscu. Niemal mogę go wyczuć. Ale nie potrafię precyzyjnie zlokalizować. Coś mi nie pozwala.

– Masz pojęcie, jak to może być blisko? – zapytał Svavar. Gdyby miał jakąś określoną odległość, mógłby próbować rozwiązać intelektualnie problem lokalizacji, co dla jego brata graniczyło z absurdem.

On też czuł, że coś rozprasza jego uwagę. Niczym ciche bzyczenie wewnątrz głowy, które zaciemnia jądro myśli. Obraz przed oczyma chwiało się lekko.

– Najmniej trzydzieści jardów. Nie więcej niż pięćdziesiąt.

Svavar ograniczył możliwości do czterech domów i ich przybudówek. Wyjaśnwszy swoje rozumowanie, zapytał:

– Dlaczego nie zaczniemy od najbliższego domu?

– Zróbmy tak. – Shagot zważył w dłoni wyszczerbioną klingę i uniósł głowę demona.

A Svavar zrozumiał, że to wszystko nie skończy się dobrze. Ponieważ Shagot podchodził do rzeczy całkiem niewłaściwie. I było coś jeszcze... Coś więcej... Jakaś Obecność, której nie powinno tu być...

Brothe, obleżenie

Else włókł swój osobliwy ciężar coraz dalej od rzeki, cały czas rozglądając się za miejscem, w którym mógłby bezpiecznie przywarować.

Północne Brothe rozciągało się wokół ciche i puste. Sto jardów z przodu przez drogę przejechał zaprzężony w kozę wózek, ale nie towarzyszył mu żaden człowiek. Else zobaczył kilka zdziczałych psów. Uciekły chyłkiem. Nawet stada gołębi wydawały się jakieś obezwładnione, nieskore do zajmowania się zwykłymi gołębimi sprawami. Godne uwagi. Nic nigdy nie potrafiło zniechęcić gołębi.

Kobieta nie walczyła. Szła chwiejnie obok Else'a, oszołomiona, nie do końca świadoma sytuacji, w jakiej się znalazła. Choć w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej czujna i przytomna. Dokładała wszelkich starań, żeby nie było tego widać.

Przez jakiś czas za plecami Else'a trwała hałaśliwa pogoń. Piraci chcieli odzyskać swoją wiedźmę. Else wciąż zmieniał trasę marszu, szedł zygzakiem, wprowadzając tamtych w pomieszanie i strach. Musieli się rozdzielać na coraz mniejsze oddziały, pokrywając coraz większy teren poszukiwań. Teraz potrzebował miejsca, w którym mógłby się zaszyć i mieć chwilę na spokojną pogawędkę ze Starkden.

Szedł coraz wolniej. Coś było nie w porządku. Ta cisza nie była normalna. Przynajmniej nie mogła być w gwałconym mieście. Opanowywało go poczucie, że zbliża się coś mrocznego i groźnego. Uderzył kobietę, mocno. Nic to nie zmieniło, prócz tego, że znowu musiał ją nieść.

Wokół narastała rześka atmosfera, jak wówczas gdy powietrze wie, że zaraz przesyje je błyskawica.

Else kopnął jakieś drzwi. Jego wtargnięcie zrodziło gwałtowne poruszenie w odległych częściach domu, które zresztą wkrótce ucichło, ponieważ mieszkańcy uciekli tylnym wyjściem.

Może to było przyczyną złego przeczucia. Ten strach. Mgła grozy, która zaległa nad całą dzielnicą.

Swędział go nadgarstek. Znowu. Ale nie miało to nic wspólnego ze Starkden.

Zbliżały się kłopoty.

Przywiązał swego jeńca do fotela w pokoju, z którego wychodziły liczne drzwi, i czekał na jej przebudzenie.

Rzecz jasna, będzie próbowała go oszukać. Uważnie obserwował ruchy jej oczu pod powiekami. Kiedy się wreszcie doczekał, lekko przeciął jej ramię. Podskoczyła.

– Musimy porozmawiać, kobieto. A ponieważ jesteś uparta i wydaje ci się, że również twarda, a ja nie mam czasu na subtelności, nie zadam żadnego pytania, póki się nie upewnię, że będziesz współpracować.

To była jego pierwsza kobieta. Zawodowi kaci z pewnością znają sekrety tortur dostosowanych do płci. On ich nie znał. Nie miał też żadnych specjalistycznych narzędzi, niezbędnych poważnemu śledczemu.

Improwizował. Wykorzystał narzędzie, które miał pod ręką – nóż. Zaczął w miejscu, gdzie mogła się przyglądać, co jej robi. Będzie się zastanawiała, jakie blizny jej zostaną, gdy już jej skóra będzie przypominała szachownicę.

Praca nie dostarczała mu żadnych przyjemności. Brakowało pasji. Zawodowcy często opowiadali swym ofiarom o przyjemnościach, jakich doznają. W ten sposób z czasem rozwijała się między nimi więź. Torturujący i torturowany tworzyli konspirację, małżeństwo bólu, gdzie każde z nich z namiętnością odgrywało swoją rolę.

Była uparta. Obdzieranie ze skóry mimo bólu nie złamało jej. Trzeba się przedrzeć głębiej, ku istocie Starkden.

Kim była? Nie dowie się tego, póki mu sama nie pokaże. Czym była? Na to pytanie znał odpowiedź. Tak przynajmniej sądził. Była czarownicą. I piratem.

Wiedźmi wymiar jej osobowości z pewnością jest bezpośrednio powiązany z tym, kim ona jest.

Pracując z żywiołami nocy, czarownicy i czarownice w znacznej mierze polegali na rękach. W szkoleniu czarodziejów poświęcano tyleż czasu na ćwiczenia palców, ile młodzi sha-lugowie spędzali na rozwijaniu mięśni, co pozwoli im posługiwać się bronią.

Else naostrzył nóż i ujął mały palec prawej dłoni Starkden.

Dobry pomysł. Jęknęła. Wyprężyła się. Dała do zrozumienia, że jest gotowa do współpracy. W określonym zakresie.

– Język też ci obetnę, jeżeli czegoś spróbujesz. – Ludzie zazwyczaj woleli stracić kilka palców niż język.

Kierując się na poły wspomnieniem, na poły irracjonalną pobudką, Else wyciągnął wszystkie swoje srebrne monety. Przyłożył je w miejscach, gdzie – jak mu się wydawało – ochrona przed magią może być najskuteczniejsza. W kobiecie jakby się coś załamało.

Z wymierzonym nożem Else usunął knebel zamykający jej usta.

– Wiesz, kim jestem. Próbowalaś mnie zabić. Twój asasyn okazał się partaczem. Wtedy nie miałem pojęcia, że w ogóle istniejesz. To się zmieniło. Ty jesteś przyczyną tej zmiany. Nie wiem dlaczego. Powiedz mi.

Wiedźma wzruszyła ramionami, na ile pozwalały więzy. Else zacisnął jej dłoń wokół ostrza noża. Syknęła.

– Nie wiem dlaczego – szepnęła. – Ktoś chciał tego wystarczająco mocno, żeby zapłacić.

– Ale ty nie wiesz, kto to był. – Oczywiście. W sprawie musiał uczestniczyć cały łańcuch pośredników, żeby zleceniodawca mógł się zawsze odciąć od zbrodni.

– Nie obchodziło mnie. Potrzebowałam pieniędzy. To nie było nic osobistego.

Kolejne pytania Else'a nie dostarczyły mu żadnej dalszej wskazówki, kto mógłby chcieć przedwczesnego zakończenia jego misji na wyspie pośrodku Morza Ojczystego.

Powoli tracił cierpliwość. Kobieta się nie opierała. Ale też nie miała mu właściwie nic do powiedzenia. Tymczasem w Brothe działały się ważne rzeczy. Ale nie wiedział co właściwie. Każdy scenariusz, w którym obrońcy wypierali najeźdźców, a Starkden pozostawała przy życiu, nie wróżył dobrze dla Else'a Tage. Kobieta wiedziała, kim on jest.

Zapytał o jej udział w pirackim rajdzie. Czy również chodziło tylko o robotę najemniczkę?

Srebro okazało się zbyt skuteczne. Starkden nie potrafiła się już spójnie wyrażać. Else usunął kilka monet.

Przez ostatnie miesiące uczestniczył w szeroko zakrojonej, tajemniczej operacji. Wmanipulowali go w nią Gordimer i er-Rashał. Był najlepszym kandydatem do tej pracy. A sha-lugowie nie kwestionowali rozkazów. Nawet rozkazów zobowiązujących do szalonej wyprawy do Idiam na pustyni lucidiańskiej, do nawiedzanego Andesqueluz w poszukiwaniu przeklętych mumii pogańskich czarowników starożytności. Wykonał zadanie, nie pytając o jego cel.

– Starzeję się – mruknął do siebie. Podczas szkolenia uczono go, że starcy za dużo myślą. A był teraz w wieku, który wydawał mu się niewyobrażalnie zmurszały, gdy był wielką nadzieją Szkoły Żywiłowego Narybku.

Kiedy tak bezskutecznie próbował wydobyć coś od Starkden, swędzenie w nadgarstku przeszło w ból.

– Bractwo Wojny chce cię dostać w swoje ręce. A oni są znacznie lepsi w tych sprawach ode mnie. – W jej oczach błysnęło coś, co mogło być mieszaniną rozbawienia i szyderstwa. Po chwili zastąpiła je pogarda.

W nadgarstku szarpnęło bólem. Ból nie pozwalał już jasno myśleć. Nadszedł czas decyzji. Wybór był prosty.

Dobył miecza.

Coś uderzyło go z tyłu, mocno, aż poczuł ból każdą cząstką ciała.

Nie okazał się dość szybki.

Wiedział, co to jest. W jednej chwili zrozumiał, dlaczego tak bardzo swędziało go i bolało. Wiedział, o czym zapomniał, ponieważ od jakiegoś czasu o tym nie myślał. Że z piratami współpracował jeszcze jeden czarownik. Masant al-Seyhan.

Jak przez mgłę dobiegły Else'a słowa mężczyzny:

– Może się ruszać? Czas nagli. Wszystko rozwija się zupełnie inaczej, niż nam obiecano. Sytuacja już jest kiepska. O, cholera! Co to, do diabła, jest?

Else usłyszał szcęk stali o stal. Potem poczuł drugi, równie potężny cios. Po nim przez długi czas już nic nie czuł i nie słyszał.

Redfearn Bechter znalazł Else'a leżącego bezwładnie na ulicy. Usta, nozdrza i uszy pokrywała warstwa zaschniętej krwi. Skóra nabrała paskudnej, ciemnoróżowej barwy, znaczyły ją pęcherze. Paznokcie były połamane. Włosy sprawiały wrażenie, jakby w ich gęstwinie rozżarzone

iskry urządziły sobie polowanie na pchły. Twarz była poznaczona małymi czerwonymi plamkami, niczym oznaka jakiejś dziwnej ospy.

– Co się stało? – Z ust Else’a dobył się niespójny bełkot. – Och, święci w niebiesiech. Nic nie słyszę. Mów wolniej. Będę czytał z twoich ust. – Zakładając, że uda mu się skupić wzrok. Lewe oko strasznie piekło i swędziało.

Miał wrażenie, że ktoś przed momentem próbował mu odciąć nadgarstek rozgrzaną do białości żelazną sztabą.

– W porządku. Rozumiesz mnie?

– Tak. Mów.

Bechter wyszczerzył zęby.

– Tak tylko zgaduję, ale mam wrażenie, że ktoś ci skopał dupę.

– Nawet dziąsła mnie bolą. Co się stało? Wymawiaj wyraźnie. Hej! Zaczynam coś słyszeć.

– Sąsiedzi opisali jakąś absurdalną sytuację.

– No...? I...?

– Biegłeś po ulicy, ciągnąc za sobą kobietę. Zapewne wiedźmę. Banda piratów deptała ci po piętach.

– To pamiętam. Chcieli ją odbić. Próbowałem ich zgubić, żeby potem się przedrzeć na przyjazne terytorium. Za każdym razem, gdy skręcałem w kierunku Castella, wchodzili mi w drogę. Postanowiłem się przyczaić do czasu, aż zrezygnują.

– I to pewnie miało być tutaj. Gdzie był dom. – Bechter wskazał.

Domu nie było. Tylko dym się unosił nisko, zwiastując deszcz. Minęła większa część popołudnia.

– Na świętego Eisa i Herona!

– Ano, cholera.

– Mów powoli i głośno. Już lepiej słyszę.

– Tyle wiemy. Włamałeś się do domu. Zobaczono cię. Sąsiedzi nic nie zrobili, bo widzieli, że masz blond włosy. Później przybyła banda Calziran. Wiedzieli, gdzie jesteś. Dowodził nimi czarodziej.

– Masant al-Seyhan. Tak myślę. To imię się pojawiło, gdy zaczęły się rajdy piratów.

– Może. Wykorzystał kilka zaklęć, które musiały być naprawdę mocne.

– Opowiedz. Zwalili mi dom na głowę.

– Nie. To się stało później. Ta część ci się naprawdę spodoba. Nagle pojawiło się dwóch blondynów. Jest raczej oczywiste, że to ci dwaj, których ścigamy. Nic nie mówili. Po prostu podeszli i zaczęli mordować Calziran. Bili się jak dzicy, nie sposób było ich powstrzymać. W końcu walka przeniosła się do wnętrza domu.

Nie bardzo to pasowało do tego, co Else pamiętał. Ale jego wspomnienia były fragmentaryczne, niejasne i całkowicie niewiarygodne.

– Już słyszę w miarę dobrze. Napiłbym się wody.

– A wewnątrz domu stało się coś naprawdę strasznego. W tym czasie jednak sąsiedzi stracili ciekawość i pochowali się po domach. Właśnie zaczęliśmy kopać wśród gruzów. Cały czas odkrywamy kolejne ciała piratów.

– Ale założę się, że żadnego czarodzieja ani wiedźmy.

– Żadnego. Również żadnych blondynów. Wydobyłeś coś z wiedźmy?

– Nie chciała się przyznać nawet do tego, że jest wiedźmą. Albo że rozumie, co do niej mówię. Przez większość czasu zresztą wolałem, aby była nieprzytomna. Piraci za bardzo mi następowali na pięty, żebym miał czas na przesłuchania.

– Tak też sobie pomyślałem. Niech to wszystko cholera!

– Przykro mi.

– Nie twoja wina. Zrobiłeś więcej, niż mogłeś, już choćby płynąc na jej łódź.

– Zaczekaj jeszcze chwilę. Jak to się stało, że znalazłeś czas i ludzi, aby mnie poszukać?

– Sytuacja wygląda coraz lepiej. Kiedy ty zajmowałeś uwagę calzirskiej mistrzyni, do akcji wkroczyło Kolegium. Poza tym znienacka pokazał się oddział imperialnej kawalerii i wziął piratów z zaskoczenia.

Jak też wszystkich pozostałych, pomyślał Else. O co Hanselowi chodziło? Miał pod ręką siedmiuset czy ośmiuset regularnych żołnierzy gotowych do walki, w głębi terytorium Patriarchatu, akurat w chwili, gdy Brothe było w największej potrzebie?

Ale powiedział tylko:

– Nie potrafię zmusić mózgu do myślenia. Za bardzo boli.

– Zobaczą, może się uda zorganizować dla ciebie transport do domu. Ale jeszcze nie teraz. Gdzieś wcięż toczą się ciężkie walki. Większości

piratów nie udało się wrócić do łodzi. Tylko z tymi trzeba się jeszcze uporać.

– A więc teraz jesteś bohaterem – powiedział Paludan, gdy następnego dnia Else stawił się przed nim.

– Jeśli nawet, to bohaterem bez większych sukcesów. – Wciąż bolało go całe ciało. Oczy i uszy jeszcze nie doszły do siebie. Znacznie bardziej dokuczały czerwone plamki. Ich występowanie nie ograniczało się tylko do twarzy. Mimo dziesięciogodzinnego snu czuł się zmęczony i stary.

– Ale za to jesteś jednym z nas – powiedział Gervase Saluda. – Dzięki tobie jasno świeci imię Bruglionich.

Paludan zmarszczył czoło. Nie był zadowolony, mimo chwały spływającej na imię Bruglionich. Teraz całe miasto będzie wiedziało, że jeden z najbogatszych ludzi posłał tylko garstkę żołnierzy do obrony Brothe. I że ani Gervase, ani Paludan, ani żaden z tej garstki nie wzięli aktywnego udziału w walkach. Obywatele znać będą tylko imię Pipera Hechta.

– Zrobiłem, co mogłem – odrzekł Else. – Ale należało się lepiej postarać. Straciłem wiedźmę. Nawet nie widziałem tych blond zbirów. Ani czarownika, który uratował wiedźmę. Masant al-Seyhan mógłby teraz wejść do tego pomieszczenia, a ja nie miałbym dość rozumu, żeby się gdzieś schować.

Saluda wyszczerzył zęby.

– Wszystko to blednie w obliczu faktu, że byłeś jednym z naprawdę nielicznych, którzy poważnie walczyli z Calziranami. To ty odwracałeś uwagę magów wystarczająco długo, żeby Kolegium zniszczyło piratów.

– Jak wygląda sytuacja? – Else postanowił zadać to pytanie, miast dociekać, czemu Paludan postanowił, że nie będzie się cieszył z sukcesu Brothe.

– Niezbyt dobrze dla piratów. Grupki wciąż pozostają odcięte w mieście. Teraz myślą już tylko o tym, żeby się wydostać z Brothe. Ale nie bardzo im idzie. Nie mają łodzi.

Paludan zaczął narzekać:

– Ale calzircy czarodzieje walczą jak szaleni. Za wszelką cenę chcą uratować jak najwięcej sił ludzkich. Choć, z tym też im nie wychodzi najlepiej.

Else zapytał:

– A więc wiemy, że żyją? – Koncentracja na ubezpieczeniu własnych sił? A więc myślenie wojskowe, które piratom powinno być z definicji obce.

Paludan mruknął potakująco. Był już gotów zmienić temat.

Posiadłości Bruglionich wyszły z oblężenia bez szwanku. Gervase i Paludan najwyraźniej postanowili się wycofać i zostawić obowiązek posprzątania komuś innemu. Niewielkie mieli pojęcie na temat rzeczywistości politycznej poza rodzinnym miastem. Większość ciężaru walk wzięli i wciąż brali na siebie ludzie niezwiązani osobiście z Brothe: imperialni oraz ci bezdomni, którzy zaciągnęli się za żołd. Ani jedni, ani drudzy nie będą za bardzo ryzykować. Trudno po nich oczekiwać, by umierali za miasto, które nimi gardziło.

Pojawił się pan Caniglia.

– Panie – zwrócił się do Paludana – przybył twój wuj. Dotrze tu za parę minut.

Saluda wyjaśnił Else'owi:

– Prawdopodobnie będą go musieli wnieść po schodach. Ma kłopoty z chodzeniem. – Nie wydawał się szczególnie uszczęśliwiony wizytą.

Divino Bruglioni pojawił się zadyszany, niewykluczone, że miało to związek z jego stanem. Służący posadzili go w fotelu przeznaczonym wyłącznie dla prowincjała Bruglioniego i wyszli.

– Proszę zostać, kapitanie Hecht – odezwał się prowincjał Divino, gdy Else chciał pójść za przykładem tamtych.

Twarz Paludana pociemniała. Ale opanował się, zgodnie z nawykiem, jaki w sobie wykształcił po śmierci synów.

Prowincjał Divino zwrócił się do Else'a:

– Słyszałem, że sobie niezłe poradziłeś.

– Udało mi się osiągnąć tyle, że zbili mnie na kwaśne jabłko.

– Znalazłeś się we właściwym miejscu o właściwym czasie. W decydującym momencie odwróciłeś uwagę naszych najgroźniejszych wrogów.

– Zaręczam ci, że nie było to częścią mojego planu. Zrobiłem, co moim zdaniem trzeba było zrobić. Gdyby ci tajemniczy blondyni akurat się nie pokazali, byłbym kolejnym kęskiem dla ryb na dnie rzeki.

– Niewykluczone. Niewykluczone. Co możesz mi powiedzieć o tych ludziach?

– Tych blondynach? Nawet ich nie widziałem. Opowiadano mi tylko. Kiedy się pojawili, leżałem bez świadomości. Sierżant Bechter twierdził, że oni tam byli. Bechter z Bractwa.

– A co z calzirskimi czarownikami?

– Widziałem tylko kobietę.

– Masz jakieś pojęcie, czemu przeżyli?

– Czas był po ich stronie. Blondyni się pokazali, zanim Calziranje ze mną skończyli.

Prowincjał zadał jeszcze wiele pytań, ostatnie dotyczyły gospodarstwa Bruglionich. W trakcie przepytывania okazało się, że sporo wie na temat wysiłków, jakie Else podejmował w celu usprawnienia jego funkcjonowania. Znacznie więcej niż Paludan lub Gervase. Paludan w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że zmieniała się część jego służby.

Wreszcie starzec zmienił temat, zwracając się do Paludana:

– Co robisz w celu sprowadzenia rodziny z prowincji?

Paludan wyglądał na zdumionego. Wysłał listy. Po nich listy z pogrózkami.

– Zwlekają, wuju. Ale w końcu będą musieli odpowiedzieć.

– Dobrze, dobrze. – W głosie Divina jednak nie było zadowolenia. – Kapitanie Hecht, udam się teraz do moich komnat. Zechcesz mi towarzyszyć?

Else spojrział na swego pracodawcę, wzruszył ramionami i zrobił, jak mu kazano.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, stary ksiądz powiedział:

– Wyszedłem, zanim doszliśmy do kwestii finansowych.

Else czekał.

– Co robisz w sprawie ksiąg?

– Sprowadziłem devediańskiego rewidenta, aby wszystko przejrzał. Rachunki domowe i biznesowe.

– Co spodziewasz się znaleźć?

– Wiem, co się okaże. Że ktoś od dawna łupił skarbiec Bruglionich. Ja chcę tylko ustalić, jakie sumy wchodzi w grę.

– Masz podejrzanego?

– Mam kogoś na oku. Ale być może to zbyt oczywisty wybór.

– Gervase Saluda. Jasne. Osobiście uważam, że Gervase faktycznie ma lekkie ręce. Tutaj. Mamy dużo do omówienia.

– Tak, Wasza Ekscelencjo. – Else nawet nie próbował skrywać niepokoju.
– Gervase jest prawdziwym przyjacielem Paludana, Hecht. Jest jego jedynym przyjacielem. I vice versa. Nie wyobrażam sobie, żeby Gervase miał tę przyjaźń narażać, popełniając niewybaczalną zbrodnię.

– Wszyscy sobie wyobrażają, że Bruglioniowie mają mnóstwo pieniędzy.
– Rodzina jest bogata, prawda. Ale niewiele z tego ma w postaci środków finansowych. Głównie są to posiadłości rolnicze i górnicze. Usiądź. Mam dla ciebie propozycję.

Else nie mógł się uspokoić. Divino Bruglioni był całkowitą niewiadomą.

– Jesteś bystry. I kompetentny. Działasz, kiedy pojawia się potrzeba działania. Paludan pozwolił temu miejscu zejść na psy. Jego problem polega na tym, że nie chce, aby mu zwracano głowę. I nie wie, jak kierować ludźmi. Nie nauczono go. Sam też nie próbował się nauczyć. Z tego co wiem, Freido nie uważał, by ktokolwiek oprócz Sonerala powinien pobierać nauki. Freido był kimś w rodzaju starszego Paludana. Mój brat nie miał na celu dobra rodziny. Przestał dbać o to, by nasi najbystrzejsi synowie zostawali w mieście i zajmowali się sprawami rodziny. A jego temperament i zachowanie po pijanemu zniechęcały wszystkich do pozostania.

Else siedział w milczeniu, zastanawiając się, o co naprawdę chodzi prowincjałowi.

– Nastąpiły trudne czasy, Hecht. Choroba tocząca Bruglioniów nie ogranicza się tylko do tej rodziny. Całe Brothe na nią cierpi. Zalega niczym mgła nad episkopalnym światem. Krucjata mogłaby nas obudzić. Ale jakim kosztem? Patriarcha ma obsesję na punkcie swego miejsca w historii. Akurat gdy nie mamy instrumentów zdolnych mu je zapewnić. W czasach, kiedy nikt nie chce się wikłać w przygody Patriarchatu.

Else skinął głową. I czekał, wciąż skonfundowany.

– Hecht, z pozoru cały świat występuje przeciwko Wzniosłemu. Ci szaleni Calziranie sprawili, że całkowicie zrezygnował ze swoich ambicji w Connec.

Else rozważał przez moment wygłoszenie uwagi, że widocznie wyższa potęga sprzeciwia się intrygom Wzniosłego.

Widząc, że kapitan nie ma nic do powiedzenia, Divino westchnął, złapał oddech i ciągnął dalej:

– Księżę Tormond wraz z poselstwem w mieszanym składzie, włącznie z królową Navai upoważnioną do przemawiania w imieniu króla Piotra,

zbliza się do Brothe. Księżę chce zaproponować pomoc Connec w pokonaniu Calziru. Królowa Isabeth twierdzi, że okręty wojenne Piotra mogą wziąć udział w kampanii.

– Coś za coś? Jeżeli Patriarcha zostawi Connec w spokoju, Connec uratuje go przed Calzirem?

– Nie zostało to w ten sposób ujęte, ale do tego się sprowadza. A Wzniosły, mimo iż jest z naczelnym przedstawicielem szakali Benedocta, tym razem nie przechytrzy Tormonda i Piotra. Przynajmniej nie w sytuacji, gdy każdemu przez ramię zerka Imperator.

– To oznacza, że nigdy nie zbierze pieniędzy na zamorską awanturę?

– Właśnie. Potrafisz widzieć dalej niż czubek swego nosa. Podoba mi się to.

– Dziękuję, Wasza Ekscelencjo. – Else nagle poczuł się lepiej.

– Poprosiłem cię tutaj, żebyś mógł ci się lepiej przyjrzeć. Spodobało mi się, com o tobie słyszał. A teraz podoba mi się, co widzę. Mógłbym cię podnając u mego bratanka?

– Wasza Ekscelencjo...?

– Nie od razu. Mogę być księciem Kościoła, ale wciąż jestem Bruglionim. Dopiero zaczęłeś doprowadzać to miejsce do porządku. Po prostu chciałbym, żebyś został do czasu, aż zazdrość, gniew i paranoja Paludana wygrają ze zdrowym rozsądkiem i cię wyrzuci. Wtedy zaczniesz pracować dla mnie.

Else zagapił się na prowincjała w milczeniu.

– Co powiesz?

– Powiem tyle, że odebrało mi mowę. To, co słyszę, jest zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. Właśnie w nadziei na taką okazję ludzie ściągają ze wszystkich krańców świata do Brothe. Oczywiście, że się zgadzam. – Oczywiście, że się zgodzi. To było jak spełniające się marzenie. Kiedy wieści dotrą do al-Karn, we wszystkich komnatach Pałacu Królów będą śpiewać i tańczyć. – Na czym będą polegały moje obowiązki?

– Na razie nie mówmy o tym. Zapewniam cię jednak, że będziesz robił to, do czego masz najlepsze kwalifikacje.

– Tak? – Else nie naciskał. Odtąd powinien postępować nadzwyczaj rozważnie. Jeżeli nawet się nie uda, to nie z jego winy.

– Tymczasem rób swoje. Spraw, by Bruglionowie znowu byli silni.

– Tak, Wasza Ekscelencjo. A co w związku z aktualną sytuacją?

– Co z nią?

– Co się stało z calzirskimi czarownicami? Co się stało z blondynami? Kim oni są? Najwyraźniej kimś więcej niż tylko przerażającymi wojownikami?

– My nazywamy takich duszodawcami. Co oznacza, że są tylko w połowie żywi. Duszodawcy są narzędziami w rękach potężniejszych istot nadprzyrodzonych. Duszodawców nie widziano na świecie już od tysiącleci. Tym bardziej dziwi zachowanie tamtych. Duszodawców wykorzystywano do popełniania największych zbrodni. A oni działają jak zwykli zbóje.

– Spotkałeś już ich, tak?

– Raz.

– I?

– Im więcej wiem o Delegaturach Nocy, tym mniej chce mi się o nich mówić. Myślę, że mamy powody do obaw. Nie jesteśmy w stanie domyślić się motywów kierujących istotami wykorzystującymi tych dwóch. Nie jesteśmy w stanie nawet odkryć, z kim mamy do czynienia. Prawdopodobnie cała rzecz ma jakiś związek z trwającym już od miesięcy osobliwym niepokojem wśród Delegatur Nocy.

– Nic nie rozumiem.

– Żaden z nas nie rozumie. To wszystko nie ma najmniejszego sensu. A przynajmniej my nie potrafimy go dostrzec. My, to znaczy Kolegium. Nasi sprzymierzeńcy wśród Delegatur Nocy, którzy w normalnych warunkach chętnie ulegają naszej woli, teraz nie chcą pomóc. Domena Nocy jest w tej sprawie jednomyślna... Drgnąłeś. Coś ci przyszło do głowy?

– W sumie to nie. – Chodziło o tę uwagę o Domenie Nocy. Czy to była kategoria, jaką się posługiwali episkopalni chaldaranie? – Przypuszczam, że z czasem się wszystko wyjaśni. Po prostu trzeba wpaść na odpowiednie rozwiązanie.

– Oczywiście. Znajdziemy tych dwóch. W końcu. Ale nie powinieneś się nimi przejmować. Po prostu rób swoje. Kiedy nadejdzie czas, zadbam, żeby cię odpowiednio wynagrodzono.

Else dołożył wszelkich starań, żeby wyglądać na człowieka, któremu o nic więcej nie chodzi.

– Jeżeli Paludan nie będzie się wtrącał, zaprowadzę tu porządek – obiecał.

– Paludan nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, Hecht. Wie, co robi, przynajmniej zazwyczaj. Myślę, że zamierza ci pozwolić robić swoje. Ponieważ dzięki temu nie będzie musiał robić tego sam. Na oślep. Ponieważ nigdy się tego nie nauczył.

Else mruknął twierdząco.

– Mój brat źle się przysłużył swoim synom. A teraz Paludan nie ma już synów. Ani żony, która dałaby mu następnych. Ja też nie mam, nawet nieślubnych. Obawiam się, co przyniesie jutro.

– Uczę Dugo, ile mogę, Wasza Ekscelencjo. Ale prawda jest taka, że chłopak się nie nadaje. I nie można sprawić, żeby się nadawał. Wy, Bruglioniowie, powinniście nateńczyć każdy mięsień, staw i kość, żeby Paludan żył wiecznie. Albo znaleźć mu następną żonę i trzymać z dala od Gervasego na tyle długo, by spłodził z nią potomka czy dwóch. Dugo może okazać się tą kroplą która przeleje czarę zagłady rodziny. Proszę o wybaczenie, że zabieram głos w nie swoich sprawach.

Od starożytności rodzina była nadzwyczaj ważną instytucją brotheńskiego życia. Ale wśród dzisiejszych Pięciu Rodzin nie było ani jednej, która zdobyłaby swą potęgę w imperialnych czasach.

– Być może człowiek, który nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, jeszcze dostąpi łaski mądrości, Hecht. Z czasem. Takie rzeczy się zdarzają. Jeżeli człowiek bierze na barki poważną odpowiedzialność, wiedząc, że nikt inny zań tego nie robi, często udaje mu się do niej dorosnąć. Widywałem już takie rzeczy.

Else odkaszlnął.

– Zazwyczaj jednak tak się dzieje w wypadku ludzi młodych.

– Ho, ho! Masz też poczucie humoru? Być może faktycznie łaska nam dopisała.

To ostatnie zdanie zbiło Else'a z tropu. Jakoś nie bardzo było mu w smak, że jego osoba jest odpowiedzią wrogiego boga na modły jego wyznawcy.

Dni mijały. Walki trwały. Schwytni w pułapkę Calziranje nie chcieli się poddać. Przez wzgląd na to, co zrobili w Starplire, wśród piratów dominowało jednomyślne przekonanie, że czeka ich śmierć w męczarniach.

– Nazwij mnie starym cynikiem – powiedział Else do Pinkusa Ghorta, niewyraźnie, ponieważ wciąż jeszcze miał opuchniętą szczękę. Przynajmniej pozbył się już czerwonych plamek i zaróżowionej skóry. Teraz składał się z paskudnych żółtych i purpurowych siniaków. – Ale

myślę, że wiem, dlaczego piraci zachowali się tak niemiło w Starplire. Ktoś ich podpuścił. Starkden i Masant al-Seyhan. Aby potem byli zbyt przerażeni, żeby się poddać. Atak na Brothe był częścią większego planu.

– A czego jeszcze można by oczekiwać po gromadzie barbarzyńskich praman?

Else się nie kłócił.

– Wyglądasz, jakbyś miał świnkę, Hecht. Chciałeś coś powiedzieć?

– Nasi ludzie zachowywaliby się równie paskudnie, gdyby tylko im dać szansę. Powiedzmy, na przykład, Grade Drocker. Zauważ, że nie chcę nikogo obrazić, wymieniając tu Patriarchę czy Imperatora.

Ghort zachichotał.

– Trzymaj się dalej blisko mnie, a skończysz jako wielki realista. Gdzie jest twoja lepsza połowa?

– Realista? Tak nazywasz kogoś, kto w każdym dopatruje się najgorszego? Gervase? – Przez ostatnie kilka dni Saluda nawet na krok nie odstępował Else'a. – Znudził się, jak mniemam. Krótki okres koncentracji uwagi.

– Powiem ci coś, Pipe. Mnie ludzie nigdy nie rozczarowują. Kiedy masz zamiar się przeprowadzić do Kolegium?

– Nie wiem. Nie tak szybko. Nawet zakładając, że prowincjał Bruglioni mówił prawdę. On chce, żebym najpierw doprowadził do porządku dom Bruglionich.

– A ci chłopcy nie mogą tego sami zrobić?

– Najwyraźniej im się nie chce. Zbyt wiele prawdziwej roboty.

– Prowincjał Doneto jest urzeczony twoimi postępami.

– Byłem pewien, że tak zareaguje.

– A oto nasz Joe. O co chodzi?

Po Prostu Zwyczajnie Joe jechał na krocącym stępa Żelaznym Wieprzu. Zwierzę wydawało się znużone i oszukane. Joe powiedział:

– Nie drzyj się na mnie, szefie. Ten chłopak zna tylko jeden krok.

– Co się stało? – zapytał Else.

Lewa noga Joego była ujęta w łubki. Sterczała z boku muła pod dziwnym kątem.

– Dostałem jedną z tych strzał do połowu ryb z zadziarami na grocie. Tę, do której przywiązują linę i łowią na nią rekiny. Weszła w ciało i odbiła się od kości, łamiąc ją przy okazji. Udało im się przepchnąć grot na wylot i

nastawić kość, zanim wdała się gangrena. Panie kapitanie Ghort, nie sądzę, aby mógł pan liczyć na współpracę z czyjejkolwiek strony. Nawet piratów. Nie mają zamiaru się poddać. Obiecali jednak, że odejdą w pokoju, jeśli im pozwolimy.

– Pozwoliłbym, gdybym miał takie rozkazy. Ale mi nie wolno. Najemnicy i imperialni nie mogą ich wykurzyć?

– Kapitanie, nawet ja nie jestem na tyle głupi, żeby brać się do załatwiania rzeczy, które z czasem muszą się załatwić same... wystarczy tylko siedzieć i poczekać.

– I widzisz, jak to wygląda – powiedział Ghort. – A zgadnij, czyja to będzie wina, jeżeli całe miasto pozostanie sparaliżowane, ponieważ jacyś durni rybacy się nie położą i nie umrą? Niezbyt uważnie pilnowałem pleców. Doneto pozwolił mi zrobić się w idealnego kozła ofiarnego.

– Wątpię, byś w jakiegokolwiek sprawie był ideałem.

Po Prostu Zwyczajnie Joe powiedział:

– Może zamiast płacić najemnikom dniówkę, powinieneś ich rozliczać na akord. W obecnej sytuacji dostają tyle samo za to, że nic nie robią, jak za walkę.

– Ten facet ma rację – skomentował Ghort. – Pieniądze z podatków rozchodzą się szybko, ale wciąż zostało jeszcze trochę na poważne nagrody.

W ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia. Ci Calziranje, którym nie udało się uciec, nigdy tego nie zrobią. Kolegium i Patriarcha byli jednomyślni. Żadnego z owych Calziran nie będzie na miejscu, kiedy wojna dosięgnie ich rodzinnych domów.

– Dopuszczę cię do tajemnicy, Pipe – powiedział Ghort, kiedy szli razem w kierunku Castella dollas Pontellas. – Której nie mam prawa znać. Ale tak się zdarzyło, że przypadkowo podsłuchiwałem.

– Przypadkowo, Pinkus?

– Tak bym się tłumaczył, gdyby mnie złapali. Wiem, jak bardzo kochasz tych chłopców.

– Hm?

– Podsłuchałem rozmowę Doneta z jego siostrzeńcem, Pało. Pało jest zaufanym Patriarchy.

– Zaraz umrę z niecierpliwości, Pinkus.

– Wątpię. Ale dobrze, już mówię, choć tylko dlatego, że musiałbym wlec twoją wielką dupę, gdybyś faktycznie padł martwy. Oddział imperialnej

kawalerii, który dotarł tu akurat na czas... to nie był żaden przypadek.

– No nie! Co ty mówisz?

– Chcę powiedzieć, że bynajmniej wcale nie zmierzali ku Alameddine. Od początku ich celem było Brothe. Wzniosły zrobił jakiś interes z Hanselem. To wyjaśnia, dlaczego jakiś czas temu widziałem tu wężącego Ferrisa Renfrowa.

– Nasz przyjaciel śledczy z Plemenzy?

– We własnej osobie. Bo go zauważył. Na Nabrzeżu, niedaleko Krois. I tam go też zgubił. Kiedy się dowiedziałem, że Wzniosły dobił targu, wiedziałem już, o co chodzi. Zniknął w kryjówce Patriarchy.

– Wierzę ci. Ale nie rozumiem. W jakim celu Patriarcha i Imperator mieliby współpracować?

– Wzniosły? Ponieważ dostał żołnierzy. Z jednej strony imperialnych sprzymierzeńców, z drugiej odzyskał swoich ludzi, którzy nie muszą już strzec jego pleców przed imperialnymi zakusami.

– A co z tego ma Hansel?

– Dobre pytanie, Pipe.

– Co mógł mu dać Wzniosły, czego nie potrafiłby zdobyć gdzie indziej?

– Następne dobre pytanie. Z pewnością uzyskamy na nie odpowiedzi. Jeśli okażemy się dostatecznie sprytni, żeby przeżyć dość długo.

– Hej, Pipe! Kapitanie Ghort! – zawołał Po Prostu Zwyczajnie Joe. On i Żelazny Wieprz wlekli się przed Else'em i Ghortem.

– Co masz, Joe? – zapytał Ghort.

– Są już na moście Blendine.

– Hm. Tak! To poselstwo z Connec. Oni też chcą się dogadać z Wzniosłym. Nie chciałbym być dzisiaj w skórze Niepokalanego. Wszyscy kumple uparli się, żeby mnie wyrzucić na śmietnik historii.

Dwa z największych kłopotów Wzniosłego miały właśnie całkowicie zmienić swój charakter. To oznaczało, że Patriarcha mimo wszystko mógł wezwać do krucjaty na Ziemi Świętej.

Else musiał się zobaczyć z Glediušem Stewpo.

A jeszcze lepiej z Anną Mozilla. Prawdziwą pociechę można znaleźć tylko u wdowy.

Brothe, poselstwo z Connec

Miało Ojczyście zdumiało brata Świecę, mimo iż zazwyczaj niewielkie wrażenie robiły na nim dziwa tego świata. Ale na Brothe płaszcz czasu zalegał warstwą znacznie grubszą niż gdziekolwiek indziej.

Khaurene i Castreresone były też stare, choć nazywały się inaczej, gdy brotheńscy zdobywcy przybyli do Connec.

Najbardziej przypadkowa przechadzka brotheńską ulicą odsłaniała pomniki minionej chwały. Po tym bruku wędrowali zdobywcy, których imiona jeszcze pamiętano. Triumfalne armie paradowały tymi bulwarami. Dzisiejsi przechodnie nie mieli pojęcia, że tamte dni minęły bezpowrotnie. Choć brat Świeca podejrzewał, że dla większości starożytnych Brotheńczyków dni sławy trwały jedynie chwilę. Wówczas, jak i teraz biednych interesowało tylko znalezienie żywności i schronienia.

O nich nikt nie będzie pamiętał. Zaszczyt ten zarezerwowany został dla człowieka, który knutem zmusił ich do budowy Imperium, który z nałożonych na nich podatków budował pomniki i wystawiał legiony. Niemniej jak zawsze brotheński motłoch żył lepiej niż biedota w mniej zamożnych miastach. Taka był prosta i okrutna prawda, niezależnie od tego, czy pasowała do ideologii brata Świecy czy nie.

– Czym się zamartwiasz, bracie?

– Myślałem o nieszczęsnym losie biednych. – Rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć, dokąd dotarli, kiedy on pogrążony był w myślach.

Znaleźli się na malowniczym tarasie widokowym, skąd rozciągała się panorama Teragi, mostów, fortec wyspiarskich oraz sąsiadujących z nimi budowli, wreszcie pomników Memorium w ich całym brudnozłotym pięknie.

– Zdumiewające – powiedział brat Świeca.

– Byłem już tu. Dwukrotnie. Ale wciąż jestem pod wrażeniem – zauważył Michael Carhart.

Miejscowi gapie odprowadzali ich wzrokiem. Brotheńscy przestrzegali segregacji religii.

Michael Carhart mówił dalej:

– Dotarliśmy tu o idealnej porze dnia, przy idealnej pogodzie. To światło...

Przerwał mu odległy grzmot. W promieniach popołudniowego słońca wzniosła się ku niebu złotobrazowa chmura dymu. Ktoś powiedział:

– Budynek właśnie się zawalił.

Ktoś inny zareagował sarkastycznie:

– To pewnie na którymś z tych obszarów, których kazano nam unikać ze względu na toczące się walki.

Wojna z piratami powoli miała się ku końcowi.

Brat Świeca widział już wcześniej grupki jeńców. Byli w tak kiepskim stanie, że nie bardzo wiedzieli, co się z nimi dzieje. Głodni, przerażeni i zadowoleni, że wszystko się wreszcie skończyło. Brat Świeca nie mógł się nie zastanawiać, jaki czeka ich los w rękach Bractwa Wojny.

Bractwo było nadzwyczaj zainteresowane zdobyciem informacji, kto stał za calzirką awanturą która jeszcze nie dobiegła końca. Rajdy trwały w najlepsze na obszarze całego wschodniego wybrzeża.

Duchowni z Connec siedzieli, obserwując, jak popołudniowe światło igra wśród gmachów i pomników. Mrużąc oczy, brat Świeca mógł dostrzec żołnierzy strzegących wraków statków na drugim brzegu rzeki, cennych jako wojenne trofea.

Michael Carhart westchnął.

– Zastanawiam się, jak im idzie? – Podczas gdy oni włączyli się bez celu po mieście i gapili na cuda owiane starożytną sławą, księżę Tormond i królowa Isabeth byli na audiencji u Patriarchy. Wszystkich trapiło przecucie, że rzecz skończy się źle. Tormond był zbyt chwiejny. Isabeth stanowiła niewiadomą. Miała ledwie czternaście lat, gdy wyjechała do Navai, by zostać żoną Piotra.

Brat Świeca powiedział:

– Pozwolę sobie wygłosić subiektywne proroctwo. Królowa Navai okaże się jeszcze bardziej naiwna niż księżę Tormond, który straci głowę i

przekaze ojcowiznę Wzniosłemu, ponieważ jest to łatwiejsze niż nieugięte trwanie przy swoim i zrobienie właściwej rzeczy.

– Spójrzcie tam – powiedział jeden z jego towarzyszy. – Kolejne oddziały Patriarchy.

Trzydziestu żołnierzy szło po najbliższym Krois moście. Wzniosły ścigał do miasta swe garnizony. Przedwcześnie, jeżeli faktycznie były to przygotowania do calzirskiej ekspedycji. Wiązało się to z ogromnym ryzykiem, ponieważ kto mógł zagwarantować, że Johannes Czarne Buty nie skorzysta z demobilizacji Państw Episkopalnych?

O końcu audiencji Tormonda i Isabeth dowiedzieli się natychmiast. Przed ich oczyma pojawił się orszak księcia, jadący po moście z Krois na południowy brzeg Teragi.

Księżę, jego siostra oraz ich najbliższe otoczenie byli gośćmi rodziny Colognich, w ich pomniejszej cytadeli, Palazzo Bracco. Była to siedziba Flourocena Cologniego, prowincjała rodziny Colognich. Ale po przybyciu piratów prowincjał przeprowadził się do apartamentów w pałacu Chiaro. Zwyczajem większości prowincjałów, wraz z przybyciem wrogów Boga pocieszył się luksusowym odosobnieniem.

Flouroceno Cologni lubił życie wystawne. Gościna, jakiej udzie – lił connekiańskiemu poselstwu, stworzyła mu do tego znakomitą okazję. W ostatecznym rozrachunku był jednak nikim, a jeżeli historia miała w ogóle zapamiętać jego osobę, to tylko dlatego, że gościł księcia Tormonda podczas jego nieszczęsnych odwiedzin w Mieście Ojczystym.

Członkowie poselstwa zaczęli się gromadzić na centralnym dziedzińcu Palazzo Bracco. Księżę czekał do momentu, gdy dziedziniec był już pełny. Tyle trzeba mu oddać, że karmił wszystkich. Na koszt Wzniosłego.

– Jedzcie! Teraz jesteśmy przyjaciółmi Wzniosłego.

Brat Świeca skorzystał z okazji uczyty, zorganizowanej na zasadzie każdy sam sobie nakłada ze stołów rozstawionych wokół murów dziedzińca. Przedstawienie grozy ciągnęło się przez wiele godzin. W pewnym momencie napadł na brata Świecę biskup LeCroes. Pochłonawszy najpierw podziwu godne ilości firaldiańskiego wina, zaczął desperować, ponieważ oczekiwał teraz, iż księżę opuści Niepokalanego.

– To jeszcze nie jest pewne – uspokajał go brat Świeca. – Tormond jest człowiekiem z zasadami. Jedną z zasad, których księżęta Khaurene nigdy

nie zapominają, jest przekonanie, że Godny Szósty był prawomocnie wybranym patriarchą Kościoła episkopalnego.

– Oczywiście, że nie mógł o tym zapomnieć. Ale nie pozwoli, by to, co słuszne, stanęło na drodze temu, z czego można zrezygnować.

Ksiązę dał znak swemu giermkowi. Tamten głośno poprosił o ciszę.

Tormond też miał już dobrze w czubie. Na koniec, cedząc słowa, oznajmił:

– Cel, który sobie wyznaczaliśmy, dziś przyniósł owoce. Będzie pokój między Kościołem a Connec.

Żadnych wiwatów. Zamiast tego rozległo się kilka okrzyków niedowierzania.

– Isabeth i ja spędziliśmy cztery godziny na rozmowie z Patriarchą. – Tormond zawiesił głos. – Chciałem powiedzieć, z preten – dentem do tiary patriarchów Kościoła, stworzonego przez świętych Eisa, Domina i Arctue. Omówiliśmy zobowiązania Connec wobec Kościoła i obowiązki Kościoła wobec ludu Connec. A wieści, moi przyjaciele, są dobre.

Ksiązę chciał powiedzieć coś więcej, jednak wino w końcu uderzyło mu do głowy i uczyniło jego słowa niezrozumiałymi.

Mimo niezdolności Tormonda do wyniszczenia treści osiągniętej ugody, skutki konferencji nabrały formy i treści. Forma była niezbyt apetyczna. Treść rozsiewała wokół niemiły zapaszek.

Byli świadkowie: bezimienni, bezbarwni urzędnicy, którzy zawsze są na miejscu, żeby wszystko zapisać.

Sześćdziesięciu mężczyzn i jedna kobieta słuchali, jak zapluwający się, omalże bełkoczący Tormond, nie mając już nic do picia, broni ugody zawartej ze Wzniosłym.

Connec zobowiązało się do uznania Patriarchy brotheńskiego. Kapłani i biskupi, którzy tego nie uczynią zostaną oddani pod kuratelę nowego biskupa Antieux. W okresie nie krótszym niż pięć lat, gwarantowane, biskup znajdzie się w składzie Kolegium. Jego następcą, kolejny conneciański prowincjał, zostanie w owym czasie wybrany przez rządzącego księcia.

Biskup LeCroes wpadł w szal.

– Zdradzasz teraz swoją wiarę? Za obietnicę pokoju z ust tego beznadziejnego szakala Benedocta? Niczego nie zyskałeś, mój panie! Niczego! Nie mógłbyś nic zrobić, gdybyś mu się sprzeciwił. Teraz jest

pozbawiony możliwości działania. Ale zwróci się przeciwko tobie, gdy tylko sytuacja się zmieni. Żaden connekiański prowincjał nigdy nie zasiądzie w Kolegium.

Tormond pozwolił biskupowi mówić, póki ten nie upuścił nieco swego jadu.

– Po drugie, musimy własnymi rękoma wykorzeniść wszystkie heretyckie kultury i wierzenia.

To najbardziej oczekiwane z żądań Patriarchy wywołało też najbardziej zapalczywą reakcję. Nawet probrotheńskich Episkopalnych rozwścieczyło coś, co wydawało się aroganckim i niewytłumaczalnym mieszaniną w sprawie pozostające wyłącznym przedmiotem troski obywateli Connec.

Brat Świeca stał w ponurym milczeniu, zdradzony przez przyjaciela.

Tormond nagle zaczął mówić nieco wyraźniej. Co bynajmniej nie wpłynęło na lepszy odbiór jego słów.

– Connec musi wystawić dwa tysiące ośmiuset zbrojnych mężów, aby pomogli w ukaraniu Calziru za niedole, jakie sprowadził na świat episkopalny.

Ktoś krzyknął:

– To znaczy na rodzinę Benedocta, tak?

Biskup LeCroes powiedział:

– Innymi słowy, siostrzeńcze, dałeś fałszywemu patriarsze wszystko, czego oddaniu sprzeciwił się, gdy najechał naszą ojczyznę. A potem dorzuciłeś życie naszych synów jako premię, aby Wzniosły mógł popробować swej niegodziwości na kimś innym. Prawdziwy dyplomatyczny triumf, siostrzeńcze. W Connec zapanuje radość od skraju do skraju. Kiedy wieści dotrą do Khaurene, lud będzie tańczył na ulicach.

Księżę nie był jeszcze na tyle pijany, żeby nie zrozumieć. Niewykluczone, że ci tancerze będą mieli w dłoniach pochodnie i widły, a w głowach zamiar wzięcia historii we własne ręce i, jeśli okaże się to konieczne, wybrania nowego księcia.

Z oczu Tormonda popłynęły łzy. Do tej chwili pewny był, że ma za sobą triumf dyplomatyczny. Skąd więc ta gniewna gorycz u najbliższych przyjaciół i doradców?

– Pozwolę sobie coś ci zaproponować, siostrzeńcze – warknął LeCroes. – Zostań w Brothe do czasu, aż ci żołnierze wrócą do domów. W przeciwnym

razie możesz doznać uszczerbku na ciele z rąk ludu, żywiłowo dziękującego za ten cudowny pokój.

Mimo iż pijany, książę słyszał wygłaszane szeptem spekulacje. Jak zareaguje Raymone Garete na te wieści? Jak zechce. Będzie miał za sobą poparcie większości Connec.

Książę Tormond był jak ogłuszony. Brat Świeca zastanawiał się, jak to możliwe, by ktoś był tak konsekwentnie i uparcie pozbawiony kontaktu z rzeczywistością. Czy w Krois dopuścili się manipulacji na jego umyśle?

Książę Tormond wycofał się z uczty, która miała być wielkim radosnym świętowaniem. Jego rozczarowanie i kontuzja były wyraźne.

Jego siostra pokonała przyrodzoną nieśmiałość i zaczęła wyjaśniać treść osiągniętego porozumienia. Konkretne ustalenia były szczegółowe i dalekosiężne, obejmując oprócz Connec, Firaldii, Państw Patriarchalnych i Kościoła także Navayę, resztę Direcii, Calzir i Imperium. Wzniosły nie podyktował żadnych nieprzekraczalnych terminów, wyjąwszy sprawę pomocy wojskowej, która miała być gotowa na jesienną kampanię przeciwko Calzirowi.

Isabeth oznajmiła, że jej mąż gwarantuje niepodległość Connec. Wyśle też statki i inżynierów, by wspomóc wysiłek wojenny.

Bratu Świecy nie umknęło, że ekspedycja karna niespostrzeżenie zmieniła się w wojnę. Wojnę, która może stać się krucjatą. Popieraną przez króla, który nie brał udziału w przygotowaniach do niej.

Isabeth była twardszym negocjatorem niż jej brat. W zamian za pomoc Wzniosłemu przy zniszczeniu Calziru król Piotr miał otrzymać dla Navayi wyspę Shippen wraz z pomniejszych wyspami w okolicy. Shippen była dość pokaźna, by w pewnych okresach historii wybijać się na niepodległość. Jej terytorium było większe niż obecny obszar Direcii Piotra, choć była znacznie uboższa.

Isabeth streściła też porozumienia Wzniosłego z Imperatorem Graala.

Kontynentalne terytoria Calziru wraz z przybrzeżnymi wyspami zostaną przekazane Imperium i Alameddine. Wiele miast i zamków przypadnie konkretnym osobom, które wykażą się największymi zasługami podczas rekonkwisty, pozostaną jednak w stosunku wasalnym wobec Imperatora i króla Alameddine.

Wzniosły szczerą ręką rozdawał nie swoje jeszcze terytoria.

Piotr skorzysta na zwycięskiej wojnie. A firaldiańscy wrogowie Wzniosłego zostaną osłabieni. Johannes stanie się jeszcze silniejszy.

Brat Świeca powoli zaczynał podejrzewać, że za pozorną niekompetencją Tormonda kryje się głębszy plan.

Jeżeli Shippen przejdzie pod kontrolę Navayi, Platadura natychmiast zdobędzie ogromne wpływy na wschodnich obszarach Morza Ojczystego, kosztem Sonsy, Dateon i Aparion. Ale zwłaszcza kosztem Sonsy. Większość jej handlu przechodziła przez wąską i zdradziecką cieśninę Rhye, która oddzielała Shippen od kontynentalnego Calziru.

Brat Świeca precyzyjnie się ku Isabeth.

– Wyczuwam tu jakieś sekrety. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Johanna? Co się zmieniło? Jak Imperator Graala może nagle być przyjacielem Patriarchy? Przecież są naturalnymi wrogami, jak pies z kotem.

Nikt się obecnie nimi nie interesował. Isabeth szepnęła:

– I tak długo się tego nie da utrzymać w tajemnicy, więc chyba mogę ci powiedzieć. Johannes ma tylko jednego syna. Lothar ma dwanaście lat, jest chorowity i nie przeżyje swego ojca. Johannes chce, by sukcesja Graala pozostała w rodzinie Ege. Wzniosły, jako Patriarcha, przysiągł, że Kościół zagwarantuje uznanie trwałości sukcesji Imperium w dzieciach Johanna.

Ciekawe.

– Nawet w jego córkach?

– Zostało to jednoznacznie stwierdzone. Katrin, po niej Hekspeth, zanim ktokolwiek inny zostanie wzięty pod uwagę. Cena? Johannes musi pomóc przy zdobyciu Calziru. Słyszałeś już, jak wygląda podział łupów.

Brat Świeca był przekonany, że na tym nie koniec. Wzniosły nie podaruje nic tak tanio swemu największemu wrogowi. A Hansel też tak łatwo się nie da nabrać.

Później Michael Carhart dopytywał się:

– Czy to wszystko naprawdę ma moc wiążącą? Tormond mógł powiedzieć Wzniosłemu, co chciał. Co się stanie, jeżeli spróbuje zakazać obrządków maysalczykom, devedianom, dainshauom, pramanom z Wybrzeża Terliagańskiego oraz wolnomyślnym episkopalnym z Connec?

Rzadko odzywający się Tember Sihrt zauważył:

– Znajdzie się w zimnym i samotnym miejscu.

– W dosłownym sensie – dodał biskup LeCroes. – Jeżeli choć spróbuje, wielu odwróci się doń plecami. A żeby przeprowadzić wszystko, co obiecał, będzie potrzebował ludzkiej pomocy.

– Żaden z was – oznajmił Michael Carhart – jak też nikt inny od wyborów Honaria Benedicta, nie wskazał, ile problemów świata zniknęłoby, gdyby Honario Benedicto nie był Patriarchą.

– Sugerujesz, że ktoś powinien coś z tym zrobić? – zapytał brat Świeca.

– Ależ nie. Nie! Stwierdziłem tylko fakt. Wybór Wzniosłego już pociągnął za sobą wiele nieszczęść i śmierci. A on dopiero zaczął.

– Człowiek ma rację – wtrącił brat Czysty. – Teraz tylko jeszcze bardziej zbrukamy nasze dusze, ponieważ nie powstrzymamy Connec przed udziałem w tej wojnie z Calzirem. Znam kilku praman. Wielu wciąż jeszcze żyje wokół Terliagi i na tamtejszym wybrzeżu. Po większej części są to dobrzy ludzie. Jak większość Connekian. Jak ci Calzianie, których Wzniosły chce wyrzucić.

– Nie wspominaj o Terliaganach – powiedział Michael Carhart. – Jeżeli Wzniosły odkryje, że Volsard nie wybił wszystkich w trakcie tamtej wojny z Meridianem, prawdopodobnie umieści ich na listach proskrypcyjnych razem z nami wszystkimi. Najpewniej na samym szczycie.

– Być może za bardzo się przejmujemy – uspokajał brat Świeca. – Pamiętajcie, kim jest nasz książę. Osobiście przychyliam się do mniemania, że zbyt wiele nie robi. Oprócz powierzenia dowództwa nad korpusem calzirskim hrabiemu Raymone, żeby on i jego gorące łby nie pogarszali sytuacji w ojczyźnie. Jeżeli Calzir okaże się równie twardym orzechem do zgryzienia, jak to zazwyczaj bywało, Wzniosły nie będzie miał czasu na Connec.

– Niemniej pamiętajmy, że Wzniosły jest młody – narzekał biskup LeCroes. – Ma przed sobą jeszcze jakieś trzydzieści, czterdzieści lat.

– W takim razie lepiej módlcie się do waszego boga – prychnął Tember Sihrt. – Błagajcie go, by unieważnił ostatnie wybory Patriarchy.

Żart jakoś nikogo nie rozśmieszył.

Poselstwo connekiańskie zmitrężyło w Brothe jeszcze dziewięć dni. Przez osiem Tormond i Isabeth próbowali uzyskać kolejną audiencję u Wzniosłego, aby powtórnie przedyskutować kwestie, które wzbudziły najwięcej wątpliwości. Wzniosły trzymał ich na dystans, póki nie stało się jasne, że nie będzie żadnych dalszych dyskusji.

Kiedy Krois wydało oświadczenie, że Imperator Johannes odwiedzi Brothe, książę gniewnie zarządził powrót do domu. Niektórzy sądzą, że Hansel ugnie kolana przed Wzniosłym w zamian za patriarszy dekret gwarantujący sukcesję imperialną dla rodu Ege. Dużo spekulowano nad ewentualnymi konsekwencjami. Wzniosły był zdecydowany nagiąć przyszłość do swej osobistej wizji. Nie miał czasu na płaczliwych wieśniaków, którzy nie rozumieli swej roli w wielkiej episkopalnej odnowie. Nie bał się sprzeciwów Delegatur Nocy.

Kiedy przekraczali Teragi, brat Świeca obejrzał się za siebie, wiedząc, że niczego takiego jak Brothe w życiu już nie zobaczy. Zabierze ze sobą tylko wspomnienia.

Tak niewiele. Tak mało osiągnęli. Wrócą do domu i zajmą się swoim życiem, udając, że nic się nie zdarzyło.

Zażegnano perspektywę wojny z Kościołem. Na jakiś czas.

Kłótnie wśród Connekian nie ustawały. Brat Świeca czuł pokusę, żeby odłączyć od orszaku, tak miał dość nieustannych sprzeczek. Ostatecznie jednak tego nie zrobił. Póki ortodoksyjni chaldaranie akceptowali jego obecność w swym gronie, wciąż były szanse, że uda mu się przemówić w imię pokoju i rozumu. Zachował pewne wpływy, ale nic nie mógł zrobić w kwestii decyzji raz już podjętych.

Pogoda nie była wiele lepsza niż podczas podróży na wschód, póki książę nie postanowił zarządzić jednodniowej przerwy. Wtedy zrobiła się znakomita.

Tormond nie chciał marnować czasu. W Connec rozczarowany Raymone gromadził siły obiecane Wzniosłemu. Do głosu wciąż dochodziły obawy, że zapalczywy hrabia może wykorzystać wojsko, żeby pchnąć Connec w kierunku przez siebie wybranym.

Obawy te nie były całkiem bezpodstawne. Przyjaciele hrabiego Raymone faktycznie mieli nadzieję na bunt. Próbowali opóźnić powrót poselstwa.

Książę Tormond nie pozwalał sobą manipulować. Opóźniających pochód zostawiał w drodze. I zawsze w końcu go doganiali.

Przy pomocy dziesiątków kurierów książę utrzymywał stały kontakt z sir Eardale'em Dunnem i hrabią Raymone. Dunn donosił, że w Khaurene panuje spokój. Ale jego wieści zawsze były spóźnione.

Hrabia Raymone przeniósł się z Antieux do położonego centralnie Castrersone. W listach wciąż okazywał należny szacunek i uległość wobec

suwerena. Zupełnie nie było w nich śladu oskarżeń i rekryminacji tak powszechnych wszędzie indziej. Hrabiego z pozoru nie interesowało nic prócz praktycznych trudności związanych z wystawieniem armii złożonej z dwóch tysięcy ośmiuset żołnierzy w prowincji, której wojna była z natury obca.

Nastroje nacjonalistyczne wzbudzone z powodu Masakry pod Czarną Górą rozplynęły się w rozczarowaniu i rozpaczyc już w momencie, gdy książę Tormond zdecydował się odwiedzić Ojczyście Miasto.

Lud Connec bez zastrzeżeń ufał swemu księciu. Wiedziano, że pozwoli fałszywemu patriarsze zapędzić się w kozi róg i zrzeknie się ich praw i przywilejów. Czas pokazał, że mieli rację. Ale mimo to nie chcieli wystąpić przeciwko Tormondowi.

Czy rzeczywiście?

Brat Świeca obawiał się, że wyboru dokonają za nich ludzie motywowani raczej dumą i prywatą niż interesem narodu.

Brothe, duszodawcy

Shagot spał przez sześć dni. Pierwsze cztery Svavar też przespał.

Kiedy się obudził, był tak słaby, że ledwie miał siły dopełznąć do kuchni w domu, w którym się przyczaili.

Skutkiem próby dopadnięcia człowieka, którego bogowie chcieli zgubić, była całkowita katastrofa. Dwóch potężnych czarowników weszło im w drogę. Nie jeden, lecz dwóch. Dyskusja, jaka się następnie wywiązała, mogła mieć skutki śmiertelne. W rzeczy samej, póki Shagot się nie obudził, milczący i prawie oszalały z pragnienia, Svavar przypuszczał, że spotkanie naprawdę skończyło się tragicznie.

Svavar sączył ze szmatki wodę w usta Shagota. Karmił brata przez długie godziny, wciskając między jego zęby drobne kulki z namoczonego w wodzie chleba.

Sam Svavar też nie był w najlepszej formie. Odniósł więcej ran i kontuzji niż Shagot. Lecz tym razem doszedł do siebie szybciej niż brat.

Chwilami, gdy wybiegał myślą poza kwestie związane bezpośrednio z przetrwaniem, zastanawiał się nad losem obu czarowników. On i Grim nie mieli dostatecznej siły, żeby ich zabić. Dawni Bogowie nie okazali się aż tak szczodrzy.

Coś było nie w porządku. Coś tu mocno nie pasowało. Nie pasowało od czasu, gdy oddział sturlangerów się podzielił. Misja nie miała prawa być tak trudna.

Svavar miał też problemy z pamięcią. Z wiarygodnością wspomnień. Potrafił przywołać z pamięci kilka całkowicie odmiennych, lecz tak samo przekonujących wspomnień o tym, co nastąpiło po tym, jak on i Grim wpadli do domu, w którym wedle słów Grima Dawni odkryli kryjówkę

Bogobójcy. Skończyło się niespodzianą bitwą z czarownikami i calzirskimi piratami. Wśród rzezi, która się rozpętała, kroczył duch, jakiś cień, i zmieniał wynik starcia. Występował w każdej wersji wspomnień, ale Svavar nie potrafił uzyskać jasnego obrazu.

Svavar martwił się. I bał. Dawni Bogowie wcale nie musieli być jedynymi spośród Delegatur zaangażowanych w tę sprawę. Noc nie była monolitem. Inne moce mogły mieć swoje plany wobec Bogobójcy. Choć z drugiej strony był przekonany, że ci czarownicy działali wyłącznie w samoobronie. Bogobójca nic dla nich nie znaczył.

Czy Bogobójca przeżył? Wielu poległo.

Grim wyjaśni mu wszystko, kiedy się obudzi. Jeśli się obudzi.

Shagot balansował na krawędzi życia, jak człowiek zwisający z urwiska na dwu zwichniętych palcach i złamanym kciuku.

Svavar podejrzewał, że on i Shagot zawdzięczali życie temu enigmatycznemu cieniowi. Jak znaleźli bezpieczną kryjówkę, skoro byli nieprzytomni?

Asgrimmur martwił się, że zostaną odkryci, zanim odzyskają siły, by się bronić. Ci południowcy byli słabi, ale nie głupi. Wiedzieli, że w Brothe dokonują się mroczne sprawy. Jeszcze przed tym ostatnim zamieszaniem szukali pary blond cudzoziemców.

Teraz polowanie będzie poważniejsze.

Svavar nie wiedział, że Brothe wciąż zмага się z piratami. Wzniosły nie był skłonny do wybaczenia. Zagroził ekskomuniką każdemu, kto pomógłby w ucieczce bodaj jednego kalekiego starca czy przerażonego podrostka. Zza bezpiecznych murów Krois Patriarcha grzmiał i wzywał do pomsty, zupełnie jak jego bóg w dawnych czasach, nim Święci Ojcowie przerobili go na modłę nowej epoki. A więc piraci walczyli.

Svavarowi podobałoby się nastawienie Wzniosłego. Było dość powszechne u Szarego Wędrowca i jego rodziny.

Kiedy Shagot w końcu odzyskał świadomość, Svavar nie potrafił dostrzec w jego oczach choć isierki rozumu. Właściwie to sam nie był pewien, co w nich widzi. Być może umysł szalonego boga. Jeżeli to nie oksymoron.

Jednak powoli umysł skryty za oczyma Shagota się przejaśniał. Svavar obserwował, jak gaśnie szal, był świadkiem chwili, gdy powrócił Grimur Grimmsson. Choć nie do końca wróciły mu zdrowe zmysły.

– Nic nie mów – wyskrzeczwał Svavar. Sam miał poważne kłopoty z mówieniem. – Nie wiem, ile czasu minęło. Dużo. Od dwu dni na przemian odzyskuję i tracę świadomość.

Shagot zdawał sobie sprawę ze swojego poważnego stanu. Nie podjął, jak zazwyczaj, szalonych wysiłków, by dojść do siebie. Bez słowa przyjął wodę i chleb, a potem znowu zapadł w sen.

Shagot spał przez dwa kolejne dni.

Svavar również dużo sypiał. Kiedy Grim obudził się po raz drugi, on sam czuł się już znacznie lepiej, choć jeszcze nawet w połowie nie odzyskał sił. Rany wciąż strasznie dawały się we znaki. Podobnie stawy. I dusza.

Tym razem Shagot mówił, po kilka słów naraz:

– Minęło co najmniej osiem dni. Miasto się zmieniło. Musimy się stąd wynosić. Wkrótce zaczną nas szukać. Na poważnie. Dom po domu. Za pomocą magii Kolegium. Nie damy sobie z nimi rady. Opuścimy miasto, żeby uderzyć, jak o nas zapomną.

– Bogobójca przeżył?

– Oczywiście. Wątpiłeś, że mu się uda?

– Byłem pewny, że tak.

– Chcesz prawdziwego kopa w dupę? Uratowaliśmy dupkowi życie, atakując właśnie wtedy, wnioskując z tego, jak się wszystko potoczyło, Szary podejrzewa, że Trickster się wtrącił. Ale nie sądzę, aby miał taką moc.

– Stało się coś dziwnego, Grim. Był tam jeszcze ktoś potężny, jakiś cień. Ktoś oprócz nas i czarowników. Większy niż my i oni razem wzięci. Myślę, że powstrzymałby nas przed zabiciem Bogobójcy, gdybyśmy spróbowali. Ale uratował nas też przed śmiercią. A czarowników chronił przed nami. Ale niezależnie, jak bardzo próbuję, nie potrafię sobie przypomnieć, kto to był.

– Dlatego właśnie Szary sądzi, że jego bratanek musiał się wtrącić, jeśli nawet nie bezpośrednio, to przez kogoś, kogo skłonił do wykonania brudnej roboty.

– Ojciec Wszechrzeczy nie wie, co się dzieje?

– Niektóre rzeczy skryte są nawet przed wzrokiem samych bogów. Zwłaszcza gdy biorą w nich udział inni bogowie.

– Co?

– Obecność, którą wyczułeś, musiała należeć do kogoś, kto podczas walki przybył z Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Myślę, że ktoś przywłaszczył sobie moc krwi, kiedy Wybrani pomagali nam załatwić Bogobójcę.

Svavar nie rozumiał.

– Mogliśmy z nim skończyć?

– Tak. Było blisko. Ale ktoś, zapewne z Wielkiej Fortecy Niebiańskiej, dopuścił się sabotażu. Ktoś uniemożliwił mi wezwanie Bohaterów.

To niczego nie wyjaśniało w oczach Svavara. Nie sądził, by obecność nieznanego była czymś nowym. Sądził, że tamten towarzyszył im przynajmniej od tamtego starego pola bitwy w Arnhandzie. Ale spekulacje Shagota przynajmniej rzuciły odrobinę światła na plan bogów, jak go sobie wyobrażał.

– Ten ktoś wciąż tu jest, braciszku – rzekł na koniec. – Nie skrył się w Nocy. Chodzi po świecie śmiertelnych. I nie jest zbyt daleko. Powinniśmy być bardziej ostrożni, przynajmniej póki się nie dowiemy, o co chodzi.

Właściciele ich domu musieli zostać zabici w walkach. Nikt się nie pokazał. Ale nikt też nie próbował szabrować. Ludzie gremialnie trzymali się z daleka.

Svavar znalazł w domu brzytwę. Ogolił brodę i głowę. Shagota też ogolił. Znalazł dla siebie jakieś ubranie. Nie pasowało, ale przecież nie był dandysem.

– Grim, mogę już kuśtykać. Pójdę na dwór, zobaczę, co się dzieje.

– Uważaj na siebie, bracie. Wciąż jestem zbyt słaby, na wypadek gdybyś się wpakował w kłopoty.

– Spokojnie, Grim. – Był ostrożny. Znacznie bardziej niż brat potrafił sobie wyobrazić, że można być. Grim bez zastrzeżeń ufał łasce bogów. Wszystko musiało iść dobrze, kiedy miało się za sobą Delegatury Nocy.

Svavar natomiast doskonale zdawał sobie sprawę, że znajdują się na ziemi obcych bogów. W Brothe Dawni byli tylko szczurami chowającymi się pod mistyczną podłogą. Hałaśliwą, śmierdzącą, nieprzyjemną i niechcianą nadprzyrodzoną zarazą.

Svavar zastał Brothe prawie niezmienione w sensie materialnym, natomiast zdjęte nowym nastawieniem wobec świata, a w szczególności Calziru. Teraz wszyscy nienawidzili Calziru. A decydenci zamierzali zanieść to uczucie na ojczyste ziemie piratów.

Walki trwały jeszcze w kilku miejscach, gdzie bronili się przyparci do muru Calziranie. Brotheńska strategia stawiała na cierpliwość. Piratów izolowano, potem ignorowano. W końcu głód zmuszał ich do poddania się.

Miasto trzęsło się od tysięcy plotek. Patriarcha wkrótce ogłosi krucjatę przeciwko Calzirowi. Imperator Graala postanowił, że jego wasalne królestwo Alameddine stanie się bazą wypadową operacji. Sam weźmie w niej udział.

Bardziej interesujące były plotki o pościgu za dwoma blond czarownikami. Na publicznych placach i drzwiach kościołów znajdowały się proklamacje. Svavar ich treść poznał od piśmiennego przechodnia. Mógł bezpiecznie zadawać pytania, póki udawał jednego z cudzoziemskich najemników walczącego z piratami. Wrócił do Shagota, wiedząc tyle, ile każdy Brotheńczyk z ulicy.

– Musimy się stąd wynieść, Grim. Zbierają oddział, który ma się zająć odnalezieniem nas. Dwustu ludzi. Przechodzą właśnie szkolenie. Ściągają też do miasta załogę czarowników należących do czegoś o nazwie Specjalne Oficjum, z siedzibą w kwaterze głównej Bractwa Wojny. Kiedy tu dotrą przewrócą do góry nogami całe miasto.

– Potrzebny nam powóz. Albo lepiej wóz, na którym będę mógł jechać. Minie jeszcze trochę czasu, zanim wyzdrowieję.

– Ale zawsze zdrowiałeś tak szybko.

– Tym razem też tak będzie. Ale tym razem muszę wyzdrowieć ze śmierci.

– Co? – Może Grim żartował?

Nie.

– Nie było sposobu, abym uszedł z życiem, braciszku. Zbyt mocno oberwałem. Potrzeba było połączonej woli Dawnych Bogów, aby odwrócić uwagę śmierci na czas, nim moje ciało ozdrowiało.

W głosie Shagota brzmiało głębokie zmartwienie. Może nie rozumiał, że tak czy siak nie są już całkiem żywi. Ale śmierć nie wzbudzała w Shagocie trwogi. Nigdy. Ach! Okaleczony bał się życia.

– Zobaczą, co da się zrobić. Może coś kupię.

– Rób co trzeba. Szybko. Musimy zdobyć przewagę nad tymi czarownikami ze Specjalnego Oficjum.

– Wiesz o nich?

– Ścigają i zabijają ludzi takich jak my. Ludzi pozostających w kontakcie ‘z tym, co nazywają Delegaturami Nocy. Oni chcą zniszczyć samych bogów. Każdego boga, każdą ukrytą istotę, nawet ostatnią najmniejszą huldrę, wyjątkiem jest ich własny bóg.

Kiedy Svavar wrócił z miasta, Shagot już nie spał. Wyglądał lepiej.

– Co się stało, braciszku? Wyglądasz, jakbyś połknął żabę.

– Starą śmierdzącą ropuchę o wielkiej dupie, Grim. Nie mamy już żadnych pieniędzy.

– Hę?

– Ten dupek Talab, który miał się nimi zająć, oszwabił nas, Grim. Domyślił się, kim jesteśmy. Doniósł na nas do Kolegium. Zabrali nasze pieniądze. Oprócz dwunastu procent, które zatrzymał sobie w charakterze premii.

– Tak, więc?

– Więc go zabiłem. Ale najpierw zmusiłem, żeby wszystko wyśpiewał. Zabrałem pieniądze, które miał przy sobie. Chciał mi zapłacić, żebym nie robił mu krzywdy.

Shagot zmarszczył brwi zmartwiony.

– I nikt cię nie ścigał?

– Zgubiłem ścigających, zanim przeszedłem na drugi brzeg rzeki.

Nie było to łatwe. Otrzymał pomoc. Pojawiła się pewna kobieta, odziana na północną modłę. Svavar był pewny, że już kiedyś ją widział, ale nie potrafił sobie więcej przypomnieć. Nie znał żadnych kobiet w tym mieście. Podczas pobytu w Brothe zachowywał ściślejszy celibat niż niejeden episkopalny ksiądz.

Kobieta rzuciła urok na ścigających go devów. Najpierw przestało im zależeć. Potem wszystko im się pomieszało i rzucili się na siebie. Kobieta zaczarowała go, gdy próbował do niej podejść. Wydawała się zdumiona, że w ogóle ją zauważył.

Może była jego aniołem stróżem?

O całej sprawie nie opowiedział Shagotowi. Nie miał pojęcia dlaczego. Ale pewien był, że Grim się wkurzy, kiedy się dowie.

– Wciąż mam w torbie trochę pieniędzy – powiedział Shagot.

– W porządku. Zaczyna nam brakować czasu. Przez to, że zabiłem tego devskiego dupka, wkrótce wszędzie zaroi się jak w ulu.

– Masz rację. Przyniosłeś coś do jedzenia? Prawie umieram z głodu.

– Dobrze. Już się zaczynałem martwić.

Shagot i Svavar opuścili Brothe cztery dni po tym, jak devediański finansista dostał, na co zasłużył. Wyjechali przez tę samą bramę, którą wcześniej weszli do miasta. Strażników nie interesowali ci, co opuszczali miasto. Zwłaszcza nikt, kto nie wyglądał na Calziranina. Nikt też nie kazał im wypatrywać trzech mężczyzn, psa i kasztanowego muła, ciągnącego wrak wozu.

Trzeci mężczyzna wkrótce rozstał się z kompanią.

– Zabierz mu pieniądze – powiedział Shagot z wozu.

– Jak tylko ten przekłety pies... Cholera. Daj mi miecz. Odrąbię pierdolcowi łeb. – Svavar nie bał się kundla. Choć był spory i zachował większość zębów. Po przejściach w Wielkiej Fortecy Niebiańskiej Svavar już nigdy nie miał się obawiać żadnego śmiertelnego kundla.

Był w podłym nastroju.

– Cholera! Musiał zostawić pieniądze swojej kobiecie. – Psu nie okazał nawet odrobiny miłosierdzia.

– Zapomnij o tym. Pieniądze zawsze można zdobyć. Pozbądź się ciała, zanim ktoś nadejdzie.

Svavar zrobił, jak mu kazano, akurat na czas. Nie pokonali następnych dwustu jardów, gdy przed nimi pojawiła się awangarda oddziału kawalerii. Svavar sprowadził muła z drogi, nie chcąc zawadzać.

– Rozpoznajesz sztandary? – zapytał Shagot.

– Nie. Ale ten porzecz z kluczem musi mieć coś wspólnego z Patriarchą.

Żołnierze byli z Maleterry. Ich zadanie polegało na utrzymaniu drogi do Brothe, gdyby Imperator zdecydował się zaatakować Wzniosłego.

Svavar zastanawiał się, kto kogo puka w romansie między Johannesem a Patriarchą.

Poruszali się teraz znacznie wolniej, ponieważ drogę tarasowali żołnierze.

Wreszcie dotarli do drogi przecinającej Półwysep Firdiański i tam bracia skręcili na wschód. Później ruszyli na południe, wschodnią drogą przybrzeżną. Vondera Koterba wciąż prowadził zaciąg w Alameddine. Jego armia stanie się dla nich kryjówką.

Shagot trwał zatopiony w swojej obsesji. Pewien był, że Bogobójce spotkają znowu w Calzirze. Svavar, który stracił kontrolę nad ich poczynaniami, pogrążył się w rozpacz.

Svavar zaczynał widzieć rzeczy, które mogły być realne i tylko ciągnęły się wciąż za nim – ale mogły też istnieć wyłącznie w jego umyśle. Rzeczy niedostrzegalne dla ludzi, którzy nie przeszli przez Wielką Fortecę Niebiańską.

Kobieta była wyższa od najwyższego żołnierza, była też atrakcyjna, ale nie w bujny sposób, jaki preferowano w Firaldii. Mocno zbudowana, dobrze umięśniona, nawet odrobiny tłuszczu. Miała złote włosy, zaplecione w dwa koczki po bokach głowy. Poruszała się krokiem długim i zdecydowanym. Żołnierze nie zwracali na nią uwagi, co już było dość dziwne, biorąc pod uwagę obyczaje tej zgrai.

Kobieta zeszła z drogi. Odrzuciła jakieś zeschnięte gałęzie. Zaroiła się chmara much, bzyczących, wściekłych, że się je odrywa od pracy. Kobieta przyjrzała się trupom mężczyzny i bezgłowego psa.

Zmarszczyła czoło. Poczowała obrzydzenie – mimo iż już dziesiątki tysięcy razy widywała gorsze rzeczy.

Ponieważ nikt się jej nie przyglądał, nikt też nie zauważył, że w jednej chwili stała w lesie, a w następnej już jej nie było.

Brothe, przygotowania do wojny z Calzirem

Polo powiedział do Else'a:

– W tym miejscu roi się bardziej niż w trupie martwego od tygodnia psa.

Else mruknął potakująco. Polo miał rację. W cytadeli Bruglionich wrzało. Divino w końcu wymusił na Bruglionich z prowincji fundusze na najęcie robotników. A wraz z funduszami napływała ze wsi cała rodzina – zagrożona wyzuciem z posiadanych majątków.

Groźby, jakie w imieniu Paludana skierował pod ich adresem prowincjał Bruglioni, miały iście drakoński charakter.

Else dwukrotnie udawał się na wieś, prowadząc weteranów walk z piratami. Zaatakował pasożytniczych krewnych Bruglionich, wcześniej pieczołowicie wyselekcjonowanych przez wuja Divina. To zelektryzowało resztę rodziny. To i perspektywy nowych bogactw oraz posiadłości, które z pewnością przypadną Bruglionim w następstwie calzirskiej przygody Wzniosłego.

Patriarcha ogłosił krucjatę. Nalegała na to przytłaczająca większość w Kolegium.

Else miał wziąć w niej udział. Paludan wydał mu rozkaz, aby za pieniądze Bruglionich wystawił kompanię piechoty.

Else nie rozumiał pewności siebie Wzniosłego. Opierała się chyba wyłącznie na wierze.

Historia zasłana była gruzami imperiów przekonanych o prze – rażającej mocy miecza ich boga. Ale łuski jakoś nie chciały spaść z oczu ludzi. Nigdy nie przestali ufać zdradzieckim Delegaturom Nocy.

Else uczestniczył w naradach strategicznych. Jego pytania wywoływały marsa na czołach, ale nie potrafił zburzyć niczyjej pewności siebie.

Więcej wysiłku włożono w plany podziału Calziru, aż do najmniejszej parafii, niż w strategiczną stronę kampanii.

Else prosił al-Karn o instrukcje, raz przez Glediusa Stewpo, szlakiem devediańskim, drugi raz przez ambasadę kaifatu. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Sam musiał podejmować decyzje. To znaczyło, że zawsze mogą się okazać błędne. Jeżeli Gordimer zdecyduje się tak właśnie na całą sprawę spojrzeć.

Wynajęty księgowy Else'a nie miał najmniejszych kłopotów z przedarciem się przez gąszcz liczb ksiąg rachunkowych pana Grazii. Z dowodami Else poszedł do prowincjała. Na twarzy Divina odbiła się złośliwa rozkosz. Materiały wykorzystał do zastraszenia i szantażowania tych, których chciał zatrzymać w służbie Bruglionich.

Wydawało się, że za każdym razem, gdy tylko Else opuszczał cytadelę, wpadał na kogoś, komu nie podobało się odrodzenie Bruglionich.

W szczególności prowincjał Doneto skarżył się, że Piper Hecht za mało się przykłada do wspierania intryg Doneta.

Pinkusa Ghorta bawiła irytacja Doneta.

– Pipe, w życiu jeszcze nie spotkałem kogoś tak skupionego na sobie, jak nasz stary kumpel z więzienia. Dużo czasu upłynie nim zdobędzie następnych kumpli, którzy pozwolą mu tak sobą manipulować.

– Nie jestem zaskoczony. Od kiedy wyrosłem z raczkowania, muszę się zmagać z takimi ludźmi. Sam prawdopodobnie się w kogoś takiego zmienię, jeśli pożyję dość długo i wespnę dostatecznie wysoko. Ty też.

– No. Już widzę samego siebie, jak chodzę w pantoflach Drockera następnym razem, gdy najedziemy Connec. Włokąc za sobą trupe małych kurew, jak biskup Serifs, tyle że to będą dziewczynki.

– Jesteś obrzydliwy.

– Ale zabawny. Musisz to przyznać. Będziesz gotów, kiedy wojska ruszą na południe?

– Gotowy i skory do walki. – To było kłamstwem. Nie chciał walczyć z pramańskimi braćmi w wierze. Ale al-Karn nie zostawiło mu wyboru. Póki nie nadejdą instrukcje, musiał wciąż odgrywać tę rolę, którą dla siebie stworzył.

– To dobrze. Ja też. Jak się miewa twoja pani?

– Anna? – On i Anna Mozilla zaczęli budować wspólne życie towarzyskie. Rzecz jasna, przez to również robił się nerwowy, ale Anna czuła się w tym jak ryba w wodzie. Odciągała odeń uwagę. Jeżeli jednak ktoś postanowi przyjrzeć się bliżej Annie, może się zastanawiać, kiedy Piper Hecht miał okazję stworzyć związek z kobietą z Sonsy. – U niej wszystko dobrze. Choć ostatni tydzień okazał się trochę straszny.

– Kiedy ci Calziranje wyszli z podziemi?

– To się stało właśnie na jej ulicy. Mam nadzieję, że to ostatnia banda.

– Tak twierdzi Kolegium.

– To samo Kolegium, które tydzień wcześniej, nim motłoch się pojawił, rzuciło hasło: „Alarm odwołany”?

– Można by sądzić, że taka mafia czarowników będzie trochę lepiej znała się na swojej robocie, no nie?

– No nie? Możesz powiedzieć mi coś, cokolwiek, co mi ułatwi robotę?

– Nie. Cóż, nie odwracaj się do nikogo plecami. Jak mówiłem, prowincjał nie jest zadowolony z rozwoju spraw. Nie sądzę, by miał zrobić coś drastycznego. Ale obecnie lekko świruje. Po prostu nic się nie układa po jego myśli.

– Dlaczego miałby mieć do mnie pretensje? Teraz już każdego dnia mogę się zacząć przeprowadzać do Kolegium. Nie chciałby mi przecież tego uniemożliwić, co?

– Przypomnę mu. Chciałby tylko, żeby coś poszło po jego myśli i żeby mógł trochę poćwiczyć poklepywanie samego siebie po plecach i gratulowanie sobie przenikliwości.

– Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko układa się nad wyraz dobrze. Myślałem, że dwadzieścia lat zabierze mi dotarcie tam, gdzie się dostałem w kilka miesięcy. A u ciebie...

– No, cholera. Wiem. Mam szczęście, że mam robotę. Doneto zresztą też nie powinien narzekać. Naprawdę dał dupy w tym connekiańskim fiasku. Ale i tak dostał awans.

– Mówią, że nepotyzm najlepiej się sprawdza, jeśli uprawiać go w rodzinie. Zresztą wcale nie to chciałem powiedzieć, czasami po prostu prawda sama wychodzi na jaw.

– Żart? Z twoich ust? Cholera, Pipe. Zaczynasz się wyrabiać. Jeżeli nie będziesz się pilnować, jeszcze się zmienisz w prawdziwego człowieka.

– Próbuję. Co u Bo i Joego?

- Joe dostał kopa w górę i teraz jest kierownikiem stajni prowincjała.
 - I dobrze.
 - Żelazny Wieprz żyje jak król.
 - I to dobrze. Muszę już iść, Pinkus.
 - Do Castella?
 - Tak. Ściągnęli malarza, który próbuje stworzyć portret Starkden, opierając się na mojej pamięci. Uważam, że to strata czasu. Ale kto się kłóci z Bractwem Wojny?
 - A zwłaszcza ze Specjalnym Oficjum. Jednak Bechter jest w porządku. Ale to tylko żołnierz. Nie prawi ci kazań.
 - To dobry człowiek.
 - Pilnuj się przed tym dupkiem Drockerem.
 - Hej, uważam z każdym, kto nie dał mi podstaw, by mu wierzyć.
 - Aha!
 - Tobie wierzę, Pinkus. Wierzę, że jesteś Pinkusem Ghortem. Wierzę, że wyglądasz jak Pinkus Ghort. I sądzę, że Pinkusa Ghorta znam dostatecznie, by wiedzieć, kiedy zapiąć pas cnoty.
- Ghort parsknął.
- To prawda, co słyszę? Bruglioniowie naprawdę chcą ci dać dowództwo kompanii wyruszającej do Alameddine?
 - Nie spodziewam się, że wielu Bruglionich zechce się bić. Z wyjątkiem mojego człowieka, Pola. Jest szpiegiem wuja Divina. Nachalnym i niekompetentnym. Ułożyliśmy sobie wzajemne stosunki. On udaje, że jest moim ordynansem. Ja udaję, że nie wiem, iż mnie śledzi. Pozdrów jak należy Bo i Joego. I rzuć ode mnie rzepę Żelaznemu Wieprzowi. Muszę iść. Nie mogę się spóźnić.
- Ghort prychnął.
- Else miał rację. Nie mógł się spóźnić. Ponieważ nie oczekiwano go na określony czas. Wezwanie z Castella nie precyzowało godziny.
- Poza pracą z malarzem Bractwo dodatkowo kusiło Else'a. Dwukrotnie już odrzucał propozycję zaciągnięcia się, co według Redfearna Bechtera, tylko ucieszyło Grade'a Drockera.
- Drocker nie widział w Piperze Hechcie odpowiedniego materiału do służby w Bractwie. Ślepy by dostrzegł, że Piper Hecht niespecjalnie oddany jest Bogu.
- Ostateczna ironia, myślał Else. Ironia warta boskiego chichotu.

Od dziesięcioleci Bractwo miało kłopoty z rekrutacją. Współcześni chaldaranie nie byli przygotowani na trudy i wyrzeczenia wymagane od Żołnierzy Boga.

Opłakując schodzący-na-psy-i-dalej-do-piekła stan chaldarańskiego świata, Divino Bruglioni mawiał:

– Ten wiek potrzebuje porządnej zarazy, która ożywiłaby stare wartości.

Redfearn Bechter czekał przy niebieskiej furcie. Jego obecność nie była zaskakująca. Warty na parapetach Castella musiały widzieć, że Else się zbliża.

– Myśleliśmy, że przyjdiesz wcześniej.

– List mówił, że rankiem.

– Rozumiem.

– Tu jest jak w mauzoleum. – Hole, komnaty i korytarze były puste i martwe. Surowość życia Bractwa na co dzień była onieśmielająca. Else dostrzegał u nich wszystkich tyleż poświęcenia i determinacji co u najlepszych sha-lugów.

– Zdolni do noszenia broni bracia odjechali do Alameddine ze zwiadowcami Imperatora. Ci, którzy zostali, są zbyt starzy, zbyt chorzy albo zbyt pochłonięci układaniem strategii, żeby myśleć o wyjeździe. – Potem Bechter dodał szeptem: – Wolałbym pojechać. Mimo że nienawidzę walki.

– Nie zostało dość ludzi, żeby radzić sobie z jadem Grade’a Drockera?

Bechter zachichotał.

– Ty to powiedziałaś, nie ja. Ale dłużej nie będę musiał tego znosić. Przed końcem tygodnia dotrze tu konwój z Runch. Wróci Hawley Quirke. A wtedy czarownik może się dusić we własnym sosie.

Else poczuł ukłucie niepokoju. Nie wiedział, czym spowodowanego.

– Kto jeszcze przybędzie? Ktoś, kogo znam?

– Skąd mam wiedzieć? Do diabła. Skąd możesz znać kogokolwiek?

– Ze słyszenia, to miałem na myśli. Osobiście nie mogę znać nikogo. Chyba, że zdarzyło im się dzielić z nami te szczęśliwe chwile w Connec.

– Ci ludzie albo nie żyją i spoczywają tutaj, albo są na dalekim południu, szukając najlepszych sposobów zmiżdżenia Calziru.

Weszli do komnaty, w której ku zaskoczeniu Else’a siedziało w ciszy jakichś pięćdziesięciu ludzi, podczas gdy Ferris Renfrow za pomocą długiego pręta wskazywał określone miejsca na mapie kontynentalnego

Calziru, wymalowanej na pozbawionej barw ścianie, którą najpierw wygipsowano, a potem wymyto. Południe było na górze mapy, tak jak podstawy Półwyspu Firdiańskiego wyglądały z perspektywy Brothe. Artyści wciąż uzupełniali mapę, podczas gdy Renfrow mówił o królestwie Calziru. Malarze byli odziani w liberię imperialną. Główne znaki topograficzne – linie wybrzeża, miasta, przełęcz, rzeki i fortece – już zostały naniesione. Teraz pozostawały drugorzędne szczegóły.

Else był pod wrażeniem.

Jeszcze większe wrażenie wywarło na nim zgromadzenie. Spóźnił się, prawda, ale niezbyt mocno. Widownia nie okazywała jeszcze nieuniknionych oznak znudzenia. Znajdowali się tu ludzie naprawdę moi, łącznie z Johannesem Czarne Buty i licznymi członkami Kolegium. Zobaczył też Grade'a Drockera, rzecz jasna, jak i kilku najwyższych rangą dowódców z Państw Patriarchalnych oraz Imperium Graala. Przedstawiciele Pięciu Rodzin również byli obecni, wśród nich Rogoż Sayag.

Else nie dostrzegł natomiast Pinkusa Ghorta. Oczywiście. Zostawił Ghorta na ulicy, równie nieświadomego odbywającej się narady jak on sam wtedy. Ale jeśli należał tu Piper Hecht, to samo dotyczyło Pinkusa Ghorta. Ghort był w sumie bliżej tego, co się działo.

Bechter zaprowadził go na miejsce po lewej stronie komnaty. Więc tak. Jego obecność w niczym nie zaszczycła tego spotkania.

Służący przyniósł herbatę. Tego luksusu Else miał okazję kosztować tylko kilka razy w życiu. Dawno temu w al-Karn.

Ferris Renfrow przyglądał mu się wyraźnie rozbawiony. Ale mówca ani na moment nie przerwał monologu. Renfrow opowiadał o Calzirze, jakby tam był.

To był niebezpieczny człowiek. Jak dobrze znał Dreanger? Ile czasu spędził w Ziemi Świętej, wśród Studni Ihrian?

Ferris Renfrow był porywającym mówcą. Ożywiał Calzir przed oczyma słuchaczy. Z jego słów wyłaniała się kraina pustynna, gdzieniegdzie tylko ożywiały ją oliwne gaje, gaje drzewek pomarańczowych i winnice. Pozostała część kraju służyła pod wypas owiec i kóz. I wioski rybackie wszędzie tam, gdzie tylko można było założyć przystań.

– Garstka szlachty i bogatych rodzin kontroluje najlepsze ziemie, co stanowi powszechną strukturę ustrojową w Firdii. Krajobraz polityczny

też jest podobny. Calzir składa się z dwunastu księstw, z których żadne nie uznaje maftiego al-Araj el-Arak etc, etc. w al-Khazen. Mafti ma mniej więcej tyle wpływów co Niepokalany II z Viscement. W zależności od czynników wywołanych przez konflikty między różnymi odłami religii pramańskiej, księstwa uznają religijny autorytet albo kaifa z Kasr al-Zed, albo kaifa z al-Minfet. W kategoriach pragmatycznych kaifowie nie dysponują tu większą władzą niż el-Arak. Żaden z kaifów nie otrzymuje wpływów z tych terenów. Na archipelagu Calziru, na który składa się głównie wielka wyspa Shippen, znajdują się kopalnie srebra i miedzi, eksploatowane od czasów, gdy ludzie zaczęli prowadzić zapiski historyczne. Głównym produktem rolniczym wyspy jest pszenica. Od wieków jest jej eksporterem. Ale eksportuje też owoce, oliwki i owce. Rybołówstwo jest ważne, ale nie tak bardzo jak na kontynencie. Wewnętrzna część wyspy pozostaje niezamieszкана. Nieprawdą jest, że cała populacja przyłączyła się do niewiernych. Trzecia jej część wciąż wyznaje wiarę chaldarańską, nawet w głównych miastach... choć zasadniczo w obrządku wschodnim. W niezamieszकanych ostępach żyją jeszcze praktykujący poganie.

Nie wspominając o tym ani słowem, Ferris Renfrow dał do zrozumienia, że Hansel od dawna przygląda się bacznie Calzirowi.

To skłoniło Else'a do zastanowienia się, czy przypadkiem Johannes nie wyreżyserował napadu piratów, posługując się Starkden i Masantem el-Seyhanem.

Wiele godzin później, po wysłuchaniu całej masy zupełnie niepotrzebnych informacji na temat topografii, geografii, ekonomii i demografii Calziru, Else w końcu się dowiedział, dlaczego go tu sprowadzono. Było to w trakcie popołudniowej przerwy na posiłek.

Sam zasiadł do jedzenia. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, wpychając się w kręgi lepszych od siebie. Podszedł Redfearn Bechter.

– Drocker chce się z tobą zobaczyć, kapitanie.

Else uniósł brew.

– Co jest?

– Pomyślał sobie, że pewnie jesteś ciekaw, dlaczego cię tu sprowadzono.

– To znaczy są jakieś inne powody prócz tego, że po prostu kazano mi przyjść? Ten facet jest bystrzejszy, niż się wydaje.

– Weź swój gulasz. To będzie roboczy obiad.

– Dobra. – Else wziął jedzenie i picie.

– Pomóc ci? Wygląda, jakbyś nabrał sobie po trochę wszystkiego, a potem wrócił po więcej.

– Minęło trochę czasu, odkąd mnie tak podejmowano. Zrozumiałbyś, gdybyś jadał tam gdzie ja.

Bechter zaprowadził Else'a do małego pomieszczenia. Siedziało w nim kilkunastu ludzi, nachylając ku sobie głowy. Else rozpoznał Grade'a Drockera, Ferrisa Renfrowa, Divina Bruglioniego i Bronte Doneta. Zebrał się w sobie. To się mogło źle skończyć.

Prowincjał Doneto zaczął:

– Nie musisz się zachowywać jak jeleni przyparty do muru, Hecht. To są dobre wieści.

– Wasza miłość?

– W ciągu ostatniego roku zrobiłeś wrażenie na paru ludziach. Wszyscy mają o tobie tylko najlepsze rzeczy do powiedzenia. – Zachichotał. – Znowu to spojrzenie. Przejdę od razu do rzeczy. Postanowiliśmy zrobić cię na czas kampanii dowódcą miejskiego regimentu.

– Ha! – To był zupełnie nieoczekiwany cios. – Mnie... Naprawdę?

– Ktoś musi się tym zająć. Ponieważ Brothe jest, jakie jest, za>ewne nie osiągnęlibyśmy zgody w kwestii miejscowego kandydata. Ci ludzie albo cię znają albo o tobie słyszeli. Jesteś jedynym kandydatem, którego większość nie odrzuci od ręki.

To miało sens – na brotheński sposób. Po części dlatego, że tak wielu z nich sądziło, że Piper Hecht jest ich człowiekiem.

– Przez cały czas ludzie będą ci zaglądać przez ramię i przeszkadzać. Pięć Rodzin, Kolegium, Barwy, nawet Jego Świątobliwość we własnej osobie. Nie zwracaj na nich uwagi, rób swoje i wszystko będzie dobrze.

– Nie mam doświadczenia w dowodzeniu większymi siłami. Poczekajcie. Najpierw chcę się dowiedzieć, jak wielkie będą. – Nie odrzuci tej sposobności, nawet jeśli przez to nie dostanie się w pobliże Kolegium.

Bronte Doneto rzekł:

– Od dwu tysięcy do dwóch i pół w górę. Ci sami bezdomni i imigranci, z którymi walczyłeś przeciwko piratom, uzbrojeni i wyposażeni z arsenałów miasta. Niewykluczone, że będzie ich więcej. Werbunek i żołd nie będą twoim zmartwieniem. Ty zajmiesz się szkoleniem i dowodzeniem.

Else nie podzielił się swoją opinią na temat broni i wyposażenia składowanych w arsenałach Brothe. Podczas calzirskiego najazdu wydobyto z nich najlepsze rzeczy. Okazały się przestarzałe i kiepsko zakonserwowane. Zamiast marnować je na płatnerzy, pieniądze na konserwację sprzętu trafiły do sakiewek skorumpowanych urzędników.

W Dreangerze Else dowodził siłami nie większymi od kompanii. Gordimer nie tolerował popularnych oficerów na czele większych sił. Else Tage był od zadań specjalnych, to znaczy dowodził małymi oddziałami wysoce umotywowanych i gruntownie wyszkolonych żołnierzy, którzy lubili niezwykle wyzwania.

– Tak liczne? Naprawdę? Mamy tyle pieniędzy? – Paludan Bruglioni zdecydował się na sfinansowanie podstawowej kompanii piechoty w sile dwustu ludzi. Z oporami i dopiero po tym, jak Divino zastraszył prowincjonalnych kuzynów, aby wrócili do domu. I ponieważ miał nadzieję, że Bruglionim przypadną nowe posiadłości w Calzirze.

Instytucja rodziny dodawała tej szczypty ostrej przyprawy do firaldiańskiej polityki. Rodzina mogła być w posiadaniu kilkunastu różnych księstw.

Prowincjał Doneto zapytał:

– Żywi pan jakieś szczególnie silne uczucia wobec devów, kapitanie Hecht?

– Nie żywię żadnych uczuć, wasza miłość. Zanim przybyłem do Firaldii, nie miałem do czynienia z tą rasą.

– To dobrze.

Grade Drocker równocześnie wymruczał coś jadowitego i paskudnego.

– Nasz wojowniczy brat nie podziela twojej bezstronności – zauważył Doneto. – Miał to nieszczęście, że znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie podczas devediańskiego buntu w Sonsie.

– Słyszałem. Mnie się udało, ponieważ dotarłem do Firaldii już po zamieszkach.

– Devedianie poprą Ojca Świętego w kwestii Calziru. Oczywiście w zamian za koncesje i gwarancje. Patriarcha przyzna im te koncesje. Devowie mają więcej do zaoferowania, niż będzie musiał im dać w zamian. Tym razem.

Opinia Grade'a Drockera o tej umowie była jednoznacznie negatywna, niemniej dobry żołnierz w nim zwyciężył. Zachował swoje zdanie dla

siebie. Ci tchórzliwi, śliscy devowie mogą...

– Czego chcą? – zapytał Else.

– Zniesienia restrykcji prawnych, nakładanych na nich tylko dlatego, że są devedianami. Obiecują, że nie będą odprawiać swych pogańskich rytuałów poza przestrzenią prywatną.

A więc tak. Devedianie nie chcieli nic więcej, jak oficjalnego uznania *status quo ante*. W przeciwieństwie do chaldaran czy praman, nie prowadzili działalności ewangelicznej i nie próbowali nawracać innych. To była religia plemienna.

– Musi chodzić o coś więcej – powiedział Else.

– Oczywiście. Chcą, by inwazja oszczędziła calzirskich devów i dainshauów. Z drugiej strony, ich calzircy kuzyni nie wezmą udziału w walce. Za to będą nam dostarczać pomocy wywiadowczej. Już zaczęli.

Else zerknął na Ferrisa Renfrowa.

– Zgadzam się. Lubię wyzwania. A tu mam szansę uczestniczyć w tworzeniu historii.

– Dobrze – rzekł Divino Bruglioni.

– Jakie będę miał upoważnienia? Mogę rekrutować własnych oficerów?

– Będzie pan miał dość znaczną swobodę decyzji, kapitanie Hecht. Lecz większość z nas sądzi, że będziemy mieli prawo ich opiniowania. Poradzisz sobie?

– Oczywiście. – Był sha-lugiem. Przez całe życie szkolił się do takich zadań. Choć zawsze zakładał, że będzie dowodził wojownikami Boga, a nie Jego wrogami.

Na koniec prowincjał Bruglioni rzekł:

– Proszę zjeść w spokoju, kapitanie Hecht. Rozluźnić się. Zastanowić. Po południu postanowimy, co począć z miejskim regimentem.

Anna Mozilla uchyliła drzwi, a Else wśliznął się do środka.

– Najwyższy czas. Zdajesz sobie sprawę, że robię się zazdrosna? – powiedziała.

Jej przekomarzania wprawiały go w zmieszanie. Nigdy nie był pewien, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie.

– Spędzam tyle czasu z tobą, ile tylko mogę.

– Wiem. Nie podoba mi się to. Nie musi mi się podobać. Ale wiem, jak jest. Przygotować obiad? Mam wspaniałą tłustą kurę, już w połowie upieczoną.

- Przygotuj. Jeśli chcesz. Może za godzinę? Albo dwie?
- Ach! A więc wreszcie zdecydowałeś się wykonać pierwszy ruch? Myślałam, że zdążę osiwieć, a ty będziesz już zupełnie łyсы, nim... Dlaczego patrzysz przez szpary w okiennicach?
- Śledzono mnie.
- Znowu? Myślałam, że już dali sobie spokój.
- Bruglioniowie faktycznie przestali. Ale teraz interesują się mną następni poważni ludzie. Później ci opowiem. Teraz chcę tylko wyrzucić cały świat z głowy. A ty jesteś kobietą, przy której może mi się to udać.
- Anna wstawiła kurę do pieca. Słuchała, podczas gdy Else opowiadała, co się ostatnio wydarzyło.
- Trudno uwierzyć, Pipe. – Była znakomitą słuchaczką. Nie przerywała. Nie zadawała głupich pytań. Nie pozwalała, by uczucia zaćmiewały jej obraz rzeczywistości. – Chcą cię zrobić dowódcą?
- Mnie też trudno uwierzyć. Ale byłem we właściwych miejscach o właściwym czasie.
- Miałeś coś wspólnego z tym, co się zdarzyło temu czarownikowi Bractwa w Sonsie, prawda?
- Zabił moich przyjaciół. Chciał zabić mnie. Ale nie wie, kim jestem.
- Nie boisz się, że zechcą trochę dokładniej prześwietlić twoją legendę?
- Jestem przerażony. Ale nie mogę przecież zrezygnować tylko dlatego, że pojawiło się takie ryzyko.
- Co z czarownikiem? Nie podejrzewa cię?
- Jestem pewien, że nie. Są dowody, że człowiek, którego ścigał, zginął w walkach. Poza tym nigdy mnie nie widział. A więc jeszcze bardziej nienawidzi devów. Znacznie bardziej niepokoi mnie Ferris Renfrow, szef wywiadu Imperatora. Wydaje mu się, że wie kim jestem. Chce tę wiedzę wykorzystać, żeby mną manipulować.
- Może jednak powinieneś zniknąć?
- Nie. Na tym polega moja praca. Sam ją wybrałem. Czy twój mąż miał kontakty z kimś innym prócz moich ludzi?
- O co ci chodzi?
- Szczerze mówiąc, zbieracze informacji czasami sprzedają swoje plony więcej niż jednemu nabywcy. Pytam o to, czy służył też innym panom?
- Anna zmierzyła go powątpiewającym spojrzeniem.
- Do czego zmierzasz?

– Próbuje się zorientować, czy ktoś prócz mnie wie, że byłaś jego żoną. Pominąwszy oczywiście ludzi, którym służymy jako narzędzia. Możemy mieć poważne kłopoty, jeżeli ktoś powiązał nas ze sobą zanim... – Niedobrze. Zbyt wielu ludziom powiedział, że znał Annę już wcześniej. Każdy, kto się tym na poważniej zainteresuje, nie będzie miał kłopotu z odkryciem, skąd Anna pochodzi.

– Nigdy nie wspominał, żeby jeszcze dla kogoś pracował. Robił to, co robił, z powodów osobistych. Ale nigdy mi ich nie wyjaśnił.

– Żałuję, że nie mogę nic w tej sprawie powiedzieć. Ale nawet nie wiedziałem, że umarł. Nawet nie znałem jego imienia.

– Był zbyt bystry, żeby mu to wyszło na dobre.

– Rozumiem. Posłuchaj. Nie wiem, komu przekazujesz uzyskane ode mnie informacje. Nie chcę wiedzieć. Ale strasznie dużo się dzieje. Ludzie po drugiej stronie powinni usłyszeć. Muszą mi przekazać, co chcą, żebym dla nich robił. Poza tym nie chcę już więcej o tym gadać. Kura pachnie, jakby była gotowa do zjedzenia.

Gervase zapytał:

– Dobrze się bawiłeś, kapitanie?

– Tak, panie Saluda. Dobrze. Uwzględniając w tym rzadką okazję przespania całej nocy. Mam pomysł. Założmy, że zaczniemy Duga i chłopców uczyć umiejętności przywódczych, poczynając od samego dołu? Jeżeli będą mieli za sobą szkolenie w kompanii, być może w dalszym życiu przyda im się choćby ta jedna drobna wskazówka, jak to jest być człowiekiem, który naprawdę wykonuje robotę i dostaje od czasu do czasu po nosie.

Pomysł nie przypadł Saludzie do gustu. Ale nie zaprotestował. Nigdy nie podważał pomysłów Else'a. Kapitan mógł sprawić, by określone dokumenty trafiły w ręce Paludana Bruglioniego. Gervase zaś niewielkie pokładał zaufanie w zdolności przyjaciela do wybaczenia.

– Ten dev, którego sprowadziłeś, chce się z tobą zobaczyć. Jest w księgowości. Przyprowadził ze sobą paru kuzynów – rzekł tylko.

– Przestań się nad sobą użalać, Gervase. Jesteś znacznie lepszym człowiekiem, niż myślisz.

Saluda chciał się już kłócić, ale zdał sobie sprawę, że musiałby jeszcze bardziej zdeprecjonować swoją osobę.

Else wyszczerzył zęby.

– Chciałbyś być kapitanem kompanii Bruglionich w regimencie miejskim?

– Nie zaczynaj ze mną w ten sposób, Hecht.

– W ten sposób? Nigdy cię nie uważałem za tchórze, Gervase. Tylko za rozpuszczonego ignoranta.

– Nie jestem tchórzem! – Żaden mężczyzna, nie wiadomo jak bardzo lękliwy, nigdy nie przyznałby się do tchórzostwa. Większość gotowa była walczyć do upadłego, byle tylko nie zdradzić się ze swym lękiem.

– Może i nie. Gdzie jest Titus Consent?

– W księgowości. Przegląda księgi rachunkowe. I pamiętaj, że nigdy nie miałem z tym nic wspólnego.

– Gervase, za bardzo się przejmujesz.

Titus Consent, devediański księgowy, którego polecili ludzie Glediusa Stewpo, miał dziewiętnaście lat. A wyglądał na znacznie młodszego. Był też, bez wątpienia, zdeklarowanym devediańskim szpiegiem. Liczby były jego pasją. Choć równocześnie był żonaty. Właśnie urodził mu się syn, którego imię powracało w każdej rozmowie.

„Kuzyni” Titusa okazali się raczej wujami. Wśród nich był Gledius Stewpo. Drugiego mężczyznę Else spotkał przelotnie w devediańskim podziemiu, ale nie potrafił sobie przypomnieć jego imienia. Tamten należał do tych cichych, ciemnowłosych devów, którzy trzymali się z tyłu, ale zarazem cieszyli ogromnym wpływem w ich radach.

Else rozejrzał się szybko dookoła, żeby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje.

– Co jest?

– Wydawało nam się, że to najlepszy sposób, aby się z tobą zobaczyć – odpowiedział Stewpo. – Teraz, kiedy stałeś się jednym z tych, co rozdają karty i potrzęsają posadami, siedzisz po uszy wśród imperialnych i kolegialnych przydupasów.

– Cieszę się, że o tym pomyślałeś.

Stewpo zmarszczył brwi.

– Obserwują cię?

– Przez cały czas.

– Kto?

– Ferris Renfrow. Wbił sobie do głowy, że wie, kim jestem. Nie ma pojęcia, co ze mną rozgrywa. Myśli, że jestem tym, kim chciałby, żebym

był.

– To niedobrze – powiedział Stewpo. – Nie powinien wiedzieć, że tu jestem.

– Zna cię? Jesteś kimś, kogo chciałby poznać?

Stewpo wzruszył ramionami.

– Być może już jest za późno, wujku. Nie starałeś się szczególnie, aby trzymać się z dala od ludzkich oczu. Jeżeli Renfrow ma oczy i uszy w naszej dzielnicy, to wie. Zakładając, że jesteś przedmiotem jego zainteresowania. A może tak być?

– Nie powinno.

– A więc wyjaśnij mi, o co chodzi z tobą i Calzirem. Dlaczego twoi ludzie chcą pomóc Wzniosłemu?

– Miałem nadzieję, że nie zaczniemy się o to kłócić.

– Nie kłóćmy się. I nie będziemy. Chcę tylko zrozumieć, dlaczego przeszedłeś na drugą stronę.

– Przyjmujesz błędne założenie, sha-lugu. Moi przyjaciele i ja jesteśmy cały czas po tej samej stronie. Po stronie devediańskiej. Inwazja nastąpi. Tym razem Calzir nie da sobie rady. A więc próbujemy oszczędzić naszym ludziom zwyczajowego bólu i smutku, przyłączając się do zwycięzców jeszcze przed rozpoczęciem walk.

– Zwyczajowego bólu i smutku?

– Podczas wszystkich wojen na tym krańcu świata walczące strony zawsze korzystają z okazji, żeby ukarać i ograbić lokalne populacje devów i dainshauów.

– Aha. – W Królestwie Pokoju rzeczy miały się podobnie, mimo prawa religijnego chroniącego niewiernych, którzy przestrzegali bożych przykazań. Aczkolwiek znacznie rzadziej niż na barbarzyńskim zachodzie.

– Rozumiem.

Stewpo był zaskoczony.

– Nie będziesz się kłócił?

– Nie ma sensu. Masz rację. Musicie troszczyć się o swoich. Ale mój problem nie na tym polega, wujku. Póki będę dowodził oddziałem miejskim, nic się nie stanie twoim ludziom.

– Więc o co chodzi?

– W tej chwili jest to problem w rodzaju „co będzie jeżeli”. Martwi mnie, że w szeregach posiłków Bractwa, które mają przybyć z Runch, może być

ktoś, kto zapamiętał mnie ze Staklirhod, gdzie przedstawiałem się innym imieniem.

Po wysłuchaniu krótkiego sprawozdania z pobytu Else'a w Runch Titus Consent zapytał:

– Co mają wspólnego devowie z twoim kłopotem?

Stewpo zbył pytanie machnięciem ręki.

– Wychodzi na to, że powinieneś się modlić, by twój bóg wykiwał ich boga, sha-lugu. Choć trudno uwierzyć, by akurat twoją niemiłą przygodę mieli zapamiętać. Incydent pozbawiony znaczenia. Dlaczego mieliby oczekiwać, że jakiś błędny krzyżowiec zjawi się akurat w Brothe? Strzyż krótko włosy, kłam w żywe oczy i zachowuj się jak dobry żołnierz.

Else, Stewpo i Titus Consent rozmawiali jeszcze przez godzinę, głównie o makabrycznym stanie ksiąg rachunkowych Bruglionich, będącym wynikiem amatorskiego mataczenia.

Consent podejrzewał, że kogoś przekupiono, aby ukrył spory dług należny Bruglionim.

– Znalazłem oczywisty, amatorski przekręt mający ukryć to, że rodzina ze wsi nie wpłaca do centralnego skarbcza tyle, ile powinna – powiedział.

– Naprawdę? Masz coś, z czym mógłbym pójść do Paludana?

Titus Consent wyciągnął rękę z plikiem kartek.

– Cztery kopie. Wiem, że uważasz mnie za dziecko. Mimo to posłuchaj. Ten szwindel dotyczy naprawdę mnóstwa pieniędzy. Mój raport okaże się dla kogoś bardzo niebezpieczny. Dlatego właśnie otrzymujesz go w kilku kopiach. Uważaj na siebie.

Do pomieszczenia wpadł Polo, zaskakując wszystkich. Nie zwrócił uwagi na devów.

– Kapitanie! Przybył posłaniec. Chcą cię widzieć w Castella. Coś się stało.

– Masz pojęcie co?

– Nie. Ale posłaniec był pewien, że to nie są dobre wieści.

– W porządku. – Else zwrócił się do Consenta: – Dzięki, Titus. Będziemy w kontakcie. Wkrótce znowu będę miał dla ciebie robotę. Znacznie lepiej płatną.

Sierżant Bechter zwyczajowo już był przewodnikiem Else'a po Castella dollas Pontellas.

– Nie musisz biec, kapitanie. Tamci zaczekają.

– Co się dzieje? Dowiedziałem się z drugiej ręki. Polo mówił tak, jakby chodziło o trzęsienie ziemi.

– Niewykluczone. Ja nic nie wiem. Ale wnioskuje z zamieszania, może chodzić o jakąś poważną porażkę.

– Przecież to bez sensu. Trwają już jakieś walki? Gdzie, w Direcii?

– Będziesz musiał poczekać na odpowiedź. Tak jak wszyscy pozostali.

– Ale ja jestem kimś wyjątkowym – zaprotestował Else, zapożyczając technikę perswazji z arsenału Pinkusa Ghorta.

– Krew i rzepa, bracie Hecht. Nie powiedziałbym ci, nawet gdybym cię kochał. Ponieważ mnie też nikt nie powiedział.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie ufają ci, że będziesz trzymał takie jak ja typy z marginesu w ciemnościach, razem z grzybami.

– Sierżant Niewiarygodny. Tak na mnie mówią. Ruszaj. Skorzystaj z okazji.

– Hę?

– Czy to nie jedzenie jest przyczyną, że ci się spieszyło? Ponieważ pierwsi dostają najlepsze kąski?

Else roześmiał się, ale wyznał:

– Spieszyłem się, ponieważ myślałem, że mam się spieszyć.

– Dowodzący tutaj mają dość swobodne podejście do rzeczy drogich sercu każdego zawodowego żołnierza. A zwłaszcza punktualności i dyscypliny.

Więc nic szczególnie zaskakującego. Lokalni amatorzy wyobrażali sobie wojnę jako sport. Mimo doświadczeń z ostatniego najazdu piratów.

Szacunek Else'a dla głównych postaci Pięciu Rodzin oraz Kolegium malał z dnia na dzień. Nie tylko Paludana Bruglioniego męczyła umysłowa i moralna niemoc.

Skorzystał jednak z okazji, by skosztować najlepszego jedzenia.

Kiedy Drocker, kulejąc, wszedł do komnaty, towarzyszył mu nowy człowiek. Drocker usiadł, krzywiąc się z bólu. Jego towarzysz stanął przed zgromadzeniem.

– Jestem Voltor Wilbe. Ze Specjalnego Oficjum przy Ojcu Świętym. Mogę prosić wszystkich o powstanie?

Else nie był zaskoczony. Chaldaranie modlili się przed, w trakcie i po wszystkim, co robili wspólnie.

– Odprawcie ze mną Rytuał Wyrzeczenia – powiedział Wilbe.

Zdziwione pomruki.

Else zaczął się martwić. Czym był Rytuał Wyrzeczenia?

Jeden z wodzów Imperatora zapytał:

– Co to, u diabła, jest?

Zirytowany Wilbe wyjaśnił:

– Rytuał Wyrzeczenia. Stworzony przez Specjalne Oficjum. Ułatwia dobrym chaldaranom oficjalne odrzucenie Wielkiego Przeciwnika i Tyranii Nocy.

Dowódca parsknął z pogardą.

Rytuał Wyrzeczenia miał formę responsorium. Voltor Wilbe śpiewał. Zgromadzeni powtarzali za nim, wyrzekając się wszystkiego, co jest związane z Wielkim Przeciwnikiem i Nocą.

Kiedy Wilbe zaśpiewał: „Wyrzekam się Tyranii Nocy. Wyrzekam się Delegatur Nocy” - odpowiedzi były doprawdy sporadyczne. Księża nic nie powiedzieli. Wilbe jakby zupełnie tego nie dostrzegł.

Niewłaściwe zgromadzenie, pomyślał Else. Grade Drocker nie brał udziału w rytuale. Wedle powszechnych sądów sam Bóg był Delegaturą Nocy.

– Wybaczcie – powiedział Wilbe. – Poniosło mnie. Chciałem po prostu wypędzić wszystkie mroczne duchy.

– Już ich nie ma – warknął Drocker. – Do rzeczy.

– Tak, panie. Panowie, wywiązała się bitwa morska. W cieśninie między Penalt a Dole Hemoc. – Wilbe najwyraźniej oczekiwał, że jego publiczność zna się na geografii. – Wciągnięta do niej została flota płynąca tu z Staklirhod. Przypadkowe spotkanie okrętów zmieniło się w regularną bitwę, która trwała kilka dni i w której wzięły udział okręty z Sonsy, Dateon, Vantradu, Triamolín, Cesarstwa Wschodu, w końcu nasza flota. Z początku wrogiem była flota Lucidii przewożąca wojska do Calziru.

– Cisza! – krzyknął Grade Drocker, chcąc przerwać narastające pomruki. – To zmienia wszystkie nasze plany.

Wybuch Drockera miał skutek natychmiastowy. Nawet członkowie Kolegium umilkli.

Voltor Wilbe opisał ze szczegółami bitwę, na którą od dawna się zanosilo.

Wyżsi oficerowie marynarki Cesarstwa Wschodu i państw krzyżowców Vantrad oraz Triamolín już rok temu zaczęli podejrzewać Lucidian o przygotowywanie operacji morskiej. W kilku portach ześrodkowano okręty,

wojska i gromadzono zapasy. Pojawiły się spekulacje dotyczące inwazji na Staklirhod. Okręty zwiadowcze krążyły przy wybrzeżu lucidiańskim. W efekcie doprowadziło to do potyczek na morzu. Lucidianie za nic nie chcieli zdradzić swych zamiarów.

Kiedy rozpoczęły się rajdy Calziran, republiki kupieckie wysłały okręty dla ochrony swego handlu oraz posiadłości. Ale ostatecznie Calziranie okazali się niegroźni, ponieważ skupili się na atakowaniu Kościoła.

Niemniej pramianie na licznych małych wysepkach wschodnich regionów Morza Ojczystego próbowali skorzystać z zamieszania na dalekim zachodzie. Atakowali chaldarańskie konwoje. Republiki kupieckie wystąpiły przeciwko tym praktykom.

Else zrozumiał już wszystko, nim Wilbe dotarł do końca wyjaśnień. Tok wydarzeń nosił piętno nieuchronności. Żeglująca po morzu flota lucidiańska wiozła pięć tysięcy weteranów, wraz z końmi i sprzętem, bronią i zaopatrzeniem, kierując się ku portowi al-Healta w Calzirze.

Więc tak. Lucidia rozpoczęła przygotowania do udzielenia pomocy Calzirowi na długo przedtem, nim calzirska hołota zaczęła nękać Kościół episkopalny.

Prowincjałowi Donelowi Madisettiemu skończyła się cierpliwość.

– Co to ma wspólnego z nami? Jaką rolę odegrało tu Bractwo?

– Wasza miłość, flota Bractwa została wmieszana w bitwę, ponieważ znalazła się w złym miejscu o złym czasie.

Doraźna zbieranina chaldarańskich okrętów wojennych, małych, lecz szybkich, zaczęła nękać Lucidian, gdy tylko znaleźli się na morzu. Flota Bractwa trafiła w ogień bitwy, ponieważ płynąca z Lucidii ruchoma bitwa morska znalazła się na jej drodze, gdy próbowała się niepostrzeżenie przemknąć do Brothe. Lucidianie zresztą też mieli pierwotnie nadzieję na przeprawę cichcem.

Cała opowieść nasuwała obraz prawdziwego burdelu na kółkach – w połączeniu z tym rodzajem zbiegów okoliczności, jakie ku własnemu rozbawieniu wyczarowywały Delegatury Nocy.

Pojawienie się sił Bractwa przesądziło o losie Lucidian. Przyptyw i prąd poniosły ich starsze, słabsze i mniejsze okręty ku chaldaranom.

Ale przyptyw i prąd niosły również chaldaran, wokół przylądka Dole Hemoc, prosto pod dzioby floty Dreangeru, która również zamierzała się prześliznąć między tymi wyspami. I też wiozła pomoc dla Calziru.

Delegatury Nocy nie ustawały w piętrzeniu komplikacji swego żartu.

Tylko dwóm okrętom Bractwa udało się uciec. Brat Wilbe był na pokładzie jednego z nich. Ocalali pramianie pozęglowali do Calziru. Wilbe powoli kończył swoją opowieść:

– Popłynęliśmy za nimi. Wylądowali w pobliżu al-Stikla, na wschodnim wybrzeżu Calziru. Tam Lucidianie zeszli na ląd. Dreangeranie i paru Lucidian pozęglowało dalej, do al-Healty. Nie potrafiliśmy stwierdzić, jak osłabieni wyszli z bitwy. Umiejętności żeglarskie Dreangeran były żałosne.

Else pomodlił się w duchu za sha-lugów, którzy zginęli. Gordimer zbyt pospiesznie budował swoją flotę. Żeglarze nie mieli czasu nauczyć się rzemiosła. Dreanger był potęgą morską jeszcze przed powstaniem Starego Imperium.

– Flocie towarzyszył potężny czarownik – rzekł Wilbe. – To jego obecność zdecydowała o wyniku bitwy.

Z każdą chwilą robiło się coraz paskudniej.

Miał poprowadzić poważne siły przeciwko er-Rashalowi al-Dhulquarnenowi?

Będzie walczył tylko z Lucidianami i Calziranami. Osłabienie Lucidii wyjdzie na korzyść kaifatowi al-Minfet.

Niezaanonsowany wszedł do komnaty Imperator. Trzymał się z boku, mały, cichy, niezauważony, póki nie oznajmił:

– To jeszcze nie katastrofa. Chyba że załamię ręce. Trzeba dopasować myślenie do nowej sytuacji. – Wskazał na mapę ścienną na której widniał tylko Calzir, bazy wojskowe Alameddine i fragmenty obszarów księstw graniczących z nimi. – Zablokujemy przełęcz przez góry Vaillarentiglia. Tutaj. Tutaj. I tutaj. Zamkniemy ich przystanie. Zbiory tego roku nie najlepsze. Rybołówstwo zamrze, ponieważ ich łodzie nie będą wracać do domów. Z początkiem zimy staną przed widmem klęski głodu. Obciążenie Calziru koniecznością wykarmienia bezproduktywnych żołnierzy i zwierząt przyspieszy kryzys. Lucidianie i Dreangeranie nie będą w stanie importować żywności.

– Dlaczego? – zapytał jeden z prowincjałów.

– Brat Wilbe już wyjaśnił, że zrazili do siebie Sonsę, Dateon, Cesarstwo Wschodu, Vantrad, Triamolin i Staklirhod. Wszystkie te państwa będą szukały sposobu wyrównania rachunków.

Else uważnie wpatrywał się w wielką mapę. I zobaczył potencjalną katastrofę, zagrażającą pramanom w znacznie większym stop – niu niż plan lęgnący się w umyśle Imperatora. Johannes nie umiał dostrzec Calziru jako całości.

Ktoś, najprawdopodobniej er-Rashal al-Dhulquarnen, intrygował i knuł, ciągnął za sznurki i manipulował, póki nie był pewien, że zaaranżował sytuację, która sprawi, że Wzniosły i jego episkopalni komilitoni ugrzęzną w swoim rejonie świata, nie mogąc naprzykrzać się ani Dreangerowi, ani Ziemi Świętej.

Ale...

Sen er-Rashala miał się właśnie zmienić w koszmar. Przypadkowe spotkanie flot zlikwidowało wszelkie szanse na to, że siły Patriarchatu i Imperium dadzą się zwabić w ogromną zasadzkę. Teraz pramańscy sprzymierzeńcy, mimo zwycięstwa na morzu, utknęli w pułapce. A Else podejrzewał, że zrozumieją to dopiero wtedy, gdy spadnie na nich głód.

Else wciąż wbijał spojrzenie w mapę. Nie widział na niej nic prócz katastrofy wiernych. Hansel podchodził do sprawy zbyt pesymistycznie.

Chyba że wszystko to było częścią jakiejś niewyobrażalnej intrygi er-Rashala, która uwzględniała stratę dwóch flot i dwóch armii doświadczonego żołnierza. Chyba że częścią planu była klęska.

Else wciąż nie miał pojęcia, po co były er-Rashalowi mumie z Andesqueluz.

Czy er-Rashal żywił wobec niego równie mętne uczucia jak Gordimer? Gordimer wydawał rozkazy. Er-Rashal mu je podpowiadał. Gordimera mumie nie mogły interesować. Ale nie pękłoby mu serce, gdyby podczas próby zdobycia kolekcji starych kości potencjalnemu rywalowi noga się powinęła.

– Kapitanie Hecht?

– Wasza miłość? Przepraszam.

Prowincjał Doneto podszedł do Else'a.

– Ta mapa próbuje mi coś powiedzieć. Ale nie słyszę, co mówi. Choć mam wrażenie, że jest to jasne jak słońce.

– Nikt inny też jakoś nie tryska pomysłami niby świąteczne fajerwerki.

– Fakt, wasza miłość. Gdyby to było oczywiste, każdy mógłby dostrzec.

– Powiesz mi, co widzisz. Kiedy zobaczysz. I co myślisz. Ponieważ jakoś nie potrafię sobie wyobrazić korzyści dla Bruglionich w tej nowej sytuacji.

Ani dla nikogo, kto uczestniczy w tworzeniu miejskiego oddziału.

– Nie zgadzam się. Nikt nie wnosi nic prócz pieniędzy. A raczej mało prawdopodobne, by rodzony syn którejś z Pięciu Rodzin stanął oko w oko z realną możliwością zrobienia sobie krzywdy.

– Twój cynizm wart jest rodzzonego Brotheńczyka, kapitanie Hecht. Ale...

– Wasza miłość?

– Jest źle? Myślę o wielkiej przygodzie Wzniosłego.

– Nie potrafię udzielić odpowiedzi, której pragniesz w głębi serca. Jesteśmy na łasce tego, co zdecydują ci na górze. Niewierni zachowali się głupio. Powinni chronić swe siły. Powinni zawrócić i zostawić Calzir, żeby walczył sam.

Prowincjał Doneto niepewnie spojrzał na Else'a.

– Wyjaśnij.

– Lucidianie i Dreangeranie zmarnowali sporą część swych morskich sił. Tworzyli je, chcąc zapewnić sobie możliwość przeciwstawienia się zachodowi. Albo Cesarstwu Wschodu. Ale gorsza od straty okrętów jest utrata najlepszych żołnierzy i żeglarzy w sytuacji, gdy Patriarcha pragnie nowej krucjaty.

– Nie potrafię myśleć po wojskowemu. Widzę tylko tyle, że te oddziały utrudnią naszą kampanię w Calzirze.

– Taka jest ich misja. Ale zniszczymy je, okręty i wojska. Czas i bogactwa w nie zainwestowane pójdą na marne. Nie będzie ich na miejscu, gdy przybędą krzyżowcy. Chyba że Wzniosły czy Hansel podejmą jakąś kretyńską decyzję.

Na sali zapanowało poruszenie. Doneto powiedział:

– Przepraszam. Muszę iść. Patriarcha jest tutaj.

Pojawienie się Wzniosłego zaskoczyło wszystkich, ale nie dało żadnego rozwiązania. Wszedł dwadzieścia minut później. Else był rozczarowany. Od lat kreślono mu wizerunek Patriarchy jako wielkiego demona z rogami i kopytami. A to był łysiejący krótkowzroczny tłuścioch o wydętych usteczkach, który przywodził na myśl raczej głupkowatego sklepikarza niż potężnego, szalonego religijnego wojownika. Z pozoru nie rozumiał, co się tu działo.

Cóż, mimo wszystko był to kompromisowy kandydat. Między innymi z tego powodu Kościoła nie było stać na jego zamorskie ambicje.

Później prowincjał Divino Bruglioni tłumaczył, że Patriarcha ukazał publicznie oblicze, które miało rozbroić tych, co go nie znali.

Else wbił sobie w pamięć wizerunek Wzniosłego. Być może Honario Benedocto, jak Rodrigo Cologni, wysłiznął się, by ocenić ofertę Przeciwnika osobiście, w przebraniu. Obecność straży przybocznej zdradziłaby go.

Nie miał pojęcia, dlaczego ta myśl wydawała się oczywista i dlaczego tylko jemu. Wszystko było tutaj, na wielkiej mapie. Wszystko, czego było trzeba, żeby zniszczyć Calzir i tych dobrych żołnierzy, których posłano do obrony nic niewartej ziemi.

Else popytał wokół. Mało kto znał imię maftiego al-Araja el-Araka czy innego księcia lub pana wojny Calziru. Tych kilku, którzy tam byli, wspominało Calzir jako królestwo chaosu, złożone zasadniczo z niewielkich państweczek rządzonych przez niepokaźnych panów wojny. Nie inaczej niż na chaldarańskim obszarze Firaldii.

Leżąc z Anną uwięzioną w ramionach, nasycony, Else szepnął:

- Położyłaś nowe uroki i fetysze na drzwiach i oknach.
- Coś próbowało się dostać do środka. Twórczyni uroków nie wierzyła, by to było tutaj możliwe. Ale pieniądze wzięła.
- W Brothe to się nie może zdarzyć?
- Właśnie.
- Są głupi.
- Pomyślałbyś, że tu się nocą nie robi ciemno.
- Uroki są dobre?
- Wybrałam kobietę z dobrymi referencjami.
- Która nie bierze lęków swojej klienteli poważnie.
- Nie urodziłam się wczoraj. Sonsa też nie jest żadną jaskinią cnoty.
- Dobrze.
- Sądysz, że to przez ciebie? Że ktoś mnie śledzi, aby śledzić ciebie? Nie potrafił z czystym sumieniem powiedzieć jej, że jest inaczej.
- Ho, ho! Wąż wciąż żyje. – Sięgnęła za siebie i ścisnęła go. – Cóż, praca kobiety nigdy się nie kończy. Ale jeszcze oswoję potwora.

Else znał tylko jedną kobietę przed Anną Mozilla. Swoją żonę. Ulegała mu. Robiła co trzeba, ponieważ taka była jej dola i obowiązek. Ale się nie angażowała.

Anna zawsze się angażowała, całkowicie i bez reszty. Często znacznie bardziej niż on. Mawiała:

– Mogłabym być niesamowitą kurwą. Gdybym umiała to robić z mężczyznami, których nie znam. Ponieważ robiłabym to dwadzieścia razy dziennie, gdybyś tylko mógł za mną nadążyć.

Else zaprotestował:

– Nie jestem już taki młody jak kiedyś.

– Nigdy nie byłeś taki młody, mój panie. Przestań gadać. Weź się do roboty.

Else podejrzewał, że Ferris Renfrow każe obserwować wdowę Mozillę, która swoim sąsiadom pozwalała wierzyć, iż jest imigrantką z Aparion. W co zresztą nie wierzyli. Uważali, że pochodziła z bardziej odległej północy, powiedzmy, gdzieś z południowych pograniczy Imperium Graala. To w domu Anny Else zawsze gubił tych, co szli za nim. Albo przynajmniej obawiali się, że go zgubili.

Tej nocy nigdzie nie poszedł. Nigdzie, dokąd nie zabrała go Anna Mozilla.

Do swych obowiązków wziął się zaraz po powrocie do cytadeli Bruglionich. Po załatwieniu kilku drobnych niedoróbek warknął:

– Sam musisz wiedzieć, co robić, panie Phone. Nie będzie mnie tu zawsze, żebym za ciebie myślał.

Pani Ristoti jednak nie dała się zastraszyć.

– Panie Hecht. Co z moją prośbą o zatrudnienie kolejnej pomocy? Mam zbyt wiele gąb do wykarmienia i zbyt mało rąk, żeby karmić.

– Pozwalam ci zatrudnić trzech nowych ludzi. Sama wiesz, kogo ci trzeba. Zatrudnij ich. Nie dziękuj. Podziękuj mojemu devskiemu księgowemu. Potrafiłby wmówić Paludanowi, co zechce. Paludan sądzi, że liczby to czysta magia. Otrzymujesz także sześćdziesięcioprocentową podwyżkę budżetu na zakupy. Żebyś mogła podawać coś lepszego niż tylko ragout z rzepy.

Pani Ristoti uśmiechnęła się.

– Smakowało im, co?

– Tak, jak się należało spodziewać.

– Wobec tego mam do czynienia z rzadkim objawem współczucia.

– Współczucie nie ma tu nic do rzeczy. Wuj Divino poinformował Paludana, że ludzie zaczną uciekać, jeżeli będą karmieni tą breją. Miasto

przygotowuje się do wojny. Otwierają się nowe możliwości znalezienia pracy.

– Tu pan jest, proszę pana.

– Polo! Zastanawiałem się, jak długo ci to jeszcze zajmie.

– Panie? – Polo najwyraźniej nie pojmował, że jego związki z prowincjałem Bruglionim są tak oczywiste.

– Już dobrze, dobrze – uspokoił go Else.

– Hm... Paludan chce cię widzieć. Jest niezadowolony. Ale nie myślę, że z twojego powodu.

– Więc pewnie najlepiej od razu się przekonać, o co mu chodzi.

Cytadela się zmieniała. Porządki miały się ku końcowi. Kosmetyczne remonty też były już zaawansowane. Korytarze, wcześniej mroczne i puste, teraz roiły się od powracających prowincjonalnych Bruglionich.

Polo zaprowadził Else'a na prywatne pokoje Paludana.

– Jego kochanka może tu być. Udawaj, że jej nie widzisz – szepnął.

– Ma kochankę? – Wcześniej Else odrzucał wszelkie plotki na ten temat, ponieważ uznał, że byłoby ich znacznie więcej, gdyby miała to być prawda.

– Po osiągnięciu pewnej pozycji każdy bierze sobie kochankę. Jest to jeden z symboli statusu. Im wyższa pozycja społeczna, tym lepsza twoja kochanka. Kiedy zostajesz naprawdę grubą rybą, masz dwie kochanki. Patriarcha ma trzy! Dały mu czworo, pięcioro dzieci. Ale ci, co wiedzą, twierdzą, że woli chłopców.

– Czy księży nie obowiązuje celibat?

– Tej zasady przestrzegać się będzie chyba dopiero w przeddzień Dzwonu Sądu.

– Aż tak? Skąd się biorą te kobiety? – Dlaczego Rodrigo Cologni nie wziął sobie paru kochanek? Żyłby do dziś.

Polo wzruszył ramionami.

– Każdy sam sobie ich szuka. Prowincjał Doneto sypia z Carmellą Dometią, żoną swojego człowieka, Gondolfa. Dzieje się to od czasu, jak Carmella skończyła dwanaście lat. Znacznie później zaaranżował jej małżeństwo. Jest ojcem obu jej dzieci. Zapewnia dobre życie Gondolfowi, choć ten po większej części spędza je jako faktor Benedocta w Cesarstwie Wschodu. Gdzie bez wątplenia ma własną kochankę. – Po chwili Polo dodał: – Podobnie jak żołnierze, kobiety też ściągają do Brothe w nadziei na odmianę losu.

– I tym sposobem nigdy nie brakuje tu wyzyskiwanych robotników, żołnierzy i dziwek.

Polo jakoś nie potrafił znaleźć w sobie współczucia.

– Mężczyźni sprzedają swoje mięśnie. Kobiety swojapłec. Jeżeli są piękne, przyjemne w obejściu i potrafią zadowolić mężczyznę, wówczas powodzi im się dobrze. – Zastukał do drzwi Paludana. – Tu Polo, panie. I kapitan Hecht. – Usłyszał widocznie zaproszenie, które jakoś nie dotarło do uszu Else'a, ponieważ uchylił drzwi.

Jeżeli nawet u Paludana była kobieta, ukrył ją skutecznie.

– Kapitanie Hecht. Dziękuję za przyjsście.

Jakby Else miał jakiś wybór.

Paludan powoli i chyba wbrew sobie zaczynał się uczyć umiejętności postępowania z ludźmi.

– Panie.

– Smutny dzień nadszedł. I choć się go spodziewałem, nie mogłem nic w tej sprawie zrobić.

– Panie?

– Divino mówi, że już czas, byś odszedł. Żebyś mógł się w pełni skoncentrować na przygotowaniach do wojny. Nie chcę tego. Stracę swoje ostatnie wymówki. Wuj Divino będzie mi rzucał w twarz twoje imię za każdym razem, gdy czegoś zaniedbam.

– Zrobiłem tylko to, do czego mnie wynająłeś.

– Jasne. I wszystko wyszło na dobre.

– Mam nadzieję.

Paludan wziął się w garść. Niełatwe było to, co miał do powiedzenia.

– Będzie nam cię brakowało, kapitanie. Nigdy nie czułem się dobrze w twojej obecności, ale tak czy siak, miała ona zbawienny wpływ. Wniosłeś do rodziny nadzieję i ambicję. To cenne dary. Możesz odejść do Kolegium pewny, że będę się zachowywał jak człowiek dorosły i naprawdę odpowiedzialny.

Else skinął głową.

– Oczywiście.

– I dziękuję ci za to, że uniknąłeś sytuacji, która mogła mnie kosztować jedyne prawdziwego przyjaciela. Miałeś go w swojej mocy.

Cóż. Paludan od czasu do czasu potrafił naprawdę zadziwić.

– Postąpiłem, jak wydawało mi się najlepiej. Dobrze mi tu było. Trudności okazały się prawdziwym wyzwaniem, ale nie było ono nieprzezwyciężalne.

– W nowej pracy będziesz miał do czynienia z wyzwaniami, do których znacznie lepiej się nadajesz.

– To jest praca, do której wykonania zostałem powołany i wy – szkolony, panie. Ale mówiąc między nami, nie przepadam za nią. Choć jestem w tym dobry.

– Jeszcze będziesz kimś. Masz. Weź to. Oznaka mojej wdzięczności za to, że tchnąłeś nowego ducha w ten dom. – Paludan podał mu skórzaną torbę. – A we mnie w szczególności.

– Dziękuję, panie. Choć nie jestem pewien, czy zasłużyłem.

Paludan wzruszył ramionami.

– Przyjmijmy, że zasłużyłeś. Polo! Chodź tutaj.

– Panie?

– Przygotuj się do drogi. Po południu odbędzie się wielka narada strategiczna. Wuj Divino chce, żeby kapitan Hecht zdążył się wcześniej przeprowadzić.

Else nie był zaskoczony, że Polo będzie mu towarzyszył. Bezbarwny, mały człowieczek będzie zawsze przy nim, póki Piper Hecht pozostanie na usługach prowincjała Bruglioniego i Kolegium.

Else przyglądał się skórzanej sakwie, podczas gdy Polo ładował ich dobytek. Ostrożnie rozwiązał rzemienie.

– Ile dostałeś? – zapytał Polo.

– Jest tu trochę tych maleńkich złotych monet, przypominających rybie łuski. I garść srebra. Wszystko w zagranicznych nominałach.

Polo wyszczerzył zęby.

– Wszystkich cętek nie zgubił, co?

Else dał Polowi dwie srebrne monety i jedną złotą, cieniutką jak łuska karpia. W jednej chwili zniknęły.

– Paludan nic nie wie, ale już od wczoraj zajmowałem się przeprowadzką. To wtedy prowincjał poinformował mnie o wszystkim – rzekł Polo.

– Dokąd się przeprowadzamy?

– Do pałacu Chiaro. Niesamowite, co? – Polo zaczął trajkotać na temat pałacu Chiaro: ogromny, bogaty, prawdziwy labirynt i miasto wewnątrz

Ojczystego Miasta. Święte miasto do głębi przesiąknięte wszystkim, co nieświęte.

Else wygrzebał z sakwy przedmiot, który z pewnością nie znalazł się w niej przypadkowo.

Prosty złoty pierścień. Ale nie pozbawiony bez reszty znaków szczególnych, o czym się przekonał, gdy podniósł go do światła.

Na pierścieniu wyryte były litery. Widoczne tylko wtedy, gdy trzymało się go pod odpowiednim kątem. A wtedy jawiły się w całej okazałości, czarne, jakby świeżo wykaligrafowane.

Magiczny pierścień?

Z pewnością. Ale jaki rodzaj magicznego pierścienia? Instrukcji obsługi nie było. Może miał nie zwracać uwagi?

Pierścień z pewnością pochodził od Divina Bruglioniego. Ale dlaczego w tak dziwny sposób do niego trafił?

Być może prowincjał Bruglioni nie chciał, by ktoś niepowołany się zorientował, czego w inny sposób nie dałoby się uniknąć? Choć Else był raczej pewny, że nie miał widzieć grawerunku. Może nie widziałby go nikt, kto by nie miał specjalnego amuletu na nadgarstku? A może pierścień był tylko sztuką złota, a grawerunek był tylko narzeczeńską przysięgą sprzed pięciuset lat.

– Co jest takiego niesamowitego w tym pierścieniu, panie?

– Nie jestem pewien. Uspokaja mnie, kiedy trzymam go w dłoni.

– Och. Łaskawy używał do tego celu jednej z wielkich, czerwonych słodkowodnych pereł. A mój ojciec miał gładki, okrągły kamień z Ziemi Świętej. Więc może ma to sens.

– Jest już mocno wytarty. Pewnie nie jestem pierwszym, któremu służy w tym celu. – Już chciał go schować do kieszeni, kiedy odniósł niejasne wrażenie, że pierścień sobie tego nie życzy. Wsunął go więc na palec lewej dłoni, co spotkało się z lepszą chyba reakcją.

Pałac Chiaro był wielki, faktycznie miasto w mieście. Nowe apartamenty Else'a były dziesięć razy większe niż te, które zajmował w cytadeli Bruglionich.

– Te pokoje są naprawdę wielkie, Polo! Mogłoby w nich obozować plemię nomadów.

Były zbyt duże. Nie czuł się w nich dobrze. Podobało mu się natomiast, że jest blisko źródła potęgi zachodu, ledwie rzut kamieniem od szalonego

Patriarchy. Znalazł się w miejscu, które Gordimer i er-Rashał mogli przewidzieć dlań tylko w najśmielszych wyobrażeniach.

Obszedł apartamenty w poszukiwaniu najbardziej rzucających się w oczy nieprawidłowości. Nic nie znalazł. Ci ludzie będą z pewnością działać z wyczuciem.

– Polo, idź się zajmij zaopatrzeniem naszej spiżarni. Zamierzam się położyć do czasu, aż będę musiał pokazać Patriarsze, jak podbić świat.

– Moglibyśmy sprowadzić tu twoją przyjaciółkę, żeby nam gotowała. Mogłaby z nami mieszkać – zaproponował Polo.

– Nie sądzę.

– Są tu łaźnie. Gdybyś miał ochotę skorzystać. – Polo uśmiechnął się lubieżnie.

Łaźnie pałacu Chiaro owiane były legendą.

– Naprawdę? – Else podejrzewał, że jak większość rzeczy, których przeciętni ludzie nigdy nie widzieli, łaźnie Chiaro były znacznie mniejszą jaskinią rozpusty, niż sobie wyobrażano. – Później możesz mi pokazać.

– Przecież tylko mówię. Jeszcze nie wiem, jak tu jest. Byłem tu tylko raz, kiedy prowincjał Bruglioni kazał mi obejrzeć apartamenty.

Else po raz drugi obszedł dokładnie wszystkie pomieszczenia, szczególną uwagę zwracając na komnatę, którą Polo wskazał mu jako gabinet do pracy. Chciał, żeby Polo już sobie poszedł.

– Zajmij się jedzeniem i zapasami.

Jak często będzie teraz mógł się widywać z Anną? Następstwem sukcesu były pewne komplikacje.

Else rozgościł się w nowym gabinecie. Siedział i przyglądał się pierścieniowi z sakwy Paludana. Podarunek budził w nim niedobre przeczucia. Jeśli był to w ogóle podarunek. Być może Paludan o niczym nie wiedział?

Magiczne pierścienie odgrywały wielką rolę w folklorze i legendach. Nikomu się dobrze nie przysłużyły. Pierścienie mocy występowały w mitach kultów z przedchaldarańskiej północy i z chłodnych bagien, skąd rzekomo miał pochodzić Piper Hecht. Kiedy tylko nadarzała się szansa, Else gromadził wszelkie informacje na temat odległych krain. Niemal codziennie ktoś pytał go o jego ojczyznę, najczęściej z czystej ciekawości. Bał się, że się może pomylić. I że ktoś to zauważy.

Patrzył złym okiem na złotą obrączkę.

– Jesteś Grinling, pierścień wykuty dla Ojca Wszechrzeczy przez Aelena Kofera? – Trickster ukradł ten pierścień i ukrył go w brzuchu króla niedźwiedzi lodu. Heros Gedanke wyzwał króla niedźwiedzi lodu na pojedynek, którego stawką miała być królewska wątroba, ponieważ wieszcz przepowiedział Gedankemu, że tylko jej smak uratuje dzieci Ambersheldt przez śmiertelną zarazę. Gedanke znalazł Grinlinga, kiedy szukał w rozprutym brzuchu wątroby niedźwiedzia lodu.

Na Grinlingu spoczywała klątwa, ponieważ Ojciec Wszechrzeczy nie zapłacił Aelenowi Koferowi tyle, ile tamten się domagał. Pierścień zawsze zdradzał tego, kto go nosił. Łącznie z samym Gedankem, kiedy Ojciec Wszechrzeczy wysłał Selekjonerki Poległych, aby odzyskały Grinlinga. Arlensul zakochała się w Gedankem, urodziła mu syna, przypieczętowując ich nieszczęsny los.

– Jeżeli jesteś Grinlingiem, pierścieniu, nie chcę cię mieć blisko siebie.

Legenda Grinlinga była mroczna i okrutna. Pojawiał się w niej gwałt, morderstwo, kazirodztwo i wojna na śmierć i życie między Dawnymi Bogami a jeszcze dawniejszymi bogami, którzy byli przed nimi. Bogami tak okrutnymi, że do dziś drżały przed nimi Delegatury Nocy.

Litera po literze Else odszyfrował słowa wyryte na pierścieniu. Delikatnie zmieniając kąt, pod którym unosił go do światła, odkrył nowe litery w tych samych miejscach, gdzie ujawniły się poprzednie. Potem kolejne inskrypcje na wewnętrznej powierzchni. Pieczo – łowicie zapisał wszystko. Odetchnął z ulgą, pozbywając się zmartwienia z powodu legendy Grinlinga.

Żadne z inskrypcji nie były zapisane smukłymi literami północnych pogan.

Nie rozumiał tego, co przepisywał. Słowa na zewnętrznej powierzchni pierścienia mogły pochodzić z przedklasycznego brotheńskiego. Wewnętrzne inskrypcje były w zupełnie innym języku i alfabecie, a litery były tak małe, że Else nie mógł sobie wyobrazić, aby wykonano je ręką. Wiele było już tak wytartych, że prawdopodobnie nie zapisał ich poprawnie.

Żałował, że nie może się wymknąć do dzielnicy devów. Gledius Stewpo z pewnością znał kogoś, kto mógłby mu powiedzieć, o co chodzi z tym pierścieniem.

Łącznie Chiaro wyglądały jak żywcem przeniesione z fantazji sprośnych wschodnich możnowładców. Wina i kobiet było pod dostatkiem – choć

dziewczęta najwyraźniej nie znalazły się tu w celu cielesnych zabaw. Else nie dostrzegł niczego takiego. Widział pomarszczonych, starych prowincjałów pucowanych przez stadka bezwłosej młodzi o naoliwionej skórze.

Podszedł do niego nagi młodzieniec.

– Jestem Gleu, panie. – Mówił z silnym akcentem. – Pomogę ci się rozebrać.

– To moja pierwsza wizyta w tym miejscu, Gleu. Jak to działa?

– Nie ma tu jakichś specjalnych reguł, panie. Udajesz się do gorącej kąpieli... albo zimnej, jeśli wolisz... i wybierasz sobie dziewczyny, które cię będą kąpać. Albo chłopców, jeśli wolisz. Nie wolno ci ich dotykać. Jeśli inicjatywa nie wyjdzie od nich. Jeśli złamiesz ten zakaz, otrzymasz karę pieniężną. Za drugim razem czeka cię następna kara i zakaz wstępu przez dwa tygodnie. Za trzecim razem zakaz wstępu jest dożywotni. Może cię nawet czekać chłosta. Tak mówi Ojciec Święty.

– A więc kiedyś obowiązywały inne reguły.

– Tak, panie.

Służba w łaźniach była rodzajem pomocy społecznej dla sierot i porzuconych dzieci. Oczywiście dzieci musiały być atrakcyjne. W zamian otrzymywały jedzenie i nocleg. Ich służba nie musiała stanowić naruszenia ich godności w stopniu większym, niż przyzwalają. Ale oczywiście wysokość napiwków mogła zależeć od elastyczności zasad moralnych.

– Ci, którzy bardziej się starają, mogą na zakończenie służby zebrać więcej pieniędzy.

Ci, którzy nie dostawali dobrych napiwków albo się nie starali, często trafiali potem do najgorszych burdeli.

– Wolisz dziewczęta, nieprawdaż?

– Tak.

Gleu zaprowadził Else'a do pomieszczenia, gdzie kilkadziesiąt dziewcząt rozmaitej rasy w wieku od siedmiu do osiemnastu lat czekało, by pomóc księżętom Kościoła i ich akolitom odprężyć się i wykapać. Else się zawahał.

– Może mimo wszystko wolisz, żeby to chłopcy ci usłużyli? – szepnął Gleu.

– Nie.

– Wobec tego wybierz dwie. Nieważne które.

Else się zdecydował. Wskazał dwie starsze dziewczyny, w nie znanym mu typie. Jedna była wysoka, muskularną blondynką z wielkimi, sterczącymi piersiami i oczyma jak tysiącletni lód. Druga, też wysoka, była idealnie czarna, jak mahoń. Miała piersi jak dynie. Włosy blondynki były długie i zaplecione w warkocze. Kręcone włosy drugiej dziewczyny nie miały więcej niż cal długości. Mimo wszystko wyglądała na zadowoloną, że ją wybrał. Dziewczęta wzięły go z dwu stron pod ramię i zaprowadziły do głównego basenu z podgrzewaną wodą. Tam go posadziły i pozwoliły, aby nasiąknął ciepłą wodą.

– Nic nie mów. Zamknij oczy. Zrelaksuj się.

Dziewczyny wśliznęły się do wody po obu stronach.

Nasiąkał ciepłem, jak przykazały. A kiedy tak leżał, jego umysł uwolnił się od trosk.

Dziewczyny oparły głowy na jego ramionach. Zdrzemnął się.

W końcu zaprowadziły go do basenu, w którym odbywało się mycie. Mydłem i gąbką wyszorowały każdy cal jego ciała. Lodowata blondynka chyba nie była szczególnie zainteresowana wysokim napiwkiem.

Czarna dziewczyna zachichotała. Wskazała jego cielesną reakcję-

– Robi znacznie większe wrażenie niż to, co zazwyczaj mogą nam pokazać ci smutni starcy. – Ale potem już nie zwracała na niego uwagi.

Wciąż miał erekcję, kiedy dziewczyny zdecydowały, że jest gotów wyjść z basenu.

Niemal natychmiast stanął twarzą w twarz z gołym Osą Stile. Osa powiedział:

– Ho, ho – i dalej zaganiał kościstego starca w stronę basenu.

Czarna dziewczyna zaśmiała się gardłowo.

– Masz nowego wielbiciela.

Else nie zareagował. Co tu robił Osa Stile? W jaki sposób stał się kąpielowym? Czy Johannes Czarne Buty miał jakiegoś prowincjała na swojej liście płac?

Oczywiście, że miał. Zapewne niejednego.

Dziewczyny zaprowadziły go do małego, pachnącego pomieszczenia. Tam wytarły do sucha. Blondynka powiedziała:

– Połóż się na leżance. Na brzuchu.

Mówiła z lekkim, ale wyraźnym akcentem. Firdiański nie był jej rodzimym językiem. Natomiast czarna dziewczyna mówiła tak, jakby się

urodziła w Brothe.

Else położył się na skórzanej leżance. Dziewczyny zaczęły go masować i nacierać oliwą.

Kolejny raz opuściły go zmartwienia.

Był tak rozluźniony, że ledwo się przetoczył na plecy, gdy mu kazały.

Dziewczęta zachichotały na widok wciąż dumnej glorii jego męskości.

Wymasowały go, natarły oliwą, a potem wśliznęły na leżankę obok niego. Ich dobrze naoliwione ciała ocierały się o jego boki, co było nawet przyjemniejsze niż masaż. Ich ruchy były coraz wolniejsze, a potem ustały.

Zdrzemnął się znowu.

Kiedy Else wrócił na swoje pokoje, czekał już na niego Pinkus Ghort.

– Przepraszam, że się spóźniłem.

– Dobrze być jednym z władców, co?

– Co?

– Słyszałem o tych łaźniach.

– Bez wątpienia jakieś przesadzone opowieści, które w twojej spaczanej głowie nabrały zupełnie nowych barw.

– Jasne. – W to pojedyncze słowo Ghort włożył całe tony cynicznej niewiary. – Czego chcesz?

– Czego ja chcę?

– Posłałeś po mnie, bracie. Przecież nie wpadłem ot, tak sobie.

– Ach. Tak. Jasne. Potrzebuję adiutanta. W oddziale miejskim. Chcesz tę robotę?

Po dłuższej chwili zdumiony Ghort wybuchnął:

– Cholera, jasne! Na włochate jaja Aarona, Pipe! Czemu pytasz? Hej! Zaczekaj jeszcze. Jaki jest pieprzony haczyk?

– Haczyk jest taki, że musisz zostawić prowincjała Doneto, żeby pracować więcej, niż kiedykolwiek zdarzyło ci się w życiu.

– Cholera. Wiedziałem. Praca. Będę musiał dużo przebywać w tych łaźniach?

– Nie.

– Coraz gorzej. Zaraz mnie poprosisz, żebym pracował za darmo, ponieważ dzięki temu zdobędę niezbędne doświadczenie.

– Będę cię karmił. Czego jeszcze chcesz?

– Daj mi minutę, Pipe. Coś wymyślę. Do diabła. Oto pomysł. Co powiesz na to, gdybyś płacił mi znacznie więcej, niż dostaję od prowincjała Doneto?

U którego, jak chyba powinienem nadmienić, nie muszę robić nic, co w najdalszym sensie bodaj przypominałoby pracę? Za cholernie dobrą zapłatę.

– Cholera. Już sobie wykombinowałem, że twój żołd zatrzymam dla siebie.

– A więc wprowadź mnie. Co robimy? Co nam jeszcze zostało do zrobienia?

– Wszystko. Dopiero zaczynam. Na razie się przebijam przez politykę. Ludzie, którzy kazali mi wystawić miejski oddział, zachowują się niczym pięciolatki. Jesteś dopiero drugim człowiekiem, którego sam przyjąłem na służbę. Zmuszają mnie do zatrudnienia dziesiątków kompletnych idiotów, nawet nie pytając o zdanie. Brotheńczycy nie pojmują, o czym mowa, kiedy wspomnieć osiągnięcia i kompetencje. Kamień może zostać generałem, jeżeli zna właściwych ludzi. A więc próbuję przemycić paru chłopców, którzy pod presją potrafią się zachować fachowo i przewidywalnie.

– Mnie wybrałeś w drugiej kolejności, co? Kto może ci się bardziej przydać?

– Dziewiętnastoletni księgowy cudotwórca od devów, który najlepiej wie, jak najwięcej wydostać z pieniędzy, które otrzymuję. I poza tym potrafi znaleźć złodziei, próbujących wykroić z tego coś dla siebie.

– Dobry jest?

– Tak dobry, że może cię oszwabić na połowie żołdu, równocześnie zostawiając w przekonaniu, iż się wzbogaciłeś.

– Ho, ho.

– Mam zaraz naradę. Chcę, żebyś poszedł ze mną.

– Od razu rzucasz mnie na głęboką wodę?

– Nie. Chcę, żeby służba w Castella i mieszkańcy tego domu wariatów przyzwyczaili się do twego widoku.

– Gdzie będę kimał?

– Tam, gdzie dotychczas kimałeś. To nie tak daleko. Niech prowincjał Doneto sądzi dalej, że jesteś wobec niego lojalny. A ponieważ niewykluczone, że tak jest, niech płaci za twój pokój i wyżywienie.

– Na owłosioną dupę Eisa, ale jesteś skąpy.

– W ten sposób zamierzam zbudować skuteczną armię.

– Dusząc każdego dukata?

– Póki wybity na nim Patriarcha nie zacznie piszczeć.

Dziesięć minut po wejściu do komnaty strategicznej Castella Else pożałował, że wziął ze sobą Pinkusa Ghorta. Ghort raz tylko spojrzął na wielką odwróconą mapę Calziru oraz jego przyległości i wypalił:

– Cholera, Pipe! Spójrz na to. Trzymamy dupków za jaja.

Zapadła cisza. Dwadzieścia par oczu skupiło się na Pinkusie Ghorcie. Jedna należała do Ferrisa Renfrowa.

Szydło wylazło z worka. Else nie widział już sposobu, jak ukryć to, co powinno być oczywiste, przynajmniej dla każdego, kto nie ma mózgu nasiąkniętego wiekowym bagażem tradycyjnej strategii.

– Hm? – Czy Ghort naprawdę to widział?

– Czy flota króla Piotra już wypłynęła? Czy żołnierze wymaszerowali z Connec?

Ghort widział.

– Nie wydaje mi się. Czemu? – Musiał zapytać.

– Tak – powiedział Ferris Renfrow przez ramię Else'a. – Proszę nas naprowadzić, kapitanie Ghort.

Członkowie Kolegium i kilku głównych strategów Hansela zbili się w ciasną grupkę, zarażeni entuzjazmem Ghorta.

– Wygląda mi na to, że wasz plan polega na tym, by uderzyć przez góry, a potem oblegać miasta i zamki. Tak samo, jak byście potraktowali każde firaldiańskie księstwo. Tak samo, jak robił to ten, który próbował tego przez ostatnie cztery, pięć razy.

Sztabowiec Imperium wskazał:

– W miastach i zamkach jest bogactwo i szlachta.

– Jasne. Ale nie ma jedzenia, mój drogi. Nie ma jedzenia. Powiedz mu, Pipe.

Sukinsyn.

– Wydaje mi się, że rozumiem. Kontynentalny Calzir zależy od dostaw chleba. Ale pszenica za bardzo się tam nie udaje. Natomiast świetne zbiory daje tutaj, na Shippen. Żyzność Shippen jest jedynym powodem, dla którego starożytni Brotheńczycy okupowali tę wyspę.

– Właśnie! – entuzjazmował się Ghort. – Pszenica i kopalnie srebra.

– Wyjaśnij to bardziej szczegółowo, jeśli można prosić – powiedział jeden z imperialnych.

– Osiemdziesiąt procent ludzi żyje na kontynencie. Uprawiają winogrona, oliwki, hodują owce. Większość zboża zbiera się na wyspie. Po drugiej

stronie cieśniny Rhye. A my przecież mamy tutaj silną direciańską flotę. Płynąc tutaj, może odciąć wszelką pomoc od zachodnich praman. Płynąc wzdłuż wybrzeża, flota może zabrać na okręty kontyngent connekiański. Wojska mogą zejść na ląd w Shippen. Dzięki temu ziarno nie dotrze na kontynent. To oznacza brak chleba na kontynencie, ponieważ są tam dodatkowe gęby do wykarmienia: żołnierze, żeglarze, zwierzęta z Lucidii i Dreangeru. – Ghort puszył się i nadymał, mając zresztą po temu wszelkie powody. – Jak długo te dupki tam mogą jeść winogrona, oliwki i koźlinę? Jakiś czas mogą. Lecz przywykli do chleba i ryb. Nie zostały im żadne łodzie rybackie. Tak więc w końcu będą jedli korzonki, trawę i rzeczny muł, a potem pewnie własne dzieci. Ile czasu minie, aż nie będą mieli dość sił do walki? Niewiele. Jeżeli pokażemy się na miejscu w czas, aby zniszczyć ich pola lub powstrzymać przed zasianiem zbóż ozimych.

Wybuchło zamieszanie.

To wydawało się równie widoczne jak naga kobieta w południe na ulicy, kiedy Else po raz pierwszy spojrział na mapę, i co było równie jasne dla Pinkusa Ghorta, tak jasne bynajmniej nie wydawało się ludziom zakutym w strategię, której głównym celem było opanowanie jakiegoś zamku czy miasteczka, a która nieustannie zawodziła chaldarańskich wyzwolicieli od czasu Pramańskiego Podboju.

Ferris Renfrow zapytał:

– Nie zdawałeś sobie z tego sprawy, kapitanie Hecht? – Z lekkim naciskiem na nazwisko.

– A ty? Nie? Czułem, że coś tu jest. Ale pochodzę z miejsca, które leży w głębi lądu. Nie myślę o okrętach. Czy ktoś z tu zgromadzonych dostrzegł to, na co właśnie wskazał kapitan Ghort? – A ciszej zwrócił się do Renfrowa: – Pinkusa po prostu nie oślepił miraż ewentualnych łupów.

– Ciesz się, póki możesz.

Szydło wyszło z worka. Świniak urwał się z rusztu. Nie było sposobu, żeby to odwrócić.

– Wspaniała analiza, kapitanie Hecht, kapitanie Ghort – powiedział Bronte Doneto. – Natchniona i inspirująca.

Ferris Renfrow obserwował Else'a z nieskrywaną podejrzliwością.

Patrząc na całą sprawę z punktu widzenia Renfrowa, musiał być w tym jakiś haczyk.

No i był. Oczywiście.

Tym razem Calzir się nie uratuje. Interwencja Dreangeru i Lucidii przypieczętowała los Calziru. Nawet wrogowie Wzniosłego nie będą chcieli, by te energiczne kaifaty zdobyły przyczółek na półwyspie firaldiańskim.

Calzir był nie do uratowania. Ale Else mógł podjąć próbę uratowania jego ludu. Pramanie z Calziru mogą ocaleć, jeśli zwycięstwo będzie szybkie i poprzedzone krótką walką.

W ten sposób wszystko potoczyło się w Connec, kiedy Volsard zniszczył pramańskie miasteczka. A obecnie działa się tak w Direcii. Piotr z Navai nigdy nie prześladował tych, którzy mu się nie opierali, niezależnie od wyznawanej przez nich religii. Był wiernym sprzymierzeńcem Platadury, która choć pozostawała pramańska, wspierała go w większości przedsięwzięć. Co z kolei kazało nieelastycznemu Wzniosłemu nieraz ganić Piotra.

Piotr z Navai niewiele więcej sobie robił z niezadowolenia Wzniosłego niż Imperator Graala. Patriarcha znacznie bardziej potrzebował Piotra niż Piotr jego.

Wzniosły miał całkowicie jednoznaczne poglądy na temat tego, co zrobić z pramanami, devedianami, dainshauami i innymi niewiernymi, aby było więcej miejsca dla przez Boga wybranych episkopalnych chaldaran. Kościół Wzniosłego nie był Kościołem ewangelicznym, był Kościołem wojującym.

Król Piotr wielkie plany Patriarchy traktował zazwyczaj obojętnie.

Kwestią kluczową było, rozmyślał Else, że być może tylko on jest w stanie ukraść Wzniosłemu tę przeklętą opcję. I tylko wówczas, gdy okaże się najbardziej nieugiętym i chytrym przeciwnikiem, jakiego kiedykolwiek miało przeciw sobie Królestwo Pokoju.

Alameddine, zmęczeni duszodawcy

Wieki zabrała im podróż przez połowę Półwyspu Firaldiańskiego do Hoyal, najdalej na wschód położonej bazy wojskowej w Alameddine. Shagot nieczęsto gościł na jawie. Ajeśli, to był ogłupiały i niekomunikatywny. Życie stawało się coraz trudniejsze. Ponieważ poruszali się zbyt wolno, żeby ewentualnie skutecznie uciec ze sceny zbrodni, Svavar nie robił nic, co mogłoby na nich ściągnąć uwagę.

Już same pieniądze, jakie mieli ze sobą, stanowiły ryzyko. Nędzni, bezrobotni najemnicy nie szafują dwu – i pięciodukatowymi sztukami złota. Ludzie na poziomie takiej prostracji nie powinni w ogóle wiedzieć, że takie monety istnieją.

Dokuczliwy głód zmusił Svavara do złamania powziętych postanowień. Miejscem zbrodni miało być miasteczko na rozdrożach o nazwie Testoli, które nigdy niczym się nie wślawiło w dziejach świata. Testoli znajdowało się kilkanaście mil na północ od kantonu Hoyal, którego ziemie utrzymywano w stanie dzikim, tworząc tereny łowieckie, na których polowali Imperator Graala i królowie Alameddine.

Bezmyślna reakcja na dręczący głód zmieniła się ostatecznie w łut szczęścia. Oczy, które dostrzegły złoto w dłoniach szumowin, które nie powinny nawet znać widoku srebra, należały do rozbójnika Rolla Registiego, niesławnego na całą milę okolicy. Rollo był głupi i nieskuteczny. Jego banda ledwie potrafiła utrzymać się przy życiu – głównie zresztą dzięki temu, że w tajemnicy hodowała owce na wzgórzach

wokół kantonu Hoyal. Kłusowali więc nie na zwierzynie Imperatora, ale na jego pastwiskach.

Rollo pognął, by zwołać swych kompanów. Przeciwników było tylko dwóch – wyraźnie słabi, nie wyglądali na kogoś, kto ma przyjaciół gotowych do pomszczenia ich losu.

Napaść Roiła i jego przyjaciół znakomicie przysłużyła się Svavarowi i Shagotowi. W ręce Grimmssonów wpadło dość miedziaków i srebrnej drobnicy, żeby dokończyli podróż, nie ściągając już niczyjej uwagi.

Svavar nie powiedział Shagotowi o wojownicze, która wsparła ich w tym starciu. Kraken strachu trzymał już go w dławiących objęciach. Jego, Svavara, który został wychowany przez naprawdę przerażających rodziców tak, by nie znał strachu przed niczym.

Każdy godny szacunku Andorayanin z epoki Svavara stawiał czoło strachowi z maczugą w dłoni. Postawa ta została mu tak głęboko wpojona i była tak bliska, że Svavar zrozumiał, iż jego brak odwagi musi mieć przyczyny nadprzyrodzone.

Być może nie był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie ani najszybszą zabłą w stawie, znał jednak przecież wierzenia swego ludu. Potrafił recytować podstawowe mity. Domyślał się więc, kim jest jego anioł stróż. Lecz brakowało mu wyobraźni, by pojąć jego – jej – motywy.

To musiała być Arlensul, najstarsza córka Szarego Wędrowca. Selekcjonerka Poległych, wygnana z Wielkiej Fortecy Niebiańskiej za to, że ośmieliła się pokochać śmiertelnika Gedankego. Obecnie zaprzysięgły wróg Wędrowca i jego rodziny. Okrutny, zdradziecki robak, wijący się wśród Delegatur Nocy i chciwy pomsty.

Svavar jednak nic nie powiedział Shagotowi. Być może doszedł do wniosku, że Grim stał się zbyt posłusznym narzędziem w rękach tych, którzy trzymali północny świat pod żelaznym jarzmem. Albo może tych, którzy nałożyli mu je w dawno minionych czasach.

Dzisiaj wierzone, że Dawni Bogowie odeszli. Bajki. Coraz sła – biej pamiętany mit. Obecnie, przynajmniej nominalnie, Andoray było domeną chaldarańską. Uznawało chaldarańskiego władcę.

Mimo to w górach wciąż żyli starcy, którzy nieugięcie wierzyli, że postępy lodowego muru są bez reszty skutkiem przyjęcia południowego Boga. Ci głupcy. Ci głupcy!

Znacznie bardziej przeraziło Grimmssonów, że nie kto inny, ale właśnie król Freislandii zaanektował Andoray. W dłuższej perspektywie wysiłki Eriefa poszły na marne.

Svavar pielęgnował w duszy gorzkie podejrzenie, że historia zawsze obraca wniwecz dzieła człowieka, podejrzenie, że w perspektywie pięciu czy sześciu pokoleń nic się nie liczy.

Grima to nie obchodziło. Gdy się obudził, był ponury, milczący, bez reszty skupiony na swej misji.

Choć tylko zgadując, Svavar podejrzewał, że pragnienie snu Grima było spowodowane koniecznością podtrzymywania kontaktu z Wielką Fortecą Niebiańską. Dawni Bogowie mieli kłopoty z działaniem na takie odległości.

Kiedyś Svavar zaciągnął się do kompanii najemników, którymi dowodził zbir imieniem Ockska Rashaki, renegat z Calziru, pielęgnujący w duszy złudzenia, że służba pod Vonderą Koterbą pozwoli mu pomścić wiele osobistych uraz, jakich doznał za górami Vaillarentiglia. W skład bandy Rashakiego wchodziło mniej niż sześćdziesięciu ludzi, wszyscy mordercy i złodzieje. To takim jak oni wszyscy żołnierze, a najemnicy w szczególności, zawdzięczali straszną sławę.

Mimo bariery językowej Svavar natychmiast poczuł się jak w domu. Shagot zresztą też, przynajmniej gdy się obudził i stwierdził, co go otacza. Bracia do spółki skopali kilka tyłków, a Shagot zabił wielką, głupią bestię o imieniu Renwal, który za przyzwoleniem Rashakiego terroryzował resztę bandy.

Rashaki nie był uszczęśliwiony stratą swego zbira, ale okazał się realistą. Nie przywiązywał się emocjonalnie do swych ludzi.

Ockska Rashaki nie lubił nikogo prócz Ocksi Rashakiego. Ockska Rashaki dbał tylko o to, co Ockska Rashaki chciał osiągnąć.

Svavar i Shagot uwili sobie gniazdko, żeby zaczekać na przybycie człowieka, którego mieli zabić. Przybędzie, twierdził Shagot. Ponadto Grim będzie wiedział, kiedy to nastąpi.

Oczekiwanie miało przebiegać spokojnie. Ockska Rashaki nie wymagał wiele od swych ludzi. A Vondera Koterba nie chciał wiele od oddziału Rashakiego. Główne zadanie ograniczało się do strzeżenia przemytniczej przełęczy. Koterba dbał, by mieli co jeść i nie łupili prowincji Alameddine.

Shagot był zadowolony, że ma co jeść, i przesypiał większość czasu, chwilami tylko robiąc sobie przerwy na załatwienie potrzeb

fizjologicznych. Jak jego panowie, był zadowolony, mogąc czekać.

Svavar się trzymał. Wycierpiał już dość z ręki świata, żeby wiedzieć, iż każda niedola ma swój kres.

W owym czasie prawie każdego dnia Svavar widywał Arlensul, niezauważalną dla nikogo, czającą się przy obozie mężczyzn o martwych duszach. Łączyła ich nie dająca się wyrazić słowami konspiracja.

Connekianie, na morzu i na lądzie

Dzień był bezchmurny, zbliżał się koniec lata. Nad głowami krążyły i przeklinały mewy. Śmierdziała woda w przystani. Brat Świeca przyglądał się, jak connekiańscy wojownicy wsiadają na pokłady dwunastu wielkich okrętów z Platadury. Stanowiły one większość tonażu tamtejszej floty, którą mógł przyjąć port w Sheavenalle. Navayańskie i platadurańskie statki górowały nad portem, wśród łodzi i rybackich kutrów, które usunięto z nabrzeża, żeby umożliwić załadunek floty ekspedycyjnej. Wcześniej już zresztą na pokładach statków znalazł schronienie liczny kontyngent navayańskich inżynierów, saperów, artylerzystów i innych specjalistów od prac oblężniczych.

Brat Świeca zastanawiał się, czy król Piotr zdaje sobie sprawę, że być może przeprowadza właśnie próbę generalną ukochanej idei Wzniosłego – krucjaty w Ziemi Świętej.

Może. W każdym razie coś się działo. W Direcii wszystko szło dla Piotra pomyślnie, taktyka sprzymierzania się ze słabszym pramańskim księciem w celu pokonania silniejszego przynosiła zdumiewające owoce. Po co takie nagłe przesunięcie uwagi i kluczowych sił za morze? Piotr był honorowy i oddany swemu Bogu, niemniej musiało tu chodzić o coś więcej niż tylko honor i przywiązanie brata królowej.

Connekianie niechętnie wsiadali na statki. Niewierni żeglarze byli dziwnie odziani. Trajkotali w dialekcie, który wprawdzie był pokrewny connekiańskiemu, ale tak dziwnie wymawiany, że zupełnie niezrozumiały. Żołnierze wsiadali na te statki tylko dlatego, by uniknąć sześćsetmilowego marszu.

Nikt jeszcze nie wiedział, gdzie zsiądą na ląd. Wzniosły i Johannes Czarne Buty nie opracowali jeszcze tego detalu swoich planów. A jeśli nawet, nic na ten temat nie dotarło do żołnierzy.

Hrabia Raymone przystanął obok brata Świecy. – Czas wziąć głęboki oddech i zaokrętować, mistrzu. Już wybierają cumy.

Brat Świeca westchnął. Jego nieliczny dobytek trafił już na pokład. Sam jakoś nie miał ochoty się na nim znaleźć. Jego niechęć najwyraźniej podzielali towarzysze, wybrani z grona szacownych kleryków, którzy zgłosili się na ochotnika. Każda z connekiańskich religii miała swojego przedstawiciela w connekiańskim korpusie ekspedycyjnym, łącznie z pramańskimi procarzami z Terliagi. Ich obecność znacznie bardziej niepokoiła brata Świecę niż kilkudziesięciu rzekomo pacyfistycznie nastawionych Poszukiwaczy Świata.

Jednak przy pramanach z Platadury wszyscy czuli się niepewnie. Chaldaranie nie mogli pojąć, dlaczego sprzymierzyli się z Piotrem przeciwko swoim współwyznawcom. Choć przecież chaldaranie walczyli z chaldaranami każdego dnia na obszarze chaldarańskiego świata.

Najbliżsi towarzysze brata Świecy wywodzili się spośród członków poselstwa do Brothe.

Hrabia Raymone dokonał cudów, realizując rozkazy księcia. Choć gdy nadeszła decyzja o morskiej przeprawie, znajdował się w Castrersone, dotarł do Sheavenalle przed przybyciem direciańskiej floty.

Podróż była dla brata Świecy pierwszą przygodą marynistyczną na pokładzie czegoś większego niż prom, jak też pierwszym doświadczeniem bezkresu słonej wody. Dowiedział się, jak to jest, gdy grunt pod stopami się kołysze, podskakuje i zapada nawet przy najlepszej, najspokojniejszej pogodzie. Pokład cały czas jęczał i skrzypiał, mamrotał i trzeszczał, horyzont nieustannie układał się pod dziwnym i przerażającym kątem. Woń statku też stanowiła doświadczenie całkowicie nowe: baraki, stajnie, smoła, pakuły i przerażające jedzenie – a wszystko to zmieszane tak, że nawet podążającym za statkiem mewom powinny się wywracać żołądki.

Żeglarze twierdzili, że jest przewrażliwiony. *Taro* był nowym statkiem. Jeszcze nie nabrał charakteru.

Najgorzej pachniało z kambuza.

Kuk nie gotował dla nikogo prócz załogi z Platadury. Pozostali przyrządzali sobie posiłki na głównym pokładzie, wśród tłumów,

pracujących żeglarzy i bezczelnych mew. Kiedy zaczynało kołysać, z jadłospisu znikwały ciepłe posiłki. Plataduranie nie ufali na tyle szczerom lądowym z Connec, żeby pozwolić im w takich warunkach na używanie ognia.

Żołnierze niczego tak się nie bali jak ognia na morzu.

Podróż nastroczała przykrości nie tylko cielesnych. Brat Świeca nieustannie czuł bliskość i zainteresowanie Delegatur Nocy. To było denerwujące. Równie nieprzyjemnie musiało pewnie wyglądać życie w starożytności. Człowiek pokonał długą drogę, mozoląc się nad oswojeniem świata.

Ale morze jak dotąd było poza jego zasięgiem.

Przy przybrzeżnej wyspie Armun, która ongiś była letnim kurortem brotheńskich imperatorów, na pokład wsiedli religijni przedstawiciele platadurskiej załogi i terliagańskich procarzy. Brat Świeca miał lekki zamęt w głowie. Armun leżała daleko na południe od Brothe i niedaleko na północ od Shippen. Oznaczało to, że mijali już wybrzeża Alameddine, zbliżając się do granicy królestwa z Calzirem. A flota jakoś nie chciała dobić do brzegu.

Laicycy pramańscy kapłani z początku zachowywali rezerwę, ale brat Świeca zdobył zaufanie kilku, utrzymując, że chce się tylko uczyć.

– Ciekawi mnie, jakie jest stanowisko al-Pramy w kwestii Dele – gatur Nocy. Nigdy nie opierały się na dogmatach. Pewnie dlatego, że ich żywiołem z natury jest sprzeczność.

Ale pramańscy kapłani nie mieli ochoty na filozoficzne dysputy. To byli ludzie praktyczni. Ich celem było dostarczenie minimum wsparcia duchowego ludziom znajdującym się daleko od domu. Potrafili odprawiać podstawowe obrzędy religijne. Ale nic więcej.

Natomiast brata Świecę całe życie interesowały odwieczne pytania. Czy to ludzkie umysły tworzą bogów i pomniejszych istoty nadprzyrodzone, kształtując moc ze Studni Ihrian i innych tego typu miejsc? Czy też Delegatury Nocy karmią się tą mocą, żeby utrwalić wiarę w umysłach tych, którzy w nie wierzą?

Niektórzy twierdzili, że to nic więcej jak stara zagadka jajka i kury.

Dyskusje na ten temat często przeradzały się w spekulacje, jaki byłby świat, gdyby Studnie nie tryskały surową magiczną energią.

Na to pytanie brat Świeca potrafił odpowiedzieć bez trudu. Studnie Ihrian nie były jedynym źródłem mocy – po prostu większym i bardziej

nasyconym. Z wielu mniejszych i słabiej znanych studni również wyciekała moc, choć raczej sącząc się, niż tryskając.

W wyniku obliczeń prowadzonych przez pokolenia czarodziejów okazało się, że siedemdziesiąt procent całej nadprzyrodzonej siły trafia na świat w Ziemi Świętej. Na wielki, dziwny świat zdjęty trwogą w obliczu mocy, a równocześnie nadający się do zamieszkania tylko dlatego, że moc powstrzymywała lód.

Robiło się coraz ciemniej, zimniej i dziwniej w miarę oddalania się od magicznych krynic ku egzotycznym północnym krainom legend.

Odpowiedzi na te pierwotne pytania pociągały za sobą dalsze, bardziej niepokojące konsekwencje. Jeżeli bogów i inne energie Nocy stworzyła ludzka wyobraźnia, kto stworzył człowieka?

Brat Świeca nie potrafił sobie wyobrazić świata bez istot ludzkich, zdolnych do percypowania Delegatur Nocy.

Pramańscy kapłani należeli do laikatu. W subtelności argumentacji widzieli dzieło Przeciwnika. Prawdę poznali za młodu. I teraz żaden heretycki kaznodzieja, którego nawet własna religia uważała za heretyka, nie skusi ich zrodzonym w piekle wolnomyślicielstwem.

Brat Świeca przekonał się, że ci pramanie wierzyli zasadniczo w to, w co wierzyła większość chaldaran. Decydującym punktem spornym była kwestia tego, komu przypada zasługa cudownego objawienia. Świętym Ojcom z Chaldaru w Ziemi Świętej? Czy późniejszej Rodzinie Założycielskiej z Jezdad w Peqaa?

– Prawdziwym punktem spornym jest kult bałwanów – zauważył jeden z praman.

– Kult bałwanów? – zdziwił się brat Świeca. – Dużo już czasu upłynęło od mojego episkopalnego dzieciństwa, ale nie pamiętam żadnych bałwanów.

– Kościoły chaldarańskie są ich pełne.

– To nie są bałwany, tylko posągi. Obrazy Ojców i świętych, nie zaś Ojcowie i święci we własnej osobie.

– To są rzeźbione wizerunki. Z definicji to właśnie bałwany. Nie sam bóg, ale wizerunek boga, który ma wszystkim przypominać, że bóg patrzy.

– Ponieważ nie jestem już wyznania episkopalnego, nie mogę skutecznie polemizować. Niewykluczone, że biskup LeCroes chętnie wyjaśni różnicę.

Brat Świeca dostatecznie długo już chodził po świecie, żeby wyrobić w sobie sceptycyzm wobec dogmatu. Dogmat odzwierciedlał ludzką potrzebę wiary w to, że istnieje coś większego i bardziej sensownego niż ludzkie jętki jednodniówki. Że istnieje plan kosmiczny.

Nad wodą zabrzmiały rogi.

Plataduranie przekazywali sygnały między okrętami, posługując się różnymi rogami zamiast flag sygnałowych czy bębnow wykorzystywanych przez inne floty. Navayańska marynarka przyswoiła sobie ten system.

Admirałem floty był Plataduranin, a dowódcą połączonych armii król Piotr, który osobiście płynął z konwojem, ponieważ nie ufał Firdianom. Zwłaszcza zaś brotheńskim Firdianom. A już żadne – mu Firdianinowi, który był ostatni w linii fałszywych patriarchów, mimo iż wspierał Kościół jako instytucję.

Wielkim talentem Piotra była elastyczność. Brał za swoje te metody i instrumenty, które sprawdzały się w praktyce. Łącznie z Patriarchą, który wprawdzie nie był legalny, ale sprawował władzę nad Kościołem.

Plataduranie i Navayanie wierzyli, że Piotr podbije Dircię. Wiele ludów Dircii czekało na jego triumf. – Co się dzieje? – zapytał brat Świeca na widok uwijających się i refujących żagle marynarzy.

Taro była szerokodziobą, długą biremą, jak większość okrętów platadurskiej floty. Podczas żeglugi po otwartym morzu zazwyczaj nie używała wiosła, chyba że panowała cisza. *Taro* zdecydowanie wolała pędzić pod żaglami.

Jeden z Plataduran poinformował brata Świecę:

– Kapitan został wezwany na naradę na pokładzie *Isabeth*.

Wielki okręt wojenny nosił imię po królowej Piotra. Armada zwolniła i zwarła szyk. Okręty rzuciły kotwice i spuszczone z nich łodzie, które zawiozły kapitanów i dowódców na okręt flagowy.

Wybrzeże Shippen nie przypominało niczego, co brat Świeca w życiu widział. Małe łodzie przybijały do brzegu po obu stronach wioski rybackiej Tarenti, położonej nad małą lecz głęboką zatoką. Navayańscy weterani otoczyli miścinę. Rozpoczęto wyładunek.

To samo działo się w innych pomniejszych portach. Brat Świeca nie był zaznajomiony ze szczegółami operacji. Zasadniczo polegała ona chyba na

tym, by zablokować transport z Shippen na kontynentalny Calzir, który nie utrzyma się długo bez towarów z Shippen.

Król Piotr i hrabia Raymone zamierzali opanować wyspę o terytorium większym niż połowa królestw świata chaldarańskiego razem wziętych. Mając do dyspozycji połączone siły connekiańskie i navayańskie, liczące mniej niż cztery tysiące ludzi, Plataduranie nie mieli zamiaru walczyć na lądzie.

Praktyczne doświadczenie militarne ograniczało się u brata Świecy do udziału w Masakrze pod Czarną Górą. Nie wiedział, że w celu uniemożliwienia transportu zapasów na ląd nie trzeba pacyfikować całej wyspy.

Lokalny opór został błyskawicznie zdławiony.

Historycznie rzecz biorąc, Shippen nigdy długo się nie opierało, gdy już najeźdźca zdobył solidne przyczółki na wyspie. Lud pracujący nie dbał o to, kto nim włada. Uzurpacje warstw panujących nie wywierały trwałego wpływu na życie codzienne, póki kopalnie dawały miedź i srebro, a pola i winnice rodziły nadwyżki ziarna i owoców. Klimat był tu sprzyjający, a od czasu serii wybuchów wulkanów w przedbrotheńskiej starożytności wyspa nie przeżyła żadnej większej katastrofy naturalnej.

Największe katastrofy w dziejach Shippen były dziełem rąk Człowieka: czasami były to wojny, ale częściej skutki przesadnej wiary w siebie jakiegoś czarownika, któremu wydawało się, że podporządkuje sobie Delegatury Nocy.

Tylko właściciele najbardziej błyskotliwych umysłów byli w stanie przekonać samych siebie, że są w stanie wyłączyć swe osoby spod panowania Tyranii Nocy.

Brat Świeca i Connekianie z *Taro* powtórnie zeszli na ląd w Caltium Cidanta. Miasteczko śmierdziało rozkładającymi się rybimi wnętrznościami. Stada rozwrzeszczanych mew krążyły nad głowami. Caltium Cidanta współcześnie było całkowicie pozbawione znaczenia. Jednak w starożytności rzecz miała się inaczej. To właśnie w Caltium Cidanta generał colferoński Eru Itutmu wyparł się mperium Brothe i dla ratowania swej ojczyzny wrócił do Dreangeru – po czym on i tysiące tych, którzy go za boga uważali, przez całe pokolenie nękali młodzieńcze imperium. Eru Itutmu zabił ćwierć miliona Brotheńczyków, ale ostatecznie poniósł porażkę, zarówno w Brothe, jak i na ziemi ojczystej. Ci dawni

Brotheńczycy byli uparci. Przez dziesięciolecia walczyli z Eru Itutmu, przy okazji podbijając wszystkich sprzymierzeńców Dreangeru w całym basenie Morza Ojczystego.

Wyblakłe wspomnienia o Eru Itutmu – to wszystko, co Caltium Cidanta miała do zaoferowania.

Biskup LeCroes narzekał:

– To miejsce niczym się nie różni od pozostałych przeklętych wioch na wyspie. Nie ma tu żadnych łodzi. Nie ma tu mężczyzn przed sześćdziesiątką ani chłopców starszych niż dwunastoletni. Kobiety dzielą się na trzy kategorie: nijakie, jeszcze bardziej nijakie i całkowicie nijakie.

Brat Świeca zachichotał”.

– Ja jestem tylko prostodusznym heretykiem, Bries, ale ktoś mi kiedyś powiedział, że miejscowe kobiety powinniśmy traktować w taki sposób, jak byśmy chcieli, żeby traktowano nasze przysadziste connekiańskie żony. Nie wspominając już o tym, że celibat stanowi część twojej pracy.

– Jesteś wielkim kolcem w fundamentach, Świeca. Potrafisz zepsuć każdą zabawę.

– Robię, co mogę.

Ale prawdą było, że z okolicy zniknęły wszystkie kobiety w wieku rozrodczym, niezależnie jak liberalnie tę kategorię stosować.

LeCroes narzekał dalej:

– Wszystkie kobiety, które mogłyby wodzić na pokuszenie grzesznika, łącznie z owieczkami i maciorami, poukrywały się w górach.

Okupacja Caltium Cidanta i okolic była całkowicie wyzuta z jakiegokolwiek dramatyzmu. Jedyłą ofiarą był teragliański procarz, który złamał palec, popisując się przed miejscowymi chłopcami. Wieśniacy, którzy pozostali w domach, nie zdradzali nawet śladu wrogości. Tylko zdrową ostrożność.

Brat Świeca wyczuwał też dalece posuniętą rezygnację.

– To część świadomości narodowej – zapewniał go platadurski kapelan. Zszedł na brzeg, ponieważ znał dialekt shippeński. – Shippen najeżdżano niezliczoną ilość razy. Ludzie wiedzą, że i ten raz jakoś przeżyją.

– Mimo to będą się zajmować piractwem. – Fakt ten nie miał nic wspólnego z reakcjami na okupację. Ludzie mieli żyłkę piracką ze względu na historię wyspy.

Większość inwazji zaczynała się od pirackich rajdów; prawie natychmiast okazywało się, że z wyspy niewiele da się zrabować bogactw. Niemniej Shippen mogło dostarczyć znakomitej kryjówki przed wrogami.

Platadurski kapelan uśmiechnął się pomalowanymi na niebiesko zębami.

– Jeżeli chłopcom przyjdzie ochota na jakieś psoty, będą musieli przebiec całą drogę. Zanim tu dotrą, stracą siły.

Okupacja Shippen przebiegała bez fanfar triumfalnych, ale też bez większych konfliktów. Znaczniejsza szlachta udała się na kontynent, żeby tam stawić czoło atakom niewiernych. Powiększali przez to jeszcze głód i nędzę nękające żołnierzy armii Boga.

Na Shippen miejscowi oraz okupanci żyli wygodnie i w harmonii. Connekianie pomogli w żniwach. Kobiety wracały ze wzgórz, po kilka naraz, prowadząc żywy inwentarz. Connekianie nie byli pod większym wrażeniem, krążył dowcip, że to uroda calzirkich kobiet była przyczyną, iż Calziranje zdecydowali się wyruszyć na wojnę z chaldaranami do Firaldii.

Brat Świeca powoli się wciągał. I dużo mówił o swojej wierze. Miejscowi pramianie uważali, że jest zabawny. Rodzimi chaldaranie, którzy stanowili trzecią część populacji, uważali, że w maysalskiej herezji może tkwić ziarno prawdy.

Chaldaranie z Shippen nie przepadali za Brothe, Kościołem episkopalnym i Patriarchatem.

Brat Świeca martwił się o biskupa LeCroes. Biskup znajdował się poza swym żywiołem – kapelan bez swego stadka. Connekianie z *Taro* byli bez wyjątku maysalczykami, teraglianami i chaldaranami episkopalnymi, którzy woleli Wzniosłego V niż Niepokalanego II.

– Nie chcę ci przysparzać zmartwień, Bries.

– Wiem. Sam sobie wykopałem grób, kiedy zdecydowałem, że popłynę z przyjacielem. Gdybym miał odrobinę rozumu, pogodziłbym się z tym i przestał jęczeć.

– Kup osiołka i dołącz do hrabiego Raymone. – W Caltium Cidanta zapadał wieczór. Brat Świeca raczył się lokalnym winem, które okazało się zaskakująco dobre. Ekspedycja powoli zmieniała się w wakacje od życia.

Na Shippen niewiele uwagi poświęcano temu, że trwa wojna, że ludzie umierają w wielkich religijnych zmaganiach, które środkami siłowymi miały rozstrzygnąć wzajemne mocne i słabe strony ich przekonań.

Po obu stronach sporu na wyspie żyły rzesze głęboko wierzących. Ale nikt jakoś nie żywił szczególnej ochoty do podjęcia działań, w których wyniku to jego bóg stanie się wyłącznym zwycięzcą tej wojny.

Brat Świeca pełną piersią oddychał na wyspie, leniuchował, dyskutował o bzdurach z każdym, kto chciał go słuchać. Wszędzie indziej wszakże, jeśli można było dawać wiarę skrajnie dramatycznym wieściom, gromadziły się czarne chmury.

Ale po tej stronie cieśniny Rhype, po której przebywał brat Świeca, nikogo zanadto nie obchodziły te sprawy.

Alameddine i Calzir

Wszystko rozwija się wolniej i trwa dłużej. Zazwyczaj również więcej kosztuje. Imperator Graala miał nadzieję pokonać góry Vaillarentiglia na tyle szybko, żeby uniemożliwić calzirskie zbiory. Udało się to tylko kilku kompaniom Vondery Koterby. Poszła z nimi garstka imperialnych zwiadowców. Siły niewielkie, które wszak nie miały żadnych trudności z odparciem ataków obszar)anych i niezdyscyplinowanych Calziran, jacy wyszli przeciw nim w pole. Natomiast nigdzie nie widzieli przerażających pramańskich czarowników, którymi straszono ich w dzieciństwie.

Krajobraz polityczny Calziru był równie chaotyczny jak całej Firaldii. Kilku pomniejszych panów wojny zaproponowało przejście na ich stronę w zamian za możliwość zatrzymania swych posiadłości. Na nic. Wzniosły nie życzył sobie niewiernych sprzymierzeńców.

Z drugiej strony Lucidianie i Dreangeranie szybko załatwiali się z Calziranami, których podejrzewali o nielojalność.

Miejski Regiment Brothe Else'a, który tymczasem powiększył stan liczebny do ponad czterech tysięcy ludzi, oraz inne oddziały z towarzyszącymi im zwierzętami i taborami miały znaczne opóźnienie. Czysto praktyczne przeszkody i spory polityczne opóźniały ich postęp.

Else i jego sztab dokonywali cudów organizacyjnych i szkoleniowych. Ze wszystkich stron sypały się na nich pochwały. Nawet Ferris Renfrow w rzadkich wolnych chwilach, których nie spędzał na szpiegowaniu w Calzirze, zaszczycał ich niechętnym skinieniem głowy.

Nieważne jednak, jak dobrze był przygotowany Miejski Regiment, wciąż nie miał okazji, by pomaszerować. Rozkazy do wymarszu nie chciały nadejść; powodem była wojna na górze.

Podobne małostkowe przyczyny opóźniały ochotnicze oddziały ze wszystkich Państw Patriarchalnych.

Każda z Pięciu Rodzin chciała dla siebie więcej, niż wynosiłby sprawiedliwy udział w łupach w Calzirze. Patriarcha, Kolegium, Bractwo Wojny i wszystkie miasta wystawiające własne siły na mniejszą skalę, ale jednakowo kierowały się chciwością. Panowało tak powszechne przekonanie o nieuchronności zwycięstwa, że żaden z graczy nie zadawał sobie pytań o ewentualne koszty opóźnionego wymarszu.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu – oznajmił Else. – Musimy uciec przed tymi szalonymi, przerośniętymi dziećmi.

– Jak sobie chcesz – poinformował go Pinkus Ghort. Rozmowa odbywała się przy okazji niewielkiego, prywatnego spotkania sztabu, ponad miesiąc po ostatecznej dacie, na którą Hansel wyznaczył koniec pierwszej fazy operacji. – Gotowe kompanie wysyłamy już na południe. Po jednej dziennie. Titus przygotował rozkład tranzytu. Nic z niego nie zostanie, jeśli go nie wykorzystamy.

– Ciekawe. – Przemieszczanie pojedynczych kompanii Else mógł zarządzić bez potrzeby uzyskania aprobaty ze strony kilkunastu wtrącających się Brotheńczyków. – Ile minie czasu, zanim grube ryby zaczną pisać?

– To zależy od tego, kto nam się przygląda. Renfrow powinien się zorientować pierwszy. Ale on większość czasu spędza w Calzirze. Szpiegując. Tamtejsi devowie zdobywają naprawdę niezłe informacje. Ale powoli robią się nerwowi. Za bardzo się spóźniamy. Natomiast ostatnio Lucidianie i Dreangeranie wykazują sporą aktywność. Devowie boją się, że wyjdzie na jaw, co się dzieje, i ktoś ich srodze skarci za wchodzenie w konszachty z niewiernymi.

– Titus, co o tym myślisz? – zapytał Else.

– Ma rację. Devedianie z Calziru się boją. Devedianie wszędzie indziej też się boją. Na tym polega los deva.

– Nie jestem upoważniony do uspokajania kogokolwiek.

– To nie ciebie się boją panie.

Wspólnota devediańska nie przysporzyła mu żadnych rozczarowań. Choć ich skuteczność w pociąganiu za sznurki ożywiła stare, pogrzebane podejrzenia. Może jednak w starych opowieściach o devediańskiej kongregacji potajemnie rządzącej światem było ziarno prawdy?

Gledius Stewpo zawsze wykpiwał tę teorię. Potrafił przeciwstawić jej mnóstwo całkowicie wiarygodnych argumentów, niemniej czasami trudno było otrząsnąć się ze zdziwienia. Jak na przykład wtedy, gdy człowiek spotykał devedian uzbrojonych w proch strzelniczy, zdolny powalić najpotężniejszego czarownika.

– Nie bądź głupi – zapewniał Else’a Stewpo. – Gdybyśmy mieli choć jedną czwartą tej władzy, jaką przypisują nam te historie, nigdy by nas nie spotkało coś takiego, co zdarzyło się w Sonsie.

– Hm? – mruknął Else.

– Za każdym razem, gdy tylko zaczniesz się zastanawiać, czy devowie nie są przypadkiem sekretnymi władcami świata, zapytaj samego siebie, czemu wszyscy devowie, jakich znasz, żyją jak żyją podczas gdy reszta może żyć na swój sposób.

– Nie dbam o sprawy religijne – wyznał Else. – Nie obchodzi mnie, kto w co wierzy, jeśli robota jest wykonana.

Stewpo wyszczerzył zęby. Brakowało mu górnej jedyńki. Odrobinę więcej włosów, pomyślał Else, i wypisz wymaluj, można by go wziąć za karła z ludowej bajki, wytwarzającego złoto ze słomy.

Cały lud Stewpa wywodził się z krainy, gdzie rządziły bajki.

– Żadnych sekretnych władców – obiecał Stewpo. – Nawet gdyby każdy devedianin zgodził się, że jest to najlepszy pomysł od czasu, gdy Stwórca uczynił nas Narodem Wybranym, koncepcja załamałaby się w momencie pierwszego zebrania devedian w celu jej realizacji. Wydaje ci się, że małostkowość, próżność i zazdrość ograniczają się do twojego świata? Spróbuj pożyć w devediańskim getcie, gdzie każdy karat statusu jest zazdrośnie strzeżony... i staje się celem każdego, kto sądzi, że zyska tam, gdzie ty stracisz.

Else pokiwał głową. Udawanie wiary nic nie kosztowało.

– Titus. Kompanie mają ruszać na południe. W tej chwili. Poradź się swoich korespondentów. Gledius. Wiem, że nie wypowiadasz się w imieniu brotheńskich devów. Ale tu i teraz jesteś devediańskim macho. Będzie kompania devediańska czy nie? – Od tygodni devowie mamrotali o tym, ale ich przywódcy chyba sami nie wiedzieli, czego chcą. Else ze swej strony nie był pewny, czy Patriarcha i jego poplecznicy się zgodzą. Choć tajemnicą poliszynela było, że połączone navayańskie i connekiańskie siły króla Piotra obejmowały nie tylko chaldarańskich heretyków, lecz także

devedian i praman, przy czym ci ostatni byli liczniejsi od prawowiernych probrotheńskich episkopalnych.

– Będzie mały oddział specjalistów. Specjalizacja techniczna, przeznaczenie: niecodzienne problemy.

Else przypuszczał, że oznacza to urzędników i księgowych, których najważniejszą funkcją będzie służyć regimentowi za sumienie.

Rozkazy szły tak długo, że Else zaczął się obawiać, iż o nim zapomniano. Dwanaście kompanii już wyruszyło na południe, kierując się do obozu pod pogranicznym miasteczkiem Pateni Persus. Jedną z nich była kompania Bruglionich. W sile dwustu ludzi znajdowało się też kilkunastu członków rodziny. Siły Arnienów, dowodzone przez Rogoza Sayaga, były równie liczne. Dobrze uzbrojony kontyngent devediański, który wyruszył wcześniej, by przetrzeć szlak, liczył ponad trzy setki żołnierzy. Całkiem sporo tych specjalistów.

Ośmiu prowincjałów siedziało za długim stołem. Else znał wszystkich. Po jednym przedstawicielu każdej z Pięciu Rodzin. Prowincjał Doneto bez wątpienia występował w imieniu kuzyna. Zgrzybiały osiemdziesięcioletek nie robił nic, tylko wydawał dziwne odgłosy i ślinił się, podczas gdy trzydziestoletni biskup czytał w jego myślach i wypowiadał się za niego. Na koniec był wreszcie prowincjał Barendt ze Smoogen w Nowym Imperium Brothe. Człowiek Hansela.

Prowincjał Madesetti zaczął bez ogródek.

– Co pan sobie wyobraża, generale Hecht?

Else zdusił w sobie buntowniczy odruch. Ostatecznie właśnie otrzymał awans. Choćby tylko w głowie jednego człowieka.

– Mógłbyś wyrażać się bardziej konkretnie, wasza miłość? Zostałem zatrudniony, żeby szkolić ludzi i dowodzić regimentem, który to miasto oddało do dyspozycji Ojca Świętego. Zrobiłem, czego ode mnie wymagano. Ojciec Święty często wspominał, że chce, aby kara Calziru zaczęła się jak najszybciej. Trzeba pamiętać, że było to jeszcze przed zniwami. Teraz zbliża się zima. A my wciąż tkwimy tutaj, daleko od Alameddine i gór Yaillarentiglia, ponieważ Pięć Rodzin kłóci się o łupy wciąż pozostające w calzirskich rękach.

Ku zdumieniu Else'a w trakcie jego przemowy zniecka pojawił się Grade Drocker. Natychmiast wtrącił:

– Postawienie tych ludzi wobec faktów dokonanych jest jedynym sposobem, żeby cokolwiek z nimi osiągnąć, Hecht. Słuchajcie, wasze miłości. Przynoszę wiadomość. – Głos Drockera brzmiał znacznie mocniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego roku.

Else czujnie przyjrzał się czarownikowi Bractwa. Nie wiedział, że Drocker jest w mieście. Bractwo dobrze strzegło swych sekretów.

– Wróciłem tu, aby na własne oczy przekonać się, jakie są przyczyny opóźnienia – ciągnął Drocker. – Nie mogę powiedzieć, by podróż przebiegała szczególnie miło. Nie mam już tyle sił co dawniej. Ale najwyższy czas zacząć, panowie. Siły connekiańskie i direciańskie opanowały Shippen. Strategia zaakceptowana przez Ojca Świętego rozwija się znakomicie. Niemniej słyszałem, jak wyrażał swe niezadowolenie z tego, że jej następny etap wciąż się spóźnia. Trzon naszych sił pozostaje związany tutaj.

Oczy Drockera płonęły. Rzucił im wyzwanie. Kolegium obawiało się go. Wszyscy bali się Bractwa Wojny. A nade wszystko bali się niezadowolenia Specjalnego Oficjum. Nawet sam Patriarcha nie mógł do niczego zmusić Bractwa Wojny.

– Pułkownik Hecht, pochwalam twoją inicjatywę.

A więc jednak awans. A wraz z nim kilku nowych wrogów.

– Jego Świątobliwość kazał mi objąć dowodzenie nad Regimentem Miejskim i nie kierować się niczyją radą prócz jego mianowanego dowódcy. – Drocker wodził oczyma od prowincjała do prowincjała, a w rysach jego skancerowanej twarzy skrzepła zaczepka.

Specjalne Oficjum któregoś dnia zwróci się przeciwko Kolegium. Wytępienie czarnoksiężstwa było zasadniczym celem misji Oficjum.

– Patriarcha postanowił, że wszystkie siły wystawione na calzirską krucjatę wyruszą do Alameddine natychmiast – dodał Drocker. – Powiedział mi też, żebym z wszystkimi przeszkodami rozprawił się tak, jak uznaję za stosowne.

Ktoś próbował podnieść kwestię, że Regiment Miejski nie wchodzi w skład sił Patriarchy. Że to jest sprzeczne z jego patentem.

Grade Drocker nic nie odrzekł. Wyraz jego zniszczonej twarzy, napięty i chłodny, zamknął debatę. Tak wyglądała prawdziwa władza. Większa, niż Else oczekiwałaby po Gradzie Drockerze.

Else dotarł do obozu pod Paterni Persus w dniu, który był wyjątkowo zimny jak na klimat Alameddine. Wśród mglistej mżawki z nieba sypały się płatki mokrego śniegu. Po raz pierwszy od wieków na szczytach gór Vaillarentiglia zaczęły się gromadzić śnieżne czapy. Else'a to nie obchodziło. Sytuacja, w jakiej się znalazł, doskwierała mu już wystarczająco. Przez cały dzień warunki podróży pogarszały się z chwili na chwilę.

Być może to, co mawiano o zimach w Calzirze, bynajmniej nie było przesadzone.

Else nie miał szczególnej ochoty na kampanię w takich warunkach, które na dodatek mogły się tylko pogorszyć. Ale Hansel, Wzniosły i Drocker zamierzali zdystansować sukcesy króla Piotra w Shippen. Pogoda im nie przeszkadzała.

Obecnie pod bezpośrednim dowództwem Else'a pozostawało ostatnich kilka setek Miejskiego Regimentu. Jeżeli Pinkus Ghort wykonał swoje zadanie, oczekujący w obozie będą gotowi w każdej chwili pomaszerować na południe.

– W końcu wyrzucili twoją dupę z Brothe? – zapytał Ghort na widok Else'a, choć zwyczajowy familiarny ton zachował na chwile, gdy znajdą się sam na sam. Kwaterę główną regimentu zorganizowano w opuszczonym kościele.

– Drocker pojawił się w mieście. Zmusił ich, żeby mnie wypuścili. Są teraz wściekli jak szerszenie. Ale na Drockera.

– Ato im, cholera, nie wyjdzie na dobre, co?

– Ani trochę. Jaka jest nasza forma?

– Nie będziesz niezadowolony z żołnierzy. Natomiast niektórzy oficerowie... Nie pękłoby mi serce, gdyby przyszła jakaś zaraza i oszczędziła tylko kompetentnych.

– Załatw to z Bogiem. Ponieważ od żadnej ziemskiej władzy pomocy nie otrzymasz. Próbowałem trzy razy z trzema różnymi lobby. Równie dobrze mógłbym przemawiać w rodzimym lindrehr. Nie rozumieją, co znaczą dokonania i kompetencje... Daj spokój. Mówię poważnie. W jakiej jesteście formie? Rozkazy wymarszu mogą przyjść w każdej chwili.

– Powiedzieli ci coś ponad to, co chcą, żebyśmy wiedzieli?

– Wszystko. To znaczy, chcą powiedzieć, że będziemy musieli zrobić wszystko. Na przykład zdobyć całe terytorium na zachód od al-Khazen.

Równocześnie wiążąc siły al-Khazen do czasu, aż reszta kraju zostanie spacyfikowana. Mamy plan marszrutę?

– Dzięki devom. Ich wywiad jest naprawdę świetny. Masz coś w ich sprawie?

– Obiecałem, że unikną złego traktowania. Ich calzircy kuzyni również. To nie powinno przysparzać trudności. Czy się mylę?

Ghort niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie wiem.

Ordynans Ghorta wsadził głowę przez drzwi.

– Kapitanie, są tu jacyś devowie, którzy chcą się natychmiast zobaczyć z tobą i pułkownikiem.

Ghort jęknął.

– Bezczelne dupki. Powiedz im...

– Czekaj. I tak miałem po nich posłać – wtrącił Else.

– Wprowadź ich, Colon.

Else zapytał:

– Jak idzie Bo i Po Prostu Zwyczajnie Joemu?

– Jak nie chcesz, to nie wierz, ale obaj okazali się całkiem kompetentni. Bo jest niezłym podoficerem. Zna wszystkie sztuczki i szwindle i zajmuje się nimi, zanim zdążą zacząć śmierdzieć. A Joe dokonuje cudów ze zwierzętami. Nie dowodzi wprawdzie, ale dzięki niemu to wszystko funkcjonuje. Bestie są zdrowe i wykarmione.

– Dobrze. Zawsze uważałem, że każdy ma przynajmniej jeden wyjątkowy talent. Oficer musi po prostu się zorientować, co to jest, a potem rozwijać i... Cześć.

Devów było pięciu. Else znał Glediusa Stewpo, Shire'a Spereo i Titusa Consenta. Pozostali dwaj mieli na sobie dziwaczne stroje, byli mokrzy, brudni i bardziej smagłoskórzy niż devowie z Brothe. Titus Consent powiedział:

– Przepraszamy, że przeszkadzamy, zanim zdążyłeś się zaaklimatyzować, pułkowniku, ale mamy ważne wieści z al-Khazen.

A więc ci ciemni devowie będą z Calziru.

– Jest bardzo źle, Titus?

– Wcale nie jest źle, ponieważ zostaliśmy ostrzeżeni.

– Tak?

– Czarownicy, którzy dowodzili najazdem piratów, zainstalowali się w al-Khazen. Wydaje im się, że nikt o tym nie wie. Planują wielką zasadzkę. Chcą zwabić Bractwo w pułapkę, w której ma zginąć Grade Drocker. Razem ze swymi żołnierzami.

Else był pod wrażeniem. Jakiś agent musiał być obecny na naradzie strategicznej.

– Nie wymawiajcie Imienia Demona – mruknął Ghort, powtarza – jąc zakłęcie od złego znane we wszystkich krajach nękanych przez Delegatury Nocy. Czyli we wszystkich krajach na nie tkniętej jeszcze lodem ziemi.

Jak się okazało, Ghort nie lękał się na próżno.

Czyjś głos powiedział:

– Słyszałem, jak wymieniono moje imię. – Do pomieszczenia wkuśtykał o kulach Drocker. Na jego pokiereszowanej twarzy nie znać było żadnego uczucia.

Else zareagował pierwszy:

– Właśnie się dowiedziałem, że Starkden i Masant al-Seyhan przeprowadzili się do al-Khazen. Mają nadzieję zwabić nas w pułapkę. – Zwrócił się do Consenta: – Mów dalej.

– Kryje się w tym coś więcej.

– Jasne. Mów. – Miał nadzieję, że Consent nie dojdzie do pochopnego wniosku, że można sobie pogrywać z Drockerem.

– Starkden i Masant al-Seyhan nie będą jedynymi Panami Duchów uczestniczącymi w operacji. Jest jeszcze jeden. Jednak moim ludziom nie udało się podejść dość blisko. O jego istnieniu wiemy ze świadectw pośrednich. Ponieważ są miejsca, do których nikt nie ma wstępu.

Jeden z calzirskich devów powiedział coś. Else nie zrozumiał dialektu. Consent przetłumaczył:

– Czarodziej, którego nikt nie widział, jest... – Przerwa. – ...Jednym z obcych zza morza. – Przerwa. – Przybył przebrany za cudzoziemskiego żołnierza. – Przerwa. – Al-Khazen zasadniczo wzmocnili Lucidianie. Ale jest też paru żołnierzy i inżynierów z Dreangeru.

Drocker zapytał:

– Znam cię, karle?

Gledius Stewpo właśnie wycofywał się w głębszy cień.

– Nie sędzę, panie. – Stewpo przemówił z akcentem, jakiego Else jeszcze w życiu nie słyszał. W jego głosie nie było żadnych sonsańskich

naleciałości.

– Może. Niemniej... wydaje mi się, że cię powinienem znać. Mniejsza. Sprawa jest interesująca. Jestem ciekaw. Dlaczego wydaje im się, że uda się całą rzecz utrzymać w tajemnicy? – Drocker uważnie wpatrywał się w calzirskich devów, ledwie panując nad wszechogarniającą go nieufnością.

Consent przetłumaczył pytanie na dialekt. Szpiedzy odpowiedzieli. Przetłumaczył:

– Obcy pramanie nie wierzą, że jakikolwiek Calziranin zdradzi ich Patriarsze. Kilku panów wojny, którzy uznali suwerenność Imperatora, spotkał przykładowy los.

Wzniosły musiał się czuć, jakby dostał prztyczka w nos. Nikt nigdzie nie proponował uznania suwerennej władzy Patriarchy, jak w Direcii i części Connec, gdzie pramanie uznawali władzę chaldarańskich panów.

Consent tłumaczył dalej:

– W al-Khazen działają też czary, za którymi skrywa się większość zagranicznych praman.

Else podejrzewał, że w tym wyjaśnieniu są pewne luki.

– Ale nie można – dodał Consent – przez cały czas maskować tego, co porusza się w sposób nie do końca przewidywalny. Przecież muszą coś jeść, zwłaszcza teraz.

– Co ci ludzie tu robią jeżeli ten czarownik jest tak potężny? – zapytał Drocker.

Else zaczynał się domyślać, co martwi Drockera. W każdej chwili mogło się tu rozpętać piekło.

Consent zrozumiał.

– Ci dwaj mogą wchodzić i wychodzić bez przeszkód, ponieważ są agentami maftiego al-Khazen. Mafti uważa, że zbierają informacje z devediańskich wspólnot w chaldarańskiej Firaldii. – Na czole młodego człowieka wykwitły kropelki potu.

– Aha – rzekł Drocker. – Rozumiem.

Drocker panował nad swą nienawiścią, być może dlatego, że Consent mówił tak bezpośrednio.

– Rozumiem – powtórzył czarownik. – A jak mnie przekonacie, że nam zdradzają maftiego, a nie nas maftiemu?

Wszyscy już rozumieli, że leży tu na szali ich życie.

Titus Consent był jeszcze chłopcem, ale to on wpadł na właściwą odpowiedź.

– To jest kwestia interesów rasowych, panie. Ślepiec... przepraszam...

– Mów. Wiem, jaki jest stan moich oczu.

– W trudnych czasach devedianie muszą dbać o to, żeby być szczególnie użyteczni. Jasne jest, jak skończy się ta wojna. Nadchodzi chaldarański triumf. Będziemy się starać, żeby nastąpił jak najszybciej i jak najmniejszym kosztem, dzięki czemu ulżymy doli naszych ludzi.

Drocker pokiwał głową.

– Dobra odpowiedź. – Zaczął coś jeszcze mówić. Przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. – Hecht! – wydyszał w końcu; resztki zdrowej skóry na jego twarzy nabiegły szkarłatem. – Zajmij się tymi ludźmi. Przyjrzyj się uważnie. Nie pozwól obedrzeć ze skóry. Tę samą piosenkę będą śpiewać w sądach Calziru. I przygotuj się do wymarszu. – Przez cały czas wstrząsały nim spazmy.

Gledius Stewpo wynurzył się z cienia. Był blady. Z trudem łapał powietrze. Chciał coś powiedzieć, ale spojrzał na Ghorta, który wciąż robił się jak najmniejszy, zbyt mały, by mógł go dostrzec czarownik ze Specjalnego Oficjum. Stewpo zapytał:

– Widzieliście jakąś krew? Nie pluł tutaj, nie?

– Nie – odpowiedział Else. – Dlaczego?

– Jest jakaś paskudna nowa choroba, która zaczyna się od kaszlu i plucia krwią. Przyszła na zachód Jedwabnym Szlakiem.

– Mnie to wygląda na zapalenie płuc – powiedział Ghort.

– Zachowywałeś się strasznie cicho – zauważył Else.

– Nie miałem nic do powiedzenia.

– To byłby pierwszy raz. Ty. Karle. Drocker podsunął mi myśl. Dlaczego mam wierzyć, że nie zaprowadzisz mnie prosto w pułapkę?

Wkroczył Titus Consent.

– Słyszałeś. Ta wojna może mieć tylko jeden wynik. Imperator i Patriarcha zwyciężą. Naszym zamiarem zawsze było uratowanie tylu naszych ludzi, ilu się da. To oznacza, że powinniśmy być godnymi zaufania zawodnikami zwycięskiej drużyny. – Wydał z siebie odgłosy, które zelektryzowały calzirskich devów.

Wyciągnęli mapy. Nie jedną czy dwie, ale kopę map. Mapy w wielkiej skali, w małej skali, mapy ukazujące najdrobniejsze detale. Mapy, z których

Else dowiedział się wszystkiego, co tylko mógł sobie wyobrazić na temat marszruty regimentu i okolicy al-Khazen.

– Zadowolony, Pipe? – zapytał Ghort, gdy pojawił się parę godzin później.

– Jestem w ekstazie. To moja noc poślubna. Karle, to czyste złoto. Przepraszam, że poddałem się paranoi. Pinkus, musimy posadzić nad nimi cały sztab. Titus. Rozumiem, że masz plany marszruty na południe.

– Mam już opracowany szkielec logistyczny, pułkownika. Okoliczności uniemożliwiały planowanie ze szczegółami.

– Może być. Szkielec to wszystko, czego nam trzeba.

– Szkielec to wszystko, co nam zazwyczaj zostaje – musiał skomentować Ghort. – Pipe, ten dzieciak jest niesamowitym pierdolcem. Po prostu niesamowitym pierdolcem.

– Zawstydzasz go. A jutro poprosi o większy żołd.

– Masz zamiar przez całą noc się z tym zabawiać? – wtrącił się Stewpo. – Ci z nas, którzy jeszcze nikomu nie wpadli w oko, powinni zniknąć z widoku. To się odnosi do nas wszystkich, ale zwłaszcza do nich. Nie ma powodu zakładać, że w pobliżu nie roi się od szpiegów Calziru.

– Pinkus, zniknij tych dwóch. I wymyśl jakiś sposób, żeby wytłumaczyć ich obecność, gdy kto spyta.

– Przyjrę się też temu, kto pyta.

– Dobra myśl. Ja tu zostanę i będę uprawiał miłość z tymi mapami. Najbardziej rozpaczliwie jednak chciał sprawdzić, czy Polo już przygotował łóżko.

Ghort wyprowadził dwóch devów, ale Titus Consent został.

– Jestem w sztabie. Nikt się nie będzie zastanawiał nad moją obecnością.

– Jesteś strasznie pewny siebie i kompetentny jak na kogoś tak młodego.

– Jestem szczególnym przypadkiem. Szkolili mnie i wprowadzali od piątego roku życia.

– Na jakiegoś mesjasza?

– Nic równie pretensjonalnego. Po prostu ktoś, kto obejmie przywództwo, gdy los devedian spłynie do kloaki. Co zwykł czynić z zastanawiającą częstotliwością.

– Powinienem wydawać podejrzane odgłosy. Ale jestem zbyt zmęczony.

– Else nie chciał, żeby ktokolwiek odgadł, jak wszechogarniające podejrzenia zaczynały go ostatnio dręczyć.

– Jestem pewien, że Stewpo wyjaśnił błędne rozumowanie stojące za tą teorią – zauważył Consent.

– Wyjaśnił?

– Nie powiedział ci, że devedianie są tak ambitni, zazdrośni, małostkowi i zdradzieccy, że jedyna devska konspiracja mająca szansę na powodzenie nie może obejmować więcej jak dwóch ludzi?

– To by oznaczało, że trzech z pięciu, którzy tu przed chwilą byli, załatwi pozostałych.

– To jest raczej metafora.

– Nieważne. Wierzę, że wasze plemię mi pomoże.

– Masz wątpliwości.

– Ściśle rzecz biorąc, to nie są wątpliwości. Wiem, co robicie. I dlaczego. Nie mogę was za to potępiać. Ale teraz, gdy dołączył do nas Imperator, zastanawiam się, jakie jest wasze miejsce w całej menażerii. Nigdy nie wykazywał szczególnej wrogości wobec waszego ludu. I jest zaprzysięgłym wrogiem Wzniosłego, który jeszcze nie porzucił nadziei na eksterminację waszej rasy.

– Ten szczebel polityki jest poza zasięgiem takiego szczeniaka jak ja. Moja praca polega na tym, żeby robić wszystko, by regiment skutecznie funkcjonował.

Wrócił Pinkus Ghort.

– Zająłem się wszystkim, Pipe. Co myślisz? Knuć? Czy ulec ulubionej kurwie żołnierzy i trochę się przespać?

– Kurwa może poczekać. Jeszcze przez jakąś godzinę nie zasnę. Dlaczego nie oddzielimy możliwego od niemożliwego i nie wyeliminujemy myślenia życzeniowego durniów, którzy wierzą w dane im przez Boga prawo mówienia nam, co robić. Może jeszcze zadziwimy świat.

– Musisz uspokoić dupę. Titus. Powiedz mu. Trzech czarowników w al-Khazen, Pipe. Jeden z nich większy pierdolec niż te dupki, które ci skopały dupę w Brothe.

– Kapitan Ghort ujmuje rzecz dość brutalnie, ale ma rację. Trzech czarowników. Trzeba się nad tym zastanowić, pułkowniku.

– Masz rację. Nie wolno o nich zapominać. Będą na nas czekać. Niestety tak się składa, że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach. A ty, Pinkus?

– Nie. Zawsze świadomie unikałem tego gówna. To nie jest takie trudne, ponieważ to jest chyba głównie pramański problem.

Else zdał sobie sprawę z nieznacznego napięcia w postawie Consenta. A więc Titus wiedział o Sonsie. Co jeszcze Stewpo wypaplał? Zbyt wielu ludzi zbyt wiele wiedziało na temat Else’a Tage’a.

– Specjalne Oficjum to pramański problem?

Ghort parsknął.

– Do diabła, tak! Założę się, że nie znajdziesz większego wrzodu na dupie naszego Największego Szamana.

– Może. Ale nie o to chodzi. Musimy wymyślić, co zrobić z tymi w al-Khazen.

– Nie musimy.

– Co?

– Właśnie zrozumiałem, że nie musimy się przejmować tym gównem, Pipe. Przyjmijmy założenie, że Grade Drocker powie nam, co robić.

– Shiszna teza, pułkownika. To nie my będziemy dowodzić – zauważył Titus Consent.

– Błąd. Ja...

Ghort przerwał mu:

– Pipe, uspokój się na chwilę. Zabierz swą dupę do łóżka. Będziemy się tym gównem martwić, kiedy nam powiedzą ile go musimy zjeść.

Miejski regiment dotarł do Calziru w dniu, który uważały za święty wszystkie cztery religie wywodzące się z Ziemi Świętej. Zbieg okoliczności. Kalendarze nakładały się na siebie tylko raz co pięćdziesiąt sześć lat.

Siekł drobny grad, kłując policzki. Nadeszła zima. Zima w kraju, który od dawna znany był z okrutnych zim. Kraina odsłoniła światu zimne i nagie oblicze. Poza tym linie defensywne Calziru okazały się urojeniem. Igraszką dziecięcej wyobraźni. Mimo wcześniejszych brutalnych poczynań obrońców, których celem było dostarczenie przykładu dla innych, każdy pomniejszy szlachcic czy watażka wyrażał chęć złożenia przysięgi wasalnej na dowolne imię, jakie mu przedkładano. Wielu gotowych było się nawrócić, pod warunkiem że zachowają życie.

– Potem się z powrotem nawrócą, kiedy na południu sprawy popłyną ze ściekiem – zauważył Ghort.

Terenów południowych wiele już nie zostało. Wybrzeże znajdowało się osiemdziesiąt mil od Pateni Persus.

Else pokiwał głową.

– Zauważyłeś, że jakoś mało tu ludzi?

– No. I nie sędzę, że wszyscy pochowali się na wzgórzach. Uciekli do al-Khazen. Myślą, że czarownicy ich ochronią.

– Może i ochronią.

Else zajmował się lokalnymi przywódcami, przyjmując od nich przysięgi, biorąc zakładników, rekwirując dostawy. Nie spieszył się. Grade Drocker go zresztą nie popędzał. Czarownik też chciał się więcej dowiedzieć na temat wroga.

Else miał nadzieję, że się przekona, jak idzie innym oddziałom. Rzekomo Imperator z trudem przedzierał się przez wschodni Calzir.

– Czarny kruk wciąż jest z nami? – zapytał, mając na myśli Drockera.

Liczący czterystu ludzi oddział Bractwa maszerował tą samą drogą śladem miejskiego regimentu, ale dowódca wszystkich patriarchalnych krzyżowców upierał się, by towarzyszyć siłom Brothe.

– Wciąż mam nadzieję. Ale za każdym razem, gdy cofam się do ariergardy, on tam jest. Ze swoją gromadką. Ale trzeba kutasowi oddać, jest zdeterminowany.

Else nie oponował. Cieszył się, że wśród krzyżowców nie ma wielu takich jak czarownik Specjalnego Oficjum.

– Myślisz, że jest prekognitą?

– Kim? Nie używaj takich słów w obecności prostego wiejskiego chłopaka, Pipe.

– To znaczy, czy potrafi odczytać przyszłość?

– Jak jakiś astrolog czy ktoś taki?

– Właśnie, ktoś taki.

– Nie wiem. Czemu pytasz?

– Zastanawiałem się, czy to nie dlatego nie odstępuje nas na krok. Może przewidział, że na coś się nadziejemy, i chce być na miejscu, kiedy się to zdarzy.

– Cholera. Zaczynasz się robić straszny, Pipe. Może byś przestał myśleć tyle o złym gównie, w które możemy wpaść. Pomyśl lepiej, że możemy znaleźć skarbiec pramańskiego złota, który ukradniemy i za który kupimy sobie willę wypchaną po sufit chętnymi kurwami.

- Mam kobietę.
- Potrafisz odebrać mi resztki radości z marzeń, co?
- Może masz rację. Czasami staję się bardzo ograniczony, pragmatyczny i podchodzę do wszystkiego zbyt dosłownie.
- Czasami. Masz takie skłonności. – Sarkastycznie.
- Złe wychowanie.
- Cała twoja rodzina jest taka?
- Po większej części. – W Szkole Żywiołowego Narybku nie pozwalano na żadną frywolność.

Oglądana okiem zachodu cała al-Prama wszystko brała zbyt poważnie.

Widety przeoczyły calzirskiego jeźdźca, ukrytego w zaroślach doliny po lewej stronie kolumny marszowej. Zwiadowcy byli zbyt pewni siebie i leniwi, nie wspominając już o tym, że w zamieci nieskłonni oddalać się od głównych sił. Awangarda zapłaciła cenę.

W skład awangardy wchodził młodzi jeźdźcy z Pięciu Rodzin, Trwało między nimi nieustanne współzawodnictwo. Nie chcieli zawstydzać swoich rodzin na oczach rywali. Nie uciekli. Napastnicy, którzy zresztą też byli amatorami, wycofali się, gdy z tyłów nadeszła odsiecz.

Grade Drocker zastał Else'a brodzącego w zakrwawionym śniegu. Czarownik orzekł:

– To była calzirska kawaleria. Niedoświadczona. Ale szkolona dowodzona przez dreangerskich sha-lugów.

Else zgodził się z tą opinią ale nic nie powiedział. Piper Hecht nie miałby o tym pojęcia.

– Cholera – powiedział Ghort. – Wiemy też, co jedli na śniadanie?

Tak, pomyślał Else. Zapewne. Ale starał się wyglądać na kogoś, kto chętnie nauczy się czegoś od człowieka, który wcześniej walczył z pramanami.

Stan zdrowia Drockera pozostawał niestabilny. Nie potrafił pozbyć się tego kaszlu, choć krwią której tak się obawiał Gledius Stewpo, jakoś nie pluł.

Drocker nie bardzo miał ochotę kogoś uczyć, niemniej wyjaśnił:

– Atak przebiegał według klasycznej taktyki sha-lugów. Z zasadzki. Na odkrytą flankę. Całą siłą przy użyciu łuków i oszczepów. Ale prawdziwi sha-lugowie nie uciekliby tak szybko.

– Pożyteczna lekcja – powiedział Else. – Pinkus, zajmij się rannymi i poległymi. Muszę zamienić kilka słów z tym, kto dowodził zwiadowcami.

– To będzie Stefango Benedocto.

Drocker powlókł się za Else'em. Stefango Benedocto okazał się synem kuzyna Honaria Benedocta. Ufał, że dzięki koneksjom uniknie gniewu dowódcy. I faktycznie tak się stało. Else musiał przestrzegać pewnych praktycznych ograniczeń.

A Grade Drocker go zabił. Bez słowa. Na oczach setki świadków, wśród nich kilku z rodziny Benedoctów. Czarami, wykorzystując zaklęcie, od którego mózg Benedocta wyciekł oczami i uszami. Po wszystkim Drocker rzekł:

– Specjalnego Oficjum nie interesuje, kim jest twój wujek.

– Kolejna cenna lekcja, Pipe – skomentował Pinkus Ghort, kiedy usłyszał o incydencie. – To może zdziałać cuda dla morale. – Tym razem w jego głosie nie było cienia sarkazmu.

Wkrótce Else się dowiedział, że Grade Drocker już nie maszeruje z regimentem.

– Trzymał się nas, czekając, aż ktoś da mu pretekst do pokazania im wszystkim – orzekł Ghort.

– Też tak sędzę.

– Podziałało. Nawet najbardziej bezużyteczni z tych dupków powoli zaczynają sobie rozumieć, że sprawa jest poważna jak utkwiony w dupie rozgrzany pogrzebacz.

– To nie potrwa długo.

– Teraz ty jesteś pollyanną i musisz wszędzie się doszukiwać jaśniejszych stron?

– Taka moja robota, nie?

Potem były kolejne potyczki. Tym razem Calziranje nie dali się przyłapać nieprzygotowani. Else wiedział, czego się spodziewać, więc też się odpowiednio przygotował.

Noce Else'a nie były radosne. Zasypiał, zmagając się z sumieniem. Logika podpowiadała, że powinien dążyć do tego, by siły krzyżowców ugrzęzły. Ale regiment miejski był tylko ułamkiem inwazji, w dodatku odizolowanym. Siły Imperatora toczyły znacznie cięższe walki, ponieważ operowały w regionie lądowania zamorskich oddziałów. Najbliżsi sprzymierzeńcy Patriarchy postępo – wali wzdłuż zachodniego wybrzeża

Firaldii, ale większość jeszcze nie dotarła do Alameddine, co dopiero mówić o Calzirze. Miejski regiment maszerował trasą śródlądową wraz z żołnierzami Bractwa i kontyngentami z pomniejszych księstw, które wlokły się tuż za nimi. Na porządku dziennym było pomieszanie dróg służbowych.

Else w Bogu znajdował odpowiedź. Bóg zawsze odpowiadał, jakiegokolwiek by było pytanie. On musiał tylko zaufać woli Bożej. A wszystko potoczy się zgodnie z Jego planem.

Else obawiał się, że nie najlepszy z niego pramanin. Nie potrafił też podporządkować się woli Nocy. Każdego wieczora, gdy tylko regiment rozbił obóz, Else studiował mapy i doniesienia wywiadu, szukając sposobu, by nie kompromitując się, narazić Wzniosłego na porażkę.

Może został wysłany do Firaldii właśnie dlatego, że miał zawieść i sam paść ofiarą swej porażki. W takim wypadku Gordimer chciał...

Te kalkulacje nie przynosiły żadnych wyników.

Else sądził, że zna Gordimera. Marszałek sha-lugów był na tyle subtelny, by posłać potencjalnego rywala w miejsce, gdzie spotka go śmierć. Ale czy postąpiłby tak wobec Else'a Tage'a? Nie potrafił sobie wyobrazić, by Gordimer rzucił go w paszczę lwa.

Zdecydował się więc przeczekać. Będzie służył Brothe. Jak lepiej przysłużyć się Dreangerowi niż awansem w szeregach jego wrogów?

Pokazał się Pinkus Ghort.

– Devowie chcą się z tobą zobaczyć, Pipe.

– Powiedzieli czemu?

– Nie. Nie jestem dla nich kumplem. – Ghort rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy w którymś z pobliskich cieni nie czai się coś nieprzyjemnego. Ciągłe, machinalne oglądanie się za siebie było na zachodzie drugą naturą.

– Nie puścili farby?

– Ani kropli. Zakładam, że chodzi o wieści z al-Khazen. Widety znalazły przy drodze jakichś devów, kłócących się, czy rozpalić ognisko.

Ghort odegrał krótką pantomimę, w której frakcja „tyłki-nam-odpadną-z-zimna” kłóciła się z frakcją „przez-ten-dym-nas-pozabijają”.

Pogoda była kiepska i stawała się coraz grosza. Dzisiejszy dzień przyniósł kilkakrotne zmiany, ale zimno było przez cały czas. Przeszywający wiatr przywodził na myśl wspomnienia ostatniej zimy, którą Else spędził w przytulnym więzieniu. Śnieg z deszczem zastąpiły grube

płaty śniegu. Za otaczającymi drogę z obu stron kurtynami bieli pełzało coś, jakby tysiące widm.

Kiedy regiment dotarł pod al-Khazen, aktywność Delegatur Nocy jeszcze bardziej się wzmogła.

Tego dnia regiment nie pokonał nawet pięciu mil. Ale Else się nie spieszył. Był sam z hałastrą kiepsko wyszkolonych żołnierzy, którzy nie mieli jeszcze za sobą chrztu krwi i najpewniej spanikują na pierwszy widok słońca. Mądrość nakazywała nie naciskać, póki nie pojawi się Bractwo Wojny.

Po przejściu kolejnej mili Else zarządził rozbicie obozu.

Andorayanie z dala od domu

Svavar nienawidził świata. Firaldii też. I bandyckich najemników z kompanii Ockski Rashakiego. A nade wszystko nienawidził Delegatur Nocy. Był już gotów położyć się i umrzeć, by w ten sposób zaznać spokoju.

Shagot spał już bez przerwy od dwudziestu godzin. Albo dłużej. Niemniej okresy, które w miarę aktywnie spędzał na jawie, ostatnio się wydłużały. Potrafił szaleć przez dwadzieścia godzin, nim zapadał w sen głębszy niż koma.

Jedyną iskierką nadziei rozświetlającą egzystencję Svavara była pewność, że Arlensul wędruje obok niego wśród tych obcych, okrutnych wzgórz. Każdego dnia łowił kątem oka mgnienie jej sylwetki lub patrzył, jak znika wśród cieni w rzadkich chwilach, gdy kolumna ruszała naprzód.

Zbłąkana Selekcjonerka chciała, by wiedział, że ona tu jest. Była strażniczką czy katem? A może tylko narzędziem? Arlensul z mitu stanowiła ucieleśnienie obsesyjnej zemsty.

Svavar nie współczuł Arlensul. Chciała, żeby do tego stopnia znienawidził własną chorą nieśmiertelność, by w godzinie próby stał się jej sprzymierzeńcem.

Asgrimmur Grimmson nie był szczególnie błyskotliwy. Z czasem jednak potrafił rozwiązać każdy problem. W tych górach, gdzie do roboty nie było nic, jak tylko prawie za darmo brać imperatorskie szylingi, miał dużo czasu do namysłu, a wtedy różne myśli leżały mu się w głowie.

Svavar najemnik Imperium w niczym już nie przypominał sturlangera Asgrimmura Grimmsona, który kilkaset lat temu włączył się za swoim starszym bratem. Ten Svavar stał okrakiem na granicy oddzielającej od świata Królestwo Nocy, powoli zmieniając się w istotę, której nienawidził –

małą rybkę na skraju raf Delegatur Nocy. I jak to zdarzało się już milion razy wcześniej, przy całkowitej nieświadomości zaangażowanych, powoli stawał się kimś więcej niż człowiekiem.

A wygnana córka Ojca Wszechrzeczy przecierała mu drogę.

Nawet jeden człowiek na milion nie wiedział, że śmiertelnicy mogą stać się czymś więcej. A przecież boskość sama tylko czekała na człowieka z odpowiednią wolą i dozą szczęścia.

Ten jeden na milion rzadko zdawał sobie sprawę z roli przypadku. Wielki czarownik mógł poświęcić życie zdobyciu ascendencji i zginąć, próbując tego. Ignoranckiemu barbarzyńcy w rodzaju Svavara mogło się powieść po prostu dlatego, że nie wiedział lepiej. Zaczarowana głowa Shagota kiedyś należała do szamana, który postanowił stanąć w szeregu Delegatur Nocy. Istniejące już Delegatury wykorzystały go, manipulując jego ambicją w epoce, gdy cieplejszy świat strząsał z siebie władzę lodu, a bogowie i ludzie byli prostsi.

Svavar powoli rozwijał w sobie umiejętność wyczuwania Arlensul. Znacznie bardziej precyzyjną niż świadomość miejsca pobytu Shagota. Czuł chłód i pustkę, nienawiść i rozpacz, które stanowiły istotę Arlensul Wygnanej. Mimo iż w normalnych okolicznościach nie interesowały go uczucia bliźnich, teraz Svavar zastanawiał się, jak by to mogło być – wymieniać się z córką Szarego Wędrowca żołnierskimi historiami.

U Shagota wykształcił się denerwujący nawyk przechodzenia w jednej chwili ze śpiączki wprost w stan pełnej przytomności. Svavar właśnie piekł na rożnie powolnego, głupiego zajaca, którego wystawiła mu Arlensul. Shagot poderwał się na równe nogi i zawył:

– Co się, u diabła, dzieje? – jakby nie przebywał w całkowicie innym świecie od dwudziestu sześciu godzin. – Coś jest nie w porządku. – Zignorował dwie stopy śniegu, które spadły, gdy spał.

– To ten dupek Ockska – odpowiedział Svavar. – Nie chce robić tego, co powinien. Królik zaraz będzie gotów. – Svavar wiedział, że Shagot nie myśli o Rashakim.

– Hę? – Shagot potrzebował chwili, żeby się zorientować w otoczeniu. – Już nie pilnuje przełęczy?

– Nie o to chodzi, Grim. Od kiedy zasnąłeś, przysły trzy wiadomości od Vondery Koterby. Imperator chce, żebyśmy zeszli na dół, minęli al-Citizi i opanowali drogę wschód-zachód. Nie chodzi o pełną blokadę, tylko o to, by

przechwytywać meldunki. – Svavar mówił cicho, żeby nie usłyszeli poplecznicy Rashakiego. – On sam twierdzi, że czeka na bardziej opłacalną robotę. Aleja myślę, że po prostu boi się pokazać, jaką jest głupią dupą.

– Odmówił wykonania rozkazów i od Koterby, i od Imperatora?

Svavar rozluźnił się nieco. Odwrócił uwagę Shagota od dziwności otoczenia, której przyczyną była z pewnością Arlensul.

Svavar pochłonął znacznie więcej niż przypadająca na niego porcja zajęcia. Wycierając palce, rzekł:

– Musisz mnie wesprzeć, braciszku. – Wzniósł głowę potwora i zaczarowany miecz wykuły w czasie przed początkiem czasów.

Członkowie oddziału, w istocie żadni prawdziwi żołnierze, tylko bandyckie szumowiny, gapili się na Shagota, który zmierzał prosto do szałasów Rashakiego. Jednym uderzeniem rozbił byle jak sklecone drzwi. Wewnątrz najpierw ściął głowę jednego oficera i oszpecił twarz drugiego, a dopiero potem powiedział:

– Zignorowałaś rozkaz Imperatora. – Mówił głosem cichym i delikatnym. Nie znać w nim było żadnego napięcia. Głos człowieka machinalnie zadającego pytanie o cenę worka rzepy. Kopnął ocalałego, ponieważ jego krew kapała mu na nogę.

Ockska spojrział na wiekową głowę, zakrwawiony miecz, potem na Shagota.

– Myślałem, że możemy wydusić więcej pieniędzy.

– Imperator jest człowiekiem honoru. Dotrzymuje danego słowa. Od ciebie oczekuje tego samego. Nadszedł czas, by dowódca zrobił, co do niego należy.

– Pewnie masz rację.

– Dobrze. Dobrze. Mimo wszystko jesteś rozsądnym człowiekiem. Nie będę dla ciebie surowym kapitanem. Poza tym mój brat i ja wkrótce ruszymy w dalszą drogę. Braciszku, pomóż wstać naszemu nowemu porucznikowi, żebyśmy mogli uścisnąć sobie ręce i zatwierdzić nową hierarchię.

Rashaki był człowiekiem średniego wzrostu, który wybił się na dowódcę tylko dlatego, że był bystrzejszy i twardszy od pozostałych, nie zaś przez zwykłą niegodziwą siłę.

– Jesteście specjalnymi agentami Imperatora?

– Czymś w tym rodzaju – zapewnił go Shagot. Zatopił starożytny miecz w piersi Rashakiego. Svavar przytrzymał tamtego od tyłu. – Choć służymy potęgom większym niż jakikolwiek śmiertelny pan tej ziemi.

Zanim światło zgasło w jego oczach, Ockska usłyszał jeszcze te słowa. Uwierzył, ponieważ zobaczył coś, czego nikt poza nim zobaczyć nie mógł.

Ocalali porucznicy Rashakiego szybko donieśli reszcie o zmianie dowództwa.

Nikt nie protestował. Wszyscy zrozumieli, że są wśród nich agenci nocy.

Svavar wiedział, że poruczników Rashakiego nawiedzają te same myśli, które miał Rashaki, zanim brązowy miecz uwolnił go od potrzeby myślenia. Udawajcie, że zgadzacie się z szalonym obcym. Kiedy ogarnie go demoniczny sen, nie będzie kłopotów z zamordowaniem jego brata, a potem jego samego.

Shagot liczył na pomoc Dawnych Bogów. Jeśli w ogóle myślał. Svavar ufał Arlensul. Arlensul była blisko i miała własne cele w utrzymaniu Grimmssonów przy życiu.

Oddział wyruszył. W niższych partiach wzgórz było cieplej, ale śnieg sypał tak samo. Potem topniał i zmieniał się w błoto, jakby błoto było ulubionym smakołykiem bogów, dużych i małych.

W ciągu pierwszych sześciu dni pod nowym dowództwem doszło do czterech prób zamachu. Wszyscy spiskowcy umarli straszną śmiercią. Niektórzy zostali zmalretowani i wyssani z krwi, zanim jeszcze ruszyli przeciwko Andorayanom.

W dniu, w którym Shagot zabił Ocksę Rashakiego, oddział liczył osiemdziesięciu ośmiu ludzi plus smutną garstkę kurew, wlokących się za bandą z zasmarkanymi szczeniakami. Kiedy dotarli na pozycje wyznaczone przez Vonderę Koterbę, stan bandy zmalał do sześćdziesięciu pięciu. Większość zdezerterowała razem z dziećmi i kobietami.

Przez dwa miesiące oddział zakłócał calzirską komunikację. Samotni kurierzy i niewielkie grupki nie miały nigdzie dotrzeć. Jeńców odsyłano do Ferrisa Renfrowa na wschód. Płacił znakomite premie. Życie nie było bajką, ale nie było też paskudne. I wszystko wskazywało, że idzie ku lepszemu.

Svavar wkrótce zorientował się, że sam wszystkim kieruje. Shagot Bękart potrafił wedle potrzeby wprawić się w dziki trans berserkera. Natomiast codzienna organizacja i podejmowanie decyzji należały do jego brata.

Svavar radził sobie z tym dobrze. Utrzymawał oddział w kupie. Okresu jego dowództwa nie zakłóciła żadna śmierć, a dezercje zdarzyły się tylko cztery.

Oddziały Imperatora wspomagane przez siły Vondery Koterby opanowały wschodnią tercję Calziru znacznie łatwiej, niż którakolwiek ze stron uważała za możliwe. Pramańscy obrońcy sami byli zdumieni własną nieskutecznością.

Nawet mobilizowani przez doradców z Lucidii i wspierani zamorską kadrą, Calziranie nie potrafili dotrzymać pola zdyscyplinowanej ciężkiej piechocie i kawalerii Imperatora. Lucidianie walczyli dzielnie, ale upierali się przy nie tej wojnie. Johannes Czarne Buty nie interesowała elegancka taktyka manewrowa. Maszerował od wsi do wsi, od miasta do miasta, od portu do portu, ignorując siły wroga, póki nie atakowały – co zawsze dla praman kończyło się katastrofą. Imperialni pikinierzy trzymali wroga na dystans, a tymczasem waliła się na nich ulewa pocisków. Kiedy uciekali, ścigała ich i dorzynała kawaleria.

Okręty wojenne z Dateon i Aparion zablokowały południowe i wschodnie wybrzeże. Obcas firaldiańskiego buta się złamał. Tylko nieliczne oddziały pramańskie spróbowały się przebić na zachód, do tamtejszych armii. Svavar rozbił tych, którzy okazali się dość głupi, by skorzystać z jego drogi.

Po raz pierwszy zobaczył Johannes Czarne Buty, kiedy drogą przeszła Imperialna Gwardia Braunsknechtów, kierując się na zachód, w nadziei zaktywizowania mniej energicznych sił wystawionych przez Wzniosłego i Kościół Brotheński.

– To jakiś pierdolony karzeł – zauważył Shagot.

Nie całkiem, ale prawie.

Johannesowi towarzyszyła cała rodzina cesarska, co stanowiło miarę jego zaufania do własnej siły. Bracia jednak nie zobaczyli córek i dopiero znacznie później dowiedzieli się o ich istnieniu. Podczas przemarszu zajmowały kryty powóz, otoczony sporym i czujnym oddziałem niecierpliwych i ponuro zerkających konnych gwardzistów.

Dziedzic Imperatora, Lothar, jechał obok ojca, żałosny jak to dziecko, ale wytrzymał dzięki woli wykutej dla znacznie silniejszego ciała. Za wszelką cenę chciał, by ojciec był z niego dumny.

Po przejeździe Imperatora Ferris Renfrow odszukał braci.

– Wykonaliście świetną robotę. Vondera Koterba twierdzi, że zasłużyliście na nagrodę. Zgadzam się z nim. Chcecie dalej pozostać w służbie?

Svavar odebrał worek monet, natomiast Shagot rzekł:

– Pojedziemy z tobą. Szukamy człowieka. Jest gdzieś na zachodzie. Musi umrzeć.

– Wszyscy ludzie umierają.

– Wkrótce. To święta misja.

Svavar wyczuwał, że Renfrow wie, kim oni są. Z pewnością musieli mu donieść jego agenci.

– Opowiedzcie mi o tym, którego szukacie. Może będę mógł pomóc.

Svavar zdekoncentrowany widokiem ciężkiej piechoty, którą widział po raz pierwszy w życiu, odrzekł:

– Wiemy tylko, że jest w Calzirze i że poznamy go, kiedy go spotkamy.

W następnej kolejności minęła ich kompania Patriarchy. Brała udział w imperialnym natarciu na wschód. Potem Svavar wściekłym wzrokiem przyjrzał się czarnym wronom Bractwa Wojny. Wyprowadzali go z równowagi. Za to, co się stało w Brothe, zakon z pewnością żywił wieczną urazę.

Renfrow wciąż skłaniał go do mówienia. Svavar wiedział, że bierze go za przygłupa i naiwniaka. Nie obchodziło go to. Może i był kimś takim, ale nie aż tak, by nie pozwolić komuś się nie doceniać.

Kiedy Renfrow sobie wreszcie poszedł, Svavar rzekł do Shagota:

– Ten facet sądzi, że zna naszego człowieka. Chyba też wie, gdzie go można znaleźć. I sądzi, że wie, kim my jesteśmy.

– Jest z armiami Patriarchy?

– Tak myślę.

– To ma sens. Tym razem go dopadniemy.

Svavar przytaknął. Ale miał wątpliwości. Arlensul nie została uwzględniona w planie Ojca Wszechrzeczy.

Nigdy nie będzie lepszej chwili, by powiedzieć Grimowi o Arlensul.

Słowa nie chciały przejść przez gardło.

Svavar spłacił członków bandy.

– Każdy, kto chce jeszcze powalczyć, może iść na zachód ze mną i z Grimem. Wciąż nas potrzebują.

Zostało tylko dwunastu, którzy nic innego w życiu nie mieli. Reszta z nowo zdobytym bogactwem uciekła w swoje zimne, puste góry.

Shippen i Paluch

Biskup LeCroes usiadł obok brata Świecy, który przyglądał się, jak słońce zachodzi za ledwie widoczną mgiełkę niebieskich szczytów. Plecami wspierał się o migdałowe drzewo, rosnące na skraju gaju. Migdałowce przybyły na Shippen z pramańskimi najeźdźcami.

Słońce przycupnęło na odległych wzgórzach, spuchnięte, spłaszczone, krwistoczerwone jajo, którego blask nieuzbrojony wzrok potrafił przez kilka chwil wytrzymać.

Kolory rozpiezchły się po niebie niczym barwy rozprysnięte z palety szalonego demiurga. Mieszkańcy Shippen twierdzili, że jest to skutkiem waporów wydzielanych przez jakiś uspioły wulkan na północy.

LeCroes zagaikł:

– Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałem, żebyś wiedział. Plotki są prawdziwe. Król Piotr przeprowia się na kontynent.

– Czy to pomysł Wzniosłego? – zapytał brat Świeca.

– Żartujesz? Kiedy ta wojna dobiegnie końca, Wzniosły tak samo będzie się obawiał Piotra, jak teraz Imperatora.

– Więc może to Imperator podsunął mu tę myśl?

– Piotr jest na tyle bystry, by sam na to wpaść.

Brat Świeca szybko się domyślił, jakie były racje stojące za tym manewrem.

Zdobędzie przyczółek na kontynencie i dosłuży się lepszej reputacji w Firaldii, gdzie jak dotąd nie był szczególnie znany. A poza tym rozlokuje oddziały przyjazne Skrajowi Connec za armią Patriarchy, na wypadek gdyby Wzniosły zdecydował przedłużyć operację przeciwko Calzirowi w krucjatę przeciwko Connec. Niewielkim kosztem w ludziach i finansach

Piotr potroi stan navayańskich podbojów i uczyni z Navayi najsilniejsze chaldarańskie królestwo na zachodzie.

Brat Świeca nie mógł nie podziwiać króla Piotra. Tamten przewidział zakres otwierających się przed nim perspektyw, jeszcze zanim zdecydował się przewieźć i wesprzeć siły, jakie książę Tormond obiecał Wzniosłemu. Który z kolei, niewykluczone, postąpił tak za namową Isabeth.

Wzniosły wmanewrował się w sytuację nie do pozazdroszczenia, rozpaczliwie niezdolny do zdobycia i utrzymania tej wielkiej ziemskiej władzy, o którą zabiegali wszyscy patriarchowie Brothe.

Brat Świeca osiągnął Doskonałość, nie gubiąc cynizmu i sceptycyzmu. Cała smutna prawda polegała na tym, że żaden z ostatnich kilkunastu patriarchów nie dbał o swą duchową misję. Niewielu też wykazało się poważniejszymi kompetencjami, jeżeli chodzi o umiejętności polityczne.

– Chyba już rozumiem, jak to się skończy.

– Mianowicie?

– Jesteś zdecydowany trwać w wierności wobec Niepokalanego?

– Absolutnie. Jest jedynym prawomocnie wybranym...

LeCroes mówił głosem spiętym, poza tym unikał wzroku brata Świecy – a więc jednak romansował z agentami Wzniosłego i jak dotąd nie powiedział im „nie”.

– Niepokalany zapewne jest ostatnim Patriarchą z Viscesment.

– Przepraszam?

– To proste. Niezależnie, czy słusznie czy nie, Viscesment niewiele dziś dla ludzi znaczy. Dysydenci zaczęli już negocjacje, żeby nie znaleźć się na lodzie, gdy Niepokalany odejdzie. Założę się, że gdy to nastąpi, nie odbędzie się następna elekcja.

Brat Świeca też to ciężko przeżyje. Kościół podzielony, wadzący się ze sobą, nie miał dość sił, by prześladować opornych wobec doktryny episkopalnej.

LeCroes skłonił głowę.

– To prawda. Brotheńscy nas przetrzymali. Ta walka zresztą od początku skazana była na porażkę. Godny Szósty powinien błagać Imperatora o pomoc.

Czy uzyskałby ją? Niewiele było ciepłych uczuć między Godnym a Voromundem czy Spinomundem, jakkolwiek nazywał się ówczesny Imperator.

Godny nie miał kręgosłupa moralnego. Historia nazwała go Godnym Tchórzem. Ale nawet jednoznaczne poparcie Bractwa Wojny nie przekonałoby naonczas Brotheńczyków, że nie doszło do naruszenia ich przyrodzonego prawa.

– Zagubiłem się w myślach – powiedział brat Świeca, zwracając się być może do migdałowego drzewka, ponieważ biskup LeCroes już odszedł. Zapadał zmrok. – Twój Kościół wspiera się na opoce korupcji. A jednak nie podoba ci się, gdy ludzie szukają czystszych dróg.

Brat Świeca westchnął, uspokoił się. Podążający Drogą pojowali korupcję jako przypisaną naturze ludzkiej. Należało unikać potępienia, ale czysto negatywny program nie był twórczy. Trzeba dać przykład. Trzeba dowieść, że korupcja jest niegodziwa i stanowi wytwór imaginacji samego zła.

Hrabia Raymone przemawiał do zgromadzenia connekiańskich oficerów i znacniejszych ciur obozowych, włączywszy w to brata Świecę oraz kapelanów.

– Król Piotr otrzymał godny zaufania raport od naszych platadurańskich sprzymierzeńców. Dysponują swoimi źródłami w Calzirze. Calziranie są gotowi się poddać, przeciwni są tylko twardogłowi z al-Khazen. Chcą się związać z chaldarańskim przywódcą, który będzie szanował i tolerował ich indywidualne wierzenia, z królem Piotrem. Wielkim czempionem Chaldarańskiej Rekonkwisty.

Od strony praman z Platadury i Wybrzeża Terliagan dobiegły głosy uprzejmej aprobaty.

Hrabia Raymone kontynuował:

– Emisariusze z kilku miast na kontynencie położonych w regionie zwanym Paluch przebili się przez blokadę, by błagać Piotra o przyjęcie ich kapitulacji, nim dotrą do nich wojska Patriarchy.

Brat Świeca zmagął się ze swoim przyrodzonym cynizmem. Patriarcha i Kościół faktycznie byli ostatnimi ludźmi, którymi warto by zastąpić znanych od dawna tyranów.

Kontynentalni posłowie nie zwrócili się do hrabiego Raymone. Connekianie grali drugorzędne role w pasji króla Piotra.

Skutki mogły się okazać nadzwyczaj korzystne, ufał brat Świeca. Piotr może jeszcze się przeciwstawić szaleństwu Wzniosłego. Może sprawić, że w świecie wokół Ojczystego Morza nastanie epoka pokoju – pod

warunkiem że Wzniosłemu dopisze wielkie szczęście i połączy się ze swoim stwórcą.

Przygoda na Shippen sprawiła, że Raymone Garete dojrzał. Przestał żyć tylko gniewem i nierozważnym działaniem. Lekcją, którą wziął sobie do serca, była cierpliwość. Ponieważ kiedy już najeźdźcy zajęli Shippen, nie mieli nic innego do roboty, niż czekać.

Dwadzieścia dwa statki, w tym kilka niewielkich łodzi przybrzeżnych z Shippen, wślizgnęły się do portów Palucha: Scarlene i Snucco. Pierwszy leżał dalej na zachodzie i był rybacką wioską bez rybackich łodzi. Drugi był małym portem przeładunkowym dla towarów rolniczych z Shippen. W przystani również przede wszystkim rzucała się w oczy nieobecność jakichkolwiek statków. Kolaboranci, którzy przybyli na Shippen, upierali się, że nie ma to nic wspólnego z ostatnimi nieprzyjemnościami, jakich doznali od nich mieszkańcy chaldarańskiej Firaldii. Ot, splot nieszczęśliwych przypadków, nic więcej.

Nie napotkali żadnego oporu. Ci, którzy chcieli walczyć, dołączyli do ześrodkowania w al-Khazen, gdzie mieli zamiar zmiażdżyć krzyżowców, kiedy będą chorować i głodować wśród lodów oraz śniegów.

Connekianie i Direcianie z Shippen musieli się zmierzyć tylko z takimi przeszkodami, jakich następczą odległości i liczebność wojsk. Miasta poddawały się w tempie maszerującej armii.

Króla Piotra powstrzymywało tylko to, że nie miał dość żołnierzy, by obsadzić garnizonami wszystkie terytoria padające mu do stóp. Brał nawet pod uwagę zwerbowanie Calziran, ale nie miał im czym zapłacić.

Śmiałym marszem król Piotr i hrabia Raymone zajęli dwie trzecie obszarów, jakie siły patriarchalne miały okupować po upadku al-Khazen. Armia Piotra parła na wschód wzdłuż południowego wybrzeża, póki nie spotkała się z idącymi na zachód wojskami Hansela.

Dla brata Świecy wszystko działo się z oszałamiającą szybkością. W środku zimy niezdobyte obszary kontynentalnego Calziru ograniczały się do piątej części pierwotnego terytorium, głównie wokół al-Khazen. Poza tym istniały enklawy oporu w al-Healta i al-Stikla. Okręty wojenne z Dateon i Aparion blokowały oba porty. Oddziały Patriarchy znalazły się w zasięgu wzroku od al-Khazen, po jego północnej stronie.

Podczas narady strategicznej dotyczącej zakończenia wojny brat Świeca znalazł sobie miejsce za plecami kapitanów i generałów. Dowiedział się, że

Hansel był rozjuszony oportunizmem Piotra i jego dramatycznym, omalże bezkrwawym sukcesem.

Emocje Wzniosłego trudno było opisać.

Nic nie zdradzało, że al-Khazen zamierza się poddać. Brani od czasu do czasu jeńcy twierdzili, że dowódcy miasta nie tracą wiary w ostateczne zwycięstwo.

Brat Świeca odprawiał modły, udzielał posługi kapłańskiej braciom w wierze i nic nie mówił. Nie potrafił się wyzbyć strachu, że krzyżowcy zostali zrećznie zwabieni w ogromną pułapkę. Któregoś dnia, raczej wcześniej niż później, najbardziej ukochani poddani Przeciwnika rzucą się na nich.

Nieoczekiwanie, nawet sobie z tego nie zdając sprawy, brat Świeca był kuszony grzechem rozpacz. Kiedy zrozumiał, co się z nim dzieje, natychmiast zaparł się siebie. Ale przed długi czas nie potrafił wydobrzeć naprawdę. A w pobliżu nie było żadnego innego Doskonałego, który pomógłby mu w niedoli.

Do tego stopnia stracił zaufanie do siebie i swej wiary, że zaczął rozważać zakończenie wszelkiego ziemskiego bólu.

Wojna Wzniosłego z Calzirem

Dzięki niezmordowanemu Titusowi Consentowi i jego devediańskim sprzymierzeńcom regiment miejski spędził ten czas w wygodnym obozie za linią wzgórz, ale w zasięgu wzroku od al-Khazen. Nawet ostatni z żołnierzy i najniebezpieczniejsze zwierzęta znalazły w nim schronienie przed pogodą. Lokalni chłopcy i drwale, którym odmówiono miejsca za murami miasta, ponieważ uznano ich za darmozjadów, chętnie zdobywali trochę grosza, sprzedając drewno na opał, pomagając najeźdźcom w budowie schronów tudzież wykonując wszelkie inne prace. Materiał budowlany i opał pochodziły z oliwnych, cytrusowych, orzechowych i migdałowych gajów należących do Calziran, którzy się znaleźli za murami miasta i teraz gratulowali sobie, że wszystkie bezużyteczne darmozjady zostały na zewnątrz.

Za drewno, towary i informacje wywiadowcze płacono jedzeniem. Zaopatrzenie regimentu docierało teraz drogą lądową z Postastati, miasta duchów, jakie pozostało po wiosce rybackiej na zachodnim wybrzeżu Firaldii, ledwie dwadzieścia mil od wciąż rozrastającego się obozu episkopalnego. Transportem zajmowali się głównie calzirscy chłopcy. Każdemu, kto kradł zapasy, groziły drakońskie kary.

Regiment wciąż się rozrastał, ale powiększając swoją liczebność, nie zaś siłę. Każdy bardziej znaczący brotheński funkcjonariusz, każdy członek Kolegium najwyraźniej uparł się, by być na miejscu, gdy ostatni bastion praman na Półwyspie Firaldiańskim ugnie się przed Wolą Boga.

Else wybrał jakiś domek na zboczach, z dala od miasta, i uczynił z niego swój główny posterunek obserwacyjny.

Pramanie podchodzili do obrony miasta żywiołowo i agresywnie, każdego dnia urządzając wycieczki, zawsze podczas najgorszej pogody. Po kilku wczesnych pomniejszych katastrofach kapitanowie Else'a zrozumieli, że ich parweniuszowski cudzoziemski pułkownik chyba jednak wie coś, dzięki czemu mogą pozostać przy życiu.

Siły imperialne w kilku miejscach zostały powstrzymane. Hansel nie rozumiał taktyki sha-lugów.

W siłach patriarchalnych byli Grade Drocker i jego weterani z Bractwa oraz Else Tage, wciąż nękany moralnymi rozterkami.

Else, Pinkus Ghort i Grade Drocker znajdowali się w domku chatowni, przyglądając się al-Khazen. Sypał rzadki śnieg, ograniczając widoczność. Miejscowi przysięgali najeźdźcom, że to najgorsza zima za pamięci najstarszych mieszkańców.

Kilkunastu biskupów, prowincjałów i ważniejszych członków Pięciu Rodzin trzymało raczej głowy przy ziemi. Grade Drocker wywierał uspokajający wpływ na ludzi, którzy w normalnych okolicznościach z pewnością zachowywaliby się nieznośnie. Wzniosły powierzył mu funkcję naczelnego dowódcy Calzirskiej Krucjaty, choć nikt nie wierzył, że król Piotr czy Imperator podporządkują się jego rozkazom.

– Dzisiaj powinna być nasza kolej – zauważył Drocker.

Else, który wiedział, zgodził się:

– Ich dowództwo jest zbyt przewidywalne.

– Zbyt przewidywalne?

– Patrząc z ich punktu widzenia, Pinkus. Skład ich wojsk jak dotąd pozostawał stały, tak? Jeden kadrowy cudzoziemiec na piętnastu Calziran?

– Tak słyszałem. Jeszcze nie udało mi się ich ustawić w szeregu, żebym mógł...

– Przestań! – jęknął Drocker. Nie znosił bezceremonialnego stylu wyrażania się Pinkusa. Ghort natomiast twierdził, że Drocker dostanie apopleksji, kiedy spróbuje zrozumieć, co jest złego w tym, gdy cię ktoś próbuje rozśmieszać. – Patrzcie. – Drocker wskazał dłonią. Palce mu drżały.

Else się nie spodziewał, że Drocker przeżyje kampanię. Z każdym dniem jego stan pogarszał się odrobinę. Ale gnała go niespożyta siła woli.

Trzydzieści stopni na prawo od linii łączącej chatownię z al-Khazen uniósł się ku niebu kłęb sygnałowego dymu. Był ciemny. Plan się udał.

Później Else poznał całą historię. Nieoczekiwanie duży oddział Calziran połąknał przynęte. Pramanie ścigali uciekającą brotheńską kawalerię i wpadli w pułapkę, gdzie ponad czterystu z nich dało głowę w krzyżowym ogniu i pod zmasowanym atakiem z obu flank. Do niewoli trafiło osiemdziesięciu jeńców, choć nie było wśród nich żadnych sha-lugów ani Lucidian. Operacja okazała się dla praman katastrofą.

Else powtórzył tę taktykę. Druga strona wydawała się niezdolna zrozumieć, że ktoś może przeciwko nim stosować ich gambity.

Prowincjał Doneto Bruglioni zwrócił się do Else'a:

– Patriarcha życzy sobie szturmu na al-Khazen. Spóźnia się ze spłatą długów, jakie zaciągnął na kupowanie głosów podczas elekcji. Mówi o znalezieniu bardziej agresywnych oficerów.

– Ktoś mu wskazał, że nie on tu dowodzi?

– Nie słuchałby. Samo poruszenie tej kwestii graniczy z herezją, ale przyznam teraz, że zbłądziliśmy, zgadzając się na kompromis, jakim był Honario Benedocto.

Okazji do tej wypowiedzi dostarczyła narada w budynku czatowni. Else wraz ze swoim sztabem spędzał tu teraz całe dni, a Grade Drocker bywał regularnym gościem. Czatownię odwiedzała nie kończąca się procesja prowincjałów. Dyskusje dotyczyły sensowności zbudowania palisady wokół miasta, potem pojawiła się koncepcja małych fortów, które mogłyby zalewać ogniem podejścia do bram al-Khazen, stanowiących bazy dla wycieczek.

Grade Drocker przyglądał się prowincjałowi Bruglioniemu, jakby miał przed sobą szaleńca. Ghort zasugerował:

– Powinniśmy to omówić z moim szefem. – Wskazał Bronte Doneta.

Doneto przyglądał się szaremu masywowi al-Khazen mającemu za zasłonę śnieżnych płatków, jakby chciał go natychmiast zmiażdżyć, byle tylko jak najszybciej wrócić do domu.

Drocker zwyczajowo wyrzeźił chrapliwym głosem:

– Jeżeli Patriarcha chce zdobyć te mury, może sam tu zaciągnąć swój tchórzliwy zewłok i poprowadzić szturm.

– Oczywiście – dodał Ghort. – To czas pokona al-Khazen. Jeżeli Patriarcha potrzebuje pieniędzy, może znowu pożyczyć.

Taka była prosta prawda na temat al-Khazen. Krąg sił najeźdźców się zacieśniał. A w magazynach miasta nie było ziarna, które wykazywały

spisy. Przez lata padło łupem skorumpowanych urzędników.

Wycieczki furazerów na nic się nie zdały. Zbrojne oddziały nie zdobyły chaldarańskich spichlerzy. Na obszarach znajdujących się pod kontrolą oddziałów episkopalnych każdy atak pramański spełzał na panewce.

Drocker zgodził się z Ghortem.

– Wzniosły potrzebuje pieniędzy, niech je pożyczycy od devów. – Po chwili dodał: – Doneto wbije mu trochę rozumu do głowy.

– A jeśli nie zdoła?

– Zignorujemy ignoramus. Nie przysięgaliśmy popełnić samobójstwa dla Honaria Benedocta.

Else podejrzewał, że nastawienie Drockera względem Patriarchy mąciły jakieś osobiste pretensje. Drocker wypowiadał się urywanymi wybuchami, którym towarzyszyły strzyknięcia śliny i które przerywały chwile nierównego oddechu, ale ostatnio fragmenty zdań stały się dłuższe, a przerwy między nimi krótsze.

– Przechytryłeś z tymi swoimi zasadzkami, Hecht.

– Słucham?

– Dobrze zrobiłeś, przewidując ruchy wroga. Ale przez to wkrótce dojdą do wniosku, że muszą spróbować czegoś podlejszego.

– Słucham, panie? – Else przemawiał z całą pokorą, na jaką go było stać. Jąkający się, plujący śliną Drocker przywodził mu na myśl wszystkich nauczycieli, jakich w życiu miał. Czarownik postanowił zostać jego mentorem.

Drocker wyjaśnił:

– Walczyłeś z nimi człowiek przeciwko człowiekowi, myśl przeciwko myśli, ale miałeś przewagę calzirskich devów. – Ci ludzie zapłaciliby straszną cenę, gdyby o wszystkim dowiedziało się pramańskie dowództwo. – W al-Khazen przebywa trzech silnych czarowników – kontynuował. – Dodaj do tego Panów Duchów, którzy towarzyszą dreangerskim oddziałom. Nie chcą żebyśmy wiedzieli o ich obecności. Ale dalszych porażek zapewne nie ścierpią.

– Kolejny istotny powód, żeby nie atakować. Mogą wezwać wszystkie Delegatury Nocy – zauważył Else.

– Zaczną od małego.

Prowincjał Bruglioni zapytał:

– To prawda, Drocker? O tych czarownikach?

– Tak.

– Dlaczego Kolegium nie zostało powiadomione?

– Nie chcieliśmy, żebyście paplali o tym jak Firaldia długa i szeroka – odpowiedział szczerze Drocker.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego nie był ulubieńcem episkopalnej hierarchii. Aż dyszał pogardą dla egoistycznej małostkowości polityki Kościoła.

– Niemniej będziecie potrzebni, kiedy niewierni wezwą Delegatury Nocy.

– W oczach Drockera naprawdę liczyła się tylko jedna wojna: przeciwko Nocy.

– Teraz już musicie wiedzieć – zapewnił Doneta Else. – Ponieważ wy będziecie pierwszym obiektem ich ataku.

Drocker sprecyzował swe stanowisko:

– Nie będzie żadnego szturmu. Zaczekamy, nie będziemy mar – nować ludzi i dzięki temu zachowamy na przyszłość armię weteranów.

Podczas dłuższych wystąpień Drockera publiczność zazwyczaj zaczynała się niecierpliwić. Ale nikt go nie popędzał. To było pole bitwy, ojczyzna Bractwa. A niewielu było w Bractwie ludzi bardziej przerażających niż on.

– Mają mnie za srogiego – wyznał Drocker. Zaśmiał się, co wywołało atak tak gwałtownego kaszlu, że Else musiał wezwać cyrulika Bractwa, który zaaplikował czarownikowi wykrztuśne inhalacje z ziół pokruszonych w skórzanym woreczku. Redfearn Bechter pomógł Drockerowi wdychać zioła. Kiedy czarownik wreszcie doszedł do siebie, podjął jak gdyby nigdy nic: – Ja jestem ministrantem. Poczekajmy, aż się spotkają z Asherem Hugginem, Parthenem Loricą, Alinem Hamletem albo Bugonem Armeniem. Sam się ich boję.

– Wobec tego mam nadzieję, że nigdy ich na oczy nie zobaczę.

– Ty miałbyś się tym martwić? – zapytał Drocker.

– Jasne. Każdy powinien, kto nie jest jednym z was.

Czarownik uniósł pytająco brew.

– Kiedy należysz do tych, którzy muszą się martwić o następny posiłek, ludzie głęboko oddani swoimi przekonaniom wydają się naprawdę przerażający.

Drocker wydawał się rozbawiony.

Na zewnątrz sypał rzadki śnieg, za to nieprzerwanie. Pogoda się ustaliła. Czy skończy się na tym, że Calzir znajdzie się milę pod lodem, jak tereny

dalekiej północy?

Else zadrżał. Nawet porządna konstrukcja budynku czatowni nie chroniła przed zimnem. Chłód, przeciągi i rozmowa o pramańskich czarownikach – wszystko to zlało się w jedno w głowie Else’a. Zostawił Drockera, poszedł poszukać Ghorta.

– Pinkus, wszystkie te narzekania sprawiły, że zacząłem się zastanawiać. Jeśli ci ludzie tam nasadzają nas duchy, a my nie będziemy przygotowani...

– Rozumiem, Pipe. Co możemy zrobić, aby się przygotować?

– To, co robi każda rodzina żyjąca w miejscu, gdzie Noc zawsze czyha pod drzwiami. Zatkamy wszystkie szczeliny.

„Zatkamy wszystkie szczeliny” - było to w istocie stare przysłowie z Duarnenii, które powtarzano w różnych wariantach po całym świecie. Mądrość ludowa oparta na zdrowym rozsądku. Zatykając wszystkie szczeliny, uniemożliwiano zimnu wtargnięcie do środka, zarazem zostawiając na chłodzie wszystkie stwory Nocy.

Zatkamy wszystkie szczeliny.

– Pipe, te słodkie słówka szeptalem w uszka wszystkich młodszych oficerów od pierwszej nocy, gdy rozbiliśmy tu obóz.

– A więc osobiście nie będę musiał się im naprzykrzać.

Zatkamy wszystkie szczeliny. Else nie potrafił wyobrazić sobie nikogo na obczyźnie, kto by tego nie robił automatycznie.

Consent przyprowadził do Else’a kilku miejscowych devów.

– Ci ludzie ryzykowali dla nas wszystko, pułkowniku – szepnął. – Nie mogą już wrócić do siebie. Ale tam wciąż są ich rodziny.

– Rozumiem. – Miał ochotę wrzeszczeć. Czuł się jak złapany w pułapkę. Ci devowie chcieli zdradzić jego ludzi ich wrogom. A on musiał ich chronić i nagradzać. – Zainscenizuj jakiś rodzaj pokazowego procesu. Niech wszystkim się wydaje, że kłamiemy w kwestii pomagających nam calzirskich devedian. Skaż ich na powieszenie, a potem ułaskaw na prośbę brotheńskich devów.

– Ta cała sprawa śmierdzi bardziej niż zmarłe niemowlę, ale poradzę sobie.

– Zauważono ich już?

– Nie. Trzymamy ich z dala od widoku. Zresztą i tak nie chcieli rozmawiać z nikim prócz ciebie.

– Tak trzymać. Wprowadź ich. Dlaczego ja?

– Boją się szpiegów. Słyszeli, że w naszym obozie jest przynajmniej jeden wysoko postawiony pramański agent.

– Bez wątpienia to prawda. Taka jest natura ludzka. – Else Tage starał się nie przypominać żadnemu z devów, że jego lojalnością bynajmniej nie cieszą się wrogowie al-Pramy.

Szpiedzy donosili, że w oblężeniu życie wcale nie płynie jak w bajce, choć pierścień wokół al-Khazen jeszcze się nie zamknął. Obrońcy miasta zaczęli już zjadać zwierzęta pociągowe. Konie kawalerii ocalały, ale brakowało dla nich paszy. Spichlerze okazały się puste. Egzekucje odpowiedzialnych za to urzędników nieco poprawiły nastroje, ale na krótko.

Najbardziej cierpieli mieszkańcy al-Khazen, którzy nie podzielali religijnego entuzjazmu większości. Else słuchał właśnie opowieści mrozących krew w żyłach. Zerknął spod oka na Consentą.

– Cierpliwości – nalegał Consent. – Zawsze nam to powtarzasz.

– Mam nadzieję usłyszeć coś, co uczyni moją pobłażliwość wartą tej ceny.

Calziranje byli starzejącym się małżeństwem, zatrudnionym w pałacu maftiego al-Araj el-Araka, obecnie zajmowanego przez cudzoziemskich dowódców.

– Prowadzili księgi – wyjaśnił Titus.

– A więc masz dla nich ciepłe miejsce w sercu.

– Mieli wyjątkowe okazje znalezienia się blisko najważniejszych narad.

Starzy ludzie z al-Khazen nie mieli więcej cierpliwości niż Else. Byli wyczerpani. Chcieli już tylko złożyć gdzieś zmęczone kości i się przespać. Choć nie przestawali się martwić o dzieci i wnuki.

Else usiłował nie zadręczać się pytaniami, dlaczego starzy devowie wolą łaskę nieznanymi chaldaran od znanych praman.

Wielkie wieści sprowadzały się do tego, że wkrótce czarownicy z al-Khazen wkroczą do akcji. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Else nie potrafił pozbyć się wrażenia, że coś uszło jego uwagi. Warknął:

– Coś mi właśnie umknęło, Titus? Mogłeś mi zrobić jednozdaniową notatkę, w której zmieściłyby się te wszystkie treści.

Consent odrzekł:

– Chciałem nadać devediańskiej tragedii oblicze żywego człowieka. Najwyraźniej nie udało mi się.

Spojrzenie Else'a zetknęło się ze wzrokiem Glediusa Stewpo.

– Młodzi ludzie uczą się tylko na bezpośrednich przykładach. Ale sądzę, że ci starzy mogą się przydać.

– Na co?

– Pracowali w pałacu. Znają dokładnie wszystkie wnętrza.

– Rozumiem. Masz rację. Zrobiłem się niecierpliwy.

– Wyobrażam sobie, że nietrudno stracić cierpliwość, pracując ramię w ramię z Grade'em Drockerem.

– Nawet nie wiesz. – Spędził z Consentem jeszcze godzinę, omawiając problemy logistyczne. Najpoważniejsze uwzględniały sytuację, w której pozostałe siły Patriarchy dochodziły do wniosku, iż można pasożytować na regimencie miejskim.

Pierwsze spotkania ze stworami Nocy miały charakter stosunkowo spokojny. Czarownicy z al-Khazen nie chcieli na lewo i prawo rozgłaszać swej obecności.

Regiment miejski radził sobie z tymi czujkami w taki sposób, w jaki od zawsze radzili sobie ludzie: amuletami, urokami i zatkaniem wszystkich szczelin.

Oddziały Imperatora zacieśniły pierścień okrążenia na wzgórzach od południa i wschodu. Król Piotr wybrał mniej agresywną taktykę. Jego ludzie nie mieli ochoty narażać się na niełaskę aury.

Else, Grade Drocker, paru prowincjałów oraz dowódcy kontyngentów z kilku Państw Episkopalnych zastanawiali się nad możliwością infiltracji al-Khazen przez ujście kanału, które odkryli czarownicy Kolegium, wykorzystując takie same pomniejsze stwory, jakich pramanie używali, by śledzić poczynania oblegających. Else zapytał:

– Mamy pewność, że oni nie wiedzą o istnieniu tej kanalizacji?

– Nawet twoi devscy jeńcy o niej nie wiedzą – odpowiedział Bronte Doneto. – To jest technika Starego Imperium. W Starym Imperium Cassina była wielkim miastem.

Przerwał mu Pinkus Ghort.

– Przepraszam, Pipe. Pułkowniku. Prowincjale. Właśnie przyszło słowo. Cudzoziemscy pramanie zaczęli aresztowania wszystkich niepraman w mieście.

Else wymienił spojrzenia z Donetem.

– Czy to znaczy, że wiedzą, iż devowie nam pomagali?

– To devowie przynieśli te wieści – wtrącił się Ghort.

– Były już jakieś egzekucje? – zapytał Else. – Czy...? Przepraszam, Pinkus. Niewiele się dowiem, jeśli wciąż będę kłapał ozorem, co?

– Może tak, może nie. Ty jesteś kimś wyjątkowym. Ale i tak nic więcej nie wiemy. Nikt nie wie, co chcą zrobić z internowanymi. Były walki.

Bronte Doneto zauważył:

– Szkoda, że jeszcze nie zbadaliśmy tego systemu kanalizacji. Moglibyśmy uderzyć na nich, póki mają inne rzeczy na głowie.

Czy calzircy pramanie będą tolerować prześladowanie mniejszości miasta? Zapewne.

Grade Drocker wtrącił się do rozmowy:

– Ciekawe. Ale czy istotne dla nas? Skoncentrujmy się na problemach bieżących. Damy radę wprowadzić do środka ludzi, którzy zdobędą bramy albo wymordują pramańskie dowództwo?

Else zwrócił się do Ghorta:

– Sformuj drużynę z naszych devów i paru uchodźców, każ im śledzić rozwój sytuacji. – Pozostałym powiedział: – Być może rozgrywa się tu coś większego. Gdzie jest wyjście z kanałów?

Devowie z al-Khazen dostarczyli mu znakomitych planów, niektóre były tak szczegółowe, że przedstawiały nawet liczbę stopni wiodących do ważniejszych budynków.

– Nie jestem pewien – odparł Ghort.

Drocker zapytał Doneta i Bruglioniego:

– Naprawdę uważacie, że pramanie nie wiedzą o kanałach? Ja bym to wykorzystał jako pułapkę.

Drocker był już tak słaby, że trzeba go było nosić. Ale mówił prawie normalnie. Else nie spodziewał się, że dożyje wiosny. I miał w tej sprawie mieszane uczucia, ponieważ Drocker stał się jego patronem. Poza tym dzięki czarownikowi mógł dotrzeć w pobliże samego Honaria Benedicta.

Przesłanki stojące za aresztowaniami i prześladowaniami mniejszości prawie natychmiast wyszły na jaw. Większość wypędzono, chcąc obciążyć oblegających koniecznością ich karmienia. Kryminaliści, prostytutki, starcy nie spokrewnieni z nikim ważnym – słowem, wszyscy, którzy nie mogli bronić miasta – zostali wygnani razem z członkami mniejszości.

Przed wieczorem następnego dnia Dreangeranie i Lucidianie zaczęli wypędzać praman zdolnych do walki, którzy wszakże nie cieszyli się zaufaniem obrońców.

Else wysłał patrole na spotkanie części rozczarowanych ekspatriantów i przedłożył im propozycję wyrównania rachunków.

– Uważaj, Hecht – ostrzegął Grade Drocker. – Widziałem już takie rzeczy w Ziemi Świętej. Wśród tych uchodźców będą agenci wroga.

– Zapamiętam.

– Nie. Nie zapomniałem o mojej obietnicy – zapewnił Rogoża Sayaga Else.

Spacerowali w ciemnościach między posterunkiem obserwacyjnym i obozem regimentu.

– Pytam tylko dlatego, że Salny mówił mi, iż don umiera.

– Nie potrafiłbym o tym zapomnieć. Umowa to umowa.

– Ale.

– Bez żadnego ale.

– Rozumiem. Stałeś się jedną z kluczowych postaci krucjaty.

– Może, może nie. Urodziłem się w niewłaściwym miejscu i czasie. Bez wątplenia, gdybym był dość amoralny, zabiłbym ojca, a z sióstr zrobił prostytutki. – Jeden z bohaterów brotheńskiej starożytności tym się właśnie wślawił.

Rogoż zachichotał ohydnie.

– Brotheńczycy nie są gorsi od innych ludów. Po prostu słyszałeś tylko o tych, którzy byli najbardziej paskudni.

– Może.

– Po prostu pytam. Jak już mówiłem, don umiera.

– Jak myślisz, którego z Bruglionich don podziwia najbardziej?

– Prowincjała. Divino był z Draconem prawie tak blisko jak kiedyś Freido.

– To ma sens. Ale teraz trwa wojna. – Znaczyło to, że starszy członek Kolegium stanowi atut, którego nie można zmarnować, póki żyją wrogowie Brothe.

– Rozumiem. Po prostu sprawdziłem, czy pamiętasz jeszcze mojego ojca i dona.

– Nic się nie martw. Nie zapomnę ich hojności.

Wartownik zapytał o hasło. Else rzucił odzew.

– Hej! Pipe? Czy to ty, stary koniobijco?

– Bo Biogna. Bo, to jest kapitan Sayag z Domu Arnienów. Bo był z nami w Connec, kiedy kapitan Ghort i ja służyliśmy pod Grade'em Drockerem. Bo to dobry człowiek. Słyszałem, że ma ostatnie przebłyski tego, czego potrzeba żołnierzowi.

Bo dorósł trochę od czasu, gdy Else widział go po raz ostatni.

– Dzięki, Pipe. Przepraszam... pułkowniku.

Zanim Else zdążył wejść do niedużego budynku tłoczni winogron, który Polo zmienił w przytulną kwaterę, dopadli go Bronte Doneto i kilku jego sprzymierzeńców z Kolegium.

– Prowincjale – zagaił Else – ilekolwiek ci zawdzięczam i jakkolwiek byłbyś cenny dla wiary, nie mogę ci w tej chwili pomóc. Padam z nóg. Muszę się przespać. Choć chwilę.

– Przykro mi – powiedział Doneto. – Ale być może okazało się coś naprawdę ważnego. Zorientowaliśmy się dopiero niecałą godzinę temu. Niewykluczone, że chodzi tu o coś więcej niż starą wojnę między religiami.

Else powstrzymał się i nie powiedział prowincjałowi Doneto, że jest wielkim workiem wielbłądziego łajna.

– Musisz powiedzieć więcej.

– Mówiąc całkiem szczerze, Hecht, gdzieś na wschód od nas, w obozie lub wokół obozu Imperatora, znajduje się ciekawa potęga, która może być w pełni dojrzałą Delegaturą Nocy.

– Przeceniasz mnie, prowincjale. Nic nie rozumiem.

– Przypomnij sobie tę istotę w Ownvidiańskim Węźle. Kiedy przeżyliśmy tylko dlatego, że obudziłeś mnie na czas.

– Tak?

– Tam jest taka potęga... być może idzie za Imperatorem... przy której tamten bogon przypomina udomowioną łasicę.

Else spojrzał na Doneta takim wzrokiem, jakby kwestionował umysłowe zdrowie prowincjała.

Prowincjał kontynuował:

– W takich czasach jak te wiara najbardziej nawet oddanych dzieci Boga wystawiona jest na ciężką próbę, pułkowniku. Ta istota tam... w oczach ludów pierwotnych mogłaby uchodzić za pomniejszego boga.

Else skinął głową wzruszył ramionami, skrzywił się.

– I mówisz mi o tym, ponieważ...

– Ponieważ, czy ci się to podoba czy nie, musimy coś w tej sprawie zrobić. Ty i ja. Oczywiście, jeżeli ten stwór interesuje się naszą walką.

Else pozwolił sobie na parę chwil szczerzej modlitwy o to, by ten nonsens wreszcie się skończył.

– Powiedzmy, że masz rację. Co tu robi ten okropny bożek? Jeżeli nie jest ani pramański, ani chaldarański, czego tu szuka?

– O to już musisz jego zapytać. To jeszcze jeden symptom wzburzenia wśród Delegatur Nocy.

– Może powinienem się cieszyć, że jestem niewrażliwy na ich obecność.

– Większość ludzi dryfuje przez życie nieświadoma Nocy, póki Noc nie sięga po nich i nie miażdży.

– Jak tamten stwór z Ownvidiańskiego Wężła.

– Właśnie. Wciąż nie mam zielonego pojęcia, o co tam chodziło. Nie mam żadnych wrogów, którym chciałoby się zadawać so – bie tyle kłopotów. Znacznie łatwiej można było mnie zamordować w więzieniu Imperatora.

– Może obraziłeś Przeciwnika we Własnej Osobie?

– Mało prawdopodobne. Poza tym za tym bogonem stał człowiek.

– Co to za hałas? – Jednak od razu się zorientował. Hałas podnoszony przez zaatakowanych znienacka ludzi.

Doneto zbladł.

– Nie może być... Wiedzielibyśmy z góry, gdyby wysłali przeciwko nam żołnierzy.

Pramańscy czarownicy atakowali Bractwo, co sugerowało brak nie tylko ich informacji wywiadowczych, ale też zwykłej inteligencji. Kontyngent Bractwa nie stanowił żadnego zagrożenia dla al-Khazen.

Zamieszanie się skończyło, nim Else dotarł na obszar walk. Prowincjałowie przepędzili coś w rodzaju tego monstrum, jakie Else znał z Lasu Estery. Trzech Braci padło ofiarą gniewu stwor i nikt nie zginął. Najwyraźniej napastnikom zupełnie nie o to chodziło.

Else spostrzegł kilku przyglądających się devedian. Cóż za zbieg okoliczności, że pierwszy cios spadł na tych, którzy najwięcej szkód przysporzyli devom? To oni kontrolowali przepływ informacji między obiema stronami pola bitwy. Albo tak im się wydawało.

Wróg spróbował znowu, precyzyjne ataki miały siał przerażenie.

– To przed tym stworem mnie ostrzegłeś? – zapytał Doneta Else.

- Nie. To pomniejszy bogon. Całkowicie obcy.
- Obcy?
- Pramanie musieli go ze sobą przywieźć z za morza. W Calzirze już takiego nie spotkasz.
- A więc? Jaki sens? A może to tylko dla odwrócenia uwagi?
- Odwrócenia uwagi?
- Co się jeszcze dzieje, podczas gdy my oglądamy to głośne przedstawienie? – Taka byłaby klasyczna taktyka sha-lugów. Pokaz fajerwerków tutaj i decydujący atak w innym miejscu.
- Dobrze kombinujesz, Hecht. Przyjrzę się. Tymczasem ty powinieneś pójść do swoich żołnierzy.

Miejski regiment nie potrzebował oka dowódcy. Ludzie byli trochę nerwowi, ale zachowali dyscyplinę. Stacjonujący w centrum wielkich sił patriarchalnych regiment chroniony był fosą ludzkich ciał. Stwory Nocy nawet się doń nie zbliżyły.

A jednak przez całą noc w obozie rządził strach.

Grade Drocker orzekł:

– Ostatnia noc okazała się dla praman porażką. – Patriarchalni dowódcy nie nazywali już wroga Calziranami. Calziranje już nie dowodzili. – Noc ugięła się przed naszą nie ich wolą.

Else dowiedział się, że aby zdławić serca patriarchalnych dowódców, wysłano małe, okrutne istoty. Wszystkie te zabójcze z gęstki cienia zostały eksterminowane. Prowincjałowie byli przygotowani. Szczególnie uzdolnieni spośród nich, na przykład prowincjał Doneto, napuścili niektóre na rodzimych pramańskich mieszkańców al-Khazen.

Życie żołnierza polega głównie na czekaniu lub maszerowaniu do miejsca, gdzie będzie się czekać. Oblężenie było czekaniem w postaci skondensowanej. Else czuł narastające powoli zniecierpliwienie. Ale nigdy nie opanowało go w takim stopniu, by zapomniał, że niecierpliwość jest matką głupich decyzji.

Pokazał się Ghort.

- Otrzymałeś sprawozdanie o stratach zeszłej nocy, Pipe?
- Jeszcze nie. Nie myślałem, że ponieśliśmy jakieś straty. A tak się stało?
- Nie jestem pewien. Kilku ludzi mówiło mi, że coś im się stało, ale wyglądali, jakby po prostu za dużo wypili, a potem w panice wpadli na coś.

No i jest jeszcze ten facet, który dowodzi kompanią Arnienów. Sayag. To twój kumpel, racja?

– Nie do końca. Pracowaliśmy razem. Widziałem się z nim zeszłej nocy. Co się stało?

– Nie jestem pewien. On zresztą też nie. Myśli, że coś próbowało go dostać. Ale to się nie wydaje szczególnie prawdopodobne.

Nie, nie wydawało się. Chyba że Divino Bruglioni odkrył, co Arnienowie zrobili jego krewnym.

– Nie wiem. To jest świat pełny wszelkiego nieszczęścia, Pinkus.

– I szybko staje się coraz go pełniejszy. Wszędzie. Nie masz czego szukać w swojej ojczyźnie. Ten kraniec świata znajdzie się pod lodem jeszcze za naszego życia.

– Cały świat znajdzie się pod lodem, Pinkus. Jeszcze za naszego życia. Jeśli bodaj połowa plotek jest prawdziwa.

Jakiś czas później Else z czatowni obserwował ponad polem śniegu mury, dachy i wieże al-Khazen. Tego ranka wydawały się ciemniejsze i bardziej groźne. Tam byli jego ludzie. Ale jakoś nie potrafił znaleźć w sercu współczucia dla nich. I pewien był, że za tymi murami nie znalazłoby się nawet kropli współczucia dla Else'a Tage.

Czy cały świat znajdzie się pod lodem? A może Studnie Ihrian zaczną mocniej pompować magię, jak to, niewykluczone, bywało już wcześniej?

Następna noc zaczęła się tak samo jak poprzednia. Jednak ataki nocnych stworów tym razem załamały się wcześniej. A Bronte Doneto i jego komilitoni z większą energią zawrócili kierunek ataku.

Atak był dziełem wyłącznie al-Seyhana i Starkden. Czy myśleli sobie, że obecność trzeciego czarownika wciąż pozostaje tajemnicą?

Trzeciej nocy zaatakowali wojska imperialne.

Ghort znalazł Else'a w miejscu, gdzie byli wolni od obserwatorów Bractwa, prowincjałów, Pola, devów i innych trapiących ich zmór.

– Dostajesz szau od tego najnowszego gówna, Pipe? Bo ja tak. To dupki... Myślisz, że zdobywcy przeszłości też musieli sobie radzić z tym gównem, które nam się przydarza każdego dnia?

– Opowieści z dawnych dni wydają się tak chwalebne, ponieważ ani słowa nie ma w nich o małostkowości, chciwości, podłości, ciosach w plecy i walkach wewnętrznych wśród sojuszników.

– No, tak. Pieprzyć to. Prawdopodobnie masz rację. Ludzie się nie zmieniają. To znaczy, że zawsze wyleżą z nich dupki. Poza tym wcale nie chciałem rozmawiać o tym gównie.

– Ale coś ci chodzi po głowie.

– Och, tak. Po niej zawsze coś chodzi. Ale są szanse, że nie jest to wcale ważniejsze niż rzeczy, które chodzą po głowie tym kretynom, którzy słuchają wprawdzie, ale słyszą tylko to, co chcą słyszeć.

– Zimno jest, Pinkus.

– Wiem, o co mi chodzi. To znaczy chcę, żebyś mi powiedział, o co tobie chodzi. Nie chcę, żeby mi z dupy zrobili kotlet tylko dlatego, że nie znam planu.

Else otoczył ramieniem barki Ghorta.

– Próbowalesz ostatnio tego sfermentowanego soku z owoców?

– To jest jedyna rzecz, którą ci niewierni dobrze robią, Pipe. Nie wolno im pić nic, co mogłoby ich wprowadzić w dobry nastrój. Ich bóg musi być kawałem sukinsyna. Niemniej jakoś im się udaje robić dobre wino.

– Więc jednak próbowałeś.

– To nic nie znaczy. Natomiast ważne jest... to znaczy chcę wiedzieć, co będziemy robić?

– O czym ty bredzisz, Pinkus?

– Nawet nie wiesz, co się dzieje, racja?

– Masz rację, nie mam pojęcia.

Ghort wykonał parę werbalnych ćwiczeń, których celem było najwyraźniej odzyskanie kontroli nad językiem.

– Nawet nie wiesz, że teraz jesteś tu facetem numer jeden. Samcem alfa, zaraz po Gradzie Drockerze, który zapewne już długo nie pociągnie.

– Dalej niewiele rozumiem.

– W porządku. Słuchaj. Już ci mówię. W armii Patriarchy mamy ilu... jedenaście, dwanaście tysięcy ludzi?

Else mruknął:

– Dwanaście tysięcy dwustu. I jeszcze trochę. Może osiem tysięcy zdolnych do walki. – Armie nękały choroby. Ale miasto cierpiało znacznie bardziej. – O co ci chodzi?

– Zauważyłeś na poważnych naradach, że nawet takie dupki jak hrabia Juditch va Geiso zamykają się, kiedy ty mówisz?

Nie zauważył. Widział natomiast, że nawet prowincjałowie i najważniejsi szlachcice z szacunkiem odnoszą się do Grade'a Drockera.

– Nie.

– Na Świętą Przepuklinę świętego Eisa, Pipe! Na faceta tak bystrego, jeśli chodzi o całe gówno w polu, jesteś kompletnie głupi, jeśli idzie o własną pozycję w obozie. Ci goście obserwowali cię przy robocie, Pipe. Niektórzy wcale nie są z tego powodu szczęśliwi, ale nawet oni widzą, jak dowodzisz regimentem. Widzieli, jak walczysz. Wiedzą, że żaden z tych dupków z klas rządzących nie potrafiłby wykonać nawet w połowie tak dobrej roboty. I żaden z nich nie pozwoli drugiemu, żeby mu mówił, co ma robić.

To akurat Else dostrzegł. Wielokrotnie.

– Nie wierzę ci, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Nie musisz mi wierzyć. Ale zrobiliśmy swoje. My, to znaczy ci, którzy nie chcą marznąć, głodować i być może ginąć, ponieważ jakiś idiota za cholere nie ma pojęcia o wojennym interesie...

Else pokręcił głową.

Ghort machnął ręką.

– Wielu ludzi myśli, że to właśnie ty możesz zadbać o ciepło, jedzenie i oddech dla wszystkich, jeśli Drocker kopnie w kalendarz.

– Wobec tego cała ta rozmowa jest psu na budę. Wstrętny staruch nigdzie się jeszcze nie wybiera. – Mówił wbrew sobie.

– Zagraj ze mną w „a co jeśli?”, Pipe. Co zrobisz w pierwszej kolejności, jeśli przejmiesz dowództwo?

Else zmarszczył brwi. Czy Ghort był na tyle głupi, żeby bawić się w jakieś spiski?

– Mówisz poważnie? Jasne, że mówisz. Nie masz dość wyobraźni, żeby nie mówić poważnie. A przynajmniej tyle starasz się nam wmówić. Gdybym dowodził, co bym zrobił? To samo, co robimy dotąd, Pinkus. Okopywał się, zacieśniał pierścień okrążenia i nie robił nic, w wyniku czego moglibyśmy się dać głupio pozabijać. Maksimum rezultatów przy jak najmniejszym rozlewie krwi. Po naszej stronie i ich. A więc czego tak naprawdę chcesz, Pinkus?

– Nie ściemniam, Pipe. Mówię prosto z mostu. Uważam cię za człowieka kompromisu. I nie zgadzam się, że Drocker jest w dobrej formie.

– Wobec tego słyszałeś, co powiedziałem, Pinkus. Powiedz Donetowi, że będę robił wszystko tak jak Drocker. Pozwolę, by czas wykonał robotę za

mnie. Jak przy produkcji wina. Choć może bardziej niż on będę się starał namówić praman do poddania się.

– Dobra, naprawdę potrafisz wkurzyć człowieka, Pipe. Tak naprawdę nie powiedziałaś mi żadnego gówna, które byłoby gówna warte.

– Pinkus, nie wiem, co jeszcze chciałbyś usłyszeć.

Ghort warknął i udawał, że wyrywa sobie włosy z głowy.

– Jak to możliwe, że nie chcesz mi udzielić prostej odpowiedzi na proste pytanie?

– Udzieliłem.

– Założę się, że powodem opuszczenia Duarnenii było to, że cię wygnali, bo nie mogli znieść twojego sztywnego karku.

– Nie rozumiem, czego chcesz.

Ghort po raz kolejny dowiódł swojej moralnej elastyczności, wzruszając ramionami i mówiąc:

– Przyjmijmy, że przegrałem. Myślałem, że namówię cię, żebyś mi coś podrzucił. Hej. Zgadnij co... a raczej kto... się pokazał? Ten wstrętny mały połykacz mieczy, który polerował fujarę biskupa Serifsa.

Zaskoczony Else wypalił:

– Osa Stile? Męska dziwka?

– Myślałem, że miał na imię Armand.

– Masz rację. Stile... Skąd mi się to wzięło? Jest tutaj? Jak to się stało?

– Zaczepił się przy jednym gościu z Kolegium. Jednym z tych naprawdę cichych, groźnych, niesamowitych starców. – To oznaczało jednego z potężniejszych prowincjałów, gdy przychodziło do pracy z Delegaturami Nocy. Jednego z tych ludzi, dla których Noc była miejscem romantycznym i pełnym przygód, nie zaś domeną grozy. To z kolei idealnie pasowało do szpiegowskich celów Osy.

Kolegium było najsilniejszym szansem, jaki Wzniosły mógł ustawić między sobą a ambicjami Johanna Czarne Buty. Ale jego stronnictwo dysponowało w nim niewielką tylko większością. Ferris Renfrow z pewnością wolałby mieć Kolegium pod czujnym okiem.

– Obserwuj go, Pinkus. W tym chłopaku jest więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

– No. Są jakieś szanse, że zrobimy coś więcej, niż siedzieć tu i czekać?

Znowu to samo.

– Nie, jeżeli to będzie ode mnie zależało. Jeśli jednak masz ochotę popełnić samobójstwo, mogę ci dać list polecający do Starkden i Masanta al-Seyhana.

– Nie mam nastrojów samobójczych. Nudzę się.

– Nudzisz? Nie masz dość roboty?

– Roboty mam dość. I nie chcę, żebyś wpadł na głupi pomysł z cyklu: masz za mało czasu, znajdę ci dodatkowe zajęcie. Ale jestem człowiekiem czynu.

– Pinkus, jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś dołożył choć odrobiny starań, by zrobić sobie krzywdę.

– No. Ale można się zdenerwować, kiedy wciąż się tylko siedzi na tyłku.

– Za siedzenie płacą ci tyle samo co za odrąbane członki.

– Jeżeli tak sprawę stawiasz...

– Wszystko sprowadza się do jednego, Pinkus. Cały rachunek. Wyjść z tego z życiem. Uginając się pod ciężarem bogactwa. Tego ja chcę.

– W porządku, chłopie. Najpierw żywy, potem bogaty.

– A jak tu już skończymy?

– Wróć do Brothe i będę u Doneta człowiekiem numer jeden. A ty zostaniesz pieszczołkiem Kolegium. Może dowódcą jakiegoś stałego regimentu patriarchalnego. Załapaliśmy się, Pipe. Póki czegoś nie spierdolimy.

– To prawda. To prawda. – Jego mentorem i czempionem był Drocker.

– Wzdychasz, Pipe.

– Wzdycham. Ponieważ jesteśmy dobrymi żołnierzami. A nikt nam tego nie zapamięta.

Nastał czas łagodniejszej pogody. Żołnierze patriarchalni wypęzli ze schronów i podjęli budowę palisady, stawianej tuż za zasięgiem pramańskiej artylerii. Else chciał, żeby szańce budowano równocześnie z obu stron. Król Piotr jednak jakoś nie miał ochoty pojawiać się w zasięgu wzroku od al-Khazen.

Grade Drocker natomiast ignorował obecność armii direciańsko-connekiańskiej. Ci ludzie wykonali już swoją robotę. A potem chapnęli znacznie więcej, niż wynosiła ich część łupu.

– Gdyby wszystko mogło pójść po mojemu, kazałbym Connekianom wykrwawiać się w kolejnych szturmach na al-Khazen.

Else nie wyrywał się ze swoją opinią. Nieco później wdał się w zaciętą kłótnię z Titusem Consentem. Consent powoli zaczynał rozumieć, ile jest naprawdę wart. I zaczynało mu to uderzać do głowy.

– To nie jest groźba – powiedział mu Else. – Ja nie grożę. Ale tak postępuje ten, który tu dowodzi. A on nie żywi miłości do niczego, co devediańskie. I nie jest po prostu twardy i bystry, ale naprawdę myśli. Obserwuje was.

Consent, bynajmniej nie zbity z tropu, odrzekł:

– Wasi dowódcy skarżą się, że marnujemy żywność na uchodźców z miasta.

– Nie zwracaj uwagi na ich szczekanie. Ci devowie nam pomogli. Bardzo.

– Wedle rozkazu, panie pułkowniku.

– Jeżeli ci się nie podoba, jak tu załatwiamy sprawy, zaciągnij się do Bractwa.

Titus Consent odszedł, ponieważ akurat w tej chwili dowódcę regimentu miejskiego odnaleźli najbardziej wierni Patriarsze prowincjałowie.

Divino Bruglioni wziął Else'a na bok.

– Jest coś, o co już od dłuższego czasu chciałem cię zapytać, Hecht.

– Panie?

– Chodzi o ten mieszek z premią, jaki Paludan miał ci dać, zanim przeszedłeś do Kolegium.

– Tak? – Z pewnością chodzi o pierścień.

– Wiesz, że to ja mu go przekazałem, żeby mógł dać tobie?

– Wobec tego dziękuję. Każdy potrzebuje dowodów uznania dla swej pracy... nawet jeśli mierzyć je tylko w monetach.

– Racja. Ale... Jak mam to powiedzieć? Najlepiej pewnie prosto z mostu. Znalazłeś w sakiewce pierścień? Taki z prostego złota, mocno wytarty, raczej stary? Nic szczególnego. Ale dla mnie ma wartość sentymentalną. Dostałem go od dziadka, który dostał go od swojego. Od miesiący już go szukam. Wiem, że miałem go na palcu, gdy gotowałem ten mieszek. Od tego czasu zniknął.

– Ach – powiedział Else. – Faktycznie, był tam pierścień. Złota obrączka. I trochę zagranicznych monet. Sprzedałem wszystko w kantorze, a właściciel powiedział, że kupuje je dla siostrzeńca złotnika. Akurat tamten robił coś dla matki Patriarchy.

Divino Bruglioni zaklął szpetnie.

– Ta przekłeta tiara!... Wiem, kto... Jak mogłeś? Święci Ojcowie! Losy nie znają miłosierdzia.

– Co zrobiłem, wasza miłość? – Księżę Kościoła pomstujący na okrucieństwo pogańskich bóstw?

– Do diabła, nic. Nie mogłeś wiedzieć, że pierścień nie był częścią twojego wynagrodzenia.

– Już nic nie rozumiem, wasza miłość.

– Bez wątpienia. Skłamałem. Pierścień był czymś szczególnym. Był magiczny, ujmując rzecz w świeckich terminach.

– No, no! Jak w legendach?

– Nie. Nie tak jak w legendach. Nie przypuszczam, że człowiek, któremu go sprzedałeś, okaże się jednym z naszych devedian, tutaj?

– Nie. Wyglądał dość egzotycznie. Myślę, że mógł być dainshauem. I miał co najmniej osiemdziesiąt lat. Potrzebowałem tłumacza. Był ze starego kraju.

– Dainshauowie wszyscy chcą, żeby tak o nich myśleć, Hecht. Rzekoma niezdolność mówienia naszym językiem ma tylko pogłębiać takie wrażenie. Byłbyś zaskoczony, widząc, jak szybko potrafią się uczyć, kiedy w grę wchodzi pieniądze.

– Magiczny pierścień? Prawdziwy?

– Prawdziwy.

– Nigdy w nie nie wierzyłem. – Else zastanawiał się, ile razy już Polo przeszukiwał jego rzeczy.

– Większość nie wierzy. Mieszkańcy miast mają niewielkie pojęcie o tym, co dzieje się w szerokim świecie. Mieliby pełne majtki, gdyby zdawali sobie sprawę z dziesiątej części tego, czego nie potrafią dostrzec.

– Zaczynam się bać, wasza miłość. Do czego ten pierścień jest zdolny?

– Jego główna moc polega na tym, że czyni niewidzialnym siebie i tego, kto go nosi. Niewidzialnym dla stworów Nocy. Mając go na sobie, mógłbym stanąć pośrodku stada wilków Nocy i nie zauważyłyby mnie. Ale pierścień wpływa także na tego, kto go nosi. Zapominasz o nim. Później gdzieś go gubisz.

– I tak się z tobą stało?

– Właśnie.

– Przykro mi, wasza miłość. Rozumiem, że to może być przydatne cacko. Jak wrócimy do Brothe, zabiorę cię do tego dainshaua. Może jakimś cudem pierścień nie został przetopiony.

– Chyba nie ma po co. On zapewne już zdążył zapomnieć o całej przygodzie.

Świetnie. Idealna wymówka podana na tacy.

– Przykro mi.

– Przestań wciąż przepraszać. Mniejsza. Porozmawiajmy o czymś innym. Czy jest jakiś plan działań nie sprowadzających się do siedzenia na miejscu i odmrażania tyłków?

– Niedługo zacznie się robić cieplej.

– Pytam o to, czy mamy zamiar coś zrobić z al-Khazen? Oprócz czekania, aż padnie.

– Nie, gdyby to ode mnie zależało. Czas jest naszą najlepszą bronią. Słabną z każdym dniem. Każdego dnia kilku dezercuje. Kiedy się dowiedzą, że szeregowych żołnierzy zwalniamy do domu, do ich rodzin i wiosek, dezercje się nasilą.

– Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

– Tego nauczył mnie mój cioteczny dziadek. Zawsze pokaż swemu wrogowi Złotą Drogę. Drogę, która daje mu szansę wyniesienia cało głowy z walki. Ponieważ jeśli jest pewien, że zostanie zabity, będzie ze wszystkich sił nam to utrudniał. I wtedy poniesiemy ciężkie straty.

Nadbiegł goniec, wyszeptał coś do ucha prowincjała.

– Rozumiem – odrzekł Bruglioni. – Tak. Zaraz tam będę. – Kiedy posłaniec się oddalił, dodał: – Jedzie ku nam poselstwo imperialne. Zdrowo obrywają od pramańskich czarowników. Chcą się dowiedzieć, jak temu przeciwdziałać. I jak zapewnić sobie odrobinę snu w nocy.

Wuj Divino pospieszył na spotkanie poselstwa. Else wrócił na kwaterę. Dlaczego Imperator nie był lepiej przygotowany? Przecież Ferris Renfrow strzegł jego pleców.

Korzystając ze sposobności, Else zdecydował się zdrzemnąć.

Wydawało się, że minęła ledwie chwila, nim obudził go Polo.

– Nadjeżdżają, panie pułkowniku.

– Kto?

– Imperialni. Będą przejeżdżać tuż obok nas.

Świetnie. Drocker z pewnością chce ich przewieźć po obozie, żeby zrobić na nich wrażenie.

– Wobec tego przyjrzyjmy się.

Polo wyskoczył na zewnątrz i stanął na przeszywającym wietrze. Else trzymał się bliżej wnętrza, ponieważ na dworze było naprawdę zimno. Poza tym bez pomocy Pola nie potrafił wdziać grubej zimowej kurtki.

Szczęk zbroi, skrzypienie uprzęży i płaskanie końskich kopyt w zimnej glinie były coraz bliżej. Else zdecydował się zostać, gdzie stał. Z pewnością wśród tej gromadki będzie Ferris Renfrow. Else nie chciał, by tamten go zauważył.

Uchylił szczelinę w okiennicach. I natychmiast zobaczył Renfrowa, a obok niego kilku Braunsnechtów z zeszłego roku. Bezimienny kapitan jechał po prawej ręce księcia Korony Lothara.

Lothar! Plotki mówiły, że Johannes wszędzie ze sobą wozi swoje dzieci. Else dotąd nie dawał im wiary. Po co ryzykować niepotrzebnie? Ale oto była najśłabsza latorośl z całej trójki, na czele poselstwa, z możliwością wykazania się w trudnej sytuacji.

Else był głęboko rozczarowany. Hespeth Ege nie towarzyszyła swemu bratu. I w jednej chwili zawstydził się swoich uczuć.

– Polo! Wracaj do środka!

– Panie pułkowniku?

– Do środka. Już. Jesteś mi potrzebny. – Else zatrasnął okiennice i miał nadzieję, że imperialni pojedą dalej.

– Panie pułkowniku? – W głosie Pola brzmiał niepokój. W takich właśnie chwilach Else zaczynał go podejrzewać o ludzkie uczucia.

– Polo... ten królik... mam skurcze żołądka. Niedobrze. Sprowadź z powrotem... kapitana Ghorta. Będzie musiał przejąć... dowodzenie regimentem. Zaraz zacnie mi wychodzić... drugim końcem.

– Panie? Jesteś pewien?

Else jęknął.

– Polo, jeśli nie sprowadzisz tu Ghorta w ciągu... najbliższych trzech minut, znajdę ci... Au! Specjalne zadanie u ludzi, którzy zajmują się zaprzęgami. – Polo już spotkał się z Po Prostu Zwyczajnie Joem. – Naprawdę... Ach! Naprawdę chcesz się nauczyć wyrzucać gnój łopatą?

Tą pracą – a było jej naprawdę sporo, ponieważ w skład armii wchodziło więcej zwierząt niż ludzi – zajmowali się na co dzień calzircy robotnicy

najemni. Polo o tym nie wiedział. Polo nie spacerował po okolicy, przyglądając się, kto co robi.

– Już pędzę, panie pułkowniku.

Podczas nieobecności Pola trzeba było wymyślić jakieś zadanie dla niego, gdy już wróci z Ghortem.

– Co jest, Pipe? – zapytał Ghort, ale dopiero wtedy, gdy Polo zniknął.

– Nie ma go? Jesteś pewien?

– Tak. Powiedz mi. Jem to samo co ty.

– W tej gromadce, która tędy przed chwilą przejeżdżała, jest kilka koszarów z mej przeszłości. Nie chcę na nich wpaść, póki nie będę inaczej wyglądał.

– Już inaczej wyglądasz, od czasu jak się ostami raz widzieliśmy.

– Tak. Ale dlatego, że zacząłem z powrotem wyglądać tak, jak wyglądałem, zanim wyruszyłem na południe. Słuchaj, nie chcę o tym gadać. Już ci powiedziałem więcej, niż musisz wiedzieć. Idź na naradę. Trzymaj się z boku. Nic nikomu nie mów, chyba że zapytają. Za mną nikt nie będzie tęsknił, prócz może Drockera, wuja Divina i prowincjała Doneto. Jeśli zapytają powiedz im, że to prawdopodobnie zatrucie żołądkowe. A może zwykłe zatrucie, skoro jadłeś razem ze mną.

– Jasne. – Ghort wyszczerzył zęby. – Którego z nich nie chcesz spotkać?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Domyśliłem się, że tak powiesz.

Else udał, że ma już tego dość.

– Idź i bądź oczami i uszami regimentu.

– Zrobię przedstawienie.

– Nie. Nie bądź Pinkusem Ghortem. Bądź niewidzialny. Może nie zapytają o mnie.

– To jest myślenie życzeniowe, prawdopodobnie skutek pijackiego snu. W porządku, Pipe. Jeżeli ktoś spyta, umierasz na rzadką sraczkę. Będę ich błagał, by użyli swej magii dla ratowania cię. Każę im spalić Pola na stosie za to, że cię otruł.

– Pinkus.

– Żartuję. Będę chronił twoją dupę, kiedy ktoś się zorientuje, że cię nie ma.

– Wobec tego idź. Jeżeli to chciałeś usłyszeć.

Ghort poszedł wykonać swoją robotę.

Else nie chciał brać udziału w spotkaniu z delegacją obejmującą ludzi, z którymi sir Aelford daSkees jadł posiłek w sonsańskiej faktorii w Runch.

Wrogowie z al-Khazen byli w stanie do pewnego stopnia szpiegować obóz imperialny. Imperator jakoś zapomniał o zwerbowaniu silnych czarowników. Natomiast siły patriarchalne cieszyły się ochroną ponad dwudziestu członków Kolegium. Teraz tłoczyli się jeden przez drugiego, chętni do zdobycia nowej chwały.

Pramanie pozostawali w bliskich stosunkach z Delegaturami Nocy. Dowiedziawszy się o poselstwie wysłanym na spotkanie z dowódcami krzyżowców Wzniosłego, ich sztab zdał sobie sprawę z niezwyklej okazji.

Hansel dowodził tylko jedną czwartą linii oblężenia. Jego podkopy wciąż były daleko od miasta. Nie udało się ich jeszcze połączyć z podkopami krzyżowców, nie były nawet w połowie tak zaawansowane. Mimo iż liczebność jego armii, łącznie z kontyngentem Vondery Koterby, znacznie przewyższała liczebność armii Patriarchy. Ale Hansel musiał zostawić na swym szlaku liczne garnizony. Zdobycie al-Healtya i al-Stikla nastąpiło zbyt niedawno, by stacjonujący w nich żołnierze zostawili miasta i przyłączyli się do oblężenia ostatniej pramańskiej twierdzy.

Starkden, Masant al-Seyhan oraz wszelka niegodziwość, która stała za nimi, nie martwili się Johannesem Czarne Buty. Nie bali się zaskakująco profesjonalnych i kompetentnych sił poprowadzonych w pole przez Wzniosłego V. Nie wstrząsnęły nimi dramatyczne sukcesy króla Navayi.

Czarownicy z al-Khazen uderzyli tam, gdzie się najmniej tego spodziewano.

– Pipe.

Był środek nocy. Żaden przyzwoity człowiek nie miał prawa nie spać.

– Co? – W głosie Ghorta wyraźnie słyhać było napięcie.

– Złe wieści ze strony imperialnej. Żadnych szczegółów, ale wychodzi na to, że jacyś ważni ludzie wpadli w zasadzkę i zostali pojmani. W tym córki Imperatora.

Kiedy do Else'a dotarło, powiedział:

– Prawie żałuję, że nie przeklinam. Skąd wiemy?

– Najwyraźniej mamy devów pod każdym łóżkiem. Mnie powiedział karzeł. W poselstwie było dużo gadania na ten temat, a jego ludzie podsłuchali. Gońcy przyjeżdżają i wyjeżdżają. Drocker zażądał od imperialnych wyjaśnień.

- Nie wtrącił się w całą sprawę, co?
- Jeszcze nie.
- To nie byłoby grzeczne.
- Bractwo nie przepada szczególnie za Imperium. Imperatorzy nie chcą mieć nic do czynienia z tym ich głównym.
- I *vice versa*. Drocker nie jest głupi. Bez potrzeby nie będzie drażnił Imperatora. Gdyby Hansel odpowiednio się rozzłościł, mógłby stworzyć własnego Patriarchę albo sprowadzić Niepokalanego z Viscesment.
- Jak się czujesz?
- Tak samo źle jak przedtem.
- Drocker chciał przyjść i osobiście cię uzdrowić.
- Cudownie ozdrowię, gdy tylko imperialni wyjadą. – Nie zapytał, jak przebiegła konferencja. Już mu doniesiono. Devowie mieli uszy pod każdym krzesłem. Hanselowi chodziło o dwie rzeczy. Jak sprawić, by wojska patriarchalne wzięły na siebie ciężar umierania, gdy już dojdzie do walki, i jak wykołegować Piotra z Navayi na jego zdobyczach terytorialnych.
- Miej uszy otwarte. Wróc, kiedy dowiesz się jakichś szczegółów.
- Następnym razem Else'a obudziły hałasy wyjeżdżającego poselstwa imperialnego; Lothar i jego doradcy byli nadzwyczaj poważni.
- Godzinę później pojawił się zaspany Pinkus Ghort w towarzystwie Glediusa Stewpo i Titusa Consentia.
- Nabrali nas, Pipe.
- Hm?
- No, ci ludzie. Lothar i jego gromadka. Wieści, jakie otrzymali, były nieprawdziwe.
- Co? – Else próbował zetrzeć sen z oczu. Niedaleko Polo szczękał garnkami.
- Ta sprawa z córkami. To była fałszywka. Spreparowana przez gości z miasta. Gdy tylko prowincjałowie wzięli się do roboty, odkryli, że Johannes wraz z rodziną smacznie chrapią w zamku piętnaście mil na południowy wschód stąd. Ani przez chwilę nie było żadnego problemu. Wszystkie wieści były fałszywe.
- Ile czasu minęło od wyjazdu księcia? Są jakieś szanse, żeby mu podesłać pomoc?

– To już ponad godzina. Spieszył się. Wysłałem jeźdźców, ale nie sądzę, by dotarli doń na czas.

Else wyobraził sobie mapę okolicy, spróbował odgadnąć położenie księcia, a potem najbardziej prawdopodobne miejsce na pramańską zasadzkę.

– Masz rację. Ale pramanie będą musieli zapaść się daleko na terytorium wroga. Postaw w gotowości oddział komandosów. Są szanse, że znajdziemy się między złymi chłopcami a miastem. Co robią Bractwo i prowincjałowie?

Ghort wzruszył ramionami.

– Prowincjałowie biegają w koło i wrzeszczą.

– Powinni próbować chronić Lothara.

– Właśnie, no nie? Ale są zbyt zajęci zamartwianiem się, jak wypadną w tym wszystkim. Jeśli zaś chodzi o Bractwo, nie mam pojęcia, co robią.

Consent i Stewpo stali w milczeniu jak zamurowani.

– W porządku. Zajmij się tymi komandosami. Ja pogadam z Drockerem.

– Czujesz się już lepiej? – zapytał Titus Consent.

– Nie. Ale sytuacja jest krytyczna. Polo, kawa już gotowa? – W kilku zdobytych miastach odkryto magazyny kawy.

Piętnaście minut później, wciąż udając niedyspozycję gastryczną, Else spotkał się z Grade'em Drockerem.

– Moi devowie mówią mi, że dzieje się niezła heca. Kawy?

– Nie. Dzięki. Unikam używek. Prawdopodobnie przez kawę masz problemy z żołądkiem. Możesz już wrócić do pracy?

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba. – Wyjaśnił, co już zrobił.

Drocker pokiwał głową.

– Dobrze. Ale powstrzymaj się. Już posłałem moich ludzi z identycznym zadaniem. Nie chcę, żeby się potykali o siebie. Poza tym twoi nie mają odpowiednich umiejętności. Moi żołnierze przyzwyczajeni są do działań w środowisku cechującym się podwyższoną aktywnością Delegatur Nocy.

– Słuszna uwaga. O tym nie pomyślałem.

– Nie chcę całej chwały dla siebie.

– Rozumiem. Masz rację.

– Nie ma się czego bać. Lothar jest w znacznie mniejszym niebezpieczeństwie, niż sądzisz. W jego oddziale było dwóch Braci ze Specjalnego Oficjum. Mogą zgotować niewiernym przykrą niespodziankę.

– Dobrze słyszeć.

Zapowiadała się ciekawa walka. Przy zdalnej pomocy prowincjałów agenci Bractwa mogli odeprzeć atak Starkden i Masanta al-Seyhana. Ale braci też mogła czekać niemiła niespodzianka.

Ludzie wysłani dla schwytania Lothara będą sha-lugami.

– Masz czas, żeby mi opowiedzieć o poselstwie imperialnym? – zapytał Else.

– Pogadaj z Bechterem. On ci wszystko opowie. I da ci gońca, żebyś mógł odwołać swoje psy.

– Przeprowadziłem ze sobą mojego człowieka, Pola. Może zanieść wiadomość. Gdzie znajdę sierżanta Bechtera?

Else zwrócił się do Pola:

– Znajdź kapitana Ghorta. Powiedz mu, że w sprawie operacji ratunkowej mamy zakaz, ale mimo to niech trzyma kompanię komandosów w pogotowiu. Poradzisz sobie?

Polo skwapliwie skinął głową.

– To ruszaj.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał Drocker.

– W latrynie. – To była prawda.

– Tak długo? Masz. Weź to. Wypij, rozpuszczone w dziesięciu uncjach ciepłej wody. Potrzebuję cię w pracy, a nie ujeżdżającego Drewnianą Dziurę.

Zbity trochę z tropu żartem Drockera, Else wziął pakiecik.

– Zaraz wracam. – Odszedł na bok, zrobił przedstawienie z rozpuszczaniem i połykaniem, potem dołączył do czarownika Bractwa. – Czy od tego mogę dostać skurczy? Ponieważ właśnie je miałem.

– Przez jakiś czas możesz mieć wiatry. Chyba że jesteś tak chory, iż już nic ci nie pomoże. Usiądź. Wygodnie. Stare panny z Kolegium mają nam donieść, kiedy coś się stanie.

Else pokiwał głową potem powiedział:

– Panie... Zauważyłem, że masz mniejsze trudności z mówieniem. Najwyraźniej kosztem ogólnego samopoczucia.

– Wzruszony jestem twoją troską, Hecht. Ale marnujesz swoje uczucia. Wiem, co robię... chociaż niewykluczone, że nie przyczynia się to do przetrwania tego ciała.

– Panie, ja...

– Ta śmiertelna skorupa nie ma żadnego znaczenia, Hecht. Zrzuciłbym ją w jednej chwili, gdybym w ten sposób mógł wciągnąć cię do Bractwa. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś tym właśnie człowiekiem, który byłby w stanie przeprowadzić naszą wiarę przez najgorsze tarapaty, a potem śmiało ponieść sztandar Boga do Studni Ihrian.

– Panie? Ty.. ja...

– Główny problem polega na tym, że twoje oddanie wierze nie jest równie wielkie jak twoja zdolność nakłaniania ludzi do osiągnięcia bardziej przyziemnych celów.

– Panie... Panie, nie powinieneś nadwerężyć swojego zdrowia. Poza tym myślę, że sam się oszukujesz. Jestem po prostu wykorzenionym cudzoziemcem, któremu dopisało szczęście. Kapitan Ghort poradziłby sobie równie dobrze.

– Może. – Po Drockerze powoli znać było wysiłek włożony w rozmowę.

– Pomyśl o tym, co powiedziałem. Porozmawiaj z Bogiem. Poradź się sumienia.

Żałując, że nie może się znaleźć we wnętrzu głowy Drockera, Else powiedział:

– Niech się dzieje Wola Boża.

– Idź. Zrób, co chcesz zrobić. Ale trzymaj się blisko latryny.

Rozmawiali w cztery oczy. Else opuścił spotkanie kompletnie skołowany. Najwyraźniej Drocker próbował nim manipulować na wiele sposobów równocześnie.

Było to warte zastanowienia.

– Pinkus, jak wyglądamy? – Pierwsze barwy fałszywego świtu pełzły ponad wzgórzami od wschodu. Wkrótce ci, którzy byli lojalni wobec stworów Nocy, stracą przewagę. – Gotowi ruszać?

– Co powiedział Drocker?

– Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powtórzył. Ale zasugerował, że będzie patrzył w drugą stronę, jeżeli zajmiemy się ratowaniem Imperium.

– Och? To znaczy?

– To znaczy, że ten facet ma jakieś osobiste plany. I myśli, że możemy mu jakoś pomóc w ich realizacji.

– Co ty myślisz?

– Mam zamiar skorzystać z okazji. Dobra, co wymyśliłeś?

Ghort ułożył szczegółowy plan szturmu na al-Khazen przez stary kanał burzowy, odkryty przez prowincjałów.

– Ułożyłeś go w trzy godziny?

– Diabła tam, nie. Pracowałem nad tym od chwili, gdy znaleźli ten kanał. Na wszelki wypadek.

– Ciekawe. Widzę wielu devów w składzie oddziału. Zwłaszcza w odwodzie.

– Tak. Kto twoim zdaniem będzie najlepiej walczył, jak już się dostaniemy do środka?

– My?

Ghort uśmiechnął się.

– Przecież nie stracisz okazji, nie?

– Zbyt wielu ludzi zna mnie zbyt dobrze. – Else powtórzył w głowie plan Ghorta. Był rozsądny. Było w nim miejsce na dwa oddziały rezerwy, które miały osłonić odwrót głównych sił na wypadek niepowodzenia. – Brakuje mi tylko imienia prowincjała, który pójdzie z nami.

– Bronte Doneto. Ale i tak wiedziałeś.

– Zgadywałem. To nie tylko twój główny człowiek, ale też jeden spośród najwyżej trzech, który poradzi sobie z taką wyprawą. Pójdzie?

– Nawet jeśli Grade Drocker się nie zgodzi.

– Wobec tego on też musi mieć jakieś własne cele.

– Oni wszyscy mają, cały czas.

– Wobec tego pozostaje tylko jedno pytanie. Komu powierzymy dowodzenie tutaj?

– Myślałem o tym devskim dzieciaku. Titusie Consencie.

– Nikt się na to nie zgodzi. Przynajmniej w dłuższym okresie. Nawet jego ludzie.

– Właśnie. A on nie będzie się nam plątał pod nogami.

– Kiedy możemy zaczynać?

– Za niecałą godzinę.

– Pójdę zapytać, czy Polo ma ochotę na przygodę.

Głód przygód Pola najwyraźniej stracił na sile. Wolał zostać w obozie i mieć oko na Titusa Consenta. Else chichotał, rozbijając lodową pokrywę. Pod nią znajdował się rów w ziemi, pozwalający dotrzeć do kanału odpływowego, przez który niepostrzeżenie dla obrońców na murach

dostaną się do miasta. Wywiad Ghorta okazał się znakomity. Jednak śnieg w zagłębieniu nie pozwalał na szybki marsz.

Ghort szedł na szpicy. Za nim dwudziestu sześciu ludzi, w tym Else i Bronte Doneto. Prowincjał nie czuł się szczególnie pewnie w tak licznym otoczeniu devediańskich wojowników. Odwody zostały z tyłu, ich marsz spowalniaли starzy, ale mimo wszystko zapalczywi członkowie Kolegium.

Ghort doprowadził oddział do wylotu zagłębienia i nakazał się zatrzymać.

– Musimy poczekać, aż słońce się trochę przesunie, wtedy cienie staną się lepsze.

– Dlaczego? – zapytał Doneto.

– Musimy pokonać grzbiet wzgórza i zejść po przeciwległym zboczu. Wtedy będzie nas widać z murów. Jeśli nie schowamy się w tych cieniach. Albo nie zaczekamy do zmroku. Ale wtedy nasz wróg będzie dysponował nocnymi oczami.

– Rozumiem. Dobra robota, kapitanie.

Zaiste dobra robota, pomyślał Else. Ghort potrafił czasami wznieść się na zdumiewające wyżyny kompetencji. Gdyby znalazł się w elicie, mógłby osiągnąć naprawdę sporo.

– Pinkus, jeszcze będzie z ciebie następny Adolf Black.

– Równie dobrze mógłbym sobie na miejscu poderznąć gardło i oszczędzić światu problemów.

Jaki wrażliwy.

– Długo jeszcze? – Else chciał dotrzeć do miasta przed zwycięzcami księcia Korony.

A potem co? Zostać głównym oficerem polowym Wzniosłego? To byłoby niezłe. Na tyle też było go stać... Ale z każdą chwilą ryzyko było coraz większe. Ci bracia z Runch... Musiał zrezygnować z wyglądu sir Aelforda daSkees... nie budząc niczyich podejrzeń.

– Już – oznajmił Ghort. – Kolejno. Trzymajcie się cieni, blisko skał i idźcie powoli, póki nie stracie murów z oczu.

– Co z pikietami? – zapytał Else.

– Ostatnio patrole nie trafiały na żadne pikiety. Ci goście, którzy tam dowodzą, boją się, że nie wrócą gdy już znajdą się za bramami.

Calzircy żołnierze wciąż skutecznie i często dezertowali.

Oddział zgromadził się u stóp zbocza. Ghort był ostatni. Wcześniej Else zapytał prowincjała Doneto, jak idzie oddziałowi Bractwa. I jak Imperator

zareagował na wieści. I jak zareagował Ferris Renfrow.

– Najwyraźniej nie masz pojęcia, jak to działa – stwierdził Doneto. – Nie mogę po prostu pstryknąć palcami i natychmiast jakiś wszechwiedzący diabeł powie mi wszystko, co chcę wiedzieć. Sam chciałbym, żeby tak to było. Człowiek potrafiący zdobyć każdą wiedzę byłby panem świata.

– To znaczy, że nic nie wiesz?

– Tego bym nie powiedział. Po prostu nie wiem o niczym użytecznym.

– Tak też przypuszczałem. – Else przyglądał się, jak oddział Ghorta rusza naprzód.

Następne ryzykowne miejsce znajdowało się sto jardów od podstawy murów.

– Jeżeli strażę są w stanie gotowości, będziemy musieli poczekać do zmierzchu – powiedział Ghort.

– Nikogo tam nie ma – zapewnił Bronte Doneto.

– Wasza miłość?

– Spójrzcie. Nikogo nie ma na murach. Nie. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że jest tak strasznie zimno. Może dlatego, że im się nie chce. Może dlatego, że wszyscy poszli popatrzeć na coś innego.

– Jesteś pewien? – dopytywał się Ghort.

– Z tej odległości? Sam zobacz. Masz lepsze oczy niż ja.

– Wobec tego rzecz nie jest całkiem pewna. No, dobra. Za mną.

Oddział przedarł się przez krzaki i gruz, wszedł do tunelu odpływowego, gdzie było zimno, mokro i strasznie śmierdzące łukowe sklepienie wznosiło się na wysokości czterech stóp, tunel miał szerokość pięciu. Ale kiedyś był większy. Jego dno gęsto zaścielało błoto i śmieci zmyte z góry.

Else szedł pochylony, zastanawiając się, kiedy pułapka się zatrzaśnie. Choć ujście kanału było pokryte wiekową warstwą roślinności i choć do większości zdobytych fortec oraz miast wtargnięto takimi mniej więcej drogami, Else nie chciał wierzyć, by sha-lugowie okazali się równie niefrasobliwi.

W pewnym miejscu ściany tunelu częściowo się zawałyły, woda jednak mogła płynąć. Stok był na tyle stromy, że większość gruzu przepłynęła przez wąskie gardła. Mimo to spędzili w tunelu wiele godzin.

Else trzymał się blisko Bronte Doneta i starał nie plątać Ghortowi pod nogami. Pinkus najwyraźniej wiedział, co robi, i robił to dobrze. Else zapytał:

– Jak nam idzie, wasza miłość? – Słowa wydobyły się z gardła skrzekliwie. Smród był straszny.

– Chyba nie wiedzą jeszcze o naszej obecności. Ale panuje wśród nich straszne zamieszanie. Na zewnątrz zapada zmrok. Wkrótce będę lepiej wiedział, co się dzieje.

Else przesunął się na czoło kolumny, żeby pomóc w usuwaniu kamiennego gruzu.

– Mam nadzieję, że będę choć w połowie w tak dobrym stanie jak on, gdy skończę tysiąc lat – powiedział do Ghorta.

– Ile masz lat, Pipe?

Else Tage nie był pewien. Wiedział jednak, że Piper Hecht nie miałby w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

– Trzydzieści trzy. I sześć dni. Chyba że moja matka była kłamczucha

– Wobec tego powinieneś się martwić, jak dożyć do trzydziestu trzech i siedmiu dni, a nie jakiegoś tysiąca lat. Robisz sobie ze mnie jaja? Miałeś parę dni temu urodziny i nikomu nie powiedziałaś?

– Urodziny się nie liczą. – I w Dreangerze, wśród sha-lugów faktycznie się nie liczyły. Tam świętowano rocznicę powołania do stanu pełnych praw i odpowiedzialności niewolnego wojownika kaifa al-Minfet.

– Gówno tam, Pipe. Nie wierzę, że mówisz poważnie. Hej! Spójrzcie na to.

„To” okazało się większym, wyższym pomieszczeniem, do którego uchodziło sześć mniejszych odpływów. Tylko jeden był na tyle wielki, by przecisnął się przez niego człowiek.

Ghort powiedział:

– Ty jesteś chudym małym szczurem, Żalno. Weź świecę i wśliźnij się w ten tunel. – Potem zauważył: – Teraz to już nie wygląda tak dobrze. Chyba że odkryjemy, jak robotnicy wchodzili i wychodzili.

Bronte Doneto oznajmił:

– Na górze zaczynają świętować. Pramanie uwierzyli, że schwywanie Lothara zmieni losy tej wojny.

– Gdzie go trzymają? – zapytał Else. Znał al-Khazen tak dobrze, jak tylko można poznać miasto za pomocą planów.

– Jeszcze tu nie dotarł. Ci, co go schwytali, toczą bój z Bractwem. Trwa już cały dzień.

– Dzięki temu nasza sytuacja jest znacznie lepsza, niż miałem nadzieję – powiedział Ghort. – Teraz wszyscy się skupią na dzieciaku i będą myśleć, jak go wykorzystać, aby pokrzyżować plany Pana.

Nawet Doneto wydawał się wstrząśnięty nagłą pasją słów Ghorta.

Ten wyszczerzył zęby.

– Zdziwiliście się, co? Ale czy się mylę? Prowincjale, musimy się stąd wydostać. Kiedy wasi chłopcy znaleźli ten tunel, sam mówiłeś, że jest z niego wyjście.

W otworze większego kanału ukazał się Żalno. Jego świeca zgasła. Twarz powlekła szarość. Nie lubił ciasnych, ciemnych miejsc.

– Ten tunel biegnie do góry jakieś sto stóp – wycharczał – potem zakręca w lewo i przechodzi przez duże takie jakby cysterny. I tam są drabiny. Z drabiny można wyjść do zaułka, a z niego już wszędzie.

– Możemy się tędy wydostać? – zapytał Ghort.

Zalno rozejrzył się dookoła.

– Ja na pewno mogę. Ale kilku z was trzeba będzie natłuścić. Cała woda z tej długiej ulicy musi spływać przez ten dren, który ma jakieś dziesięć cali na trzy stopy.

– Nic już więcej nie mów – uciął Ghort. – Rozumiem. A do cystern możemy się dostać wszyscy?

– Tak jest.

– Dobra. Ruszamy.

Piętnaście minut później Else zerkał przez szczeliny w drzwiach tego, co jego wbite w głowę plany określały mianem Stacja Pomp Cztery. O zmroku al-Khazen wydawało się opuszczoną ruiną. W okolicy nie było widać ani słychać nic większego od szczura.

– Ruszać się! Proszę pana – powiedział ktoś za jego plecami.

Miejsca nie było dużo. Ludzie mieli po prostu przyjść, nabrać wody i wyjść.

Else wysliznął się w ślad za Ghortem na zewnątrz.

– Wiesz, gdzie jesteśmy, Pinkus? To wydaje się zbyt łatwe, żeby mogło być prawdziwe.

Oddział przeniósł się do ciasnego budynku, w którym do niedawna mieścili się devediańscy jubilerzy, pisarze i lichwiarze.

– Pinkus, udało ci się dokonać czegoś niezwykłego.

– A teraz wszystkie zasługi przypadną tobie, co?

– Po części tak.

– Ty jesteś szefem, Pipe.

– Co byś teraz zrobił?

– Ja? – Ghort wyszczerzył się. – Chcesz znać prawdę?

– Tak.

– Wymyśliłem sobie, że ci, którzy ze mną pójdą... ty albo ktoś z Kolegium... znacznie wcześniej przejmą ode mnie dowodzenie.

– Na jaja Eisa, Pinkus, jesteś najsmutniejszym, najbardziej cynicznym bękartem, jaki chodził po tej ziemi.

– Czy to znaczy, że się mylę?

– Nie. Prowincjale, jak wyglądają nasze sprawy? Możemy wykraść im z powrotem Lothara i sprawić, że Imperator Graala nas pokocha?

– Tak. I nie. I tak. I nie.

– Kobiety uwielbiają mężczyzn, którzy są pewni siebie i wiedzą, na czym stoją – powiedział Ghort.

Doneto obrzucił Ghorta spojrzeniem, z którego jasno wynikało, że zastanawia się nad obdarciem go ze skóry i przetopieniem na tłuszcz.

– Jeśli się mylę, cofam, com powiedział.

Doneto poinformował Else'a:

– Zajęliśmy znakomite stanowisko. Kiedy transportują swoich jeńców, muszą przejeżdżać tędy w drodze do pałacu i cytadeli. Możemy skoczyć na nich, złapać Lothara i uciekać do wszystkich diabłów. Zostawię za nami miny-pułapki, które spowolnią pościg i pozwolą nam dotrzeć do naszych odwodów.

– Brzmi to po prostu nadzwyczaj atrakcyjnie – skomentował Ghort.

Else zmarszczył brwi. Znajdował się właśnie w tym psychologicznym rozdarciu między Else'em Tagiem i Piperem Hechtem.

– Możesz nam powiedzieć, co udało się osiągnąć Bractwu?

– Nie. Usiądź i bądź cicho.

Czas mijał. Else zdrzemnął się. Ktoś potrząsnął go za ramię. Ghort i Doneto pochylali się nad nim.

Doneto mruknął:

– Pramanie oderwali się od Bractwa. Dalej mają jeńców ze sobą. Wkrótce tu będą. Ze świętowania już raczej nici. Porządnie oberwali. Można było tego oczekiwać, wiedząc, że muszą się przebić przez oddział wybrany osobiście przez Grade'a Drockera.

Pinkus Ghort zapytał:

– Ilu ludzi musimy uratować?

Doneto zignorował pytanie.

Else powtórzył pytanie:

– Ilu ich tam było? – Przypominał sobie jakąś dwudziestkę, widzianą z tłoczni winogron.

Doneto wciąż nie reagował. Else nie rezygnował.

– To tajemnica, wasza miłość?

– Nie wiem – warknął Doneto. – Jeńców powinno być siedmiu. Wszyscy mocno poranieni.

To miało sens. Braunsknechci nie poddałoby się bez walki.

– Teraz już coś wiemy – powiedział Else. – Co jeszcze? Za chwilę będziemy walczyć. To, co przed nami taisez, może stać się przyczyną naszej śmierci. ,

Doneto zmarszczył czoło, jakby myśl o dzieleniu się z kimkolwiek najmniejszą kruszyną wiedzy napełniała go ostateczną odrazą ale w końcu powiedział:

– Lotharowi towarzyszyło dziewiętnastu ludzi. Dwóch służących. Dwóch księży. Dwóch z Bractwa Wojny. Dziesięciu Braunsknechtów. Tożsamość pozostałych jest nieco bardziej mglista. Choć widzieliśmy ich w Plemienzy.

– Ferris Renfrow. Jasne. Główny szpieg Imperatora. Kręcił się pod nogami, kiedy zbieraliśmy siły na tę awanturę.

– Tak. Nie wydaje mi się, żeby trafił do niewoli.

Else myślał, że sha-lugom, którzy schwytali Lothara, należą się najwyższe wyrazy szacunku.

Na głos jednak zapytał:

– Wiesz o czymś, co może się okazać użyteczne tu i teraz? – Z tonu głosu słyszący go oddział mógł bez trudu wywnioskować, że jego cierpliwość powoli się kończy. – Przypominam ci, że wszystko, co zataisz, może stać się przyczyną śmierci dla pozostałych.

– Właśnie wysyłają więcej swoich najlepszych ludzi, by dać osłonę komandosom – wykrztusił Doneto. – Za swój kłopot dostaną Lothara, księdza, który nic nie zrobił, by uniknąć schwytania, dwóch na poły martwych braci z wojennego kultu oraz kilku Braunsknechtów w równie kiepskim stanie, oszczędzonych tylko dlatego, że dowództwo chce ich

przesłuchać. Opowiedz mi o tych budynkach, tam – poprosił Else’a. – O dwu w dalszej części i po przeciwnej stronie ulicy. Wydają się puste.

– Powinny być – powiedział Else. To była świątynia dainshauów i kantor. Porzucili je, gdy przybyli niewierni.

– Znasz każdy budynek w mieście, Hecht?

– Tylko te, które uchodźcy uznali za ważne.

– Przypuśćmy, że kilku z nas zajmie te budynki, a reszta zostanie tutaj. Tamci uderzą pierwsi. A kiedy pramianie zareagują my przejmujemy Lothara. Będą czuli się bezpiecznie i zapomną o ostrożności. Uderzamy i znikamy.

Else nie był urzeczony tym planem. Ale nie był Grade’em Drockerem. Nie mógł powiedzieć prowincjałowi, by się zamknął i spadał.

– Pinkus, lepiej uprzedź odwody, żeby się przygotowali.

– To ich robota, Pipe. Są gotowi.

Else zapytał Doneta:

– Możesz z całą pewnością powiedzieć, że te budynki są puste? Od czasu ucieczki dainshauów minęło wiele zimnych, śnieżnych nocy.

– Idź, sprawdź – zaproponował Doneto. – Jeżeli nikt ci nie poderżnie gardła, znaczy, że jest bezpiecznie.

Else tak właśnie zrobił. Ale sam. Mógł uchodzić za Dreangerczyka na tyle długo, ile czasu zabrałoby mu stanie się znów niewidzialnym.

Budowla dainshauów nie stała cały czas pusta. Wprowadzili się do niej żołnierze, ale teraz nie było ich w domu. Kiedy jednak Else miał już wezwać posiłki, pojawili się pramianie z imperialnymi jeńcami.

– Pinkus, mam nadzieję, że jesteś dość bystry, by sobie poradzić – mruknął Else.

Oczywiście był. Lepszym pytaniem pozostawało wszak: czy Doneto powstrzyma się przed interwencją?

Pramianie nie zachowywali środków ostrożności. I dlaczego by mieli to robić, głęboko we własnej warowni, pewni ostatecznego zwycięstwa? Jechali luźnym szykiem, spieszyli się, wymieniali ponure żarty, jakie zazwyczaj przychodzą do głowy mężczyznom, którzy wbili palec w oko śmierci i upiekło im się. Pierwszych dwunastu miało lucidiańskie hełmy i łachmany, które kiedyś były mundurami ojczystej kawalerii Indali al-Sul Halaladina. Potem szli jeńcy pod opieką straży przybocznej maftiego al-Araj el-Araka. Ośmiu czy dziewięciu sha-lugów zamykało pochód.

Przed Lucidianami z bruku podniosło się coś ciemnego i bezszelestnego. Śmierdziało tak, że Else poczuł wzbierające w gardle mdłości. I wtedy Ghort uderzył z drugiej strony. Lucidianie i Calziranie spanikowali. Sha-lugowie zachowali zimną krew, choć Else był zmartwiony, że stawiają tak słaby opór.

Bez większego wysiłku Ghort odbił jeńców.

Wielu uciekających praman wbiegło do budynku, z którego Else uczynił punkt obserwacyjny.

Między pramanami i ludźmi Ghorta stanął drugi śmierdzący cień.

Else stracił szansę na ucieczkę. Schował się w zacienionym kącie, zagrzebał w stosie popsutego ekwipunku, naciągnął na twarz jakieś łachmany i starał się nie oddychać.

Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni słyszał własny język. Kilka chwil zabrało, nim się przyzwyczyił.

W odległości piętnastu stóp miał dwudziestu wściekłych mężczyzn. Jedni przeklinali. Inni ciskali czym popadło. Paru chciało natychmiast kontratakować, niepomyślnie, że nie wiedzą, z czym mają do czynienia i że są tak wyczerpani, że ledwie trzymają się na nogach.

Przez ograniczone pole widzenia Else'a przemknęła czyjaś dłoń. Schwyciła popsute siodło, stojące obok jego ukrytych stóp, przewróciła je na bok. Człowiek usiadł. Ciężko dyszał, miał kłopoty z oddychaniem. Zgarbił się w poczuciu porażki i rozpacz, pod którymi niczym lawa kłębił się gniew. Człowiek sądził, że został wykorzystany, zmarnowany, być może nawet zdradzony.

Dwudziestka była mieszaniną Lucidian, Calziran i sha-lugów. Po kilku minutach znów wyszli na zewnątrz. Siedzący na siodle nie poszedł za nimi. Na ich ponaglenia reagował jedynie nieartykułowanymi pomrukami.

To dowódca, zrozumiał Else. Ciężko ranny. Chciałby pójść za nimi, ale zabrakło mu sił.

Else wyskoczył z kryjówki i natychmiast zakrył dłonią usta tamtego. Postanowił, że go nie skrzywdzi, jeśli absolutnie nie będzie musiał. I wtedy dech mu zaparło.

– Szkielet?

Ranny spojrzał na Else'a, jakby zobaczył własnego ducha.

Else nachylił się do niego.

– Szkielet? To ty, no nie?

– Kapitan Tage? Ale ty nie żyjesz. Od przeszło roku.

– Hm. Jakoś nie słyszałem. Kiedy to się stało?

– Mówili, że zostałeś zabity przez czarownika niewiernych tego dnia, gdy zszedłeś na ląd w Firaldii.

– Mówili? Ciekawe. – Przynajmniej biorąc pod uwagę, że wysyłał raporty do dnia, gdy regiment miejski opuścił Brothe. – Kim są „ci”, co tak mówili?

– Er-Rashał, kapitanie. On mówił wszystkim. Marszałek był poważnie rozczarowany, głównie dlatego że niewiele mu z ciebie przyszło. Nie było mu przykro, że zginąłeś.

Najwyraźniej właśnie znajdowały potwierdzenie najgłębsze, najbardziej sekretne podejrzania Else’a.

– To jest nasza kompania?

– To, co z niej zostało. I paru Lucidian oraz tubylców, którzy pracują z nami. Kapitanie, jestem raczej pewny, że zesłano nas tutaj, aby nas zniszczyć. Dostajemy najgorsze zadania. Wciąż tracimy ludzi. Tym razem Az został gdzieś w polu.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, iż ocalałem. Jeszcze nie. Trzeci czarownik. Tajemniczy człowiek. To będzie er-Rashał we własnej osobie. Racja?

– Hm... Tak. Ale skąd możesz wiedzieć?

– Wiesz skąd. Choć prawdopodobnie nie powinieneś. Racja? Szkielet, wiemy właściwie wszystko, co warto wiedzieć o tym, co się tu dzieje. Mamy kopie list żołdu calzirskich kompanii.

– Devowie.

– Niezbyt im się spodobał sposób, w jaki zostali tu potraktowani.

– Wciąż mówisz „my”. Kim teraz jesteś, kapitanie?

– Wciąż jestem Else Tage. Twój dowódca. Otrzymałem zadanie. Wykonuję je, stało się moim życiem. Odniosłem ogromny sukces, o którym wieści najwidoczniej nie dotarły do al-Karn. – Else oszczędził Szkieletowi szczegółów, które tamten mógłby zechcieć przekazać dalej. – Szkielet, nie mam pojęcia, o co chodzi er-Rashałowi. Udało mu się zmarnować dreangorską flotę i wielu sha-lugów. Nie wygra tutaj. Chyba nie bardzo zdaje sobie sprawę z sytuacji. Zrób nam obu przysługę. Wynieś się stąd, zanim on sprawi, że zginiesz. Wynieś się i donieś al-Karn, jaka jest prawda.

Szkielet wyglądał na mocno zaniepokojonego. Urażonego na ciele i na duszy.

– Nie mogę, kapitanie. Składaliśmy przysięgę. Wszyscy, w czasach gdy myśleliśmy, że to powstrzyma krzyżowców przed atakiem.

Else się nie kłócił. Ten rodzaj poświęcenia mógł się wydawać niepotrzebną brawurą ale decydował o tożsamości sha-lugów.

– Czyjego śmierć zwolni cię z przysięgi?

– Tak.

Else wsparł dłoń na ramieniu starego przyjaciela.

– Nie ścigajcie nas dzisiaj, Szkielet. Nie zmuszajcie, żebyśmy was zabijali, gdy wrócimy. Teraz idę już. Zapomnij, że mnie widziałeś.

Else wybiegł ze świątyni. Coś się działo wokół Stacji Pomp Cztery, ale prawdziwe zamieszanie szalało znacznie dalej, na wschodzie.

Zorientował się trochę w sytuacji, zanim zszedł do cystern Stacji Pomp Dwa. Braunsknechci zdobyli bramę. W mieście były wojska imperialne.

Ucieczka Else'a nie potrwiała długo. Wielu praman dostało się do systemu kanalizacji przez Stację Pomp Cztery, ścigając komandosów. Else więc został, gdzie był, mając nadzieję, że go nie zobaczą, i żałując, że ma na sobie tak jednoznacznie chaldarański ubiór.

Godzina myśliwego

Tylko zachęty ze strony Arlensul sprawiały, że Svavar jakoś sobie radził. Był już gotów opuścić ten szalony świat. Ludzie umierali setkami w imię różnic religijnych, których nie pojmował.

Osoba Shagota tylko przyczyniała się do pogłębienia jego nieszczęścia. Kiedy nie spał, Grim nie potrafił nie ściągać na siebie uwagi. Niemniej problem przestał być tak palący, gdy wojska imperialne rozlokowały się na wschód od al-Khazen, w spokoju chcąc przeczekać pozostałych wrogów.

Na jawie Shagot był nieustannie zirytowany. Dawni Bogowie nie umieli zlokalizować czy bodaj zidentyfikować Bogobójcy, choć byli pewni, że przebywa najprawdopodobniej w obozie episkopalnych sojuszników Imperatora.

Shagot już niewiele się różnił od mroczą, był jednym z martwiaków z legend powstałych w krajach znajdujących się obecnie pod lodem. Svavar posługiwał się bratem jak instrumentem, mającym zapewnić jego oddziałowi życzliwe względy Vondery Koterby oraz Imperatora.

Arlensul zawsze ostrzegała Svavara, kiedy w pobliżu znajdowały się oddziały wroga. Gdy Shagot nie spał, szedł wówczas pozabijać paru i wziąć jeńców. W końcu wróg zrozumiał, że powinien trzymać się z daleka. Dopiero po nocy dochodziło do znacznie groźniejszych i mających zupełnie inny charakter szturmów na ich obóz.

Plotki głosiły prawdę. W mieście byli potężni czarownicy. A Imperator nie miał środków do walki z nimi.

Imperialnych zwabiono na zabicie.

Tę pewność Svavar zawdzięczał Arlensul. Ale nie mógł jej zatrzymać dla siebie. Powiedział o tym Grimowi i reszcie topniejącego oddziału.

Jeden po drugim znikali ludzie, którzy zasilili oddział, gdy ten szedł za Imperatorem. Wkrótce nie zostanie nikt, kto nie potrafił sobie wyobrazić lepszego życia.

Svavar i Shagot zostali dostrzeżeni na górze i na dole imperialnej hierarchii dowodzenia. Byli zbyt obcy i skuteczni, żeby można ich przeoczyć.

Żaden z nich nie miał wcześniej doświadczeń z wojną pozycyjną. Nie podobała im się. Shagot chciał wszystko rzucić i udać się na poszukiwanie Bogobójcy.

– Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie przebywa – przekonywał Svavar. – Co się stanie, jeśli będziesz szukał go gdzieś na tych wzgórzach i nagle zaśnie? Sam cię nie obronię. Ci żołnierze nie wezmą udziału w naszym polowaniu. Nie obchodzi ich. Ale lepiej nam tutaj, ponieważ tu nieszczęście nas tak łatwo nie znajdzie, póki się nie dowiemy, gdzie jest nasz człowiek.

Do schronu Grimmssonów przybył goniec od Vondery Koterby.

– Brat nie śpi? – zapytał Svavara. – Imperator potrzebuje waszych nadzwyczajnych talentów. Możliwe, że księżę Korony został schwytany przez praman.

– Spróbuję go obudzić – obiecał Svavar. – Ile mamy czasu?

– Na razie to tylko alarm przejścia w stan gotowości.

Wkrótce po wizycie wydarzenia zaczęły się toczyć szybciej. Kolejny goniec kazał im dołączyć do sił zbierających się pod zamkiem, który Imperator i jego dwór wybrali na miejsce odpoczynku. Shagot jednak nie reagował.

W drzwiach pojawiła się Arlensul, pochylając głowę, ponieważ była zbyt wysoka.

– On tam będzie.

Svavar uwierzył jej. Kiedy bogini mówi człowiekowi coś, co on strasznie chce usłyszeć, wtedy jej wierzy.

– Wstawaj, Grim. Nadszedł nasz czas. Nasz człowiek będzie na drugim końcu tego zamieszania. No dalej. Wstawaj. Już czas.

Shagot reagował niechętnie, wciąż półprzytomny. Słyszał, ale nie potrafił uwierzyć. Dawni Bogowie nic mu nie powiedzieli.

Kiedy dotarli do rejonu ześrodkowania, zdało im się, że cała armia otrzymała rozkaz wymarszu. Poselstwo do episkopalnych, w którego skład

wchodził księżę Korony, zostało ogarnięte nocą przez pramańskich komandosów. Szczegóły na razie nie były znane. Przyjmowano, że większość oddziału nie żyła, a tylko garstkę schwytano.

Długa kolumna pełzła przez zimny poranek i śnieg, drogą wytyczoną przez saperów. Svavar i Shagot zostali przydzieleni do awangardy. Ich ciemność nie przstraszy.

Czoło kolumny stanowili najlepsi żołnierze Hansela. Szli ciszej, niż to wydawało się możliwe, ale za to strasznie wolno. Svavar powiedział do Shagota:

– Ci ludzie nie dadzą się zaskoczyć. Zmierzamy prosto w pułapkę.

Shagot mruknął twierdząco. To wydawało się jak najbardziej prawdopodobne. W rzeczy samej tak prawdopodobne, że Johannes naprawdę nie powinien dać się nabrać.

Może Imperator wiedział o czymś, o czym nikt inny nie wiedział.

Po południu dowódcy dali rozkaz do zatrzymania się. Z dala dobiegały przytłumione odgłosy walk. Svavar domyślał się, że zwycięzcy księcia salwując się ucieczką. Ale kto ich ścigał?

Pojawili się zwiadowcy Imperatora z informacjami. Svavar był dość blisko, żeby podsłuchać.

Księżę Korony żył i nic mu się nie stało. Tego samego nie sposób było jednak orzec o pozostałych członkach jego oddziału. A Johanna jakby znacznie bardziej interesował los Ferrisa Renfrowa niż własnego syna. Niemniej Johannes przecież właśnie się dowiedział, że z synem wszystko w porządku.

Wezwanie zostało tym razem wystosowane do Svavara, nie Shagota.

– Duszodawco, rozumiesz, jaka jest moja sytuacja?

– Rozumiem. – Był właśnie świadkiem tego, co czyniło z Johanna Ege kogoś znacznie większego niż tylko małego człowieczka, któremu szczęśliwy los zesłał wielki kawałek władzy. Hansel potrafił sprawić, że ludzie czuli się przy nim jak współpiskowcy.

Imperator zapytał znowu:

– Rozumiesz, do czego chcą nas zmusić? Że mają nadzieję, iż wejdemy prosto w pułapkę?

– Tyle widzę. I widzę też, że zdecydowałeś się dać im to, czego chcą.

– Nie do końca.

– Za tymi murami zgromadziła się wielka fala czarnej mocy. Tyrania Nocy panuje tam niepodzielnie, choć być może żołnierze nie zdają sobie z tego sprawy.

– Niepodzielnie? Wątpię. Zresztą mniejsza z tym. Te siły nie zdają sobie sprawy z istnienia twojego i twojego brata.

Svavar czekał. Spokojny i nieustraszony. Czuł bliskość Arlensul. Od niej czerpał odwagę i wiarę w siebie.

– Wiem, kim jesteś. Służysz Delegaturom Nocy. Przybyłeś tutaj, żeby wykonać określone zadanie. Niewiele ma ono wspólnego z ambicjami władców al-Khazen.

Svavar znów nie odpowiedział.

– Jeżeli pomożesz mi tu i teraz, całą siłą Imperium wesprę cię w twojej misji.

Svavar poczuł, że Arlensul każe mu wyrazić zgodę.

– Wobec tego pomożemy. W zamian. Nie będziemy tolerować...

– Johannes Ege nigdy... Dość. Potrzebuję wyłomu w tych murach. I kogoś, kto odwróci uwagę mrocznych potęg, póki nie zrobię tego, co zrobić muszę.

Svavar przekrzywił głowę, nasłuchiwał.

Arlensul dodawała mu odwagi.

– Możemy zrobić to, co chcesz.

Cokolwiek zaplanowali sobie mieszkańcy miasta, jakiegokolwiek maszyny rozpaczły czaiły się za tymi murami, Selekcjonerki Poległych z pewnością nikt nie uwzględnił w swoich rachubach.

Córka Szarego Wędrowca na pół minuty ukazała się wszystkim. Widzieli ją żołnierze imperialni. Widzieli ją żołnierze pramańscy. Nieme drewno i kamień były świadkami jej epifanii. Svavar obawiał się, że odległe moce w Wielkiej Fortecy Niebiańskiej mogą również zdawać sobie sprawę z jej obecności. Shagot mógł ją zobaczyć. Ale Svavar musiał jej zaufać. W ciągu ostatnich miesięcy stał się jej zaprzędanym sojusznikiem.

Shagot nie dowiedział się o jej istnieniu.

Wydarzenia, które nastąpiły przy wschodnim portalu al-Khazen, były tak gwałtowne, że nie tylko bramy przestały istnieć, ale również runął cały barbakan wraz z piętnastoma jardami murów po obu stronach. Wojska imperialne wdarły się do al-Khazen, zachęcane rozkazami Imperatora, by

nie zostawiać przy życiu niczego i nikogo, kto nie będzie księciem Korony Lotharem.

Svavar i Shagot znaleźli się wśród pierwszych, którzy wkroczyli do miasta. Shagot niósł przed sobą głowę demona. Otoczyły ich twarze rozwrzeszczanych diabłów – i uciekły, odpędzone przez Arlensul. Furia szturm narastała. Svavar był pod wrażeniem. Tutejsi czarownicy byli naprawdę straszni. Miał szczęście, że za anioła stróża służyła mu Selekcjonerka Poległych.

Delikatnie popychał Shagota, gdy tylko trzeba było zmienić kierunek ataku. Zaskoczyło go, że nie kierują się ku cytadeli. Przynajmniej od momentu, gdy wkroczyli na cztery mile do miasta.

Bracia Grimmssonowie walczyli w niezwyciężonym kręgu. Nie sięgał daleko. Poza nim bitwa zamieniała się w jatkę. Panowała całkowita ciemność. Atak Nocy był straszliwy. Szturm imperialnych nie załamał się tylko dzięki temu, że mieli po swojej stronie duszodawców.

W miarę jak krew płynęła coraz szerszym strumieniem, Shagot stawał się bardziej świadomy, czujny i lepiej dostrojony do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Gdzie, jak zgadywał Svavar, Dawni Bogowie stawali się bardziej świadomi, czujni i lepiej dostrojeni.

W chmurze ciosów nawiedzonego ostrza z brązu Shagot posiekał trzech praman. Kiedy skończył z nimi, zapytał:

– Co się dzieje, braciszku?

– Pomagamy Johannesowi odbić syna z rąk praman. – Imperator nie był daleko, śmiało wznosił się ponad chaosem bitwy na grzbiecie swego rumaka bojowego, Ciernia Wojny. – Po czym on poświęci całą swą potęgę dla znalezienia naszego człowieka.

Shagot najwyraźniej miał wątpliwości. Ale jego zestrojenie z Wielką Fortecą Niebiańską było obecnie silne.

– Tędy. Był tu niedawno. Poszedł tam.

Bomba, pomyślał Svavar. Rozejrzał się za Arlensul i choć jej nie zobaczył jej, podejrzewał, że to ona jest siłą powstrzymującą falę ciemności spływającą z cytadeli.

Pramańscy żołnierze uciekali. Ich mroczne czary okazały się słabsze od tych, które ich atakowały.

– Tędy. Komandosi poszli tędy – powiedział Shagot.

– Jacy komandosi, Grim?

Oddział komandosów z armii Patriarchy urządził zasadzkę na zwycięzców Lothara i odbił ich jeńca.

Johannesa opanowała szkarłatna furia. Posłał gońców, by przyspieszyli marsz jego armii. Oczyszczył al-Khazen z niewiernych, a potem znajdzie swego syna.

Shagot wszedł do niskiego, kwadratowego budynku z kamienia, który stał z dala od innych. Okna nie były oszklone, otwór wejściowy bez drzwi.

– Co to jest? – zapytał Svavar.

– Dom ze studnią. Kobiety przychodzą tu po wodę. – Shagot zerknął w dół, gdzie były cysterny. – Zeszli tędy. – Ze szczebli żelaznej drabiny wiodącej do cysterny rdza została starta. Pojawiła się tam krew.

Poniżej ukazała się twarz. Pramańska twarz. Było na niej widać zdumienie i strach. Zniknęła, wykrzykując ostrzeżenie.

Shagot przerzucił ciało przez krawędź cysterny i zeskoczył na dół. Svavar zaklął i poszedł w ślady brata, ale ostrożniej. Braunsknechci z początku nie chcieli wejść pod ziemię.

Do pompowni wszedł Imperator. Natychmiast zorientował się w sytuacji. Wydał żołnierzom rozkaz, żeby okrążyli miasto od zachodu i znaleźli ujście kanału. Poniżej duszodawcy wdali się w bój z ariergardą praman, ścigających episkopalnych komandosów.

Hansel wyszedł z budynku pompowni. Wskoczył na siodło Ciernia Wojny. Przez moment patrzył w górę, ku cytadeli. W następnej kolejności skieruje przeciwko niej duszodawców. Kiedy rozmasowywał nadgarstki, aby spiąć wodze Ciernia Wojny, wystrzelona z ciemności strzała wbiła się w jego otwarte usta. Grot wyszedł przez kark, po drodze gruchocząc kręgi szyjne.

Z direciańskim zespołem bojowym: chłodna wiosna

Zima była długa i sroga, aczkolwiek niezbyt dokuczliwa dla połączonych sił Direcii, Platadury i Calziru. Nie mieli wiele do roboty prócz dbania, by było im ciepło, i zaznajamiania się z ludem Calziru. Nie powąchaliby walki.

Brat Świeca nie czuł, że uczestniczy w realnej wojnie. Wszedł w skład dworu otaczającego króla Piotra na zamku al-Negesi, przycupniętym na wzniesieniu, z którego w pogodny dzień można było dostrzec wzgórze al-Khazen. Piotr nie widział potrzeby, by znaleźć się bliżej teatru działań wojennych. Pramanie nie potrafili nic zdziałać przeciwko siłom już rzuconym na nich.

Brat Świeca rozumiał. Piotr potroił swoje terytoria, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Stworzył – i wciąż tworzył – sieć osobistych związków z cudzoziemską szlachtą i ludźmi w rodzaju brata Świecy, biskupa LeCroes, Michaela Carharta oraz Tembera Remaka. Brak zagrożenia innego niż podróż po burzliwych zimowych morzach zwabiał ciekawskich z Direcii i Skraju Connec. Książę Tormond spędził wraz z siostrą miesiąc na Shippen, ona zabawiając męża, on – poznając świat i ludzi, którzy może staną przy nim w mrocznych czasach, gdy nadejdą. Tormond był pod wrażeniem dojrzałości, jaką osiągnął hrabia Raymone Garete.

– Wiosną wrócimy do domu – przewidywał biskup LeCroes. Ta wojna już się skończyła. Teraz tylko pramanie muszą zdać sobie z tego sprawę i złożyć broń.

Jeżeli Lucidia i Dreanger nie przyślą posiłków.

Brat Świeca wątpił, by pramański świat miał rozgorzeć entuzjazmem dla antykrucjaty w Calzirze. Przynajmniej nie w sytuacji, gdy bogatsze i bardziej romantyczne małe królestwa Direcii właśnie padały łupem rekonkwisty Króla Piotra, przy znamiennej obojętności całego Królestwa Pokoju.

Brat Świeca leniwie delektował się właśnie śniadaniem. Biskup LeCroes przystanął obok i rzekł:

– Być może niedługo dolce far niente się skończy. Coś poważnego dzieje się w al-Khazen. – W jego głosie brzmiało takie napięcie, że brat Świeca czym prędzej pobiegł poszukać jakiegoś miejsca z dobrym widokiem.

Przepychał się łokciami z energią nie przystającą Doskonałemu. Przed nim na miejsce dotarł spory tłumek równie ciekawych. Gdy wreszcie mógł spokojnie popatrzeć we właściwym kierunku, zobaczył słup czarnego dymu nad ogromnym pożarem w oddali. Tylko że... bardziej przypominało to niewielką, lecz gwałtowną burzę.

– Co to jest?

– Noc oszalała. Próbuje pochłonać samą siebie. W mroku widok był znacznie bardziej niesamowity.

Król Piotr, hrabia Raymone i kilka innych osób wiodło zapalczą dyskusję na wyższej wieżycze.

Brata Świecę nawiedziło złe przeczucie. Świat miał znowu odmienić swą postać. Bynajmniej nie na lepsze.

Piotr i jego adiutanci wysłali zwiadowców, żeby się zorientować w rozwoju wydarzeń. I gońców, żeby zaalarmowali rozmaite garnizony. Ponieważ nikt na wschodzie najwyraźniej nie miał zamiaru powiadomić swoich zamorskich sojuszników.

Brat Świeca nie był szczególnie wrażliwy na obecność Delegatur Nocy. Inni, jak Michael Carhart, zapewniali go, że wiejskie prowincje Calziru zostały oczyszczone z najmniejszych nawet duchów. Przyciągały je siły gromadzące się w al-Khazen. Calzirscy czarownicy pozostawali zagadką. W skład sił Patriarchy wchodziłi liczni członkowie Kolegium. Nikt nie wiedział, jakie ciemne siły zostały zwerbowane na służbę Imperium Graala.

W miarę jak czas płynął, brat Świeca coraz bardziej czuł chłód wkradający się do jego świata – zły zwiastun dla tych, których filozofia nie pasowała do ideologii ludzi przekonanych, iż powinni rządzić światem.

Zwrócił się do Michaela Carharta i Tembera Remaka:

– Czuję lód nadciągający na Connec.

Zrozumieli. Niedługo życie straci część swych powabów dla maysalczyków, pogan, devedian i dainshauów, terliagańskich praman i wszystkich episkopalnych na tyle śmiałych, by faworyzować Patriarchę z Viscesment.

Ale żaden z nich nie miał wyobraźni tak mrocznej, ponurej i pesymistycznej, żeby zgadnąć, jak przerażająca przyszłość nadciąga.

Zanurzony w objęciach nocy

Else przykucnął w ciemnej cysternie pod Stacją Pomp Dwa, czując się niczym przerażony gryzoń, mimo iż umiejętność chowania się i wytrwałość rozwijano u sha-lugów tak samo jak zdolności posługiwania się mieczem czy lancą. Niewolny wojownik sha-lugów zobowiązany był dbać o własne istnienie i nie marnować go na heroiczne gesty.

W systemie kanalizacji trwały straszne walki. A wnioskując z dobiegających z góry odgłosów, w mieście również. Else nie wiedział dokładnie, co się dzieje, ale wyglądało na to, że imperialne wojska wdarły się do miasta. Połączonych sił Starkden, Masanta al-Seyhana i er-Rashala było za mało, żeby je odeprzeć.

Nie było wątpliwości, że w grę wchodzi czary. Na poły już zapomniany wcześniej amulet Else'a teraz doskwierał mu bardziej niż kiedykolwiek od czasu spotkania w Ownvidiańskim Węźle.

Omów nie sposób było sobie wyobrazić er-Rashala, który nie może zrobić, czego chce, kiedy tylko chce. Od czasu jak Else sięgał pamięcią, er-Rashal al-Dhulquarnen był w świecie Dreangeru odległą, niemal boską postacią. Niemożność zrobienia tego, co się chce, z pewnością narażała na szwank również wyobraźnię Szakala.

Ponad dwadzieścia pięć lat szkolenia i trudów wojny złożyło się na osobowość Else'a Tage, niewzruszonego. Ale nagle niewzruszony Else pisnął niby zaskoczona dziewczynka.

Coś – co przynajmniej z początku nie miało kształtu, któremu sha-lug Else Tage potrafiłby nadać nazwę – otóż owo Coś wypłynęło z pomieszczenia zbierającego wodę odpływową pod Stacją Pomp Dwa. Else poczuł, jak coś musnęło jego duszę, rozejrzało się wśród ukrytych

wspomnień. Potem przeszło wiele przekształceń w kolejne obrzydliwe postaci, nim przyjęło formę kobiety... Nie. Dziewczyny. Heris... Siostry dziecka, które później zostało sha-lugiem Else'em Tagiem... Ale była duża. Taka wielka. Zbyt wielka, by się precyzyjnie przemyśleć.

Istota, kimkolwiek była, mrugnęła. Przyłożyła palec do ust. Potem odeszła. W miejscu, które zajmowała, skryztałizowała się mgła, przesłaniając otwór.

Kiedy Else potrafił już zebrać myśli, zdziwiło go, dlaczego ta istota nie mogła zmieścić się w otworze cysterny, skoro potrafiła się poruszać w kanałach odpływowych... Amulet przekonywał go, że ona wciąż tu jest, choć tym razem nie robił się gorący i bolesny, ale lodowato zimny. Pierścień prowincjała Bruglioniego ważył chyba ze dwadzieścia funtów.

Co, u diabła?

Diabeł mógł mieć z tą sytuacją wiele wspólnego. To nie była żadna kobieta. To było coś ogromnego i potężnego, dalece przekraczającego wszystko, co ludzkie, choć prawdopodobnie ukształtowanego przez ludzkie nadzieje i lęki. To była ta istota, przed którą go ostrzegano. Ktoś, kto potrafił zlekceważyć rozpaczliwe wysiłki er-Rashala. Jedna z Delegatur Nocy. Być może bogini jakichś niewiernych, którzy nie znaleźli Prawdziwego Boga.

Ale czemu ostrzegła Else'a, żeby był spokojny, cichy i nieruchomy?

To była bardzo trudna godzina jego życia. Niepotrzebne mu ostrzeżenia demona. Wszędzie indziej było mniej bezpiecznie niż tutaj. A on niewiele mógł zrobić, żeby odmienić swe położenie, cokolwiek by przedsięwziął.

Istota zostawiła po sobie głęboką ciszę. Ale tylko w miejscu, gdzie ukrywał się Else, za zasłoną czaru, który rzuciła. Na ulicach trwały walki. W systemie kanalizacji też. Dzisiejsza noc pozostawi wiele wdów. Ale Else Tague zajął wobec tego wszystkiego pozycję ślepego cudzoziemca. Nie potrafił sobie wyobrazić, by z czystym sumieniem miał się opowiedzieć po którejś ze stron. Zawsze byłaby to zdrada.

W końcu wygramolił się z cysterny i wyszedł ze stacji pomp na szaleństwo ulic al-Khazen. Wojska imperialne wciąż wlewały się do miasta. Pramanie walczyli w beznadziejnej desperacji. Ich czarownicy znów ich zawiedli, jak to bywało podczas każdego etapu brotheńskiego najazdu.

Else zachowywał ostrożność i unikał walki; dzięki zapamiętanym planom dotarł do miejsca na murach obronnych, które wychodziło nad ujście kanału

odpływowego. Na blankach był sam. Wszyscy inni wyraźnie skupili się na boju z tyłu i pod nim. Tyle tylko że istota, którą spotkał pod ziemią, zmagala się w zaszartym boju z czarownikami broniącymi al-Khazen – ale jakoś tak mimowolnie, niczym człowiek odpędzający szczególnie agresywnego gza.

Else patrzył na zalane światłem księżycyca wzgórze pod stopami. Odnalazł znaki w rzeźbie terenu, które widział, idąc do ataku. Ale nie dostrzegł nawet śladu po oddziałach odwodowych. Dobrze. Byłby rozczarowany, mogąc ich łatwo wypatrzeć.

Po namyśle zdziwił się, że może cokolwiek dostrzec, nawet przy księżycu.

Ze wschodu nadciągał fałszywy świt. Już.

W jaki sposób mogło minąć tyle czasu?

Else poczuł się tak osamotniony na murze, że odruchowo chciał się poskarżyć Bogu na swe opuszczenie. Nikt nie mógł go powstrzymać przed zrobieniem tego, na co miał ochotę.

Zaczął się rozglądać za drogą zejścia w dół. Może uda mu się uciec bez ponownego wchodzenia do tego klaustrofobicznego kanału.

Losy działały na jego korzyść.

W wartowni znalazł zwiniętą linę. Była dość długa, by sięgnąć do podstawy murów. Poza tym została przystosowana do wspinacz – ki. W regularnych odstępach zawieszono na niej węzły. Komuś była potrzebna do urządzania wycieczek lub spotkań. Być może ktoś za jej pomocą zdezerterował.

Else przywiązał koniec liny, ale zamiast zaraz się spuścić po niej, usiadł i patrzył. Nie miał zamiaru brać udziału w bitwie. Los odsunął go na bok, zanim jeszcze wszystko się zaczęło.

Jego komandosi wychodzili z kanału szykiem uporządkowanym. Bez trudu rozpoznał Ghorta, który popychał księcia Korony Lothara na czele oddziału. Else zastanawiał się, jak Bronte Doneto rozegra obecnie całą sprawę. Bez większych wątpliwości można było przyjąć, że okup za Lothara będzie nieporównanie wyższy od tego, którego Hansel zażądał za niego.

Teraz Else widział już pojedynczych żołnierzy oddziałów rezerwowych. Kilku z nich było zbyt niespokojnych, zbyt żądnych walki. Ale nikt się nie

zdradził. Z żadnego innego miejsca nie było ich widać. A nawet gdyby ktoś odkrył pułapkę, nie miał jak ostrzec zwierzyny.

Pramański pościg wypadł z tunelu, następując na pięty najwolniejszym Brotheńczykom.

Pierwsi pramanie na zewnątrz, sha-lugowie i calzircy królewscy gwardziści prawie nie interesowali się ludźmi przed nimi – spojrzeli tylko na drogę ich ucieczki, po czym wybrali własną.

Z kanału burzowego wynurzyło się coś, co mgliście przypominało człowieka. Wielka człekokształtna istota, której głowa gubiła się w gęstwinie splątanych, brudnych blond włosów, wzniosła równie odrażającą zmumifikowaną głowę i wykrzyczała wyzwanie, od którego ścichł poranek. W prawej dłoni trzymała brązowy miecz, który nawet dla niewykształconego oka wyraźnie był zaczarowany. Otaczała go aura, którą można było wyczuć, choć nie dawało się opisać w kategoriach wizualnych.

Oczywiście dziwnemu człowiekowi towarzyszyła moc, podobnie jak kolejnemu, bliźniaczo doń podobnemu, który za nim wyszedł na światło. Jednak Else nie widział powodu, by uciekać przed nimi.

To musieli być blondyni odpowiedzialni za zamieszanie w Bro – the. Ci, którzy zdziesiątkowali Bractwo, którzy calzirskim piratom urządzili rzeź epickich iście rozmiarów, którzy znaleźli się na miejscu podczas spotkania Else'a ze Starkden i Masantem al-Seyhanem. Prowincjał Doneto nazwał ich duszodawcami. Byli ludzkimi martwiakami, służącymi Delegaturom Nocy. Z których jedna właśnie go osłoniła i poradziła, by się nie wychylał.

Z wylotu kanału burzowego wypadli żołnierze Imperium. Po wyjściu na światło dnia wszakże nie bardzo wiedzieli, co robić. Pramanie poszli w rozsypkę. Pinkus Ghort i jego towarzysze ukryli się dobrze.

Dwaj duszodawcy ruszyli w kierunku brotheńskich odwodów. Po chwili jednak ten z potworną głową i mieczem z brązu się zatrzymał. Powoli odwrócił się. Uniósł wzrok i spojrzął na Else'a. Pułkownik poczuł uniesienie bijące od tamtego. Poczł dreszcz rozpoznania u duszodawcy. Tamten wznosił głowę i miecz. Wrzasnął ku niebu w nieznanym języku.

Z otworu kanału wypływała gęsta, ciemna mgła. W okamgnieniu skrzępała w coś wielkiego, paskudnego, złego i mrocznego – w jednej chwili coś w rodzaju klasycznej harpii, w drugiej monstrualna modliszka. Przerażeni Braunsknechci poszli za przykładem uciekających praman.

Potwór przybrał inny kształt, ale Else wiedział, że to demon z podziemi Stacji Pomp Dwa.

Monstrum pochyliło się nad duszodawcami. Na uzbrojonym w głowę i miecz nie wywarło to żadnego wrażenia. Skinął na Else'a, żeby ten zszedł na dół.

Po co?

Żeby go zabić. I tym samym zniszczyć wiedzę, którą miał w pamięci.

Co? To nie miało sensu.

Dla niego miało. Miało też dla tych, którzy go przysłali. Nie rozumieli, że wiedzy raz odkrytej nie da się uczynić nieodkrytą. Dzisiaj się dowiedzą.

Słowa te rozbrzmiewały w głowie Else'a nie całkiem tak jak słyszany głos. Były wiedzą, która się po prostu materializowała w jego umyśle. Został bezpośrednio dotknięty przez Noc.

Harpia znowu rozplynęła się w mgłę, która się skurczyła, przybierając postać wysokiej blondynki. Podeszła do duszodawców. Obaj nagle się zmieszali, najwyraźniej niepewni, co począć.

Żołnierze Imperium wiedzieli, na kogo patrzą. I nie potrafili uwierzyć w to, co mieli przed oczyma.

Do Else'a co nieco dotarło. Oto była żywa legenda, bogini umarłej religii. Delegatura, dla której nie było już miejsca w świecie.

Zaczęła walczyć z duszodawcami. – Else zaczął schodzić po linie. Żołnierze spod rozmaitych sztandarów wskazywali na niego i szeptali. Żle zrobił?

Skręć w prawo i dołącz do swoich komandosów.

Amulet Else'a parzył i mroził nadgarstek. Pierścień wuja Divina ważył już chyba ze sto funtów. Kluczył jak uciekający szczur, przemykając od kryjówki do kryjówki.

Duszodawcy nie zwrócili na niego uwagi. Stracili zainteresowanie.

Jednak Pinkus Ghort i jego komandosi nie stracili czujności. Ghort poprowadził sześciu braci mu na pomoc.

– Doceniam twoje starania, Pinkus. Ale powinieneś wiedzieć lepiej.

– To nie było wcale aż tak ryzykowne. Tamci są zupełnie zauroczeni. – Ghort pokazał palcem. – Selekcjonerka Poległych. Wygnana. Kto by uwierzył?

– Właśnie, kto? – Wdzięczny za mitologiczną odpowiedź, Else zadumał się na głos: – Naprawdę myślisz, że to Arlensul?

Ghort wzruszył ramionami.

– Wszystko pasuje. Ale kto chciałby się przekonać? A może mniej będziesz gadał i bardziej się pospieszysz? – W tym momencie znaleźli się już wśród krzyżowców, zdjętych poczuciem niesamowitości pogańskiej konfrontacji. – Znasz tego kudłacza z dodatkową głową?

– Nie. Lecz to może być ten, którego poszukiwali w Brothe. Czemu?

– Wyglądało tak, jakby cię próbował wywołać.

– Tak też było, no nie? O co chodziło? Co się stało z naszymi jeńcami?

– Z Lotharem i tamtymi? Prowincjałowie odesłali ich do obozu.

– Wszystko pasuje.

– No nie?

– My wciąż będziemy walczyć z niewiernymi, a oni będą już kombinować, jak zaszantażować Johannesesa.

– Na tym polega polityka. Co oni, u diabła, robią?

Else i Ghort właśnie wśliznęli się na stanowisko, z którego mogli obserwować nadprzyrodzone starcie.

Prowincjał Divino położył się po drugiej stronie Else'a. Był w strasznym stanie, cały mokry i ubłocony. Poza tym przerażony.

– Zaraz się zmaterializuje Delegatura, która panuje nad tymi dwoma duszami. Co się z tobą działo, Hecht? Straciliśmy cię z oczu.

Czy tamten coś podejrzewał? Na pierwszy rzut oka – nie. Else powiedział więc prawdę, pomijając tylko krótką rozmowę ze Szkieletem i następujące po nim spotkanie z kobietą.

– Chyba ciekawość stanie się przyczyną mojej zguby – powiedział starszy Bruglioni.

– Co?

– Trzeba było mi uciekać, kiedy istniała szansa. Wszyscy powinniśmy.

Duszodawca z głową i mieczem zaczął powoli rosnać, póki nie stał się znacznie wyższy od kobiety. Ona skądś dobyte brązową tarczę i złotą włócznię. Duszodawca otworzył usta i wrzasnął:

– Zdrajczyni!

Kobieta odpowiedziała:

– Zemsta! Ojciec Wszechrzeczy. Wszechzło. Czas umrzeć Nie kończąca się Śmiercią.

– Och, miałem rację, powinienem stąd uciec – jęknął prowincjał Doneto.

– Byłem takim głupcem! To się dzieje naprawdę! To się dzieje naprawdę!

Ghort powiedział:

– Wychodzi na to, że idą ciekawe czasy.

Duszodawca wypowiedział dwa słowa. Wyszły z jego ust, a potem szamotały się przez chwilę, nim przybrały cielesną postać – dwie łopoczące wstęgi ciemności, które po chwili zmieniły się w coś na kształt czarnych sępów. Każda wykrzyknęła jedno ze słów wypowiedzianych przez duszodawcę. Imiona?

Else poczuł zadowolenie płynące od kobiecej zjawy.

Łopoczące czarne istoty pofrunęły ku duszodawcy. Wuj Divino mruknął:

– Powiada się, że wszystkie religie są prawdziwe. Ale jak to możliwe?

Rozgrywające się wydarzenia wstrząsnęły podstawami wiary wszystkich zgromadzonych.

– Za Gedankego – powiedziała Arlensul, w odpowiedzi na niesłyszalne pytanie.

Opętany duszodawca wrzasnął znowu i rzucił się na swoją córkę marnotrawną.

Osnowa rzeczywistości zatrzęszczała. Zaczęła pękać.

Bóg Miłości, Miłosierny Ojciec

Umysł Svavara był jasny, a myśli ostrzejsze niż kiedykolwiek.

Obserwował, jak Bogobójca przemyka po murze, niewidoczny dla Shagota. Grim nie widział nic prócz Arlensul. Nie zdawał sobie sprawy, że Selekcjonerka była z nimi od czasu przybycia na tamto starożytne pobojowisko. W rzeczywistości nie był już nawet Grimurem Grimssonem. Był ziemskim awatarem Szarego Wędrowca, który przybył, by skończyć ze swą zdradziecką córką.

Dla Bogobójcy nie było miejsca w jego myślach.

Dawni Bogowie byli lustrzanym odbiciem swego tworu, Shagota: prymitywni, bezmyślni, brutalni, nie znający litości ani żalu. I bynajmniej nie bystrzejsi. Jaki pożytek z inteligencji, kiedy jest się wszechmocnym i nieśmiertelnym?

Czarne roztrzepotane istoty połączyły się na pustej przestrzeni między Delegaturami, ścigając się wzajem w wirującej mandali ciemności, która z pozoru kręciła się w wielu wymiarach naraz. Delegatury wrzeszczały na siebie, głosząc bezsensowny gniew i nienawiść. A mandala rosła.

Svavar patrzył na istotę, którą stał się jego brat, niezdolny do zaakceptowania faktu, w który wszakże wierzył równocześnie bez zastrzeżeń. Bunt Arlensul stał się powodem przywołania Tego, Który Nadstawia Ucha... w którego rękę właśnie pojawił się młot – broń, którą wsławił się jego ulubiony syn. Mandala, wirująca z przeszywającym wrzaskiem, ukazywała mgnienia grozy za barierą światów. Przelotne widoki starych trupów, korzystających z okazji, by powstać i służyć bogom, dla których nic nie znaczyli.

Arlensul pchnęła włócznią, na razie najwyraźniej zadowolona z reakcji ojca. Wędrowiec usunął się na bok. Jego młot uderzył grzmotem w tarczę Arlensul.

W umyśle Svavara uformowały się słowa:

„Nie zapomnij o swym najgłębszym życzeniu. Nie zapomnij, kto był twoim najbardziej oddanym obrońcą”.

To wprawilo Svavara w kontuzję.

Co mógł zrobić prócz biernego przyglądania się starciu tytanów?

Ojciec i córka odpowiadali sobie ciosem na cios. Okolica trzęsła się od ich gniewu. Mimo iż zdjęci grozą, śmiertelnicy zapomnieli o ucieczce i patrzyli przejęci.

„Wkrótce, mój wybranku”.

Svavar zaczął się trząść, zrobiło mu się zimniej niż podczas najbardziej mroźnych andorayskich zim, rozpaczliwe bał się tego, co miało nadejść.

„Jakie zło jest największym nieszczęściem świata?”

Wewnątrz mandali siostry Arlensul budziły martwych bohaterów.

Niedobrze więc. Oto był Erief... Przynajmniej to, co zostało z Eriefa po stuleciach spędzonych w tej potwornej Komnacie.

Wielki bóg północy odrzucił młot na bok. Ale broń nigdy nie dotknęła ziemi. W jego dłoniach pojawiła się laska, mityczny przedmiot wyrzeźbiony z jesionu odciętego z wielkiego Drzewa Świata, żyjącego, rozumnego drzewa, którego korzenie wyrastały z wszelkiej wiedzy, jaką zna świat. Wędrowiec uderzył okutą końcówką laski w tarczę Arlensul. Tarcza pękła. Tylko drobny jej fragment pozostał pod władzą Selekcjonerki. Laska uderzyła znowu. Nieśmiertelna włócznia wypadła z dłoni Arlensul. Ale nie zniknęła. Upadła pod nogi Svavara.

„Teraz musisz zdecydować”.

Inny punkt widzenia

- **O** cholera – mruknął Pinkus Ghort tak delikatnie i z takim uczuciem, że Else pojął, iż tamten jest przerażony do głębi.

– Zgadzam się całym sercem, kapitanie – powiedział prowincjał Divino Bruglioni.

– Wasza miłość, czy możesz zrobić coś, by osłonić żołnierzy? – zapytał Else.

Po lewej i prawej stronie oddziały odwodów wciąż stały na pozycjach. Drugi oddział wysunął się trochę naprzód, żeby obserwować wydarzenie, jakie można zobaczyć raz na tysiąclecie.

Żołnierze zasadniczo wywodzili się z szeregów devediańskich osiłków. Ale Else nie miał czasu się nad tym zastanowić.

– Zaczyna się – powiedział Ghort.

Else zacisnął palce na rękojeści swego zmęczonego starego miecza.

Jedna z Delegatur skruszyła tarczę drugiej, a potem wytrąciła jej włócznię z ręki. Lanca nocy upadła pod stopy mniejszego duszodawcy. Z czarnej mandali zaczęły się wyłaniać fragmenty jakichś stworów.

Duszodawca spuścił lawinę ciosów na resztki tarczy tamtej.

Wśród świadków poniósł się szept. Każdy wiedział, że oto są uczestnikami końca wielkiego cyklu mitologicznego.

Na murach miasta pojawili się pramianie. Znacznie bardziej zaniepokojeni niż ich episkopalni i devediańscy wrogowie. Pramianie tak mocno trwali w swej wierze, że nie potrafili sobie nawet wyobrazić innej rzeczywistości. Nawet uznanie, że obecne przed nimi Delegatury Nocy mają status diabelski, dla wielu było niemożliwe do przyjęcia.

Mniejsza Delegatura walczyła dzielnie, żązarcie i nieustępliwie. Jej przeciwnika osłabiały ograniczenia ludzkiego ciała.

Mniejszy duszodawca podniósł włócznie Arlensul.

Z wnętrza czarnej mandali powoli zaczęło wypełzać coś, co już nie zasługiwało li tylko na miano widmowych duchów. Na świat gramolili się zbrojni mężowie, wpadając na siebie w zamieszaniu. Byli ślepi? Nie. Po prostu właśnie się obudzili. I niewielu z nich było u szczytu formy.

Else dostatecznie znał mitologię północy, żeby rozumieć, co się dzieje. Komnata Bohaterów w Wielkiej Fortecy Niebiańskiej rzygała płonami, jakie zebrała przez wieki. Najwyraźniej nie był to przypadek, ale z drugiej strony sensu też nie sposób było się w tym dopatrzeć. Dlaczego banda zapomnianych bogów miała wziąć udział w potyczce między obcymi religiami, pół tysiąca mil od miejsca, do którego sięgało kiedykolwiek ich królestwo?

Żywy brat, miłosierna śmierć

Svavar zrozumiał, co ma zrobić. Było to dla niego tak jasne, jak jeszcze nic w całym życiu. Nie ma innego sposobu na uwolnienie siebie i Grima spod władzy Dawnych Bogów. Podniósł z ziemi włócznie Arlensul, wykutą przez same Delegatury. Wydawała się niezwykle lekka i jakby żywa w dłoni.

Uderzyła jak rozwidlony język żmii i weszła w plecy Grima łatwo, niczym sztylet w miękkie ser. Svavar poczuł puls brata, tętniący w magicznym drzewcu. Wrzasnął, gdy życie Grima popłynęło po metalu i drewnie pochodzących z innego świata.

Wrzasnął znowu, kiedy w ślad poszły gniew i szaleństwo Szarego Wędrowca. Ból przekraczał wszelkie wyobrażenia. Ale trwał tylko chwilę. Potem było już po Jedynym – to, co z niego zostało, rzuciło się biegiem w środek mandali, nie trafiło i przez chwilę wznosiło się dalej w przestrzeń, wielkim, ślepym łukiem.

Martwi potykający się o martwych wciąż wpełzali z mandali, ponaglani przez siostry Arlensul. Ich szyk rozciągał się na stoku.

Wypełnił wolę Arlensul. Jak podejrzewał, teraz sam powinien rzucić się na grot włóczni. Ale tak się nie miało stać. Fragment Jedynego zaraził go przez grot Selekcjonerki.

Strzelił język żmii.

Arlensul była zaskoczona. Tego nie przewidywał jej plan. Samego Svavara przepełniło zdziwienie, gdy część jaźni Selekcjonerki spłynęła doń po włóczni.

Trochę jeszcze krzyczał. Ból wydawał się ciągnąć przez wieczność, ale w istocie trwał tylko kilka sekund. Potem przyszła fala emocji, gdy wojownik

Gedanke wyszedł chwiejnie z czarnej mandali, wleczony przez siostry Arlensul.

Najbardziej zdradziecki cios – Arlensul przestała istnieć, z całych sił rwąc się w stronę martwego kochanka.

Nawet Delegatury Nocy nie są naprawdę nieśmiertelne. I to, zdał sobie niejasno sprawę Svavar, stanowiło przyczynę ich całej rozpacz.

Głupi, słabi bogowie z dala od wydarzeń świata usłyszeli echo biegnące wąwozami czasu i obawiając się marginalizacji oraz zagłady, rzucili się na ten jeden odległy moment, czyniąc zeń klucz do dalszego trwania własnych istnień.

Skąd o tym wszystkim wiedział?

Włócznia Arlensul skoczyła znowu. Jej siostra, Sprengul, wrzasnęła w śmiertelnej agonii. Wielka Forteca Niebiańska straciła kolejną nieodzowną Delegaturę. Svavar poczuł, jak zalewa go moc i wiedza. Włócznia była czymś z najczarniejszej legendy, Żniwiarką Dusz. Każda pożarta przez nią Delegatura ułatwiała zaczerpnięcie od następnej mocy i wiedzy.

Svavar uśmiechnął się słabo. Źle to sobie wymyślili. Mylili się co do jednego. Ich Bogobójca był wśród nich, choć przecież miał być narzędziem zguby wyczekiwanego asasyna bogów.

Sytuacja mitologicznej ironii. A może po prostu żart Delegatur wyższego szczebla. Może po prostu grali tu bogowie bogów.

Svavar zwrócił się przeciwko ostatniej z Selekcjonerek, Fastthal, wciąż wyganiającej Bohaterów na świat. Jej ojciec przebiegł obok. Bohaterowie błakali się bez celu. Jednych zniosło w kierunku żołnierzy, których obecność Svavar wyczuwał w pobliskich kryjówkach. Innych do stóp murów. Paru wspięło się na nie.

Fastthal wrzasnęła z wściekłości i uciekła do wnętrza czarnej mandali. Ale teraz Svavar nie miał żadnych kłopotów z zajrzeniem do środka. Zobaczył wszystkich pozostałych Dawnych Bogów w ich odrażających postaciach. Byli równie ogłupiali jak Bohaterowie, a poza tym przerażeni. Nie mieli pojęcia, co robić.

W końcu zdecydowali się na ucieczkę. Zamknęli czarną mandalę, separując się od potwornego regimentu martwych i okaleczonych zabójców. Svavar nie był w stanie ich zatrzymać, nie potrafił też się przedrzeć i ich ukarać.

Zrozumiał, że jego brat Grimur Grimmsson umarł tak, jak tego przez całe życie oczekiwał – z dala od domu i raczej bez sensu, choć równocześnie bez żalu. Żył, jak wierzył, że żyć powinien. Silny i bezwzględny.

Historia dobiegła końca. Asgrimmur Grimmsson mógł się położyć i rzucić z ramion ciężar życia.

Svavar oparł koniec drzewca włóczni Arlensul w śniegu. To powinno być właściwie bezbolesne.

Spróbował. Nie potrafił tego zrobić. Ale nie dlatego, że był tchórzem. Włócznia nie chciała go przyjąć. Moc i wiedza, jakie wchłonął od Selekcjonerek i Ojca Wszechrzeczy, zanim ten uciekł, nie miały mu zamiaru na to pozwolić. Poza tym nie chciał tego też rdzeń osobowości Asgrimmura Grimmssona. Wciąż pozostawała robota do wykonania. Długi jeszcze nie spłacone.

Svavar był trochę ciężki w pomyślunku, ale w końcu do niego dotarło. Asgrimmur Grimmsson nie żył. Zamiast niego istniała teraz ascendująca Delegatura. Nie potrafiłby się zabić, nawet gdyby znalazł dość siły woli. Obecnie musiałyby to za niego zrobić ktoś inny.

Jego świat wypełniły grzmoty i błyskawice, zapach siarki i jeszcze bardziej niż wcześniej niewiarygodny ból, najpierw eksplodujący w lewym ramieniu, a ułamek sekundy później w kilkunastu miejscach ciała.

Ogień i ból

Ghort poinformował Else'a:

– Pipe, jestem gotów się z tego wypisać. Oficjalnie już widziałem wszystko.

– Co niby widziałeś? – Else nie wierzył własnym oczom. Te stwory, które tu grasowały, należały do największych demonów Nocy. Święci mężowie z kaifatu al-Minfet będą dowodzić, że wcale nie istniały. Że były to tylko bajki, nic więcej. Niczym wymysły zawodowych bajaran z Lucidii.

Duszodawca zaatakował swego towarzysza, podczas gdy równocześnie niezliczone umarlaki wyszły na świat i skonfundowane zaczęły wędrować w poszukiwaniu żywych. To znaczyło, że niektóre pomaszerowały ku murom miasta, nieco dalej na wschód, ku nadciągającej szpicie wojsk Imperatora, a większość ruszyła na Else'a i jego towarzyszy.

Wśród ciężkozbrojnych odwodów devediańskich Else ani razu nie dostrzegł Glediusa Stewpo, ale teraz usłyszał krzyk karła:

– Zapalić lonty! Ognia!

Dwieście muszkietów zagrzmiało w odstępie dwóch sekund. Broń pozostawała niewidzialna, póki karzeł nie zorganizował salwy.

Salwa rozdarła na strzępy zbliżających się bohaterów. Else był wstrząśnięty tym, jak szybko pociski miotane prochem strącały moce Nocy w nicość.

Kilku z zapalczywych martwych wojowników podeszło na tyle blisko, że nawiązali bój z wojskami Patriarchy. Formacja devów grzmiała nieustannym łomotem. Dym powoli zaczynał dławić w gardle.

Tam, gdzie nie użyto broni palnej, rezultaty były mniej korzystne. Imperialni nie byli przygotowani do walki z przeciwnikiem już martwym.

Ich najlepszą obroną okazała się dyscyplina. Kiedy już zwarli szyki, byli w stanie odpierać atakujących, z których każdy walczył indywidualnie.

Mniej więcej dziesiąta część bohaterów wybrała szturm na al-Khazen. Else nie bardzo potrafił pojąć, dlaczego niektóre spośród strachopodobnych postaci zdecydowały się wspiąć po murach obronnych, niemniej tak właśnie czyniły – z łatwością owadów. Po dotarciu na blanki przystąpiły do mordowania wszystkich po kolei.

Dym wystrzałów powoli się rozwiewał. Ponad al-Khazen uniosły się smużki ciemnej mgły – to czarownicy broniący miasta starli się z martwymi wojownikami. Magiczny opór przyciągnął uwagę większości martwiaków, wciąż jeszcze zmagających się z wojskami Patriarchy.

Else podniósł się z zimnej, mokrej ziemi i ruszył przed siebie. Ghort szedł za nim. Prawie przywarł do Else'a.

– Co tu się, u diabła, stało, Pipe? Naprawdę wolałbym, żeby to nie było tym, czym pewien jestem, że było.

Za nimi devediańscy fizylierzy przygotowywali się do odwrotu. Garnizon al-Khazen raczej nie miał sił ruszyć za nimi.

Od czasu do czasu grzmiały jeszcze lufy. Snajperzy celowali do ślepego, wyjącego stwora, który kręcił się w kółko. Istota w niczym już nie przypominała człowieka, którego wcześniej opętała.

Praktycznie rzecz biorąc, nie zdawała sobie sprawy z otaczającej ją rzeczywistości. Przeszła obok Else'a, nie wyczuwając jego obecności. Jeśli chodzi o tego pierwszego, rzecz miała się zupełnie inaczej.

Ból był znacznie gorszy niż podczas spotkania z bogonem w Ownvidiańskim Węźle, znacznie bardziej gwałtowny i wzmacniany przez bliskość. Else upadł. Ale nie sam. Niczego nie musiał wyjaśniać Pinkusowi. Ghort też leżał na ziemi, ściskając skronie.

Devediańscy żołnierze wciąż strzelali do rannego boga. Każde trafienie osłabiało go, odbierało energię ruchom, powodowało rozmycie się postaci. Już w niczym nie przypominał człowieka. Ale był bogiem. Minie wiele czasu, nim umrze. A najpewniej nigdy nie umrze. Być może nawet dojdzie do siebie, jeżeli dostatecznie wielu śmiertelników wyzionie ducha w pobliżu.

Kiedy zraniony bóg odkuśtykał dalej, ból powoli opuścił Else'a.

Ghort zwrócił zawartość żołądka.

– Ach, na pieprzone Święte Hemoroidy świętego Eisa, Pipe! Jeżeli jest jakiś sposób, żeby zabić tego stwora, zabijmy go. Albo po prostu trzymajmy się z daleka. Więcej tego nie znoję.

Wciąż jeszcze wytrącony z równowagi napadem bólu Else zastanawiał się nad swoją rolą w toczących się wydarzeniach, rolą narzuconą mu tak przez innych, jak i przez los. Grade Drocker chyba nie czuł się najlepiej tego ranka. Er-Rashal al-Dhulquarnen z pewnością ledwie zipiał.

Dopiero teraz Else pojął wszelkie możliwe implikacje tamtych paru minut w Lesie Estery. Co zabiło bogona, mogło też dać się we znaki znacznie potężniejszym bytom.

– Nie wiem, co robić, Pinkus – odezwał się. – Jeszcze nie do końca to do mnie dotarło. Ale wiem, że historia tworzy się na naszych oczach.

Usłyszeli wrzask rozpaczony dobiegający ze szczytu murów. Potem zobaczyli, jak martwi bohaterowie zrzucają kogoś na dół.

Ghort zaklął.

– Te cholerne stwory nie chcą przestać. – Martwy bohater z jedną tylko ręką, jedną nogą i bez oczu trzymał go za kostkę.

– Nie skalecz się. To, co spadło, wyglądało jak Starkden.

Ghort odciął rękę napastnika w nadgarstku, potem rozwarł zaciśnięte na kostce palce.

– Trzeba rozpalić ognisko wielkie jak cholera i upiec na nim paru martwiaków.

– Dobry pomysł. – Else poczuł, że ból w nadgarstku narasta. Ślepa Delegatura zmierzała w ich stronę. – Jakaś jama mogłaby być lepszym pomysłem.

– Aby nie mogli uciec przed ogniem. No, cholera, co teraz?

Devowie szli przez strefę śmierci, dobijając martwych bohaterów mieczami i grotami włóczni z czarnego żelaza o posrebrzanych czubkach. Ślepego boga obeszlą szerokim łukiem. Od czasu do czasu ronił błyskawice.

– Znaleźli sposób, by walczyć z Nocą. Na dystans – powiedział Else. – Bractwo będzie urzeczzone.

Ghort uniknął chwytu machającej na oślep dłoni, marszcząc czoło.

– Coś takiego już się kiedyś zdarzyło, Pipe. Na mniejszą skalę. Kiedy wspomniałeś Bractwo, przypomniałem sobie. To się zdarzyło w Sonsie, kilka lat temu, jeszcze zanim się zaciągnęliśmy. To jest przyczyna stanu, w

jakim się znajduje Drocker. Przez devów. Mówili, że to jakiś nowy rodzaj czarów, ale ja myślę, że to raczej to, co widzieliśmy tutaj.

– Może i tak. To są diaboliczni ludzie. Cóż, to faktycznie Starkden.

– Nie żyje?

– Na to wygląda.

– Bądź ostrożny.

Else podniósł antyczną włóczę, która straciła swego wojownika. Dźgnął leżącą czarownicę.

– Zwiążmy ją, wsadźmy do worka i zanieśmy Drockerowi. Pokocha nas, nawet jeśli ona już nie dycha.

– Z pewnością wzbudzimy w nim całą masę różnych uczuć. Powinniśmy coś zrobić, żeby pomóc imperialnym? – Sytuacja niedoszłych zbawców Lothara nie wyglądała dobrze, mimo iż przyłączyli się do nich Braunsknechci.

– Radzą sobie. Powinniśmy się raczej zająć czymś tutaj.

– Ci chłopcy wyglądają, jakby sami się chcieli tym zająć. Zrozumieli już, kim są martwi wojownicy. To oznacza, że mogą przy nich znaleźć cenną antyczną broń i skarby rytualne. Ale piszę się na to.

Ghort poszedł zebrać oddziały pomocnicze. Else przyglądał się rozwojowi sytuacji na murach. Dostrzegł Szkieleta i Aza, którzy z bezpiecznej kryjówki obserwowali bieg wydarzeń. Oni też go zobaczyli, ale nic nie dali po sobie poznać. Póki Az nie wykonał ukradkiem ostrzegawczego gestu sha-lugów.

Else odwrócił się w tej samej chwili, gdy spośród gliny, błota i odciętych członków martwych bohaterów u jego stóp wstał duszodawca, który przebił włóczęnią kalekiego boga. Poczł wściekłość, strach i szaleństwo władające stworem. Oraz moc. Oto srożył się przed nim nowy potwór Nocy, rekonstruuując się z przypadkowych członków umierających Delegatur.

Istota rozpoznała Else'a.

Else zdecydował się wycofać na z góry upatrzone pozycje. Nadgarstek uderzył nową falą bólu. Ziemia uciekła mu spod nóg. Pośliznął się na oblodzonym kamieniu, upadł, ześliznął dwadzieścia stóp po stoku.

Devowie manewrujący przeciwko oślepijonemu bogu wypalili w kierunku nowego zagrożenia.

Duszodawca zawył, dobywając z ludzkiego gardła wprost niesamowity odgłos. Potem zadrżał, niczym pies zdjęty atakiem padaczki. Nadał się,

zmienił kształt i zaczął uciekać co sił w nogach.

Wkrótce przybrał postać modliszki dwukrotnie wyższej od człowieka, z dwukrotnie większą liczbą odnóży, niż to się zdarza tym owadom. Spod owłosienia na ciele i łachmanów przeblyskiwała mahoniowa chityna ze szkarłatnymi paskami i cętkami. Z niesamowitą szybkością ruszył po nierównym terenie na wschód.

Else siedział w lodowatym błocie i patrzył w ślad za nim, póki nadgarstek nie poinformował go, że nadciąga ślepy bóg.

Zaczął się podnosić. Dłonią musnął coś, czego oczy nie mogły dostrzec. Kiedy chwycił to coś ręką z amuletem, przedmiot stał się widzialny i zmienił w miecz z brązu. Była to wcześniej broń duszodawcy, znajdującego się teraz pod kontrolą swego najwyższego boga.

Ślepy bóg zmienił kierunek ruchu, zwracając się ku najbliższym dręczycielom.

Może gdzieś w pobliżu miecza jest też ta ohydna głowa?

Aha. Tutaj.

Wnętrznosci Else'a zmieniły się w lód. O mało nie zwrócił ich zawartości.

Oczy stwora były otwarte. Głowa leżała na lewej skroni w ubłoconej, zdeptanej trawie, oczy poruszały się. Lśniła w nich świadomość. I szaleństwo, jakiego nie sposób sobie wyobrazić. Co to było? Nie miało rąk, głosu, żadnych środków, by narzucić swoją wolę... Oprócz hipnotyzującej potęgi tych oczu.

Nadgarstkiem Else'a szarpnął ból. Amulet po raz kolejny go osłonił. Za to już choćby należała się wdzięczność er-Rashałowi el-Dhulquarnenowi.

Else powstał niezgrabnie. Zerwał poszarpany łachman z ciała nieruchomego martwego bohatera i owinał nim głowę.

Ból wrócił natychmiast.

Powoli zaczynały przybywać wojska z obozu patriarchalnego. Grade Drocker wyczuł sposobność, by zadać miazdzący cios bez większych strat własnych. Else wysłał jeden oddział przez kanał odpływowy, drugi na mury po wciąż wiszącej linie. Ci, którym się uda, mieli otworzyć furtę lub bramę. Pozostali mieli pomóc devom wykończyć martwych bohaterów i zebrać ich szczątki. Ghorta ostatecznie odesłał do pomocy imperialnym. Żołnierze z Imperium Graala znaleźli się w naprawdę kiepskiej sytuacji.

W końcu wyczerpany usiadł z wujem Divinem na dnie porośniętego krzewami zagłębienia. Wyglądało, jakby antyczna broń spadała tu z nieba. Narzędzia wojny wisały na krzakach i leżały rozrzucone w błocie.

– Dobre miejsce na kryjówkę, co? – Miecz z brązu odebrał mu siły. Odłożył na bok ostrze i zawiniętą głowę. – Chętnie bym się zdrzemnął.

Bruglioni odmruknął:

– Ja również. Jak wygląda sytuacja?

– Myślę, że idzie dobrze. Jesteś sam? Gdzie twoi chłopcy?

– Te dupki uciekły w chwili, gdy zaczęło się robić interesująco. Potem udało mi się oberwać, mimo że nic nie robiłem, tylko tu leżałem.

Else chrząknął.

– Całe to żelastwo zaczęło spadać z nieba. Przeklętym sztyletem oberwałem w kolano. Jest na nim królewskie zaklęcie, ale na szczęście nie było wymierzone przeciwko mnie. Miało zabić kogoś o imieniu Erief Erealsson. Zapewne jeden z naszych martwych gości.

– Nie znam imienia. Może ktoś, kto był kiedyś ważny. Historia to wielka zdrajczyni.

– Masz jakiś pomysł, co się tu dzieje, Hecht?

– Tak sędzę. To może być początek końca Tyranii Nocy. Broń, której użyli devowie, pozwala na załatwienie samych bogów.

Wuj Divino nachmurzył się.

– Doktrynalnie masz kompletnie pomieszane w głowie, Hecht. Ale załóżmy, że coś w tym jest. W każdym razie Bractwo Wojny i Specjalne Oficjum będą urzeczeni. Będą chcieli użyć tej broni w służbie Bogu, gdy tylko zrozumieją jej działanie.

– Nawet jeśli to narzędzie Przeciwnika?

– Co? – Oczy prowincjała się rozszerzyły. Czy wydarzenia ostatnich chwil były przez kogoś sterowane? Czy był świadkiem pierwszego uderzenia Dzwonu Sądu? – Cholera! Możesz mieć rację. To domaga się uwagi kolegialnego quorum. Po dwakroć, cholera! Nie mogę wstać. Nie potrafię ruszyć nogą.

Else'a zdjęło poczucie głębokiego smutku. Ale musiał dotrzymać złożonych obietnic. Westchnął. W zagłębieniu byli sami, nie zauważono ich. Taka sposobność po raz drugi się nie nadarzy.

– Prowincjale, wiele lat temu Freido Bruglioni i jego brat wyrządzili straszny czyn Draconowi Arnienie. Don Draco odkrył prawdę. Przed

śmiercią powiedział o niej Don Inigowi. Zmusił don Iniga do złożenia przysięgi wendety.

Prowincjał Bruglioni nic nie rozumiał.

– To... To... Prawie już zapomniałem... Draco wiedział?

– Zawsze.

– Wobec tego wysłał cię Inigo?

– Otóż to, prowincjale. Przykro mi. Od tego czasu żyłeś przykładowym życiem.

– Hecht! Nie!

– Człowiek jest tyle wart, ile jego słowo. – Else zwinął własny płaszcz Bruglioniego i przycisnął go do oblicza starca.

Bruglioni walczył. Amulet Else'a znowu storturował jego lewy nadgarstek.

Bóg okazał się łaskawy. Żaden świadek nie trafił na scenę zbrodni. Else skończył ponure zadanie, potem wcisnął antyczny sztylet w ranę na kolanie Bruglioniego. Zatarł ślady swej obecności. Wciąż niedostrzeżony przez ludzi, których uwagę odwracało coś innego, poszedł dnem zagłębienia, oddalając się od ciała prowincjała Bruglioniego.

Wcześniej zastanawiał się, czy nie złamać przysięgi. Polubił Divina Bruglioniego. Ale nie było najmniejszych wątpliwości, że utrata prowincjała przysporzy mnóstwa kłopotów Wzniosłemu i Kolegium.

Minęło dziesięć minut, nim Else do kogokolwiek otworzył usta. Wędrował po polu bitwy z głową potwora pod pachą i mieczem z brązu w rękę, zastanawiając się, co też zrobili Divino i Freido, żeby zasłużyć sobie na wieczną nienawiść Arnienów.

Dostrzegł zbliżającego się jednego z ludzi Ghorta.

– Quintille? Co jest?

– Wiadomość od kapitana Ghorta, proszę pana. Tylko dla twoich uszu.

Trząśł się wyraźnie. Dlaczego?

– Mów.

– Imperator nie żyje. Zginął w walkach o miasto. Teraz Lothar jest imperatorem. Córki Johannesy przejęły władzę. Kapitan Ghort mówi, że powinniśmy się spodziewać zamieszania w obozie imperialnym.

– Bez wątpienia. Jak mu idzie?

– To jest treść drugiej wiadomości. Potrzebuje pomocy. Jakichś grzmotodzierzców, jeśli wiesz, gdzie którego znaleźć. Te stwory nie męczą

się i nie poddają, póki nie są pocięte na strzępy.

– Już ich wysyłam, gdy tylko znajdę.

Quintille uciekł, najwyraźniej zadowolony, że może się oddalić.

Else poszedł poszukać Glediusa Stewpo. Karzeł wyraźnie starał się nie rzucać w oczy. Else jednak w końcu go skądś wygrzebał.

– Nie przypominam sobie, żebym tobie powierzył dowództwo, karle. Żadna część planu kapitana Ghorta nie uwzględniała tego, co się stało rankiem. Ale poszło dobrze. Jak dotąd szło. Zostało ci trochę prochu i naboji? Ghort ma tam pewien problem.

Stewpo i jego zauszownicy nie protestowali, choć było jasne, że mieli ochotę. Kilka muszkietów zwróciło się w stronę Else'a.

– To nie byłoby mądre. Jestem najlepszym przyjacielem, jakiego macie po tej stronie Morza Ojczystego.

– Chodzi o ten miecz, pułkownika. Powinieneś się go pozbyć. Już zaczął cię otulać tą samą aurą jaką miał jego ostatni właściciel.

Zerknąwszy na biegającego wciąż na oślep boga, który był już nieco mniejszy niż ostatnio, Else powiedział:

– Rozumiem. – Podejrzewał jednak, że chodzi raczej o głowę niż klingę.

– Masz kogoś dostatecznie godnego zaufania i silnego, żeby przypilnował mieczy, nie dotykając ich?

– Czy jest tu ktoś na tyle prawy, by zlekceważyć pokusę, jaką stwarzają instrumenty obcych bogów? – zapytał Stewpo. – No, myślę.

– Dobrze. Znajdź takie jak ten. Zniszczymy miecze w tym samym ogniu co martwiaki. Są z brązu. Stopią się. Jeśli utworzysz dla mnie oddział odwodów, pójdę uratować mojego nazbyt optymistycznego zastępcę.

Kiedy pułkownik, karzeł i dwudziestu devów ruszyli w kierunku bitwy rozgrywającej się między imperialnymi a martwiakami, Else zapytał:

– Jakim sposobem stać cię na tyle amunicji? Powiadają, że wy, ludzie, macie skarby większe niż smoki, ale wystrzeliliście dzisiaj więcej srebra, niż potraficie sobie wyobrazić.

– Źle sobie wyobrażasz. – Stewpo podał mu nierówny kawałek metalu wielkości czubka kciuka.

– Żelazo.

– Tak. Pokryte paroma cieniutkimi warstwami srebra.

– Hm?

– To nie musi być lite srebro. Wszystko, czego trzeba, to odrobina srebra na powierzchni. Żelazo potrafi przysporzyć poważnej niestrawności wszystkim istotom nocy. Srebra w małej monecie wystarczy dla stu takich pocisków.

Zdumiewające.

– Skąd to wszystko wiemy? Dlaczego broń na proch strzelniczy jest skuteczna tam, gdzie nie działa tradycyjna broń?

– Bo tak jest. Widziałeś, jak wykańczaliśmy martwiaki mieczami o srebrnych czubkach. Istota w pełni sił jest w stanie uniknąć tradycyjnych broni i pocisków. Są zbyt powolne. Ale wystrzał z lufy na proch strzelniczy porusza się zbyt szybko, żeby go dostrzec. Jesteśmy prawie na miejscu. Powinieneś się cofnąć parę kroków.

– Jeszcze jedna rzecz, zanim martwiaki spuszczą wam lanie. Z czystej ciekawości. Dlaczego tu jesteś, dowodząc siłami devediańskimi? Grade Drocker zna twoje imię. Dlaczego więc teraz występujesz z otwartą przyłbicą? Skąd wiedziałeś, że nastąpi szturm Delegatur Nocy?

– To jest więcej niż jedna rzecz, pułkowniku. – Stewpo gestem nakazał swym ludziom zająć stanowiska. – Ale wszystko poszło tak gładko, że mam ochotę krzyczeć z radości. Mój Bóg jest Prawdziwym Bogiem.

– Słucham?

– Nocą wiele razy przychodził do mnie Anioł Pański i twierdził, że piekło otworzy tu swe wrota. Zdecydowałem się ujawnić właśnie dlatego, że czarownik pamiętał mnie z Sonsy. Kiedy będzie naciskał na moich ludzi, mogą spokojnie wszystko zwalić na mnie. A im powiedziałem, że źródłem informacji o prochu strzelniczym jest dreangerski prowokator, który zginął podczas powstania w Sonsie.

Czy za słowami Stewpa kryła się zamaskowana groźba?

– Nie sądzę, by Drocker wytrzymał długo. Nie starczy mu sił, żeby ci narobić porządných kłopotów. A nikogo innego sprawa nie interesuje.

– Nie jesteś devedianinem, pułkowniku. Nie rozumiesz, że wszystko jest częścią rzeki czasu. Ledwie sięgasz wzrokiem poza wczoraj, dziś i jutro.

Else miał na ten temat inne zdanie, ale zachował je dla siebie. Choć karzeł mógł całkiem szczerze wierzyć, że został nawiedzony przez anioła, nie zaś zbłąkaną Selekcjonerkę Poległych, szykującą okrutną zasadzkę na ojca, który wydarł jej serce z piersi.

Stewpo zapytał:

– O to chodzi? Mam uratować twojego nieporadnego towarzysza.

– Ruszaj. Ratuj. – Else wspiał się na skalną odkrywkę. U stóp murów obronnych zbocze schodziło ostrym stokiem w dół. Zaścielały je szeregi poległych i rannych wraz z fragmentami ciał północnych bohaterów. Siedemdziesiąt jardów dalej kilkunastu Braunsknechtów otaczało Elspeth Ege. Else poczuł ten sam dreszcz, którego doświadczył w Plemenzy. Dziewczyna wyglądała na rozgniewaną i nieustraszoną.

Ghortowi i jego oddziałowi nie udało się przebić. Sami byli otoczeni. Żadnej z broniących się grup nie zostało już wiele sił.

– Rób co trzeba, karle – mruknął Else.

Po bohaterach nie można było oczekiwać żadnej myśli taktycznej. Devediańskie oddziały strzelców wypaliły pierwszą salwę z odległości dziesięciu stóp. Wszystkie pociski trafiły. Zanim bohaterowie zrozumieli, na czym polega nowe zagrożenie, devowie wypalili znowu. Trafieni bohaterowie padali. I nie podnosili się. Ich eksterminacja trwała kilka minut.

– Rychło w słodki czas – wydyszał Ghort. Był blady, rysy twarzy miał ściągnięte. – Jeszcze dziesięć minut i nie byłoby kogo ratować.

– Narzekasz, więc sądzę, że dobrze odmierzyłem czas.

– Och, tak. Przez długi, długi czas sprawię, że pożałujesz, że żyjesz. Aua! Ostrożnie, włochaty. – Dainshauski lekarz właśnie się zabrał do badania Ghorta.

Else poinformował dainshaua:

– Pozostali bardziej cię potrzebują niż on. Niech najpierw wycieknie z niego witról, potem go zaszyjesz.

Chichocząc, Else podszedł ku ocalałym z oddziału imperialnego. Większość leżała bezwładnie na ziemi, nie potrafili się podnieść, kiedy zniknęła konieczność dalszej walki. Stała tylko córka Imperatora – obok niej padły wierzchowiec, w jednej dłoni lekki miecz, w drugiej sztandar ojca, zabrany poległemu chorążemu. Miała na sobie rodzaj dziecięcej kolczugi, cienki napierśnik i odkrytą głowę. Ciemne włosy targał wiatr.

Else skłonił głowę.

– Księżniczko.

– Pamiętam cię. Ale nie znam twojego imienia.

– Piper Hecht, księżniczko. Z brotheńskiego regimentu miejskiego.

– Najwyraźniej twoja sytuacja się poprawiła. – Obdarzyła go uśmiechem, od którego stopniało w nim serce.

– Zaiste. Podczas gdy twoja poniekąd uległa pogorszeniu.

– Już ich mieliśmy.

Else nie potrafił opanować uśmiechu.

– Mogę w czymś pomóc?

– Możesz mi oddać brata.

– Naprawdę chciałbym. Ale nie mam takich prerogatyw. Jestem żołnierzem. A on znajduje się już w rękach ludzi znacznie bardziej zainteresowanych polityką.

– Członkowie Kolegium.

– Tak.

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie wiem. Nie widziałem go. Ale myślę, że tak. – Else nie mógł oderwać wzroku od oczu młodej kobiety. Najwyraźniej ona również czuła przebiegający między nimi prąd. – Co zrobicie?

– Jesteśmy dziećmi Hansela Czarne Buty.

– Życzę ci więc szczęścia, księżniczko. Największego, na jakie możesz liczyć. Nie chciałbym być teraz na twoim miejscu.

Obdarzyła go kolejnym olśniewającym uśmiechem.

– Mówiłam ci. Jesteśmy dziećmi Zapalczego Hansa.

Zerknęła przez jego ramię i zamarła zdumiona.

Else odwrócił się i zobaczył, jak fontanna ciemności uderza w podbrzusze nieba.

Po chwili do jego uszu dobiegł dźwięk. Ryk dziesięciu burz, skompresowany w jednodominutowej furii.

To mogło być tylko jedno.

– Muszę iść – powiedział Else.

– Jeszcze się zobaczymy – wyszeptała Hespeth, odczytując jego słowa z ruchów warg.

W uszach mu dzwoniło, więc miał trochę kłopotów z usłyszeniem tonu słów. Ale wydawało się, że to obietnica.

– Stewpo! – krzyknął prosto w ucho karła. – To było to, co myślę?

– To była śmierć fałszywego boga.

Else przyglądał się, jak oddziały patriarchalne wkraczają do al-Khazen przez nowo otwartą bramę. Czekały ich zażarte walki. Masant al-Seyhan

nie podda się łatwo. Er-Rashal nie podda się nigdy. Zniknie, by potem pojawić się w Dreangerze, zwalić winę na innych, a samemu zacząć knuć nowe bezeceństwa.

– Lepiej zejdź do podziemia, mały przyjacielu – powiedział Else – Drocker jest mądrzejszy, niż ci się wydaje.

– Może być sobie tak mądry, jak chce. Wiedza o prochu strzelniczym już ujrzała światło dzienne. Nic nie robi w tej sprawie. Tego nie dokona nawet twój wielki dreangerski czarownik. Jako władca marionetek jest znacznie gorszy, niż mu się wydaje.

– Życie devów w al-Karn stanie się obecnie znacznie trudniejsze.

– Życie devów w al-Karn zawsze było trudne.

– Wiesz, co zamierza er-Rashal? Dlaczego zabawiał się w intrygi, które jego stronie zaszkodziły znacznie bardziej niż wrogom Dreangeru?

– Mam pewną hipotezę. Zapewne nieprawdziwą. Powiem ci to, co kiedyś powiedział mi pewien stary człowiek. W polityce i na wojnie nie należy marnować czasu na poszukiwanie zdrady czy spisku, jeśli porażkę znacznie łatwiej wyjaśnić głupotą i niekompetencją.

Else pokiwał głową. Jego ludzie często wymyślali skomplikowane i nieprawdopodobne spiskowe teorie dziejów, aby wyjaśnić własne niepowodzenia. I zbyt często ich głównym tematem były potajemne knowania monolitycznej religii devediańskiej.

Zbliżyli się do kolumny czarnego dymu. Jakoś nie chciała się rozproszyć.

– Cóż – powiedział Else. – W gruncie jest dziura jak jasna cholera. – Zniknęła ziemia i kamień w odwróconym stożku o głębokości sześćdziesięciu stóp i podstawie pięćdziesięciu. Ściany jamy były szkliste, przywodziły na myśl widok obwisłej stopionej świecy.

Else bardzo się starał wpoić swoim żołnierzom pomysłowość. Korzystanie z każdej nadarzającej się sposobności. I właśnie teraz tak postępowali, wrzucając do dziury wszystkie materiały z pozoru przynajmniej palny wraz z członkami padłych bohaterów. Else powiedział:

– Leniwym tyłkom nie chce się samym kopać. – Potem osobiście zadbał, by głowa demona i miecz z brązu trafiły w ogień.

W końcu zajął się organizacją transportu rannych z pola bitwy, a potem pochówkiem martwych episkopalnych na chaldarańskim cmentarzu al-Khazen. Potem wrócił do oddziałów w mieście. Większość calzirskich obrońców poddała się lub uciekła. Ich morale się załamało. Jedyne opór

koncentrował się jeszcze w cytadeli, którą niezmordowanie atakowali martwi bohaterowie. Else kazał swoim krzyżowcom trzymać się od całej sprawy z daleka.

Imperialni stracili zainteresowanie walką. Wracali do swych obozów. Szlachta już się przygotowywała do manewrów mających na celu zdobycie kontroli nad córkami Hansela.

Te dziewczęta będą musiały się wykazać niezwykłą siłą i bystrością.

Lothar z pewnością jest pod specjalną strażą. Niewykluczone, że Wzniosły wpadnie na pomysł zamordowania chłopca, żeby stępić kły Imperium Graala.

Na to nie można pozwolić. Wzniosły musi mieć zawsze za plecami imperialne zagrożenie.

Al-Khazen było martwe, nie licząc odrobiny ruchu w jego sercu. Tam kłębiły się czary. Ale skutki działań załogi cytadeli były mizerne. Kolegium przystąpiło do akcji, nie zostawiając wiele czasu martwym bohaterom.

Ostatni oddział calzirskich uciekinierów uniknął uwagi zarówno obcych praman, jak i martwych wojowników. Mafti al-Araj el-Arak, jego dworzanie, ich rodziny i kilku wcześniej zawzięcie upartych lordów calzirskiego królestwa wymykali się z miasta. Podczas tajnych negocjacji obiecali poddać się pod zamkiem al-Negesi królowi Piotrowi z Navayi. Wiązała ich przysięga złożona na Pismo. Else sądził, że przy takiej pogodzie zapewne słowa dotrzymają. Jeśli zależało im najedzeniu i ciepłe, nie mieli dokąd pójść.

Po osłoną swych żołnierzy Else przyglądał się, jak wyjeżdżają. Miał nadzieję, że jego propozycja dotarła na drugą stronę frontu i że wśród uciekinierów zobaczy znajome twarze.

Aha. Są. Szkielet i Pan Duchów, Az, którego musieli podtrzymywać towarzysze. Dziś wyglądali bardzo po calzirsku. Szkielet znalazł jakąś szczelinę w przysiędze sha-lugów.

Czekaj! Następne znane oblicze. Nieujęte w propozycji zwolnienia jeńców.

– Zatrzymajcie tego człowieka! Chiotto, Brench! W szarej dżelabie, z kapturem. Odciąć go od reszty.

Zmaterializował się główny szambelan maftiego. To od niego wyszła propozycja negocjacji.

– Tysiącrotne przeprosiny, mój panie! – wy dyszał w twarz Else. – Wybacz maftiemu! Ten szary szczur wymusił na nas swą obecność. Desperacko chciał uciec przed szalonym Dreangerczykiem. Mafti nie chciał pogwałcić danego słowa.

– Rozumiem. Podaliście mu jakiś narkotyk?

– Zaiste, podaliśmy. Tak, panie. – Rozbiegane oczka sugerowały, że raczej mogła to być trucizna.

– To Masant al-Seyhan?

– Ten sam, panie. To straszny człowiek. Nie śmieliśmy...

– Dość. Kłamiesz jak pies. Ale na razie ci daruję. Przypomnij maftiemu, że do samego el-Negesi ktoś za nim będzie jechał. Rozkazałem nie okazywać miłosierdzia łamiącym słowo.

– Twoja łaskawość jest niewysłowiona, panie. Zaiste godna wiernego. Twoje miłosierdzie nie zostanie zapomniane.

– Jedź. Póki moi przełożeni nie zmienią mej decyzji. – Co z pewnością by nastąpiło, z towarzyszeniem wrzasków, że ucieka potencjalny okup. Mniejsza, ile żywotów żołnierzy uratowała ta umowa.

Zawsze znajdą się następni żołnierze.

Improwizował nie tylko po to, by ratować żołnierzy, ale by dać starym przyjaciołom szansę ucieczki przed zagładą, jaką er-Rashal al-Dhulquarnen chciał sprowadzić na pozostałych sha-lugów.

Else był zły. Szakał zdradził al-Pragę i Dreanger na rzecz jakichś niewyjaśnionych własnych ambicji. Ale zapłaci, kiedyś. Może nawet niedługo, pod lufami devediańskich fizyliarów. Chętnie skorzystają z okazji postrzelania do kogoś, kto wynalazł broń na proch strzelniczy. Za ironią przepadali w równym stopniu jak za złotem. A może kara przyjdzie później, gdy wieści o jego zdradzie dotrą pokrętnymi drogami do Gordimera Lwa.

Kiedy oszołomionego człowieka w szarościach odprowadzono na spotkanie z Grade'em Drockerem, Else zarządził oblężenie cytadeli. Nie doszło do tego jednak.

Szeregowi żołnierze, którzy nie byli tak zmęczeni jak on i wciąż potrafili myśleć, dostrzegli szansę przeniknięcia do cytadeli al-Khazen przez furkę, którą wy dostał się z niej mafti. Martwiaki nie zwróciły na nich uwagi. Zajmowało ich co innego.

Er-Rashala nigdzie nie znaleziono. Podobnie jak dowódców dreangerskiego i lucidiańskiego korpusu ekspedycyjnego. Większych

skarbów też nie było. Nieliczni pozostali służący byli tak kompletnie ogłupiali, że jasne było, iż ich wspomnienia wymazano magią.

– Oto, co zrobimy – powiedział Else do jednego ze swych kapitanów. – Wsadźcie służących w niewolnicze dyby. Przesłuchamy ich później. Potem podpalcie cytadelę. Jeżeli gdzieś się chowają, to ich wywabi z kryjówki. A potem pozwolicie im się poddać. Jeśli będą chcieli.

Znalazł sobie jakieś miejsce na uboczu i się zdrzemnął. Po jakimś czasie odemknął powiekę i zobaczył wokół siebie śpiących żołnierzy Bractwa. Przelotnie pomyślał o tym, ile czasu przyszło mu spędzić samotnie. Był sam, nawet dowodząc tysiącem ludzi.

Wkrótce jednak będzie przy jego boku Anna Mozilla.

Zaczął padać śnieg. Krótki okres lepszej pogody dobiegł końca.

Wyczerpanie bezlitośnie nękało Else'a, kiedy szedł od jednego znaku przy szlaku do następnego, wracając od obozu; śnieg wciąż padał, robiło się ciemno. Był jednym pośród chaotycznej kolumny ludzkiej. Mijali go młodszy, on sam mijał starszych. Polo wyszedł mu naprzeciwko i teraz podskakiwał przy nim jak zdenerwowany szczeniak.

– Nakarm mnie tylko i połóż do łóżka – powiedział. Był zbyt zmęczony, żeby się przejmować stanem patriarchalnego obozu po kilkudniowej tyranii Titusa Consenta. Wszelkie problemy będzie można rozwiązać później.

Polo bronił go wiernie aż do wschodu słońca, choć wszyscy chcieli się z nim spotkać. Else wstał, zignorował ich i poszedł się spotkać z Grade'em Drockerem.

Czarownik Bractwa wyglądał strasznie.

– Dobrze, że się pojawiłeś, Hecht. Dzieją się niesamowite rzeczy. Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Muszę podjąć decyzję. – Drocker potrzebował dwóch minut, żeby wypowiedzieć tych kilka zdań.

– Pytaj. Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

– Najpierw opowiedz mi, co się stało. Pamiętam, jak zniechęcałem cię do ratowania księcia Korony.

– Wycofaliśmy się i zostawiliśmy wszystko Bractwu.

– To twoi ludzie z miejskiego regimentu przyprowadzili Lothara do obozu.

– Twoi żołnierze nie wykonali zadania. Gdyby moi nie skorzystali z okazji, Lothar mógłby umrzeć w niewoli.

– I dlatego dobrze, że okazałeś inicjatywę. Straciliśmy braci wysłanych na pomoc Lotharowi. Niestety, wszystkich.

– Walczyli dobrze. Z tego, co widziałem, zmusili praman do zapłacenia strasznej ceny za zatrzymanie Lothara.

– Jestem więc zadowolony. Jestem też wyczerpany, Hecht. To już prawie mój koniec. Siły się kończą. A to nawet nie jest moje ojczyście królestwo. Jestem zupełnie sam, pominąwszy Bechtera. Powinienem się wściekać z powodu poniesionych strat. Zachowanie naszych devów na polu bitwy powinno mnie wprawić w atak szaleńczej furii. Padłem ofiarą tej samej broni. Ale jestem zbyt słaby. Jest taki fragment w Dobrej Księdze. Jeden z Agraficznych Proroków. „Jestem skonany”. Nie dożyję końca tygodnia, Hecht. Mogę nie doczekać zmięzchu. Pożyczyłem cały czas, jaki Bóg zechciał mi udostępnić. – Długa przemowa, z kilkoma przerwami, sprawiła, że Drocker wyglądał jak trup.

– Powinienem posłać Pola po lekarza, panie?

– Nie. Mój czas mija. Zrobiłem, co należało zrobić. Sierżant Bechter zostanie twoim adiutantem. Człowiek o niewielkiej wyobraźni, ale godny zaufania. Bechter. Ma wszystkie informacje i materiały, jakich będziesz potrzebował.

– Panie?

– Zastąpisz mnie na stanowisku dowódcy sił Patriarchy. Prowincjałowie zgodzili się na moją propozycję. Będą interpelować u Patriarchy, żeby zatwierdził na stałe tę nominację.

– Nie jestem godzien.

– Może i nie. Jest w tobie dużo rzeczy, które napełniają mnie niepokojem. Ale jeszcze więcej rzeczy, które świadczą o niezłomności charakteru, ważniejszej niż wszelka nominalna religijność.

Else zmienił temat.

– Wydobyłeś coś ze Starkden i Masanta al-Seyhana?

– Kobieta od zbyt dawna już nie żyła. Nie jestem nekromantą. Tym bardziej szkoda. Były między nami pewne sprawy. Prowincjałowie pracują nad tym drugim. Ale rzecz wygląda równie mało obiecująco. Jego mózg został zniszczony przez narkotyki i truciznę. Tylko eksperci ze Specjalnego Oficjum mogliby go otworzyć. Ale jedyni dwaj, jakich mieliśmy w obozie, pojechali z Lotharem. Zapewne nie dojdą do siebie po przejściach.

– A ten drugi czarownik? Ten, który przybył z za morza?

– Nie ma. Zniknął. Rzekomo został mocno poharatany przez martwych wojowników, zanim sobie z nimi poradził. Na teraz to tyle. Muszę odpocząć. Jeśli mi się uda. Kiedy wyjdiesz, każ tej starej kobiecie wejść do środka. Potrzebuję zmiany.

Drocker bynajmniej nie mówił zagadkami. Miał pielęgniarkę, calzirską chaldarankę tak starą, że mogłaby być świadkiem powstawania gór Vaillarentiglia. Zmieniała mu pieluchy jak dziecku. Sam Drocker nie wstawał już z łóżka.

Else z powrotem wziął regiment w garść. Pierwszym zadaniem, jakie zlecił swym dowódcom kompanii, był apel i wyznaczenie stanu rannych. Brakowało tylko ośmiu ludzi. Trzech było devami, uczestniczącymi w zasadzce z bronią palną. Czterej to żołnierze, którzy przybyli akurat na czas, by wziąć udział w pacyfikacji al-Khazen w nadziei na łupy. Ósmym był prowincjał Doneto Bruglioni. Nikt nie miał pojęcia, jaki los go spotkał. Jego koledzy z Kolegium omal wpadli w histerię.

Else posłał zwiadowców na poszukiwanie zaginionego.

Skorzystał z okazji, żeby spędzić chwilę sam na sam z Rogożem Sayagiem.

– Poinformuj don Iniga, że sprawa załatwiona. Klient zrozumiał, dlaczego rachunek musiał zostać zamknięty. Żałuję, że nie mogłem pozwolić zrobić tego komuś z bliskich.

Później, kiedy już znaleziono prowincjała Bruglioniego i uznano za ofiarę martwych bohaterów, Rogoż zwrócił się do Else'a:

– Don Inigo powoli już wpadał w rozpacz w związku ze sprawą. Pewien jestem, że będzie urzeczony. Arnienowie na zawsze pozostaną twoimi dłużnikami.

– Ostrzeż ich, że odbiorę dług. W swoim czasie. Jestem człowiekiem ambitnym.

Dłuższa rozmowa z Rogożem była niemożliwa. Teraz wszędzie, gdzie Else szedł, Polo i Redfearn Bechter podążali za nim. Sierżant był zdecydowany zrobić z niego godnego zastępcę Drockera.

– Jestem jedynym członkiem Bractwa w całej Firaldii, który jeszcze trzyma się na nogach, panie. I nie mam kwalifikacji na nowego pana wojny.

– Pewien jestem, że gdy tylko zdadzą sobie sprawę, że Castella jest pusta, przyślą kogoś z Staklirhod.

Polo trzymał się go, ponieważ od odnalezienia prowincjała Bruglioniego nie miał już nikogo. Nie chciał, żeby go odsyłać do kompanii Bruglionich.

– Źle się czuję z tymi aroganckimi szczeniakami.

W regimencie miejskim było pełno aroganckich szczeniaków. Else żałował, że nie udało mu się więcej ich wyrwać z brotheńskiej nędzy.

Odwiedził Ghorta w infirmerii regimentu. Pinkus przywitał go starą śpiewką:

– Pipe, musisz coś zrobić z żarciem, jakie tu dają.

Else obchodził szpital w towarzystwie głównego lekarza.

– To jest mój numer dwa – powiedział. – Zadbajcie, żeby miał te same smakołyki, jakie podajecie rannym devom w sąsiednim bunkrze.

Główny lekarz był devedianinem. Oczywiście.

Ghort protestował:

– Pipe, gdybyś nie był moim pułkownikiem, nazwałbym cię dupkiem i kazał całować mnie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

– Wobec tego mam szczęście, że jestem pułkownikiem. Mówiłeś coś o szybkim powrocie do roboty?

– Kołyszę się tu na skraju przepaści, Pipe. A oni próbują mnie zagłodzić.

– Jeżeli nie wrócisz szybko, awansuję kogoś innego. Może Bo Biognę. Byłby znakomitym dowódcą regimentu miejskiego.

Else uśmiechnął się i wyszedł. Wychodząc, czuł, jak Ghort zdrowieje z chwili na chwilę.

Infirmeria składała się z czterech schronów. Dwa należały do regimentu miejskiego. Dwa służyły wszystkim pozostałym. Mniejszy namiot wyłącznie dla devów i dainshauów był zatłoczony – w przeciwieństwie do przeznaczonych dla episkopalnych chaldaran, miejskiego regimentu i innych. W ostatnim, najmniejszym schronie siedzieli więźniowie i obcy. Else udał się tam, ponieważ trzymano tam księcia Korony Lothara.

Lothar odniósł pomniejsze obrażenia i miał kilka odmrożeń. Z jego oddziału wyłącznie on był wystarczająco zdrowy, by protestować przeciwko ulokowaniu. Pamiętał, że już kiedyś widział Else. Wymienili wprawdzie tylko kilka słów, ale Else zdobył pewność, że w kruchym ciele Lothara kryje się tęgi umysł.

Był synem swego ojca.

– Twoja sytuacja wcale nie musi być tak rozpaczliwa, na jaką wygląda, wasza wysokość. – Ściągnął na siebie pozbawione wyrazu, wyrachowane

spojrzenie. – Choć lepiej będzie się upierać, że jest się zbyt słabym na podróż. Chyba że chcesz znów ujrzeć Brothe.

Towarzystwa Lotharowi dotrzymywali poważnie ranni pramańscy szlachcice. Else podejrzewał, że oszczędzono ich w nadziei uzyskania okupu.

Czarownicy Bractwa, z którymi dzielił tamten posiłek w Runch, spoczywali odizolowani w ciemnym kącie. Główny lekarz wyjaśnił:

– Tych dwóch otaczają ciężkie kłęby czarów. Nie poradzę sobie z tym. Położyłem ich tam, gdzie sprawiają najmniej kłopotu.

– Izolacja jest w tym wypadku najlepszym rozwiązaniem. Chyba że masz jakąś dziurę, do której mógłbyś ich schować.

– I tak wkrótce trafią do ziemi.

– Och?

– Żaden długo nie pożyje. Nie jesteśmy w stanie ich karmić. Bez czarów nie wytrwaliby nawet tak długo.

– Grade Drocker będzie rozczarowany.

Młodszy z dwóch kruków, którego imienia Else nie potrafił sobie przypomnieć i nie pamiętał nawet, czy je kiedykolwiek znał, otworzył oczy. Przerażone i oszalałe objęły Else'a.

– DaSkees? Co ty tu robisz? Gdzie jesteśmy? – Potem czarownik znowu zamknął oczy.

– Co to było? – zapytał Else, mając nadzieję, że nie zdradzi go rozpaczliwy łomot serca.

– Nie wiem. Może majaczy? Mężczyźni czasami tak mają w gorączce.

– Och. Też to widziałem. Do diaska, sam byłem taki chory. Kiedy byłem mały. Robisz dobrą robotę. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać. Nie mogę nic obiecać, ale... Wyrzuć kapitana Ghorta, kiedy tylko będzie mógł chodzić. Potrzebuję go. – Chciał jeszcze zasugerować, żeby uduszono czarowników Bractwa, ale były to tylko marzenia ściętej głowy.

– Polo, mam dla ciebie nowe zadanie.

Polo nie był zachwycony. Teraz, kiedy odszedł prowincjał Bruglioni, żył w stanie cichej rozpacz. Demonstracyjnie przygotowywał się na najgorsze.

– Daj spokój. To nie jest takie straszne. Będiesz człowiekiem kapitana Ghorta, tak samo jak byłeś moim. Oczywiście, zakładając, że zrobią ze mnie głównego generała.

– Panie? Ale, panie, kto się tobą zajmie?

- Już wybrali sierżanta Bechtera. Z Bractwa.
- Panie? Ale, panie, Bechter? To jest stary człowiek. I szpieg.
- Else uśmiechnął się do Pola, unosząc brew.
- Panie, nie będę potrafił się przyzwyczaić do kapitana Ghorta.
- Z pewnością przywykniesz. Do niego można się przyzwyczaić. Poza tym on polega na tobie.
- Byle tylko nie zechciał na mnie lec.
- Nieważne, już zdecydowałem. Od dzisiaj. Kiedy wrócimy do Brothe, możesz wrócić do cytadeli Bruglionich. Jeśli zechcesz.

Powoli rozchodziły się wieści, że Grade Drocker żegna się z tym światem i wybrał Pipera Hechta na swojego następcę. Z niewyjaśnionych powodów umierający generał zapałał wielką sympatią dla wolnego żołnierza z Duarnenii.

Else Tage chętnie dostrzegał w tym dłoń Wszchemogącego. Wieści uczyniły zeń najbardziej popularnego człowieka w obozie krzyżowców, którzy teraz już oficjalnie nosili to miano. Patriarcha wydał stosowne bulle.

Proklamacja nie pociągała za sobą żadnych praktycznych konsekwencji prócz podkreślenia, że Wzniosły naprawdę zamierza prowadzić wojnę w imię swego Boga.

Każdy, kto potrafił dostać się przed oblicze Else'a, zawsze czegoś odeń chciał. Głównie chodziło o petycje wcześniej odrzucone przez Grade'a Drockera.

Else rozpuścił wieści, że jeżeli zostanie jego następcą, nie ma zamiaru nawet na jotę zmieniać obecnej polityki. Choć rozważał rozluźnienie ograniczeń, jakie zostały nałożone na devów. Jak dotąd to oni ponosili największy ciężar walk.

Else nie miał już czasu dla siebie. Kiedy znajdował chwile na refleksję, niepokoił się z powodu rannych braci.

Rozgorzała walka nad ścierwem Calziru. Else dawał wszystkim nieustannie i całkowicie jasno do zrozumienia, że nie zamierza rozsądzać sporów między padlinożercami. Wszystkie roszczenia muszą być przedstawione Wzniosłemu. Calzirska Krucjata była wojną Patriarchy, choć największym wygranym był Piotr z Navayi. Żadne środki nie zmusiłyby Piotra do oddania tego, co zagarnął. Kurz bitewny osiadał i Navaya okazywała się takim samym hamulcem na ambicje Patriarchatu, jak wcześniej Imperium Graala.

Lothar pozostawał w infirmerii obozu episkopalnego, z pozoru zbyt słaby na podróż. Od jego siostr przychodziły co dzień żądania, których nikt nie słuchał. Obóz imperialny pogrążał się w chaosie. Choć porządek sukcesji był z góry zapewniony, wcześniej nikt się nie spodziewał, że będzie musiał naprawdę z tym żyć.

Grade Drocker groził powrotem do życia. Nieobecność stresu okazała się panaceum. Jednak w ciągu tych dwu dni Else nie miał ani razu okazji do spotkania z nim.

Sierżant Bechter obudził Else'a w środku nocy.

– To koniec, panie. Mistrz Drocker odszedł. W spokoju. Uśmiechał się. Nie wypowiedział żadnych ostatnich słów. Zostawił listy i testament.

– I był całkiem sam. Prócz ciebie. Całe życie sprowadzone do takiej chwili.

– Nie do końca. Prowincjał Delari spędził z nim jakiś czas. Poza tym w życiu osiągnął wiele, na dobre i na złe. Więcej niż większość.

Else pokiwał głową.

– Nie filozofuj mi tu, Bechter. Potrzebuję cię. Teraz czeka nas mnóstwo całkiem praktycznych problemów. Ja również nie chcę być zmuszany do myślenia.

– Musisz pomyśleć, co zrobić z tymi wszystkimi żołnierzami. Nasz Patriarcha jest takim człowiekiem, który wygrawszy wojnę, najchętniej by ich w miejscu porzucił. Poza tym zaczynają się dezercje. Nie było zbyt wielu okazji do plądrowania. Więc ludzie myślą, że muszą sobie radzić na własną rękę.

– Ogłoś wszem i wobec, że każdy dezertor, który napada lub okrada miejscowych, będzie traktowany jak bandyta. Póki regiment trzyma się kupy, może pomaszerować z powrotem do Brothe i zażądać od Wzniosłego spłaty długów.

– Jak sobie życzysz.

– Wieści o Drockerze się już rozeszły?

– Wie tylko prowincjał Delari i my dwaj. Jak dotąd.

– Wobec tego nie mów nikomu do rana. Czy Bractwo ma jakieś specjalne ceremonie pogrzebowe?

– Tak. Ale potrzeba więcej niż jednego człowieka, żeby je odprawić.

– Nie możesz poprosić tych z infirmerii?

– Może. Rzadko kiedy wymaga się ode mnie wymyślenia czegoś nowego.

– Teraz jesteś bratem numer jeden, sierzancie. Jeżeli jesteś taki jak wszyscy żołnierze świata, zawsze będziesz wiedział, jak sobie radzić z dowodzeniem.

Bechter zachichotał.

– W tych okolicznościach nie mam nikogo pod sobą, kogo mógłbym rugać za to, że jest się idiotą, pułkowniku.

– Ty jesteś ostatni.

– Hm.

– Z początku nie bardzo mogłem wytrzymać z Drockerem. Był zbyt zgorzkniały. Ale w końcu zacząłem go szanować. Przygotuj wszystko. Jeżeli będzie ci potrzebna obecność tych dwóch ze szpitala, najwyżej przywiążemy ich do krzeseł, a ty będziesz mógł mówić za nich.

Bechter nie zdołał ukryć urazy w obliczu braku szacunku okazanego przez Else'a.

– Przepraszam. Ale jeśli chcesz ich wykorzystać, musisz się pośpieszyć. Lekarz twierdzi, że nie pożyją długo.

Oprócz Else'a Tage, Redfearna Bechtera oraz poważnie rannych braci z Runch tylko Bronte Doneto i prowincjał Muniero Delari wzięli udział w ceremonii pogrzebowej Grade'a Drockera. Który, jak się okazało, był Trzecim z Trzynastu Seniorów Bractwa Wojny. I jeszcze Osa Stile był na miejscu, uśmiechając się półgębkiem w ukryciu, nietknięty przez czas. Osa znalazł sobie miejsce pod komzą najpotężniejszego czarownika Kolegium, prowincjała Delari.

Else mruknął do Doneta:

– Co tu robi Delari? – Doneto obecnie potrafił już go traktować jak równego sobie. Przynajmniej do czasu, póki Wzniosły nie zdecyduje się nie respektować rekomendacji Drockera w kwestii jego następcy.

– Jest rodzonym ojcem Drockera.

Else przez dłuższą chwilę obracał w myślach ten fakt.

– Mało kto o tym wie. Kiedy to się stało, Delari był jeszcze chłopcem, ale przez wzgląd na rodzinę już biskupem. Delari nigdy oficjalnie chłopca nie uznał, ale wszyscy wiedzieli. Delari zadbał o jego wykształcenie i ułatwił wstąpienie do Bractwa, gdzie już awansował dzięki własnym zdolnościom.

Else nic nie powiedział. Wciąż trawił tę informację. Później mogła okazać się użyteczna. Być może nawet bardzo, mając na względzie, jak Osa Stile uśmiechał się do niego, sądząc, że nikt nie patrzy.

Doneto kontynuował:

– Sądzę, że pytanie teraz brzmi: czy Delari zaakceptuje cię tak, jak zrobił to jego syn? Gdybyś zechciał zbliżyć się do starego, mógłbyś zrobić dla siebie dużo dobrego.

To wyjaśniało szydercze błyski w oczach Osy.

Rytuał zdawał się ciągnąć bez końca. Po wszystkim Else jednak niewiele potrafił sobie zeń przypomnieć. Ale ostatecznie był tylko świadkiem. Nie robił nic, tylko patrzył. W końcu jednak wszystko się skończyło, a sierżant Bechter wdał się w niespodziewaną kłótnię z prowincjałem Delari. Drocker zostawił jednoznaczne rozporządzenia dotyczące swego ciała. Chciał, żeby go skremowano. A popioły rozsypano po świecie tak, by żaden przyszły czarownik nie mógł skorzystać z jego ziemskiej powłoki dla jakiejś swojej niegodziwości.

Prowincjał Delari wypowiadał się przeciwko kremacji. Przytaczał argumenty religijne, ale w drżącym starczym głosie bez trudu można było wyczytać uczuciową prawdę. Nie chciał do końca zegnać się ze swym synem, którego tak naprawdę nie miał dotąd okazji poznać – mimo słusznego lęku Grade'a Drockera względem tego, jak można wykorzystać jego zwłoki.

Else wkroczył, delikatnie przypominając staremu, że jakkolwiek wszyscy tu zgromadzeni nie przepadają za pomysłem kremacji, nie mają prawnych ani moralnych podstaw do zignorowania woli zmarłego. W ten sposób mogliby tylko wzniecić niezadowolenie Bractwa. Potem odszedł, by nadzorować powrót rannych braci do infirmerii.

Else zwrócił się do lekarza:

– Obudził się i zaczął krzyczeć. Chciał uciekać. Wydawało mu się, że gonią go jakieś diabły. Potem stracił przytomność. Zadbalem, by jak najszybciej trafił tu z powrotem.

Młodszy brat z Runch nie oddychał. Lekarz zrobił coś, co zmieniło ten stan rzeczy. Brat zaczął krzyczeć o kimś nazywającym się daSkees. Else myślał nawet, żeby po drodze do szpitala zlikwidować zagrożenie. Ale nie ośmielił się. Zbyt wielu potencjalnych świadków. W obozie kręciły się

masy ludzi przygotowujących się do wymarszu. Nie wydano jeszcze żadnych rozkazów, ale plotki krzewiły się bujnie.

Lekarz z ponurą dezaprobatą zapytał:

– A ceremonia?

– Wszystko poszło dobrze.

– Gdzie znajdziesz celebriansów, którzy odprowadzą w ostatnią podróż tych ludzi?

– Nie wiem, panie doktorze. To jest problem sierżanta Bechtera.

Else wrócił na swoją nową kwaterę, zmęczony i gotów zrzucić wszystko na Redfeama Bechtera. Ale okazało się, że ma gościa, którego przyjąć musi.

– Ferris Renfrow. Słyszałem, że nie żyjesz. Zginąłeś w daremnej obronie księcia Korony.

– Marzenie ściętej głowy, obawiam się. Zarówno w twoim wypadku, jak i innych.

– Jeśli już o tym mowa, czy istnieje powód, by teraz to marzenie nie spełniło się?

– Przyznam, masz nade mną przewagę. Niemniej, sądzę, że i ty możesz skorzystać na realizacji moich planów.

– Może powinienem wezwać lekarza? – Rzuciło się w oczy, że Renfrow przeżył trudne chwile podczas epizodu, którego skutkiem było pojmanie księcia Korony Lothara, i jeszcze nie doszedł do siebie.

– Możesz to nazwać brawurą, jeśli chcesz, ale nie, tak naprawdę ucierpiałem znacznie gorzej.

Else wzruszył ramionami.

– Uszanuję twój wybór. Rzecz jasna.

– Przypuszczam, że powinienem ci pogratulować. Twoje osiągnięcia są niesamowite.

– Wykonałem tylko swoją robotę. Jak każdy żołnierz.

– Tak. Cóż. Porzućmy te gierki. Nie mam dużo czasu. Jestem na twojej łasce i niełasce.

– Chętnie o tym posłucham.

– Oczywiście.

– No i?

– Chłopak. Lothar. Wciąż tu jest.

– W infirmerii. Strzeżony przez ludzi, którzy zaprotestują, jeśli każe go uwolnić. Jest zbyt dużo wart.

Renfrow wyznał:

– Nasz obóz ogarnął chaos. Nikt nie chce ugiąć kolan przed dwójką nieletnich dziewcząt.

– Zapowiada się noc długich noży.

– Być może faktycznie nie da się tego uniknąć. Ale morderstwa źle działają na ludzi. Znacznie lepsza jest perswazja, nacisk i szukanie wspólnych celów.

Else uniósł brew.

Renfrow szybko dodał:

– Chciałbym coś takiego z tobą wypracować.

– Mogę tylko słuchać. Nie mam żadnej realnej władzy.

Renfrow się skrzywił.

– Jesteś przeklętym panem wojny całego Patriarchatu. Oraz, Bóg jeden wie dlaczego, jasnowłosym, błyskotliwym adoptowanym synem numeru trzeciego Bractwa Wojny, który z kolei był powodem tajonej dumy i przedmiotem pobłażania dla jego nieprawomocnego ojca. A jeśli tylko Osa Stile będzie szeptał odpowiednie rzeczy do jego uszka, zapewne stanie się twoim poważnym patronem w świecie brotheńskiej polityki.

– Strasznie się denerwujesz. Kim jest Osa Stile? – zapytał Else.

Renfrow popatrzył na niego z wściekłością. Po chwili odrzekł:

– Jesteś tak cholernie uparty, że zaczyna mnie to już męczyć. Osa Stile jest męską dziwką prowincjała Delari. To ten, który sypiał z biskupem Serifsem.

– Ach. Ten chłopak, Armand. Znów się pogubiłem w tym, co mówisz.

– Lecisz sobie w kulki. Nie mam ochoty na żadne gierki. Posłuchaj. Jeśli Lothar Ege jakimś sposobem prześliznie się przez palce Wzniosłego, Imperium Graala nigdy ci tego nie zapomni.

– Wdzięczność miewa krótki żywot. Gdyby było inaczej, nigdy bym nie wyjechał z ojczyzny. I nie żyłbym już. Walki na Wielkich Bagnach bywają strasznie okrutne. Plotki głoszą, że lód porusza się coraz szybciej. – Nie potrafił się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć swej legendy jednemu człowiekowi, który z całą pewnością wiedział, iż jest nieprawdziwa.

– Starczy. Wiesz, ile jest warte słowo Johannesesa. Jesteś metodycznym profesjonalistą. Zwracasz uwagę na takie rzeczy.

Else mruknął twierdząco.

– Johannes a nie ma już wśród nas, ale ja zostałem.

– Ludzie, o których ci chodzi, znajdują się w najmniejszym schronie infirmerii. Razem z nimi przebywa też paru, którzy ciebie nie interesują, ale ich zniknięcie mogłoby zbić z tropu tych, co będą się starali ustalić ewentualny przebieg wydarzeń.

Renfrow na chwilę złożył dłonie, przytykając palce do ust.

– A więc jeżeli oddział pramańskich komandosów porwie wszystkich którejś nocy, banda rozgadanych prowincjałów, którą tu masz, może na jakiś czas stracić kontenans.

– A Imperator Graala będzie mógł okazać mi wielką wdzięczność.

Renfrow pokiwał głową.

– Zdecydowanie będzie się do tego poczuwał.

– Akcję trzeba będzie dobrze przygotować. Paru potężnych ludzi ma tu właściwie nieograniczony akces do Nocy. A na ile się orientuję, wojska imperialne nie są szczególnie silne pod tym względem.

– Idź uczyć ojca dzieci robić – mruknął Renfrow.

– Być może chciałby również zrobić coś ludziom, którzy naprzykrzają się dziewczynkom Hansela.

To zaskoczyło Renfrowa. Spojrzał na Else'a zmrużonymi oczyma, próbując zrozumieć, co kryje się za tą uwagą.

– Jakiś atak dywersyjny mógłby się okazać na miejscu – zasugerował Else.

– A ty nie będziesz zbyt żywo reagował.

– Nie będę. Jeśli będzie to ode mnie zależało.

Kiedy nastąpił atak, Else drzemał. Już przestać wierzyć, że do tego dojdzie. Renfrow uderzył, gdy w obozie panował chaos przed wymarszem na północ. Z początku wyglądało to zresztą na rozpaczliwą akcję praman, próbujących zdobyć coś do jedzenia.

Agenci Renfrowa wykonali dobrą robotę, przygotowując atak. Else postanowił to sobie zapamiętać, jako materiał do przemyślenia.

Trzech ludzi porwanych razem z Lotharem nie przeżyło trudów ucieczki. Zginęli, zanim jeszcze napastnicy opuścili obóz. Podobnie rzecz miała się z dwójką pramańskiej szlachty. Nie przeżył żaden z braci ze Specjalnego Oficjum w Runch. Komandosi nie mieli powodów, by zachować przy życiu kogokolwiek prócz Lothara.

Else był zadowolony z siebie. Tę sprawę udało mu się gładko załatwić.

Zaczął więc wybiegać myślą naprzód, licząc dni do czasu, gdy armia dotrze do Brothe. Przez kurierów wymieniał regularną pocztę z Anną Mozilla.

Z powrotem do Ciemnego Łona

Svavar biegł, bezładnie i rozpaczliwie wymachując kończynami modliszki, mgliście tylko zdając sobie sprawę z przerażonych zwierząt wokół i gapiących się chłopów. Zapadła noc, potem przyszedł dzień i znów noc. Rzeki, góry pojawiały się przed nim, znikały za plecami. Minął tydzień, nim zwyciężyły go głód i wyczerpanie. Dopiero wtedy wróciła świadomość.

Wrócił do swej przyrodzonej postaci: Asgrimmura Grimmssona. Był nagi. Drżał w chłodzie, który przez okrągły rok panował już nad współczesną Frieslandią. W postaci Svavara nie był bytem wiele większym niż zazwyczaj – choć zmysły były bardziej wrażliwe, myśli płynęły jaśniej i nieco szybciej. Poza tym zdawał sobie sprawę, że teraz jest kimś znacznie większym niż Asgrimmur Grimmsson, pirat i rabuś. Był całkowicie nową postacią grozy.

Frieslandią się zmieniła. Nowa religia robiła z ludzi płacziwe stare baby. Mimo że nagi i nieuzbrojony, nie miał żadnych kłopotów ze zdobyciem przemocą jedzenia, wymuszeniem odpoczynku przy ogniu, a jeszcze łatwiej poszło mu z tymi, którzy chcieli się temu sprzeciwić.

Wrócił do owadziej postaci. Groza szła za nim jak fale po stawie. Podobało mu się, że wzbudzał strach. Grim w tej sytuacji byłby w siódmym niebie. Grim urodził się brutalem. Svavar musiał się dopiero nauczyć znajdować przyjemność w strachu i nieszczęściu bliźnich.

W miarę jak robiło się zimniej, szedł coraz wolniej. Postać owada nieszczęśliwie sobie radziła w niskich temperaturach.

Kraj stawał się coraz bardziej nagi i opustoszały. Porzucone farmy i całe wioski. Okres wegetacyjny należał do przeszłości.

Svavar odkrył, że może przybierać nie tylko postać owada. Przez parę tygodni zajmował się swoimi nowo odkrytymi możliwościami, póki nie nauczył się przyjmować kilkunastu innych postaci, całkiem użytecznych, czasami równie potwornych. Ograniczała go tylko siła wyobraźni. Któregoś dnia nauczył się, jak być smokiem. Wielkim czarnym smokiem, z zębami, ogniem i szponami.

Kiedy znudziła go zabawa w zmiany kształtów, podjął misję, którą sam sobie zlecił.

Na przykładu Grodnir, obecnie niezamieszkanym, przybrał postać byka morsa, przepłynął po lodzie i ześliznął się do morza na południe od Orflandii. Obecnie kanał między kontynentem a wyspą był węższy i zamrznięty. Poziom morza spadł chyba o kilka jardów. Svavar przelotnie zastanowił się, jak musiało wyglądać dziś Morze Płytke.

Wody ongiś pełne morskiego ludku, dziś wydawały się całkowicie puste. Potrzebował trzech dni, żeby znaleźć kolonię koczującą w jaskini na zachodnim brzegu małej, skalistej wysepki, trzydzieści mil od brzegu na południowym Morzu Andorayskim. Drobne źródło mocy czyniło jaskinię nieco bardziej zdatną do zamieszkania niż otaczające tereny.

Upływ mocy zdał mu się jak ciepłe słońce wiosennym rankiem. Svavar nie znał dotąd delikatnej rozkoszy, jaką oferuje moc. Ani też nie wiedział, jak bardzo może urosnąć w siłę, gdy tylko nadarzy się szansa na kąpiel w niej.

Morski lud był przerażony. Svavar był największą potęgą, z jaką przyszło im się w życiu zetknąć. W obecnych czasach rzadko spotykało się Delegatury Nocy. Pomniejsze istoty zniknęły – uciekły lub pogrzebał je lód, jeśli akurat ich natura wiązała je z określonym miejscem.

Svavar próbował zachowywać się dyplomatycznie. Upierał się, że nie zamierza nikomu zrobić krzywdy. Przywołał ławicę dorszy, przekonując się przy tym, że ryby również stały się znacznie rzadsze w okolicy.

– Gdzieś na tych wodach jest przejście do królestwa bogów. Domeny Dawnych – wyjaśnił.

Zapadła długa cisza, wypełniona tylko strachem morskiego ludu.

– Ten, Który Nadstawia Ucha umarł – zapewnił ich Svavar. – Arlensul i Sprengul umarły. Kiedy dotrę do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej, pozostali również umrą.

Żadna z tych istot nigdy nie słyszała o Dawnych Bogach. Bogowie północy od stuleci już zapomnieli o świecie. A świat o nich – przynajmniej od czasu, jak podejrzewał Svavar, gdy dawno, dawno temu zniknęła zmierzająca na południe banda andorayskich łowców.

Obecnie jedyną grozą, jaką znał morski lud, był on sam.

Trójka młodych samców niechętnie zgodziła się pokazać Svavarowi miejsce, gdzie według legendy znajdowała się brama do świata bogów. Miejsce grozy, które morski lud nazywał Portem Cienia.

Svavar Mors wpłynął do zatoki bogów. Woda wydawała mu się tutaj ciepła, ponieważ przesycił ją upływ mocy. Ale po powierzchni błąkały się cienkie strugi zimna. Brzeg i wszystko, co na nim, zdawało się rozmyte, jakby miał zaćmę na oczach.

Svavar wytaszczył ciężkie cielsko na brzeg, przyjął postać Asgrimmura Grimmssona. Natychmiast zaroily się wokół niego karły. Przyniosły dopasowane ubranie. Ale nie pytał dlaczego. Jeszcze nie.

Zerknął ku górze. Wielka Forteca Niebiańska wyglądała niczym odległy sen za cienkimi nitkami pajęczyny. Karły jednak wydawały się całkowicie substancjalne. I bały się.

Svavar pogrzebał w pamięci. Nie przypominał sobie, by ostatnim razem karły wypowiedziały choć słowo. Z mitologii też niewiele na ich temat pamiętał. Były cudownymi rzemieślnikami, którzy wykonywali magiczne przedmioty stanowiące tworzywo legend. Źle potraktowane lub oszukane, potrafiły być bardzo niemiłe.

Najbardziej przysadzisty, włochaty i posiwiały powiedział:

– Jesteś Przepowiedzianym?

– Hę? O co chodzi?

– Koniec Czasu. – Stary karzeł nic więcej nie powiedział. Nie reagował na żadne pytania.

Jego towarzysze byli wyraźnie zdumieni, że w ogóle otworzył usta.

Svavar poszukał gniewu wewnątrz swej duszy. Znalazł. Zaczął wspinaczkę po zboczu góry. Karły szły za nim.

Droga pod górę była w kiepskim stanie. Tęczowego mostu nie strzegli żadni strażnicy. Sam most był ledwie wspomnieniem poplątanych barw. Żaden zwykły śmiertelnik już by po nim nie przeszedł. Przy bramie również brakowało strażników. A ona sama obracała się w ruinę.

Wnętrze fortecy jednak zmieniło się nieznacznie. Może było nieco bardziej ponure, ale nie straciło substancjalności, co przydarzyło się wszystkiemu na zewnątrz. Niemniej było widać ślady ciągnącego się od wielu wieków zaniedbania.

Svavar sięgnął do ukradzionych wspomnień, żeby znaleźć drogę. Wystarczyło, że pomyślał, i już był w komnacie, gdzie czekali Bohaterowie. Były ich teraz ledwie setki – ci, którym nie udało się przejść przez czarną mandalę. Ale większość w opłakanym stanie, bez tak wielu członków, że odraza Svavara roznieciła jaśniej płomień jego nienawiści. Pomści i uwolni te żałosne kaleki.

Znalazł się w sali uczt, gdzie zbierali się północni bogowie. Nie miał pojęcia, jak tu dotarł. Jak to możliwe? Przecież musiał znać drogę. Był bogiem. Cóż, jeśli nie pełnoprawnym bogiem, to przynajmniej rozkwitającą Delegaturą. Nawet tutaj mógł zmienić postać. Poza tym miał tamte wspomnienia. Powinien znać fortecę do ostatniego kłębka kurzu. Zabrał wspomnienia Dawnym Bogom... Ach. Tak. Przecież było ich jeszcze kilkunastu, wciąż nietkniętych katastrofą pod al-Khazen. Ukrywali się, subtelnie myląc mu tropy.

Zmaterializował się w miejscu, gdzie schowali się Dawni Bogowie. Nie miało ono żadnych widocznych ograniczeń, ścian, podłogi, sufitu. Tylko ciemne, mgliste dale. Żaden z bogów nie przybrał postaci, w jakiej przedstawiały go ludzkie mity. Ale znał ich.

Tylko Trickster się nie bał. Wierzył, że za sprawą chytryści potrafi się wydostać z każdych tarapatów.

Svavar przekonał się, że niegasnący gniew nie jest żadnym substytutem wiedzy i tysiącletnich doświadczeń.

Walka była wredna. Żadna ze stron nie odezwała się nawet słowem. W końcu Svavar musiał się wycofać, z boskim ogonem między pozostałymi nogami.

Dawni Bogowie też oberwali. Wyjąwszy Trickstera, który trzymał się z boku. Święta rodzina przeżyła, choć z ledwością.

Svavar zabrał ze sobą część ich wiedzy.

Karły czekały przy tęczowym moście. Częściowo go odremontowały. Ten posiwiął, który wcześniej z nim rozmawiał, doradził:

– Pozostań w postaci stonogi. Zbyt mocno zostałeś poharatany, żeby być człowiekiem.

Czas mijał. Svavar leczył rany, czerpiąc moc z wód zatoki. Kraina bogów stawała się coraz bardziej słaba. Ale sami bogowie trwali zamknięci w swej kryjówce.

Kiedy Svavar doszedł do siebie, po raz drugi wspiał się na górę. Na miejscu zastał przy życiu tylko jedenastu Dawnych Bogów. Byli słabsi. Bohaterowie w ich Komnacie gnili. Już więcej nie będą cierpieć od niewoli Nocy. Wolność znaleźli w śmierci.

Svavar zrozumiał, że Dawni Bogowie byli więźniami Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Dlaczego, nie wiedział. Być może to była robota karłów. Oni w końcu byli architektami i rzemieślnikami boskiego królestwa. Po wielu wiekach znaleźli wreszcie sposób wyegzekwowania pełnej zapłaty za wykonane umowy.

Svavar czterokrotnie wspinał się na górę. Kolejne walki nigdy nie szły po jego myśli. Ale nie obrażał się. Życie nigdy nie kłaniało się przed marzeniami.

Dawni Bogowie słabli za każdym razem. Svavar karmił się ich wiedzą. Trickster próbował zerować na jego słabościach, ale Svavar z uporem nie zgadzał się na żadne porozumienia. Miał powody, by podejrzewać, że ta zgraja zmusiła Arlensul do szukania kompromisu ze śmiertelnikiem Gedanke. Arlensul pamiętała. Żyła we wnętrzu Svavara jako swego rodzaju widmo, wciąż gnane gniewem i nienawiścią.

Wielka Forteca Niebiańska drżała na tle niskiego nieba. Svavar poszedł na górę po raz ostatni, ale tym razem tęczy most już go nie utrzymał. Aelen Kofer porzucili go.

Karły wiedziały, że serce Wielkiej Fortecy Niebiańskiej dla uwięzionych w nim Dawnych Bogów wydaje się jak najbardziej rzeczywiste. Ale zewnętrzna rzeczywistość traciła ontologiczne podstawy. Wkrótce cała ta realność zniknie. Dawni Bogowie zostaną uwięzieni we wnętrzu pozbawionym zewnątrz. Spędzą wieczność w środku kurczącego się bąbla.

Svavar był zadowolony. Choć ten wymiar jego duszy, jakim była Arlensul, wciąż tęsknił za rozkoszą usłyszenia ich ostatecznego, rozwrzeszczanego chóru szaleństwa.

Kiedy Svavar odpływał, woda w zatoce była całkowicie lodowata. Karły wyniosły się wcześniej na złotej barce.

Nie miał już żadnego większego celu, niż znaleźć sobie ciepłe źródło mocy, gdzieś na Morzu Andorayskim.

Skraj Connec: powrót

Siły connekiańskie ewakuowały się z Shippen, gdy pora wiosennych sztormów dobiegła końca. Po łatwej dwunastodniowej podróży zeszły na ląd w Sheavenalle. Brat Świeca wraz z korpusem kapelanów przebył drogę na pokładzie *Taro*, statku, którym płynęli również na południe. Na ile brat Świeca mógł określić, pośród załogi i ludzkiego ładunku brakowało mniej niż pół tuzina ludzi, z których nikt nie został zabity przez Calziran. Za większość strat ekspedycji odpowiedzialne były wypadki i choroby.

Skraj Connec przeżywał właśnie wielkie zmiany. Brat Świeca zrozumiał to, zanim jeszcze oddalił się od wybrzeża w Sheavenalle. Widział ludzi w skórzanych zbrojach, zawsze w grupach, wchodzili i wychodzili z jakichś podejrzanych nor. Mówili w ochrypłych obcych dialektach. Zatrudniały ich bogate rodziny dzierżące rzeczywistą władzę w mieście, lennem związane bezpośrednio z książętami Khaurene.

Wahania księcia Tormonda, opinia słabego, jaką się cieszył u poddanych, niezdolność do opowiedzenia się za własnym ludem i prawomocnym Patriarchą w obliczu nacisków Brothe – zaczęły wydawać swe zatrute owoce. Zapalczywi szlachcice i rycerze, którzy wzięli udział w Masakrze pod Czarną Górą, zainspirowani przez nich oraz bogaci mieszcianie najmowali zbirów dla ochrony własnej – początkowo przed zakusami Kościoła. Ale kiedy zbrojni byli już na miejscu, niełatwo było się oprzeć pokusie wyrównania starych rachunków.

Książę Tormond nie dysponował ani środkami, ani wolą, by poradzić sobie z przypadkami łamania prawa, uprawnień książęcych i odwiecznego pokoju. Przynajmniej w okresie, kiedy grozę można było jeszcze stłumić w zarodku. Najgorszy okazał się biskup Richenau. Pod nieobecność hrabiego

Raymone zwerbował trzystu zbirów. Upierał się, że są mu potrzebni do ukarania wrogów Kościoła.

Mathe Richenau był może odrobinę mniej skorumpowany niż jego poprzednik. W swoim czasie zaliczał się w poczet kochanków Anny z Menand.

Tak jak hrabia Raymone dojrzał podczas krucjaty, również on stwardniał, a jego wiara we własne siły wzrosła. Do Antieux powrócił pewnego popołudnia wczesnym latem. Następnego ranka, kiedy słońce ledwo wspięło się na szczyty wzgórza poza Hiobem, on i jego weterani zaatakowali dwór posiadłości stanowiącej ongiś własność biskupa Serifsa, a obecnie rezydencję biskupa Richenau. Mimo iż znaleźli się w obliczu liczebnej przewagi, urządzili zbirom biskupa krwawą łaźnię. Potem podpalili dwór, by wypłoszyć Richenaua. W efekcie dziesięciminutowego sądu, jaki potem nastąpił, pogrzebany żywcem głową w dół biskup dołączył do swego boga i tylko przez chwilę majtały uniesione ku górze nogi.

Hrabia Raymone najwyraźniej nie dojrzał do tego stopnia, by pojąć, że ci, dla których zamierzone są tego typu wieści, nigdy ich nie rozumieją. Zarządził, by skonfiskowane dobra wróciły do swych prawowitych właścicieli oraz by wygnano z Antieux wszystkich brotheńskich księży episkopalnych. Niektórzy srodze ucierpieli. Nikogo to nie obeszło. Następnie Raymone zwrócił się przeciwko tym, którzy spiskowali, kolaborowali lub w inny sposób korzystali ze związków ze skorumpowanym biskupem Richenau.

Brat Świeca dopiero niedawno rozgościł się w domu piekarza Scarre, kiedy Khaurene zaczęło trząść się od plotek o wydarzeniach w Antieux.

Doskonały Mistrz zapłakał.

Czas rozpaczy, który przewidział dwa lata wcześniej, właśnie nadchodził na Skraj Connec, gorszy niż ten, jaki zrodziła jego imaginacja.

Odzyskawszy spokój, brat Świeca podjął zadanie, które rozpoczął dwa lata wcześniej w świętym Jeules'u ande Neuis.

Poszukiwacze Światła i ich sąsiedzi muszą się przygotować na nastanie ciemności.

Brothe: ostatni tyk letniego wina

Else leżał wyczerpany na łóżku Anny Mozilli. Po co wędrował całą drogę aż do jej domu, mimo iż przecież mógł się skierować do Castella dollas Pontellas? Gdzie od dawna spoczywałyby w słodkich uściskach snu?

Redfearnowi Bechterowi brakowało czegoś, co miała Anna Mozilla.

– No i? – zapytała. Kiedy nie odpowiedział, rzekła: – Widzę, że nie było łatwo. Powiedz mi coś. Widziałeś Patriarchę?

– Widziałem.

– Jak wygląda? Z bliska.

– Inaczej, niż można oczekiwać. Niższy niż z daleka. Wygląda jak sklepikarz, który na dodatek dużo pije. I zbyt dużo je zbyt mocno przyprawionego czosnkiem jedzenia. I zupełnie nie interesuje się codzienną pracą swego biura. Jego dwór przeżera korupcja.

– To żadne wieści, kochanie. Korupcja jest znakiem szczególnym Patriarchatu od ośmiuset lat. Drażnisz się ze mną. Powiedz mi.

– Dostałem robotę. Jestem nowym generałem kapitanem armii Patriarchy. Pinkus jest zachwycony. Bronte Doneto i Paludan Bruglioni też. Sayagowie i Arnienowie są podnieceni. Prowincjał Delari jest w ekstazie. Ja chyba jestem jedynym, który ma zastrzeżenia.

– To dlatego, że za dużo myślisz. Zdrzemnij się. Ugotuję coś specjalnego, zrobimy sobie święto.

Else nie słuchał.

– Stałem się zbyt ważny. Zbyt wielu ludzi będzie się bliżej przyglądać mojemu życiu. Ludzie z Duarnenii nie będą mnie pamiętać.

Anna pocałowała go w czoło.

– Za dużo myślisz. Co z tego, że prawdziwi Duarnenianie nie będą cię pamiętać. Każdy awanturnik w Brothe kłamie na temat swojej przeszłości. Nikogo to nie obchodzi, póki tu czegoś nie spieprzysz.

Prawda. Ale to nie tłumilo nęających go niepokojów.

– Martwię się prowincjałem Delari. Za bardzo się mną interesuje. – To niepokoiło go najbardziej. Nie potrafił pojąć, dlaczego Delari chciał zostać jego patronem.

– Może chce zastąpić chłopca prawdziwym mężczyzną.

– Nie! Chodzi o coś takiego, co przeżywał Grade Drocker pod koniec życia. Tylko bardziej. Ludzie już zauważyli. Zaczynają się zastanawiać.

– Po prostu nie potrafisz znieść, gdy sprawy układają się pomyślnie, no nie?

Else milczał przez dłuższą chwilę.

– Aż tak dobrze się nie układają – odrzekł w końcu.

– Ho, ho. Mam złe przeczucia.

– Tak. Patriarcha potrzebował tylko dwóch minut, żeby zrobić mnie generałem kapitanem. Potem chciał tylko mówić o Skraju Connec. I mówił bez końca.

– Przecież nie może wciąż...?

– Może.

– Ludzie wciąż domagają się, by spłacił swe pożyczki z Calzirskiej Krucjaty.

– Być może właśnie dlatego powstrzymuje się przed zrobieniem tego, co chciałby zrobić. Głupi mieszkańcy Connec dostarczyli mu już wszystkich wymówek, jakich potrzebował. Zamordowali biskupa Antieux.

– To już drugi – zażartowała Anna. – Antieux musi być bardzo korupcjogennym miejscem.

Else pogrzebał we wspomnieniach z miasta.

– Nie. Problemem są ludzie, których Wzniosły tam wysyła. Już są skorumpowani. Myślą tylko o tym, jak się wzbogacić. Tamtejszy hrabia wrócił z Calziru i przekonał się, że Richenau ukradł wszystko, co przetrwało naszą wizytę sprzed dwóch lat. A więc go zabił. Słyszałem, że na swoim ostatnim stanowisku Richenau zachowywał się równie paskudnie.

– Wobec tego hrabia zrobił przysługę ludzkości.

– Bez wątplenia. Ale biskup był starym kumplem Honaria Benedocta. Ze stosunkami na dworze arnhandzkim. Co oznacza, że Arnhand będzie chciał

skarcić Connec. Tym bardziej że ten właśnie hrabia urządził Masakrę pod Czarną Górą.

– Więc Wzniosły na to liczy.

Else był zaskoczony tonem jej głosu.

– Tak myślę. – Nie potrafił się skupić. Ale spać też nie chciał.

– Powołał tego biskupa, wiedząc, jaki ma charakter? Licząc na to, że dyszący ogniem zemsty hrabia dostarczy mu pretekstu do krucjaty?

Else powiedział śpiącym głosem:

– O tym nie pomyślałem. Może tak kombinował. – Jego powieki stały się ciężkie jak z ołowiu.

– Idź się przespać. Ja przygotuję coś...

Dalszych słów nie usłyszał.

Anna szturchnęła Else'a palcem. Mocno.

– Obudź się!

Else podskoczył, zupełnie zdezorientowany i zagubiony na granicy paniki.

– Co?

– Jęczałeś i mówiłeś coś. Nawet krzyczałeś.

– Miałem sen.

– Musiał być paskudny.

– Hm... Nie wiem. Nie całkiem pamiętam. To chyba były jakieś wspomnienia z dzieciństwa. Moja matka... siostra... – Nie wspomniał, że te złe sny nawiedzały go w miarę regularnie od czasu, gdy był świadkiem zguby tych Delegatur pod murami al-Khazen.

Nie był też jedyną ofiarą koszmarów. Pozostali, którzy tam byli, nocami cierpieli podobnie. Gledius Stewpo popełnił samobójstwo.

Else miał nadzieję, że czas okaże się lekarzem, a paskudne, bolesne wspomnienia powrócą w mroki niepamięci, w których spoczywały od dziesięcioleci.

Nie chciał tych wspomnień. Ani przez moment. Zbyt wiele bólu przynosiło zagłębianie się w mrokach przeszłości. Znacznie lepiej patrzeć w przyszłość, pracować do całkowitego wyczerpania i zapomnieć o wszystkim.

– Już lepiej?

– Czuję się dobrze. Nie wiem, dlaczego mój umysł zaczął wywlekać te sprawy. Niewielu rzeczy się boję. Te mnie przerażają.

Anna zastanawiała się przez chwilę.

– Może te wspomnienia wracają, ponieważ się boisz, że znowu tracisz rodzinę.

– Hę?

– To musi być straszne, kiedy porywają cię i sprzedają jako właściwie jeszcze niemowlę. – Anna знаła już większość jego historii. – Naprawdę przywiązałeś się do swej przyszywanej rodziny ze szkoły wojskowej. A teraz boisz się, że twój zastępczy ojciec i rodzina sha-lugów odrzucili cię.

Else wpatrywał się w nią, próbując nadążyć za tokiem myślenia, nienawidząc tego, do czego prowadził, chcąc polemizować, a równocześnie pewien, że jej strzał trafił w dziesiątkę.

– Wolałbym już o tym nie mówić. Kolacja gotowa?

– Dlatego cię właśnie obudziłam. Kolacja na stole. Stygnie.

– Wobec tego chodźmy. Umieram z głodu.

Sny znów na niego czekały. Else miał zaraz – już – spojrzeć na twarze swej matki i siostry. Heris? Żaden ojciec ani razu nie znalazł się w tych strasznych snach.

Anna i teraz mu przeszkodziła. I jak poprzednio obudził się ogłupiały, nie mając pojęcia, gdzie jest. Wpił palce w pościel, jakby ona mogła go osłonić przez tym wewnętrznym przyczółkiem Nocy.

– Na ganku jest jakiś człowiek, który twierdzi, że musi się w tej chwili z tobą zobaczyć.

– Kto?

– Nie znam go. Nie przedstawił się. Mówi z wyraźnym akcentem. Twierdzi, że to ważne. Nie chciał odejść. Sam zdecyduj. I pozbądź się go jak najszybciej. Wciąż masz coś do zrobienia. – Ostatnie zdanie podkreśliła przyzywającym ruchem bioder.

Wciąż oszołomiony Else otworzył drzwi frontowe. Spodziewał się, że to jakiś goniec z Castella, przysłany tu w reakcji na fałszywy kryzys, którego rozwiązania nikt nie chciał ryzykować. Zamiast tego gość okazał się człowiekiem zupełnie mu nie znanym.

– Tak? Kim jesteś? Czym mogę pomóc?

Gość z pozoru niedawno dopiero przestał być chłopcem, ale pozorom przeczyły czujne oczy weterana. Przystojny, w błękitnooki, nordycki sposób. Else zauważył drobne blizny pod lewym okiem i na wierzchu lewej

dłoni. Strzelił obcasami i ukłonił się nieznacznie – szlachcic szanujący dokonania pana wojny znacznie pośledniejszego pochodzenia.

– Ritter fon Greigor, do usług, generale kapitanie.

Ciekawe. Wieści jeszcze nie stały się publiczną tajemnicą. Greigor musiał mieć dostęp do wewnętrznych kręgów. Po nazwisku i akcencie należało domniemywać, że to obywatel Imperium Graala. Znajomość tajemnic sugerowała związki z Ferrisem Renfrowem.

– Ritterze fon Greigor, czym mogę służyć o tej porze nocy?

W oczach przybyłego zamigotała irytacja.

– Przyniosłem pakiet listów. Wedle rozkazu. – Wyciągnął gruby skórzany portfel z pieczęcią imperialną.

Else wziął go ostrożnie.

Greigor czekał jeszcze przez moment, jakby sądził, że adresat przeczyta któryś z listów i natychmiast podyktuje odpowiedź. Ale Else tylko zapytał:

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

I znowu przybysz wydawał się zirytowany. Najwyraźniej miał wysokie mniemanie o sobie. Weteran, prawda, ale czego? Te blizny mogły być skutkiem pojedynku, nie wojny.

Z widocznym wahaniem imperialny wydobył drugi portfel. Ten był cienki, stary, zniszczony i ozdobiony ledwie czytelnym godłem domu Fracht und Thurnen, twórców i zarządzających licencjami pocztowymi na całym obszarze Imperium i większości chaldarańskiego zachodu.

Else wziął do ręki drugi portfel.

– Odpowiedzi można dostarczyć do Penital o każdej porze w ciągu następnych trzech dni. Potem wracam do Plemenzy. – Greigor strzelił obcasami, skinął głową i odwrócił się, dając do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

Else wypuścił go. Na Greigora czekał powóz i ochrona.

– Co to było? – zapytała Anna, gdy Else zamknął drzwi.

Był pewien, że podsłuchiwała.

– Poczta imperialna. Nic, co nie mogłoby zaczekać. – I zapewne zostać dostarczone za dnia. – Ten listonosz miał zdecydowanie wygórowane poczucie własnej wartości.

– Trasy morskie z Dreangeru znów są otwarte. Rano udało mi się kupić trochę kawy. Mam zaparzyć?

– Byłoby wspaniale. – Umościł się w wygodnym fotelu, zapatrzył na dwa portfele z pocztą. Nerwowo. Nieskory je otworzyć z obawy przed tym, co mogą zawierać.

Grubszy, oficjalny plik zawierał listy od Imperatora i Ferrisa Renfrowa, w tym drugim wypadku było to całkowicie zgodne z oczekiwaniami. Natomiast to, że chłopak zdecydował się napisać, było niespodzianką.

Drugi portfel zawierał to, czego Else naprawdę się obawiał. List od Helspeth Ege. Wiadomość napisaną wyraźnym, śmiałym charakterem pisma, która z pewnością została otwarta – ale tę ewentualność nadawczyni przewidziała. Tekst nie zawierał prawie nic. Wyrazy niegasnącej wdzięczności za rychłą odsiecz pod al-Khazen. Kilka słów troski o stan zdrowia brata. Zadowolenie z odzyskania go. Potem płytkie rozważania płynące spod pióra uprzywilejowanej dziewczyny, która nie ma pojęcia, że reszcie świata nie przypadł w udziale podobny los. Prawdziwa wiadomość znajdowała się między wierszami. Autorka listu była samotna i przerażona.

List sam w sobie był wiadomością.

Else napominał siebie w myślach. To było po prostu bzdurne romantyczne uniesienie rozpieszczonego dziecka. Helspeth wysłuchiwała zbyt wielu miłosnych ballad connekiańskich trubadurów. Prawdziwa miłość to była bajka o Gedankem i Arlensul. Ale nie do końca potrafił opanować podniecenie, jakie wzbudził list.

Anna wróciła z kawą.

– O co chodziło?

– Główny szpieg imperium znów próbuje mnie zwerbować. Nowy imperator dziękuje za pomoc w ucieczce. Jego siostra dziękuje za uratowanie jej oddziału przed martwymi żołnierzami, którzy ją zaatakowali.

– Myślałam, że ratowałeś Pinkusa.

– Jasne. Ale nie musiałem jej tego mówić, nie? Tak czy siak, nic z tego nie miało charakteru nie cierpiącego zwłoki. – Oczywiście Helspeth wspominała, nawet jeśli przelotnie i niebezpośrednio, o chorobie brata, która mogła mieć groźne konsekwencje.

– Wobec tego musiał mieć jakieś inne powody, żeby ci się naprzykrzać.

– Zapewne.

– Ponieważ chciał sobie mnie obejrzyć? Albo sprawdzić, jak można ci się tu ewentualnie dostać do skóry?

– Nie wiem. Ale jestem pewien, że się dowiemy. Skończę czytać, co Renfrow ma do powiedzenia, a potem zajmę się tym specjalnym zadaniem, które dla mnie wyznaczyłaś.

– Oho! Wobec tego czytaj szybko, mój kochanku.

Else czytał szybko. I nie podobało mu się to, co czytał.

Lothar chciał utrzymać imperialny sojusz ze Wzniosłym V, by ten nie wycofał poparcia dla sukcesji rodziny Ege.

– Skończyłeś?

Powiedział Annie to, co chciała usłyszeć.

– Dopiero zacząłem, najdroższa. – A myślał o Hespeth Ege.

Spis treści

- 1 Skogafiord, Andoray
- 2 Las Estery, w Ziemi Świętej
- 3 Święty Jeules ande Neuis, w Skraju Connec
- 4 Andoray, wśród starców w Skogafiordzie
- 5 Antieux, w Skraju Connec
- 6 Al-Karn, w Dreanger kaifatu al-Minfet
- 7 Andorayscy podróżnicy
- 8 Antieux, w skraju Connec
- 9 Podróże po Morzu Ojczystym
- 10 Khaurene, w Skraju Connec
- 11 Wielka Forteca Niebiańska, Królestwo Bogów
- 12 Firaldia, Ormienden i Antieux w Skraju Connec
- 13 W pobliżu Rhecale, nad południową, granicą Arnhandu
- 14 Connec, Antieux i dalej
- 15 Ormienden, Węzeł Ownvidiański i Plemenza
- 16 Andorayanie i Masakra pod Czarną Górą
- 17 Connec, po rzezi
- 18 Plemenza: pałac Dimmel
- 19 Andorayanie w Brothe
- 20 Khaurene, w Skraju Connec
- 21 Brothe, u zarania wojny
- 22 Connec, misja księcia Tormonda
- 23 Brothe, Pięści Bogów
- 24 Brothe, oblężenie
- 25 Brothe, poselstwo z Connec

- 26 Brothe, duszodawcy
- 27 Brothe, przygotowania do wojny z Calzirem
- 28 Alameddine, zmęczeni duszodawcy
- 29 Connekianie, na morzu i na lądzie
- 30 Alameddine i Calzir
- 31 Andorayanie z dala od domu
- 32 Shippen i Paluch
- 33 Wojna Wzniosłego z Calzirem
- 34 Godzina myśliwego
- 35 Z direciańskim zespołem bojowym: chłodna wiosna
- 36 Zanurzony w objęciach nocy
- 37 Bóg Miłości, Miłosierny Ojciec
- 38 Inny punkt widzenia
- 39 Żywy brat, miłosierna śmierć
- 40 Ogień i ból
- 41 Z powrotem do Ciemnego Łona
- 42 Skraj Connec: powrót
- 43 Brothe: ostatni łyk letniego wina